



S I E R G I E J L U K J A N I E N K O

F A L S C H V I E  
I I S T R A



C  
A  
N

**Siergiej Łukianienko**

**Fałszywe Lustra**

*(Фальшивые зеркала)*

*Przekład Ewa Skórska*

# Spis treści

## Strona tytułowa

## Część pierwsza

00

01

10

11

100

101

110

111

## Część druga

00

01

10

11

100

101

110

111

## Część trzecia

00

01

10

11

100

101

110

111

## Część czwarta

00

01

11

11

100

101

110

111

# **Część pierwsza**

## **Deeptown**

Ten sen śni mi się coraz częściej.

Początkowo nie dzieje się w nim nic strasznego, w ogóle nic się nie dzieje. Szara kłębiąca się mgła. Dopiero później – odległy, niemal niewidoczny płomyk, biała iskierka w tej mgle. Idę w stronę światła i mgła nagle zaczyna rzędnąć.

To dziwne – gdy znika ciemność, przestajesz widzieć światło.

Nieruchomieję, próbując zapamiętać kierunek, utrzymać go w pamięci. Ale nie ma już takiej potrzeby. Przede mną jest most. Cienki jak struna naciągnięta nad przepaścią. Chodziłem już nieraz po takich mostach. Ale teraz wszystko jest znacznie trudniejsze. Muszę przejść pomiędzy dwiema ścianami wyrastającymi z mgły. Z lewej strony – błękitny lód, z prawej – czerwony ogień. Nic rozpięta jest pomiędzy nimi.

Idę.

Lód po lewej pokrywają odciski dłoni. W odciskach strzępy skóry i mięsa pokryte szronem. Czasem sterczą kawałki przymarzniętych kości z fragmentami ubrania. Kiedy indziej widać rozkrzyżowane na lodzie postacie obsypane pryszczami śniegu.

Z prawą stroną sprawa jest prostsza. Spala szybko, do końca. Może dlatego rzadziej się ją wybiera.

Idę.

Nic pod nogami wibruje. Może to oddech ognia. Może powiew chłodu. A może ktoś idzie przede mną lub za mną.

Muszę dojść. Muszę.

Ale za każdym razem sen kończy się tak samo.

Nic drga. Może to ja zakołysałem nią zbyt mocno, nie wiem...

Niczym spadający linoskoczek rozrzucam ręce; próbuję utrzymać równowagę, czepiając się lewej ściany – niebieskiego lodu, albo prawej – czerwonego ognia.

Już dawno nie spóźniłem się do pracy.

Stoję w korku, który ciągnie się jak okiem sięgnąć. Obok mnie długi niezgrabny samochód, chyba ostatni model lincolna. Szyby opuszczone, posepny kierowca patrzy na mnie tak, jakby to mój motocykl był winien panującego na ulicy chaosu.

– Ma pan zapalniczkę? – pyta w końcu. Chyba zwyczajnie się nudzi. Za nic nie uwierzę, że w tym luksusowym potworze nie ma zapalniczki. Pewnie znalazłoby się tam miejsce dla kuchenki gazowej i grilla...

W milczeniu podaję mu zapalniczkę. Upierścieniona dłoń bierze ją i przypala drogiego cienkiego papierosa z filtrem niewiarygodnej długości. Co tam mówił dziadek Freud o pociągu do wielkich samochodów i długich papierosów? Zresztą Bóg z nim. Pewnie by tu u nas dostał świra, i to szybko.

– Co się dzieje? – pyta kierowca.

Limuzyna jest niska, facet nic nie może zobaczyć.

– Kolumna ciężarówek – odpowiadam.

Ktoś inny na moje słowa zareagowałby normalnie, czyli oburzeniem. Żeby ciężarówki jechały przez centrum miasta! I to przez rosyjską dzielnicę, w porannej godzinie moskiewskiego szczytu!

– Cóż, zdarza się – zgodził się szybko kierowca. – Widocznie muszą.

Więc lincoln to nie zwykłe pozerstwo. Kierowca nigdzie się nie spieszy, a kilkuminutowy korek nie jest dla niego powodem do niepokoju.

Ale dla mnie jest! I to jeszcze jak!

Pięciominutowego spóźnienia może nie zauważą. Dziesięć minut to już wpis do akt personalnych. Kwadrans – i połowę dziennej stawki mam z głowy.

Jestem już spóźniony cztery minuty!

Pas jest zapchany, ale standardowy motocykl to nie samochód wykonany na specjalne zamówienie. A moja ciemnostalowa kurtka, szare dżinsy, twarz pod lustrzanym hełmem... przeciętny wygląd, standardowy strój, ale...

Niepozorność ma swoje zalety.

Daję gazu, silnik ryczy. Właściciel lincolna przygląda mi się z żywym zainteresowaniem.

– Co, masz zamiar... – zaczyna.

Nie słucham.

Zostawiając na asfalcie ślad spalonej gumy, honda pomknęła między samochodami.

– Dawaj czadu! – krzyczą za mną.

Obserwacja cudzej głupoty to odwieczna, w dodatku bezpłatna rozrywka.

Tamujące ruch ciężarówki pełzną po ulicy powoli i leniwie. Zwykle kamazy, ale z napisami na budach 2T. Jasne, duża firma dostała pilne zamówienie i wołała zapłacić za pozaplanowy przejazd, niż zapłacić karę umowną z powodu spóźnionej dostawy. Odległość pomiędzy samochodami – najwyżej półtora metra, jadą jeden za drugim.

Może przeskoczę...

Widzę odbłyски południowego słońca na szybach ciężarówek, twarze kierowców, czarny dym silników diesla. Szansa wciśnięcia się pomiędzy dwa kamazy jest minimalna.

„Głębio, Głębio, idź precz...”

Moment przejścia z wirtualnej przestrzeni w zwykłą zawsze jest zabawny. Ale teraz różnice są minimalne, byłem w kasku motocyklowym, a zostałem w hełmie wirtualnym; siedziałem na motorze, teraz siedzę w fotelu, w kucki.

Tylko miasto wokół przestało być realne. Wszystko stało się bardziej toporne, utraciło detale, niebo wygląda jak płachta błękitu z lekkimi obłoczkami (które raz na dobę układają się w napis: Pamiętajcie, kto wymyślił i opłacił dla was to niebo!), samochody gubią gdzieś zarysowania, plamy błota, naklejki – wszystko, co podpowiadała wyobraźnia.

Kolumna ciężarówek z logo 2T pozostała.

Przeskoczę!

W słuchawkach słycać czyjeś głosy, ktoś macha ręką z samochodu, próbując mnie ostrzec. Ruchami joysticka wcisnąłem motocykl pomiędzy kamazy. Lekkie pchnięcie – pewnie zderzak zahaczył o tylne koło. Tonie.

W wirtualności mógłbym upaść, mógłbym stracić równowagę. Teraz wystarcza jeden ruch joystickiem, żeby wyprostować motocykl.

Zatrzymałem się za skrzyżowaniem, spojrzałem za siebie. Palce same przesunęły się po klawiaturze.

Deep Enter.

Przez sekundę miałem przed oczami ekrany i podkładkę hełmu. Potem tęczowa fala, która przebiegła po ekranach, zmyła rzeczywistość.

Deep program działa szybko.

Stoję na skrzyżowaniu ulic Gibsona i Czertkowa w rosyjskiej dzielnicy Deeptown. Przez prześwity w kolumnie ciężarówek pełznących w stronę klubu Bajt Bier BBC widać moich niedawnych towarzyszy z korka. Niektórzy gwizdzą, inni klaszczą lub w inny sposób wyrażają swój zachwyty.

Co za cudowne uczucie.

Jakbym wbił gwóźdź ulubionym mikroskopem.

Znowu dodaję gazu i mknę ulicą. Jest szansa, że spóźnienie nie będzie zbyt duże.

Ciekawe, kim był ten Gibson...

Do szatni podjeżdżam spóźniony o siedem minut. Kiepsko, ale mogło być gorzej.

– Leonid... – mówi z wyrzutem ochroniarz przy wejściu. Rozkładam ręce, próbując lustrzanym hełmem wyrazić całą gamę emocji: pokora, wina, wstyd... – Szybciej!

Wpadam na długi korytarz. Pod sufitem kołyszą się smętnie matowe kule lamp, upodabniając go do na wpół zapomnianych szkolnych korytarzy. Wzdłuż ścian stoją szafki. Niemal nad każdą płonie czerwone światełko, tylko dwa albo trzy są zielone – no proszę, zjawiłem się jako jeden z ostatnich...

– Cześć – rzuca przez ramię Ilia.

Też się spóźnił. Krząta się przy sąsiedniej szafce, otwiera zamek.

– Dzisiaj na rano? – pytam, szybko wystukując kod: trudna do zapamiętania dla prostaków zbitka liter „ghjkm”.

– Tylko na chwilę... mam trochę wczorajszej roboty. – Ilia wpatruje się posepnie we wnętrze szafki. Wygląda na jakieś trzydzieści lat, jest krótko ostrzyżony, w miarę muskularny. Twarz niestandardowa. Praca dobrego kreatora od image'u, raczej nie własna. – Może zdążyć rano...

W końcu sięga do szafki i wyciąga stamtąd obwisłe ciało. Chude i małe, należące do dwunastoletniego chłopca.

– Śmiało, nie ugryzie cię! – zachęcam go.

Chłopiec szarpie się jak od elektrowstrząsu i odwraca do mnie. Teraz on trzyma w ręku mężczyznę, który przed chwilą wyciągnął go z szafki – sflaczałego, jakby spuszczone z niego powietrze, z pustymi oczami, bez śladu myśli.

– Psiakrew... – wzdycha chłopiec cichym głosem. – Dobrze ci żartować!

– Tak myślisz? – pytam, zagładając do własnej szafki.

– Tak! – Chłopiec zaczyna kopniakami wpychać do środka imponującego mężczyznę. Ciało składa się na pół. Stopa w lakierku wygięła się pod dziwnym kątem, krawat wysunął się spod marynarki. – Jak! Mi! To! Obrzydło!

– Zamienimy się? – proponuję. – Podźwigasz paczki, a ja rozniosę telegramy.

Moje ciało „na zmianę” też nic nie waży. To dwudziestoletni mężczyzna w uniformie. Mięśniak o twarzy dobrodusznego idioty. Budowniczy komunizmu z plakatu sprzed lat dwudziestu. Trudno uwierzyć, że narysowali go w Stanach Zjednoczonych.

Nie modelowałem ani nie zamawiałem osobistego ciała. Wystarczy mi standardowa osobowość – „sympatyczny pracownik”. Zagładam w puste oczy, przywierając czołem do czoła...

Zaczynam wciskać byłego motocyklistę do szafki z nie mniejszym zapalem niż poprzednio Ilia.

– Słuchaj... – chłopiec przebiera palcami po klawiszach, zamykając szafkę. – Czemu wszystkie twoje ciała są takie jednakowe?

Jego nowa postać też jest świetnie narysowana. Sympatyczny rudowłosy młokos, ciepłe oczy i niemal stały uśmiech.

– Indywidualny projekt sporo kosztuje – ucinam rozmowę.

– Daj spokój. – Macha ręką Ilia. – Nic nie kosztuje, po prostu siadasz i rysujesz!

– Kompletnie nie umiem rysować.

Upycham ciasno swoje poprzednie ciało i zamykam szafkę. Nie wiem tylko po co. Przecież ta postać jest zupełnie bezwartościowa.

Należy do standardowego zestawu Windows Home – „sympatyczny pracownik”.

Jakby w Deeptown było miejsce dla niesympatycznych.

– Narysować ci? – zapala się Ilia. – Krótka piłka. Przynajmniej byś zaczął lepiej wyglądać.

– Dobra, umówimy się kiedyś – mówię. Mam wrażenie, że ta rozmowa już się kiedyś odbyła. Jego propozycja i moja gotowość to tylko wymiana nic nieznaczących uprzejmości.

– To na razie. – Ilia macha ręką i ucieka, zupełnie po chłopięcemu. Dobra modulacja ruchu obrazu.

Ja mam gorzej. Idę niezgrabnym krokiem tresowanego goryla. Przy wyjściu okienko wydawania zamówień. Ilia już złapał swoją paczkę i uciekł.

Chłopcy-doręczyciele mają rowery.

Tragarzom wydają motorynki.

Ale najpierw zamówienia.



W okienku nudzi się Tania. Fajna dziewczyna, jeśli to naprawdę dziewczyna.

– Spóźniłeś się – zauważa dobrodusznie, no bo co ją to obchodzi? – Są dwa zlecenia. Ktoś został w szatni?

– Chyba nikt.

– Weźmiesz oba?

– Co tam jest?

– Pianino i fortepian. Dobry żart, nie ma co...

– Daj, każdy grosz się liczy.

– Aha – mamrocze z aprobatą Tania. Podaje mi formularze, podpisuję się i wychodzę. Zerkam na pierwszy – pianino. Na drugi fortepian.

Nie mam siły się odwrócić. Na pewno Tania chichocze.

Czy może być coś głupszego od zawodu tragarza w wirtualnym świecie? Czy jest coś bardziej zbędnego w świecie impulsów elektronicznych, gdzie tak naprawdę nie ma ani odległości, ani ciężaru?

– Leonid! – krzyczy za mną Tania. – Dzwonił Igor, trochę się spóźni. Poradzicie sobie we dwóch?

Czy jest coś głupszego od narysowanego mieszkania, do którego wstawia się narysowany fortepian? A raczej muzyczny program imitujący dźwięki fortepianu i mający jego postać?

Chodzi o podświadomość. Jeśli wiesz, że nie podniesiesz fortepianu w rzeczywistym świecie, nie zarzucisz także na plecy jego narysowanego obrazu. Jeśli fortepian dostarczą w postaci gumowej zabawki i nadmuchają go na środku pokoju – nie uwierzysz w czystość i prawdziwość jego dźwięku.

Dwóch krzepkich facetów w roboczych kombinezonach musi go na twoich oczach dźwigać po schodach, klnąc i zalewając się potem... Postać sympatycznego robotnika jest uproszczona, ale ma funkcję wydzielania potu.

Nagle ogarnia mnie złość. Złość, którą ostatnio czuję coraz częściej.

Nie zwracając uwagi na przepaszający głos Tani, idę na postój, biorę swój motorower, rzucam okiem na robiący miłe wrażenie, przysadzisty budynek z emblematem HLD na szyldzie. „HLD – i nie masz problemów! HLD – terminowo i solidnie! HLD – wasz ładunek nie zostanie zatrzymany!”

Grunt to dobry slogan reklamowy!

Przy akompaniamencie wesołego terkotu motoroweru wyjeżdżam na ulicę Gibsona i niespiesznie, czwartym pasem, jadę pod pierwszy adres.

Teraz, gdy jestem w pracy, odległości stają się krótsze. W naszym małym Deeptown, w naszym kochanym Deeptown wszystko jest zróżnicowane i względne. Nawet słońce wstaje o różnych porach – gdy pracownicy robią przerwę na lunch, dla ich szefa dopiero nastaje świt. Przeskakuję przez Trzecią ulicę Projektantów, Pierwszy zaułek On Line... oto i wskazany w zleceniu adres.

Ładna willa.

I piękny ogród. Winorośl pnie się po kamiennych schodkach. W misie fontanny rzeźba: obnażony mężczyzna trzyma żmiję, z jej pyska bije w niebo strumień wody. O Boże, co to za alegoria? Czytam napis pod posągiem – Poskromienie Głębi.

Robi mi się smutno.

Zrezygnowałbym z tego zlecenia... niech sobie sami przenoszą nieistniejący fortepian do nieistniejącej willi. Ale w Deeptown jest zbyt wielu bezrobotnych, żeby zadzierać nosa.

– Proszę pana!

Z werandy schodzi dziewczyna. Kołysze biodrami, uśmiecha się. Ma na sobie niezbędne minimum ubrania, wygląd zewnętrzny wymodelowany w stylu manga – ogromne oczy, figura nastolatki.

– Jest pan tragarzem?

– Tak, proszę pani – mówię ponuro.

– Przyjechał pan, żeby nosić nasz fortepian?

„Nosić”! Coś pięknego.

– Tak.

– Niestety, nie przywieźli go dzisiaj... – W jej głosie nie ma smutku. – Podobno mają bardzo dużo zamówień. Może pan przyjechać jutro?

– Proszę złożyć zamówienie. Ktoś na pewno przyjedzie. Ale ja...

– Naprawdę, tak mi przykro! Bardzo pana przepraszam! – Dziewczyna jest uosobieniem wdzięku.

– Tak mi głupio! Wszystko przez męża, on jest stale zajęty, to jego wina... prosił, żeby zapłacić panu za fatygę!

W milczeniu podaję zlecenie.

Dziewczyna podpisuje, nie patrząc, potwierdza pełną wartość prac załadunkowo-rozładunkowych. Przez chwilę myśli, marszcząc czoło. Potem wyciąga z kieszeni banknot.

– Dziękuję. – Wsuwam pieniądze do kieszonki kombinezonu przewidzianej na napiwki. Za moment już ich tam nie będzie. Połowa pójdzie na rachunek kompanii, połowa na mój. Jak przystało na poważną firmę średniej wielkości.

– Może napije się pan kawy? – Spojrzenie dość intrygujące, ale skromne.

Patrzę na zegarek, wzdycham.

– Nie wiem... mamy dużo zamówień...

– Wie pan co, powinnam przesunąć toaletkę w sypialni! – przypomina sobie dziewczyna. – Pomoże mi pan? Od razu wypisalibyśmy nowe zamówienie.

Wszystko jasne.

Niedoświadczona poszukiwaczka przygód. Ale mąż to mądry facet. Ja też.

– Pani życzenie, nasze wykonanie – pozwalam sobie na odrobinę dwuznaczności.

Przesunięcie toaletki zajmuje nie więcej czasu niż wypisanie blankietu zamówienia. Potem pijemy kawę z likierem. Uśmiecham się, bo mnie bawi cała sytuacja. Laleczka mruga ogromnymi oczami, przysuwa się bliżej. W końcu łąduje na moich kolanach, całujemy się długo i z przyjemnością. Starannie śledzę ruchy jej figlarnych rączek.

– A... co? – Głos dziewczyny wibruje, teraz już nie tylko podnieceniem, ale i zdumieniem. Oczy stają się jeszcze bardziej okrągłe, przewyższając nawet standardy japońskich komiksów. Niestety, nic z tego nie będzie.

– Proszę pani, jestem pracownikiem poważnej firmy – wyjaśniam. – To ciało przystosowane jest jedynie do poważnej pracy fizycznej, a nie do rozrywek. Naprawdę pani tego nie wiedziała?

– Drań!

Mógłbym się roześmiać, ale zachowuję kamienną twarz. Wstaję z sofy, zsuwam gospodynię z kolan i zapinam kombinezon.

– Proszę pani, jeśli coś w moim zachowaniu było nie dość satysfakcjonujące, może się pani

zwrócić do kierownictwa firmy z sugestiami. Ja też uważam, że nie zaszkodziłaby drobna poprawka...

– Idź precz, bydlaku!

Nie jest mi przykro. Bawi mnie to wszystko. Wychodząc z domu i wsiadając na motorower, mógłbym się nawet roześmiać w głos. Ta funkcja organizmu jest dozwolona. Ale się nie śmieję.

W Deeptown jest wieczór. Zawsze, gdy tylko kończę pracę, zapada wieczór. Lubię to. Oczywiście, dla tego biedaka, który spieszy po ulicy z teczką, jest wczesny ranek. A dla niektórych wesoły letni wieczór jest zawsze.

No i dobra. Niech tam.

Do HLD przychodzi druga zmiana. Nad sąsiednią szafką pali się czerwone światełko – albo Ilia jeszcze nie wrócił, albo już poszedł do pracy. Gdzeniegdzie przebierają się pracownicy. Prawie ich nie znam – najwyżej mówimy sobie cześć...

Dzień był w sumie niezły. Trzy zamówienia, z czego dwa płatne właściwie za nic. I jeszcze to zabawne nieporozumienie... czy naprawdę są ludzie, którzy nie wiedzą, że ciała proletariuszy z Windows Home są bezpłatne, podobnie jak muły i pszczoły robotnice?

Pogwizdując wesolutki motyw, wyciągam z szafki ciało motocyklisty. To już pełnowartościowy mężczyzna. Jest tylko jeden problem – wygląda tak zwyczajnie, że miłosne przygody mu nie grożą. Zresztą nie to się liczy w jego postaci. Im bardziej niepozorne ciało, tym łatwiej przeskoczyć przez przeciążone serwery. Są tacy, którzy uparcie nie chcą tego zrozumieć, obwieszają się świecidełkami, rysują skomplikowane indywidualne rysy twarzy... Cóż, jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

Przykładam czoło do czoła. Patrzę w lustrzany cień, czekam, aż zadziała program, a potem wpycham „sympatycznego pracownika” do szafki. Odpocznij do jutra, mój drogi!

Ja też odpocznę...

W dyżurce ciągle siedzi Tania. Na mój widok uśmiecha się z zakłopotaniem. Podchodzę do okienka.

– Lonia, przepraszam...

– Nic się nie stało, mogłem więcej zarobić.

– Naprawdę zaniósłeś pianino sam?

– Tak.

Patrzy na mnie kompletnie zbita z tropu.

– Tania, jak myślisz, dlaczego poszedłem pracować jako tragarz? – wzdygam. – Siedem lat w sklepie meblowym! Różne rzeczy tam robiłem! Noszenie pianina w pojedynkę to dla mnie nie pierwszozna. Ciao!

No proszę... teraz dziewczyna zacznie się zastanawiać nad szerokością moich ramion w realu.

Zamieniam motorower na motocykl, myśląc, że moja legenda jest szyta grubymi nićmi. Będę musiał odejść z HLD. W sumie nie ma czego żałować... naprawdę mi to wszystko obrzydło. Idiotyczne ciężary, bezsensowne firmy. Wirtualny ogrodnik, naklejanie ogłoszeń, malarz, tragarz...

Na co jeszcze mogę liczyć, skoro nie ma nic we mnie, kompletnie nic, co byłoby potrzebne temu kolorowemu, pełnemu wszelakiego dobra światu wokół?



Ostatnio wolę upijać się w Głębi. To typowe dla bywalców wirtualnego świata. Po pierwsze, mniej szkodliwe dla zdrowia. Kac może się co prawda zdarzyć, jeśli organizm go wymyśli, ale przynajmniej nie zaszkożysz wątrobie. Po drugie i najważniejsze, w wirtualności alkohol jest znacznie tańszy. Nikt nie będzie płacił za narysowanego drinka tyle co za prawdziwego. Butelka bayleysa kosztuje pół dolara, wysmienita szkocka – osiemdziesiąt centów. Rosyjska wódka – prawie dolara, ale wódki mogę się napić w realu...

Są oczywiście nielegalne knajpy, gdzie jest jeszcze taniej. Tam możesz kupić pięćdziesięcioletniego burgunda za kilka dolców. Nie wiem tylko po co. Ci, którzy znają smak takiego wina, nie szukają go na dnię życia. A ja nie mam po co go pić – i tak nie odróżnię od mołdawskiego cabernetu.

Więc idę do uczciwej, legalnej knajpy – Car Ryba, która słynie z trzech rzeczy: z obecności ogólnie dostępnych i zrozumiałych dla Rosjanina napojów, ze znakomitej kuchni rybnej i z muzyki „na żywo”. Obcokrajowcy zaglądają tu rzadko; kolejny plus. Trafiają się najwyżej jednostki – ci, którzy mieszkali w Rosji i potrafią docenić uchę, piwo oczakowskie i stary rock.

Zawsze najbardziej lubiłem takie miejsca. Zarówno w realu, jak i w Głębi. Nie przestronne, głośnie restauracje, nie popularne i drogie lokale, gdzie walą tłumy turystów, tylko małe, niepozorne knajpki. To się sprawdza w każdym mieście świata... może poza Moskwą. W Pradze jest U Fleku i Czerny Wol, w Berlinie Zitadelle i Zur Letzten Instanz, w Paryżu Maxim i La petit wartel. Wybierz, co ci pasuje...

Car Ryba przytuliła się na placu Wolności. Takie lokaliki są niemal w każdej dzielnicy Deeptown, tylko w amerykańskiej czy francuskiej zostały wydzierżawione zakładom rozrywkowym wątpliwego charakteru, a w naszym zajęte przez biura. Cóż, każda nacja ma swoje obyczaje.

Szyld nie rzuca się w oczy, zrobiony jest w prymitywnym stylu. Ale w ten prymityw włożono znacznie więcej wysiłku i talentu niż w kolorowe światła reklam nad drogimi restauracjami. Jarmarczny obrazek, na którym karykaturalni burłacy wyciągają z rzeki potwornych rozmiarów jesiotra, niedbale napisana nazwa...

Pcham drzwi, wchodzę. Miejsca są i to mnie cieszy. W ostatnim czasie Car Ryba staje się coraz bardziej popularna i obawiam się, że wkrótce będę musiał przestać tu przychodzić. Albo knajpa powiększy się i zamieni w znaną restaurację, albo trzeba będzie zamawiać stolik znacznie wcześniej i znosić głośnie, obce towarzystwo.

Ale na razie jest miejscem, do którego lubię przychodzić.

Wybieram stolik przy drzwiach do kuchni. Kelnerka nieznajoma, ale podchodzi od razu. Rzucam szybkie spojrzenie na menu:

– Dzisiaj szczególnie polecamy pstrąga pieczonego w folii mówi dziewczyna.

Pstrąg jadłem... co prawda dawno... ale nie smakował mi. Więc nie docenię go teraz.

– Faszerowany szczupak – decyduję.

Tego dania nie jadłem nigdy. Na pewno będzie ładnie wyglądać, a fantazja dopowie smak.

– Potem uchę... – ciągnę, przesuwając oczami po menu. – I karafkę wódki... zwykłej, żytniej. I ciemne pieczywo.

– To wszystko?

– Sok pomidorowy.

Popijanie wódki sokiem jest wulgarnie. Ale mam właśnie chęć na odrobinę wulgarności.

Pozostaje czekać na zamówienie. Oczywiście, wszystko mogą mi podać natychmiast, ale po co psuć iluzję? Siedzę i rozglądam się po sali. Niektóre twarze rozpoznaję, innych nie znam. Na scenie samotny gitarzysta; albo koledzy z zespołu jeszcze się nie zebrali, albo woli występować sam. Wsłuchuję się w niegłośny tekst:

*To sposób bardzo prosty  
Ulice, chodniki, mosty –  
Niczym płótno, lecz on nie był malarzem  
Był echem nas, czasu i zdarzeń  
Niczym tacza benzynowa na rzeki wodach*

*Na czerni asfaltu kreda kolorowa  
To my – widzisz, to przecież ty i ja  
Nie czekał na nagrody  
Dla niego to nie zawody*

*Dla niego to po prostu być i nie być  
Pan i sługa kolorowej kredy  
Niczym tęcza benzynowa na rzeki wodach  
Na czerni asfaltu kreda kolorowa*

*To my – widzisz, to przecież ty i ja  
Nie przetrwają długo  
Splukane deszczu strugą  
Ale nie krzycz zaraz „ huzia ” ze śmiechem*

*Pamiętaj, on jest naszym echem.  
Niczym tęcza benzynowa na rzeki wodach  
Na czerni asfaltu kreda kolorowa  
To my – portret niczym feniks z ognia.*

Śpiewak opuszcza gitarę i patrzy na salę. Chyba nikt nie słuchał, wszyscy są zbyt pochłonięci jedzeniem. Na chwilę nasze spojrzenia się spotykają i odnoszę dziwne wrażenie, że utwór był przeznaczony właśnie dla mnie.

Tak zazwyczaj bywa z pięknymi piosenkami.

Śpiewak wstaje i odchodzi, trzymając gitarę za gryf. Nie trzyma się w ten sposób instrumentu, ale gest z jakiegoś powodu wydaje się absolutnie naturalny.

Cholera, muszę zacząć częściej tu przychodzić. „Echo nas, czasu i zdarzeń”...

– Można?

Odwracam się.

W Deeptown rzadko widzi się starców. Wszyscy chcą być piękni i młodzi, jeśli nie w życiu, to przynajmniej w słodkim śnie. Zdecydować się na taką postać – to o czymś świadczy.

– Siadaj, Jeżyk – zapraszam.

Jeżyk to przezwisko miejscowego bywalca. Uważałem go za program, aż do dnia kiedy z nim porozmawiałem. O dziwo, człowiek spędzający w Głębi większą część doby okazał się prawdziwy. Wygląda na jakieś sześćdziesiąt lat, jest siwy, pomarszczony, grubawy. Twarz obwisła, ale gładko ogolona. Włosy obcięte krótko, na rekruta. Właśnie od nich pochodzi przezwisko. Trochę zapuszczony, ale bez przesady. Ubrany staromodnie, ale starannie. Nie budzi niechęci, raczej zainteresowanie.

– Słyszałeś o włamaniu? – pyta Jeżyk, siadając, i zerka na kelnerkę niosącą sok i karafkę z wódką.

– Poproszę jeszcze jeden kieliszek – mówię i zauważam, że na tacy stoją dwa kieliszki. Jeżyk nie przesiaduje w Car Rybie dla własnej przyjemności, chyba jest tu na kontrakcie. W domu publicznym dziewczynki naciągają klientów na drogie trunki, a w tej knajpie Jeżyk nakręca gości na pijaństwo. Taka praca.

– Dziękuję – staruszek skinął z godnością głową. Lekko drżącą ręką napełnia kieliszki, stukamy się, pijemy. Jeżyk chrząka, ale nie zagryza. Coś nowego.

– Więc co to za włamanie? – pytam. Wyjmuję paczkę papierosów, podsuwam mu.

– Jest taka firma... eee... New Boundaries...

– Słyszałem – przypominam sobie. – Produkują soft?

Jeżyk chichocze.

– Nie... różne duperele w rodzaju nowych ergonomicznych klawiatur, ekscentrycznych hełmów, specjalnych foteli, na których nie wysiedzisz hemoroidów... różne różności.

– Aha – mamroczę. Na swój alkohol staruszek powinien zapracować ciekawą historią, ale na razie nie zasłużył nawet na papierosa.

– Muszę już iść – wzdycha Jeżyk. – Ech, gdybym miał jeszcze ze dwa dolce, żeby przedłużyć czas...

Ładnie! Patrzę mu w oczy. Czy informacje są aż tak interesujące, że muszę zapłacić za jego czas w Głębi? Dolar to żadna forsa, ale mimo wszystko!

Przez dziesięć sekund patrzymy na siebie; w końcu Jeżyk zaczyna wstawać, a ja się poddaję, łapię go za rękę.

– Siedź. Mam dziś pieniądze.

– Dziękuję. – Staruszek tak zręcznie opada na siedzenie, że nie wiem, czy rzeczywiście chciał wstać, czy tylko poprawiał się na krześle. – Więc, jak mówię, firma nie jest duża, ale ma umowy z wielkimi... z rekinami...

Przynoszą mi uchę. Cudowny zapach. Nie mam zamiaru karmić Jeżyka, zresztą on nie nalega. Zaczynam demonstracyjnie jeść – na znak, że na razie niczego zajmującego nie usłyszałem.

– No i wczoraj się do nich włamali – oznajmia Jeżyk. Dziwne...

– Wczoraj?

Wirtualność żyje szybko. Wczorajsza wiadomość dziś jest już przestarzała.

– Aha. – Jeżyk rozumie, że doceniłem ten drobny szczegół. No i... złodzieja złapali od razu.

Czuję lekki ucisk w piersi. Złodzieja złapali od razu...

Dwa lata temu każdy zadałby pytanie: „Nurek się włamywał czy haker?”

To była zasadnicza różnica w sposobie ochrony i metodyce pracy. Była... teraz już nikt nie zada takiego pytania. Nurków już nie ma.

– Zabili go – wzdycha Jeżyk. – Ochrona była fachowa, nie z New Boundaries, od zleceńodawców...

– Co godzina w Głębi gdzieś się ktoś włamyje – mówię, dojadając zupę. Znakomita! Dokładnie taką samą jedliśmy nad Wołgą nocą, przy ognisku... – Albo i co minuta. Czasem złodziej ucieka, czasem nie. Co w tym dziwnego?

– Dorwali go w realu – oznajmia Jeżyk.

– Oho, zamachnął się widać na coś poważnego.

– Aha. Tylko w realu też był martwy.

Powoli unoszę głowę, opuszczam łyżkę, wycieram usta serwetką. Staruszek przez ten czas napełnia kieliszki.

– Za spokój duszy sługi bożego, Padliny, hakera gruboskórnego, ale nie pozbawionego talentu, o dobrym sercu... – mamrocze szybko Jeżyk. Wypijamy, nie stukając się.

– Padlina...

– Tak na niego mówili. O świeckie imię nie pytałem.

– A co na to policja? – Przewisko nic mi nie mówi. Ale sam fakt... człowiek, zabity w Głębi, umarł naprawdę!

– Mówią że to przypadek. Że może miał słabe serce, że się zdenerwował i umarł. Co w tym dziwnego?

Wzruszam ramionami. Różnie to bywa.

Jeden po hulance w Głębi dostanie zawału w realu. Inny wpadnie w taką depresję, że zdejmie hełm i zamiast niego założy pętlę. Wszystko może się zdarzyć.

– Życie – zgadzam się. – Posępna historia, staruszku.

– Pewnie, że niewesoła... mówią jeszcze, że policja ciągle jest na nogach.

Bardzo ciekawe.

W różne rzeczy się bawiłem. Na mnie też polowali, za moją głowę też dawali nagrodę. Skończyłem z tym wszystkim – niech się młodzi bawią.

Ale jeśli hakera dorwali zarówno w Głębi, jak i w realu, a polowanie trwa... – Interesujące – mówię. – Nawet bardzo. Dziękuję, Jeżyk. Zaciekawileś mnie.

– Czy moja historia warta jest parszywego dolara? – pyta chytrze staruszek.

Oczywiście, jego opowieść nie jest żadną tajemnicą. Tego wszystkiego mógłbym się dowiedzieć innymi kanałami... gdybym szukał takich informacji. Ale nie sposób poznać wszystkich nowin – na szczęście i niestety. A praca Jeżyka polega na wyszukiwaniu ludzi, którym chce coś konkretnego opowiedzieć. Prawie wszystkim siedzącym tu gościom ta historia byłaby obojętna. Reszta wysłuchałaby i zapomniała...

A mnie z jakiegoś powodu zainteresowała.

– Warta, staruszku – zgadzam się. Podaję mu dolara.

Jeżyk zręcznie chwyta i oddala się. Pewnie zaraz komuś coś opowie... czy to nie wszystko jedno



co? Dla każdego znajdzie się coś interesującego... Jeżyk nie jest alkoholikiem, tylko zawodowcem najwyższej klasy.

Dlatego jest dla nas wszystkich taki cenny, począwszy od gości, a skończywszy na właścicielu Car Ryby.

Tymczasem niosą mojego szczupaka.

– Jak to się przygotowuje? – pytam, patrząc na potężną rybę.

– Nasz szef kuchni – uśmiecha się kelnerka – był dumny, że może wykonać tak interesujące zamówienie. Z mięsa szczupaka sporządza się farsz razem z wymoczoną w mleku bułką...

Słusznie. Skoro nie próbowałem tego dania, dobrze jest wiedzieć, co właściwie będę jeść.

I w tym momencie świat drga jak podczas trzęsienia ziemi i zapada w ciemność.

No i już po jedzeniu...

– Lonia!

Pokręciłem głową, zamrugałem. Świat nabierał barw powoli i niechętnie.

– Lonia, jesteś tu?

Vika patrzy na mnie z lekką ironią. Mój hełm wirtualny trzyma w ręku, nie wyjmując nawet kabla, w Głębi nadal przesuwają się jakieś obrazki.

Najpierw popatrzyłem na monitor. Napis Nienormatywne wyjście z Głębi mnie nie dziwi. Ale godzina...

Piąta po południu. Do licha, przecież mogłem być jeszcze w pracy!

– Vika, nie rozumiem...

– Lonia, zapomniałeś? – Vika przykucnęła przed fotelem. – Zapomniałeś? Mamy dziś gości. O szóstej. U nas. Goście. W realu.

– Cholera... – przygryzłem wargę. Rzeczywiście, zapomniałem. – Komp, wyjście!

– Zakończyć pracę?

Vika westchnęła, wstała i poszła do kuchni. Zacząłem zdejmować kombinezon wirtualny. Komputer poczekał jeszcze chwilę, potem wyłączył monitor i siebie.

Tak... zakończyć pracę. Kiedyś zapytałby mnie głosem tak podobnym do głosu mojej Viki: „Poważnie?”

Bardzo poważnie.. Stałem się taki poważny, że aż mi głupio.

– Co kupić? – krzyknąłem.

– Przypomnij sobie.

– Ziemniaki, włoszczyzna, pomidory, ogórki...

– Zgadłeś. Przypomnij sobie, co jeszcze.

– Kurczaka? – rzuciłem na chybił trafił.

– Mięso już rozmrażam. Zrobię kotlety. Kup olej roślinny, skończył się. No i wiadomo co jeszcze.

– Będiesz piła wódkę?

Czasem Vika lubi napić się wódki. W zależności od nastroju.

– Raczej nie – odpowiedziała po chwili zastanowienia. – Weź dla mnie butelkę wytrawnego wina. Albo piwo.

– Co wolisz?

– Wszystko jedno. I pospiesz się, dobrze?

Tak, nieładnie wyszło. Wczoraj ustaliliśmy, że skoro mają przyjść goście, zacznę przygotowania, zanim Vika wróci z pracy. A potem włożyłem hełm i zanurkowałem.

I zupełnie zapomniałem o naszej rozmowie.

Na ulicy było zimno. Wietrznie, mokro, nieprzyjemnie. I chociaż nie ma jeszcze mrozu, a liście na drzewach są zielone, przenikliwa jesienna wilgoć już zadomowiła się w powietrzu. Wystarczy wyjść na zewnątrz i spada na człowieka, wpełza pod sweter, sprawia, że się kulisz z zimna.

Vika bez trudu przekonała mnie, że w porównaniu ze zgniłą pogodą Petersburga Moskwa to niemal tropik. Osobiście też nie jestem zachwycony klimatem północnej stolicy, ale w ciągu tych dwóch lat po przeprowadzce złotej jesieni Puszkina jeszcze nie widziałem.

Pewnie w niebiańskiej kancelarii nastąpiło ostateczne rozprężenie. Przez całe lato deszcz, przez całą jesień zimna wilgoć. Żeby już przyszła zima.

„Jak ci się podoba rosyjska zima? Ta zielona jeszcze całkiem, całkiem, ale ta śnieżna...”

Machając pustą siatką, ominąłem dom i wszedłem do sklepu. Ziemniaki... pomidory... marchewka, a może niepotrzebna? A, co tam, nie zepsuje się.

Po warzywa ustawiła się nieduża kolejka, normalni ludzie właśnie wracali z pracy. Stałem za ładną okularnicą. Dziewczyna czytała samouczek języka ada. Proszę, proszę! Może nawet zagłąda do Głębi. Dorabia sobie jako tragarz albo listonosz...

Zaczeplanie dziewcząt w realu jest nie w porządku. Zwłaszcza gdy ma się ukochaną żonę. Tylko w wirtualności romanse są wybacalne.

Tym bardziej dziwne byłoby zawieranie znajomości w kolejce po kartofle...

– Dwie cytryny – mówi dziewczyna.

Przyłapałem się na tym, że przyglądam się jej z ciekawością. I że podoba mi się to, co kupuje. Dwie jasnożółte cytryny, a nie dwa kilo brudnych ziemniaków czy główkę kapusty! Mogę sobie wyobrazić, jak siedzi w fotelu, oczywiście pod lampą, pije herbatę z cytryną i czyta... nie, już nie podręcznik, ale jakąś dobrą książkę. Poważną, prawdziwą, nie beletrystykę.

Albo jak kroi cytrynę na plasterki, posypuje cukrem i kawą nalewa do malutkich kieliszków koniak i czeka... na kogoś. Na przykład na mnie.

Ale się rozmarzyłem...

– Słucham pana.

Sprzedawca patrzy na mnie. Zabawnego mamy w warzywniaku sprzedawcę, typowy inteligent, który w czasach radzieckich przeszedł do handlu i tam odnalazł swoje miejsce.

– Dwie cytryny – mówię posępnie.

Dziewczyna jeszcze nie wyszła, wciska cytryny do kieszeni kurtki.

– Coś jeszcze? – Cytryny jak żywe skoczyły na wagę i przeleciały do mojej torby.

– Trzy kilogramy ziemniaków. Kilogram tomatów. Co się ze mną dzieje? Po cholere nazwałem pomidory tomatami? Nigdy w życiu nie mówiłem takich głupot!

– Będzie pan brał coś z roślin okopowych? A może z psiankowatych?

Twarz sprzedawcy pozostaje uprzejma i dobrodusznna.

– Bardzo dobry ten facet... – mamroczę. – Jeszcze kilogram ogórków. To wszystko. Dziękuję.

Gdy zapłaciłem i odszedłem od lady, dziewczyny już nie było.

I bardzo dobrze.

Kiedyś widząc na ulicy interesującą twarz albo po prostu zabawną scenkę, albo nawet taki drobiazg, jak te dwie cytryny, wiedziałem, że to zostanie ze mną. Miałem przecież swój dom... wysoki, wielopiętrowy blok. Nie w realu, w wirtualności. I mogłem ulokować w nim, kogo chciałem.

Przyszedłbym do domu, powiedział do komputera: „Vika, zanurzenie...”, przywołał w pamięci twarze i gesty, wyobraził sobie to, czego nie wiedziałem. Umieblowałbym mieszkanie dla tej dziewczyny...

Nie warto żałować przeszłości. A tym bardziej małego mieszkania, gdzie w zlewku tygodniami zalegały brudne talerze, w lodówce tkwiły mrożone pierogi, tekturowe parówki i piwo, a o wyborze koszuli decydował stopień pogniczenia...

Nie żałuję.

Olej i wódkę sprzedawano w jednym stoisku. Chwilę stałem, podejrzliwie oglądając butelki. Krystall jest lepszy, topaz tańszy... wybór był prosty – kupiłem jedno i drugie. Goście na pewno też przyniosą alkohol, ale wódki nigdy za dużo.

Można wrócić. Algorytm pokonany, program zakończony.

Return End.

Czasem przyłapuję się na tym, że wszystko, co trzeba zrobić w prawdziwym, ludzkim świecie, rozbijam w myśli na etapy, linijki prymitywnego programu. Za to w Głębi żyję zwykłym, normalnym ludzkim życiem. Po prostu żyję.

Pewnie należałoby opowiedzieć o tym Vice. To jej specjalność... jej pole walki. Ale nic jej nie mówię. Wstydzę się.

Wszedłem ze sklepu, zerknąłem na niebo. Szare chmury. Lada dzień spadnie śnieg. Mógłby już spaść. Nie ma nic gorszego od brzydkiej pogody, bułgarski pisarz miał rację.

A przecież to też symptom. Wyraźny i niebezpieczny. Nie chcę wychodzić z wirtualności. Nie chcę pojawiać się w normalnym świecie. Tutaj jest źle, brudno i nieprzyjemnie. Czasem tu zabijają.

Zresztą, jeśli wierzyć Jeżykowi, nie tylko tutaj.

Padlina... Spokój jego duszy, duszy uczciwego hakera.

Kiedyś mogłem się uśmiechać na widok hakerów. Byłem im równy, nawet stałem trochę wyżej. Przecież ich było dużo, a nas mało. I my potrafiliśmy to, co dla nich było niedostępne.

Skończyły się tamte czasy.

To nawet nie jest takie okropne. Nie jestem pierwszym człowiekiem, którego zdolności stały się społecznie nieprzydatne. Gdzie jesteście teraz, wirtuozi linotypów, gdzie jesteście, rymarze, i wy, dmuchacze szkła? Odeszliście w przeszłość, do książeczek z obrazkami, do historycznych filmów, na karty encyklopedii.

Po nas nie zostało nawet tyle.

Ale pewnie jestem jedynym z nurków... byłych nurków... który zapadł na psychozę Głębi w najcięższej formie. Na tyle ciężkiej, że nawet Vika nie widzi, co się ze mną dzieje.

Nie mogłeś sobie otworzyć? – pyta Vika. Jest w fartuchu, ręce ma w mięsie. Oderwałem palec od dzwonka, jak dziecko, które zadzwoniło do obcych drzwi i zostało przyłapano na psocie.

– Zapomniałem klucza.

– Zanieś wszystko do kuchni...

Vika wróciła do kotletów – pierwsza partia już się smażyła. Pospiesznie wysypałem warzywa do szuflady lodówki, włożyłem wódkę do zamrażalnika, olej postawiłem na stole.

– Pomóc ci? – zapytałem.

Vika zerknęła spode łba na mnie, potem na zegarek.

– Nie trzeba. Zanurkuj, jeśli chcesz. Tylko ustaw timer na pół godziny, nakryjesz do stołu.

Poczułem się nieswojo i zrobiło mi się wstyd. Ale tylko na moment.

– Naprawdę nie trzeba ci pomóc? – zabezpieczyłem się.

– Skoro nalegasz... – Vika nie dokończyła, uśmiechnęła się. – Idź nurkować. Ziemniaki sobie sama obiorę...

– To dobrze – Wyskoczyłem z kuchni. Pół godziny. Timer. Nakryć do stołu.

Komputer ożył, gdy dotknąłem myszy. Monitor jeszcze nie zdążył się nagrzać, gdy wciągnąłem kostium, podłączyłem kabel do gniazdka na pasie, włożyłem hełm.

Palce przebiegły po klawiaturze.

Deep Enter.

I szalona tęcza, zrodzona przez przypadkowego geniusza Dmitrija Dibienkę, zapłonęła na ekranach hełmu wirtualnego.

Cała rzecz w tym deep programie. W tym chaotycznym migotaniu barw, w zapalających się i gasnących gwiazdach, tęczowych kroplach rozplływających się po ekranikach jak bryzgi benzyny na wodzie. Bez niego Głębia jest martwa. To deep program przemienia schematyczny wirtualny światek w dotykálną i przekonującą rzeczywistość. Nikt do tej pory nie zdołał wyjaśnić, jak oddziałują na świadomość i podświadomość kolorowe błyski na ekranie, dlaczego deep program działa na dowolnym komputerze, na każdej niemal karcie graficznej. Dlaczego wyobrażone detale wirtualnego świata tak są podobne u ludzi różniących się pod względem wieku, płci i kultury? Wydano tysiące monografii i książek popularnonaukowych, publikowano artykuły w gazetach i czasopismach, w laboratoriach akademickich i tajnych laboratoriach prowadziło się i prowadzi eksperymenty...

Wszystko na próżno... Jest deep program i działa. Inne programy rodzą niemal ten sam obrazek na monitorze, ale nie dają tego samego efektu. I nikt nie umie wyjaśnić, dlaczego oddziałujący tylko na wzrok deep program doskonale sprawdza się w przypadku daltonistów, ale nigdy nie zagra u ludzi z wrodzoną głuchotą.

Głębia...

Pierwszy moment jest zawsze najtrudniejszy. Wstaję z fotela, już nie przywiązany kablami. Rozglądam się...

Pokój w tanim hotelu. Można by nawet powiedzieć dosadniej – nora w postradzieckim hoteliku.

Łóżko, szafka, szafa. Stół z komputerowym terminalem i obrotowy fotel to jedyne szczegóły nie pasujące do ascetycznego wnętrza. Drzwi, na nich skrzynka pocztowa, obok postawiony zapobiegliwie kosz na śmieci. Okno, za nim ulica, pusta i smętna.

– Cześć – mówię.

Głębia milczy. Bez łaski. Nie obrażam się.

Po co tu przyszedłem? Właśnie teraz, gdy Vika, która dopiero co wróciła z pracy, krząta się w kuchni, przygotowując obiad dla gości – nie tylko jej, ale i moich gości, powiedzmy sobie szczerze. Gdy mam raptem pół godziny... cholera, nie ustawiłem timera...

Przecież spodziewała się, że jej pomogę. Odmówiła zaproponowanej rytualnie pomocy, ale na pewno się spodziewała. Przykro jest wiedzieć, że zachowujesz się jak bydlę. To uczucie słodkie i wstrętne, jak cierpienie masochisty.

– Pół godziny – rozkazuję sobie. – Nie, kwadrans.

Otwieram skrzynkę, sprawdzam pocztę. Dziesięć ulotek reklamowych, paczka gazet, trzy listy. Nic ważnego.

Po co się zanurzyłem?

Chciałem pracować?

Śmieszne. Za mało czasu.

Dojeść obiad w Car Rybie?

Po co, skoro czeka na mnie prawdziwe jedzenie?

Pogadać?

Z kim? A przede wszystkim – po co?

Nagle uświadamiam sobie, że stoję na środku pokoju, przygryzam wargę i patrzę na wyrzuconą do kosza pocztę.

Co mnie ściągnęło do Głębi?

Pokój jego duszy, panie...

W Głębi się nie umiera. Oczywiście, wszystko może się zdarzyć. Słabe serce może nie wytrzymać przeciążenia. Jeśli komuś udało się odłączyć łańcuchy kontrolne, to możliwy jest szok bólowy od wymyślonej rany. Ale niepozobawionego talentu hakera raczej to nie dotyczy.

A mnie?

Haker wpakował się na teren chroniony. Został zauważony i zabity – w Głębi. I umarł w realu. Całkiem możliwe, że wysledzili go bardzo szybko; że nasłani bandyci zastali go przy komputerze, w hełmie i kombinezonie. Pewnie tak właśnie było. Nie on pierwszy i nie ostatni poniósł karę za wirtualne grzechy z rąk całkiem realnych, łysych ochroniarzy.

Ale przecież ta wiadomość mnie szarpie i niepokoi...

Otwieram drzwi, Wychodzę na korytarz. Przyglądam się sobie. Szare, niepozorne ciało motocyklisty nadaje się jedynie do szybkiego przemieszczania po ulicach. Teraz potrzebuję czegoś innego.

Jeśli rzeczywiście potrzebuję.

Stoję oparty o pomalowaną na zielono ścianę. Tak się maluje toalety w tanich domach. Farba gdzieś odpryskuje. Żarówki pod sufitem słabe, zakurzone. Hotel czasy świetności ma za sobą, większość ludzi woli wchodzić w Głębię z własnych domów, a nie z takich chlewów.

Co ja tu robię?

Co mnie to wszystko obchodzi?

– Źle się pan czuje?

Odwracam się. Dyżurujący na korytarzu mężczyzna podszedł do mnie bezszelestnie. Irytujący brak czujności z mojej strony...

– Nie, w porządku.

Twarz dyżurnego jest standardowa – „uważny urzędnik”. Wprawdzie nie zabrania się używania ciała własnego pomysłu, ale wielu woli nosić standardowe. Zwłaszcza jeśli praca jest nudna i niemiła, jak praca tragarza, sprzedawcy, pracownika hotelu...

– Jest pan w Głębi po raz pierwszy, potrzebuje pan pomocy?

– Dziękuję. Wszystko gra.

Zrozumiał. Kiwa głową i odchodzi. Nie narzuca się, to nie jest przyjęte, przynajmniej pracownicy to rozumieją...

Trudno się zdecydować. Bardzo trudno. A jednak idę korytarzem, spoglądając na numery krzywo przykręcone do drzwi.

2008. Naciskam delikatnie klamkę. Nie dziwię się, że pokój nie jest zamknięty. Wolne, można się zabawić...

A czego się spodziewałem? Że hotel będzie trzymał dla mnie pokój, za który przestałem płacić rok temu?

Dalej...

2017. Drzwi są zamknięte.

To jeszcze o niczym nie świadczy. Opłacony na pięć lat z góry, ale rąbniętą kartą kredytową. W każdej chwili mogło się wydać, że za ten pokój hotel ściąga pieniądze z własnego konta; oddaliby go wtedy innemu bywalcowi wirtualności. Mogli również powiadomić policję – wystarczyłoby otworzyć drzwi, żeby wpaść w zasadzkę.

W myślach powtarzam sobie to wszystko, a ręce już zajmują się własnymi sprawami. Obmacują drzwi, przesuwają języczek zamka, dotykają klawiszy.

Dwanaście cyfr tworzących kod – już ich nawet nie pamiętam. Ale palce pamiętają. Zwlekam jeszcze chwilę i naciskam enter.

Trzask zamka i drzwi stają otworem.

Pokój jest niemal identyczny jak ten, z którego wchodzę zawsze. Tylko obraz na ścianie zakłóca tanią nudę rzekomej przytulności. To nie standardowa reprodukcja któregoś ze starych mistrzów, które tak lubią wieszać na ścianach w Głębi. To nie marynista Ajwazowski czy Szyszkin z jego lasami ani nie Dali.

Stoję na progu i próbuję wziąć się w garść. W piersi stuka zimny metronom.

Zasadzka czy wszystko w porządku?

Posterunek policji jest naprzeciwko hotelu. Najwyżej dwie minuty.

W korytarzu nadal cicho i pusto. Stróżów porządku ani śladu. Fałszywe wejście przetrwało prawie dwa lata. Dobrze Maniak pracował.

Wystarczy po prostu wejść.

I nagle dociera do mnie, że nie potrafię, że nie zdołam tego zrobić.

Wejść tutaj, to jakby otworzyć stary album ze zdjęciami, jakby wsunąć do magnetowidu na wpeł zapomnianą kasetę. To przeszłość. Martwa. Pogrzebana, opłakana, zapomniana.

Nigdy nie wracaj po własnych śladach. Spotkasz tylko cienie.

Głębia daje taką możliwość jeszcze pewniej niż zdjęcia i wideo. Przeszłość jest zawsze obok. Wystarczy, byś wyraził ochotę, a ona zmartwychwstanie.

Ale tylko Bóg może podnosić umarłych z grobów.

Zamykam drzwi, ostrożnie, troskliwie, jakbym bał się obudzić kogoś śpiącego w pustym pokoju. Rozczarowane szczęknięcie zamykanego zamka. Do mojego pokoju jest dwadzieścia kroków korytarzem, ale nie mogę zrobić ani jednego.

„Głębio, Głębio... nie jestem twój...”

Zdejmuję hełm i wieszam go na haczyku, który kiedyś w tym celu zamocowałem na ścianie. Mamroczę:

– Komputer, wyjście.

Tak, trzeba się przebrać... powitanie gości w wirtualnym kombinezonie przypominającym strój szalonego profesora z hollywoodzkiego filmu nie byłoby uprzejme. Rozebrałem się do slipek, złożyłem starannie kombinezon, położyłem na parapecie obok biurka. Zerknąłem na stół w pokoju gościnnym – już nakryty. W kuchni było cicho.

– Vika! – zawołałem.

– Jestem w sypialni... Już?

Zignorowałem udawane zdumienie w jej głosie i wszedłem do sypialni. Vika się przebierała.

– Zapnij...

Pomogłem jej zaciągnąć suwak sukienki. Vika naprawdę ładnie wyglądała. Nawet zrobiła sobie nowe uczesanie.

– Długo tam byłem? – zapytałem cicho i wtuliłem twarz w jej włosy.

Vika wzruszyła ramionami.

– Niespecjalnie. Ze czterdzieści minut.

– Przepraszam. Wydawało mi się, że najwyżej kwadrans.

– To nic, myślałam, że ci zejdziesz dłużej.

Nadal trzymałem ręce na jej ramionach.

Kiedy między nami wszystko się popsuło? Kiedy stało się przeszłością, do której można zajrzeć, ale nie sposób wrócić?

Nie wiem. Nie mogę zrozumieć. I nie zauważyłem... z Głębi.

Najbardziej przykre było to, że zewnątrz nic się nie zmieniło – ani w naszym zachowaniu przy ludziach, ani gdy byliśmy sami. Nie kłócimy się, nie tłuczemy naczyń, nie walczymy z powodu pieniędzy, obowiązków domowych, alkoholu, wizyty mamy Viki czy przyjscia moich kumpli.

Wszystko jest okay. Dziewięćdziesiąt procent rodzin mogłoby nam pozazdrościć.

Nie umiem nazwać słowami tego, co minęło.

– Chcesz coś powiedzieć? – pyta Vika, nie odwracając się.

– Kocham cię.

– Ja też cię bardzo kocham. Jak myślisz, włożyć kolczyki?

– Jasne... – Nie mogę zrozumieć, co tak naprawdę tkwi w tym pytaniu: unik przed moimi wyświechtanymi i niepotrzebnymi słowami czy wycucie mojego nastroju... kolczyki z żółtymi topazami podarowałem jej przed ślubem.

– Będą pasowały do niebieskiego?

– Myślę, że tak.

– Dobrze. Włóż szare dzinsy i koszulę w kratę. Tę, którą dostałeś od mojej mamy. Ładnie ci w niej.

Vika wyśliznęła się z moich dłoni, lekko i bez przymusu. Jeszcze przez chwilę obejmowałem powietrze, potem otworzyłem szafę. Dzinsy były całkiem nowe; odgryzłem plastikową nitkę z metką.

– Nie wymyślili jeszcze nożyczek? – pyta z wyrzutem Vika.

– Nie. Dla leniów noże i nożyczki są zawsze dalej niż własne zęby.

W przedpokoju brzęknął dzwonek.

– Ubieraj się szybko, ja otworzę. – Vika wyskoczyła z sypialni, rzucając w biegu: – Nie zapomnij zmienić dywanów.

– I umyć uszu... – mruknąłem, wciskając się w zbyt wąskie, nie roznoszone dzinsy. Gdzie ta cholerna koszula? Gdybym jej nie włożył, obraziłbym teściową, czyli obraziłbym Vikę, czyli...

Dowolny postęp, nieważne, czym spowodowany, pociąga za sobą łańcuch następstw. Jakich – to zależy nie od postępu, tylko od stosunku innych do ciebie.

– Dziękuję, Andriej... – dobiegło z przedpokoju. Zapiąłem koszulę. Kołnierzyk cisnął, ale może rzeczywiście nieźle w niej wyglądam...

Nie usłyszałem, co odpowiedział Andriej Niedosiłow. Zawsze mówił łagodnie i cicho.

– Nie zabłądziłeś? – spytała Vika. Andriej był u nas po raz pierwszy.

– To ja zabłądziłem – szepnąłem. – W samym sobie.

– Lonia!

– Idę! – Włożyłem koszulę w spodnie i wyszedłem na korytarz. Kiedyś bardzo lubiłem Andrieja. Jest psychologiem, kolegą Viki, zajmuje się badaniem Głębi i wszystkich związanych z nią fenomenów. A teraz... Teraz sam nie wiem.

– Dobry wieczór, Leonid. – Andriej przywitał się tak, jakbyśmy się rozstali przed południem, a nie rok temu na dworcu Moskiewskim w Petersburgu, gdy wyjeżdżaliśmy z Wiką. W jednym ręku trzymał zawiniętą w celofan różę, w drugiej butelkę jakiegoś likieru.

– Nie zabłądziłeś? – powtórzyłem pytanie Viki.

– Wszystko w porządku. Bardzo tu u was ładnie – obrzucił spojrzeniem przedpokój. – Czuje się rodzinne ciepło i przytulność.

Andriej należy do dużych ludzi tego ciężkiego i łagodnego typu, których można sobie łatwo wyobrazić w masywnym fotelu albo na trybunie przed przycichłym audytorium, ale nie sposób za sterem czy z młotkiem. Andriej podejrzanie szybko budzi w ludziach zaufanie i szacunek – już pierwszymi słowami, wypowiedzianymi cichym, lecz pewnym siebie głosem.

– Wchodź – proponuję. – Jesteś sam?

– Moi chłopcy trochę się spóźnią. – Andriej robi dziwny gest, jakby chciał poprawić nieistniejące okulary. Z takich właśnie drobnych szczegółów skonstruowany jest jego wizerunek: chytre



leninowskie zmrużenie oczu, olśniewający uśmiech Gagarina, powściągliwy smutek Leonowa. Każdy niezwykły człowiek tworzy sobie – świadomie lub nie – własną aurę: ruchem, mimiką, intonacją. I niesie ją jako sztandar własnego uroku.

– Jak kongres? – pyta Vika, zabierając od niego butelkę i kwiaty. – Lonia, przynieś ten wysoki wazon...

– Bardzo interesujący. – Niedosiłow zaczął się rozbierać. – Witia Arhontow miał ciekawy wykład...

Poszedłem po wazon, jednym uchem słuchając sprawozdania z kongresu.

– Marek Petrowski cały czas rozwija swój stary temat... obawiam się, że w ciągu ostatniego roku do niczego nowego nie doszedł, ale statystykę ma naprawdę interesującą...

Wazon jest zakurzony. Kiedy ostatni raz dawałem Vice kwiaty? Ósmego marca... nie, potem jeszcze w lecie... wracałem ze sklepu, staruszka sprzedawały mieczyki, pewnie z działki, tanio...

– Bagrianow i Bogorodski nieźle się napracowali, początki były trudne, ale rezultaty obiecujące...

Przyłapałem się na tym, że stoję bez ruchu i powoli wycieram wazon. Można być dumnym z pokrytej kurzem butelki wina, ale na pewno nie z zakurzonego wazonu...

– Płotnikow ciągle w formie... wiele osób go krytykuje, a ja uważam ten kierunek za perspektywiczny...

Interesujące, zajmujące, obiecujące, perspektywiczne. Etyka zawodowa, powściągliwość i solidność.

– Wiktorio, dlaczego odmówiłaś uczestnictwa w kongresie? Przecież wysłali ci zaproszenie, prawda?

– Teraz to już nie mój profil, Andriusza... sam wiesz. A jak twój referat?

– Nie mnie go oceniać...

Weszli do pokoju. Przestałem zajmować się głupstwami, poszedłem z wazonem do łazienki.

– Jaki miałeś temat?

Vika udawała obojętność, ale nie mogła ukryć chciwego zainteresowania w głosie. Andrieja nie szuka.

– *Neomitologia na przykładzie legendy o nurkach w subkulturze przestrzeni wirtualnej*. Badano już ten fenomen, ale, niestety, zbyt bezkrytycznie...

Zawahałem się, jednak poszedłem do łazienki. Odkręciłem wodę, podstawiłem wazon pod ciepły strumień. Kryształ brzęknął, uderzając o mosiężny kran, ale wytrzymał.

Legendy o nurkach?

Wylałem mętną wodę, znowu napełniłem wazon i wszedłem do pokoju. Może zbyt zamaszycie, lecz Andriej i Vika nie zwrócili na mnie uwagi.

– Teraz badania są kompletne?

– Na razie tak. – Niedosiłow już siedział na kanapie; kręcił się, moszcząc wygodniej. Z ludźmi zżywał się momentalnie, z przestrzenią – nie. Są ludzie, którzy wchodząc do cudzego domu, od razu stają się jego częścią – bez względu na to, czy to luksusowy salon, czy zagracony pokój w mieszkaniu komunalnym. Andriej do nich nie należał. Pewnie pasował jedynie do swojego mieszkania. – Zebrałem cały istniejący materiał o tak zwanych nurkach...

Zerwałem celofan z róży, włożyłem ją do wody. Vika zerknęła na mnie z niepokojem, wzięła

wazon i zmieniła się na twarzy.

– Lonia, zwariowałaś? Przecież to wrzątek...

Skoczyła do przedpokoju, w biegu wyszarpując nieszczęsny kwiatek.

Usiadłem obok Andrieja. Bez słowa otworzyłem butelkę wódki i zerknąłem pytająco na gościa.

– Jeśli pozwolisz... – Nidosiłow otworzył swój likier, jakiś irlandzki, śmietankowy, i nalał biały mętny płyn do kieliszka. – Wiktorio, co będziesz piła?

– Biorąc pod uwagę, że mamy tylko wódkę – powiedziała Vika, wchodząc – to likier.

Cholera. Zapomniałem, że prosiła o wino albo piwo.

– Vika, nie było nic porządnego... – wymamrotałem.

– Nie szkodzi. – Stawiając różę na środku stołu, machnęła ręką. – Na szczęście Andriej się domyślił.

Stuknęliśmy się kieliszkami. Przełknąłem słabo schłodzoną, ale znośną wódkę i spróbowałem wyobrazić sobie następne toasty.

Za gospodynię. Za gospodarza. Za gościa i jego pracę naukową. Za kraj i naród... nie, najpierw za zdrowie obecnych, potem za kraj i naród. Potem za naszą rewizytę.

I tak chyba przeceniam Andrieja – nawet słabiutkiego likieru wypije najwyżej cztery kieliszki. Kraj i naród mogą się wyluzować, nie dojdziemy do nich.

– A jak wasza praca? – zapytał Nidosiłow, zakąszając likier sałatą z oliwą.

Pytanie odnosiło się chyba do mnie i do Viki. Popatrzyliśmy na siebie.

– Normalnie – odparła Vika. – Rozwój przestrzennego i obrazowego myślenia u uczniów klas młodszych, pisałam ci. Użytkowanie Głębi jako metody korekcyjnej w zakłóceniach percepcji...

– To niedługo praca doktorska? – zapytał rzeczowo Andriej.

– Aha – odparła lekko Vika.

– Koniecznie zaprosz mnie na obronę! Napiszę ci dobrą recenzję.

– A jeżeli ci się nie spodoba? – zapytała przekornie Vika.

– Mnie miałyby się nie spodobać twoja praca? – zdumiał się Nidosiłow. – Przecież znam twój poziom! Leonid, a jak twoje sprawy?

– Pracuję w dużej firmie w Deeptown – powiedziałem. – Specjalista od operacji transportowych.

Andriej skinął głową.

– Tragarz – sprecyzowałem.

Nidosiłow uśmiechnął się. Chyba uznał to za dowcip.

– Andriej, powiedz mi, jak to właściwie jest z tymi nurkami? – zapytałem. – Istnieją czy nie?

Psycholog chyba już poczuł się swobodniej na kanapie.

– Widzisz, Leonid – westchnął – biorąc za punkt wyjścia świat rozumiany jako ogół bazowych wyobrażeń społeczeństwa i towarzyszących mu subkultur wielu socjalnych mikrośrodków, istnieje absolutnie wszystko. W prawdziwość Kościeja Nieśmiertelnego czy Baby Jagi też nie sposób wątpić, jeśli traktować te postacie w kontekście konkretnej historycznej czy kulturowej sytuacji. Czym tak naprawdę jest mitologia? Wniesieniem w świat brakujących komponentów, ożywających w ludzkiej świadomości, a niemających odpowiednika w materialnej rzeczywistości. Zgadzasz się?

– Tak.

Vika zerknęła na zegarek, wstała i wyszła do kuchni, uprzedzając:

– Zaraz będą kotlety.

– A więc... – Andriej chyba powtarzał fragmenty swojego dzisiejszego referatu – w celu stworzenia pełnowartościowego, żywego, właśnie żywego mitu potrzebne są następujące warunki. Po pierwsze, społeczeństwo, albo chociaż jego zorganizowana i stabilna część, musi potrzebować tego mitu. Czy ten czynnik istniał w początkowym etapie powstawania rzeczywistości wirtualnej? Oczywiście... w związku z niedoskonałością programowego i technicznego oprzyrządowania. Liczne incydenty wymagały stworzenia mitu o zbawcach, nurkach, którzy znajdą, pomogą, obronią... Po drugie, powinny się ujawnić takie czy inne realne przejawy aktywności postaci mitologicznych. Zeus był realny dla starożytnych Greków dlatego, że każdy widział błyskawice.

– To znaczy, że nurków też widziano?

Niedosiłow pogroził mi palcem.

– Nie nurków! Zaobserwowano wydarzenia, które można było im przypisać. Zdarzało się, że w sytuacji gdy zwykły człowiek nie mógł własnoręcznie wyjść z wirtualności, niektórzy wychodzili. Jak to mogło zostać odebrane? Wyłącznie jako potwierdzenie istnienia szczególnego rodzaju ludzi, całkowicie kontrolujących swoją świadomość i nietracących kontaktu z rzeczywistością!

– A jak ty byś wytłumaczył te wypadki?

Andriej zaśmiał się cicho.

– Leonid... przecież to takie proste! Wiem, że regularnie bywasz w świecie wirtualnym, choćby w Deeptown, i przywykłeś do jego slangu, kultury, mitów... lecz spróbuj odciąć się od tego wszystkiego i podejść do problemu z punktu widzenia normalnego, rozsądnego człowieka!

– Ciężko będzie, ale spróbuję... – Nalałem sobie wódki. Z kuchni dobiegały odgłosy krzątania. Wypiłem szybko i odstawiłem kieliszek na miejsce. Andriej taktownie udał, że nic nie zauważył.

Albo rzeczywiście nie zauważył.

– Początkowo poszedłem fałszywym tropem – przyznał samokrytycznie Niedosiłow. – Założyłem, że kilku pomysłowych młodych ludzi narysowało na swoich wirtualnych ubraniach specjalne guziki wyjścia. Gdy naciskali je w wirtualności, w rzeczywistym świecie dawali komputerowi komendę wyjścia.

– Nic z tego – stwierdziłem. – Możesz sobie narysować tysiąc guzików, każdy na innej części ciała. Ale świadomość pod działaniem deep programu nie uwierzy w ich istnienie. Głębia to przecież nic innego, jak słodka iluzja. Słodsza od heroiny. Będziesz wciskał guzik wyjścia, a w rzeczywistości nie wybierzesz żadnej komendy. Wiesz dlaczego? Gdybyś to zrobił, przyznałbyś Głębi nierealność. Szczur, któremu wpakowano elektrody w ośrodek przyjemności, nie przegryzie przewodu. Będzie naciskał na pedał, aż umrze z wyczerpania. Ludzie pod tym względem nie różnią się od szczurów.

– Zgoda, zgoda! – Andriej uniósł ręce. – Ale ja konsultowałem się z wybitnymi specjalistami świata wirtualnego, którzy bywają tam po kilka godzin dziennie!

Przełknąłem chichot. Kilka godzin... Gdy poznajesz ludzi, którzy chwalą się, że mogą wypić szklankę wódki, masz ochotę oznajmić, że ty wypijasz butelkę. Tylko... jakoś wstyd.

Ile lat przeżyłem, wychodząc z Głębi na kilka godzin dziennie?

– Błędny rezultat jest nie mniej cenny niż prawdziwy – zauważył pouczająco Andriej. – Zacząłem głębiej badać kwestię Głębi, wybacz tę grę słów. Jeśli czynnik techniczny nie daje odpowiedzi,

należy poszukać jej w czynniku ludzkim...

– Tak – ożywiłem się. – Naturalnie. Fenomen nurków był właśnie „ludzki”. Oni po prostu czuli granicę pomiędzy fantazją a rzeczywistością.

Niedosiłow ze smutkiem pokręcił głową.

– Opowiadasz legendy. A wiesz dlaczego? Wierzysz w mit o bohaterach samotnikach.

– Nie rozumiem – powiedziałem szczerze.

– Nurkowie zawsze pracowali parami – oznajmił ze skąpym uśmiechem Andriej.

– Tak, to się zdarzało. – Przypomniałem sobie Romka, skrzywiłem się i sięgnąłem po butelkę. – Ale zasadniczo byli strasznymi indywidualistami i...

– Mit! – zawołał triumfalnie Niedosiłow. – Mit! Nurkowie, tak zwani nurkowie stawiali właśnie na ludzki pociąg do indywidualizmu. Ale sami zawsze pracowali z partnerem. Jeden przebywał w przestrzeni wirtualnej... – Andriej zawiesił głos – a drugi siedział obok, obserwując, co dzieje się na monitorze, i w razie konieczności dając komendę wyjścia!

– Ale... – zamilkłem, próbując wyobrazić sobie podobny schemat.

– Rozumiesz? – Niedosiłow przez chwilę miał chyba ochotę poklepać mnie po ramieniu, ale niechęć do kontaktu fizycznego była u niego wyższa niż u Japończyków, nawet dłoń zawsze ścisnął pospiesznie i lekko. – Cały sekret nurków polegał na pracy parami!

– Widzisz, Andriej, ich praca była tego rodzaju, że... – zamilkłem. Niewłaściwy argument. Jak mu to wyjaśnić, cholera. – Andriej, przecież byłeś w Głębi?

– Oczywiście, że nie – odparł Niedosiłow z nutką zdumienia w głosie. – Jestem badaczem, Leonid. Uczonym, a nie królikiem doświadczalnym.

Przełknąłem „królika doświadczalnego” i kontynuowałem:

– W takim razie uwierz mi na słowo, że taka praca, jaką opisuje twój schemat, nie da absolutnie nic. Obraz na ekranie komputera ma niewiele wspólnego z tym, co widzisz i czujesz, znajdując się tam. Żaden, najbardziej nawet uważny i mądry partner nie zdoła pojąć, co się tam z tobą dzieje i że właśnie musisz wyjść z Głębi.

– Tak ci się tylko wydaje, Leonid – uśmiechnął się Andriej pobłaźliwie. – A ja rozmawiałem ze specjalistami. Oni są przekonani, że tak to właśnie wyglądało. Mało tego, eksperymenty potwierdziły, że schemat działa.

– W poszczególnych przypadkach... tak, to niewykluczone. – Nie próbowałem kłócić się z jego prawdą. Moja była dokładnie odwrotna, lecz to jeszcze nic nie znaczyło. – Ale nie we wszystkich, zapewniam cię! Tym bardziej, że nie można porównywać dzisiejszej Głębi do tej, która była wówczas! Dwa lata temu większość ludzi wchodziła do Deeptown przez linię telefoniczną, przez modem. Szybkość przekazu była niewielka, obraz świata na monitorze minimalny. Jak sądzisz, po co stworzono te wszystkie kompanie transportowe, na przykład Deep Przewodnik?

– Dla wygody przemieszczania się w wirtualności – odparł spokojnie Andriej.

– Otóż nie! Po prostu przedtem, gdy jechałeś taksówką, komputer pospiesznie ładował dane o tym punkcie, do którego miałeś dojechać. Teraz odbywa się to znacznie szybciej. Wcześniej po Deeptown podróżowało się bez pośpiechu, a im gorszy miałeś komputer i linię telefoniczną, tym dłużej jechało się z jednej punktu do drugiego...

– Bardzo interesujące. – Niedosiłow skinął głową. – Wezmę to pod uwagę. Ale ogólnie nie masz racji.

– Dlaczego?

– Ponieważ tkwisz w niewoli mitu! Pod tym względem wychodzi z ciebie romantyk. Nie ma w tym nic obraźliwego, romantyzm to nic złego. Nurkowie oczywiście istnieli, ale jako mit. Jako element środowiska. Jako symbol. W jakimś stopniu nawet fizycznie, jako zgrana grupa hakerów. To wszystko. Weźmy pod uwagę choćby najstojniejsze legendy o nurkach. Te, które powstały pod koniec początkowego okresu osuwania wirtualności, w złotej erze wirtualnego mitotwórstwa. Legenda o moście z końskiego włosa, o czarodziejskim jabłku Al Kabaru, legenda o Nieudaczniku, legenda o Labiryncie Śmierci...

– Legenda? – powtórzyłem tępo.

– Chłopcy!

Popatrzyliśmy na Wikę.

– Nie kłóćcie się, dobrze? – Vika postawiła przed nami talerze. – Lepiej zjedzcie coś przed następnym kieliszkiem. A ty, Lonia, nalej mi wódki.

– Przecież miałaś pić likier.

– Zmieniłam zdanie.

Popatrzyliśmy sobie w oczy.

Wszystko słyszała. Albo prawie wszystko. I wie, co teraz czuję.

My to rozumiemy.

Bez względu na okoliczności.

– Dziękuję, Vika – powiedziałem. – Jakoś nie mam ochoty pić wódki sam.

Zdążyliśmy wypić, gdy do drzwi ktoś zadzwonił.

Była mniej więcej jedenasta w nocy, gdy stałem na balkonie z Wasią i Wołodią, młodszymi aspirantami Niedosiłowa. W ręku miałem pełny kieliszek, w głowie szum, w duszy pustkę.

– I co otrzymujemy w rezultacie? – dobiegał z pokoju głos Niedosiłowa. – Jak się przekonaliśmy, niewykwalifikowani programiści słynnego centrum rozrywki Labirynt Śmierci dopuścili do tego, że serwer padł. Przyznanie się do popełnienia błędu pociągnęłoby za sobą grube nieprzyjemności. Najwygodniejsza jest wersja, że wszystkiemu zawinił nurek. Gdyby przeanalizować pozostałe mity, zrozumielibyśmy, że u podstaw każdego z nich leży brak kompetencji i profesjonalizmu oraz zarozumiałstwo. W średniowieczu za przyczynę epidemii wygodniej było uznać działalność wiedźm, niż strumienie fekaliów płynące ulicami miasta. W naszych czasach kozłem ofiarnym stali się nieistniejący nurkowie...

Zaciągnąłem się głęboko papierosem, którym poczęstował mnie Wołodia. Rzadko palę, ale teraz miałem ochotę.

Chłopcy chciwie spijali słowa z ust szefa. Bardzo słusznie; niedługo zostaniecie kandydatami nauk. Obalcie wszystkie mity, naprawcie krzywdy, dajcie stabilną bazę pod chwiejną nadbudowę.

– Dlaczego właśnie nurkowie, a nie hakerzy? – zapytała Vika. Już pół godziny siedziała z kieliszkiem przed Niedosiłowem, słuchając natchnionego monologu kolegi.

Ciekawe, czy Andriej rozumie, że właśnie jest poddawany badaniu?

– Za hakerów uważają się wszyscy albo prawie wszyscy programiści – wyjaśnił natychmiast Niedosiłow. – Uznać hakerów winnymi, to jakby podpisać się pod własną niekompetencją. Co

innego nurkowie, ludzie o szczególnych zdolnościach. Oni nie boją się przegranej... Wiktorio, przecież ty też zajmowałaś się badaniem nurków.

– Znudziło mi się to, Andriej.

– Szkoda, wielka szkoda... bardzo interesujący temat.

– Ale przecież ich nie ma, Andriej.

Ironia w jej głosie była ukryta tak głęboko, że z trudem ją wyczułem.

– Istnienie przedmiotu badania nie jest ważne, Vika! Badanie jest cenne samo w sobie!

Popatrzyłem na zamyśloną twarz Wasilija. Skinąłem mu głową, uniosłem kieliszek.

– Za znaczenie tego, co nie istnieje.

Stuknęliśmy się.

– Pora na nas. – Wołodia popatrzył na towarzysza. – Powiedz Andriejowi Pietrowiczowi, że niedługo mamy pociąg.

– Sam powiedz – odciął się Wasilij.

– Andriej! – krzyknąłem odwracając się. – Zdażycie na pociąg? Chłopaki się niepokoją!

Zapadła niezręczna cisza.

– Rzeczywiście... – Przez tiul franki zobaczyłem, jak Andriej niechętnie odrywa się od kanapy. – Wiktorio, powinnaś koniecznie przyjechać do Petersburga. Spróbujemy odświeżyć twoje stare opracowania. Obiecujesz?

– Spróbuję. – Vika też wstała.

Zebrali się szybko, Nidosiłow i jego aspiranci. Cenię w ludziach umiejętność błyskawicznego żegnania się.

– Leonid, będzie mi bardzo miło gościć was w Petersburgu. – Andriej uściśnął mi dłoń niezwykle mocno jak na siebie. Chyba jemu wieczór naprawdę się podobał. Pewnie, po błyskotliwym wystąpieniu na kongresie drugi wykład, przed niegdyś znaną, a obecnie pogrążoną w życiu codziennym koleżanką i jej naiwnym mężem...

– Wzajemnie – odpowiedziałem.

Drzwi za nimi zamknąłem bardzo starannie. Chyba za dużo wypłem.

– Lonia...

Popatrzyłem na Vikę. Oparła się o ścianę, zmęczona i jakby postarzała.

– Nie ma mnie – odparłem. – To zostało udowodnione. Nie ma mnie i nigdy nie było. Jestem legendą. Mitem. Kilkoma akapitami w cudzej pracy doktorskiej.

Milczała.

– Nie szedłem do Al Kabaru. Nie wyciągałem Nieudacznika z Labiryntu. Nie ukrywałem się w domu publicznym... przecież jego właścicielka też nie istniała. Jestem tylko uosobieniem cudzej niekompetencji. Człowiek, który nigdy nie Wchodził w Głębię, udowodnił to.

– Leonid, zrozum, to naprawdę wspaniały uczoney...

– Właśnie widzę.

– Po prostu jest za uparty. Jak już przyjmie jakąś tezę za prawdę, nigdy nie przyzna, że nie miał racji. Obali wszystko, co nie będzie pasowało do jego teorii, i udowodni najbardziej wątpliwe fakty – Doprawdy, wspaniały uczoney...

– Pod jednym względem ma rację. – Vika spojrzała mi w oczy. – Nurków nie ma. Teraz nie ma. I musisz to przyznać.

Mógłbym powiedzieć, że zrozumiałem i przyznałem dawno temu. Ale wolałem się nie odzywać.

– Posprzątam jutro? – spytała cicho Vika.

– Jutro.

– Pójdziemy spać?

– Nie chce mi się spać... naprawdę mi się nie chce.

– Sowa – powiedziała z leciutką kpina.

Przez chwilę zapragnąłem olać to wszystko, położyć się spać, a jutro rano zacząć obdzwaniać znajomych w poszukiwaniu normalnej pracy.

– Nie jestem sową. Skowronkiem też nie. Nie ma takich zwierząt, które spałyby tak jak ja.

– Dobrej nocy, Leonid. – Vika odwróciła się i weszła do łazienki.

– Dobrej nocy – wymamrotałem. Dwa lata temu sama myśl, że mogę sięść do komputera, gdy Vika kładzie się spać, wydałaby mi się paranoiczna.

Jak to się wszystko zmienia...

Gdy drzwi łazienki zamknęły się i zaszumiała woda, poszedłem do pokoju. Za dużo wypilem. Po drodze ściągnąłem koszulę i dżinsy, rzuciłem je na kanapę. Chwyciłem ze stołu kawałek sera, popiłem sokiem pomarańczowym.

Kombinezon był w środku wilgotny. Tyle razy miałem go wysuszyć... Podłączyłem się do komputera i patrzyłem, jak ożywa ekran.

Nie ma mnie. Żadnego z nas już nie ma. Naprawdę?

W duszy zapłonęła mi wściekłość – zimna i jasna.

Żółty piasek pod nogami. Bardzo gorąco, porywy wiatru zmuszają do mrużenia oczu. Przedemną przepaść. Za nią wschodnie miasto. Minarety, kopuły, wszystko pomarańczowo-żółto-zielone.

Nie było tego. Naprawdę?

Strome zbocze pokryte niskimi krzaczkami. Wieje bardzo silny wiatr, przymykam oczy. Niebo zaciągnięte chmurami. Rzeka – nie górską, ale rwącą, z progami. W oddali widać stado jakichś dużych ptaków – nie wiem jakich, nigdy nie podlatują bliżej.

Nie było tego! Nie było!

Błękitny płomień lśni w trawie, nie parząc i nie rzucając cienia. Gwiazda spadła do wąwozu pomiędzy dwoma wzgórzami. Nieco dalej skupisko skał, zupełnie tu niepasujące, jakby wyrwane z innego świata.

To wszystko zostało wymyślone przez niedoświadczonych użytkowników i pozbawionych talentu programistów, którzy zawiesili własny serwer. Nowa mitologia. A były i są jedynie zakurzone ekrany monitorów, przegrzane z wysiłku komputery, szklane oczy i zastygłe twarze ludzi, którzy włożyli wtyczkę kombinezonu w deep port swojego komputera...

Palce dotknęły klawiatury. Poczulem, że do bólu zagryzam wargę. Za chwilę Vika wyjdzie spod prysznicą i znajdzie mnie w zwykłym miejscu, przy komputerze, z sunącymi po klawiaturze palcami, z zasłoniętymi hełmem oczami – oczami, które przywykły patrzeć w nicość, w strumień obojętnych impulsów płynących przez sieć. Vika popatrzy na mnie, może podejdzie i poprawi poplątany kabel, może przymknie drzwi od balkonu, żeby za bardzo nie wiało...

I pójdzie spać w samotności. Jej stojący na szafce nocnej notebook nie doczeka się na swoją właścicielkę.

Deep.

– Takich zwierząt nie ma... – powiedziałem nie wiadomo do kogo. Może do Nidosiłowa, który wierząc się w taksówce, tłumaczy coś kierowcy, swoim uważnym aspirantom, zimnej nocy wokół...

Enter.

Tęcza zwinęła się w pierścień, zaczęła zjadać własny ogon.

Głębia.



Zatrzasnąłem za sobą drzwi pokoju hotelowego i znalazłem się na korytarzu. Jak zawsze w Głębi, upojenie alkoholem znikło. Została tylko porywczosć ruchów, przemożne pragnienie działania.

Nie ma mnie?

Jeszcze zobaczymy!

Idę do pokoju 2017 i oglądam się – korytarz jest pusty. Pięknie. Przecież nie ma nic nienaturalnego w człowieku, który wyszedł z jednego pokoju i idzie do następnego.

Wystukuję kod, drzwi się otwierają.

To, co kilka godzin temu wydawało się niemożliwe, teraz dzieje się samo. Przekraczam próg i zamykam za sobą drzwi. Cisza. Nie taka jak w zwykłym, zamieszkanym pokoju hotelowym. Cisza grobowca, porzuconego hangaru, wilgotnego parowu. Nawet jeśli sam wymyśliłem tę ciszę, teraz stała się rzeczywistością.

Starając się nie patrzeć na wiszący na ścianie obraz, podchodzę do szafy. Tu nie ma zamka; jeśli już ktoś otworzył drzwi wejściowe, drzwiczki od szafy go nie powstrzymają.

Mam nadzieję, że tam, w prawdziwym świecie, Vika nie patrzy na mój monitor....

Otwieram szafę. Ciche, smutne skrzypnięcie.

– Witajcie... – mówię.

Wymięte, jak nadmuchiwane lalki, z których spuszczone powietrze, w pachnącym naftaliną wnętrzu szafy wiszą ludzkie ciała.

Wyciągam rękę, dotykam jednego z mieszkańców szafy. Wysoki, szczupły mężczyzna, smągła twarz, oczy w kolorze błękitnego nieba, dwie kabury przy pasie.

– Witaj, Strzelcu...

Milczy. Beze mnie jest niczym. Wszyscy oni są niczym beze mnie. Brodacz w dziwnym ubraniu.

– Witaj, Elenium... Starszawy, szlachetny dżentelmen.

– Witaj, Don...

Rudowłosa kobieta o bujnych kształtach.

– Witaj, Luizo...

Niepozorny mężczyzna w średnim wieku.

– Witaj, Śliski... Starzec.

– Witaj, Proteus...

Młody, sympatyczny chłopak.

– Witaj, Romeo...

Pociski w magazynku. Pomięte karnawałowe maski. Broń w arsenale.

Albo gorzej: eksponaty muzealne.

Wyciągam rękę, zdejmuję z wieszaka starca. Zaglądam mu w oczy, puste, wyblakłe, zasnutę białą mgiełką;

Podtrzymuję upadające ciało – byle jakie ciało motocyklisty, bardzo wygodne do przejazdów po Deeptown. Nie wiem go w szafie, rzucam w kąt, na łóżko.

Podchodzę do lustra i patrzę na swoją postać. Dotykam dłoni, wygładzam zmarszczki, podciągam

w górę kąciki warg, prostuję nos... wyciągam się, poruszam ramionami...

Już nie jestem starcem, tylko mężczyzną w średnim wieku o mądrych oczach.

A jednak to ciągle nie to, czego potrzebuję.

Czuję się jak nadgryziony przez mole, jakby przysypany pyłem. Dwa lata nie znikły.

Mógłbym wejść w seksowną Luizę. Mógłbym naciągnąć twardą skórę Strzelca. Mógłbym nawet wcisnąć się w Śliskiego, chociaż nienawidzę tej postaci.

Ale to nie to.

Zbyt długo na mnie czekali, wierni jak psy, cisi i niemi, zawsze gotowi służyć. Dawne oblicza nurka Leonida zmęczyły się czekaniem.

A ja potrzebuję od nich tylko jednej przysługi. Krótkiej, ostatniej...

Wsuwam rękę do kieszeni starej marynarki i wydaję pager. No proszę, działa. Jest na nim prawie setka wiadomości, ale najświeższa została wysłana wiosną tego roku. Kasuję wszystkie, nie czytając.

W odróżnieniu od realu, w Głębi pager jest dwustronnym środkiem łączności. Wywołuję na ekranik spis nazwisk. Bardzo długi spis.

Światełko obok imienia Maniaka pali się na fioletowo. Maniak jest w sieci, ale bardzo zajęty...

Trudno!

Włączam przekaz.

– Witaj, Szurka...

Nie muszę się przedstawiać, i tak zobaczy, od kogo przyszła wiadomość.

– Trzy Prosiaczki, dziś w nocy... będę czekał na ciebie osiem godzin od momentu wysłania tej wiadomości. Postaraj się przyjść.

Przez kilka sekund patrzę na ekranik – jakbym liczył na natychmiastową odpowiedź – i chowam pager do kieszeni. To chyba wszystko, czego potrzebuję od przeszłości.

– Wybacz, Strzelcu – mówię, wydaję z jego kabury pistolet. – I wy wszyscy... wybaczenie.

Odsuwam się kilka kroków i otwieram ogień.

Sześć ciał w szafie – sześć kul w rewolwerze. Patrzę, jak płonie i znika ciało zwinnej Luizy, rozsypuje się w popiół romantyczny Romeo, ginie nieprzewidywalny Śliski, zamienia w parę uprzejmy Don, rozlatuje się w obłok iskier mądry Elenium. Strzelec jest ostatni. Przygryzam wargi... i naciskam spust.

Ciało Strzelca szarpie się jak porażone prądem, ale nadal wisi.

No tak... przecież jest chroniony przed własną bronią. Trzeba było wziąć pistolet od Śliskiego albo szczyptę trucizny od Eleniuma. Teraz już za późno.

Proteus, w którego ciele jestem, zabija bez broni. Ale ze Strzelcem tego nie zrobię.

Nawet z własną przeszłością trudno sobie poradzić bez cudzej pomocy.

Waham się sekundę, potem zdejmuję z wieszaka ciało Strzelca, chwytam niepozornego motocyklistę i ciągnę ich korytarzem do swojego obecnego pokoju. Gdy otwieram drzwi, dostrzegam ruch przy schodach. Zamieram i wpatruję się w półmrok korytarza.

Pewnie mi się zdawało.

Rzucam oba ciała na łóżko. Motocyklista i Strzelec leżą twarzą w twarz, przyglądając się sobie zazdrośnie.

Wszystko?

Nie.

Wychodzę, zamykam drzwi, robię kilka kroków, zamieram i znowu się oglądam.

Wydawało mi się.

Wracam do pokoju 2017. Zdejmuję ze ściany obraz i nieruchomieję, patrząc na narysowany pejzaż.

Nie ma w nim nic szczególnego. Po prostu góry – nienaturalnie wysokie, a jednak nie sprawiające dziwnego wrażenia. Na zboczach, przy urwisku, mała górka chaty. Na wysokim niebie nieliczne białe chmury. To wszystko.

Z obrazem w ręku wychodzę na korytarz.

I wtedy ktoś do mnie strzela – z bardzo bliska.

Dźwięk wystrzału jest cichy, stłumiony, nie przypomina ogłuszającego huku policyjnych strzelb, i to mnie cieszy. Ale wybuch oślepią. Padam na plecy, czując tępy ból w piersi. Przed oczami płyną kolorowe kręgi, ciało staje się bezwolne i miękkie.

Ciemna postać pochyla się nade mną, tuż przy twarzy słabo połyskuje lufa pistoletu z dokręconym tłumikiem.

Dawno nikt mnie nie zabijał. Chyba od czasu, gdy umarłem ostatecznie...

– To ostrzeżenie. – Głos jest zdławiony, sztuczny. – Rozumiesz?

Proteus milczy; jest przecież oszołomiony, nie może się odezwać...

– Słyszysz mnie? Hej...

Gdy ręka nieznajomego dotyka mojego ramienia, zaczynam się przeistaczać.

Pazury prują ciało obcego, potężna łapa jednym ciosem wybija pistolet. Już stoję na czterech łapach, szczerząc ostre kły. Śnieżny bars to bardzo duże zwierzę.

Ale ciągle nic nie widzę! Kolorowe plamy, jakbym próbował uruchomić deep program na komputerze ze starą kartą graficzną. Szarpane ruchy, ledwie rozróżnialna sylwetka...

– Powtarzam, to tylko ostrzeżenie...

W głosie ani śladu paniki. Niedobrze.

„Głębko, Głębko, nie jestem twój...”

Nawet nie zdjąłem hełmu. I tak wiem, co się stało. Ekrany hełmu pokazują rozplywający się, toporny rysunek. Szesnaście kolorów nie może wiernie oddać barwności świata Deeptown. Znajdując się w Głębi, widziałem znacznie lepiej niż teraz – podświadomość rozpaczliwie filtrowała zakłócenia, dopowiadała obraz.

Deep Enter.

– Kim jesteś?! – krzyczę.

Karykaturalna postać rozkłada ręce.

– Wszystko zrozumiałeś?

– Nie!

– Myśl... Wystrzał.

Bezgłośny. Dźwięki znikły. Wszystkie. Teraz jestem nie tylko oślepiiony, ale i głuchy...

Ciało Proteusa reaguje od razu – wybuchem ognia. Bars znika, przemieniając się w ognisty wichur.

Teraz mój dotyk niesie śmierć.

Szkoda tylko, że nie wiem, kogo dotknąć! Nic nie widzę, nic nie słyszę... biegnę korytarzem z rozłożonymi ramionami...

Ktokolwiek do mnie strzelał, już go nie ma.

Zrobił to, co chciał zrobić i odszedł.

Zostaję sam pośrodku korytarza, utkany z ognia, potężna i absolutnie bezbronna postać.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Na ekranie malinowo-purpurowo-żółty chaos. W słuchawkach absolutna cisza.

Ładnie mnie załatwili. Najpierw wyłączyli wzrok, a kiedy nie zareagowałem, wyłączyli również słuch.

Wyciągnąłem rękę do komputera, nacisnąłem reset. Komp wydał niezadowolony pisk.

Postawiłem hełm na brzegu biurka, odwróciłem się i spojrzałem na zegarek.

Dopiero wpół do pierwszej. Za drzwiami sypialni ciemno; Vika już śpi.

Ekran pokrył się linijkami BIOSa, błękitnym tłem z obłoczkami, wreszcie pokazał pulpit. Zastanawiałem się przez chwilę...

... i wyjąłem z dolnej półki dysk DVD. Wsunąłem do czytnika i znowu zresetowałem komputer.

Początkowo żadnej różnicy.

Tylko na błękitnym tle nie ma już obłoków, a ikonki na pulpicie stały się przezroczyste. Normalne zasłaniałyby twarz.

– Witaj, Vika – powiedziałem.

– Witaj, Leonid. – Twarz na monitorze jest posępna. Narysowana Vika może okazać tylko kilka emocji – radość, smutek, ciekawość, wątpliwość. Wszystkie czyste i proste, nie tak jak w życiu. – Znaczące zmiany sprzętu od momentu ostatniego uruchomienia. Zacząć adaptację?

– Tak – potwierdziłem.

Szczerze mówiąc, nie wiem, czy Vika mój indywidualny interfejs – może dopasować się do nowej wersji Windows Home. Testowałem ją na wersji beta, ale to było prawie rok temu.

Vika na monitorze cierpliwie czekała.

Wstałem, wyłączyłem wtyczki, poszedłem do łazienki. Wsunąłem głowę pod strumień zimnej wody. Nie czułem się już pijany, za to bolał mnie żołądek i wyschło w gardle.

Kto na mnie czekał w hotelu? I przede wszystkim – po co? Na szarego obywatela Deeptown, tragarza z kompanii HLD...

Komu byłem potrzebny?

Nie ja... nurek Leonid.

Też bez sensu.

Nurków już nie ma, co było do dowiedzenia...

I nagle przyłapałem się na tym, że się uśmiecham. Nieważne, kto potwierdza twoją wartość – przyjaciel czy wróg. Ważne, że jest co potwierdzić.

Tak pewnie uśmiecha się żołnierz, przeniesiony do rezerwy ze względu na stan zdrowia, który nagle dostaje powołanie. W sumie nie ma się z czego cieszyć... kawałek papieru nie wróży nic dobrego.

A jednak przyjemnie.

– Nie jestem martwy – wyszeptałem do odbicia w lustrze. Cholera... przecież nie jestem martwy...

Odbicie poruszyło wargami, bezgłośnie powtarzając słowa.

Jak zahipnotyzowany przesunąłem dłonią po zimnym szkłe. Idiotyczny uśmiech od ucha do ucha... no i dobrze. Wycisnąłem na dłoń piankę do golenia, wziąłem starą maszynkę, zacząłem się golić. Powoli, starannie. Ochlapałem twarz wodą kolońską. Postąłem chwilę, próbując nadać twarzy wyraz powagi. Z czego ja się właściwie cieszę? Że mnie załatwili jak gówniarza?

– Komu nadepnałem na odcisk? – zapytałem odbicie. – Co? Jak myślisz?

W lodówce był sok i cola. Napilem się soku, nie chciałem wysuszać sobie gardła kwasem ortofosforowym dodawanym do napoju przez sprytnych producentów. Za piętnaście pierwsza. Albo Vika podłączyła swoje pliki, albo komp się zawiesił.

Komputer działał. Vika uśmiechała się z ekranu.

– Status? – zapytałem, podłączając się.

– System stabilny. Zasoby wystarczające.

– Wejście do sieci. Tryb normalny. Osobowość numer trzy: Proteus.

– Wykonano – usłyszałem po sekundzie przerwy. Tak, światłowody to nie to samo co zgniły kabel telefoniczny...

Włożyłem hełm i odchyliłem się na oparcie fotela.

Cholera... tak samo jak dawniej.

Prawie tak samo.

Deep Enter.

Motocyklista i Strzelec nudzą się na tapczanie. Wstaję z fotela, patrzę w lustro. Aha... Proteus przyswoił zmiany, które wprowadziłem. Mężczyzna w średnim wieku, mądre oczy...

Podchodząc na palcach, jakby to mogło coś zmienić, jednym szarpnięciem otwieram drzwi i wyskakuję na korytarz.

Zbędna i śmieszna ostrożność. Nikogo tam nie ma. Tylko na podłodze leży przebity kulą obraz.

Podnoszę go i oglądam płótno. Kula przeszła przez narysowaną chatę. Zamiast niej jest teraz plama rozmazanej farby rozłożonej na szesnaście kolorów.

Chaty już nie ma.

Zanoszę obraz do pokoju, kładę na nieruchomych ciałach, wychodzę, zamykam drzwi, schodzę na parter. Mogę wypożyczyć motocykl albo samochód, postój jest obok hotelu. Ale wolę zaufać Deep Przewodnikowi.

Podnoszę rękę i zza rogu natychmiast wyłania się mały żółty samochód. Za kierownicą przypominający punka chłopak, jedno z bazowych ciał programów-kierowców.

– Restauracja Trzy Prosiaczki – mówię, wsiadając.

– Podróż zajmie trzy minuty – odpowiada kierowca z lekkim, jakby nadbałtyckim akcentem.

Samochód rusza i w tym momencie w mojej kieszeni piszczy pager. Naciskam guzik, już się domyślając, kto to.

– Hej... – mówi głucho Maniak. – Będę, czekaj na mnie.

Krótko i na temat.

Czy mi się zdawało, czy jego akcent był równie silny jak akcent kierowcy? Pewnie złudzenie. Przecież Maniak wyjechał dopiero rok temu.

Wyjechał do Stanów jakoś tak nagle. Wielu chłopaków wyjeżdżało... ale zazwyczaj znałeś ich plany znacznie wcześniej. A Szurka okazał się najbardziej powściągliwy – powiedział dopiero wtedy, gdy miał w ręku bilet do Seattle. Chyba tak w czasach Związku wyjeżdżali do Izraela Żydzi – ukrywając się do ostatniej chwili.

A przecież mógłbym się o tym wcale nie dowiedzieć. W tym czasie ja i Vika przenieśliśmy się do Moskwy, więc i tak z Maniakiem widywałyśmy się tylko w Głębi.

Zresztą nie, nie widywałyśmy się. W nocy, gdy ja chodzę po wirtualności, Maniak pracuje. W wirtualności znika odległość, ale nie czas.

Samochód sunie po ponurych zaułkach, w oddali migają wieże Microsoftu. Potem wyskakujemy na większą ulicę i kilka sekund później hamujemy przed restauracją.

Płacę, wysiadam. Stoję chwilę, patrząc na budynek. Okolice bardzo się zmieniła – część budynków wyburzono, inne przebudowano. Ale restauracja została niezmienną. Ten sam bałagan – jedna trzecia z kamienia, jedna trzecia z drewna i jedna trzecia ze słomianych mat.

Wiem, że najmądrzejszy i najbardziej przewidujący był ten prosiaczek, który zbudował dom z kamienia. Gotów jestem bić mu brawo. A jednak najsprytniejszy okazał się najmłodszy z braci, który ograniczył się do słomy – zimą i tak przeniósł się pod dach murowanego domu, za to lato spędził na zabawie.

Uśmiechając się, podchodzę do drzwi słomianej części restauracji.

Ciekawe, co się stało, gdy rozsądny prosiaczek przyhołubił braci niedbaluchów? Gospodarz był z niego jak się patrzy, więc dwóch parobków zawsze się przyda...

Dopiero przed wejściem, gdy chcę odsunąć bambusową zasłonę, uświadamiam sobie, co zrobiłem.

Proteus uśmiecha się.

Ja się uśmiecham.

I z tym złośliwym uśmiechem na twarzy wchodzę do azjatyckiej części restauracji.

Głośno tu.

Nie byłem w Prosiaczkach prawie rok. W tym czasie, nie zmieniając się zewnętrznie, restauracja powiększyła się w środku. We wschodniej sali pojawił się basen, z małej kamiennej wysepki na środku wzbija się pod sufit kwitnąca sakura. Dostawiono kilka nowych stolików. Kelnerów jest znacznie więcej i gotów jestem przysiąc, że to żywi ludzie, a nie programy.

Może złożyć podanie o pracę? Właściciel by mnie przyjął przez wzgląd na dawne czasy. W końcu to nie to co noszenie fortepianów... praca niezła, no i kontakt z ludźmi...

Podbiega do mnie uśmiechnięty chłopak w białym garniturze. Twarz raczej koreańskiego niż japońskiego typu, ale narysowana doskonale.

– Jestem sam, czekam na przyjaciela – mówię.

– Zapraszam...

Kelner prowadzi mnie do stojącego w kącie obrotowego stolika, zręcznie usuwając gdzieś dwa zbędne krzesła, czeka, aż usiądę, kładzie na stół kartę dań.

– Sałatka ryżowa, tempura, sake... – mówię, nie zaglądając do menu. Dzisiaj nie jest czwartek, ale

założmy, że to mój prywatny rybny dzień.

Na twarzy kelnera pojawia się wahanie.

– Jeśli woli pan japońską kuchnię, proponowałbym przesiąść się...

Jasne, już sam stolik jest nieodpowiedni, pasowałby raczej do chińskiej restauracji...

– Nie szkodzi – mówię. – Mój przyjaciel najprawdopodobniej wybierze chińską kuchnię. I bardzo proszę, nie podgrzewajcie zbyt sako, powinno być tylko lekko ciepłe.

Uprzejmy pokłon i kelner wybiega.

Jakimi smakoszami się stajemy – w Głębi!

W realu wcinamy rozgotowany makaron i przypalone kotlety z półfabrykatów. Za to w Głębi – a to sake za ciepła, a to befsztyk przypalony...

I jak tu nie dostać deep psychozy...

Maniaka na razie nie ma, tego jestem pewien. Kiedy się pojawi, od razu mnie znajdzie. Proteus to jego dzieło, na pewno je rozpozna.

Odpowiednia chwila, żeby spokojnie pomyśleć.

Czym dysponuję, prócz starych ciał nurka, kilku programów bojowych, które przy sporej dawce dobrej woli można nazwać efektywnymi, i utraconych kontaktów?

Chwileczkę. Zanim przejrzysz arsenał, upewnij się, czy w ogóle chcesz wziąć broń do ręki.

Co mam? Opowieść Jeżyka, która mnie zaintrygowała, i nieznajomego, który mnie zaatakował, ledwie poszedłem po rzeczy nurka...

Znowu niewłaściwy trop.

Po co mi to wszystko? Oto właściwe pytanie.

Wystarczy puścić mimo uszu opowieść usłyszaną w Car Rybie i przyjąć do wiadomości ostrzeżenie nieznajomego. I żadnych problemów.

Dawno powinienem porzucić pracę w HLD, zająć się wreszcie czymś potrzebnym i intratnym. Przecież w końcu mam pewne nawyki i umiejętności. Projektanci i artyści są w Głębi potrzebni, zwłaszcza teraz, gdy rozwija się tak szybko, nie reagując już na kryzysy i nieszczęścia prawdziwego świata.

Tylko...

Noszenie narysowanych ciężarów to drwina z losu. Wykorzystywanie w ten sposób niepotrzebnych już nikomu umiejętności nurka... to tak jakby bezrobotny muzyk grał w przejściu podziemnym. Na pokaz, demonstracyjnie. Jakby czekając na coś – na szczęście, uznanie, oświetloną scenę nad ciemną przepaścią widowni... Jak śpiewał gitarzysta? „Dla niego to po prostu być i nie być, pan i sługa kolorowej kredy...”

Gdyby muzyk wyjął z szafy pożółkły dyplom technikum gastronomicznego i zatrudnił się w stołówce obok domu – oznaczałoby to uznanie przegranej. Raz na zawsze.

Byłby szanowanym obywatelem, a nie parszywym żebrakiem. Miałby zapewniony byt. Tylko że przestałby brać do ręki instrument. Nawet gdyby przyszli przyjaciele... już nie biedni muzycy, a zwykli, normalni ludzie.

Nie chcę.

Czekałem na ten moment rok. No, powiedzmy, dwa. Od czasu gdy nurkowie przestali być potrzebni. Od momentu gdy stało się jasne, że jestem człowiekiem bez zawodu. Nie wiedziałem, co

będzie znakiem do powrotu. Wiedziałem jedno – nie daj Boże, żebym go przegapił.

Pierwszym, bardzo jeszcze cichym dzwoneczkiem alarmowym była opowieść Jeżyka.

A przecież usłyszałem ją przypadkiem. Kiedyś o tym, co się stało z hakerem Padliną, dowiedziałbym się jako jeden z pierwszych.

Ale usłyszałem. I przeszedłem dwadzieścia metrów korytarzem w kierunku, który zakazałem sobie dawno temu.

I zostałem nagrodzony wystrzałem w twarz.

Znany badacz Głębi Andriej Niedosiłow może śmiało uznać nurków za mit.

Ale jest ktoś, kto ma inne zdanie!

Jeśli uważają cię za niebezpiecznego, to znaczy, że żyjesz. Trupy wrogów można kopać, zrzucać w przepaść, zostawiać na pastwę szakali... ale nikt do nich nie strzela.

Znowu się uśmiecham, patrząc na idącego z tacą kelnera. Jestem nurkiem. A nurkowie nie mogą być „eks”. Żyję.

Dwa metry od mojego stolika kelner zerka w stronę kuchni, potyka się i upada. Taca wlatuje w górę.

„Głębio, Głębio...”

Nie po raz pierwszy jestem w japońskiej części restauracji. I wiem, że nie będzie żadnych nieprzyjemności. Po prostu... po prostu tak chcę.

„... nie jestem twój...”

Obrazek utracił cechy rzeczywistości. Usłyszałem czyjś przestraszony pisk, zobaczyłem, jak chłopak pada na twarz, szybko się przekręca i podnosi ręce. Zaraz chwyci naczynia rękami, tacę podrzuci nogą, zerwie się, postawi na upadającej tacy naczynia, złapie ją nad samą podłogą, przemieniając ruch w skomplikowany pokłon. Skłoni się gościom, trzymając tacę w lewej ręce, a prawą przyciskając do piersi.

Ot, takie małe przedstawienie gościom na uciechę.

Pomieszam mu szyki.

Skok, najprostsza rzecz na świecie. To nie gra, w której trzeba uchylać się przed pociskami i padającymi ścianami. Pochwyciłem naczynia w powietrzu, a tacę zakręciłem łokciem. Odwróciłem się i wykonałem numer kelnera – cały program – osobiście. Nawet nie zapomniałem się uklonić.

Kelner leżał na podłodze z wyciągniętymi w górę rękami. Ciekawe, jaką miał minę.

Deep Enter.

Kelner wstaje zmieszany, przyciska ręce do piersi i zaczyna bić mi brawo.

Co za facet! W ten sposób przemienił wszystko w spektakl.

Uśmiecham się, ceremonialnie oddaję mu tacę, siadam przy swoim stoliku.

– Trenuje pan kung fu? – pyta kelner, stawiając naczynia.

– Troszkę – odpowiadam oględnie. Wokół nas robi się głośno, goście z ożywieniem omawiają zajście. Pewnie uznają mnie za podstawionego współnika kelnera. – Przepraszam, czy nie będzie pan miał przeze mnie nieprzyjemności? Chyba wszedłem panu w paradę...

Kelner uśmiecha się skapo. Chyba nie jest zmartwiony.



– Nic nie szkodzi. Całkiem nieźle to wyszło. Zaraz podam sake.

W kieszeni Proteusa jest paczka papierosów, wyjmuję i przypalam, żeby nie zaczynać jeść pod bacznymi spojrzeniami innych gości. Niech trochę ochłoną.

– Nie dorabiasz czasem w cyrku?

Odwracam się i widzę Maniaka.

Ma wiele ciał, ale dość łatwo je rozpoznać. Łączy je wystudiowana niepozorność, wyzywająca zwyczajność. I ogólnie „ciemne tło”. Nigdy nie widziałem, żeby Maniak był blondynem czy rudym, zawsze ma ciemne włosy i smagłą cerę.

– Cześć!

Ściskamy sobie dłonie. Nieuniknione skrępowanie, jak zawsze, gdy kogoś dawno nie widziałeś. Maniak siada obok.

– Ty... znowu?

W spojrzeniu Maniaka jest ciekawość. Orientuje się w sytuacji nurków. Nawet proponował mi pomoc w znalezieniu pracy – w Stanach albo w Rosji. Pytał, czy nie chcę się zająć programowaniem... zabawne. Starego psa nie nauczysz nowych sztuczek.

– Potrzebuję pomocy – przechodzę od razu do rzeczy.

Podchodzi kelner, milknę, Maniak rzuca:

– Judzu hao ming, jajka z szynką, Oczy Smoka i zielona herbata...

Kelner oddala się z uśmiechem. No proszę, coś nowego. Wiedziałem, że Maniak lubi smażony makaron, ale nie podejrzewałem go o zamiłowanie do egzotyki w rodzaju śmierdzących jaj, wnętrzności węża czy innych świństw...

– Co to jest, te Oczy Smoka?

– Taki deser – uśmiecha się Maniak.

– Aha.

– No, co się dzieje?

Milczę.

Szurka pociera nos. Chyba rzeczywiście ma po uszy własnych problemów^ Ale i tak nie odpowiadam.

– W takim razie czego potrzebujesz?

– Broni – odpowiadam po prostu.

– Nie do mnie. – Maniak posępnie podnosi oczy. – Nic nie robię, od dawna.

– Jak to? Przecież pracujesz w Virtual Guns!

– W dziale środków ochrony – precyzuje Maniak.

– Szurka...

– Będę musiał poszukać, tak od razu nic nie znajdę – poddaje się. – Zrozum, u nas przecież wszystko jest zamknięte, wyciągnięcie pliku poza granice serwera kompanii to samobójstwo.

– A podpowiedz, gdzie można coś znaleźć?

– Nic ci nie zostało?

Wzruszam ramionami.

– Starocie. Rewolwery Strzelca. I to ciało... wprowadzie Proteus co nieco umie, ale...

Maniak ze zrozumieniem kiwa głową.

– Umie... straszyć lamerów. Daj papier i długopis.

Podaję mu notes, Maniak pisze coś szybko.

Czytam i aż mrużę oczy. Imię – Czyngis. Nazwiska nie ma. Jest tylko adres. Dziwny. Próbuje zrozumieć, o co chodzi.

– Chyba mieszkasz teraz w Moskwie? – Szurka jest zdumiony, że nie rozumiem.

– Tak... Maniak, gdzie to jest?

– Obok stacji metra Czerwone Wrota, jeśli się nie mylę. Cholera...

Ale plama.

– Pomyślałbym, że masz deep gorączkę – mamrocze Maniak, bierze moje papierosy, zapala. – Gdybyś nie był nurkiem... rany, ale mi się chciało palić! U nas w pracy nie wolno.

– Dlaczego?

– Ochrona zdrowia!

– W jaki sposób mogą komukolwiek zaszkodzić wirtualne papierosy?

– Zapomniałeś, gdzie mieszkam? – pyta ponuro Szurka. – Tępi, stuknięci Amerykanie...

– Nikt u was nie pali?

– Kopcą, a jakże – odpowiada ze złośliwą satysfakcją Maniak. – Żrą te swoje cholesterolowe hamburgery, mlaszcząc i dławiąc się. Godzinami gadają przez komórkę. Co drugi wyhodował sobie wielkie dupsko. Ale z zapalem walczą o zdrowie! Jak my o pokój, kiedy mieliśmy więcej czołgów niż wszystkie kraje razem wzięte. Że Ziemia jest okrągła, to wiedzą prawie wszyscy, ale że na niej, prócz Ameryki, coś tam jeszcze jest, tylko się domyślają... Obrzydło mi to wszystko!

Kelner przynosi Maniakowi zamówione potrawy, a mnie sake. Tym razem bez pokazowych wyczynów, chociaż goście popatrują na nas z nadzieją.

– Wracaj do nas. – Nie mogę powstrzymać się od ironii. Maniak tylko prycha. Zaciąga się, ogląda papierosa.

– Co się stało?

– Poszedłem dziś po stare ciała. Tak tylko...

– No i?

– Zaatakowano mnie. Opowiadam szczegółowo, co się stało.

– Policja Deeptown – mówi bez zastanowienia Maniak. – Wydział do walki z demonstracjami.

– Dlaczego?

– Kule szokowe. To nasze opracowanie. Niedawno weszły w skład uzbrojenia.

– Jakie są konsekwencje? Dostałem dwa razy...

– Żadnych nieodwracalnych skutków. Resetujesz komputer i wchodzisz w Głębię. Te pociski są przeznaczone do rozgania mityngów i nielegalnych demonstracji. Broń jest humanitarna, ale bardzo mocna. Działa praktycznie na wszystkie karty graficzne i dźwiękowe, znajdujące się obecnie na rynku. Ale jeszcze jej nie używali, trzymają na poważne przypadki.

– A ochrona jest?

Maniak w milczeniu wskazuje głową notes.

– Jasne. Można znaleźć tego Czyngisa w Głębi?

– Znaleźć można – uśmiecha się Szurka. – Ale nie ci to nie da. Dopóki nie spojrzysz ci w oczy, nie liczę na poważną rozmowę.

– Pomoże mi?

Maniak zagryza wargę.

– Powołaj się na mnie. Powiesz, że bardzo prosiłem, żeby ci pomógł. Ale i tak wszystko będzie zależeć od tego, jakie na nim zrobisz wrażenie.

– Co można mu powiedzieć?

– Trochę mniej niż mnie. Ale tylko trochę. Jeśli... jeśli nie od razu sobie przypomni... zapytaj, czy pamięta barkę na Wyspie Wasilewskiej.

– Barkę?

– Dokładnie. Taki stateczek, zardzewiały i bez silnika. Barka. Na Wyspie Wasilewskiej.

– Dziękuję.

– Gdyby tylko było za co... – Maniak przygląda mi się w zadumie. – Słuchaj... jak ty to znosisz?

– Co?

– No, to co się stało z nurkami.

– Co tu jest do znoszenia? Byliśmy, a teraz nas nie ma.

– Daj spokój, od razu nie ma?

– No, przynajmniej jako nurków.

– Na pewno można znaleźć jakieś zastosowanie twoich zdolności.

– Szukam. Czasem pracuję dla jednego znajomego, specjalisty, który wyrabia kamienne topory i krzemienne groty do strzał.

Maniak kiwa głową i zmienia temat.

– Słyszałeś coś o swoich kolegach?

Staję się czujny, mimo woli. Przecież mogłem się przed nim odkryć nawet wtedy, gdy na nurków polowały wszystkie mniejsze i większe firmy. To moja decyzja i moja sprawa. Tylko moja.

– To i owo. Widzisz, w realu nie znałem żadnego.

– Czym się teraz zajmują?

– Czym się da. Jedni programują, inni pracują jako projektanci, jeszcze inni w sektorze usług. Niektórzy zupełnie wyszli z wirtualności. Sam wiesz, że Głębia była dla nas mniejszym narkotykiem niż dla zwykłych ludzi.

– Nie słyszałeś o Ciemnym Nurku?

– Nie... nie przypominam sobie. Kto to jest?

– A bo ja wiem? – wzdycha Maniak. – Rozumiesz... krążą słuchy, że mimo wszystko pewnemu nurkowi udaje się korzystać ze swoich zdolności.

– Jak?

Szurka wzrusza ramionami.

– Gdybym to ja wiedział. To tylko plotki. Może w ogóle go nie ma. Ale zasadniczo zajmuje się włamaniami, nic szczególnego.

– Nurek, włamaniami? – Nie wierzę własnym uszom. – Teraz? Jak? Poczekaj... nie, słyszałbym coś.

– Spróbuj się dowiedzieć – sugeruje Maniak. – Może to prawda? Wtedy... sam rozumiesz. Założmy, że to dużo nowej pracy dla twojego przyjaciela, specja od kamiennych toporów.

– Przecież zajmujesz się teraz ochroną – zauważam. – Dlaczego ci tak zależy na powrocie nurków?

– No wiesz, w pracy nie tylko siedzę przy komputerze... – uchyla się od odpowiedzi Maniak. – A ochrona... Wiesz, jak ożywiłoby rynek pojawienie się nurków? I jak ceniono by specjalistę zorientowanego w metodach ich włamań?

Wymieniamy pełne zrozumienia spojrzenia. Mam wrażenie, że dwa minione lata gdzieś znikły.

– Napijesz się sake? – pytam, napełniając kieliszek.

– Coś ty, mam jeszcze pół dnia roboty – odpowiada z żalem Szurka.

– Co właściwie wiesz o Ciemnym Nurku?

Ta jego maniera krótkich odpowiedzi i niedomówień.

– Zapytaj Czyngisa. Słyszałem od niego. Hm. Co za interesująca postać.

– Szurka a obita ci się o uszy nazwa New Boundaries?

– Kompania, którą jakiś haker ostatnio załatwił?

– Próbował podobno.

– Załatwił, załatwił. Na cacy.

– Ciemny Nurek? – sugeruję.

– Nie, to robota Padliny. Przyjaciel Czyngisa. Dobry haker. Mam nadzieję, że szczeka nie opadła mi za bardzo. Patrzę na leżącą na stole kartkę. Maniak z przyjemnością je deser – kulki półprzezroczystej żółtozielonej galaretki – i pije herbatę.

Składam kartkę, troskliwie chowam do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Chyba jutro – nie, to już dzisiaj – będę musiał złożyć wizytę. I to nie w Głębi, a w realu.

– Szurka, co tam ukradli? Coś poważnego?

Maniak wzrusza ramionami.

– Bóg jeden wie... jakąś szczególną ergonomiczną mysz, jak sądzę. Z motorkiem i autopilotem. Albo hełm z turbowentylacją. Albo wirtualny kombinezon z sztydem w tyłku, do robienia zastrzyków... To przecież kompania szaleńców, robią różne idiotyzmy dla lamerów, normalny człowiek ich nie interesuje.

– To po co poszedł tam doświadczony haker?

– Łońka, sprzedawać można nawet kompletne głupoty, jeśli tylko mają wzięcie. Ale tam była zbyt dobra ochrona...

– Twoja?

– Uhu. Tylko nie mów Czyngisowi, po co ma się denerwować.

– Padlina zginął w realu – mówię ostrożnie. – Naprawdę umarł. Szurka podnosi głowę i przygląda mi się uważnie.

– Leonid, co ty? Uwierzyłeś?

– Tak mówią...

– Może oni sami rozpuścili takie pogłoski? Żeby odstraszyć nieproszonych gości. Ile razy krążyły takie plotki!

– Kiedyś wirusy niszczące hardware też wydawały się plotką.

Maniak kręci głową.

– Słuchaj, Lonia, zachowujesz się, jakbyś był pierwszy dzień w Głębi! Mam przyjaciółkę w wydziale zbierania informacji. O nowinkach dowiaduję się pierwszy. Jeśli pojawi się broń zdolna zabijać z Głębi w realu, dowiem się o tym przed prezesem Virtual Guns!

Nie mogę mu nie wierzyć. Czuję, jak coś się rozluźnia, coś, co przez cały wieczór ścisnęło mi pierś.

– Co to za przyjaciółka?

Maniak krzywi się.

– A, nic takiego... sympatyczna. Tylko strasznie tępa. Dasz wiarę? Pieprzę ją i płacę.

Zaczynam śmiać się pierwszy. Szurka patrzy na mnie posepnie, krzywi się, jakby próbował sobie przypomnieć, co powiedział, wreszcie też się uśmiecha.

– Nie ma takiej broni, uwierz mi. Można zabić komputer. Ale człowieka? Za nic! Pierwszy zmyłbym się z Głębi, gdyby pojawiła się taka sztuka.

– Dlaczego? Po ulicach też niebezpiecznie chodzić, można wpaść pod samochód...

– Lonia, wyobraź sobie, co się rozpęta w Głębi, jeśli można będzie stamtąd zabijać! Jeśli każdy szczeniak, który dorwie się do komputera, będzie mógł załatwić swojego krzywdziciela naprawdę!

– Wyobrażam sobie – mówię. Odechciewa mi się śmiać.

– W wirtualności do dziś nie ma prawdziwego wymiaru sprawiedliwości – rozmyśla na głos Maniak. – I nawet nie będzie można oskarżyć nikogo o zabójstwo.

– Nie o to chodzi – mówię. – Wyobraź sobie pijanego w Głębi. Wyobraź sobie naćpanego faceta pozbawionego zahamowań. Psychopatę. Człowieka w depresji. Gdy nie widać prawdziwej krwi, gdy wszystko jest jak w grze... To Mrok!

– Właśnie. Jeśli pojawi się taka sztuka, koniec z Głębią...

Maniak krzywi się, wsłuchując się w coś.

– Pora na mnie, Lońka. Skończyła się przerwa obiadowa.

Ledwie zdążam uścisnąć mu dłoń, Maniak rzuca na stół pieniądze i wybiega z restauracji. Oho, nauczyła go ta Ameryka dyscypliny. To nie Petersburg, gdzie w czasie lunchu przybiegał do mnie na piwo.

Na mnie też już czas.

Trzeba się przespać, choćby kilka godzin.

Płacę kelnerowi, na chwilę składam dłonie, łączę czubki palców... to najbardziej niewinny i najprostszy zewnętrzny znak nurków. Znają go nawet początkujący. Chłopiec bardzo zręcznie operuje, talerzami. Może w ten sam sposób co ja?

Kelner nie zwraca na powitanie najmniejszej uwagi.

Cóż, głupio było liczyć na inny efekt.

Obudziłem się około dziesiątej. Za oknem szumiał deszcz. Cichy, monotony. W taki deszcz dobrze jest jechać pociągiem, stać w korytarzu, patrzeć na mokre okno i palić... i żeby w przedziale siedzieli przyjaciele... a jeszcze lepiej kumple, z którymi można się napić, ale nie trzeba odsłaniać duszy. I żeby na stoliku czekała pierwsza butelka, a ktoś już rozwijał kanapki i wykladał prostą zakąskę.

W taki deszcz można odjeżdżać od ukochanej... od każdej miłości. Od ukochanego miasta, ukochanej pracy.

Ale najlepiej od ukochanej.

I najlepiej na zawsze.

– Mam deep gorączkę – powiedziałem – słyszycie?

Nie ma mnie kto usłyszeć. Vika przecież nie ma deep psychozy. Poszła do pracy, normalnej, ludzkiej pracy. A ja zostałem, żeby się snuć po domu... i włożyć szary plastikowy hełm.

Nie. Na dzisiaj mam inne plany.

Muszę znaleźć tego typa, Czyngisa. I dostać to, czego potrzebuję w Głębi.

Z tą myślą wyskoczyłem z łóżka.

Położyłem się chyba dopiero o szóstej i teraz miałem w głowie watę. Poszedłem do łazienki, ściągnąłem podkoszulek i slipki, wszedłem pod prysznic, odkręciłem kran.

Chlusnęła lodowata woda. Klnąc jak szewc, przekręciłem kurek. Rozumiem. Nie na darmo przed domem huczał dźwig, nie na darmo ryli w ziemi.

Dla mnie to jedna z największych radości życia – od razu po przebudzeniu wejść pod prysznic i polewać się na przemian zimną i gorącą wodą, a potem wytrzeć mocno ręcznikiem. I nawet na to człowiekowi nie pozwolą!

Latem może bym zaryzykował i wziął lodowaty prysznic, ale nie teraz, w ten wilgotny ziąb.

Cholera, przecież nawet nie chodzi o higienę, jakoś bym wytrzymał do wieczora. Tyle że bez tego nie zdołałem się obudzić i będę teraz chodził śnięty przez cały dzień!

Chociaż...

W moim pokoju hotelowym w Deeptown też jest łazienka.

Wziąć prysznic w Głębi... co za wspaniałe pomysły!

I ocknąć się wieczorem, gdy Vika wróci z pracy.

– Gówno – mówię sam do siebie. Znowu wszedłem do wanny i wydając dzikie wrzaski, oblałem się lodowatą wodą.

No i jak tam z sennością? Rozcierając ciało ręcznikiem, poszukałem w sobie resztek snu. Nie znalazłem.

Notatka wręczona mi przez Maniaka, już wydrukowana, wystawała z drukarki. Brawo, Vika. Pamięta, jak trzeba postępować z informacjami. Oderwałem kartkę, zerknąłem.

Brak numeru telefonicznego, tylko adres. Czyngis mieszka w centrum. To dobrze, niedaleko i nie będę się musiał przesiadać... Schowałem kartkę do kieszeni i poszedłem się ubrać.

No, ale o tym to Maniak mógł mnie uprzedzić.

Stałem przed ażurową metalową bramą, za którą widać było budkę ochrony i dwóch osiłków o kamiennych twarzach, w półwojskowych ubraniach. Z tyłu, za budką, był zadbane ogród, dalej budynek. Niezbyt wysoki, kilkanaście pięter, za to o dziwnym kształcie, jakby rodem z Deeptown.

– Szkoda, że nie wzięłem smokinga – mruknąłem pod nosem. Okazuje się, że Czyngis to nowy Rosjanin, czyli nowobogacki. A ja myślałem, że haker.

Wyciągnąłem rękę do bramy, która otworzyła się bezszelestnie. Na kamiennych gębach ochroniarzy pojawiły się uśmieški. Nareszcie!

Podszedłem do budki. Patrzyli na mnie z ciekawością, ale nie spieszyli się z powitaniem. Nie wyglądałem na mieszkańca ani nawet na gościa tego domu. Nie zasługiwałem na szacunek.

– Do mieszkania numer trzydzieści jeden – powiedziałem, ukradkiem zaglądając do kartki.

Mięśniaki przestrzegały iluzji uprzejmości.

– Czekają na pana?

– Nie... raczej nie.

– W takim razie o co chodzi?

Mocne chłopaki i pewnie im się tu nudzi. Przez cały dzień uśmiechać się do nadzianych facetów... można dostać skurczu szczęki. A tu przyszedł taki kłopot w przetartych dżinsach i starej kurtce, i stoi na deszczu bez parasola...

– Trzydzieści jeden? – powiedział nagle drugi ochroniarz.

– Aha...

Miny mieli kwaśne. Chyba do tego mieszkania przychodzą różni goście...

– Jak pana przedstawić? – Ochroniarz poniósł słuchawkę.

– Proszę powiedzieć, że przyszedł człowiek od... – zająknąłem się. No tak! Ileż to razy słowo „Maniak” wywoływało nieporozumienie, a teraz w dodatku mogę wyłądownać z twarzą wciśniętą w błoto. – Od Aleksandra Letowa.

– Pańskie nazwisko?

– Niczego nie powie.

Ochrona miała chyba swoje wyobrażenie o procedurze, ale na drugim końcu domofonu ktoś już odpowiedział.

– Dzień dobry – wyskandował mięśniak. – Tu wartownia. Gość do Czyngisa Siergiejewicza. Tak, jeśli można poprosić.

Czekał, zerkając na mały telewizorek, na którym bezgłośnie leciał mecz. Jego towarzysz, leżąc na kanapie, patrzył na monitory – chyba wokół całego budynku były ustawione kamery.

Ja też czekałem. Skulony pod deszczem.

– Czyngis Siergiejewicz? Tu wartownia... tak. Mężczyzna w średnim wieku, wygląda zwyczajnie, nie przedstawił się. Powiedział, że od Aleksandra Letowa.

Gdy ochroniarz podniósł głowę, w jego oczach była szczerza radość.

– Jakiego Aleksandra Letowa, co?

– Od Maniaka! – burknąłem.

– Od Maniaka – powtórzył ochroniarz w słuchawkę, mrużąc oczy. Jego towarzysz skoncentrował się, ręka legła na biodrze, tuż przy otwartej kaburze... – Jakiego znowu Maniaka?

– Proszę powiedzieć, żeby przypomnieli sobie barcę na Wyspie Wasilewskiej w Petersburgu! – wykrzyknąłem rozpaczliwie, rozumiejąc, że jeszcze chwila i trafię na posterunek, a nie do mieszkania Czyngisa.

– Mówi o jakiejś barce na Wyspie Wasilewskiej... – Ochroniarz zamilkł. – Tak. Zrozumiałem. Dziękuję. Do widzenia.

Słuchawka brzęknęła o aparat. Ochroniarz powiedział z wymuszoną serdecznością w głosie:

– Pójdzie pan tą ścieżką, potem na lewo. Trzecia klatka. Ochrona pana przepuści. Do widzenia.

Poszedłem w stronę budynku, czując na plecach przewiercające mnie spojrzenia dwóch par oczu. Czulem się tak, jakby w ostatnim momencie ulaskawiono mnie i odwiązano od krzesła elektrycznego.

Nie sądziłem, że w zwykłym, realnym moskiewskim życiu można przeżywać coś takiego.

A może...

Nie. Nie. Nawet nie wolno o tym myśleć!

Jeśli znowu miałem atak...

Nie.

To nie Głębia. Nie przestrzeń wirtualna, po której błąka się moja świadomość, budując pałace i niszcząc miasta. To zwykła Moskwa, zwykły dom nowobogackich, zwykli ochroniarze.

Wszystko w porządku, nic się nie dzieje.

Ile ten dom miał klatek – nie mam pojęcia. Może rzeczywiście trzy. Dwanaście mieszkań w każdej.

Wewnątrz natknąłem się na jeszcze jeden posterunek z dwoma ochroniarzami tak podobnymi do tych przy wejściu, jakby w realu dawno temu stworzono standardowy zestaw ciał. Nowy Rosjanin. Były inteligent. Czujny ochroniarz..

– Dokumenty – powiedział goryl tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Musiałem wyjąć dowód i czekać, aż ochroną niewprawnie stukając w klawiaturę, wprowadzi w komputer moje dane. Chyba wypełnił nawet rubrykę „płeć” i „narodowość”.

Ciekawe, czy postępują tak ze wszystkimi gośćmi? Nie wierzę. Chyba sortują według wyglądu.

– Proszę nacisnąć dwanaście – oznajmiono mi, zwracając dowód. – Winda pojedzie na czternaste.

Windy były dwie. Jak w zwykłym „lepszym” domu. Tyle że tutaj były dwie na dwanaście mieszkań.

A dlaczego właściwie, jadąc na czternaste piętro, mam nacisnąć dwunaste?

Część mieszkań jest dwupoziomowa?

I co miało oznaczać zdanie, że winda „pojedzie”? Większą część czasu windy stoją zepsute, czy jak?

Sama winda miała takie rozmiary, że można by w niej było postawić jacuzzi. Efekt uzupełniały lustrzane ściany i czarny matowy sufit. Na podłodze leżał dywan. Czysty.

Przycisków rzeczywiście było dwanaście. Każdy miał wąską szczelinę, jakby na kartę magnetyczną. Nawet na piętro nie można tak po prostu wjechać?

Ale nacisnąłem dwunaste i winda popłynęła w górę. Ze ścian rozległa się łagodna muzyka.

Do licha, co ja będę robił u tego Czyngisa? Stanę w kącie holu i żałośnie poproszę o zabronione programy, sklasyfikowane jako broń? Przypomnę mu o jakiejś barce, na której w życiu nie byłem?

Nie zdążyłem dokończyć myśli, bo drzwi windy się otworzyły.



Od razu na mieszkanie!

Był tam jeszcze niewielki przedsionek i potężne drzwi, na pewno stalowe pod drewnianą okładziną. Ale otwarte na oścież.

Ostrożnie wszedłem do holu. Kwadratowy, siedem na siedem metrów. Wysoki sufit zwieńczony czymś w rodzaju szklanej piramidy, po której bębnił deszcz. Mieszkanie naprawdę było dwupoziomowe, na drugie piętro prowadziły spiralne schodki. Pusto.

– Hej! – zawołałem. Słowo pasowało do mieszkania mniej więcej tak samo jak moje stare dzinsy. Ale jakiś efekt mimo wszystko osiągnąłem – w dwuskrzydłowych drzwiach ukazał się rasowy pies i ruszył w moją stronę.

Uwielbiam złote retrievery.

– Witaj, psie – powiedziałem przykucając. – A gdzie twój pan?

Retriever obwąchał moją dłoń i uprzejmie pozwolił podrapać się za uchem.

– Może to ty jesteś Czyngis? – zasugerowałem. – W takim razie pozdrowienia od Maniaka.

– Pozdrowienia przekazaj mnie. A on nazywa się Bajt.

Mężczyzna pojawił się w ślad za psem, tak samo bezszelestnie.

Podszedł i wyciągnął do mnie rękę.

– Czyngis.

Skąd rodzice wytrzasnęli mu to imię, nie mam pojęcia. Może miał jakichś dalekowschodnich, tatarskich przodków? Wyglądał na wzorcowego Szweda. Wysoki, mocny, ale wyraźnie jasnoskóry. Jasne włosy do ramion, nordyckie rysy. Opalony. W dresie, ale nie w chińskiej podróbce, tylko w prawdziwym adidasie, i w sportowych butach. Nigdy przedtem nie widziałem człowieka, który po mieszkaniu chodziłby w butach Reeboka. Zresztą takich mieszkań też nigdy nie widziałem.

– Leonid.

– Czemu nie przedstawiłeś się ochronie?

– A co by to pomogło?

– Logiczne. – Czyngis skinął głową. – Nie spieszysz się?

Maniera zwracania się do nowo poznanych ludzi na „ty” wydawała się u niego tak naturalna, że nie protestowałem.

– Nie bardzo.

– To dobrze... Bajt, nie zaczepiaj człowieka!

Pies wyjął nos z mojej dłoni i urażony wyszedł.

– Czego się napijesz? – zapytał Czyngis. – Rozbierz się, kurtkę powieś tutaj.

Szafa w holu miała rozmiar naszego przedpokoju. Zdejmując kurtkę, próbowałem uporządkować myśli. Nie tylko odjazd, po prostu totalny odjazd. Skąd Szurka ma takich znajomych? I co z Czyngisa za haker, z takim wojowniczym imieniem i zachowaniem ważnego mafiosa?

– Co pijesz, Leonid?

– Wszystko, co się może zapalić – postanowiłem trzymać się do końca.

– Nieźle. Chodź na razie do kuchni.

Bardzo długim i bardzo szerokim korytarzem, z obrazami na jednej i oknami na drugiej ścianie, poszliśmy do kuchni. Czyngis szedł przede mną, pod mokrym od potu materiałem dresu grały mięśnie.

Co za facet. I co za beztroska w porównaniu z panującą wokół paranoją. Przecież mógłbym wyjąć nóż i wsadzić mu między łopatki.

Zresztą nawet gdybym był mordercą i tak bym tego nie zrobił. Zabiłbym właściciela, a potem zablądziłbym w mieszkaniu. Błąkałbym się tydzień, od czasu do czasu wpadając na źródła wody – bidet i pisuar, punkty żywieniowe, jakieś czekoladowe rzeźby pod szklanymi kloszami...

Rzeczywiście, w kuchni stała czekoladowa rzeźba, mniej więcej metrowa. Tylko bez klosza. Murzynek z gałązką kakaowca w ręku. Chłopiec miał odłamane ucho – widocznie ktoś poczuł apetyt...

Za to sama kuchnia działała uspokajająco. Było w niej coś zwyczajnego. Jakby wzięto typową kuchnię, rozciągnięto na wszystkie strony i zapchano meblami z lakierowanego drewna, sprzętem AGD, opakowaniami z jedzeniem...

Za to porządek raczej kawalerski. Chyba mieszka tu sam.

– Koniak na dzień dobry?... Nie pasuje – rozmyślał głośno Czyngis. – Wódka... czemu nie?

Popatrzył na mnie badawczo i skinął głową, jakby czymś usatysfakcjonowany.

– Napijemy się. Na piwo nie mam ochoty, chociaż... ty chcesz piwo?

Oglądałem kuchnię, próbując wypatrzeć na barze w kącie kuchni krany z piwem. Znalazłem Guinness, kilkenny i jeszcze jakieś dwa gatunki...

– Jeśli alternatywą ma być wino albo whisky, to wolę piwo – odpowiedziałem dziwnym, nieswoim głosem. Przypomniałem sobie stary film o chłopcu, który nagle stał się okropnie bogaty i na środku mieszkania zainstalował automat z coca-colą, działający na kopniak...

– Sam zdecydowałeś – zgodził się Czyngis. Podszedł do lodówki, ogromnej jak wszystko tutaj. Poszperał wśród paczek w błyszczących opakowaniach i wyjął kilka plastikowych tacek z różnymi serami. – Zjesz coś?

– Na razie nie.

– Jak chcesz. Ale rozpakuj, nie stój tak. Nóż leży na stole.

Gdy otwierałem tackę, Czyngis wyjął dwa potężne kufle i zerknął pytająco.

– Na jakie masz ochotę?

– Jest czeskie? – zapytałem w nadziei, że go zapędzę w kozi róg.

– Tylko pilsner urquel.

– Może być – powiedziałem tonem człowieka używającego najlepszego jasnego piwa do mycia nóg.

Z kufłami w ręku usiedliśmy w skórzanych fotelach przed barem.

– Prosit – powiedziałem.

– Prosit – zgodził się Czyngis.

Piwo było doskonałe.

– Jesteś w porządku – powiedział nagle gospodarz, wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu. – Ciebie to wszystko nie przytłacza.

Znowu rozejrzałem się po kuchni i odkryłem jeszcze jeden szczegół – schody na górę.

– Co tam jest? – zapytałem.

– Jadalnia. Ze szklanym dachem.

Żeby mieć szklany dach w Moskwie, najpierw trzeba nabyć żelazobetonowy. Pokręciłem głową.

– Nawet boję się pomyśleć, ile kosztuje twoja chata. Żeby ją utrzymać, trzeba być pewnie milionerem.

– Niestety – powiedział bez śladu zrozumiałstwa w głosie Czyngis. – To jak, wszystko w porządku?

– Szokuje, ale da się wytrzymać.

– To dobrze. Gdy ludzie dostają oczopląsu, czuję się trochę zakłopotany. A ja bardzo nie lubię czuć się zakłopotany, Leonid... Co słysząc u Maniaka?

– Żyje i ma się dobrze. W każdym razie w Głębi.

– A gdzie teraz przebywa ciałem?

– W San Francisco.

Czyngis skinął głową. Sprawdzał mnie – otwarcie i po prostu.

– Jak sądzisz, jakie piwo by wybrał?

– Guinnessa.

– Ilu ludzi było na barce za pierwszym razem?

– Nie wiem.

Czyngis w zdumieniu uniósł brwi.

– Nie byłem tam. W ogóle nie mam pojęcia o co chodzi. Maniak kazał mi Wspomnieć o barce, jeśli nie przypomnisz sobie jego nazwiska.

– Kiedyś nazywali go Ciemny – mruknął Czyngis. – No dobrze. Jakiej pomocy potrzebujesz?

To wszystko? Ceregiele zakończone?

– Potrzebuję bojowych i ochronnych programów od Virtual Guns. Najnowszych.

Czyngis przygryzł wargę, łyknął piwa. Miał taką minę, jakby znacznie chętniej dał mi mercedesa niż dysk z programem.

– Z czego żyjesz?

– Praca usługowa w Głębi.

– Ty nie tylko tam pracujesz... ty tam żyjesz. Ale po co ci broń od VG?

– Muszę odpowiadać?

– Tak. – Czyngis odstawił pusty kufel. – Jak odpowiesz, dostaniesz zabawki...

– W takim razie powiem: na razie sam nie wiem.

– Ale z ciebie zawodnik – powiedział zadowolony Czyngis. – Jeszcze jedno pytanie... zamierzasz to sprzedać?

– Nie. Wyłącznie na własny użytek.

Czyngis w milczeniu sięgnął do kieszeni kurtki – nie zdziwiłbym się wcale, gdyby wyjął dysk z programami. Ale w rękach Czyngisa pojawiła się komórka, wielkości zapalniczki.

– Nie myśl, że mi się w głowie przewraca z przesyty. – Zerknął na mnie. – To naprawdę wygodne...

Bogaci mają swoje odchyłki. Dziwne, dzwonić z domu z komórki...

– Pat – mruknął do telefonu Czyngis. – Odklej się od kompa. Weź mój prezent i zrób kopię. Tak. Dokładnie. I zejdź do kuchni.

No, no... dzwonić z jednego pokoju do drugiego...

– Mam wrażenie, że jestem w Głębi – przyznałem się.

– Oznaka deep psychozy – zdiagnozował krótko Czyngis i schował komórkę. – Wezmiesz programy i wyjdiesz?

– Jeśli mnie wypuszczą – uśmiechnąłem się.

– Wypuszczą. Ale wolałbym najpierw z tobą pogadać, zaintrygowałeś mnie.

– Wzajemnie. – Wstałem i napełniłem swój kufel piwem. – Tym bardziej że mam do ciebie kilka pytań.

Czyngis podał mi swój kufel.

– No to pytaj. Tylko nalej czegoś.

– Znasz Padlinę?

– Znałem – odpowiedział lakonicznie Czyngis. Czyli to jednak Jeżyk miał rację, a Maniak się mylił.

– Włamywał się do New Boundaries?

– Tak. – Czyngis najwyraźniej niczego się nie bał. Zresztą człowiek, który żyje takim życiem, raczej nie miewa problemów z policją Deeptown.

– Czyngis, muszę poznać szczegóły.

– Postanowiłeś zostać hakerem, Leonid? – Czyngis uśmiechnął się ironicznie. – A może piszesz książkę o życiu wielkich hakerów?

– Padlina był wielki?

– Gdyby nie był taki leniwy, zostałby największym.

– Nigdy o nim nie słyszałem. – Nawet nie zauważyłem, że wyszedłem z roli szarego obywatela Deeptown.

– Leonid, ci, o których wszyscy słyszeli, nie są hakerami. Haker pracuje w mroku i w samotności. Haker nie zostawia śladów.

– Jesteś hakerem?

Czyngis zaśmiał się.

– Byłem. Za to chciałbym wiedzieć, kim ty jesteś. Teraz moja kolej zadawania pytań, nie sądzisz?

Skinąłem głową. Ale Czyngis nie zdążył się odezwać.

– Czynga...

Obaj odwróciliśmy się do drzwi.

– Dysk.

Chłopiec był dokładnym przeciwieństwem Czyngisa. Niezgrabny nastolatek, smagły, czarnowłosy, kanciasty, z nadętą miną, w wytartych dżinsach i białej podkoszulce.

– Daj Leonidowi dysk – polecił Czyngis. – Mam nadzieję, że jest czysty?

– Z softem. – Chłopak podszedł i podał mi dysk z widoczną niechęcią.

– Pat, wiesz, co mam na myśli. Nie będziemy śledzić Leonida, a wszystko, co jest na dysku, zadziała prawidłowo. Umowa stoi?

Dzieciak popatrzył posępnie na Czyngisa. Ten uśmiechał się krzywo. To wyglądało na doskonale im znany rytuał.

– Zaraz sprawdzę... – Pat schował rękę z dyskiem za plecy.

– Tak będzie lepiej – rzekł spokojnie Czyngis. – Prawda?

– Obiecałeś ten soft mnie! – krzyknął chłopiec. – Tylko mnie!

– Sytuacja uległa zmianie. – Czyngis nie wyglądał na zakłopotanego. – Obiecałem pewnemu człowiekowi, że spełnię jego dowolną prośbę. Obiecałem to dawno temu, gdy ty jeszcze siusiałeś w majtki.

Ze spojrzenia nastolatka zrozumiałem, że to mnie uważa za tego okropnego człowieka.

– Jasne. – Nadal trzymając dłoń z dyskiem jak najdalej ode mnie, chłopiec podszedł do baru, wziął kielich, napełnił go guinnessem i wyszedł z kuchni.

– Tylko szybko! – krzyknął za nim Czyngis.

– Nie za wcześnie dla niego? – zapytałem stropiony. Mały miał najwyżej trzynaście lat.

– Na piwo? A jak ja mogę mu zabronić? – Czyngis popatrzył na mnie zdumiony.

– No...

– Nie jestem ani jego ojcem, ani krewnym... Dobra, wróćmy do ciebie, okay?

– Zgoda. – Przygryzłem język i postanowiłem, że nie będę próbował zgłębiać pochodzenia tego koszmarnego mieszkania, zrozumieć jego mieszkańców ani stosunków panujących pomiędzy nimi. Szanuję swoje zdrowie.

– Kim jesteś?

– Na imię mi Leonid...

– Dane z metryki urodzenia możesz zachować dla siebie. Jak zechcę, to i tak się dowiem. Kim jesteś?

Zrobiłem głęboki wdech i odpowiedziałem:

– Nurkiem.

Czyngis w zadumie badał pianę na dnie kufła. Nic interesującego tam nie znalazł, więc zapytał:

– Były nurek? Prawdziwy? Nie wierzę. No proszę! Nie tylko on mnie zadziwia.

– Nie ma byłych nurków. Nie skomentował.

– Pracowałeś razem z Maniakiem?

– Czasami. Pomagał mi w kwestiach technicznych. Broń. Ochrona...

– Teraz znowu działasz?

Nie odezwałem się. Nie chciało mi się tłumaczyć, że pracy dla mnie nie ma od dawna... i raczej nie będzie. Sam powinien to rozumieć.

– Nie całkiem.

– Dobrze, nie będę cię przesłuchiwał. Ktoś cię wynajął?

– Nie.

Czyngis wstał, wziął oba kufle. Mnie nalał urquela, sobie guinnessa.

– Więc o co chodzi?

– Interesuje mnie pewna kwestia i mam zamiar ją wyjaśnić.

– Niezłe odpowiedzi... kupa informacji, jak w instrukcji dotyczącej użytkowania papieru toaletowego. Załóżmy, że to nie moja sprawa. Obiecałem coś kiedyś Maniakowi i spełniam obietnicę. Pat zaraz przyniesie dysk... – Czyngis postawił na stole kufle, nachylił się, zajrzał mi w

oczy. – Ale przecież czegoś jeszcze ode mnie chcesz. Tak? Mam rację, nurku?

– Tak.

Spojrzenie miał przenikliwe. Nie groźne, nie przytłaczające, a właśnie przenikliwe.

– W takim razie decyduj, czego chcesz się dowiedzieć i co za to dasz.

Zawahałem się na sekundę.

– Czyngis, gdzie tu jest najbliższa toaleta? Gospodarz uśmiechnął się.

– Obok. Trzy metry korytarzem. Idź i pomyśl po drodze.

Nie zgadł. Nie próbowałem grać na zwłokę, wiedziałem, że będę musiał mu opowiedzieć. Czyngis miał informacje, których potrzebowałem, i to informacje z realu, a nie z Głębi.

Ja naprawdę musiałem odwiedzić łazienkę!

Drzwi, otwierające się jak parawan, były z dębu i matowego szkła. Wnętrze mnie nie zdziwiło.

Glazura delikatnie różową niczym marzenia nimfomanki. Sufit z ciemnych luster, jak urzeczywistnienie tychże marzeń.

Nie zwykła toaleta, lecz łazienka razem z toaletą. Gigantyczna muszla klozetowa... bidet, pisuar... Rzeczywiście ma w mieszkaniu pisuar! Nieco z boku, pod mansardowym oknem, trójkątne jaccuzi. Pełne, z bulgoczącą wodą.

Przygotowany psychicznie na widok żywego krokodyla albo przynajmniej ludzkich zwłok, pochyliłem się nad jaccuzi.

Rzeczywistość okazała się jednocześnie bardziej przyziemna i bardziej zaskakująca.

Jaccuzi było wypełnione zielonymi półlitrowymi butelkami. Etykiety odkleiły się i wirowały w bulgoczących strumieniach. Włożyłem rękę – woda była lodowata – i wyłowiłem jedną karteczkę.

Piwo żygulowskie.

Chyba dość stare... jutro upływa termin ważności.

Tracę rozum. Nie może być inaczej. To nawet nie jest deep gorączka, to schizofrenia. Taki dom można znaleźć w Głębi, ale nie w centrum Moskwy!

A może... może jestem w przestrzeni wirtualnej? Może wygolę nie wyszedłem z Głębi, wymyśliłem tamto wyjście? Teraz jest przedpołudnie, Vika dawno poszła do pracy, a ja siedzę przed komputerem, zeszywniałe palce suną po sensorycznej klawiaturze podarowanej mi przez Vikę na Gwiazdkę...

Tylko mi się zdawało, że się wynurzyłem. Tylko zdawało... już tak kiedyś było...

– Głębio, Głębio, nie jestem twój... – wyszeptalem. – Wypuść mnie, Głębio...

Nic się nie stało. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Ostatnie dwa lata w ogóle o niczym nie świadczą.

Uspokoić się. Przede wszystkim muszę się uspokoić.

To nie Głębia mnie zgubi. Wirtualny świat jest obojętny, odbija to, co jest w środku nas. Nic strasznego się nie dzieje.

Poza tym jest sposób, żeby sprawdzić, gdzie jestem.

Wyjąłem z kieszeni scyzoryk, otworzyłem cienkie ostrze. Podwinąłem rękaw koszuli.

Delikatnie, samym czubkiem. Ale kiedy się najbardziej uważa... wycelowałem, żeby nie zahaczyć o żyłę, naciąłem i zasyczałem.

Cholera, jak to boli! Zwłaszcza gdy sam siebie tniesz.

Polizałem niegłęboką, ale krwawiącą ranę, wyciągnąłem z tylnej kieszeni dżinsów pudełeczko z plastrami i klnąc półgłosem, zakleiliśmy nacięcie.

To nie Głębia. Ból był zbyt silny, powinno mnie wyrzucić z wirtualności. To prawdziwy świat i prawdziwe mieszkanie. Po prostu mieszkają tu psychopaci.

Podszedłem do pisuaru i jednak zrobiłem to, po co tu przyszedłem. Ochlapałem twarz zimną wodą, posępnie spojrzełem w lustro. Czerwone oczy, lekki zarost... teraz jasne, dlaczego nie chcieli mnie przepuścić. I dlaczego Czyngis rozpoznał we mnie stałego bywalca wirtualnego świata.

Gospodarz nadal pił piwo w kuchni. Pewnie niezłe się bawi moją wizytą.

– Gotów jestem mówić – powiedziałem, siadając.

– A ja gotów słuchać.

– Wczoraj dowiedziałem się, że haker, znany jako Padlina, włamał się do kompanii New Boundaries zajmującej się tworzeniem komputerowych peryferii...

Czyngis skinął głową. Dobrze.

– Wzięli go – ciągnąłem. – Ochrona firmy okazała się niespodziewanie dobra i haker wdepnął.

– Tak było – zgodził się lekko Czyngis. – Myślę, że to Maniak tam stawiał zabezpieczenia. Poznaje jego styl.

Kontynuowałem pospiesznie, uchylając się od śliskiego tematu:

– Ochrona złapała ślad hakera i zabiła go przy próbie wyjścia. Cała rzecz w tym, że haker zginął również w realu. Jeśli odrzucimy niemożliwe zbiegi okoliczności, a trzeba je odrzucić... może to oznaczać, że ktoś opracował i uzbroił ochronę w wirtualną broń trzeciego pokolenia.

– Jak to trzeciego?

Dziwny przyjaciel Czyngisa stał w drzwiach. Z dyskiem, teraz już pewnie bez pułapek.

– Już ci to wyjaśniałem – odezwał się leniwie Czyngis. – Pierwsze pokolenie wirtualnej broni niszczy twoje programy. Drugie, na które ma zezwolenie jedynie policja, może zabić twój komputer. Przegrzanie procesora, wykasowanie BIOSa, spalenie monitora...

– Wiem, nie jestem tępy – odciął się chłopiec. Milutkie stosunki. – O trzecim pokoleniu nic nie mówiłeś!

– Bo po prostu go nie ma – odpowiedział Czyngis. – To science fiction. Broń, która zabija człowieka z przestrzeni wirtualnej, to bzdura. Absurd rodem z gazetek w rodzaju „Skandali”, kaczka dziennikarska, pogoń za sensacją.

– Ale przecież hakera zabili – sprzeciwiłem się. – Jest trup. I to jest rzeczywistość.

– Pat, oddaj człowiekowi dysk – polecił Czyngis. – I idź do jadalni. Na podłodze leży ciało. Zobacz, czy jeszcze się nie zaśmiardło... kopnij ze dwa razy w bok.

– Naprawdę mogę kopnąć? – Nastolatkowi zabłyśły oczy.

– Tak, proszę cię o to. I sam za to odpowiadam.

Chłopak płonął wewnętrznym światłem. Wcisnął mi do ręki dysk, którym tak bardzo nie chciał się dzielić, i pognął na górę po schodach.

Popatrzyłem oszołomiony na Czyngisa.

Uśmiechał się złośliwie. Nowy Rosjanin wstał leniwie, wziął z baru kryształową popielniczkę, do połowy wypełnioną niedopałkami, paczkę papierosów i masywnego ronsona. Przypalił i leniwie

podsunął paczkę mnie.

Odruchowo wyjąłem papierosa, pstryknąłem zapalniczką i omal jej nie upuściłem.

Na górze, w jadalni ze szklanym dachem, rozległ się dziki ryk.

– A więc ciało jest jeszcze zdolne do jakichś reakcji... – powiedział melancholijnie Czyngis. – To dobrze. To mnie cieszy.

Nie zapaliłem i odłożyłem papierosy.

Na górze coś upadło. Rozległ się pisk, przenikliwy jak dźwięk modemu łączącego się 115200 bod, łomot czegoś ciężkiego i brzęk tłukącego się szkła. Powtórzył się ryk.

– Nic... nic się tam nie stanie? – zapytałem. Nie czułem szczególnej sympatii do Pata i nie pragnąłem zobaczyć człowieka, który umiał tak wrzeszczeć... ale zawsze to dziecko.

– Wszystko, co mogło się potłuc, już się potłukło. – Czyngis pokręcił ze smutkiem głową. – Sufit jest wprawdzie szklany, ale to pancerne szkło.

Na schodach rozległ się tupot, cienkie drewniane poręcze zadrżały. Najpierw zobaczyłem dwie pary nóg. Jedna należała do Pata i dotykała do stopni jedynie od czasu do czasu. Druga para była bosa, goła i porośnięta rudą szczecina.

Po chwili pojawiło się całe ciało.

To był krępy facet średniego wzrostu, mniej więcej czterdziestoletni. Jego proporcje najlepiej byłoby wpisać w kwadrat. Krótka szyja kryła się pod ogromną brodą, baki wywołałyby histerię u każdego fryzjera. Za to głowa była zupełnie łysa.

Ostatnim rysem tej nowej postaci z teatru absurdu były czarne satynowe bokserki. W rude włosy na piersi zaplatał się mały krzyżyk, a wypukłe oczy kryły się za okularami w cieniutkiej złoczonej oprawie.

– Czynga!!! – Od ryku mężczyzny zakołysało się piwo w kuflach. – Kazałeś Patowi mnie kopnąć?!

– Kazałem – powiedział bez szczególnego strachu Czyngis. – Dwa razy. Posłuchał?

– On? – Facet popatrzył na swoją prawą rękę, w której wisiał Pat. – Posłuchał. Wyjątkowo upierdliwy chłopczyk. Rzadko komu udaje się kopnąć mnie po raz drugi. Co za niego chcesz?

– Twój notebook, Padlina.

Imię mnie nie zdziwiło. O jakim cieie mowa, domyśliłem się od razu. Tylko trudno było mi uwierzyć w swoje szczęście.

Zresztą czy spotkanie z takim typem można nazwać szczęściem?

Padlina w zadumie patrzył na milczącego Pata. Zdążyłem się jeszcze zdziwić takiemu opanowaniu chłopca, nim zauważyłem, że właśnie wbija zęby we włochatą rękę hakera.

– Nie... nie jest tego wart – powiedział Padlina, strząsając dzieciaka. Gdy Pat znalazł się na podłodze, uskoczył w bok i zaczął płuć.

– Przynajmniej przywitaj się z gościem – zaproponował Czyngis.

Padlina powoli przesunął spojrzenie na mnie. Stęknął i zaczął mówić normalnym, nieco tubalnym głosem.

– Proszę o wybaczenie. Moja nazbyt emocjonalna reakcja została wywołana wczesnym i nieco niezwykłym przebudzeniem.

Wstałem, nie próbując już analizować wydarzeń.

– Leonid – przedstawiłem się.



Padlina starannie wyważając siłę, uściśnął mi rękę.

– Padlina. Pozwolisz?

– Co? A, tak...

Haker wziął mój kufel, napił się i skrzywił.

– Znowu pijecie te pomyje... Czynga, draniu, na jaką cholerę kazałeś mnie kopnąć temu chłopakowi? W dodatku dwa razy?

– Przecież jesteś trupem, Padlina. Nie czujesz bólu. A poza tym... – Rozwalony w fotelu Czyngis skinął na posępnego Pata. – Pat od dawna był ciekaw, czy obudziłbyś się od kopniaka.

Chłopiec zanurkował za jego fotel ze zdumiewającą szybkością, ale Padlina chyba nie miał zamiaru go ścigać.

– Dlaczego trup? – zapytał, drapiąc się po piersi.

– Zabili cię. W wirtualności, z broni trzeciego pokolenia. I umarłeś naprawdę.

Czyngis roześmiał się. Padlina nie.

– Zabili – potwierdził. – Naprawdę. I rzeczywiście z Głębi. Ale nie mnie.

Odstawił mój pusty kufel i wyszedł na korytarz. Po chwili zabręczały wyciągane z wanny butelki.

Zerknąłem na Czyngisa i Pata. Na twarzy chłopca zauważyłem ożywienie i radość. Czyngis miał nieprzeniknioną minę.

– Science fiction? – zapytałem.

Gdy haker wrócił z łazienki, był prawie ubrany. W luksusowy szlafrok, co prawda nieco przydługi i zbyt wąski w ramionach, najwyraźniej należący do gospodarza. Na nogach miał klapki – bardzo małe. Pięty i część stopy wystawały.

W każdej ręce Padlina trzymał po dwie butelki zygulowskiego.

– Znowu chłodziłeś piwo w jacuzzi? – zapytał retorycznie Czyngis.

– A bo co? – burknął Padlina. – W lodówce nie ma odpowiedniej temperatury. Tylko bieżąca woda nadaje piwu właściwy smak.

– I masz na sobie mój szlafrok.

– Żałujesz mi? Zupełnie żeś się rozpaskudził. – Podsunął do nas jeszcze jeden fotel, usiadł, założył nogę na nogę. Palcami odkapslował piwo, chciwie wpił się ustami w szyjkę.

– I moje klapki! – pisnął Pat.

– Tiu, tiu, tiu! – przedrzeźnił go Padlina. – Ktoś jadł z mojej miseczki, ktoś siedział na moim krzeselku, ktoś sformatował mojego twardziela... Pieprzony inteligent!

– Padlina, nie gadaj tyle – powiedział spokojnie Czyngis. – I nie klnij przy dziecku, bardzo cię proszę.

– Gdybyś ty słyszała... – Padlina przechylił butelkę, opróżnił do końca, odstawił na stół – ...co to dziecko powiedziało mi wczoraj wieczorem!

– Wieczorem! Ha! – oburzył się Pat. – Wpół do trzeciej! Przyszedłeś pijany w cztery dupy!

– Widzisz? – Padlina otworzył drugą butelkę.

– Słyszę – skinął głową Czyngis. – Pat, zaraz umyjemy ci język mydłem.

– Był pijany! I próbował... – chłopiec zamilkł na chwilę, jakby szukając właściwego słowa – prostytutkę przenieść! W torbie!

– Poważnie? – zachwycił się Czyngis. – W torbie?

– Tak!

– Niech cię diabli – rzekł Padlina, odstawiając drugą butelkę. – Zdrajco! Ale dobrze, to mi rozwiązuje ręce. Może opowiesz, gdzie byłeś w Deeptown w zeszłym tygodniu? I co tam robiłeś?

Pat zaczął szybciej oddychać i bardzo niepewnie zaprotestował:

– Nie wiesz. Nie możesz wiedzieć.

– Wiem. To jak, powiedzieć?

– Wyczyściłem wszystkie twoje skrypty!

– Tiu, tiu, tiu. Wyczyściłem. Jak wyczyścisz, podaruję ci swój notebook.

Chłopiec i dorosły patrzyli na siebie z takimi minami, jakby mieli chwycić za noże. Panie Boże, obaj to wariaci! W dodatku jeden małoletni!

– Kłamiesz – powtórzył uparcie Pat.

– Chodź. – Padlina wstał, podszedł do Pata i wziął go pod pachę. – Jednego trojana ci oddam. Dla przykładu. Dalej szukaj sam.

– Padlina, unikasz rozmowy... – przypomniał Czyngis.

– Trzy minuty – zapewnił Padlina, oddalając się z chłopakiem pod pachą i butelką w rękę. – W

celu zmniejszenia buty małolata i nauczania go szacunku dla starszych.

– Trzeba będzie poczekać – westchnął Czyngis. – Nie zaryzykuję powstrzymania go. Leonid, nalać ci piwa?

– Dlaczego Padlina pije żygulowskie?

– Lubi. Prosta odpowiedź?

W milczeniu wziąłem kufel. Czwarty z rzędu. Gdybym wypił tyle żygulowskiego, czułbym się nieciekawie.

– Padlina potwierdził, że kogoś zabili – powiedział Czyngis. – Przepraszam za moją nieufność, dopóki nie ma Pata. Zdenerwowałby się, że to ty miałeś rację, a nie ja.

– Nie szkodzi. Mnie też było ciężko uwierzyć.

– Jakie widzisz konsekwencje, nurku?

– Śmierć z Głębi to śmierć Głębi.

– Moim zdaniem nie.

– Zastanów się. Deeptown zawsze był wolnym terytorium, światem o szczególnych prawach, z własną moralnością i własną kulturą. Stosunek do przestępstw był tu szczególny. Przywykliśmy, że można zamknąć rozmówcy usta programem wirusowym, że włamanie do czyjegoś kompa to nie przestępstwo, lecz sztuka, że podrobienie karty kredytowej to powód do chwalenia się przed przyjaciółmi.

– Zabójstwo to co innego. Jeśli wiesz, że twój wystrzał nie zawiesi komuś kompa, tylko zatrzyma serce....

– Czyngis, powiedz, dałbyś broń trzeciego pokolenia Patowi?

– Jeszcze nie zwariowałem.

– A ilu takich chłopaczków włóczy się po Deeptown?

– Nie sądzę, żeby każdy szczeniak mógł zdobyć...

– Padlinie byś zaufał? – zapytałem.

– Nie bądź taki szybki w osądach – pokręcił głową Czyngis. Padlinie można by nawet powierzyć przycisk jądrowy. Zresztą i tak ma do niego dostęp, nawet bez wiedzy prezydenta.

– Czyngis, masz ochronę?

Czyngis uśmiechnął się.

– Założmy.

– Jasne, że masz. W takim czy innym stopniu. I na pewno masz wrogów.

– Wrogów mają wszyscy. Bez tego nie da się żyć. A tak w ogóle... niektórzy wrogowie mogą być takim samym powodem do dumy jak przyjaciele.

– Ale wchodzisz w Głębię, prawda? A jeśli ktoś zleci twoje zabójstwo? W realu to jasna sprawa. Grozi poważnymi nieprzyjemnościami. Zemstą. A co można przeciwstawić wystrzałowi z Głębi? Gdzie nawet nie zostają żadne ślady? Gdzie nie działają zwykłe prawa? Gdzie...

– Wszystko rozumiem. – Czyngis machnął ręką. – Wystarczy, przekonałeś mnie. Ja tylko nie chcę tego przyjąć do wiadomości.

– Ja też. Dlatego się szarpię.

– Myślę, że już za późno. Każdy program, który pojawi się w Głębi, staje się dostępny całej Głębi.

To tylko kwestia czasu.

Wrócił Padlina z Patem. Chłopiec włókł się za hakerem z taką miną, jakby dostał lanie.

– Kto wygrał zakład? – zapytał Czyngis.

– To nieuczciwe! – wykrzyknął Pat. – Ten terminal był wbudowany w program antywirusowy! Który Padlina sam mi dał! Dla ochrony przed innymi hakerami!

– Ja daję, ty sprawdzasz. – Padlina schował kolejną pustą butelkę pod stół, otworzył ostatnią. – Przynieś piwo.

– To nieuczciwe! No, przecież to nieuczciwe! – gorączkował się dalej mały. – Oszukałeś mnie!

– O co chodzi? Program cię ochronił? Jeszcze jak. Jakies pretensje? To, co dostałeś od przyjaciół, sprawdzaj w pierwszej kolejności! Przynieś piwo!

– Opowiadaj, Toha. Wystarczy tych głupstw. – Ton Czyngisa lekko się zmienił. – A ty, Saszka, przynieś mu to piwo.

Wystarczyło, żeby gospodarz przeszedł z przezwisk na imiona by zachowanie szalonej pary natychmiast się zmieniło. Pat zamknął się i poszedł po piwo. Padlina westchnął i pogładził ogoloną głowę.

– Jestem głodny, Czynga...

– Opowiadaj, a ja ci podgrzeję parówki.

– Wsadź tylko do mikrofalówki, żeby się lód stopił.

– Jak chcesz. Mów. – Czyngis wstał, podszedł do lodówki i wyciągnął długą girlandę parówek.

– Miałem zamówienie na włamanie. – Padlina wzruszył ramionami. – Nic szczególnego... prócz zleceniodawcy.

Przyszedł Pat, przyciskając do piersi mokre butelki. Padlina opowiadał, rozstawiając je na stole.

– Jak mnie znalazł, nie wiem. Nie zwierzał się. Wiesz, że ze mnie prosty facet, i nie żądam rekomendacji, jeśli ktoś pcha się z forszą.

– A niesłusznie. – Czyngis wpychał parówkowy biczą do mikrofalówki. – Jak cię znalazł? W realu czy w Głębi?

– W Głębi naszej ukochanej... Siedziałem sobie w Deeptown, w jednej knajpie, kiedy podszedł i wyłożył kawę na ławę. Okazało się, że jest nurkiem.

Załomotało mi serce.

– Więc to jest ten zleceniodawca – stojąc przy szumiącej mikrofalówce, powiedział Czyngis. – Nie zestawiałem obu historii... wal dalej.

– Saszka, zmień koszulę, jesteś cały mokry – poradził chłopcu Padlina. Otworzył następne piwo i westchnął. – Początkowo niewarte to było złamanego szeląga. Włamanie, kopiowanie, wyjście... czyste wyjście, bez żadnych pułapek na przyszłość. Procent ze zdobytych pieniędzy, no i pięćset zielonych w każdym przypadku.

– Jesteś pewien, że ten człowiek to nurek? – zapytałem.

– Absolutnie. Zademonstrował mi wszystkie ich sztuczki, wejście i wyjście na komendę, niewrażliwość na ból... i tak dalej.

– Padlina, wiesz, że on mógł po prostu siedzieć przy komputerze bez deep programu...

– Nie mógł. Co to, czy ja nurków nigdy nie widziałem? Albo tych, którzy próbowali chodzić po Głębi bez deepu? To był nurek. Chciał się włamać do New Boundaries, a to była praca dla hakerów,

nie dla nurka.

– Dla nurków nie ma już żadnej pracy – powiedziałem. – Nie są nikomu potrzebni.

– Ten się jakoś zaadaptował. – Padlina wzruszył ramionami. – Nie był na spowiedzi, więc szczegółów nie znam. Powiedziałem, że w to wchodzę. Dogadaliśmy się co do ceny i warunków. Zrobiłem wywiad. Ochrona była standardowa, nic szczególnego. Nie widziałem najmniejszego sensu, by ich okradać. Tylko ten nieszczęsny nurek... potrzebował na gwałt projektu Sweet Immersing. Projekt składał się z dwóch rozdziałów: Deep Box i Artificial Nature. Najlepiej, żeby zdobyć oba, ale zleciodawca zgadzał się na samą Artificial Nature. Dwukrotnie podkreślił, że ta część informacji jest ważniejsza. No to poszedłem. Wziąłem ze sobą jednego chłopaczka i poszedłem.

– Co to za chłopak? – zainteresował się Gzyngis. Mikrofalówka w końcu przestała szumieć.

– Nie znasz. Naiwny, mało zdolny, ale uparty. Ciągłe prosił, żeby go wziąć na ucznia. Myślał, że uczę ich czegoś dobrego...

Pat zachichotał, ale Padlina spojrzał na niego takim wzrokiem, że chłopiec natychmiast ucichł.

– Już nie żyje – powiedział ostro haker. – Zamęczył mnie swoim uporem. No więc postanowiłem go wziąć na to włamanie. Niebezpieczeństwa nie było, a przynajmniej zobaczyłbym go w akcji.

– I co się stało? – Czyngis przygryzł wargę. – Padlina, szybciej, zlituj się, na Boga!

– Boga wam nie załatwię, ale nie będę przeciągał. – Lekkiemu bluźnierstwu towarzyszyło otworzenie kolejnej butelki. – Ogólną ochronę kompanii przeszliśmy czysto. Co nieco chłopiec nawet sam otworzył. Trochę mu pomogłem... miał zadatki, niewielkie, ale miał. Mieliśmy przygotowane ciała pracowników firmy, wszystkie ich hasła... normalka. Bez problemów doszliśmy do gabinetu Sweet Immersing. Kod dostępu też mieliśmy. Miało nie być żadnych problemów! Ja zostałem na korytarzu, on wszedł, mieliśmy trzy minuty na wyciągnięcie plików. Wyjął i już prawie otrzymał operacyjny dostęp, gdy zadziałał jakiś skrypt.

– Jak to wyglądało?

– Stalowe drzwi, które spadły z sufitu. Okna widocznie już się zamknęły. Wycie syren, ochrona... normalka. Ochrona była podwójna – i na hakerów, i na nurków. Nurek by zdechł.

– Haker też zginął – przypomniałem.

– Nie od razu, Leonid. Wyciągnąłem go.

– Jak?

– Wyważyłem drzwi – uśmiechnął się Padlina. – Smarkacz trochę spanikował, ale transfer plików przeprowadził do końca. Ja nie miałem czasu, żeby ściągać dane. Przebiłem wyjście prosto na ulicę i zacząłem osłaniać chłopca, żeby zdążył wyjść. Od razu wyskoczył, oczy wytrzeszczył i jazda... pewnie się wystraszył.

– Skąd wchodziłeś? – zaciekał się Pat.

– Z jednej deep kawiarni. – Padlina zerknął na chłopaka. – Skocz, przynieś fajki...

– Tylko nie opowiadaj beze mnie!

Gdy Pat znikł na schodach, haker szybko powiedział:

– Zrobiłem z siebie idiotę. Za bardzo mnie poniosło. Pierwszą linię ochrony robiła sama firma. Cieniasy. Trzech żywych ludzi i ze dwadzieścia programów. A mnie poniosło. Trzeba było wyjść od razu za chłopakiem, zabrać dane i uciekać, a mnie się zachciało postrzelać. Debil.

Wrócił Pat. Padlina wziął od niego paczkę białomorkanałów, [nazwa papierosów bez filtra o specyficznym smaku] wyciągnął papierosa i tym samym tonem powiedział:

– Nie było innego wyjścia musiałem stać do końca. Pierwszą linię odbiłem. Położyłem ze trzydziestu ludzi. Co się tak gapisz, Pat?

Dzieciak, wpatrujący się w niego płonącymi oczami, rozpaczliwie pokręcił głową.

– Potem zrobiło się niewesoło – westchnął Padlina. – Pojawiło się dwa razy więcej ochroniarzy. Część otoczyła budynek, część zaatakowała mnie... Pat, a gdzie zapalki?

– Przecież masz zapalniczkę! – zapiszczał chłopak.

– Nie używam gazu! To profanacja świętej idei wiecznego ognia! Trzeba przypalać zapalkami, do licha!

Pat znowu skoczył na górę po schodach. Padlina zniżył głos i uściślił:

– Było ich siedmiu. Wszyscy wyżyli. Moje programy ich nie brały.

– Zupełnie? – zdumiał się Czyngis.

– Absolutnie. Nawet nie ogłuszały. Nie wiem, skąd taka ochrona, ale to było tak, jakbym stał goły przed czołgami.

Wrócił Pat, w biegu otworzył pudełko, pstryknął zapalką, podał Padlinie. Haker przypalił i pobłażliwie skinął głową. Dopił kolejną butelkę i powiedział:

– Pograłem sobie trochę z tymi lamerami... no i wyszedłem, cicho i spokojnie...

Pat zaśmiał się uszczęśliwiony. Siedział obok Padliny i nie widział grymasu, który zrobił haker.

– A chłopca dogonili. Pięć minut później, na placu Billa Gatesa. I rozstrzelali. Ludzie się pogapili i poszli, ciało zabrano do autopsji.

Pięść Padliny gruchnęła w stół.

– Skąd ja to mogłem wiedzieć, do ciężkiej cholery! Skąd mogłem wiedzieć, że trzecie pokolenie broni już istnieje?!

Czyngis postawił przewrócony kufel – nie ma to jak w porę dopić piwo – i zapytał:

– Jesteś pewien, że on zginął w realu?

– Tak. Znałem go. Spotkaliśmy się parę razy. Zupełny szczeniak, nie miał jeszcze siedemnastu lat. Jak tylko uciekłem, od razu zacząłem do niego dzwonić. Było zajęte. Wchodził przez linię telefoniczną, wyobrazasz sobie? W naszych czasach ktoś wchodzi przez telefon!

– Jesteś pewien? – głos Czyngisa nabrał niebezpiecznej mocy.

– Tak! Od razu do niego pojechałem. Routery routerami, ale może chłopaka wyśledzili? A skoro tam była taka ochrona, to wszystkiego można się spodziewać... nawet wizyty glin.

– Po jakie licha wciągałeś w to chłopaka? – Czyngis zapalił, ja też wziąłem papierosa. – Skoro wiedziałeś, że to dziecko?

– Miał doświadczenie we włamach! – odgryzł się Padlina. – To co, opowiadać dalej, czy już wszystko wiecie?

– Opowiadaj – poprosiłem.

Padlina przyjechał do chłopaka po dziesięciu minutach. Mały mieszkał niedaleko deep kawiarni, z której działał haker. Rodzice chłopca znali go i wpuścili, chociaż znajomy syna nie budził zbytniego zachwyty.

Dzieciak siedział przy swoim kompie, w hełmie i kombinezonie, z rękami wczepionymi w

klawiaturę...

– Nie wysłedzili go. – Padlina posepnie gniótł w rękę niezapalonego papierosa. – Już szli, ale nie zdążyli. Włączyłem natychmiastowe wyjście z Głębi... tylko nie miał już kto patrzeć na kolorowe błyski. Wezwano pogotowie, ale było za późno.

– Jak on umarł? – zapytałem. Czułem się podle. Zbyt realnie wyobraziłem sobie nieznanego chłopca. Pewnie patrzył na Padlinę z takim samym zachwytem jak teraz Pat. Zresztą Pat patrzył akurat pod swoje nogi. Szurał stopą po podłodze, próbując albo przedziurawić ceramiczne płytki, albo powiększyć dziurkę w skarpetce do rozmiarów wielkiego palca.

– Paskudnie umarł – powiedział posepnie Padlina. – Tetania.

– Tetania? – zdumiał się Pat. – Co to znaczy?

– Gdy wszystkie mięśnie jednocześnie ściskają się w skurczu. Chyba po prostu się udusił.

– Może na coś chorował? – zapytał Czyngis. – Może na przykład miał epilepsję? A tu zdenerwowanie, adrenalina, pogoń, strzelanina... i nie wytrzymał. Zwykły zbieg okoliczności.

– Rodzice twierdzili, że był absolutnie zdrowy. Niewiele mówili, ale te słowa matka powtarzała przez cały czas.

– Co miał w logach? – Czyngis nie był nastrojony lirycznie.

– Nie patrzyłem na logi, Czynga. Logi mnie najmniej interesowały. Zauważyłem, że na kompie zdobyczy nie ma, więc nie zdążył ściągnąć plików. Znalazłem u niego program, stary, ale pewny, Pure Conscience, włączyłem i wyszedłem. Rodzicom powiedziałem, że rozmawialiśmy w Głębi, gdy nagle chłopak zamilkł i przestał się ruszać.

– Wszystko jedno, Padlina. Wcale nie jest powiedziane, że szczeniaka zabili właśnie z Głębi. Ile już było takich przypadków? Zawał, wylew...

– Zabili go. Czuję to. – Padlina wziął nową butelkę. – Nadchodzi nowa epoka, Czynga. Cholerna. Teraz w Głębi zaczną zabijać naprawdę.

– Słyszałeś, Pat? – Czyngis popatrzył na chłopca. – Twoje przechadzki po Deeptown dobiegły końca.

– Nie!

– Tak. – W głosie Czyngisa pojawił się lód. – I nie kłóć się. Jutro zdejmą u nas światłowód. Po prostu fizycznie obetną i wyniosą. Modemy z komputerów też wyjmę. A ty unikaj nieporozumień.

– Ja nie hakuję!

– Ale o niczym innym nie marzysz. I już próbowałaś. Za drobne gierki z fałszywymi kartami kredytowymi oczywiście cię nie zabiją. Ale wcześniej czy później zachce ci się prawdziwych wyczynów... i dostaniesz kulkę z Głębi.

– Przecież mnie pomścisz – burknął Pat.

– Wolałbym nie mieć powodów – powiedział z nieoczekiwaną czułością Czyngis. – Nie lubię jeździć na cmentarz i kłaść kwiatów na grobie.

Zerknął na Padlinę.

– A ciebie, stary łajdaku, jeszcze to czeka! Będziesz się teraz długo modlił, żeby odkupić grzechy. Wciągnąłeś gówniarza we włamanie i nie przewidziałeś możliwych trudności! Po prostu założyłeś, że w małej firmie nie będzie poważnej ochrony!

– Tak jest! – ryknął Padlina. – Jestem winien! Ale czy zawsze można wszystko przewidzieć?

Chłopak też był w Głębi nie po raz pierwszy! Dwa lata temu włamał się do Al Kabaru!

Tetania, tak to się nazywa?

Gdy zaczynają drżeć ręce, gdy nogi lodowacieją, a szczęki łapie skurcz i nie można wykrztusić ani słowa?

– Zwykle przechwałki małolatów – skrzywił się Czyngis. – Nie słyszałeś nigdy, jaki kit Pat wciska swoim kumplom?

Nie, to nie to. Przecież mogę oddychać, płuca sprawnie wsysają przesączone dymem powietrze. Widzę, jak kołysze się piwo w kuflu, który jakimś cudem nie wypadł jeszcze z mojej ręki. I serce dalej bije, może momentami tłucze się w histerii, ale bije, przetacza krew, co zrobić, boli nie boli, pracować trzeba...

– Jak on się nazywał? – zapytałem, wydawało mi się, że zupełnie normalnym tonem, ale cała trójka drgnęła.

– Nie podaję nazwisk... – zaczął Padlina.

– Jemu powiedz! – rozkazał ostro Czyngis.

– Romek.

– Włamał się do Al Kabaru – potwierdziłem. – Dwa lata temu. Miał piętnaście lat... tylko ja wtedy o tym nie wiedziałem...

– Kim jesteś, Leonid? – wytrzeszczył oczy Padlina.

– Nu-nurkiem. – Nagle zacząłem się jękać. – Romek też był nurkiem. Potem stał się nikiem. Ja się z tym pogodziłem. A on chyba postanowił zostać hakerem...

– Psiakrew, prawdziwy nurek! – wypalił Padlina. – W realu! Prawdziwy! Żywy nurek!

Zabawne. Bardziej go dziwi moja miniona przeszłość niż niedoszła przyszłość Romka...

Prawie pełnym kuflem piwa, przechylając się przez stół i zmiatając butelki, rąbnąłem Padlinę w gębę.

I poczułem, że wzlatuję w powietrze.

Siła działania równa jest sile przeciwdziałania – to prawo jest słuszne jedynie dla obiektów fizycznych. Z biologicznymi sprawa jest bardziej złożona.

Zwłaszcza gdy pięść, przyłożona do twojej głowy, ma mniej więcej jej rozmiar.

– Hej, nie tutaj, głupku! Nie do bidetu!

To Czyngis.

– Dlaczego? Do mycia bardzo wygodny! To Padlina.

– A może dać octu do powąchania?

To Pat.

Lodowata woda. Butelki żygulowskiego na dnie jaccuzi.

Oto jak kończą bezczelni nurkowie. Topi się ich w wannie z piwem. Nie mam już czym oddychać...

Zebrałem resztkę sił i spróbowałem się wyrwać. I natychmiast zostałem wyciągnięty z wody.

– Żyjesz? – zapytał z niepokojem Czyngis. – W oczach ci się nie dwoi?

To on mnie wciskał do jaccuzi.

Padlina stał z boku i pocierał policzki; na jednym z satysfakcją dostrzegłem siniaka. Jedno szkło w



okularach było pęknięte. Spojrzenie miał zakłopotane.

– Możesz mówić? – z jeszcze większym niepokojem zapytał Czyngis.

– Tak... – wykrztusiłem. Bolała mnie szczęka, z nosa płynęła krew. Woda w wannie nabrała różowego odcienia.

Ale mówić mogłem.

– Sam jest sobie winien! – z tupetem wezwanego na dywanik ucznia wykrzyknął Padlina. – Ja mam odruchy, cholera! Dostałeś, to oddaj!

– Zabiłeś Romka... – powiedziałem. – Ty pieprzony hakerze...

– Nie zabiłem go!

– Ty żyjesz. A Romek jest mart...

Czyngis wsunął mi głowę do jacuzzi tak zręcznie, że zachłysnąłem się końcem zdania – i natychmiast wyjął.

– Hej, Lonia, nie mów tak. Jeśli Padlina nie rozdziera na sobie szat, to nie dlatego, że śmierć chłopaka go cieszy. Widział zbyt dużo śmierci, rozumiesz? A Romek był dla niego jednym z setki hakerów! Ochłoń!

– Naprawdę bardzo mi go szkoda – powiedział Padlina i zdjął okulary. Spojrzenie miał teraz krótkowzroczne i bezbronne. – Nurku... walnij mnie teraz, jeśli chcesz. Powściągnę swoją naturę.

– Przecież pojechał do chłopaka od razu – powiedział łagodnie Czyngis. – I jeszcze zadzwonił do mnie po drodze, uprzedził, że może trzeba będzie schować jednego żółtodzioba przed policją. Pieniądze, fałszywe dokumenty...

– Nie wiedziałem, że to gównno już istnieje. – Padlina stał, czekając na cios. – Broń trzeciego pokolenia... No, uderz. Ulży ci. Wiem.

– On naprawdę umarł? – zapytałem. Chciało mi się płakać, ale bardzo trudno jest płakać z mokrą twarzą.

– Naprawdę.

– Szybko?

– Nie sądzę – odpowiedział Padlina po chwili wahania. – Śmierć miał gównianą, nurku. Wybacz, ale to prawda.

Wyrwałem się z rąk Czyngisa i podszedłem do hakera.

Padlina po dziecięcemu zamknął oczy.

A ja siadłem w kucki obok luksusowego bidetu i zacząłem płakać.

Było mi bardzo źle. Czuję się podle.

Słyszałem, jak wychodzą z łazienki, a ja długo tam jeszcze siedziałem, płacząc i wycierając łzy, i obmacując bolącą szczękę, zanim mojego ramienia dotknęła czyjaś ręka i zrozumiałem, że jednak nie jestem sam.

– To był twój najlepszy przyjaciel?

– Nie... nie wiem – wyszeptałem. – Raczej nie.

Pat usiadł obok.

– Nie płacz – powiedział poważnie. – Romek przecież zginął w boju. W Głębi. Jak prawdziwy haker. Więc jednak został hakerem. Chciał nim zostać i został.

– Chłopcze, śmierć to żaden zaszczyt...

– Wiem. Padlina też tak mówi. I Czynga. Ale Romek przecież wiedział, że będzie niebezpiecznie.

– Chyba wiedział... nie był do końca hakerem. Nie ta mentalność.

– Ale poszedł. Dla niego to było bohaterstwo. Więc zaryzykował. I zwyciężył.

– Przegrał, mały. Przegrał.

– Naprawdę?

Popatrzyłem na Pata, nawet nie wstydząc się łez. Zbyt długo siedział obok, słuchając, jak beczę. Zbyt długo, bym miał się jeszcze czegokolwiek wstydzić.

– O czym ty mówisz?

– Nikt przecież nie wiedział, że to już jest. Ta broń. Teraz wiemy wszyscy. Romek nas jakby uprzedził.

Na oko zwyczajny dzieciak. Nie podejrzewałbyś w nim ani umiejętności współczucia obcym ludziom, ani daru przekonywania.

– Po kim jesteś taki mądry, koleś?

– Nie wiem – wzruszył ramionami Pat. – Tata jest ślusarzem. Mama tynkarzem. Dziadek był nauczycielem, chyba tylko po nim.

– Chodźmy. – Wstałem i ochlapałem sobie twarz wodą z jacuzzi. Wziąłem kilka butelek i obaj poszliśmy do kuchni.

Jak się okazało, nie wszystkie stojące na stole butelki z żygulowskim rozbiłem. Część ocalała. Postawiłem przed Padliną te, które przyniosłem. Podgrzane, ale już zimne parówki leżały na talerzykach. Większość przed hakerem, pozostałe przede mną i Czyngisem.

– Dzięki, bracie. – Padlina nadal trzymał okulary w ręku. Teraz włożył na nos, jakby na znak, że nie spodziewa się już ciosu. – Nie miej do mnie żalu. Nie chciałem, żeby twojemu przyjacielowi stało się coś złego.

– Sam jestem nie mniej winien – powiedziałem, zajmując swoje miejsce. Popatrzyłem w okno. Już ciemniało. – Czyngis...

– Żaden problem – rozłożył ręce gospodarz. – Zostań. Też bym nie zaryzykował pojawienia się w domu w takim stanie.

– Te moje odruchy – powiedział Padlina, zrywając kapsel z butelki. – Nawet do psychoterapeuty chodziłem... Oducz mnie, mówię, walić w mordę bez zastanowienia...

– Nie zdołał? – zapytałem, masując szczękę.

– Powiedział, że to niemożliwe... no więc się nie powstrzymałem – burknął Padlina. – Dlaczego mówisz, że jesteś winien?

– Znałem Romka tylko wirtualnie – powiedziałem. Było tak, jakbym skakał do zimnej wody. – Gdy nurkowie znikli jako zawód, wszyscy się rozeszliśmy. Jemu musiało być bardzo trudno. Był małym chłopcem, ale już pewnie przywykł ją trzymać rodzinę, rozumiecie? No i sam też... prowadził dziewczyny do baru, dobrze się ubierał, płacił za drogie liceum... w zwykłej szkole nie miałby co robić.

– Prosił cię o pomoc? – sposepniał Padlina.

– Tak. Nie o pieniądze oczywiście. Po prostu szukał innego zajęcia w Głębi. Zdolności do matematyki nie miał żadnych. Nurek był z niego wspaniały, z iskrą bożą, ale haker kiepskiuchny.

Chciał się zająć projektowaniem i tu mógłbym mu pomóc.

– I co? – spytał Czyngis.

– A ja to jakoś tak olałem. Nie miałem kiedy się nim zająć. Pomyślałem, że chłopak przeżyje bez wirtualności. Że wyjdzie mu to na zdrowie. A on nie mógł już bez niej żyć. Chociaż był nurkiem.

– Nikt z nas nie może... – Czyngis wstał, otworzył lodówkę pod barem i wrócił z butelką wódki. Pat, nie czekając, aż go poproszą, skoczył po dwa kartony soku.

– Słusznie. – Padlina odstawił piwo.

Nie odzywałem się, patrząc, jak Czyngis nalewa do dużych, stugramowych kieliszków duńską wódkę. Pat w milczeniu nalał wszystkim soku.

– Nalać ci? – zapytał chłopaka Czyngis.

– Tak. A można?

Pat nie przejawiał normalnego nastoletniego entuzjazmu z powodu legalnego alkoholu. Albo bardzo dobrze udawał.

Podnieśliśmy kieliszki. Pat przykucnął przy stole i już wyciągał rękę, żeby się stuknąć, ale w porę się spostrzegł i ją cofnął.

– Za hakera Romana, który umarł jak przystało na hakera – powiedział Padlina i popatrzył na mnie.

– Za nurka Romka, który pozostał nurkiem – dodałem.

– Za człowieka, który odszedł – powiedział krótko Czyngis.

– Niech Głębia będzie dla niego dobra. – Pat popatrzył niepewnie najpierw na mnie, a potem na Padlinę.

Skinałem głową. Wypiliśmy.

– Nie można przeżyć życia za drugiego człowieka – powiedział Czyngis. – Leonid, nie dręcz się.

– Przeżyć można – burknął Padlina. – Ale to znaczyłoby ukraść komuś życie. A co w tym dobrego?

Nie odezwałem się. Obaj mieli rację. Tylko że gdzieś jest jeszcze inna racja: że każdy przyjaciel, który umarł – w Głębi czy realu – to jakaś tam twoja wina.

– Jutro jest pogrzeb – powiedział nieoczekiwanie Padlina. Leonid, pójdiesz?

Pokręciłem głową.

– Nie.

– Dlaczego?

– Znałem go tylko w Głębi, a on tam żyje. Do tej pory. Nawet jeśli to Głębia go zabiła.

Czyngis popatrzył na mnie badawczo.

– Czyżby? To nie wirtualność nacisnęła spust. Nie ma czym nacisnąć. Leonid... pomyśl o czymś innym. Twojego przyjaciela zabili z broni, której istnienie wydawało się niemożliwe.

– Tak. Pat już mi to mówił.

– Pat to mądry chłopczyk. A drugi krok już zrobiłeś?

Popatrzyłem na niego.

– Leonid, jeśli przyjdiesz do małej firmy na peryferiach Moskwy po to, żeby wypchać sobie kieszenie spinaczami biurowymi i gwizdnąć kawałek mydła w toalecie... a ochrona zacznie strzelać do ciebie z laserów, to co wtedy pomyślisz?

Był bardzo poważny.

Nagle poczułem dreszcz. Stado pijanych mrówek przebiegło mi po skórze. Jakbym otworzył szafę i w jedynym porządnym garniturze znalazł szkielet.

– To były bardzo ważne pliki – powiedziałem. – Na tyle ważne, że mimo przyciągnięcia do ochrony najlepszej firmy produkującej broń wirtualną użyto jakiegoś tajnego opracowania. Wojskowego. Rządowego...

– Albo korporacyjnego... – poprawił Czyngis. – Twarde, zorientowane na zysk korporacje ostro pilnują swoich tajemnic. Różne tam CIA i GRU tylko biorą z nich przykład.

– Co może być ważniejszego od takiej broni, Czyngis? To erupcja niewyobrażalnej mocy. Zmiana całego stosunku do komputera, do Głębi! Co może być ważniejsze?

Czyngis i Padlina popatrzyli na siebie.

– To ty masz się dowiedzieć, nurku – powiedział posępnie Padlina.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ja spod tych kul uciekłem przypadkiem! – ryknął Padlina, już nie próbując odsyłać Pata, żeby zachować twarz. – I to tylko dzięki temu, że starym głupim zwyczajem ustawiłem timer na plus pięć minut od rozpoczęcia włamu! W przeciwnym razie plułbym krwawą śliną z przegryzionego języka...

Zamilkł, ale było już za późno. Zrozumiałem, co zobaczył, gdy zdjął z Romka hełm wirtualny.

– Przecież ja nic nie mogę – powiedziałem, patrząc na nich wszystkich: na nowego Rosjanina, byłego hakera, punkującego hakera i chłopca, który marzył, by zostać hakerem. – Słuchajcie... przecież wy doskonale rozumiecie, czym była nasza siła i co się potem stało. Przecież ja nie umiem otworzyć najprostszej ochrony!

– Nie wiem, co umiesz w realu – rzekł Czyngis. – Ale nadal możesz wyjść z Głębi, gdy wiesz, że już pora. Ani ja, ani Toha nie zdołamy tego zrobić.

– Lepiej się tam teraz nie pchajcie. Czyngis, ja wiem, jesteś człowiekiem poważnym, ale...

– Pat więcej w Głębię nie wejdzie – oznajmił spokojnie Czyngis. – Wszystkie wejścia zamknę. Prócz mojego komputera, ale jego nie ruszy... prawda?

– A ja stąd wychodzę tylko do knajp i na dziwki – uśmiechnął się Padlina. – Gdzie mieszkam, tam nie sram! A on nie włączy mojego notebooka...

– To nieuczciwe! – W głosie Pata słychać było łyzy.

– Popatrz na Leonida. I zapytaj go o zdanie.

Czyngis sięgnął po butelkę. Spojrzeniem poprosiłem o pozwolenie i wziąłem ze stołu jego telefon.

– Kładź nacisk na to, jaki jesteś zajęty i że to superbiznes! – poradził Padlina. – Zajebista umowa, pieniądze sypią się z nieba... no i w tym guście, kobiety to bardzo...

– Vika? – odezwałem się.

– Lonia? – W jej głosie było szczere zdumienie. – Gdzie jesteś?

– A, wiesz... zajrzałem do przyjaciół. Napiliśmy się piwa, potem wódki... co byś powiedziała, gdybym wrócił bardzo późno? Albo nawet tu zanocowałem?

Chciałem opowiedzieć jej o Romku. Chciałem się wykrzyczeć, wyrzucić z siebie wszystko. Tym bardziej że ona знаła Romka.

Ale nic nie powiedziałem. Nie jestem już sam. Mam się komu wyzalić, wypłakać, mam się z kim

napić wódki.

Znowu mam z kim. Jak nieoczekiwanie szybko i łatwo.

A ona nie ma.

I nie należy opowiadać takich strasznych nowin przez telefon.

– Zaproś ją – zaproponował Czyngis.

– Oczywiście, posiedź, w razie czego przenocuj... – powiedziała Vika niepewnie i z zakłopotaniem. – Sądząc po głosie, nie jesteś pijany... gdybyś wracał późno, otwórz sobie drzwi i nie hałasuj.

– Pewnie wrócę nad ranem – uprzedziłem. – Więc nie zapraszaj kochanka, bo wyjdzie niezręczna sytuacja. Słuchaj... a może byś tu przyjechała? Interesujący dom... ciekawi ludzie.

Dosłownie fizycznie odczułem jej wahanie. Nie wychodziliśmy razem cholernie dawno. Do Głębi Vika przestała wchodzić, a w realu... W realu mieliśmy kompletnie różne zainteresowania.

– Wiesz co, chyba już się nie wybiorę. Późno. Nie pij za dużo, dobrze?

– Oczywiście.

– Rozerwij się. Naprawdę bardzo się cieszę, że gdzieś wyszedłeś.

Gdy odłożyłem słuchawkę, pochwytiłem zachwycony wzrok Padliny.

– Słuchaj, skąd ty wytrzasnąłeś taką żonę, której możesz powiedzieć, że pijesz z kumplami?

– Z Głębi.

Padlina posepnie skinął głową.

– Tak... zdarza się. Ja też kiedyś taką spotkałem... A potem okazało się, że ma czterdzieści lat, jest facetem i przewodniczącym klubu masochistów.

– Padlina, możesz dowiedzieć się czegoś od swojego zleceniodawcy? Od tego nurka?

Haker wzruszył ramionami.

– Raczej nie. Pieniądze przelał od razu i bardzo profesjonalnie. A spotkanie było wyznaczone jedynie w przypadku powodzenia operacji.

– Mimo wszystko spróbuj.

– Pójdę, proste jak obręcz. Ale nie spodziewaj się za dużo. Co mamy, w to gramy... kompania New Boundaries z jej sprytną ochroną.

– On wiedział – zauważyłem. – Na pewno wiedział, że sprawa nie jest czysta...

– I co z tego?

– Między nami nie jest... nie było przyjęte podstawianie współpracowników. Jak on wyglądał?

– Widzieliśmy się trzy razy. Za pierwszym to był chudy okularnik, taki naiwny, stropiony... twarz europejska. Niestandardowa, ale niezbyt dobrze zrobiona. Drugi raz przysłała śliczna blondynka, sztuczny twór. Za trzecim pojawił się mężczyzna w podeszłym wieku, jakiś taki zmęczony...

– Jasne. A ogólne szczegóły postaci?

– Europejczyk. Za każdym razem. – Padlina zastanowił się. – Poza tym nic szczególnego.

– Nie mogłeś go śledzić?

– Korzystał ze starej ochrony, Leonid. System sprzed półtora roku, ale bardzo dobrej jakości i starannie dopracowany. Nie zaryzykowałem śledzenia go, mógł mieć kilka zapasowych asów w rękawie.

– No i co, zostajesz? – zapytał Czyngis. – Łóżko się znajdzie, spoko.

– Naszym łóżkiem jest mousepad! – zawołał Padlina i zachichotał. – Zostań, nurek.

Popatrzyłem na dysk na stole.

– Nie... chyba jednak pojedę do domu. Póki metro chodzi.

– Daj spokój, metro będzie jeszcze chodzić przez trzy godziny. – Czyngis zerknął na zegarek. –

Poza tym i tak cię odwiozę.

– Przecież jesteś pijany! – rzucił się Pat.

– Dobrze, posiedzę, ale wrócę metrem – poddałem się.

Czyngis w milczeniu podsunął mi kieliszek.

Mgła. Szara mgła.

Znow brak kierunków i odległości. Idę przez ścielące się mleczne warstwy. Czymś pachnie...  
świeżym, przyniesionym z mrozu praniem albo ozonem...

Oglądam się – ani światła, ani blasku.

A przecież było, pamiętam, że było...

Gdzieś tam, za mostem, tam gdzie schodzą się ściany ognia i lodu...

Nie wybieram kierunku, bo wiem, że gdziekolwiek pójdę, gdziekolwiek pobiegnę, i tak wcześniej czy później zapłonie przede mną światło i wynurzą się z mgły migoczące ściany – czerwony ogień i błękitny lód.

Wreszcie dostrzegam światło. Leciutkie, złudne, czarodziejskie światełko, słabe i blade.

Gdy idziesz przez bagna, nie biegnij za błędnym ognikiem!

Ja biegnę... i mam coraz mocniejsze wrażenie, że ktoś idzie obok mnie. Może się skrada, może mnie konwojuje, może ochrania... Stąpam lekko, niezbyt szybko, a on dotrzymuje mi kroku.

To dobrze.

Lewa ściana – niebieski lód, prawa – czerwony ogień. Wzbijają się w niebo, w szarą mgłę bez początku i końca, wyłaniają się z bezdennej przepaści.

Unoszę nogę nad mocno naciągniętą struną. Lewa ręka marznie, prawą pali ogień. To jak gra – spadniesz i znowu możesz zacząć od początku. To jak gra, jak gra...

Tylko tak bardzo boli.

I za każdym razem zaczynasz od początku.

– Nie przejdiesz, Lonia...

Coś nowego!

Po raz pierwszy w tym królestwie martwych mgieł i płonących skał słyszę głos.

Znajomy głos.

Próbuję się odwrócić, ale cień za plecami przemyka tak szybko, że nie zdążam zajrzeć mu w twarz.

– Ale powinienem, prawda? – pytam.

– Tak. Ale to nie znaczy, że przejdiesz. Koniec. Głos odchodzi, rozplywa się...

Tylko nić pod nogami. Tylko ściany wokół.

I drżący, umierający płomyk przede mną...

Idę.

Dzisiaj jest łatwiej. Może ten, z kim rozmawiałem, idzie tuż za mną. A może został po tamtej stronie mostu.

A może sam nauczyłem się stapać w rytm...

Lewa ściana – niebieski lód, rozkrzyżowana postać na ostrych igłach. Wolał upaść na tę stronę, przestraszył się prawej ściany, gdzie płomień spala do cna.

Może to nawet moje własne ciało...

Nie zdążam dokończyć myśli. Nie zdążam się uchylić. Postać na ścianie wzdryga się, gdy przechodzę obok. Może to ruch martwego powietrza, może ciepło mojego własnego ciała... coś

odrywa go od ściany i rzuca na nią. Przez chwilę wydaje mi się, że most przecina go na pół, ale wszystko jest znacznie bardziej prozaiczne. Oblepione szronem ciało spada w dół, w niekończącą się przepaść. Struna pod nogami wibruje, kołysze się, amplituda rośnie, jakby spadek tego ciała uruchomił jakiś mechanizm.

Lewa ściana – błękitny lód, prawa – czerwony ogień. Lewa – lód, prawa – ogień, lewa – prawa...

Odbijam się od wibrującej nici i skaczę na prawą ścianę.

– Czego wrzeszczysz?

Otwieram oczy.

– Przyśnił ci się koszmar?

W samochodzie panuje ciepło. Nie ognisty żar... zwykłe ciepło. Może dlatego wybrałem we śnie prawą ścianę?

Kierowca nawet nie odwraca głowy. Krótко obcięte włosy, kwadratowy kark, światła na desce rozdzielczej, cichy szum klimatyzatora. Silnik wyłączony.

Tak, Czyngis nie odwiózł mnie do domu sam. Wezwał kierowcę... albo ochroniarza.

Żeby to ja tak żył...

– Jesteśmy na miejscu? – pytam, rozglądając się.

– Adres się zgadza – odparł melancholijnie kierowca. – Wiozłem cię pierwszy raz.

– Myślisz, że będzie następny? – Zerknąłem na zegarek. No właśnie... od Czyngisa wyszedłem o drugiej w nocy. Teraz jest czwarta. Nie mogliśmy przecież jechać dwie godziny!

– Oczywiście – przytaknął obojętnie kierowca. – Chyba cię polubił, więc będziesz częstym gościem...

– A jeśli nie zechcę być gościem?

Kierowca zaśmiał się krótko.

– Chciałbym zobaczyć takiego, któremu nie spodobało się u Czyngisa.

Chyba ma rację. Na pewno dla innego gościa – którego gospodarz też polubił – wszystko organizowano inaczej. Nie piwo z wódką i parówkami w kuchni, lecz przyjęcie z szampanem, kawiozem i jesiotrem.

– Dawno stoimy pod domem?

– Półtorej godziny. Czyngis mówił, że masz się przespać w samochodzie, jeśli się wyłączysz. Nawet do piątej.

– Chyba już pójdę – wymamrotałem.

– W porządku. – Ochroniarz wynurzył się ze swojego fotela i gdy wydostałem się z tylnego siedzenia skromnego ford'a, już stał obok mnie.

– To moja klatka – próbowałem zaprotestować. – Hej... nie jestem dziewczyną, nie musisz mnie odprowadzać...

– Takie mam polecenie – odpowiedział krótko ochroniarz.

Nie sprzeciwiałem się.

To jego praca.

Drzwi otworzyłem ze zrećnością doświadczonego włamywacza, zatwardziałego alkoholika albo



młodego komputerowca. Wszedłem cicho, oba zamki zamknąłem absolutnie bezszelestnie, światła nie zapalałem.

Było cicho. Nienormalnie cicho jak na tę porę doby. Nocą powinien szumieć wentylator komputera, trzeszczeć twardej, powinno rozlegać się klikanie klawiatury... może dlatego Vika podarowała mi sensoryczną?

W łazience pospiesznie ochlapałem twarz wodą i na palcach poszedłem do gościnnego. Rozebrałem się i starannie ułożyłem ubranie na kanapie. Zajrzałem do sypialni.

Nigdy bym się tego nie spodziewał!

Vika siedziała na brzegu łóżka, a słaby odbłask ekranu jej notebooka padał na hełm. Hełm miała elegancki, wprawdzie nie nowy, ale nadal ceniony przez znawców. Creative Diana, topowy damski model sprzed dwóch lat, kolor ciemnoniebieski... kiedyś wyłożyłem za niego półtora tysiąca dolarów. Ciało Viki lekko drgało. Od czasu do czasu ręka dotykała klawiatury i odskakiwała, przywierając do piersi.

Vika była w Głębi.

To jednocześnie piękne i przerażające – hipnotyzujący taniec ciała, już nie należącego do naszego świata. Uniesienie głowy – Vika patrzy w niebo albo w sufit... nie wiem. Pod elastyczną taśmą mocującą hełm do podbródka, mignął pasek białej skóry – Nie – dobiegło do mnie – to mnie nie interesuje.

Dawno nie wchodziła w Głębię. Zerwała z nią zupełnie. Nawet doktorat pisze w oparciu o zupełnie inne materiały.

Co ją skłoniło do powrotu do świata iluzji?

Mógłbym podejść i zajrzeć jej przez ramię. Albo usiąść z boku i podkręcić głoś w głośnikach notebooka.

I być świadkiem animowanego filmu, który jest dla Viki absolutnie, przerażająco prawdziwą rzeczywistością. Popatrzeć na kawałek jej snu. Ona i tak nic nie zauważy, a jej wyjście z Głębi jest wystarczająco długie, około dziesięciu sekund; zdążę uciec.

Ach, Niedosiłow... Niedosiłow, mądralo... mówiąc o parze nurków: jeden w hełmie, drugi przed ekranem, nie zrozumiałeś jednego...

Nikt nigdy nie wpuści nikogo do swojego snu.

Nawet najbliższej osoby.

– Dobrej Głębi, Vika... – wyszeptałem, zamykając drzwi.

Mogę położyć się na kanapie.

Ale mogę też się już nie kłaść.

Cichutko podszedłem do kompa i wyszeptałem pochylając się nad mikrofonem:

– Vika, obudź się...

Zaszumiał twardej, cichutko zaśpiewały wentylatory – w komputerze jest tyle dodatkowych kart, że do dwóch standardowych musiałem dodać jeszcze dwa. W przeciwnym razie komputer zaczynał się przegrzewać już po kwadransie pracy.

– Wyłącz dźwięk. Vika, status.

– Status normalny. Rezerwy wystarczające. Skinąłem napisowi i zacząłem wkładać kombinezon.

– Wejdz w sieć. Tryb normalny. Postać numer trzy – Proteus.

– Wykonano.

Warto by ustawić timer.

Ale nie wiem, ile czasu spędzę w Głębi.

Nie idę tam pracować. Nie idę się bawić.

Idę się mścić.

Hełm, lekki dotyk miękkiej podkładki. Ekraniki przed oczami. Cichutko szumi wentylator, pompując powietrze, jeszcze niezbyt ciepłe. Cisza w słuchawkach.

Deep Enter.

I tęcza przed oczami, wir, lej...

Zew Głębi.

## **Część druga**

### **Świątynia Nurka w Głębi**

Wychodzę z hotelu w ciele Proteusa, lekko zmienionym – teraz mam czterdzieści lat, w kieszeniach rewolwery Strzelca, ale jeszcze ze starymi programami. Nowe będę musiał dokładnie obejrzeć, a to chwilę potrwa.

Dokąd pójść?

Już wiem. Zatrzymuję samochód Deep Przewodnika i podaję adres. Patrząc na biegnące za oknami budynki, powtarzam sobie jak zaklęcie: Trzeba. Trzeba. Trzeba.

Tylko jakoś mi straszno.

To tak jakby przyjść na zgliszcza. Jak zobaczyć ukochaną w cudzych ramionach. Jak spotkać starego przyjaciela, który obraził się i nie chce ci podać ręki. Jak wrócić tam, skąd cię wyrzucono.

Nie spóźniaj się nigdy. Przybывaj na czas. Po walce nie macha się już pięściami. Pękniętego zaufania nie sklepi się łzami. Topielcowi nie rzuca się koła ratunkowego.

Ja się spóźniłem.

– Punkt docelowy – ogłasza kobieta-kierowca, młoda Murzynka z ogromnymi kolczykami w uszach i skomplikowanym tatuażem na szyi. Pierwszy raz widzę taki tatuaż o białych wzorach. Pewnie specjalnie dla czarnoskórych.

Ładnie wygląda.

– New Boundaries – precyzuje kierowca.

Płacę, wychodzę.

Samochód odjeżdża w poszukiwaniu następnego klienta. Rozglądam się.

Zwyczajna ulica zwyczajnych biur Deeptown. Budynek w miarę oryginalny. Wejście do biura kompanii, do której włamywali się Padlina i Romek, jest tuż obok.

Wchodzę Wyjmuję papierosa, zapalam.

Rzucam spojrzenie na zegarek i spacerowym krokiem ruszam w stronę placu Billa Gatesa. Widać go stąd – wyłożony białymi kafelkami prostokątny plac, z pomnikiem samego Gatesa pośrodku. Ulubione miejsce spotkań przeciwników Windows Home. Pomnik regularnie wysadzany jest w powietrze, paćkany farbami, ozdabiany napisami, raz do roku obrzucany tortami z kremem.

A kompania Microsoftu spokojnie odnawia pomnik, za każdym razem otrzymując bezcenną informację o metodach wirtualnego terroryzmu. Gates uczciwie przyznał, że dochód z tego nieszczęsnego pomnika przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Mądry człowiek...

Ale małoletni hakerzy i tak się starają.

Podchodzę do pomnika – wokół siedzą jacyś hipisi popijając piwo i paląc marihuanę – zatrzymuję się i znowu patrzę na zegarek.

Cztery minuty. No, cztery minuty i dziesięć sekund, dla ścisłości.

Romek dotarł na plac po pięciu i pół minutach.

Dlaczego? Załóżmy, że miał słabszy komputer. Że wchodził w Głębię przez linię telefoniczną. Że zacierał ślady, krążył, walczył z prześladowcami...

Ale przecież biegł, uciekał! A co jak co, ale uciekać nurkowie umieli zawsze...

Minuta, może nawet dwie gdzieś się zapodziały.

Gdzie dokładnie zabito Romka, nie wiem. I nie chcę wiedzieć, nie chcę pytać. Przyjmuję po

prostu, że tutaj. Kupuję w najbliższym kiosku butelkę wódki. Upijam łyk, resztę wylewam na wesolutkie płytki.

Romek zawsze pił alkohol w niewiarygodnych ilościach. Pił i nie upijał się. Nie umiał się upijać, bo w wieku piętnastu lat nie używał w realu alkoholu.

– Dobrej Głębi, partnerze – szepczę. – Wybacz, że mnie przy tobie nie było.

Zresztą jak mógłbym ci pomóc?

Przecież sam byłeś nurkiem... nurkiem...

I mogłeś wyjść z wirtualnego świata w każdej chwili.

Właśnie, kolejna zagadka. Dlaczego Romek nie wyszedł?

A dlaczego dwa lata temu podjął beznadziejną walkę ze smokiem, ochronnym programem Al Kabaru, gdy ja uciekałem z ukradzionym plikiem?

Romek grał na czas. Przecież nie wiedział, że wystrzelona w niego kula może zabić naprawdę, a komputer gotów był poświęcić. Czekał. Na co?

Aż skopiuje się plik.

Ale gdzie jest kopia?

Na kompie Romka Padlina nic nie znalazł. A temu barwnemu typowi, o dziwo, wierzę.

Patrzę na kpiąco zmrużone oczy Gatesa pod okularami. Może Romek miał jeszcze jednego współnika?

Raczej nie. Nie lubił pracować w tłumie. No i uprzedziłby Padlinę.

Może uciekając, Romek spotkał jakiegoś znajomego i dał mu plik?

Też nie.

A może schował zdobytą informację gdzieś po drodze?

Ale jak?

To przecież nie jest prawdziwy świat, gdzie można się zatrzymać, wsunąć dyskietkę w szczelinę pomiędzy kamieniami albo wrzucić do rowu i uciekać dalej. Do takiej sztuczki potrzebna jest uprzednio przygotowana skrytka... albo potężny program, który zdoła w ciągu minuty przebić ochronę obcego serwera, wsunąć tam plik i zamknąć się.

Wątpliwe. Możliwe, ale wątpliwe.

A jednak fakt pozostaje faktem. Nie było mnie tutaj, ale zachowanie Romka jednoznacznie świadczy o tym, co się stało. Ukrył zdobycz i ostrzeliwał się, grał na zwłokę, czekał. Najstraszniejsze, czego się spodziewał, to śmierć komputera, czyli użycie broni drugiego pokolenia.

Właśnie. Ale mimo wszystko to dziwne.

Komputer, tym bardziej dla nas, nurków, nie jest jedynie zestawem mikroprocesorów i programów. Nawet księgowemu, tworzącemu bilans roczny na starożytnym 486, nie jest obojętne, przy jakim kompie siedzi. Przywykasz do wszystkiego – do starej, zacinającej się klawiatury, do myszy, której nie ma już sensu czyścić, tylko należałoby wymienić, do głośnego chińskiego wentylatora, do powolnego twardego dysku...

Tak, lubimy udoskonalać swoje komputery. Dodawać nowe karty, wieszać świeże programy...

Ale natknąć się na wściekły opór ochrony, wiedzieć, że może mieć broń drugiego pokolenia... i to wszystko w imię niewielkiej nagrody i wątpliwego procentu w przyszłości?

Ja w takiej sytuacji bym się mimo wszystko wynurzył. Romek tym bardziej, on zawsze traktował

swój komputer z wielkim szacunkiem.

Czy miał czas, żeby obejrzeć pliki? Zrozumieć, o co chodzi?

Gdyby nie musiał otwierać dodatkowych haseł, założonych już na sam tekst, toby zdążył rzucić okiem. Na przykład wtedy, gdy znalazł się zamknięty w gabinecie i czekał na pomoc Padliny. Dostęp do informacji już miał, ściąganie pliku w całości nie miało sensu, to zbyt długi proces. Stał obok otwartego sejfu, trzymając w ręku label – dostęp do plików. Nie wiem, jak on wyglądał. Może jak czarodziejskie jabłuszko Al Kabaru, może jak dyskietka albo zwykła papierowa teczka. W tym ostatnim przypadku Romek na pewno zajrzał do środka.

I coś wstrząsnęło nim na tyle, że zapomniał o sobie, o komputerze, o Padlinie, który został, by osłaniać jego wyjście. Rzucił się do ucieczki... z wytrzeszczonymi oczami, jak powiedział haker.

– Co tam było, Romek? – pytam. – Co cię przestraszyło? Co cię zabiło?

Oblizuję wargi. Kopię niewinną butelkę.

W Deeptown sprzątacze nie są potrzebni. Pusta butelka poleży tu kilka godzin i zniknie.

Gdybym mógł znaleźć plik! To klucz do wszystkiego. Do tego, kto zamówił włamanie. Do tego, kto strzelał do Romka. Do tego, kto wydał rozkaz strzelania. Do tego, kto wymyślił i wręczył ochronie broń trzeciego pokolenia.

Do New Boundaries już nie wejść. Po próbie włamania wszyscy tam stoją na baczność. Tym bardziej po udanej próbie. Padlina może bić się w pierś i ryczeć, że wypatroszy kompanię, przetrząśnie wszystkie pliki, włączając akta pracowników, nie tylko jakiś tam nieszczęsny biznesplan. Ale nie przebije się. A jeśli wezwie na pomoc przyjaciół, oni też się nie przebiją. Idealna ochrona przed włamaniem mimo wszystko istnieje i kompania mogła z niej skorzystać – wyłączyć oddział zajmujący się Sweet Immersing od Głębi.

A wtedy możesz się włamywać do woli.

Też mi nazwę wymyślili! Słodkie Zanurzenie. Nie lubię, gdy jest za słodko.

I znajdę tego cukiernika, którego torty pachną gorzkimi migdałami.

Drogę od Nowych Horyzontów do placu Billa Gatesa przechodzę jeszcze trzy razy. Pierwszy raz po prostu uważnie oglądając okolicę. Po raz drugi – wychodząc z Głębi i oglądając prawdziwy rysunek miejsca. Trzeci raz znowu w wirtualności, z programem skanerem zdolnym znaleźć ślady włamania.

Nic.

W każdym razie przy pobieżnych oględzinach.

Łapię taksówkę i jadę do Trzech Prosiaczków. Mój zegarek oraz żołądek twierdzą, że czas na śniadanie.

– Drogi są zakorkowane – oznajmił kierowca. – Spiesz się pan?

– Nie.

Nie mam zamiaru płacić za wykorzystanie kanałów rezerwowych Deep Przewodnika. Absolutnie. Zresztą i tak muszę pomyśleć.

Co ja bym zrobił, gdybym uciekał z bardzo cennym plikiem? Ściągać na komputer nie ma czasu. Kryć się nie ma sensu. Ukryć label pliku?

To też nic nie da. Jak programiści kompanii się wezmą za robotę, dostęp do niego zostanie zamknięty. Złote jabłuszko z Al Kabaru też zgniłoby w moich rękach, gdybym go nie ściągnął na swój

komputer...

Ślepa uliczka. Nie znam aktualnych przyjaciół Romka. Nikogo, prócz Padliny. A Padlina też prawie go nie znał.

Nie będę przecież chodził po Deeptown z plakatem: „Szukam znajomych Romka...”

Zresztą jakiego Romka?

Mogli go znać pod różnymi imionami.

Ślepy zaułek.

Plik jednak istnieje. I kryje w sobie tajemnicę śmierci Romka. Powód, dla którego nie bali się zabić go naprawdę.

Ale w czyich jest teraz rękach, nie dowiem się nigdy.

Dobrze, odrzucimy drogi prowadzące donikąd. Pliku nie można znaleźć i nie można ponownie ukraść. Co mamy poza tym?

Nurka.

Ciemnego Nurka, który zlecił kradzież pliku. Który nadal pracuje w swoim zawodzie, gdy dla wszystkich innych stało się to niemożliwe.

On zna chociaż część prawdy o Nowych Horyzontach. I odpowiada za to, co się stało z Romkiem.

I jest słaba nadzieja, że będzie szukał Padliny.

A jeśli nie?

A jeśli znajdzie, a hałaśliwy haker okaże się mniej sprytny, niż sobie to wyobraża? I nie zdoła przechytryć mitycznej istoty?

Wyjmuję z kieszeni pager. Spis abonentów... bardzo krótki. Sześciu. Nurkowie nie lubią podawać adresów. Nawet swoim.

Każdemu z nich posyłam jedno zdanie.

I krótkie słowo – *cito*.

Nie wiem, czy ich pagery jeszcze działają. Mój przeleżał zapomniany prawie dwa lata... i być może słyszał to słowo bardzo wiele razy.

A nawet jeśli działają, to jeszcze nie znaczy, że ktoś z nich zdecyduje się odpowiedzieć na wezwanie. Na łacińskie słowo pisane czasem na receptach.

*Cito*.

To rzeczywiście pilne, wiem to na pewno. Nie mam żadnych dowodów, nic prócz szóstego zmysłu, prócz intuicji, wrażenia, że niebo nad Deeptown może lada chwila runąć.

– Restauracja Trzy Prosiaczki!

Płacę. Z pieniędzmi krucho. A do pracy w HLD spóźniłem się tak bardzo, że mogę się nie łudzić – już mnie zwolnili. W Głębi dzieje się to szybko.

Mogę się jeszcze, skontaktować z Maniakiem. Mogę też poszukać Zuko – najbardziej niedbałego specja od ochrony komputerowej, jakiego znam.

Ale to potem. Podejście do Ciemnego Nurka zacznę od swoich.

Przed wejściem do restauracji zwalnię. Drewno, kamień, maty...

Kamień.

Zakosztujemy kuchni europejskiej.

Przed wejściem wisi plakat. Zamaszyste pismo: *Dzień czeskiej kuchni*.

Super.

Rzucam spojrzenie na bar. W europejskiej części restauracji przygotowaniem drinków zajmuje się sam Andriej, właściciel zakładu. Ale często zamiast niego jest barman-program...

A nuż?

Podchodzę.

– Witaj. To ja, Leonid.

Andriej podnosi głowę, mruży oczy, patrzy na mnie i rozpływa się w uśmiechu.

Od razu mi się humor poprawia.

Rzadko tu ostatnio zachodzę, a od dawna nie podaję swojego imienia. Nie mam ochoty na wysłuchiwanie pytań, nie chcę litości i pocieszenia.

– Coś takiego... Lonia! Wszystko na koszt firmy! Co u ciebie?

– Normalnie. Dużo nie wypiję, jestem w pracy. Andriej ze zrozumieniem kiwa głową.

– Słyszałem, że niektórym nurkom udało się znaleźć robotę... tak właśnie myślałem, że to ty. Dlaczego się u nas nie pojawiłeś?

Ładny numer! Schowałem się w mysiej dziurze i zdychałem sobie powoli, nosząc pianina. Postawiłem krzyżyk na sobie i na przyszłości, podczas gdy wszyscy wiedzieli, że ze ślepej uliczki jest wyjście. Że jakiś nurek pracuje w zawodzie.

– Pracowałem... – uchylam się od odpowiedzi.

Andriej łapie za rękaw przebiegającego obok kelnera i wskazuje mnie spojrzeniem.

– Honorowy gość. Na koszt zakładu. Szybko!

Kelner zastyga w oczekiwaniu. Nie na długo, nie potrzebuję menu.

– Pieczone kolano wieprza i kufel jasnego budweisera. I naprawdę szybko.

Kelner biegnie do kuchni.

– Dobrze, nie będę ci przeszkadzał. – Andriej rozkłada ręce. Do baru już podchodzi następny klient. – Podejdę później, okay?

– Słuchaj, a co mówią o pracującym nurku?

Andriej marszczy brwi.

– Nic konkretnego. Po prostu jakiś nurek pracuje w Deeptown. Już od roku.

Chyba śnię!

A ja przez cały rok nie dowiedziałem się o koledze, który znalazł wyjście!

To zły znak. Gdyby odrodzili się wszyscy nurkowie, wiedziałbym o tym. Z tego wynika, że Ciemny Nurek woli pozostać samotnikiem.

Smutne...

Ale dla kogo smutne, to się jeszcze okaże.

Rozglądam się, szukając wolnego miejsca. I dostrzegam znajomą twarz.

Przy jednym ze stolików, ponuro wpatrując się w talerz, siedzi rudowłosy chłopak.

Podchodzę, siadam naprzeciwko i pytam:

– Czemu nie w pracy?



Ilia nagradza mnie mrocznym spojrzeniem spode łba.

– Kim jesteś? No tak, jasne...

– Leonid. Szafka po lewej.

– Aa... – błysk serdeczności w oczach. – Witaj, Lonia... coś się tak wystroił?

– Przecież nie będę paradował w hełmie motocyklisty.

Ilia przygląda mi się z zaciśniętymi ustami, w końcu ogłasza werdykt:

– Kiepski wizerunek. Naprawdę nie umiesz rysować. Ale i tak lepszy niż motocyklista.

– Dzięki za pocieszenie – mówię. Już mi niosą pieczone kolano wieprza, czyli pieczoną golonkę. Zdumiewająco smaczna rzecz. Serwowana na grubej, pociętej nożami desce, z górkami chrzanu i musztardy, cebulą i ogóreczkami...

Oczywiście, nie jest to danie śniadaniowe, ale skoro nie spałem całą noc, to chyba można uznać śniadanie za późną kolację.

– Ohydne – stwierdza Ilia, patrząc z obrzydzeniem na moją potrawę.

– Sam jesteś ohydny – odgryzam się. Sądząc po pustych opakowaniach po sosie, Ilia jadł w Prosiaczkach hamburgery. Każdy ma swoją szajbę...

Odcinam kawałek miękkiego, soczystego mięsa, wkładam do ust, popijam porządny łykiem piwa.

– Smacznego – mamrocze Ilia, wstając.

– No więc czemu nie jesteś pracy? – pytam znowu, krojąc świńską nóżkę.

– O! – Ilia zatrzymuje się. – Ciebie jeszcze nie pytałem! Słyszałeś o Świątyni Nurka w Głębi?

Dławię się kawałkiem wieprzowiny, kaszlę i wreszcie próbuję odpowiedzieć:

– Taak... słyszałem.

– Naprawdę? – Ilia znowu siada naprzeciwko mnie. – Opowiadaj! Gdzie to jest? I postaw mi piwo, dobrze?

Upijam duży łyk ze swojego i wzywam kelnera, próbując zebrać myśli.

Sporo mówi się dzisiaj o nurkach, prawda? Niedosiół, ciebie tu tylko brakuje... historyku teoretyku... wirtuozie mądrych słów.

– Coś ty, nigdy nie słyszałeś tych kłamstewek? – pytam ostro, mimo woli staję się złośliwy i cyniczny. Obronna reakcja organizmu.

– Słyszałem, ale bardzo mało.

– Dwa lata temu cały Deeptown huczał od plotek.

– Wtedy jeszcze nie było mnie w Głębi. No, mów, mów!

– Wtedy wszyscy nurkowie wyzdychali – zaczynam.

– Naprawdę? – Oczy mu okrągłeją.

– Nie... – Odsuwam dzieło wirtualnego kuchmistrza z nie mniej wirtualnej świni. – Gdyby tak było... Po prostu stali się nikomu niepotrzebni.

– Opowiadaj! Od samego początku!

Patrzę zdumiony na Ilię. Co jest? Czy naprawdę sława tak szybko przemija?

– Nikt z wchodzących w Głębię ludzi nie mógł wyjść z niej samodzielnie... – zaczynam.

– To wszyscy wiedzą.

– Chciałeś od początku – precyzuję. – No to słuchaj od początku.



To tak jak wyciskanie pryszczu. Czujesz jednocześnie ból, wstręt i przyjemność.

– ...Deep program, stworzony przez Dmitrija Dibienkę, wywołuje u człowieka szczególny rodzaj hipnozy – mówię. – Człowiek, który zobaczył deep program, nieważne, czy na monitorze komputera, czy na ekranach hełmu, wpada w stan kontrolowanej psychozy Głębi. Odbiera narysowany świat jako prawdziwy. A jeśli dodać dźwięk, trójwymiarowe widzenie dzięki hełmowi wirtualnemu, wrażenia dotykowe dzięki kombinezonowi, iluzja będzie całkowita. Podświadomość dodaje zapachy, smaki, wszystko to, co nie zostało przewidziane przez programistów. Jak się domyślasz, ta restauracja jest narysowana, to jedzenie nie istnieje, ja siedzę u siebie w domu, ty u siebie...

Z twarzy Ilii można odczytać jego stosunek do podobnych wykładów. Szybko kończę znaną każdemu niemowlakowi część wstępną.

– Gdy powstała Głębia i wirtualne miasto Deeptown, okazało się, że człowiek, który wszedł w świat wirtualny, może samodzielnie wyjść w real tylko ze specjalnego punktu. Z miejsca gdzie będzie stał taki sam komputer jak jego, na którym zdoła wybrać komendę wyjścia i zobaczyć deep program puszczonej odwrotnie...

– Co wiesz o Świątyni? – woła cienkim, łamiącym się głosem Ilii.

– Słuchaj i nie przeszkadzaj... – sprawia mi to sadystyczną przyjemność. – Komu to potrzebne? Tobie! No to słuchaj...

Możliwe, że spodziewałem się innej reakcji, sprowokowany jego dziecinny wyglądem. Byłem pewien, że on wyjdzie, ale Ilii odchylił się na krześle; widać po nim, że gotów jest słuchać aż do białej gorączki.

– Bardzo rzadko zdarzali się ludzie zdolni wyjść z Głębi w dowolnej chwili. Nazywano ich nurkami. Było ich niewielu, a ich pracę wysoko ceniono...

Jakżeby nie! Gdy solidny ojciec rodziny trafiał do wiszących ogrodów Semiramidy, opłacając z góry miesięczny pobyt, gdy nastolatek z tatusiową „wizą” uciekał na kilka tygodni do Labiryntu Śmierci, gdy nowy Rosjanin urządził w wirtualności salę tortur dla swoich narysowanych partnerów biznesowych, mogło się to źle skończyć. Ale znajdował się ktoś, kto mógł zerwać z ciebie wirtualny hełm, powodując wprawdzie lekką psychozę, ale jednak wyciągając cię z Głębi.

A gdyby kogoś takiego nie było?

Byliśmy strażnikami na granicy prawdziwego i wymyślnego świata. Tymi, którzy nigdy nie tracili łączności z rzeczywistością. Którzy umieli przekonać, uspokoić, pocieszyć i wyciągnąć z delikwenta prawdziwy adres – żeby potem, w realnym świecie, wyłamać drzwi i odciągnąć od komputera wysuszonego pragnieniem, robiącego pod siebie, tonącego w słodkim śnie człowieka...

To była jedna strona medalu. Ta dobra. Za nią wszyscy nas kochali.

Ale były jeszcze firmy, które zdały sobie sprawę, że w wirtualnym świecie znacznie łatwiej zajmować się pracą intelektualną. Budowały swoim pracownikom luksusowe biura za grosze, wynajmowały hakerów do ochrony tych biur...

A Głębia rządziła się swoimi prawami. Nieuchwytną wpadkę w cudzym programie, dziurkę w ochronie, której poszukiwanie dowolnemu programiście zajęłoby długie miesiące, nurek po prostu widział. W formie drzwi w ścianie, dziury w płocie, uchylonego lufcika, zbyt szerokich krat.

Czym za to płaciliśmy? Bólami głowy, dręczącymi atakami migreny – ci, którzy nigdy nie mieli

migreny, mogą uważać ją za chorobę rozhisteryzowanych damulek... A czasem wylewami krwi do mózgu. Często psychozami, depresjami, samobójstwami. Nasze mózgi płonęły ogniem, pracując w tej stuprocentowej fikcji, jakiej nie ma i nie było na świecie.

Robiliśmy włam, nawet nie rozumiejąc, jak to robimy. Może dlatego najwięcej nurków pochodziło z Rosji? Przecież to my, Rosjanie, przyzwyczailiśmy się, że wszystko dostaje się ot tak... za friko. Nie umieć, ale robić. Czy się stoi, czy się leży... – To była ta strona, z powodu której się ukrywaliśmy.

– Wiem... – mówi Ilia. – Wszystko to wiem. A Świątynia?

Coraz wyraźniej czuję narastający niepokój. Coś jest nie tak.

Właśnie z nim, z tym chłopakiem, którego znam od pół roku, a pół roku w Głębi to znacznie więcej niż pół roku w normalnym świecie...

– Dwa lata temu cała zabawa się skończyła – mówię ostro. – Całkowicie. Po pierwsze, ludzie przestali tonąć. Deep program zanurzał w Głębię, ale teraz było to kontrolowane zanurzenie. Jakbyś skoczył do wody na smyczy. Dokładnie po dwudziestu czterech godzinach, plus minus dziesięć minut, wszyscy wracają do rzeczywistego świata.

– Jeszcze nigdy nie byłem tutaj całą dobę – oznajmia z przygnębieniem Ilia. Pije piwo, krzywi się. – A włamy na cudze serwery?

– Nurkowie przestali widzieć dziury w programach – mówię i uśmiecham się złośliwie, jakbym czuł głęboką radość z powodu tego faktu. – Nadal mogli wchodzić i wychodzić z Głębi w każdej chwili, nie ustawiając timera. Dwudziestoczegogodzinne ograniczenie w ich przypadku nie działało. Ale to już nie miało znaczenia. Nie było dla nich pracy. Nurkowie zdechli. Zaczęli się zajmować różnymi bzdurami.

– Cholera jasna... szkoda. – Ilia chyba nie znał tych wszystkich szczegółów niedługiego wlotu i upadku nurków. – A dlaczego tak się stało?

– Nie wiadomo.

Odpowiedź wystarczająco krótka, żeby wykluczyć długie wypytywanie.

– A Świątynia?

Wzdycham. Absolutnie szczerze. To też część tego, co leży mi na duszy.

– Kiedy... eee... kiedy nurkowie zrozumieli, że znikają, jeden z nich zaproponował, żeby stworzyć pomnik. Coś w rodzaju klubu... i nazwać go Świątynią Nurka w Głębi. W jej tworzeniu mieli wziąć udział wszyscy. Prócz swoich szczególnych zdolności, nurkowie umieli robić różne inne rzeczy. To miał być budynek niedostępny dla nikogo prócz nurków. Tylko nurek mógłby wejść do środka.

– Zbudowali ją?

– Tego właśnie nie wiem... Wielu odmówiło, od razu. Mieli inne problemy, chodziło o przetrwanie. Świat wirtualny stanął na głowie. Znikła możliwość łatwego zarobku, znikł szczególny, uprzywilejowany status. Więc tracenie czasu, sił i pieniędzy na takie bzdury...

– No to jest ta Świątynia Nurka w Głębi czy nie?

W oczach Illi widzę pytanie. Mimo woli wlepiam w niego oczy – cholernie wyrazista twarz. Żywa. Prawdziwa.

Umiem rysować twarze. Dowolne. Nie na writepadzie – nie tak rysuje się prawdziwe twarze w Głębi. A Je ja jestem nurkiem, a on nie.

– Ilia, twoja postać... jest prawdziwa?

– A co za różnica? – Ilia od razu staje się czujny.

– Naprawdę jesteś... chłopcem?

– Tak! No więc jest ta Świątynia?!

Nie chce mi się wierzyć. Pół roku rozmawiać z dorosłym mężczyzną i nagle dowiedzieć się, że ma dwanaście lat!

– Nie wiem – odpowiadam. – Słowo daję. Może jest.

Nie, Ilia kłamie. Nie może być dzieckiem. Czy ja nie widziałem dzieci w Głębi? Albo wunderkindy, nieznośnie nudne i dorosłe, albo dzieciaki. Przy Romku prawie nie czuło się różnicy wieku... ale on był mimo wszystko trochę starszy.

– Jasne... – Ilia wstaje. Dobrze, że nie widzi mojej prawdziwej twarzy! Na pewno cała gama emocji! – Cholera, i taić poszukam...

– O co chodzi?

Zapas niespodziewanych przypadków został wyczerpany. Do dna.

Ale my przywykliśmy nurkować głębiej niż dno.

Jakbym znowu widział swoją drogę od biura Nowych Horyzontów do placu Billa Gatesa. Ściany. Okna. Rynny... chociaż nikt jeszcze nie zrobił w Deeptown deszczu.

To niemożliwe!

– Mam list do tej cholernej Świątyni. – Głos Ilii znowu się załamuje. – O, zobacz!

Wyciągam rękę i biorę papierową kopertę ze stemplem kompanii HLD, z kilkoma znaczkami. Koperta wydaje się pusta... zresztą będzie pusta, dopóki nie dostarczy się jej do miejsca przeznaczenia...

Adres odręczny. Litery krzywe, pisane w pośpiechu...

Pamiętam, jak Romek chwalił się świeżo kupionym writepadem. Możliwość pisania odręcznie, własnym charakterem pisma...

*Świątynia Nurka w Głębi Rom* W głowie mam pustkę. Próbuję rozerwać kopertę, jakbym zapomniał o słynnych sloganach HLD.

– No coś ty? – pyta zdumiony Ilia.

– Siadaj – mówię, trzymając kopertę w rękę. – Słuchaj, sprawa wygląda tak...

Siadają ciągle nic nie rozumiejąc. A jestem gotów wyć z wściekłości i zniecierpliwienia.

Nasza firma rzeczywiście gwarantuje pewność i bezpieczeństwo. Tego listu nie da się otworzyć, dopóki nie zostanie dostarczony pod wskazany adres. Każdy włam doprowadzi do zniszczenia zawartej w kopercie informacji. Nie można jej też odebrać posłańcowi. Ta sama sztuczka – garstka papierowego pyłu w dłoniach, jeśli list znajdzie się zbyt daleko od listonosza...

Świątynia Nurka w Głębi...

Więc ona istnieje?

Zbudowaliście ją, chłopcy?

Ściany. Okna. Rynny.

Skrzynki pocztowe.

Zobaczyłeś coś, o czym trzeba by powiadomić wszystkich. Koniecznie. Zatrzymałeś się przy skrzynce pocztowej. Wziąłeś jedną kopertę z ogromnej sterty na skrzynce. Napisałeś adres. Ten

adres, pod którym będą musieli uwierzyć, zdołają pomóc.

Włożyłeś label ukradzionego pliku do koperty. Kopertę wsunąłeś do skrzynki i rzuciłeś się do ucieczki. Uciekałeś, ostrzeliwując się z jakiegoś przedpotopowego szajsu, póki HLD ściągał bezcenny plik przez ciebie, przez twoje, już skazane na klęskę, wejście w Głębię.

A potem... możliwe, że zabrakło ci sekund. Możliwe, że chciałeś zakpić z prześladowców.

I nie rozumiałeś, co się dzieje, gdy skurcz ścisnął twoje ciało, gdy płuca odmówiły oddychania, a ze spieczonych warg popłynęła strużka krwi.

– Jest taka sprawa, Ilia...

Słowa przychodzą mi z trudem. Jakbym zupełnie oduczył się mówienia.

– Nie znajdziesz tej Świątyni. A jeśli nawet znajdziesz, to nie wejdiesz do środka. To może zrobić tylko nurek.

Bardzo chciałbym dodać, że akurat ja jestem nurkiem, i popatrzeć, jak rozszerzają mu się oczy. Ale w porę się powstrzymuję. Być nurkiem to jak być trędowatym. Nieuleczalne. I nie ma się już czym chwalić.

Kompania HLD zajmuje się usługami w Deeptown od trzech lat. Rynek zmonopolizowali niemal całkowicie. I całkiem zasłużenie.

Po pierwsze, przewóz ładunków. Nonsens, ale niezbędny do uznania pełnowartościowej rzeczywistości nierealnego świata.

Po drugie, dostarczanie trudnej korespondencji. A to czasem bardzo potrzebne.

Deeptown zmienia się bardzo szybko. Kompanie bankrutują albo przeciwnie, bogacą się i przenoszą do innej dzielnicy. Człowiek przestał na jakiś czas wchodzić w Głębię, po czym pojawił się znowu, ale pod innym nazwiskiem i adresem. Co zrobisz, gdy musisz kogoś znaleźć, a nie masz pojęcia, gdzie i kogo?

Otóż to. Wysyłasz list przez naszą firmę.

Mnie ta praca nie odpowiadała – już wolałem dźwigać pianina. A innym przeciwnie. Przychodzi na przykład list do jakiejś Olgi N., która trzy lata temu pracowała w bibliotece imienia Moszkowa.

[Biblioteka im. Moszkowa – rzeczywiście istniejąca w rosyjskim Internecie „biblioteka”, w której Moszkow gromadzi rosyjskie i zachodnie utwory literackie] I zaczyna się.

Biblioteka od dawna mieści się pod innym adresem. Cały personel się zmienił. Nie sposób znaleźć punktów zaczepienia. Nawet gdyby udało się dotrzeć do akt pracowników, to jeszcze nie znaczy, że coś to da. Listonosz biega po całym Deeptown, odnajdując końce dawno zerwanych nitki. Z jaką energią będzie to robił, zależy od naklejonych na list znaczków – połowę sumy otrzymuje listonosz...

W końcu, dzięki niewiarygodnym wysiłkom, intrygom i po prostu szczęściu, znajdujesz adresata. Tylko że teraz nazywa się Oleg M. Oleg ze zdumieniem otwiera kopertę i znajduje w niej list od jakiegoś dawnego absztyfikanta Olgi... wyznania miłosne, prośbę o wybaczenie, błaganie o nowe spotkanie... Oleg M. ze śmiechem opowiada, jak pod postacią Olgi N. w bibliotece dorabiało sobie trzech biednych studentów psychologii, którzy wchodziłi w Głębię po kolei.

To już nie nasza sprawa. Grunt, że list został doręczony.

Zresztą takie przypadki to wyjątki, w końcu zakochanych narwańców i pochwyconych nostalgią przyjaciół nie jest aż tak wielu...

Ale poszukiwania partnerów biznesowych dają bardzo poważny dochód.

Możemy się zobowiązać, że znajdziemy dowolny budynek w Deeptown. Wcześniej czy później,

nawet jeśli adres nie jest nigdzie wymieniony.

Ze strony Romka było to genialne posunięcie.

Jeśli mimo wszystko Świątynię zbudowano – list z plikiem otrzymają i zdołają przeczytać jedynie swoi. Mieliliśmy bardzo dobrych specjalistów od ochrony.

Jeśli Świątyni nie ma i Ilia jej po prostu nie znajdzie – koperta będzie przechowywana w biurze firmy do końca wirtualnego świata. I to bardzo pieczołowicie. Znam ich zasady. W każdej chwili Romek mógłby przyjść do HLD i zażądać zwrotu listu.

Idealna skrytka.

Wspaniała.

Ale Ilia nie znajdzie Świątyni, a jeśli nawet znajdzie – nie zdoła do niej wejść. Przecież nie jest nurkiem.

A Romek nigdy nie zdoła odebrać listu. Hasła, którym go zamknął, nie znam i nawet nie potrafię sobie wyobrazić.

Co za niefart...

– Dobra – mamrocze Ilia i zabiera mi list. – Znajdę i wejdem... nie pierwszy raz...

W ostatnim momencie rzucam okiem na znaczki.

Dwa po sto dolarów. I jeszcze jeden za pięćdziesiąt.

Więc o to chodzi!

Już wiadomo, czemu Ilia gania po Deeptown, szukając tego, czego nie ma.

Romek zapłacił za list więcej, niż mógł zarobić na włamie. Pewnie wsadził w to wszystkie swoje oszczędności.

– Ilia, ja mówię poważnie... – zaczynam i w tym momencie twarz chłopaka mętnieje. Przez chwilę wygląda jak manekin z matowego szkła, potem z cienkim brzękiem szkło pęka.

Programowe wyjście z Głębi. Timer zadziałał.

Co za koszmarna sytuacja.

Znalazłem to, z powodu czego zginął Romek. Znalazłem całkiem przypadkiem.

I nie mogę tego dostać.

Straciłem apetyt. Siedzę przy stole, patrząc na stygnące mięso i na piwo, uparcie utrzymujące czapkę piany.

– Można się przysiąść?

Podnoszę głowę; obok stolika stoi efektowna brunetka. Wysoka, długonoga, ładna. Jak większość kobiet w Deeptown. Wieczne poszukiwanie przygód...

– Można – odpowiadam.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Zdejmuję hełm i patrzę na ekran – dziewczyna nadal stoi, jakby spodziewała się jeszcze jakiejś odpowiedzi.

Dobra praca projektanta, nie traci indywidualnego charakteru nawet bez nałożonego przez Głębię makijażu.

– Vika, wyjście – polecam.

– Poważnie?

– Zamilcz.

Obrazek na ekranie znikł.

– Zakończ pracę – rozkazuję, wstając. Zerknąłem na zegarek. Za pięć siódma.

Prawdziwa Vika pewnie jeszcze śpi. Zrzuciłem kombinezon i cisnąłem na fotel. Położyłem się na kanapie, naciągając na siebie koc... najwidoczniej Vika położyła go tu wczoraj, na wszelki wypadek, jeśli przyjdę i położę się spać tutaj...

W głowie mam kompletny mętlik.

Romek nie żyje.

Po Deeptown chodzą ludzie z bronią, zabijającą naprawdę.

Informacja, która jest kluczem do wszystkiego, znajduje się w rękach chłopca, z którym pracowałem przez pół roku. Ale pliku nie da się odebrać; równie dobrze mógłby leżeć na Księżycu.

Zbyt dużo się wydarzyło w ciągu tej doby. Taki burzliwy początek nie wróży nic dobrego. Ironia losu.

Jakby jednocześnie wręczono mi wszystkie kłódki, które trzeba koniecznie otworzyć, tyle że zapomniano o drobiazgu – o kluczach.

Oczywiście, każdy klucz można dorobić... trzeba tylko mieć na to czas.

A czasu jak zwykle nie ma.

Zamknąłem oczy i zapadłem w ciężki sen, który przychodzi nad ranem po bezsennej nocy.



Lewa ściana – błękitny lód. Prawa – czerwony ogień.

Tym razem nie błąkam się we mgle. Zaczynam drogę, stojąc nad przepaścią.

Most rozciągnięty jest wzdłuż przepaści, to jest najbardziej nieprzyjemne. A ściany lodu i ognia nie pomogą... przeciwnie.

Sprawdziłem to niejednokrotnie.

Oglądam się – może nieoczekiwany towarzysz znowu pojawi się obok?

Nikogo nie ma. Za mną jest tylko mgła.

Dziwne są te sny nad przepaścią... sny, w których zdajesz sobie sprawę, że śpisz. Sny, w których pamiętasz przednie sny.

Jednego tylko w nich nie ma – tej cudownej władzy nad wydarzeniami, którą zazwyczaj daje sen. Nie mogę unieść się w powietrze, nie mogę przelecieć nad przepaścią, przenieść się do słabego światełka w dali.

Ale... jest jeszcze jedna rzecz, której nie próbowałem robić.

– Głębio, Głębio, nie jestem twój... – szepczę.

Początkowo mam wrażenie, że nic się nie dzieje. W końcu sen to nie świat wirtualny.

Potem przestrzeń trochę się zmienia.

Pojawia się w nim coś jakby nierzeczywistość świata przedstawionego. Płomienie ognia poruszają się mniej chętnie, przymarznięte do lodowej ściany ciała stają się bardziej toporne, zmieniają się przyprószone szronem sylwetki.

Teraz stoję przed wąskim kanionem wyrąbanym uderzeniem gigantycznej klingi. Klingi, która przemieniła lewą ścianę w lód, a prawą w ogień...

Nawet uśmiecham się we śnie, unosząc nogę nad przepaścią. Teraz to już dziecinnie proste. Czymże jest przejście po narysowanej na asfalcie linii? Gdy życie staje się filmem animowanym, możemy czynić cuda.

Tylko że nad przepaścią nie ma już mostu. Gdy znikła iluzja rzeczywistości, on znikł również.

Mostu nie ma, a przepaść jest...

Spadając w dół, z krzykiem chwytam za lodową ścianę.

Zimno wpija się w dłonie, przenika ciała. Czuję, jak stygnie krew, rozrywając naczynia, słyszę, jak chrzęszczą kruche kości, widzę, jak skórę pokrywa szron...

Jak moje ręce łamią się w łokciach...

I spadam w dół, i spadając, przywieram do ściany.

Moją drogę znaczą krwawe strzępy na błękitnym lodzie.

– Leonid!

Otwieram oczy i chciwie wciągam powietrze. We śnie już nie mogłem oddychać. Z bólu, z przerażenia, od niekończącego się krzyku.

Ściana ognia jest jednak znacznie bardziej humanitarna...

– Lonia, co z tobą? – Vika przysiadła obok. Pewnie już wychodziła do pracy. Jest w kostiumie, usta ma umalowane, nawet pantofle na nogach...

– Krzyczałem? – pytam, siadając na kanapie.

– Jeszcze jak. Jakby cię kroili na kawałki. W jej oczach widzę nieudawany przestach. Nic dziwnego. Wciąż pamiętam swój krzyk.

– Sen – powiedziałem. – Miałem straszny sen.

– Most nad przepaścią?

– Aha.

Opowiedziałem jej dwa swoje pierwsze sny o lodowej i ognistej ścianie. Nie żeby mną szczególnie wstrząsnęły – każdy człowiek używający deep programu miewa „fabularne” sny. Zdumiało mnie tylko dokładne powtórzenie tego samego snu.

Ale gdy Vika powiedziała, że powtarzające się regularnie koszmary to oznaka deep psychozy, przestałem się z nich zwierzać.

– To już trzeci raz – zaśmiała się z przymusem Vika. Żeby tylko trzeci...

– Nie za dużo czasu spędzasz w Głębi?

– Nie więcej niż inni – odpowiadam niemal szczerze.

– Lonia, „nie więcej niż inni” to odpowiedź alkoholika na pytanie, czy nie za dużo pije. A propos, jak wczorajszy wieczór?

– Bardzo interesujący.

– Po powrocie wszedłeś do wirtualności?

– Tak... na chwilę, Obiecałem coś zrobić.

Vika kiwnęła głową i wstała.

– Nie podoba mi się to, Lonia. Podejrzewałabym deep psychozę... gdybyś nie był nurkiem.

– Może jestem pierwszym nurkiem, który stracił odporność na Głębię...

– No, no – roześmiała się Vika. – W takim razie czeka mnie błyskotliwa kariera naukowa! Taki wyjątkowy przypadek, w dodatku pod bokiem... to znaczy od czasu do czasu pod bokiem... Idę, Lonia, i tak już jestem spóźniona.

– Vika...

Zająknąłem się. W kącie włączył się komputer. Z jakiegoś powodu nie chciałem się przyznawać, że znowu zainstalowałem w komputerze stary program.

– Pamiętasz Świątynię Nurka w Głębi?

– Oczywiście. – Vika nie zauważyła, że komputer ożył. – Co tak nagle?

– Pytano mnie o nią... – próbowałem lawirować pomiędzy prawdą i kłamstwem. Z Viką jest to zazwyczaj bardzo trudne, ale teraz się spieszyła. – Nie wiesz, czy ją w końcu zbudowali?

– Przecież postanowiliśmy nie brać w tym udziału. – Vika w przedpokoju pospiesznie wkładała płaszcz. – Nie wiem. To ty miałaś mnóstwo przyjaciół nurków, nie ja. Zapytaj ich.

– Nikogo teraz nie znajdę...

– No to zwróć się do biura adresowego Deeptown.

– Akurat będą mieli adres!

– Adresu nie dostaniesz, ale dowiesz się, czy Świątynia istnieje... Na razie, Lonia. Będę przed szóstą, zrób jakąś kolację, dobrze?

Trzaśnięcie drzwiami. Mam ochotę palnąć się w czoło.

Oczywiście, szukanie w biurze adresowym Deeptown nie ma sensu. Rzadko która organizacja podaje swój adres. Ale jest wyjście...

– Vika, wejście w sieć! – krzyknąłem i skoczyłem do kompa.

– Wykonano.

– Tryb pracy bez zanurzenia. Połączenie z biurem adresowym Deeptown.

– Wykonano.

Westchnąłem, patrząc na otwierające się okienko terminala.

– Znajdź spis organizacji religijnych i kultowych. Wejdz do podkatalogu: Świątynie.

Lista była bardzo długa. Czego tam nie było! I świątynie prawdziwych starych religii, i Świątynia Wschodzącego Słońca, i Zaginiona Świątynia, i Świątynia Mocnego Snu, nawet Świątynia Zdrowego Żywienia.

Mają ludzie wyobraźnię! A pięćdziesiąt dolarów rocznie to nie tak znowu dużo.

Świątyni Nurka w Głębi nie było. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

Usiadłem, lewa ręka spoczęła na klawiaturze, prawa na myszy.

– Rozpocznij rejestrację budowy.

– Wykonano.

– Wypełnij zgłoszenie.

Na monitorze pojawił się blankiet. Potwornie długi, ale na razie interesowała mnie tylko pierwsza linijka...

– Świątynia Nurka w Głębi – wybrałem.

Blankiet znikł.

Za to pojawił się współczujący napis:

Niestety, budynek o danej nazwie jest już zarejestrowany. Proszę zmienić nazwę lub ponowić próbę później.

Ach tak.

Informacja o Świątyni została utajniona. Zresztą pewnie i tak jest lipna.

Zbudować budynek w Głębi możesz potajemnie, jeśli tylko masz wystarczającą liczbę rezerw komputerowych. Oczywiście to bezprawie i budowlę można będzie w każdej chwili zburzyć, ale to raczej nie przeraża budowniczych.

Rejestracja Świątyni miała tylko jeden cel – uniknąć pojawienia się sobowtórów. Fałszywych Świątyń Nurków w Głębi...

– Jest... – wyszeptałem. – Jest!

Teraz pozostał już tylko drobiazg – znaleźć Świątynię i zaciągnąć tam Ilię... on dostanie swoje honorarium za doręczony list i w podskokach pobiegnie do domu. A ja otrzymam plik. W Świątyni list straci ochronę i stanie się dostępny dla mnie... w końcu jestem nurkiem. Twórcy Świątyni nie dzielili chyba „swoich” na sprawiedliwych i zdrajców. Tych, którzy budowali Świątynię, i tych, którzy nic nie zrobili. Ale tylko nurek może tam wejść.

– Vika – poprosiłem. – Sprawdź pager Proteusa.

Nie spodziewałem się odpowiedzi. Ale była. Obok ksywy Crazy Tossier.

Czekam na ciebie w biurze Labiryntu Śmierci. Zapytaj o Richarda.

No, no...

Od kogo jak od kogo, ale od niego nie spodziewałem się odpowiedzi... i szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czy mam się z czego cieszyć.

Kiedyś go zgilotynowałem. Wprawdzie wirtualnie, ale żaden nurek takiego świństwa od bratanurka się nie spodziewa... i nie wybaczają.

Gdyby nie to, co stało się potem... gdyby się nie okazało, że staliśmy się niepotrzebni...

Źle by ze mną było.

Crazy Tossier był jednym z najstarszych i najbardziej szanowanych nurków. Przed takim powinienem chodzić na paluszkach, a nie szukać zwady.

Ale on powinien wiedzieć, gdzie jest Świątynia! Jeśli nie on, to kto?

Z wysiłkiem powstrzymałem się przed włożeniem hełmu i kombinezonu. Strasznie byłem głodny – wirtualne jedzenie może wprawdzie nasycić na kilka godzin, ale przecież w końcu nic nie zjadłem w Trzech Prosiaczkach.

W kuchni znalazłem przygotowane przez Vikę śniadanie. Dwa gotowane jajka, zawinięte w folię kanapki z serem... widocznie nie liczyła, że obudzę się w ciągu najbliższych godzin. Czajnik jeszcze nie zdążył ostygnąć, zrobiłem kawę rozpuszczalną i pospiesznie zjadłem.

Głębia czeka.

A gdzieś tam, w Głębi, tyka niewidoczny zegar odliczający godziny i minuty do dnia, w którym wybuchnie panika.

Nie mam już nic, co mógłbym zapisać w rubryce „aktywa”. Nic.

Prócz kilku starych kontaktów.

Prócz pragnienia zwycięstwa.

I deep psychozy na dokładkę...

Wstawiłem filiżankę do zlewu, podszedłem do komputera. Powoli, jakby grając na czas, włożyłem kombinezon. Podłączyłem się do kompa, uruchomiłem program testowy, pochodziłem, poskakałem.

Wszystkie odchylenia w granicach normy. Można działać.

Muszę iść na spotkanie z człowiekiem, z którego dwa lata temu zrobiłem sobie wroga... a teraz chcę go prosić o pomoc.

Włożyłem hełm i przez chwilę siedziałem, patrząc na ekraniki. Słuchawki zamiast fonii. Wentylator w hełmie szumiał głośniejszy niż zazwyczaj.

Nadwrażliwość to jedna z oznak deep psychozy.

A hełm i tak powinienem dawno wymienić...

– Vika, wejście. Postać numer siedem. Strzelec.

Deep Enter.

Leżę, patrząc w twarz motocyklisty. Puste oczy, gładka skóra, rozchylone usta. Manekin. Sztampa. Nawet nie żał go wyrzucić.

Wstaję, przeglądam się w lustrze.

Ech, Strzelcu, Strzelcu...

Jest jakiś staromodny. Dwa lata temu jego postać mogła służyć za wzorzec. Teraz są inne czasy.

Dżinsy i skórzane kurtki, kryjące żylaste ciało, wyszły z mody. Teraz nastał czas atletycznej muskulatury pod drogimi garniturami, czas infantylnych ślicznotek w półprzezroczystych, zwiewnych szmatkach. W modzie są wielkie wyraziste oczy i wyszukane ozdoby. W modzie jest unisex i barbarzyńska elegancja.

Wyciągam rękę do swojego odbicia w lustrze, do silnej dłoni, która wyciągnęła się z naprzeciwnika.  
– Zawsze byłeś ostatnim Strzelcem tego świata – mówię do odbicia. – Dlatego mi się podobałeś.

Nie zamierzam rozjaśniać włosów Strzelca, zmieniać dżinsu na aksamit, skóry na skaj.

Jestem Strzelcem.

Sprawdzam rewolwery. Pociski stare, ale w końcu nie idę walczyć z Crazy, tylko godzić się.

Otwieram drzwi, wychodzę z pokoju. Kątem oka kontroluję korytarz. Ale czas kolejnych niespodzianek jeszcze nie nadszedł.

Wychodzę z hotelu, łapię samochód. Jak dziwnie być znowu w tym ciele i znowu podawać ten adres!

– Labirynt Śmierci – mówię kierowcy. I dorzucam: – Budynek administracji.

Droga nie jest długa. Przed Labiryntem stoją porządne samochody; petentów w administracji nie powinno być dużo.

Płacę, z niepokojem dostrzegając żółte światełko na swojej karcie kredytowej. Ostrzeżenie: zostało najwyżej pięćdziesiąt dolarów.

Trudno walczyć, gdy nie masz za co kupić naboju...

Budynek ten sam, co kiedyś – piętrowa willa, ściany wyłożone muszelkami. Solidne firmy cenią stabilność bardziej niż pozerstwo. Tylko ochroniarz przed wejściem jest uzbrojony w coś nowego... w jakąś dziwną hybrydę harpuna i szczotki o futurystycznych kształtach.

Zresztą co mnie to obchodzi?

W poczekalni są trzy stoliki. Przed jednym siedzi młoda dziewczyna i coś cicho wyjaśnia młodemu urzędnikowi. Pozostałe dwa są wolne. Czekają na mnie dwie uśmiechnięte dziewczyny. Jedna blondynka, druga brunetka.

Zasadniczo wszystko mi jedno.

– Dzień dobry – mówię. – Jak mogę dostać się do Richarda?

– Richarda? – Ponieważ stanąłem pomiędzy stolikami, pracownicy patrzą na siebie, dokonując wyboru. Ja wolałbym blondynkę.

– Waszego pracownika o imieniu Richard – dodaję. Dziewczyna lekko ściąga brwi.

– Richard... ma pan zapewne na myśli Richarda Parkera?

– Zapewne.

Może być Parker, Zippo, ba, nawet Ronson...

– Kogo mam zapowiedzieć?

– Leonida.

– Proszę się wpisać.

Gdy dziewczyna wybiera numer na komutatorze i mówi coś do słuchawki, ja wpisuję imię na specjalnym blankiecie.

„Próba zewnętrznej kontroli systemu – szepcze niewidoczna Vika. – Otrzymało polecenie

identyfikacji. Zezwolić na dostęp do informacji systemowej?"

– Tak.

Windows Home mam zarejestrowany na nazwisko Użytkownik z kompanii Kompania.

Jestem gotów poświęcić tę niezwykle cenną informację.

– Proszę iść za drogowskazem – uśmiecha się blondynka. Dostała polecenie przepuszczenia mnie.

W powietrzu zapłonęło różowe światełko i przesuwa się od jednych drzwi do drugich. Kiwam sekretarce głową, idę za światełkiem.

Korytarz jest krótki, tabliczki na drzwiach robią wrażenie. Zwłaszcza na tych drzwiach, których potrzebuję.

Richard Parker. Służba bezpieczeństwa zewnętrznego.

Otwieram drzwi i wchodzę.

Do licha, nie tylko ja przywdziałem stare ciało!

Crazy Tosser jest w postaci, którą znam ze złotów nurków.

Starszawy grubasek, z rzadkimi i akuratnie zaczesanymi włosami. Garnitur, krawat... wszystko wygląda bardzo pokojowo.

Stoję, czekając na jego pierwsze słowa. Zaczniemy wspominać krzywdy?

– Lonia, stary draniu! – woła radośnie Crazy. Wyskakuje zza stołu ze żwawością dostępną jedynie w Głębi. – Ciągłe taki sam!

Ściskam jego rękę, cały czas spodziewając się podstępu. Dowolnego.

I dopiero gdy siedzę w fotelu ze szklanką whisky, dociera do mnie, że on naprawdę cieszy się na mój widok.

– Gdzie przepadłeś? – rozkłada ręce Crazy. Jest Kanadyjczykiem, więc albo mówi przez program tłumaczący, i to perfekcyjny, albo sporo praktykował w języku. Wcześniej też posługiwał się rosyjskim, ale miał akcent, który teraz znikł. – Wysłałem ci dwadzieścia cztery listy!

– Bardzo długo nie używałem pagera.

– Dlaczego? – zdumiał się Crazy.

– Po co? – odpowiadam pytaniem i podnoszę szklankę. – Za spotkanie!

– Za spotkanie + – zgadza się były nurek. – Jak żyjesz?

– Normalnie.

– Własny interes?

– Żadnego. – Nie widzę sensu w kłamstwie.

– No! – Crazy jakby się zmienia. Nie zewnętrznie; zmienia się jego zachowanie, intonacja głosu... teraz to rzeczywiście Richard Parker, poważny pracownik Labiryntu Śmierci. – Wysłałem ci propozycję pracy u nas.

– Jako kto?

– Naczelnik wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego – uśmiecha się Dick. – Rozumiesz?

– Szczerze mówiąc, nie – przyznaję się.

– Okay – wzdycha Dick. – Bardzo dobrze wtedy szedłeś przez Labirynt... dwa lata temu. Oczywiście teraz nurkowie-ratownicy nie są nam potrzebni. Sam rozumiesz. Ale jako prowodyr...

Crazy zawiesza głos, ale ja nadal nie rozumiem.

– Aby wzrosło zainteresowanie dowolną masową grą, musi być w niej wyraźny lider. Idol. Postać kultową. Nie powinien być w grze cały czas, bo wszyscy poczują się gorsi. Ale od czasu do czasu mógłby się pojawiać... dawać przykład...

– I na tę rolę wyznaczyłeś Strzelca?

– Tak. Przecież jest jedną z legend Labiryntu. Nie odpowiada ci ta praca?

Wzruszam ramionami. Praca jak praca. Nie nudna, a już na pewno lepiej płatna niż noszenie narysowanych fortepianów.

– Odpowiada.

– Jeszcze nie jest za późno – ekscytuje się Dick. – Wprawdzie minęło sporo czasu, ale ze dwa, trzy twoje przejścia po Labiryncie i...

– Pewnie dużo się tu u was zmieniło.

– Nawet nie wiesz ile! Ale wystarczy, że potrenujesz...

– Crazy, nie po to przyszedłem.

Dick siada w fotelu, kiwa głową.

– Okay. W takim razie porozmawiajmy. A potem wrócimy do mojej propozycji.

– Naprawdę nie masz do mnie pretensji? – pytam na wszelki wypadek. – Za to... za tamten incydent.

– Jaki? A, Warlock... – Crazy uśmiecha się. – Wtedy miałem, ale teraz... za dużo wody upłynęło.

– To dobrze... – kiwam głową. – Jest pewna sprawa. Crazy Tosser słucha uważnie.

– Pamiętasz Świątynię Nurka w Głębi?

– Oczywiście. – Z twarzy Richarda znika ożywienie. – Pamiętam. Ty od razu odmówiłeś budowy?

– Tak – odwracam wzrok.

– Byłeś mądry – kiwa głową Dick. – Miałeś rację, A ja długo to ciągnąłem, prawie do końca.

– Dlaczego?

– Nie można wiecznie żyć przeszłością, minionym czasem. – Dick unosi palec. – A wznoszenie monumentalnego pomnika samemu sobie... To głupie i śmieszne!

Aha...

Oczywiście, ma rację. A ja, jak widzimy, jeszcze większą. Tylko z jakiegoś powodu jest mi wstyd, że w tej Świątyni nie ma ani jednej mojej cegielki.

– Świątynia została zbudowana? – pytam.

– Tak, rok temu. Byłeś tam? Jakie to proste!

– Nie, Dick. Ale muszę pójść. Możesz mi to załatwić? Crazy zawahał się.

– Widzisz, Leonid... początkowo nad Świątynią pracowało prawie sto osób. Pół roku później już tylko siedem. Gdy wszystko było praktycznie gotowe, zostało troje. Ukończyliśmy ją w ogólnych zarysach.

– Brawo – mówię. – Brawo. To wspaniale, że Świątynia jest. Gdzie ją postawiliście?

– W przestrzeni rozmytej.

– Co?

– W ogóle się nie orientujesz? – Dick wzdycha, wyciąga paczkę papierosów, zapala. Albo jego status jest wyższy niż status Maniaka, albo zwierzchnictwo Labiryntu to mniejsi krety niż ci w

Virtual Guns. – To był szczególny projekt...

– I co z tego?

– Świątynia w założeniu miała być wieczna. Tak jak Głębia. A to znaczy, że nie zależy od żadnego serwera. Bazowe programy Świątyni błędzą po sieci, ich fragmenty dublują się, rekombinują, samodzielnie organizują do pracy. Żeby Świątynia znikła, trzeba zniszczyć wszystkie komputery sieci. Dokładnie ponad dziewięćdziesiąt trzy procent w chwili obecnej.

– Ekstra – mówię. – Zrobiliście to na podstawie technologii wirusów?

– Naturalnie. Osobiście się tym nie zajmowałem, większość nurków pracowała nad tworzeniem samej Świątyni. Podstawę programową pisali profesjonaliści.

– Czyli Świątynia istnieje, ale nie ma stałego miejsca w Deeptown... – przygryzam wargi. – Taak. Jak do niej trafić?

– Gdy zostaliśmy we trzech – mówi Dick – zrozumieliśmy, że pora kończyć projekt. Chociaż nie wyszło wszystko, co zaplanowaliśmy. Wtedy stworzyliśmy trzy punkty wejścia i ukryliśmy je w Głębi. Na tym wszystko się skończyło. W danym momencie Świątynia nie istnieje. Ale wystarczy podejść do którejś z bram, a sama się zorganizuje w wolnym punkcie Deeptown. Jak ci się to podoba?

– Owszem – zgadzam się. – A gdzie jest twoje wejście? Możesz mi je dać?

– Oczywiście. Jesteś nurkiem. Tylko... widzisz...

– Co? Nie przeciągaj, Crazy!

– Miałem już dość całego pomysłu – przyznaje się Dick. – I ze złości wpakowałem swoje wejście w bardzo specyficzne miejsce... Na ostatni poziom Labiryntu Śmierci.

– Idiota – mówię tylko, wyobrażając sobie, czym stała się teraz ta największa gra. – Jak szybko można przejść Labirynt?

– Teraz to gra zespołowa... – mówi Dick. – Miesiąc, może dwa. Jeśli chcesz popatrzeć, jak wygląda Świątynia, idź inną drogą!

– Czyją?

– Drugim z nas był Paul. Pamiętasz go?

Pamiętam, chociaż niewyraźnie. Chuda tyczka w szortach, zawsze nagi do pasa, z kolorowym tatuażem na piersi.

– Tak, pamiętam.

– Bardzo długo zastawiał się, gdzie schować swoje wejście. Podszedł do sprawy bardzo poważnie i w końcu umieścił je w piwnicy jednego z biur Microsoftu.

– Pewne miejsce.

– Tak, ale to był akurat ten budynek, który wiosną wysadzili terroryści.

Gwiżdżę zaskoczony.

Wszyscy o tym słyszeli. Cały Deeptown wpadł w panikę. Pod budynek podłożono bombę logiczną drugiego pokolenia. Serwery zostały totalnie załatwione.

– Wejście zniszczone?

– Tak, i nie da się odtworzyć. Ale zwróć się do Romana, on był tym trzecim. Przecież jesteście przyjaciółmi, prawda?

– Byliśmy – poprawiam automatycznie. Dick nie zwraca na to uwagi.



– On ma bardzo proste wejście, ze swojego domu. Roman nie ufał obcym serwerom, trzymał wszystko na swoim komputerze.

Milczę, próbując wyobrazić sobie, co można odzyskać z dysku potraktowanego przez program, o którym mówił Padlina. Wychodzi mi, że nic.

– Iść przez Labirynt do mojego wejścia to męka – przyznaje samokrytycznie Dick. – Gdybym rzeczywiście miał do ciebie żal o tamten incydent, zaproponowałbym ci, żebyś z niego skorzystał.

– W takim razie jesteście kwita – mówię. – Romek nie żyje, Crazy. I na jego kompie nie ma już nic, wszystko wyczyszczone. Właśnie dlatego chcę wejść do Świątyni Nurka w Głębi, żeby zemścić się na jego zabójcach.

Podnoszę oczy i widzę, jak zmienia się twarz Dicka.

– On nie żyje – powtarzam. – Został zabity. Zabity z Głębi, a umarł w realu. Wiesz, co to oznacza?

Dobroduszny i spokojny właściciel gabinetu jest chyba bliski zemdlenia. Ale mimo wszystko mówię na głos to, o czym on na pewno myśli.

– Wyobraź sobie, że u wszystkich graczy, którzy teraz biegają po Labiryncie, zmienia się broń. Niezauważalnie. Odrobinę. I zaczynają zabijać się naprawdę.

Mam tylko nadzieję, że Crazy Tossier, który jest przecież niemłodym człowiekiem, ma mocne serce.

Nie ma żadnych map. Tak samo jak przedtem. Wejść służbowych tym bardziej. Gdy ludzie przestali tonąć w Głębi, przestały być potrzebne.

– Spróbuj – mówi Crazy. – Zorientuj się, co i jak.

– Może jednak pójdziesz ze mną? – pytam.

Łuk z czarnego marmuru – wejście do Labiryntu Śmierci – nie zmienił się. Kłęby purpurowej mgły, przelatujące błyskawice, niekończące się strumienie ludzi.

Część jest prawdziwa, część to dodane przez komputer atrapy. W celu zwiększenia wrażenia.

– Ja już jestem za stary na tę grę – mówi Crazy.

Stoimy nieco z boku głównego strumienia. Nadal jestem w ciele Strzelca Crazy włożył młodsze i mocniejsze.

– Bardzo się teren zmienił? – pytam.

– Nie tylko teren. To już drugi etap gry. Pierwszy, stary, przeniesiono na dodatkowy poligon. Tam nadal odbywa się atak kosmitów.

– A tutaj?

– Odpowiedź. Ziemski krążownik z komandosami ląduje na wrogiej planecie.

O rany...

Jak ja się oderwałem od życia...

– Ale zasada się nie zmieniła?

– Ta cholerna zasada nie zmieniła się od czasów Wolfensteina. Zabij wszystko, co się rusza. Weź, cokolwiek ci wpadnie w rękę.

– No to w czym problem?

Crazy wzrusza ramionami. Patrzy na niekończący się potok.

– Widzisz, Leonid... nie, wiesz co, lepiej idź sam. Będę na ciebie czekał w gabinecie. Powodzenia.

Słusznie. Nie ma co panikować.

Uderzam w jego dłoń – na szczęście. I robię krok w stronę sunącej do łuku kolumny.

Twarze wokół są bardzo poważne. Buźki małolatów, mocni mężczyźni, siwowłosi weterani. Myślałby kto, że cała Ziemia ruszyła do walki z kosmitami. Stary militarysta Heinlein byłby zachwycony takim obrazkiem.

Są również kobiety. Ale niedużo.

Czasem trafiają się inwalidzi o kulach, nawet na wózkach inwalidzkich.

No proszę, *political corectness*... jakże inaczej.

– Witaj...

Lekkie *deja vu*.

Ale to nie Alex, który z nienawiści gonił mnie przez trzydzieści sześć poziomów.

Młodziutka, może siedemnastoletnia dziewczyna. Czarne, krótko obcięte włosy. Twarz aż zbyt młoda i naiwna. Ale figura mocna i zgrabna. Dżinsy, kraciasta koszula...

Gdzieś już ją widziałem.

– Też cię nie przyjęli do pracy? – pyta dziewczyna i przypominam sobie. To ona stała w administracji Labiryntu, udowadniając coś z przekonaniem, gdy mnie kierowano do Richarda.

– Sam nie chciałem.

– Warunki nie odpowiadały?

Rzucam spojrzenie przed siebie – do łuku jeszcze daleko. Huk powoli narasta.

Cóż, można pogadać.

– Mniej więcej.

– Nie jesteś rozmowny... Kiwam głową.

– Nazywam się Nike.

– Strzelec.

– Dawno grasz?

– Dawno nie gram.

– Może na początek pójdziemy razem? Jest bardzo trudno. Ledwie powstrzymuję się od uśmiechu.

– Wybacz, ale nie. Z natury jestem samotnikiem.

Byłoby mi nieprzyjemnie ją zabić, gdyby wycelowała pistolet w moje plecy. Lepiej nie prowokować losu.

– Dobrze – zgadza się szybko dziewczyna.

– Zaproponuj komuś innemu.

– Jak znajdę kogoś prawdziwego, na pewno zaproponuję. – Od razu przestaje się mną interesować i uważnie ogląda idących obok nas.

Cóż, chyba to rzeczywiście głównie komputerowe atrapy. Do Labiryntu co sekundę może wchodzić jeden gracz, ale nie trzydziestu.

– Strzelcu, nie wydaje ci się czasem, że w życiu jest tak samo? – pyta nagle Nike. – Że wokół są manekiny? Różne twarze, różne charaktery. Trochę więcej wolnej woli, trochę mniej. Ale dziewięćdziesiąt procent to kukły. Zrobione przez kogoś, żeby nam się przyjemniej żyło.

– Dlaczego? – Jej sugestia mnie zaskoczyła.

– Jeśli wierzyć w Wędrowkę dusz... Pomyśl, ludzi jest coraz więcej. Skąd dla każdego wziąć duszę? No i chodzą takie manekiny. Wyglądają niby normalnie, ale duszy im brakuje.

Mogę oczywiście powiedzieć, że nie wierzę w wędrowkę dusz.

Ale to żaden argument.

Portal jest tuż przed nami. Huk dławi świadomość, powietrze pachnie ozonem, ktoś się potyka, rozgląda niepewnie. Tak, wejście do Labiryntu zawsze robi wrażenie i nastroja na nową falę.

– Bywaj, Strzelcu! – krzyczy dziewczyna i zaczyna biec. Nurkuje w kłębiącą się mgłę.

Słusznie. Nie ma co tego odwlekać! Biegnę za nią i łuk zasłania niebo. Mgła. Cisza.

Myślałem, że od razu znajdę się na obcej planecie. W pierwszym Labiryncie wszystko zaczynało się szybko. Ale czeka mnie niespodzianka.

Ogromna sala. Metaliczne ściany, niski sufit, zimne światło lamp. Wzdłuż jednej ściany stoją otwarte kabiny prysznicowe, pod drugą niskie, przykryte szklanymi kopułami wanny.

Ludzi sporo; jedni, jeszcze ubrani, snują się po sali, inni, nadzy, myją się pod prysznicami.

Jest jeszcze kilku mocnych, szczupłych mężczyzn i parę kobiet w mundurach, z krótkimi pałkami w

ręku.

– Co się gapisz? – Kołysząc pałką, podchodzi do mnie młoda Murzynka. Żuje gumę, na policzku ma bliznę, na piersi baretki nieznanymi mi odznaczeń. – Cholerny nowicjusz... pod prysznic, biegiem!

Nie chce mi się kłócić. Ani tym bardziej urządzać tu strzelaniny. Zwłaszcza że w moich kaburach nie ma już pistoletów.

Rozbieram się i rzucam ubranie na podłogę, na stertę cudzych szmat. Wchodzę pod prysznic.

Woda jest zielonkawa i ostro pachnie chemią. Jak udało im się osiągnąć tak wyraźny zapach?

Myję się długo i starannie. Cała ta sytuacja zaczyna mnie bawić. Sierzanci krążą po sali, zaganiając nowicjuszy pod prysznice, a potem do wanien. Pokrywy wanien powoli zachodzą białą mgłą.

– Długo jeszcze będziesz się pluskał? To nie łaźnia!

Uderzenie pałką po żebrach jest nie tyle bolesne, ile przykre.

Tym bardziej gdy stoisz nagi, a cios zadaje dziewczyna.

– To niepotrzebne, sierzancie... – mówię. Murzynka mruży oczy.

– Jeszcze będzie dyskutował... do anabiozy, szybko!

Idę do najbliższej wolnej wanny, za mną Murzynka w charakterze konwoju. Idiotyczne wrażenie, że zaraz dostanę kopniaka w tyłek.

Do sąsiedniej kabiny podchodzi Nike. Też naga. Nasze spojrzenia spotykają się.

Niby wiem, że to świat wirtualny i że nasze ciała są narysowane, ale i tak czuję się nieswojo. Kobieta sierżant się nie liczy, ona jest w pracy...

Zresztą my teraz też.

– Szybciej!

Mrugam do Nike i wchodzę do wanny. Na dnie kałuża lodowatego płynu, sterczą jakieś rozpylacze i elektrody. Kombinacja jaccuzi i krzesła elektrycznego... a raczej elektrycznej wanny.

W ostatniej chwili Murzynka jeszcze raz wali mnie pałką, tym razem naprawdę mocno. Nie zdążam zareagować – szklany klosz opada, z rozpylacza wali mgła.

– Jeszcze ci pokażę! – krzyczę, wijąc się z bólu i zapieram się kolanami o szkło.

Ale ze stożków elektrod biją niebieskie ładunki i zapada ciemność.

Nie ma czasu. Jest ciemność.

I odległe, nużące wycie syreny.

Otwieram oczy i tępo patrzę na rozbitą kopułę. Przez dziury w szkle powoli wypływa biała mgła.

Dolecieliśmy?

Ale dlaczego tu tak ciemno? Na całym suficie palą się tylko dwie czy trzy słabe lampy.

I ta rozbita kopuła anabiotycznej wanny – po co niszczyć przedmioty?

Pcham kopułę, ale się nie poddaje. Próbuję poszerzyć dziurę w szkle; kaleczę ręce, lecz wyłamuję wielki kawał. Teraz mogę się precyzyjnie.

Widok jest straszny.

Połowa sali rozwalona. Wanny rozbite, z niektórych sterczą pokaleczone ciała, na podłodze kałuże

krwi.

Coś złego stało się z naszym statkiem desantowym.

Zaglądam do sąsiednich wanien, ale kopyły są otwarte i nikogo nie ma.

Czyli uznali mnie za trupa i wyszli.

Szybko obchodzę salę w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni. Nie ma nic. Za to znajduję martwego sierżanta. Chyba mój rozmiar ubrania. Chłopcu zmiażdżyła głowę jakiś ogromna belka... precyzyjnie zmiażdżyła, nawet mundur się nie pobrudził. Ściągam z niego ubranie bez najmniejszego wahania. Ten nieszczęśnik leży tu po to, żebym miał się w co ubrać.

Ale gdzie jest broń, do ciężkiej cholery?!

Jakiś nieprawidłowy początek gry.

Lekkim truchtem wybiegam z sali na korytarz. Światło wszędzie jest mętne, jakby nierealne. Przeszukuję kilka działów, ale broni nie znajduję. Tylko jakąś latarkę, zapomnianą na niedziałającym pulpicie.

Wszystko jest coraz bardziej interesujące. Niepotrzebnie swego czasu zlekceważyłem Labirynt...

Kwadrans później znajduję wreszcie wyjście ze statku. To nie luk, tylko dziura w ścianie ze stopionymi krawędziami. Ostrożnie dotykam metalu – jeszcze ciepły; nachylam się, wysuwam głowę.

Pięknie to wygląda.

Wysokie, fioletowe niebo. Po niebie płyną obłoki, krążą jakieś ptaki, od czasu do czasu rozlega się ich smętny klekot.

Zeskakuję na ziemię, mocno uderzam stopami. Odchodzę od statku i rozglądam się. Statek leży na ziemi, przełamany na pół, widać uderzył w skały. Twarde lądowanie. Gigantyczny, ze trzysta metrów długości.

Nikogo nie ma.

Gdzie moi ocalali towarzysze niedoli?

Dopiero pięć minut później, podchodząc do łańcucha skał, znajduję pierwszego.

A raczej pierwszą. To Nike. Częściowo Nike, a częściowo krwawa papka. Wcisnęło ją w ziemię i przemieszało tak, że nawet Boschowi by się nie śniło...

Za to jej martwa ręka ściska pistolet.

– I tak to jest, dziewczynko – mówię. – Mówiłaś, że to marionetki, manekiny...

Teraz ona jest dla mnie marionetką. Pojawiła się i zginęła po to, żeby dać mi broń.

A może to tylko zbieg okoliczności?

Oglądam broń. Pistolet strzela ładunkami błękitnego płomienia, utrzymując spust naciśnięty przez dłuższy czas, można uzyskać sporą moc. Sądząc po wskaźniku, ładunku broni praktycznie nie sposób wyczerpać.

Cóż, z taką bronią mógłby przegrać jedynie skończony głupiec.

W znacznie lepszym nastroju idę w stronę skał.

Ptaki smętnie wrzeszczą nad moją głową. Walczę z pragnieniem strzelenia do nich.

– Jestem Strzelcem! – mówię sam do siebie. Próbuję przywołać ten zapalczywy, bojowy nastrój, który zawsze pomagał, gdy trzeba było włączyć prawdziwą wściekłość. – Jestem Strzelcem!

Jaskinia w skałach to najbardziej podejrzane miejsce. Biorę pistolet, włączam latarkę, idę.

Jaskinia niemal od razu przekształca się w tunel, głęboki, ale wyraźnie sztuczny. Już najwyższa pora, by zaczęła się strzelanina.

Przeciwnik nie każe na siebie długo czekać.

Najpierw słyszę sapiący oddech, potem głośne kroki. Zajmuję dogodną pozycję przy zakręcie, przywieram do ściany i czekam.

Istota, która pojawia się przede mną, przypomina potwornego, spasionego i jakby ogolonego niedźwiedzia kroczącego na tylnych łapach. Stwór jest wyższy ode mnie o dwie głowy. Naciskam spust i seria błękitnych rozbłysków uderza w pierś potwora.

Prosto w połyskliwe płytki pancerza.

Potwór nie wydaje ani jednego dźwięku, nie zniża się do tego. Za to od jego ramienia odrywa się krótka rakieta. Oj...

Boli...

Moja agonia trwa pięć sekund. Może jestem uprzedzony, ale pięć sekund to stanowczo za długo dla człowieka rozmazanego na podłodze. Zdażam zauważyć, jak istota pochyła się nade mną i wyciąga łapę po pistolet, widzę, że płytki pancerza lekko pociemniały od moich wystrzałów.

Potem umieram.

– Pod prysznic, psiakrew! Czego się gapisz?

Tym razem sklął mnie młody chłopak, też w mundurze sierżanta. Ale nie używa pałki, to już postęp.

Więc za każdym razem będę zaczynał od wsiadania na statek i ożywał nagi i wymazany krwią?

Znowu widzę Nike.

Dziewczyna jest stropiona... i nic dziwnego...

No i jak, kto tu jest prawdziwy, a kto manekin? Czy nie wszyscy razem?

– Narobiliście w spodnie? – Sierżant zwraca się do wszystkich. Chyba nikt z tych, którzy wyszli ze statku, nie przeżył wystarczająco długo, by spóźnić się na drugi ładunek. To samo towarzystwo. Zaczynam nawet rozpoznawać poszczególne twarze. Nike, starszawy pan o inteligentnej twarzy, dwóch chłopców bliźniaków – może to naprawdę bliźniaki? – masywna dama przypominająca Luizę i pryszczaty wyrostek, narysowany chyba przez człowieka nienawidzącego całą młodzież świata.

– To nie fair! – wygłasza ogólną opinię jeden z bliźniaków. Drugi kiwa głową.

– Nikogo na siłę nie trzymamy – sierżant spluwa na podłogę. – Tchórze mogą odejść.

W milczeniu idę pod prysznic. Pozostali też.

– Dzięki za pistolet – odzywam się do Nike.

– Jaki pistolet? – Dziewczyna zmywa z siebie błoto i krew w sąsiedniej kabince. Już nikt się niczego nie wstydzi.

– Widziałem twoje zwłoki. I wziąłem broń.

Dziewczyna odwraca się.

– Jeśli trzymasz spust naciśnięty przez trzy sekundy, generujesz silniejszy ładunek.

– Dzięki, już to zrozumiałem. Na tamtej planecie takimi pociskami można pewnie zabijać muchy.

Zaganiają nas do wanien.

Syk białego gazu. Krótki ból wywołany ładunkami elektrycznymi. Ciemność.

Tym razem budzę się razem ze wszystkimi. Sala mniej ucierpiała, ale coś się stało z aparaturą większości wani anabiotycznych. Leżą w nich przysmażone ciała.

To ci, którzy nie mieli duszy. Zginęły najbardziej niepozorne postacie. Prawdopodobnie programy. Wszyscy, których rozpoznałem jako prawdziwych graczy, przeżyli.

Żyje również trzech sierżantów. Rozdają nam pistolety i umundurowanie o barwie kurzu. W kolorowym świecie poza granicami statku ten mundur ochronny będzie idealnym celem.

Wychodzimy na zewnątrz jako niewielki oddział. Zatrzymuję się.

– Naprzód! – szczeka sierżant.

– Idź sam... pod wiadomy adres – mówię, trzymając dłoń na rękojeści pistoletu.

– Co???

– Jestem Strzelcem. Pójdę sam.

Pryszcłaty młodzieniec jest zachwycony. Inteligent i bliźniaki patrzą bez cienia aprobaty. Nike myśli. Sierżant się waha, wreszcie kiwa głową.

– Idź, głupi. Idź sam.

Grupa odchodzi. Nike stoi, patrząc na mnie.

– Dlaczego się odłączasz? – pyta.

– Ten oddział będzie pięknym celem dla broni raketowej. Trudno o lepszy.

– Co zrobisz w pojedynkę?

– Pomyślę.

Nike patrzy w stronę oddalającego się oddziału. Wzrusza ramionami i biegnie za nim.

A ja rzeczywiście siadam na kamieniu i myślę. Dość długo. Potem idę za oddziałem.

Z jednej strony to kompletne świństwo – puścić przed siebie grupę dla oczyszczenia terenu. Z drugiej – w końcu nie przyszedłem tu grać.

A co najważniejsze, nie wierzę w powodzenie tej grupy.

I słusznie...

Tunel przypomina rzeźnię. Fragmenty ciał. Broni niestety nie ma.

Za to znowu słyszeć ciężkie kroki.

– Jestem Strzelcem – powtarzam, przygryzając wargi. Czy zakłęcie się aby nie zestarzało?...

Kroki są coraz bliżej.

Gdy potwór ma się wyłonić zza rogu, naciskam spust. Pistolet lekko wibruje, zaczyna wzmacniać ładunek. I wypływa w pierś wroga ciemnoniebieski płomień.

To już coś!

Skaczę do przodu i ląduję tuż przed potworem. Chyba nie będzie walił z miotacza rakiet pod własne nogi?

Nie wali.

Za to cios grubej łapy, z pozoru niedbały, rzuca mnie na ścianę.

Przez cały czas strzelam. Pistolet robi coraz dłuższe przerwy pomiędzy wystrzałami, ładunek nie zdąża się widać odnowić. Ale osiągam cel.

Pancerz na piersi pęka i potwór się przewraca.

Wstaję. W głowie mi huczy, bok boli, ręce się trzęsą.

Ale walka, nie ma co!

Łomot w skroniach...

Co tam łomot w skroniach! Z naprzeciwka wyskakuje drugi potwór, identyczny. Tylko świeżutki, pełen sił i ochoty do działania. A ja jestem wykończony, z ledwie strzelającym pistoletem...

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Będziemy grać nie fair!

O dziwo, świat zmienił się umiarkowanie. Wspaniałe opracowanie środowiska, naprawdę! Ale już nie jestem w Labiryncie Śmierci, stoję w swoim mieszkaniu, w hełmie i kombinezonie, ściskając w wyciągniętej ręce narysowany pistolet.

Strzał, a ja rzucając się w prawo. Potwór na ekranie odwraca się – ciężko, ale jednak dość szybko.

Odturlać się...

Zerwać... odskoczyć...

Potwór strzela bez ustanku. Rakiety wbijają się w ściany, kołysze mną fala uderzeniowa.

Taniec pomiędzy ognistymi kwiatami...

Czuję się jak na wpół zdeptana pszczoła, bzycząca przed ziejącym ogniem niedźwiedziem.

Mogę najwyżej uządlić.

Ale jednak mogę.

Wystrzeliłem kolejny ładunek, już wiedząc, że nie zdołam dotrzymać szalonego tempa. Decyzja, by podejść bardzo blisko wroga, była bez wątpienia słuszną, ale kto by się spodziewał drugiego potwora!

I nagle wróg wydaje głuchy ryk i pada na ziemię.

Deep Enter.

Siadam obok rozdartego na kawałki ciała. Kładę pistolet na kolanach, ocieram pot z czoła.

To ma być początek gry?

Pierwszy, najłatwiejszy poziom?

A jednak poradziłem sobie...

Przeszukuję pomieszczenie. Ruchy mam spowolnione, przecież jestem ranny. Ale pod pustymi skrzyniami znajduję apteczkę. Stałe i pewnie nieuniknione ustępstwo ze strony twórców gry – ludziom i potworom pomagają te same medykamenty.

Przykładam mały aparat do ciała. Ból mija. Wracają siły, sprzed oczu znika różowa mgła.

Naprzód! Przecież jestem Strzelcem!

Wychodzę z tunelu na pagórkowatą dolinę. W oddali jakieś chaty.

Ptaki krzyczą smętnie i coraz głośniejsze.

Podnoszę głowę – po to, żeby dostać dziobem w twarz.

Ptaka przypomina miniaturowego pterodaktyla. W otwartym dziobie widać cienkie, ostre zęby.

Co się tu dzieje, do licha!



Niemal minutę udaje mi się wytrwać pod naporem stada, strzelając we wszystkie strony.

Jednego ptaszka nawet zestrzeliłem.

A potem przez pięć sekund obserwuję, jak latające bydlęta uczują na ciebie Strzelca.

Strzępami munduru też nie gardzą, łykają w całości. Pewnie na zakąskę.

– No i co, doigrałeś się? – mówi triumfalnie sierżant, ten sam, któremu groziłem pistoletem. – No, Strzelec...

Obejrzał mnie z błyskiem zainteresowania.

– Nasłuchałeś się legend i postanowiłeś pobawić się w Strzelca? – dodaje bez specjalnego wyrzutu inteligent. – Panowie, podejdźmy do sprawy poważnie! Potrzebne są tu działania zespołowe! Gra kolektywna!

Sierzanci nie protestują wobec jego inicjatywy. I nawet nie walą nikogo pałkami. Najwidoczniej taki właśnie był cel – zrobić z nas jedną zgodną jednostkę bojową.

Z ciekawością patrzą na moje pokrwawione ciało.

– Ptaszki? – pyta Murzynka i cmoka językiem.

Czyżby po moim wyglądzie było widać, jak daleko zaszedłem?

– A może muchy?

To tam są również muchy?

W milczeniu wchodzę pod prysznic, zmywam krew i podnoszę swoje ubranie.

Patrzą na mnie ze zrozumieniem i pewną pogardą.

– Nie gorączkuj się – sierżant kładzie mi rękę na ramieniu. Masz zadatki. Ale samemu, w dodatku bez doświadczenia...

Nie mam najmniejszej ochoty ustawiać się w szeregu. Grać w zgodnym zespole. Współzawodniczyć z innymi drużynami. Nie przyszedłem tu grać!

Pokonanie nowego Labiryntu rzeczywiście może zająć miesiąc.

A ja po prostu nie mam tyle czasu.

Piję kawę z Richardem. – Jesteś pewien istnienia broni trzeciego pokolenia?

Powinien był zapytać o to wcześniej. Widocznie szok okazał się zbyt duży.

– Tak.

– Trzeba sprawdzić kartę ubezpieczenia medycznego Romana – radzi Richard. – Poza tym... macie obowiązkową służbę wojskową, wojskowi lekarze powinni byli go starannie obejrzeć...

– Dick – kręcę głową – nie jesteśmy w Kanadzie. Ani w Izraelu. Kontrola wojskowych lekarzy ogranicza się do przybliżonego określenia liczby kończyn.

– Jeśli ta broń została stworzona, Deeptown zamieni się w mordownię – mówi Crazy. – Nie ma zasadniczej różnicy między programem lokalnego działania, który atakuje konkretnego człowieka, a bombą wypalającą całe rejony przestrzeni wirtualnej. Wystarczy jeden jedyny psychopata...

Kiwam głową. Analogia jest zrozumiała – gdyby bombę atomową można było zmontować na kolanie ze starego pistoletu, świat dawno przemieniłby się w radioaktywną pustynię.

– Co mogło być w skradzionym pliku?

– Nie wiem, Crazy. Firma zajmuje się różnymi bredniami, peryferyjnym sprzętem. Ale....

– Czyżby to oni wymyślili tę broń?

– To najbardziej prawdopodobny wariant. Kolejny szalony geniusz, w rodzaju Dmitrija Dibienki, wymyślił i napisał program zabijający naprawdę. Oszołomione kierownictwo firmy uzbroiło ochronę w nowy wynalazek i próbuje grać na zwłokę. Może się targują może szantażują największe elektroniczne firmy. Może tworzą plany zawojowania wirtualnego świata. Nie wiem, Crazy.

– To koniec Labiryntu – myśli na głos Crazy. – Szkoda, ale nie tragedia. Ale też koniec całej Głębi.

– Pomyśl o setkach tysięcy ludzi, którzy w jednym momencie umierają przed swoimi komputerami! – nie wytrzymuję. – O nich pomyśl!

– Wystarczy puścić plotkę i nikt nie wejdzie do wirtualności. – Crazy rozkłada ręce. – Tylko musimy mieć absolutną pewność.

– W taką plotkę nikt nie uwierzy, Dick. Przypomnij sobie, ile obłąkanych historii krąży po Głębi...

Crazy wyciąga butelkę whisky, szczerze nalewa mnie i sobie.

– Podejdźmy z innej strony, Leonid. Kim jest Ciemny Nurek zamawiający kradzież pliku?

– Nie mam żadnej konkretnej informacji.

Dick kiwa głową i podnosi palec wskazujący.

– Ale obaj o nim myślimy, prawda? On najwyraźniej domyślał się, co jest grane!

– Jeśli się domyślał, to jest przestępcą, Crazy. Podstawił zamiast siebie ludzi niezdolnych wyjść z Głębi.

– Nie oceniajmy na razie jego moralności. Lepiej pomyślmy, jak się z nim spotkać.

– Jeden człowiek już nad tym pracuje. Jeśli on nie zdoła, to raczej nie będzie to możliwe.

Crazy nie pyta więcej. Nadal wolimy sobie nie ufać. Nawet w przypadku ostatecznej konieczności.

– Gdzie jest plik?

– W kompanii HLD, w której pracowałem.

– Leonid, czy nie łatwiej zorganizować włam do twojego biura? Wzdycham.

– Słuchaj, sytuacja wygląda tak...

– List z plikiem ma jakiś chłopiec, prawda?

– Równie dobrze mógłbym go mieć ja, Dick. To bez znaczenia. Wszystko urządzone jest bardzo prosto: w kopercie znajduje się tylko link do pliku. Sam plik jest w biurze. Zamknięty na klucz długości czterech tysięcy dziewięćdziesięciu sześciu bajtów...

Crazy tylko się krzywi.

– Jeśli zostanie dostarczony pod wskazany adres, można go otworzyć. Ochronę listu niełatwo obejść. Gdy zostanie otworzony i programy upewnią się o słuszności doręczenia, plik zostanie przekazany pod adres.

– Pod adres? – precyzuje Crazy. – Nie odbiorcy, tylko pod adres doręczenia?

– Dokładnie.

– Ale Świątynia Nurka w Głębi nie ma dokładnego adresu! Świątyni w ogóle nie ma, dopóki ktoś do niej nie wejdzie!

– O tym właśnie mówię. Obejść ochrony nie można. Gdyby nawet przejąć zaszyfrowany plik, praktycznie nie da się go otworzyć. Dopiero po odebraniu listu informacja zostanie skierowana do Świątyni.

– Do Świątyni, której nie ma. Po co robicie takie długie klucze? Handlujecie tajemnicami Pentagonu? A może filmami o intymnym życiu prezydentów?

– Po prostu gwarantujemy bezpieczeństwo... – uśmiecham się mimo woli. – Zresztą ja tam jestem nikim. Pionkiem. Najemnym robotnikiem za grosze.

– Zwróć się do zwierzchnictwa – proponuje Crazy. – Powiedz im całą prawdę. Na pewno mają jakieś warianty awaryjne.

– Zmieniła cię ta praca. – Nawet nie mam ochoty się spierać. – Załóżmy, że pójde i powiem, że jestem przyjacielem zmarłego hakera, który skradł cenny plik bardzo poważnej kompanii. Opowiem z wytrzeszczonymi oczami bajkę o Ciemnych Nurkach i o broni trzeciego pokolenia. I spokojnie poczekam na policję...

– To co proponujesz? – pyta z rezygnacją Crazy. – No co?

– Dlaczego chowałeś wejście do Świątyni w Labiryncie? Wszystko byłoby proste!

– To przez ciebie! Pokazałeś, że nurek może przejść po Labiryncie jak po bulwarze! Logicznie było umieścić wejście tam, gdzie zdołają wejść tylko nurkowie, na końcu najtrudniejszej gry!

– Trzeba wejść do Świątyni – mówię. – Umiejscowić ją w jakimś punkcie Deeptown... to przecież da się zrobić? Choćby na jakiś czas?

– Tak.

– Potem powiedziec chłopcu, gdzie jest Świątynia, odebrać list... i zrozumieć, co się dzieje. Na początek zrozumieć. Potem łatwiej będzie walczyć.

– Labiryntu nie można teraz przelecieć w pojedynkę, Leonid. Doświadczona drużyna mogłaby go przejść w ciągu miesiąca. Rekord to dwadzieścia siedem dni, przy czym gracze szli po dziesięć godzin dziennie. Z trzydziestoosobowego zespołu doszło czworo. Pozostali odpadli. Mamy na to czas?

– Nie. Wydaje mi się, że nie. Wszystko trzeba zrobić w ciągu trzech, czterech dni.

– Zawsze wierzyłem w twoje przeczucia. Więc co chcesz zrobić? Iść przez Labirynt?

– Najpierw poradzę się przyjaciół. Na pewno trzeba będzie zebrać załogę. Crazy... nie chcesz wziąć urlopu?

Podnosi na mnie zdumione oczy.

– Skąd wiesz?

– Dziękuję, Dick.

– Za co?

– Będzie znacznie łatwiej iść z tobą, przecież to twoja praca...

Milknę. Dopiero teraz dociera do mnie, co tak naprawdę miał na myśli Richard.

– Leonid, zamierzam wziąć urlop i spędzić go poza Głębią.

Mimo wszystko nie spodziewałem się tego. Tym bardziej po nim.

– Uważasz, że nie mam racji? – pyta Richard.

– Masz. – Wstaję. – Masz absolutną rację, Crazy. Dobrze, że twoja ksywka oznacza przeciwieństwo ciebie.

– Leonid, ty też nie powinieneś pojawiać się w Głębi...

– Wiem. Tylko że ja nie umiem postępować rozsądnie.

– W takim razie szukaj innych dróg – mówi ze zmęczeniem Dick. – Postąpiłem niesłusznie, chowając swoje wejście do Świątyni na końcu Labiryntu, przyznaję. Ale miałem dosyć tego pomysłu... tej galwanizacji trupa... Do głowy mi nie przyszło, że kiedyś trzeba będzie tam szybko wejść!

– Jakie mogą być inne drogi?

– Leonid, poszukaj hakerów. Niech wymyślą, jak złamać ochronę listu, zdobyć i rozszyfrować plik. Będzie łatwiej.

Kiwam głową i wychodzę z kamienną twarzą.

Ale muszę przyznać, że rada jest słuszna. Labiryntu nie przejdę.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Zdjąłem hełm.

Śmieszne...

W życiu bym się nie spodziewał po Crazy takiej stanowczej dezercji przed niebezpieczeństwem!

Bądźmy szczerzy, nikt z nas nie jest bohaterem. Wydaje mi się, że prawdziwym bohaterem może być tylko debil. Ale zawsze są dwie drogi – uciekać albo iść na spotkanie swojemu strachowi.

Przecież ja bym nie wpadł na pomysł, żeby poddać się i porzucić Głębię.

Chociaż...

– Vika, wyjdźcie.

Odłączyłem wtyczki. Podeszedłem do okna, odsunąłem zasłonkę i popatrzyłem w dół.

Padał deszcz, przechodzący w mokry śnieg. Po chodniku płynęły parasole, szli ludzie w płaszczach i kurtkach. Przyjemnie patrzeć na to wszystko z góry. Przyjemnie oglądać deszcz przez szybę.

Przyjemnie być obojętnym świadkiem.

Crazy nie robi nic amoralnego. Nawet według naszego zapomnianego kodeksu honorowego, który

nie jest teraz wart funta kłaków. Crazy unika niebezpieczeństwa. Dlaczego nie? Czy on ma co chronić w Głębi? Na pewno ma... praca, rozrywka... i nic, za co warto byłoby ryzykować życie.

A o co chodzi mnie?

Romka już nie wskreszę. Zemsta? Na kim? Ochroniarz pewnie nawet nie wiedział, czym strzela i jakie będą tego skutki; A konkretny twórca broni trzeciego pokolenia w życiu nie słyszał o nurku Romanie. Nie można przecież oskarżać Kałasznikowa o to, że z jego automatu bandyta strzelał do tłumu zakładników...

Odejść.

Po prostu odejść. Na zawsze. I od razu robi się lżej. Znajdę sobie pracę, niezwiązaną z Głębią. Zamiast wycieczek do wirtualnych restauracji zacznę kupować piwo w realu. Niechby nawet żygulowskie. Skoro Padlina je pije, dlaczego ja miałbym nim gardzić? Pojedziemy z Viką nad morze... albo będziemy wędrować po prawdziwym lesie i prawdziwych górach. Znajdziemy przyjaciół. I będziemy czytali w gazetach, co się dzieje w Deeptown.

Albo...

Przecież nie musimy całkiem rezygnować z cudów Deeptown! Stworzymy restauracyjkę dla nas dwojga. Małą przytulną... Zaprogramujemy obsługę. Narysujemy sobie dom. O, na przykład taki, jaki ma Czyngis.

Vika może powtórzyć swoje góry.

Nie musimy rezygnować z wirtualnego świata. Wystarczy go zamknąć, ukryć w muszelce. Odciąć kable telefoniczne, odłączyć wydzieloną linię.

Stworzymy sobie własny świątek malutki, przytulny, bezpieczny. Na dwie osoby. W dzień pracujesz, wieczorem odwiedzasz swój osobisty raj.

– Głębio... nie jestem twój – powiedziałem.

Deszcz jeszcze się nasilił. Przebiegła dziewczyna ze złożonym parasolem, na próżno usiłując zdążyć na trolejbus. Jakiś chłopiec odważnie kroczył po kałużach.

Są przecież ludzie, którzy żyją bez żadnej Głębi!

Na cholere mi ona?

W Deeptown regularnie bywa około trzydziestu milionów ludzi. Można nazwać ich intelektualną elitą społeczeństwa, śmietanką świata nauki i sztuki. Ale przecież to bardzo cienka warstwa. Gdyby wszyscy zginęli w jednym momencie, świat zapłacze, zadrży, ale wytrzyma.

Bo świat mimo wszystko opiera się na czymś innym. Na Chińczykach półanalfabetach, którzy składają komputery na taśmociągu. Na pastuchach, którzy tychże komputerów nie widzieli na oczy. Na budowniczych, którzy po pracy wracają do domów, do żon i dzieci. Na politykach i biznesmenach, dla których Deeptown to tylko modna zabawka... oni i tak mogą sobie pozwolić na hawajskie plaże czy przyjęcie na sto osób.

My jesteśmy specyficzną kastą, która wrosła w swój wymyślony świat i prawie zapomniała o prawdziwym.

Jesteśmy gotowi chronić Głębię do końca.

Ponieważ jesteśmy jej częścią.

To nawet nie ja to wszystko wymyślam. To myśli deep psychoza we mnie. Ten rozpalony fragment mózgu, który nie umie istnieć bez Głębi. To nie mnie, to jemu potrzebne są bezkresne lasy, niebo o niewiarygodnym błękicie, eleganckie restauracje i, co najważniejsze, informacje.

Nowe spotkania. Nowe twarze. Plotki i pogłoski. Intrygi i niebezpieczeństwa. Szalony rytm.

Dlatego chcę walczyć do końca. Szukać ochrony przed nowym nieszczęściem wirtualnego świata. Głębia posiada świadomość. Nie bezpośrednio, oczywiście, nie chodzi o elektroniczny rozum, którego nie ma. To my staliśmy się neuronami jej świadomości, komórkami jej organizmu. A każda komórka ma swoją funkcję. Budowanie Głębi. Myślenie za Głębię. Wciąganie w Głębię. Chronienie Głębi.

Nie na próżno projektanci i rysownicy poświęcili miesiące i lata, wymyślając i tworząc Deeptown...

Nie na darmo programiści i technicy wyciskali z komputerów wszystko, a nawet znacznie więcej, niż mogły dać wznosząc Deeptown...

Nie na próżno pisarze tworzyli książki, sławiąc i demonizując Deeptown...

A ja jestem fagocytym elektronicznego świata:

Jedyne niebezpieczeństwo, które mu grozi, to sama ludzkość. Wystarczy, by ludzkość przestraszyła się wirtualnego świata – a komórki zaczną obumierać jedna po drugiej.

Kiedyś głównym lękiem bywalców Deeptown było pozostanie w wirtualności na zawsze. Gdy nie możesz wyjść sam, gdy umierasz z głodu, objadając się wymyślonymi potrawami.

Po to byliśmy my, nurkowie. Ci, którzy mogli wyjść sami i wyprowadzić innych.

Potem coś się stało... nikt nie wie co, dlaczego i jak. Ludzie przestali tonąć, a my staliśmy się niepotrzebni. Głębia nie zabiła nas, po prostu odrzuciła.

Teraz zagrożenie jest znacznie większe. Czymże jest strach przed utonięciem z własnej głupoty wobec niebezpieczeństwa, że cię utopia?

Prawdziwy strach zawsze przychodzi z zewnątrz.

Głębia zaniepokoiła się... i zaalarmowała nieistniejące szare komórki.

Ciemny Nurek, kimkolwiek był, dowiedział się o istnieniu broni trzeciego pokolenia i Romek zginął, próbując wyciągnąć z New Boundaries najstraszniejszą tajemnicę Deeptown. A Jeżyk opowiedział plotkę o hakerze, który zginął.

W niewidocznych żyłach krew zaczęła krążyć szybciej. Zagrały elektroniczne hormony, uderzyły we wszystko, co było nam drogie.

Stary, na wpół zdechły fagocyt wpadł do maszynki do mielenia mięsa i został poszczuty na nowego wroga.

Głębia nie umie myśleć, ona tylko żyje. I walczy o swoje życie, jak umie.

Spisani na straty wojownicy zaczęli być potrzebni. Oni nadal umieją walczyć. Walczyć naprawdę. Z całego serca.

Weźmy Richarda Parkera... On był prawdziwym nurkiem.

Głębia zawsze była dla niego tylko miejscem pracy. Na pewno w realu miał wystarczająco dużo zainteresowań i podniet.. I oto wyszedł z gry. Usunął się.

Vika też zdołała wyjść. Łatwo, przynajmniej z pozoru. Porzuciła „perspektywiczne tematy”, gwizdnęła na intratny biznes, na swoje zdolności projektanta przestrzennego...

A ja nie wyszedłem. Jako wypchane ciało, jako manekin – ale zostałem w Głębi. Gdy nie było innego wyjścia, mogłem nawet nosić narysowane pianina, byle tylko nie odchodzić z Deeptown.

Romek też nie mógł odejść. Był wielkim nurkiem-wilkołakiem, a stał się przeciętnym hakerem.

Wpadliśmy w pułapkę. Myśleliśmy, że umiejętność zdjęcia w porę wirtualnego hełmu to znak naszej wolności w Głębi. Okazało się, że to nie takie proste. Prawdziwa wolność to zupełnie co innego. Psy łańcuchowe spuszcza się regularnie, żeby sobie pobiegały – ale tylko w granicach mocnego ogrodzenia.

Kto ma więcej wolności – bolończyk, którego pan wyprowadza na smyczy, czy chart, który może biegać całą noc po podwórku, upojony wolnością i znaczący deski płotu?

Przyjemnie czuć się chartem, gdy można nie dostrzegać ogrodzenia...

– To ty mnie trzymasz, suko – mówię i patrzę na komputer. Vika ściągnęła brwi, próbując wyłapać kluczowe słowa komendy. – Teraz też tu jesteś, Głębio...

– Nie rozumiem, Leonid.

– Milcz! – warknąłem na Bogu ducha winny program. – Jesteś tutaj, wiem! Obserwujesz mnie, czekasz... nie umiesz myśleć i mówić, ale umiesz żyć!

Narysowana Vika milczała.

Wymyślona ukochana jest lepsza od prawdziwej. Zawsze wysłucha, zawsze przyzna rację. Powie tylko to, co chcesz usłyszeć.

– Dorwałaś mnie, co? To ja mam deep psychozę? Ja nie mogę bez ciebie żyć?!

Na co ja czekam? Na odpowiedź? Na głośne potwierdzenie: „Tak, jestem rozumem komputerowym, a ty jesteś w mojej władzy!”?

Wtedy byłaby to absolutna psychoza. Bez taryfy ulgowej.

Pochyliłem się nad stołem, przycisnąłem czoło do zimnego szkła monitora i wyszeptalem:

– Tak, masz rację. Nie potrafię bez ciebie żyć. Potrzebuję Deeptown. Potrzebuję tej roli. Szczególnej roli, nawet jeśli to rola fagocytu...

To szaleństwo dyskutować z kupą zimnego żelastwa. Ale chyba nie mniejsze niż umrzeć od narysowanej kuli?

– Zgadza się – powiedziałem. – Głębio... jestem twój.

Będę cię bronił. Będę walczył z każdym zagrożeniem, które może nadejść.

Ale jeśli okaże się, że mieliśmy różne cele i rezultat cię nie zadowoli – nie miej pretensji...

Ale na głos tego nie powiem. Nigdy przy włączonym komputerze.

Uznajmy, że kompletnie mi odbiło.

Deep Enter.

Ile czasu wytrzymam w trybie przerywanego snu, po trzy, cztery godziny na dobę?

Pewnie wystarczająco długo. Kiedyś umiałem się trzymać.

Osobowość numer jeden. Motocyklista. Standardowy, nieciekawy.

Ale w kieszeni jego kurtki tkwi ciężki pistolet z pociskami drugiego pokolenia.

Nie tak znowu wiele w porównaniu z tym, co może mieć mój niewiadomy wróg. Ale i tak lepiej niż przedtem. Trochę to straszniejsze od Warlocka.

Jeszcze nigdy nie zabiłem nikomu komputera.

Być może zrozumiałby mnie jakiś dzielny dziewiętnastowieczny huzar. Jedną sprawą wziąć wroga do niewoli, a zupełnie co innego zabić pod przeciwnikiem konia. Nie, rumaka! Który jest nie tylko

środkiem transportu, ale także wiernym, ukochanym przyjacielem, towarzyszem, który nieraz wyciągał cię z biedy...

Trudno. Jak będzie trzeba, zabiję.

Fagocyty nie mają sumienia.

Wyjmuję z kieszeni Proteusa pager. Maniaka w ogóle nie ma w sieci... trudno.

– Szurka, to ważne. Okazało się, że istnieje to, co nie ma prawa istnieć! Musimy pogadać. To pilne. Wyznacz czas i miejsce.

Wszystko. Wiadomość została wysłana. Teraz pozostaje tylko czekać. I szukać innych dróg.

Kto mi jeszcze został ze znajomych hakerów? Wersję o włamie listu trzeba jednak przedyskutować do końca.

Szukam przez pager Padliny, ale nie znajduję. Trzeba było spytać... zresztą przecież pamiętam numer Czyngisa!

– Telefon do Moskwy – komenderuję. Pager miga zielonym światełkiem, limit jeszcze nie został wyczerpany. Telefon z wirtualności do realu nie jest drogi, ale zawsze płatny...

Wybieram numer na klawiaturze, nie ufając programom rozpoznawania głosu... i czekam, słuchając sygnałów.

Do cholery, przecież łązisz z komórką po mieszkaniu! Odbierz!

– Tak.

Głos Czyngisa jest ostry i napięty, jakby spodziewał się jakiegoś nieprzyjemnego, ale nieuniknionego telefonu. Dobra, to jego problem, a ja szukam kogoś, na kogo mógłbym zwalić część własnych.

– Tu Leonid.

– Cześć. Już wstałeś?

Przynajmniej zmienia ton, chyba nie ma nic przeciwko rozmowie ze mną.

– Powiedzmy, że się nie kładłem...

– Czemu?

– Ciągle to samo, Czyngis... nowe problemy ze starymi kłopotami.

– Jasne. Przyjedź do mnie.

– Dobrze, ale muszę jeszcze coś załatwić.

– Przyjedź tutaj. W Deeptown. Adres jest prosty – Hakerskie Przedmieście.

– Padlina będzie?

– Wszyscy będą. Dobrze, że zadzwoniłeś. Na razie...

Wszyscy? Pewnie miał na myśli Pata.

Czyngis przerywa połączenie pierwszy.

Cóż, propozycja nie jest zła... Wychodzę z hotelu, cały czas się rozglądając, ale niczego podejrzanego nie widzę. Deeptown żyje i ma się dobrze, z Deeptown jest wszystko w porządku... Nad miastem ciemne wieczorne niebo z pierwszymi gwiazdami. Badania dowiodły, że na odpoczynek i rozrywkę siedemdziesiąt procent ankietowanych wybrałoby wczesny letni wieczór...

Łapię taksówkę, podaję adres.

I zupełnie mnie nie dziwi, że po trzyminutowej podróży samochód podejżdża do dokładnej kopii



budynku stojącego w realu w Moskwie.

Nawet gęby ochroniarzy są podobne...

A czego można się spodziewać po człowieku, którego mieszkanie przypomina majaczenia bywalca Deeptown? Umieścić dom w przestrzeni wirtualnej. Ostatecznie zatrzeć granicę pomiędzy światami. Sam tak kiedyś eksperymentowałem... tylko moje komnaty były mniej luksusowe.

– Do Czyngisa – mówię ochronie. Zostaję od razu wpuszczony.

To tylko na razie jest takie proste. Gdy w Deeptown pojawi się prawdziwa broń, kontrola stanie się silniejsza niż w realnym świecie.

Jadę windą. Tym razem wewnętrzne drzwi mieszkania są zamknięte. Dzwonię i chwilę czekam.

– Uwaga! Prowadzona jest zewnętrzna kontrola systemu! – uprzedza Vika.

Proszę bardzo.

Drzwi otwiera Pat.

Jest trochę bardziej rozczochrany niż w realu i ubrany w kombinezon wirtualny, co uważam za głupotę. Po co nosić w Głębi to, w co jesteś ubrany naprawdę?

– Siemanko – mamrocze Pat, odsuwając się. – Wchodź szybko...

Wchodzę i rozglądam się, porównując wrażenia. Wnętrze wygląda na dokładną kopię... zresztą nic dziwnego. Za swoją kasę Czyngis może wynająć najlepszych projektantów przestrzennych Moskwy.

– Witaj, Pat. Gdzie gospodarz?

– Tu nie ma gospodarzy – mówi poważnie Pat, ściskając mi rękę. – Tylko w swoim pokoju każdy jest gospodarzem.

Mam na końcu języka to, co myślę o podobnych zabawach w komunę i hakerską swobodę, ale milczę. Jeśli wszedłeś między wrony...

– Dobra. To gdzie Czyngis?

– Chodź.

Idę za chłopcem do kuchni, po drodze wyglądając przez okna. Za oknami Moskwa. I to prawdziwa, tętniąca życiem. Jeżdżą samochody, chodzą ludzie, płyną chmury, pada deszcz...

I to nie jest puszczone w kółko film; najprawdopodobniej przy każdym oknie domu umieszczono kamery przekazujące obraz w Głębię.

Rzeczywiście niezwykle wrażenie. Po prostu odlot.

Leniwie człapie retriever. Wsuwa nos w moją dłoń.

– Spadaj, Bajt – rzuca Pat.

Pies pokornie odchodzi. Zbyt pokornie. Przynajmniej on jest programem. A już gotów byłem uwierzyć, że na psa też naciągnęli kombinezon.

Myślałem, że Czyngis pije w kuchni, ale Pat wskazuje spiralne schody i puszcza mnie przodem. Widać woli zamykać nasz pochód.

Wchodzę do salonu, którego w realu nie widziałem.

Pomieszczenie jest okrągłe, część ścian ze szkła, tak samo jak sufit o kształcie kopuły. Podłoga wyłożona wykładziną. Ogólne wrażenie ascetyczne. Żadnych mebli. Nie ma nawet stołu i krzeseł.

Za to na podłodze, wokół kilku puszek piwa siedzą po turecku Czyngis, Padlina i... Maniak.

– No, no! – wyje Padlina i gładzi sobie łysinę. – Oto i nasz nurek! Witam się z nim i z Czyngisem, obejmuję Maniaka.

– Szurka, dostałeś moją wiadomość? – pytam.

Maniak marszczy brwi, wyjmując pager. Patrzy na monitor, pociera nos:

– Okazuje się, że dostałem...

Jasne. Ale przecież i tak tu przyszedł.

– Siadaj, czuj się jak u siebie – proponuje uprzejmie Czyngis. – Pat, skocz po chipsy!

– Dlaczego ja... – zaczyna swoje Pat, ale pod spojrzeniem Czyngisa cichnie i schodzi na dół.

Siadam na podłodze. Nalewają mi piwa – baltika numer siedem... kompromis pomiędzy gustem Padliny a pozostałych.

– Próbowaliśmy dowiedzieć się cokolwiek o istnieniu broni trzeciego pokolenia – mówi Czyngis.

– To i owo wykopaliśmy... Sasza, powtórzysz?

Maniak kiwa głową Ma zakłopotaną i wyraźnie oszołomioną minę.

– Popytałem tam u nas... właśnie, Lonia, pamiętaj, że wziąłem w pracy urlop.

Powtarza się historia z Crazy Tossierem?

– Nie chcę używać naszych pracowniczych kanałów – precyzuje Maniak. – Wszystkie są kontrolowane. Teraz wszedłem w Głębię przez nielegalne wejście, które w ogóle nie istnieje. No więc właśnie... popytałem tu i ówdzie. Prace nad bronią trzeciego pokolenia prowadzone są od dwóch lat. Kieruje nimi...

Robi przerwę, a ja już chyba wiem, co powie.

– ... osobiście Dmitrij Dibienko.

– Psiakrew – mówię tylko. – Niech to wszyscy diabli...

– Nie wywołuj wilka z lasu – mamrocze Padlina, dolewając sobie piwa. – Co w tym takiego dziwnego? Pomyśl, kto jeszcze mógłby to zrobić?

Ma rację. Broń zabijająca z Głębi może działać tylko w jeden sposób – tworzyć pewien hipnotyzujący obrazek działający na podświadomość. Tak samo jak deep program. Dalej już według uznania. Zatrzymanie akcji serca. Zatrzymanie oddychania. Tetania, czyli niemożność wciągnięcia powietrza.

Możliwości nie jest znowu tak wiele...

Zapewne mają również mniej krwawe metody. Jakieś wirtualne pociski powodujące rozluźnienie zwieraczy. Średnia przyjemność – narobić w kombinezon, gdy siedzisz przy komputerze. Albo środek wymiotny. Chociaż dla człowieka w hełmie wymioty mogą okazać się fatalne w skutkach...

Wraca Pat z chipsami. Jest wyraźnie urażony, ale na jego naburmuszoną minę nikt nie zwraca uwagi.

– Dibienko uzyskał rezultaty? – pytam.

– Najwidoczniej... – mówi Maniak. – Ostatnie pół roku prace trwały w absolutnej tajemnicy. Nie można się niczego dowiedzieć. Nawet nie próbowałem. Chcę jeszcze pożyć. Zwykle wprowadzenie takich środków ostrożności, jak odłączenie laboratorium od Głębi, następuje dopiero na etapie ostatecznego wykończenia opracowanych już programów.

– To wasza firma prowadzi badania?

– Nie. Wszystkim zajmuje się Dibienko razem z niewielkim zespołem – kompanią Shield and

Sword. Tyle że ściągnęli tam dwóch naszych pracowników, specjalistów od oddziaływania psychicznego. No i udało mi się co nieco dowiedzieć. Ale teraz już nie można się do nich dobić.

– Nie próbowałaś pogadać z nimi w realu? – pytam.

– Żeby mnie realnie zabili? – Maniak patrzy na mnie zdumiony. – Lonia, ocknij się! Jeśli ktoś zdecydował się na tworzenie broni trzeciego pokolenia, nie cofnie się przed niczym!

– Czyli broń trzeciego pokolenia istnieje. Ktoś jeszcze ma jakieś wątpliwości? – podsumowuję.

Wszyscy milczą. Tylko Padlina stęka i opuszcza wzrok. Dlaczego się wstydzi? On pierwszy uwierzył.

– Ty też się czegoś dowiedziałeś – włącza się do rozmowy Czyngis. – Prawda?

– Tak, dowiedziałem się... Szurka, czy ta Tarcza i Miecz są jakoś powiązane z Nowymi Horyzontami?

– Właściwie nie. Ale jest jeden szczegół. – Szurka uśmiecha się niewesoło. – Shield and Sword należy do Dibienki, a w New Boundaries on ma tylko pakiet akcji. Nawet nie kontrolny.

– Bezpośredni związek.

– Właśnie. Dibienko mógł eksperymentalnie uzbroić ochronę Nowych Horyzontów.

Kręcę głową. To by już była przesada. Nie wierzę...

– Raczej prowadzili tam prace mające dla niego jeszcze większe znaczenie.

Nikt nie protestuje, nikt nie przytakuje. To tylko przypuszczenia – Więc tak, chłopaki... – spoglądam na hakerów. – A oto prawdziwa sensacja. Roman zdążył jednak ukryć ukradziony plik!

– Jak? – Czyngis zdumiony unosi brwi. – Nie miał czasu!

– Miał, miał. Wysłał ukradziony plik jako list. Przez kompanię HLD, w której pracuję.

– Rany boskie! – krzyczy Padlina. – A niech to! Do głowy by mi nie przyszło!

Pewnie. Który z hakerów zaufałby oficjalnym kanałom przesyłu danych?

– Dokąd wysłał? – Maniak ma bardziej rzeczowe podejście.

– Do Świątyni Nurka w Głębi.

– To ona naprawdę istnieje?

– Może istnieć.

Nalewam sobie piwa i szczegółowo przekazuję wszystko, co usłyszałem od Crazy'ego Tosserra.

Na moją opowieść każdy reaguje inaczej. Maniak posepnieje coraz bardziej. Padlina chyba świetnie się bawi, zwłaszcza cieszy go wieść, że to mój pochod przez Labirynt podsunął Dickowi pomysł ukrycia wejścia do Świątyni na końcu gry. Pat wygląda na podekscytowanego. Nie muszę nawet pytać, co wymyślił. Czyngis zatapia się we własnych myślach...

– Leonid, iść przez Labirynt, to jakby walić głową w mur – mówi w końcu Maniak. – Wcześniej czy później mur może runąć. Ale bardziej prawdopodobne, że najpierw rozwalisz sobie głowę.

– Zgadzam się. Masz inne propozycje?

– Ukraść plik?

– I co? Nietrudno ogłuszyć chłopaka dowolnym programem bojowym... Ale koperta ulegnie zniszczeniu.

– To da się obejść. – Maniak tylko się uśmiecha. – Wiem, jak działają takie programy identyfikacji.

– Jak otworzyć plik, też wiesz?

– Ile tam macie kluczy?

– Cztery tysiące dziewięćdziesiąt sześć bajtów...

– Jasne. Nie było tematu.

– Jesteś pewien? – pyta nieoczekiwanie Czyngis. – O ile pamiętam, nie specjalizowałeś się w deszyfracji.

Na twarzy Maniaka pojawia się nikły uśmiech.

– A co, pojawiły się nowe metody fakturowania? Czyngis, mój drogi, rozleniwiłeś się ostatnio...

– Okay – poddaje się Czyngis. – Ale może by zapytać jeszcze kogoś?

– Zaprośmy Zuko – proponuje Szurka. – On lubi się grzebać w kluczach. Ale mogę ci od razu powiedzieć, jak on zareaguje: „Dajcie mi kilka lat i wszystkie rezerwy sieci”.

– Więc trzeba iść przez Labirynt! – zrywa się Pat.

– Jest jeszcze jedna możliwość – mówię i wszyscy patrzą na mnie z nieoczekiwaną nadzieją. – A gdyby tak stworzyć tę Świątynię? List dojdzie i...

– Co? – pyta drwiąco Maniak. – Klucz, którym można otworzyć szyfr, wbudowany jest w sam program. W sam budynek Świątyni, jeśli tak łatwiej zrozumieć. Owszem, pierwsza część operacji przejdzie pomyślnie. List zostanie dostarczony pod wskazany adres, plik odebrany. Ale i tak nie zdołamy go otworzyć.

– Więc Labirynt?

– Nie, dlaczego? – Czyngis wzrusza ramionami. – Jest jeszcze jedno wyjście. Olać i zapomnieć. Odejść.

Czekałem, aż ktoś to wreszcie powie. Nie chciałem proponować pierwszy.

W końcu – mówi Maniak stojąc przy oknie – czego potrzebujemy do Głębi? Co jest dla nas najważniejsze w Deeptown?

Sprzykrzyło się nam siedzenie w kręgu na podłodze. Stoimy z kufkami w rękę i patrzymy na prawdziwe miasto – z Głębi, z wirtualnej przestrzeni. Pijemy piwo i zastanawiamy się. Póki jest jeszcze czas na zastanowienie, póki jeszcze można czuć się bezpiecznie.

Pat leży na podłodze, machając nogami. Albo się wygłupia, albo dwa kufki piwa to jednak dla niego za dużo. Raczej to drugie. Padlina stęka, od czasu do czasu drapie się po łysinie. Ciekawy pomysł, ogolić głowę przed nadejściem zimy...

Czyngis i Maniak są najbardziej powściągliwi.

– Kontakty – mówi Czyngis. – Kontakty i przygody. Przede wszystkim. Resztę może ci dać poczta elektroniczna.

– Można się zamknąć – proponuje Maniak. Tak... to samo, o czym ja myślałem.

– Można – zgadza się Czyngis. – Czemu nie... to nie problem.

– Połączymy nasze odcinki przestrzeni wirtualnej – kontynuuje Maniak. – Was trzech, ja, Leonid, Zuko... dobierzemy jeszcze ze dwudziestu ludzi, którym można ufać. Wezwiemy do siebie tych, którzy na pewno nigdy nie wniosą do Głębi prawdziwej broni. Wszystko zrobimy sami. Domy, restauracje, plaże... burdele. Wszystko, czego potrzebujemy. A do pozostałej części Deeptown zostawimy kontrolowane wejście. Jak nas bardzo przypili...

– To ślepa uliczka – mówi Czyngis, a ja kiwam głową. On ma rację. Ślepa według wszystkich parametrów. – Po pierwsze, tak czy inaczej będziemy musieli mieć prawdziwą broń. Używaną w obronie koniecznej.

– Ale przecież nie będziemy strzelać do siebie? – pyta prawie poważnie Maniak.

– Ty, ja, Padlina... nie będziemy. Ale...

– A ja to niby co? – woła z podłogi Pat. – Czy ja cię kiedyś dotknąłem, chociaż palcem?

– Ty mnie, kurcze pióro, kopałeś! Śpiącego! – przypomina Padlina.

– Ale tylko kopałem!

– A do Loni nie będziesz strzelał? – pyta Czyngis. Chłopiec patrzy na mnie i mówi niechętnie:

– Nie... on jest w porządku.

– No i druga sprawa – mówi Czyngis. – Każdy z nas zechce przyprowadzić do tego małego Deeptowniku swoich przyjaciół. Prawda? I każdy będzie gotów za nich poręczyć. I każdy powie, że im ufa. Ale przyjaciel twojego przyjaciela nie musi stać się twoim przyjacielem. Niestety, tak właśnie jest.

– Ograniczymy wejście. – Maniak się nie spiera, po prostu chce omówić wariant do końca.

– Nie da rady. Jeśli będzie nas zbyt mało, zanudzimy się. Zaczną się kłótnie i intrygi. Najróżniejsze konflikty. Wcześniej czy później któryś z nas wejdzie do bezpiecznej dzielnicy z prawdziwą bronią, żeby poczuć się jeszcze bezpieczniej. I wcześniej czy później zaczniemy strzelać. Do przyjaciół swoich przyjaciół. Ze wszystkimi konsekwencjami. Sasza, twoja propozycja to utopia.

– Założmy, że masz rację. – Maniak wyjmując papierosa i zapala; – Ale to przynajmniej odroczenie. Alternatywa wobec całkowitego porzucenia Głębi.

Staję pomiędzy nimi i patrzę w dół na ulicę. Białe.

– Śnieg pada, chłopcy...

Przez minutę wszyscy patrzymy w dół. Nawet Pat wstaje z podłogi i przykleja się do szyby.

– U nas jest upał – mówi Maniak. – Chciałbym teraz... wyjść na prawdziwy śnieg.

– To przyleć – rzuca Czyngis.

– Nie mam twoich dochodów – odcina się dobrodusznie Maniak. – Może w przyszłym roku.

– Lato też jest fajne – szepcze Pat.

– Lato się skończyło – mówię.

– Już dawno się skończyło, stary – zauważa nagle Padlina. – Po prostu nie chciałeś tego zauważyć.

A teraz przyszła zima.

Stoimy przy narysowanym oknie w narysowanym domu... hakerzy i nurek...

– To nie będzie koniec Głębi – mówię. Nagle dociera do mnie, że prawda jest znacznie straszniejsza od obrazu, który zobaczyłem na początku. – Chłopcy, tylko pomyślcie... gdy wszyscy dowiedzą się o nowej broni...

– Masowa ucieczka – mówi głucho Czyngis.

– Wcale nie. – Padlina kręci głową. – Zależy, ile narodu załatwi się na początku. Lońka, masz rację!

– Niektórzy odejdą – mówię. – Ale większość będzie wolą zostać, po podjęciu środków ostrożności. Takich, o których przed chwilą mówiliśmy. Deeptown rozpadnie się na wiele małych dzielnic. Każdy będzie miał własną policję, a w perspektywie armię. Ludzie zaczną się jednoczyć według określonych cech: narodowości, specjalizacji, zainteresowań, orientacji seksualnej...

– Odwieczna wojna sadystów i masochistów – podchwytuje radośnie Padlina. Chyba gotów jest cieszyć się z byle powodu. – Francuskie księstwo La Profond [(franc.) - „głębia”] ogłosiło ultimatum Wolnemu Związkowi Administratorów Systemu!

– Miłośnicy gier strategicznych przeciwko... przeciwko... – Pat podskakuje w miejscu, nie mogąc znaleźć godnego przeciwnika.

– Przeciwno miłośnikom Tetrisa! – Padlina nagle milknie i patrzy na mnie posepnie. – Wychodzi na to, że będzie jak w życiu?

Kiwam głową.

– Głębia była dla świata wolnością. Wolnością, jakiej nigdy przedtem nie było i być nie mogło. Dławili ją, tłumili i reglamentowali, i nic z tego nie wyszło. Głębią straszono, na Głębię się zaklinano, Głębi starano się nie zauważać. Nic się nie zmieniło. Deeptown rósł. Coraz więcej ludzi wchodziło do wirtualności, żeby tam pracować i bawić się. Strach przed śmiercią niczego tu nie zmieni. Chyba nie zmieni. Po prostu doda cały brud, który jest w realu. Prawdziwe państwa, prawdziwa policja, prawdziwa armia. Prawdziwe pogrzeby.

– Ile mamy czasu? – pyta Maniak.

– To zależy od tego, czy wróg szuka ukradzionego pliku.

Nawet nie zauważam, jak łatwo wypowiadam słowo „wróg”.

Słowo, które wcześniej nie miało w Deeptown zastosowania.

– Jak szybko można przejść Labirynt? – Szurkę również najbardziej nurtuje problem czasu.

– Zdaniem Crazy'ego Tossiera, w ciągu dwóch miesięcy. W najlepszym razie w ciągu miesiąca.

Sądzę...

Wszyscy znowu patrzą na mnie. Pat nawet otworzył usta.

– Sądzę, że my mamy na to dwie, trzy doby.

Czekam na wybuch śmiechu, ale nikt się nie śmieje.

– Dawno nie grałem – wzdycha Czyngis. – A kiedyś... pamiętasz, Saszka?

Maniak zagryza wargę, nie słyszy pytania.

– Tak... muszę coś zjeść, wyspać się i przestawić komputer. Za jakieś osiem godzin zaczniemy, co wy na to?

– Kurcze pióro! – wrzeszczy Padlina. – To znaczy, że dla ratowania świata musimy dobrze pograć?

– Tylko spróbujcie mnie nie wziąć! – Pat rzuca się do przodu, łapie mnie za kurtkę. – Tylko spróbujcie! Pożałujecie! Ja najlepiej znam gry! Czyngis, powiedz im! Czynga!

W tym momencie rozlega się odległe trzaśnięcie drzwiami. Czyngis jeszcze się uśmiecha, patrząc na Pata, ale po chwili jego twarz przybiera dziwny, skupiony wyraz.

– Leonid, Sasza! Słyszeliście coś?

– Coś stuknęło. Pewnie drzwi. – Maniak robi krok w stronę schodów.

– Więc to tutaj. W wirtualności. – Czyngis nieco się rozluźnia.

– Czyngis, kto może wejść do tego domu?

– Klucze mam tylko ja, Pat i Padlina. – Haker nowy Rosjanin robi lekki ruch ręką i wyciąga zza pleców pistolet o długiej lufie. – Ja swoje mam.

– Ja swoich nikomu nie dawałem! – krzyczy Pat.

– Przysięgam, że ja też nie – mówi Padlina.

Ojoj.

Aż tak źle?

Maniak mruży oczy i skrada się do schodów, wyjmując z kieszeni małą scyzoryk.

W życiu nie uwierzę, że jego zręczne paluszki nie popracowały nad tym produktem Victorinox. W celach reklamowych firma udostępnia w Głębi swoje wyroby za darmo.

Patrząc na Padlinę. Trzyma w ręku pustą butelkę. Skąd? Przecież piwo piliśmy z kufli!

A krótki winchester, który Pat pospiesznie składa, mocując lufę i jednocześnie załadowując? Gdzie go przedtem chował?

Mam wrażenie, że jestem nagi. Wyjmuję rewolwer Strzelca i wrażenie mija. Założę się, że zasłaniając nagość przed Bogiem, Adam i Ewa wcale nie używali figowych listków. Wystrugali sobie po pałce i wstyd od razu minął.

– Radziłbym ci wyjść – mówi półgłosem Czyngis. – Jesteś jedynym z nas, który może zrobić to w dowolnym momencie.

– I co? – Nie odrywam spojrzenia od schodów, za których poręczą zaczął się Szurka.

– Możliwe, że będziesz jedynym świadkiem – mówi bardzo poważnie Czyngis. Robi krok, zasłaniając sobą Pata.

On nie żartuje.

Ale mnie już załala purpurowa fala wściekłości.

– Jestem Strzelcem – mówię.

Nawet w tym ciele jestem i będę Strzelcem.

Stoimy tak prawie minutę. Czekamy. Potem Maniak prostuje się, wygląda przez poręcz na dół, wzrusza ramionami i zerka pytająco na Czyngisa.

– Chodźmy – postanawia gospodarz.

Robi krok do przodu, ja ruszam za nim. Padlina zostaje, mocno trzymając protestującego półgłosem Pata.

W tym momencie wszystko się zaczyna.

Ruch, skok i na schodach pojawia się szary cień.

Maniak robi krótki zamach – i nieszkodliwy scyzoryk w locie zamienia się we włócznie błękitnego światła. Nieproszony gość próbuje się uchylić, ale promień przenika go, odrzuca do tyłu i przyszpila do ściany.

– Zdziewieże... – mówi Padlina. Nie wiem, co ma znaczyć to niezrozumiałe połączenie głosek.

Może to, że nieproszony gość jest kopia Czyngisa?

Nawet ubrany jest identycznie – w taki sam dres i sportowe buty.

– Kim jesteś? – Na pojawienie się sobowtóra Czyngis reaguje spokojnie. Celuje w niego, ale nie spieszy się z naciskaniem spustu.

Fałszywy Czyngis chwytą płonąca włócznie i gwałtownym szarpnięciem wyciąga z ramienia. Płynie krew, normalka.

– Gościem – odpowiada krótko.

– Nieproszonym, z cudzą twarzą?

– Skąd wiesz, jak wygląda moja twarz, Czyngis? – Nieznajomy uśmiecha się krzywo. – Zresztą...

Przesuwa dłonią po twarzy, która się zmienia. Zmienia się też cała sylwetka. Mężczyzna staje się niższy, szerszy w barach, włosy na głowie znikają, za to pojawiają się na piersi. Z ubrania zostają tylko stare pomięte szorty.

– Nieprawda, nie jestem takim potworem! – krzyczy Padlina.

Czyngis macha ręką i haker milknie.

– Kim jesteś? Czego chcesz? Jak i po co przeniknąłeś do mojego domu?

– Odpowiadać po kolei? – Gość nie czuje się bynajmniej stropiony. To, że nas jest pięciu, a on jeden, nie ma dla niego znaczenia.

Biorąc pod uwagę, jak łatwo poradził sobie z bronią Maniaka, jego pewność siebie jest w pełni uzasadniona.

– Tak.

– Jestem tym, którego zwą Ciemnym Nurkiem.

– O rany! – woła Padlina. – Znowu zmieniłeś gębę? Jego sobowtór nie reaguje, mówi dalej:

– Chcę was ostrzec.

– Jak tu wszedłeś? – powtarza Czyngis.

– Bardzo prosto: stałem się tobą – uśmiecha się kpiąco. – Panowie hakerzy... a właśnie, witaj, Szurka. Jakoś się w tym zamieszaniu nie przywitaliśmy...

Maniak mruży oczy, ale milczy.



– Panowie hakerzy, szanowny nurku – lekki ukłon w moją stronę. – Mam wrażenie, że robicie poważny błąd.

– Naprawdę? – Czyngis jest niewzruszony.

– Nasza mała umowa – Ciemny Nurek patrzy na Padlinę – została, jak rozumiem, rozwiązana. Nie zdołaliście wyciągnąć plików z New Boundaries. Naprawdę, bardzo mi przykro, że Roman zginął. Ale teraz nic nas nie łączy i łączyć nie powinno.

– Mylisz się zasadniczo, stary. – Padlina puszcza Pata który chyba się uspokoił, i podchodzi do Ciemnego Nurka. – Plik zdobyliśmy...

– Macie go? – Sobowtór Padliny uśmiecha się tak szeroko, że nie ma sensu udawać.

– Nie. Ale wkrótce będziemy mieli.

– Nie będziecie. Nie dostaniecie go. Nigdy.

– Dostaniemy! – Padlina radośnie macha butelką. – I przekażemy tobie. Jak było umówione.

– Nie rozumiecie. – Ciemny Nurek wzdycha bardzo naturalnie. – Świątynia Nurka w Głębi jest niedostępna dla człowieka, który nie ma zdolności nurka...

On rzeczywiście wszystko wie!

Nagle rozumiem, że to wszystko jest na serio. Lekkie osłupienie, które spadło na mnie po pojawieniu się nieznanego, mija.

Przede mną naprawdę stoi nurek, który nie stracił swoich zdolności. Człowiek, który dalej gra z Głębią na swoich zasadach!

My załamaliśmy się i piliśmy wódkę. Uczyliśmy się programować i najmowaliśmy się do różnych prac. Zdecydowaliśmy, że nasz czas minął.

A on nadal chodził po Deeptown, lekko i beztrzesko, grając z rzeczywistością i ułudą w starą grę...

– Załóżmy, że przejdziecie Labirynt – mówi Ciemny Nurek. Przypomnicie sobie stare czasy, weźmiecie do zespołu kilku stukniętych na punkcie gier nastolatków, przeniesiecie broń wirusową... i przejdziecie. Znajdziecie wejście do Świątyni. Myślicie, że dalej wszystko jest proste?

Wszyscy milczą.

– Wejść może tylko nurek – oznajmia nieznanomy.

– Mamy w załodze nurka – włącza się do rozmowy Maniak. – Ocknij się. Przejdziemy Labirynt i wejdziemy do Świątyni. Albo on wejdzie.

Sobowtór Padliny patrzy na mnie. I nagle coś się zmienia. Robi mi się nieswojo. Jakby widział mnie na wylot.

– Leonid... były nurek... – mówi i macha ręką, jakby odsuwał zasłonę przed swojej twarzy.

I oto patrzę we własne oczy.

– On od dawna nie jest nurkiem – mówi mój sobowtór. – Skreślony z listy załogi ze względu na stan zdrowia. Nurek z deep psychozą... to śmieszne.

– Wejdę – mówię, sam nie wierząc w swoje słowa.

– Nie... nie wejdiesz. Wyluzuj się, Leonid. Ochłoń. Nie jesteś Strzelcem. Nie jesteś nurkiem. Twój czas skończył się dwa lata temu. Miałeś szansę i straciłeś ją. Teraz jesteś nikim. A imię twoje – Nikt.

– Nie trzeba tak mówić – odzywa się Maniak. – Nie trzeba.

– Mam propozycję dla wszystkich obecnych. – Ciemny Nurek mierzy nas wzrokiem i uśmiecha się.

Niech go diabli, mój uśmiech jest miłszy!

– Mów – zezwala Czyngis.

– Przestańcie uganiać się za plikiem. Wam i tak jest niepotrzebny. Nie zdołacie nic zrobić z otrzymanymi informacjami. Nawet jeśli je znajdziecie. Wszystko to dotyczy tylko mnie.

– To, że Roman zginął, to twoja sprawka – mówię. – To, że Deeptown przemienił się w takie samo bagno jak real...

Ciemny Nurek znowu odwraca się do mnie.

– Skąd wiesz, co łączyło mnie i Romka? I co znaczy dla mnie Deeptown i real? Jesteście dziećmi, które zabłądziły w Głębi. To wy dawno temu zamieniliście wirtualny świat w ohydne odbicie własnego życia...

Możliwe, że ta rozmowa trwałaby jeszcze długo, wydaje mi się nawet, że moglibyśmy usłyszeć coś ważnego... ale nagle Pat podrzuca w rękę swojego obrzyna i wrzeszczy:

– To ty zabłądziłeś! Nikt cię tu nie zapraszał!

W pewnym stopniu ma rację...

Obrzyn w rękach Pata strzela jak automat, kule dziurawią ścianę. Ciemny Nurek w porę pada na podłogę i kule chybiają. Za to jego strzał, z rewolweru – takiego samego jak mój! – sięga celu.

Pat zwija się i przewraca na podłogę.

Wtedy zaczyna się obłąd.

Czyngis strzela, kule dosięgają Ciemnego Nurka, ale chyba nie robią mu najmniejszej szkody. Padlina skacze na wroga i bije go butelką po głowie.

Zero reakcji.

Celuję, starając się nie trafić w Padlinę, i nagle zauważam, że ze wszystkich obecnych Ciemny Nurek wybrał za cel właśnie mnie.

Jakby wiedział, czym naładowany jest mój rewolwer.

Strzelamy jednocześnie. A może ja mimo wszystko o setną sekundy wcześniej?

Jeszcze widzę, jak głowa Ciemnego Nurka rozlatuje się na krwawe i szare strzępy, a ciało pręży w skurczu.

Potem jego kula dosięga mnie.

Ciemność.

Średnia przyjemność siedzieć z garnkiem na głowie.

Ekran helmu są ciemne i martwe.

Odpiąłem i zdjąłem swój stary sony. I popatrzyłem na monitor. Ten sam obraz.

Cholera.

– Vika, start! Włącz się. Pracujemy.

Właściwie nie miałem nadziei, że broń Ciemnego Nurka po prostu odłączyła zasilanie komputera. A jednak nacisnąłem „power” i odczekałem minutę.

Komputer nie ożywał. Nawet nie próbował się włączyć.

Odłączyłem wszystkie kable, wyciągnąłem skrzynkę komputera, zdjąłem pokrywę, której nigdy nie przykręcałem, i wpatrzyłem się w jej wnętrze. Jakbym rzeczywiście mógł coś zobaczyć.

Z pozoru wszystko wyglądało normalnie. Dymu ani śladu, twardziel nie rozleciał się na kawałki, rewolwerowych kul, które utknęłyby w jakiejś karcie, też nie stwierdziłem.

Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer Czyngisa. Odpowiedział od razu:

– Leonid?

– Tak. Co z Patem?

– Beczy przy kompie. Ten drań miał broń drugiego pokolenia. Co z tobą?

– Analogicznie.

Czyngis odezwał się po chwili milczenia:

– Dasz sobie sam radę z komputerem?

– Nie.

– Rozumiem. Wiesz co... poproszę Padlinę, żeby do ciebie podjechał.

– Co z Ciemnym Nurkiem?

– Zabiłeś go. Z czego strzelałeś?

– Pociski drugiego pokolenia. Te, które dostałem od ciebie.

Krótki, złośliwy śmieszek.

– Chociaż tyle. My mieliśmy humanitarną broń. Leonid... nie przejmuj się. Padlina zaraz podjedzie. Czeka na niego.

Tak zastała mnie Vika, gdy wróciła z pracy – siedzącego przy rozkręconym komputerze.

– Zabili mi komp – powiedziałem po prostu. – Vika... zabili mi komputer.

– Jak to, zabili? – spytała, zdejmując szalik.

– Z Głębi. Z broni drugiego pokolenia. Uszkodzili hardware.

Vika usiadła obok. Zajrzała mi w oczy, a potem we wnętrze komputera.

– Lonia, jesteś pewien? Kto miałby użyć takiej broni przeciwko zwykłemu człowiekowi?

Nawet nie wiedziała, jaką zrobiła mi przykrość tymi słowami.

– Vika... muszę ci coś opowiedzieć.

– Mów – westchnęła.

– Zabili Romka.

– Wilkołaka? – Vika ciągle się uśmiechała. – A co miał?

– Romka. Zabili. Naprawdę.

Widziałem, jak uśmiech powoli znika z jej twarzy.

– O mój Boże... jak?

– Z Głębi. Broń trzeciego pokolenia.

– Leonid...

– Wysłuchaj mnie, Vika. Proszę cię. Uwierz i wysłuchaj.

Jak szybko da się opowiedzieć wydarzenia dwóch dni, jeśli wyłączy się emocje? Szybko i łatwo. Włamanie. Pogoń. Śmierć. Poszukiwania. Maniak. Czyngis. List. Ciemny Nurek.

Pod koniec powieści Vika wstała i usiadła na kanapie. Ściągnęła usta w wąską kreskę, a jej spojrzenie stało się twarde i zimne. Spojrzenie Madame...

Nie lubię tego spojrzenia. Nienawidzę go.

Ale nie można patrzeć na świat cudzymi oczami. A tym bardziej decydować za innych, jak mają patrzeć.

– Lonia... to wszystko prawda?

– Taka, jak ja ją widzę. Vika, to koniec Głębi. Prawie koniec. Wirtualność przemieni się w kopię realu, z jego śmiercią zagrożeniem, podejrzliwością nieufnością. Jeśli czegoś nie zrobimy...

– Co chcecie zrobić? Lonia! Broń trzeciego pokolenia? Już istnieje, już została puszczona w obieg? Wszystko, co pojawia się w Głębi, szybko przestaje być tajemnicą.

Nic nie powiedziałem. Miała rację. Jak zwykle.

Patrzyłem w milczeniu, jak Vika wyciąga z torebki papierosy i zapalniczkę. Palila bardzo rzadko. Tylko wtedy, gdy było jej bardzo dobrze... albo bardzo źle.

– Wypuszczonego dzina nie zagonisz z powrotem do butelki. – Vika zaciągnęła się. – Masz rację, to koniec wirtualności, w każdym razie w tej postaci, w jakiej przywykliśmy ją widzieć.

– Daj papierosa – poprosiłem. Zapaliłem lekkiego mild seven. – Jeśli można zapobiec nieszczęściu... w każdym razie trzeba spróbować.

– Leonid, robisz błąd w samym założeniu. Nie można już niczemu zapobiec. Proces został rozpoczęty. Już się spóźniliście... ty, Szurka, całe to towarzystwo hakerów... Uznajmy to, co nieuniknione.

– Co mianowicie?

– Deeptown rządzi się własnymi prawami. Ale to ludzkie prawa i na to już nic nie poradzisz. Kilka lat temu wirtualność była jeszcze dzieckiem. Z całym dziecięcym zachwytem i dziecięcym okrucieństwem. Z bójkami w piaskownicy. Ty mnie wiaderkiem po głowie, ja ciebie łopatką po pupie. Wszystko było: zabawa w doktora, urazy i obrazy, balangi, bajki o czarnej ręce i krwawej pustyni. Ale dzieciństwo mija. Teraz Deeptown powoli dorasta. A to już nieco inny układ, Leonid. Do Głębi wchodzi normalny, ludzki świat.

– Więc zabijanie uważasz za normalne?

– Lonia, nie mówimy o tym, co jest dobre, a co złe. Mówimy o normie. A do normy ludzkiego życia należy wojna i zabójstwa. Nie można wiecznie walczyć w Labiryncie Śmierci czy na arenie Śmiertelnego Pojedyńku. Mali chłopcy mogą biegać z plastikowymi automatami, ale gdy skończą osiemnaście lat, dostaną prawdziwą broń. Śmierć musiała przyjść do Deeptown. I przyszła.

Vika zamilkła. Strząsnęła popiół na gazetę leżącą na kanapie. Chyba mocno ją trzasnęło.

– Proszę bardzo, otwórz gazetę... o czym przeczytasz od razu na pierwszej stronie? Pijany facet przyszedł do domu, wypił następną lufę, zarznął żonę i wyrzucił dzieci przez okno, wypił jeszcze setkę, gonił teściową nie dogonił, dokończył pół litra i powiesił się w toalecie. Amerykańskie BBC dokonało lotu pokoju nad Europą Zniszczono dwadzieścia wojskowych celów, włączając fabrykę czekolady, szpital i osiedle. Arabscy terroryści podłożyli bombę w samolocie pasażerskim na znak protestu przeciwko drugiej misji pokojowej...

– Nie czytam gazet.

– Lonia... – westchnęła Vika. – Lonia, kochanie, mimo wszystko je czytasz. Słyszysz. Domyślasz się. Nie można wiecznie kryć się w Głębi. Rozumiem, że każdy by chciał, ale nie daje rady. Wcześniej czy później ktoś musiał przynieść do Deeptown prawdziwą broń. Skoro już się pojawiła, trzeba podjąć decyzję. Co dla ciebie jest rzeczywistością, a co złudzeniem? Jeśli nie ma różnicy, to żyj w Głębi. Czy to nie wszystko jedno, jak umrzesz?

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek.

– To Padlina – powiedziałem szybko.

– Kto?

– Padlina... ten haker, mówiłem ci.

– No to co? – Vika wstała i rozejrzała się po pokoju, jakby w nadziei że da się go posprzątać w ciągu dwudziestu sekund. – Nie mogłeś mnie uprzedzić?

– Przepraszam – wstałem z podłogi. – Zapomniałem.

– Sam otwórz. – Vika szybko poprawiła włosy. – No, szybko... twój przyjaciel przyszedł. Nie ma problemu.

– Tak...

Lepiej by było, gdyby przyjechał Czyngis.

Wyobraziłem sobie, jak Padlina z wyciem i przekleństwami pakuje się do przedpokoju, wypełnia go sobą, wywala z podartej torby dwadzieścia butelek żygulowskiego... i zapragnąłem nie otwierać drzwi.

Ale Padlina mógł je przecież wyważyć. Tak na wszelki wypadek, bo a nuż nie usłyszeliśmy dzwonka?

Odetchnąłem głęboko, podszedłem do drzwi, otworzyłem.

– Dobry wieczór, Leonid – rzucił półgłosem Padlina. – Długo czekałeś?

Zakrztusiłem się przygotowanym zdaniem – że żona jest w domu i proszę nie używać leksyki nienormatywnej – i odsunąłem się od progu.

Padlina wytarł nogi o wycieraczkę i wszedł.

W jednej ręce trzymał potężny bukiet herbacianych róż, w drugiej ogromną torbę. Pewnie właśnie w niej próbował przemycić do mieszkania Czyngisa prostytutkę.

– Małżonka w domu? – zapytał cicho. W odpowiedzi na moje kiwnięcie sprecyzował: – Jak ma na imię?

– Vika.

– Aha...

Rozejrzał się w poszukiwaniu kapci. W milczeniu zdjąłem z nóg swoje.

– Dobry wieczór. – W przedpokoju pojawiła się Vika.

– Dobry wieczór! – Padlina skłonił się niezgrabnie i wręczył jej bukiet. – Szalenie mi miło. Leonid tak wiele o pani opowiadał... Nazywam się Anton.

Przełknąłem ślinę.

– Jakie piękne, dziękuję... – Vika wzięła kwiaty. – Leonid, może nas przedstawiisz?

– To Vika, moja żona – wymamrotałem. – Pa... eee, Anton. Wybitny specjalista w dziedzinie komputerów.

– Jak lepiej, Anton czy Padlina? – zapytała Vika. Wyglądało na to, że rozkoszuje się całą sytuacją.

– Szczerze mówiąc, Wiktorio, bardziej przywykłem do Padliny. Ale niektórych to szokuje....

– Ależ dlaczego, może być Padlina. Niech się pan rozbiera i wchodzi. Przepraszam za bałagan, ja cały dzień w pracy, Leonid zajęty w Głębi...

– To bardzo przyjemne i szalenie przytulne mieszkanie! – zapewnił z żarem Padlina. Ściągnął z

głowy wyleniała czapkę z piżmoszczura. Gdyby stanął w takiej pozie przed metrem, ludzie szybko nasyłiliby mu drobnych. Westchnął. – Proszę nie zwracać uwagi na mój nieco niezwykły wygląd. Zawsze golę głowę na zimę.

– Bardzo ciekawe... a można wiedzieć dlaczego? Kurtkę proszę powiesić tutaj. I niech się pan czuje jak u siebie w domu.

Padlina pociągnął nosem, postawił torbę i zapytał:

– Jest pani pewna, że mogę się czuć jak u siebie?

– Oczywiście...

– No, cholera, uprzedzałem... – Padlina zdjął kurtkę, powiesił na wieszaku, obok troskliwie umieścił czapkę. – Właśnie z jej powodu się golę. Jest bardzo stara...

– Kto taki?

– Czapka. Starowinka jest, na wykończeniu. Gdybym nie strzygł się na zero, nie wcisnąłbym jej na głowę...

Zastanowiłem się, czy uda mi się szybko wypchnąć Padlinę na klatkę. Wyszło mi, że nie. Ani szybko, ani powoli.

– A może warto by kupić nową? Ja rozumiem, że wszystko jest teraz drogie...

– Widzi pani, Wiktorio, osiem lat temu wstąpiłem do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Od tej pory uważam, że wykorzystywanie zwierzęcego futra do wyrobu odzieży to barbarzyństwo i faszyzm, i że nie mam moralnego prawa kupować nowej futrzanej czapki. Ale o tej porze roku w Moskwie jest tak zimno, że chodzenie z gołą głową może być niebezpieczne dla zdrowia.

– Imponujące stanowisko – stwierdziła Vika. – A nie szokuje pana, że obok pańskiej kurtki wisi moje futerko?

– Nie szokuje – odpowiedział z godnością Padlina. – Ale martwi. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, Wiktorio, porozmawiamy później o ochronie środowiska naturalnego i humanitarnym stosunku do naszych braci mniejszych.

Zerknąłem spode łba na Vikę.

Uśmiechała się. Bardzo ładnie. Dawno nie widziałem tego uśmiechu.

– Niech pan wejdzie do pokoju. I proszę się czuć jak u siebie, tylko nieco akuratniej. Będziecie pić piwo od razu, czy dopiero po naprawie komputera?

– Moglibyśmy... eee... połączyć oba procesy – zasugerował ostrożnie Padlina. – Wiktorio, czy pani pije piwo?

– Piję. I proszę mówić do mnie Vika, dobrze?

– Jasna sprawa! – Padlina rozpląnął się w uśmiechu. – No, Lońka, dawaj szklanki i pokaż ten swój spalony komp.

– Ja pokażę – powiedziała Vika. – A ty, Lonia, podaj chleb, ser i popatrz, co jeszcze mamy w lodówce.

Poszedłem do kuchni z niejasnym wrażeniem, że jestem całkowicie zbędny.

Proste jak obręcz – powiedział Padlina. – Czegoś takiego się właśnie spodziewałem... Siedział w kucki, obłożony wyciągniętymi z komputera kartami, i obracał w ręku procesor.

– Czego? – zapytałem żałośnie. Czułem się jak u lekarza, który obejrzał moje badania, postukał mnie w kolano, osłuchał i teraz z zagadkową miną wpisuje do książeczki niezrozumiałe hieroglify.

– Dwadzieścia cztery wolty na procesor i adios! – Oznajmił radośnie Padlina. – Vika, otworzyć pani piwko?

– Dziękuję, jeszcze mam.

Vika miała najlepiej. Siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami i obserwowała nas, dopijając piwo i od czasu do czasu wyjmując oliwkę ze słoika.

– Zdechł twój procesor! – westchnął Padlina. Otworzył butelkę jarosławskiego bursztynowego – kolejny kompromis pomiędzy żygulowskim a uprzejmością – i napił się. – Masz zapasowy?

– Żartujesz? Skąd...

– No to... co prawda, dla siebie trzymałem... – haker sięgnął do kieszeni i wyciągnął chusteczkę nie pierwszej świeżości, w której rozek niedawno smarkał. Rozwinął ją i byłem pewien, że gestem sztukmistrza wyciągnie z niej procesor.

Ale Padlina tylko wyczyścił nos.

– Założę ci procesor jeden dwa. Płytę główną masz w porządku, wytrzyma, dobrze, że brałeś z zapasem...

– Co było, to brałem... Padlina, skąd się wzięło na procesorze takie napięcie? Skąd, do licha?

– BIOSy są teraz bardzo mądre... – haker nie wdawał się w wyjaśnienia. – Zaraz zobaczymy, może jeszcze coś padło...

– Słuchaj, przecież z zasilania idzie najwyżej dwanaście woltów...

– Wiesz, co to takiego plus i minus dwanaście?

Nie wiedziałem, ale na wszelki wypadek skinąłem głową.

Z torby została wyciągnięta na światło dzienne mała walizeczka, a z niej procesor. Padlina wetknął go na miejsce starego i nawet nie patrząc, ustawiał sloty. Zaczął łączyć rozłożony hardware kablami.

– Włącz monitor – burknął.

Włączyłem i Padlina triumfalnie nacisnął „power”.

– Nie działa – skomentowała Vika.

– Chwileczkę – uniósł palec Padlina. – Leonid, włącz wtyczkę do gniazdka.

Znowu nacisnął zasilanie i komp cichutko zaszumiał.

– *Voilà!* – oznajmił uroczyście Padlina, gdy na ekranie pojawiła się tablica Windows Home. – A wy się baliście.

– Padlina, nie mam teraz pieniędzy na procesor...

– Zedrę z Czyngisa – odparł beztróska Padlina. – Nie zbiednieje. W końcu w którym domu trzasnęli twój komputer?

– Padlina, to nie w porządku...

– W porządku, nie w porządku... twój komputer musi teraz działać, tym bardziej że potrzebujesz szybkiego konia. Czekaj, jeszcze ci doładuję do jednego giga...

Nie miałem sił odmówić. Wyobraziłem sobie, jak będzie wyglądała praca na komputerze z procesorem tysiąc dwieście z jednym gigabajtem pamięci, i sumienie, wydawszy przenikliwy szloch, ucichło.

– Jednak macie zamiar szukać tej świątyni? – zapytała Vika.

– Oczywiście! – odpowiedział Padlina, nie przestając grzebać w kompie. – Cóż innego można zdziałać, przyjaciółko?

– Nie robić głupot, przyjacielu.

Padlina wciągnął głowę w ramiona, co przy krótkiej szyi było prawie niezauważalne, i zerknął na mnie z obawą.

– Przepraszam, Vika. Ja tylko... to taki zwrot.

– Nie lawiruj, Padlina. Lepiej wyjaśnij, co chcecie osiągnąć.

– Znaleźć plik. Przycisnąć do muru tych, którzy stworzyli nową broń.

– Da się?

– No... spróbujemy. – Padlina skończył mocować płytę główną i zaczął upychać pozostałe wnętrzności komputera. – Nie zaszkodzi spróbować...

– Sama nie wiem. Czasu nie cofniecie. Broń już istnieje.

– Niszczyć, nie budować! – oznajmił Padlina mocując akcelerator grafiki. – Najważniejsze nie poddawać się, walczyć! A potem się zobaczy!

– Chłopcy, ja wprawdzie od dawna nie wchodzę w Głębię...

Przypomniałem ją sobie w hełmie przy włączonym komputerze, ale nic nie powiedziałem.

– No to my spróbujemy! – oznajmił Padlina.

– Jest taka prosta zasada – powiedziała Vika – unikać niebezpiecznych miejsc. Teraz niebezpieczna stała się cała Głębia. Lepiej przez jakiś czas obchodzić się bez niej. Rozumiecie?

– Rozumiemy – zgodził się Padlina. – Ale nie możemy posłuchać. Jutro idziemy do Labiryntu.

– Ja bym nie radziła – powtórzyła Vika. – Wam wszystkim. Zwłaszcza Loni...

– Już był taki jeden, co nam nie radził – powiedział uparcie Padlina. – Teraz pewnie płacze nad kompem ...

Popatrzyłem na Vikę i Odwróciłem wzrok. Nagle poczułem się nieswojo.

– To eskalacja – rzekła Vika. – Padlina, jeszcze rok temu byłbyś oburzony samym faktem, że jakiś drań zabił czyjś komputer. A teraz się z tego cieszysz.

– Ha! – wykrzyknął Padlina. – Widzisz, co się stało z Lońką? A kto pierwszy zaczął?

– No, kto? – zapytała Vika.

– Maniak się nie liczy – oznajmił Padlina. – On miał czystą broń, to raz. Zresztą i tak ni cholery nie zadziałała, to dwa. A Pat...

Może nie powinienem był opowiadać jej całego zajścia tak szczegółowo?...

– To przecież jeszcze dzieciak – ciągnął zakłopotany Padlina. – Owszem, ochrzanić, nawet skórę pasem złoić... ale po co zaraz zabijać mu komputer?

– Padlina, przeszedłeś do broni drugiego pokolenia bez najmniejszych wyrzutów sumienia –



stwierdziła Vika. – Tak samo będzie z bronią, która zabija. Jak tylko dostaniecie ją w swoje ręce, znajdą się powody, by zacząć jej używać.

– Nigdy – powiedział posępnie Padlina.

– W takim razie zabiją was. Sami pakujecie się w sytuację, która wymaga coraz bardziej stanowczych posunięć. Przecież Ciemny Nurek chciał was tylko ostrzec! Pewnie wie więcej niż wy...

– To czemu się nie podzielił tą wiedzą?

– Może miał taki zamiar? Padlina stęknął.”

– Vika, dlaczego go tak bronisz? On wystawił Romana, to raz! Wdarł się do domu Czyngisa, to dwa! Pokaleczył komputer Leonidowi, to trzy!

– Nie bronię go. Staram się tylko być obiektywna. Im dalej będziecie w to wchodzić, tym większe ryzyko, że staniecie się ofiarami nowej broni. Albo użyjecie jej sami.

– Nigdy! – powtórzył Padlina.

– Nie zarzekaj się. – Vika wzruszyła ramionami. – Zresztą to wasza decyzja.

– Zabronisz Leonidowi wchodzić w Głębię? – zapytał Padlina.

– Chyba czegoś nie rozumiesz w naszych stosunkach – uśmiechnęła się Vika.

Nic dziwnego... sam od dawna niczego nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie rozumiem – zgodził się Padlina i skinął mi głową. – Włączaj komputer.

Nie skorzystałem z propozycji.

– To bardzo proste – zauważyła spokojnie Vika. Nasze oczy się spotkały i odwróciłem wzrok. – Kochamy się. Ale myślę, że przede wszystkim kochamy tych, kim byliśmy w Głębi. Dwa lata temu, gdy się spotkaliśmy, przeszliśmy razem bardzo wiele... naprawdę wiele. Życie razem pod jednym dachem, życie w prawdziwym świecie to zupełnie co innego. Żyjemy, jak widzisz. Kochamy się. Ale...

Vika starannie odstawiła pustą szklanekę.

– Od momentu gdy przyleciałam do Petersburga, żeby po raz pierwszy zobaczyć się z Lonią, gdy spędziłam godzinę na lotnisku, zanim zrozumiałam, że Leonid nie przyjedzie, wypracowaliśmy pewną zasadę. Bardzo prostą. Nasze życie w Deeptown to jedno, a nasze życie w realu to całkiem co innego. Mieszkając razem, nie mamy prawa wtrącać się do tego, jak postępujemy w Głębi. Bardzo nie podoba mi się myśl, że Leonid włącza się do tej awantury, ale nie mam prawa wywierać presji.

Padlina podniósł się niezgrabnie, odchrząknął. Wziął torbę.

– Pójdę już... dziękuję bardzo, Viko. Jestem pod wrażeniem.

– Przychodź, kiedy zechcesz – powiedziała serdecznie Vika. – Zawsze będzie mi miło cię widzieć.

W korytarzu Padlina podniósł mnie za kołnierz i zahuczał do ucha:

– Co, potworze, nie mogłeś wyjechać na lotnisko po taką kobietę?

Z pewną trudnością oderwałem od siebie jego rękę i powiedziałem półgłosem:

– Widzisz, Padlina, ja byłem pewien, że spotkałem Vikę na lotnisku.

Nie zrozumiał. Ale ja już otworzyłem drzwi i wskazałem oczami ciemną klatkę schodową.

– Ehehe – westchnął Padlina. – To co, idziesz?

– Kiedy?

– Jutro, o dziesiątej. Zbieramy się u Czyngisa.

– W Głębi?

– Dobra.

– Będę.

Padlina westchnął i wyszedł.

Gdy wróciłem do pokoju, Viki już nie było. Butelki i szklanki stały gdzie popadło. Zebrałem wszystko i zaniósłem do kuchni. Butelki do starej reklamówki, szklanki do zlewu...

Vika położyła się spać, nie czekając na mnie.

Postałem chwilę, walcząc z pokusą, żeby usiąść przy komputerze. Nowy procesor. Dodatkowa pamięć. Dobrze by było sprawdzić komp na różnych testach, popatrzeć, o ile zwiększyła się prędkość...

Rozebrałem się, wyłączyłem światło i położyłem się obok Viki. Zawsze zasypiała szybko. Może rzeczywiście już spała.

– Dobrej nocy – powiedziałem.

Vika nie odpowiedziała.

Cóż. Załóżmy, że naprawdę śpi.

– Nie zasnę wtedy, Vika. Byłem pewien, że po ciebie wyjechałem. Że pojechałem na lotnisko. Czekałem przy informacji. Przyszłaś. Byłaś taka sama jak w Głębi. Powiedziałem wtedy, że nigdy bym ci nie dał narysowanych kwiatów.

Milczała. Oddychała równo i spokojnie.

– A tak naprawdę zaczęła mi się deep psychoza. To był pierwszy atak. Najcięższy. Od tamtej pory już było lżej.

Jeszcze jakiś czas leżałem w milczeniu. Może miałem nadzieję, że ona jednak odpowie. Może się tego bałem. Leżałem i patrzyłem na fosforyzujące gwiazdki naklejone na suficie. Świeciły coraz słabiej.

Narysowane mogą być nie tylko kwiaty.

Potem zasnąłem.

Lodowaty prysznic. Gorący prysznic.

Jest taka dobra rosyjska tradycja – przed walką umyć się i przebrać w czyste ubranie.

Może dlatego tak lubimy walczyć? Człowiek ma czasem ochotę włożyć coś czystego...

Viki już nie było, wyszła bardzo wcześnie. Słyszałem, jak się wybiera, ale leżałem, dopóki nie trzasnęły drzwi.

Pora na śniadanie.

Zrobiłem tosty i zjadłem, nie czując smaku. Wypiłem mocną kawę, rozpuszczalną, ale niezłą.

Zegarek pokazywał kilka minut po dziewiątej.

Można by jeszcze przetestować komputer w różnych trybach...

– Vika, praca – powiedziałem. Wyjąłem z szafy czystą podkładkę kombinezonu, włożyłem na siebie. Starą przepoconą odpiąłem i wrzuciłem do brudów.

Vika na monitorze czekała.

Chwilę stałem przy oknie. Padał śnieg. To już naprawdę zima. Pojawiło się coś jakby zamieć. A sądząc po chmurach, śnieg będzie padał jeszcze długo.

– Wejście w sieć – powiedziałem – Tryb wejścia zwyczajny. Osobowość numer siedem... Strzelec.

Hełm. Zapięcie. Zwiększyć kontrast obrazków na ekranikach...

Deep Enter.

Ognista tęcza...

Zapewne broń trzeciego pokolenia właśnie tak działa: przelewanie się kolorów, migotanie odległych gwiazd. Oszałała świadomość zaczyna wyprężyć ciało. Czy można zatrzymać serce siłą woli? Czy można wprowadzić się w stan katatonii? Można. Mógłby to zrobić joga albo intensywnie trenujący człowiek... albo każdy, kto znalazł się we władzy hipnotyzującego deep programu.

Kolorowa zamieć uspokaja się. Wstaję.

Jestem w Głębi.

A Głębia jest we mnie.

Jak zwykle.

Stoję w hotelowym pokoju, patrzę na zegarek. Mam jeszcze czas, mam jeszcze sporo czasu. Zresztą muszę coś załatwić...

Wchodzę na korytarz, już nauczony ostrożności, rozglądam się. Dłoń na rękojeści rewolweru.

Nikogo.

Schodzę. Biorę motocykl z parkingu przed wejściem. Hasło bardzo proste, w końcu motocykl jest standardowy, prawie nic niewart.

Na ulicy strumień samochodów. Dzisiaj będzie mi trochę trudniej. Ciało Strzelca to mimo wszystko nie ciało Motocyklisty.

Jadę do biura HLD.

Dojeżdżam nawet szybko. Dzisiaj serwery nie są przeciążone. Może gdzieś przeciągnęli nowy światłowód. A może przeciwnie, upadł potężny provider i wszyscy jego klienci są chwilowo odcięci od Deeptown...

W dyżurce siedzi Gala. Szkoda... fajna dziewczyna, na pewno się przejmuję moim zwolnieniem.

– Cześć... jestem Leonid. – Zaglądam do okienka. – Jak zawsze nie mam czekoladek.

Rzeczywiście jest zmieszana, poza tym chyba moja nowa postać robi na niej pewne wrażenie. No proszę. Zawsze to samo – trzymasz swoje stare ciało w rezerwie, nie podejrzewając nawet, że komuś jeszcze się spodoba poorana zmarszczkami twarz, zimne błękitne oczy, żylaste ręce...

– Leonid, wiesz...

– Domyślam się – mówię.

– Nie stawiałeś się w pracy...

– Gala, daj spokój. Wszystko rozumiem. Przyszedłem się oficjalnie zwolnić. Muszę się przecież gdzieś podpisać.

Gala kiwa głową z przeproszającą i zakłopotaną miną, jakby to ona osobiście mnie wyrzuciła. Wyciąga blankiet, kładzie przede mną. Szybko przeglądam treść.

Zgodnie z punktami 2. 1 oraz 2. 4 umowy. Za niestawienie się w miejscu pracy bez uprzedzenia kierownictwa... w wypadku stwierdzenia niedopatrzenia... zgodnie z punktem 3. 7... odprawa może

zostać wypłacona jedynie w przypadku...

Podpisuję się, pstryknięciem posyłam blankiety do Gali. Znowu się uśmiecham.

– Naprawdę wszystko w porządku. Po prostu mam już dosyć przychodzenia do pracy.

– Znalazłeś nowe miejsce? – pyta.

– O... z tym nie mam najmniejszego problemu – uśmiecham się. Nie mam tak sprytnego hełmu jak te ostatnie modele, które rejestrują i odbijają mimikę. To tylko palce dotknęły klawiatury i wbiły na narysowaną twarz grymas uśmiechu. Może to i lepiej. Mogę się uśmiechać nawet wtedy, gdy płaczę.

– Powodzenia, Leonid.

– Tobie również, Gala. Pochyliam się i całuję ją w policzek.

To już chyba koniec formalności. Można zająć się prawdziwą pracą.

– Jeśli masz jakieś rzeczy w szatni, możesz je zabrać – mówi Gala z uśmiechem. Chyba jest zadowolona, że wszystko tak się skończyło. Że nie mam pretensji i że rozstajemy się po przyjacielsku.

– Zaraz zajrzę.

Idę do szatni. Tak naprawdę nie mam tam nic do zabrania.

Ale mój sąsiad zazwyczaj o tej godzinie wychodzi z pracy. Ilia zawsze pracował rano i wieczorem.

No właśnie.

Zastaję go w momencie, gdy tradycyjnym kopniakiem posyła chłopca-listonosza do szafki. Sądząc po minie, znowu biegał po Deeptown w poszukiwaniu tego, czego nie ma.

– Cześć, Ilia.

Zdumione spojrzenie. Prawda, tej postaci nie widział.

– To ja, Leonid.

– A...

Ilia ogląda Strzelca z lekkim zainteresowaniem. Kiwa głową.

– Nieźle... chociaż trochę staromodny. Podobny do Clinta Eastwooda.

– Ja w ogóle jestem staromodny. Jak tam?

Ilia posępnie rozkłada ręce.

– Nie masz zamiaru zrezygnować z tego listu? – pytam niedbale.

Oczywiście kupuje to.

– Dlaczego? Sam chcesz znaleźć Świątynię, co? Odpowiadam tylko na drugie pytanie:

– Chcę ci pomóc.

Teraz cel został osiągnięty. W spojrzeniu Ilii widzę podejrzliwość i mocne postanowienie szukania Świątyni Nurka w Głębi do końca świata.

Skąd miałby wiedzieć, że Apokalipsa jest już blisko...

– Sam sobie poradzę.

– Ilia, wiesz co... – zaczynam kręcić; – Mam zamiary na jednego nurka... on może wiedzieć, gdzie jest Świątynia.

– Wielkie rzeczy. Ja mam znajomych hakerów, mogą znaleźć Świątynię w ciągu kilku godzin!

Interesujące...

– To dlaczego ganiasz z listem od dwóch dni?

– Są teraz zajęci. Bardzo. – Ilia patrzy na mnie ponuro. – Nie mogę powiedzieć, co robią... to zbyt ważne.

Jednak to dzieciak.

O wszystkim, co robił Maniak, dowiadywałem się post factum, chociaż byłem jego przyjacielem. Hakerzy, którzy robią coś niezwykle ważnego i opowiadają o tym na prawo i lewo... no, no...

– Jak chcesz – wzruszam ramionami. – Ale jeśli odbiorca zrezygnuje z listu z powodu spóźnionego doręczenia, zostaniesz bez nagrody.

– Poczekaj... – Ilia szybko zamyka szafkę. Myśli intensywnie. – Ile chcesz?

– Połowę.

– Oho! – stuka się placem w skroń. – Poszukaj innego jelenia!

– Przecież dostaniesz za ten list sto dwadzieścia dolarów – ciągnę. – Dobrze, dla mnie pięćdziesiąt.

– Nie!

Ilia mówi poważnie.

– Dobrze, a ile dasz?

Zastanawia się. Chyba dla niego to rzeczywiście zasadnicza kwestia.

– Dwadzieścia... pięć – mówi z miną Spartanina, który na postrach wrogom odgryza własny palec.

– Więcej nie mogę.

Teraz moja kolej.

– Nie jestem chciwy – dorzuca szybko Ilia. – Po prostu mam beznadziejną kartę dźwiękową. A za sto dolców dostanę bardzo porządną.

O Boże... nie potrzebuję ani stu, ani dwudziestu pięciu, ani dziesięciu baksów z jego doli... i nie wezmę, jeśli wszystko się uda i on dostarczy list.

Po prostu muszę go przekonać, że to uczciwa gra. Że znajdziemy Świątynię, a on dostarczy list. Że list nie trafi do archiwum...

Zaufać drugiemu człowiekowi można tylko w dwóch przypadkach – jeśli jest przyjacielem albo partnerem w interesach.

Na zawieranie przyjaźni nie mam czasu.

– Umowa stoi – postanawiam. – Jak odszukam tego nurka i wyciągnę od niego adres Świątyni, od razu dam ci znać. Wszystko uczciwie. Okay?

Ilia kiwa głową, w milczeniu przyklepujemy dłońmi.

– Jeśli moi przyjaciele wcześniej poznają adres, nie dostaniesz nic! – dodaje pospiesznie chłopak.

– Oczywiście – zgadzam się. – Wymieńmy się pagerami... w razie czego dasz mi znać, żebym się na próżno nie starał.

– Dobrze Zapisuję jego numer, on mój.

– Kiedy można cię znaleźć w Głębi? – pytam.

– Rano i wieczorem. I jeszcze nocą.

– W dzień też bywasz?

Ilia posepnie kręci głową.

– Nie mogę zajmować telefonu. Biedaczek. Więc łączy się przez modem...

– Jak nie jestem w pracy, to siedzę w barze Pod Zaginionym Hakerem – mówi. – Jakby co, tam mnie szukaj. Ale wpuszczają tylko hakerów.

– Ostro – kiwam głową. – Szkoda, że nie jestem hakerem.

– Jak podasz hasło, to cię wpuszczą – decyduje Ilia. – Ale hasło jest tajne, pamiętaj.

– Naprawdę? Nikomu nie powiem.

– Serce i miłość! – wygłasza uroczyście Ilia.

Tłumię śmiech. Hasło, które ma sens, przestaje być hasłem... Gdy swego czasu wojskowy generator haseł podał przypadkiem sensowne zdanie, potwierdzając starożytną tezę, że nawet małpa mogłaby stworzyć *Wojnę i pokój*, podniosła się panika w całym byłym ZSRR...

– Dobra!

Cóż, teraz to już naprawdę wszystko. Pozostał tylko drobiazg: znaleźć Świątynię. Patrząc na zegarek – za dziesięć dziesiąta...

– Na mnie pora – oznajmia Ilia.

– Na mnie też – mówię. – Idę pograć.

– W co?

– W Labirynt Śmierci.

– To dla maluchów – mówi wzgardliwie Ilia. – Jak byłem mały, to się w to bawiłem. Teraz pracuję.

– A ja mam teraz właśnie taką pracę: chodzę po Labiryncie.

Nieładnie prowokować zawiść. Ale przecież nie kłamię...

Tym razem drzwi od mieszkania Czyngisa otwiera Padlina, trzymając policyjny karabin. Robi wrażenie. Jego wirtualny analog jest pewnie nie mniej niebezpieczny.

– To ty? – pyta Padlina.

– Nie widać?

– Nieważne, co widać – wzdycha haker. – Powiedz, jaki procesor ci wczoraj założyłem?

– Tysiąc dwieście.

– Odczuwasz radość bytu?

– Jeszcze nie zdążyłem zauważyć różnicy – przyznaję się uczciwie.

Padlina nie spieszy się, żeby mnie wpuścić. Lśniaca lufa karabinu nadal patrzy mi w brzuch.

– Co przyniosłem ze sobą?

– Piwo... kwiaty dla Viki.

– Jakie kwiaty, jakie piwo?

– Bukiet kremowych róż, piwo Jarosławskie...

– Wchodź, Łońka.

No tak. Teraz już chyba zawsze będziemy się wymieniać wspomnieniami podczas spotkań w Głębi. Ciemny Nurek nastraszył nas nie na żarty.

Dzisiaj całe towarzystwo zebrało się w bibliotece. Bardzo przyjemny pokój... obfitość książek zazwyczaj budzi dziwne myśli. Stworzenie takiego pokoju w Głębi nie jest specjalnie trudne:

dowolna książka szybko staje się ogólnie dostępna. Ale jeśli Czyngis naprawdę ma taką bibliotekę... wszystkie te regały aż do sufitu, wypełnione klasyką, fantastyką, kryminałami, albumami, podręcznikami, encyklopediami, miniaturowymi reprintami...

... to jasne, dlaczego przestał być hakerem. Nie da się tyle czytać i zachować przy tym poziomie profesjonalisty. A trzymanie książek jako wyposażenie wnętrza to nie w jego stylu...

Pokój jest długi, na jego końcu, pomiędzy dwoma zasłoniętymi oknami, płonie ogień w kominku. Wszyscy siedzą przed nim. Pat na podłodze, obejmując kolana rękami. Jest posępny jak chmura gradowa, wita mnie skinieniem głowy. Chyba wczoraj wieczorem miał poważną rozmowę z Czyngisem.

Czyngis rozwalony w fotelu, w szlafroku, wygląda na zrelaksowanego. Cygaro w ręku, niczym wykończenie portretu. Burzuj cholerny...

– Hańba rosyjskiego hakerstwa – mamrocze Padlina. – Sybaryta jeden. Rozsiadł się, uważasz...

Co wcale nie przeszkadza mu zająć drugiego i ostatniego fotela i pospiesznie sięgnąć po własne cygaro.

– Witaj, Lonia – mówi Czyngis. – Siadaj gdziekolwiek.

Maniak stoi przy kominku ze założonymi na piersiach rękami.

Mnie wita ledwie zauważalnym uśmiechem. Ubrany jest na czarno, na głowie ma ciemny beret.

– Wszyscy już są – mówi Czyngis, gdy po krótkim zastanowieniu siadam przy kominku obok Padliny i wyciągam ręce do ognia. Omówimy taktykę?

W ostatnim momencie zauważam, że zerka na coś ponad moim ramieniem i uchylam się. W samą porę.

– Cześć, Lońka! – krzyczy ktoś z tyłu. Niestety, ramienia, za które chciał chwycić, już nie ma. Są tylko moje nogi, o które się szczęśliwie potyka i z przeciągłym wyciem leci głową w kominek.

– O Boże – mówi cicho Czyngis.

Wysoki, niezgrabny chłopak już wyciąga głowę z ognia. Głowa nie poniosła szkody.

Mag Komputerowy albo po prostu Mag, albo Zuko – ze względu na namiętność do chemicznych napojów rozpuszczalnych. Były programista w wirtualnym burdelu, w którym kiedyś pracowała Vika. Jeden z najbardziej utalentowanych i jednocześnie niedbałych programistów, jakich znam. A już na pewno najbardziej hałaśliwy.

– Witaj, Zuko... to znaczy Magu – mówię tonem skazańca.

– Aha! Poznałeś! – Mag Komputerowy usiadł i schwycił się za głowę. – Poznał mnie! Widzicie! Wszyscy widzicie! No, ile lat się nie widzieliśmy, no?

– Miesiąc – przyznaję się i chcę wstać.

Zuko obejmuje mnie, próbując podnieść, jednak wirtualne ciało Strzelca jest nieco przyciężkie. Strzelec jest suchy, ale grubokościsty...

– Aleś się spał! – krzyczy Zuko. – Zmężniałeś! Słowo daję! Co, nie znałeś wcześniej Czyngisa? Dlaczego ja cię z nim nie poznałem? Przecież Czyngis to mój najlepszy przyjaciel! Prawda, Czyngis? Oczywiście, to człowiek skromny, można powiedzieć odludek, ale kiedy go odwiedzam, to od razu czym chata bogata i na wszystko gotów!

Oglądam się i dostrzegam w oczach Padliny i Czyngisa żaloszny, przygnębiony wyraz. Pat zaczyna się powoli odsuwać na bok. Maniak chyba to zauważa.

– Siergiej, mamy mało czasu – mówi półgłosem i bierze Maga za ramię. – Proponuję świętowanie spotkania przełożyć na później.

Zuko strząsa jego rękę i z wyrzutem kręci głową.

– Ty też? Nawet się nie dasz przywitać! Cholera, obraziłem się...

– Mag, pogadajmy najpierw, dobra? – proponuję szybko. – Przecież słyszałeś, co się stało. Ktoś ci powiedział, ...ciekawe kto.

Patrzę na Szurkę, który rozkłada ręce i próbuje wciągnąć głowę w ramiona.

– Dawno się tego spodziewałem – szepce Mag Komputerowy siadając obok mnie. Jego szept jest bardziej przenikliwy niż tubalny bas Padliny. To prawdziwy teatralny szept, którego aktorzy muszą się długo uczyć. – Tak... Burdel, burdel... A właśnie, Lońka, jak tam Madame?

– Wszystko w porządku – zapewniam. – Mag, posłuchajmy Szurki, dobrze?

Zuko z głośnym trzaskiem zatyka sobie usta dłonią. Chyba spodobał mu się własny gest, co znaczy, że mamy zagwarantowane trzy minuty ciszy.

Maniak to rozumie i zaczyna mówić bez zbędnych wstępów:

– Nasze wczorajsze zachowanie było w najwyższym stopniu nieprofesjonalne. Więcej, śmieszne.

Padlina stęka, Czyngis kiwa głową, Pat wbija się w odległy ciemny kąt i udaje, że ogląda grzbiety książek.

– Po pierwsze, Czyngis, twój system ochrony okazał się prymitywny.

– To dobry system – sprzeciwia się gospodarz. – Po prostu...

– Po prostu nie działa – kończy Szurka. – Po drugie, gdy pojawił się Ciemny Nurek, przejawiliśmy agresję. To przede wszystkim moja wina. Użyłem bardzo dobrego modelu naszej firmy, przeciwnik powinien był znieruchomieć, ale... i tak moja wina. Jakby nadałem kierunek naszemu zachowaniu.

Ja tam uważam, że zachowanie Maniaka było absolutnie usprawiedliwione. Ale nie spieram się. Jeśli chce rozdzielić winę na nas wszystkich, włączając siebie, to proszę bardzo.

– Padlina kompletnie się wygłupił – mówi twardo Szurka. Miał kontrolować Pata. To po trzecie. Po czwarte, Pat nie powinien był zaczynać strzelaniny. Bez względu na to, jak obraźliwe wydawałoby się zachowanie gościa. Można by to złożyć na karb wieku, na charakter, ale w Głębi wszyscy jesteśmy równi. Wszedłeś w Deeptown, więc bądź uprzejmy dorosnąć!

Ciekawe, co powie o mnie...

– Po piąte... postępek Leonida jest dla mnie absolutnie niezrozumiały! – kontynuuje Maniak. – Absolutnie! Jesteś przecież, do ciężkiej cholery, nurkiem! Powinieneś być od razu wyjść z Głębi i kontrolować całą sytuację na monitorze. To dałoby nam przewagę czasową w warunkach starcia. Mogłeś zastrzelić go, gdyby sprawa przyjęła poważny obrót...

Koniec. Wszystkie zabawki rozdane.

Spuszczam oczy.

Maniak ma absolutną rację.

Ale przecież nie będę mu wyjaśniał, że Ciemny Nurek nie kłamał. Że naprawdę mam deep psychozę.

Teoretycznie nadal mogę wyjść z Głębi w dowolnym momencie. Natomiast w praktyce... nie chcę tego robić.

Zuko zaczyna podskakiwać na miejscu z wyciągniętą w górę ręką.



– Chcesz wyjść? – pyta Maniak tonem nauczyciela. Pat w kącie chichocze z ulgą.

– Nie, chcę się tylko dowiedzieć, na czym polega moja wina.

– Twoja? – Maniak zastanawia się przez chwilę. – Jeszcze rok temu obiecałeś dopracować swój system rozpoznawczy i system kontroli wejściowej, i dać nam wszystkim, włączając Czyngisa, do przetestowania. Gdybyś to zrobił, nikt nie mógłby przeniknąć do domu.

Oszołomiony Zuko milknie.

– W porządku, Saszka. – Czyngis strząsa popiół z cygara. – Wszystkie błędy są oczywiste. Teraz przejdźmy do wyciągnięcia wniosków z tego godnego pożałowania zajścia.

– Załatwić drania, oto cały wniosek! – Padlina wali pięścią w stolik. Stolik skrzypi, ale wytrzymuje.

– Ma broń drugiego pokolenia – przypomina Pat i pociąga nosem.

– Plus odporność na większość rodzajów broni – dodaje Maniak.

– Ma jakiś swój cel i nie zamierza z nami współpracować – mówi Czyngis.

– No, zwłaszcza teraz. Jeśli moje pociski załatwiły jego komputer tak, jak jego kule mój...

Wszyscy patrzą na mnie, więc dorzucam swoją uwagę:

– Zna Szurkę.

– Tak, pamiętam to zdanie – kiwa głową Maniak. – „A właśnie, witaj, Szurka”...

– Znacie się? – pytam.

– Wszystko wskazuje na to, że on zna mnie. Ale w jakiej postaci, gdzie i kiedy go widziałem, nie mam pojęcia. Niestety.

– Ja powiem, dobra? Ja powiem! – wyrывa się Zuko. – Chłopcy, przecież to widać od razu: ten Ciemny Nurek wie o nas wszystko. Albo prawie wszystko. A my o nim nic! Nie ma się co szarpać, trzeba działać z tym, co mamy. Jak myślicie, co on robi?

– Pójdzie do Świątyni – wzrusza ramionami Maniak.

– To każdy głupi wie... – mamrocze Padlina.

– A gdzie jest jedyne wejście do Świątyni? W Labiryncie Śmierci! – Zuko triumfalnie unosi palec wskazujący.

– I ten nurek już tam jest – kiwa głową Padlina. – Mur-beton! Dam sobie rękę uciąć, że ruszył tam jeszcze wczoraj!

– No to czemu tu siedzimy? – pyta Mag. – Jakby kto pytał, to specjalnie wziąłem trzy dni urlopu, swoją firmę zostawiłem bez szefa, przerzuciłem wszystko na kumpla idiotę, który umie tylko robić miny i mleć ozorem. Ruszajmy do Labiryntu i pomóżmy Leonidowi wejść do Świątyni!

– Pozostaje ostatnia kwestia: kto właściwie ma iść? – mówi Czyngis. – Wszyscy? Ja oczywiście idę.

Przez kilka chwil słyhać tylko trzeszczący w kominku ogień.

– Ja specjalnie wziąłem urlop... – powtarza nieśmiało Zuko.

Padlina wzdycha głośno i zerka na Czyngisa.

– Zauważyłeś, że od rana nie piłem piwa? No... prawie nie piłem.

Maniak tylko się uśmiecha.

– Mój udział jest jakby poza dyskusją – mówię. – Z braku innych nurków...

Pat wstaje, najwyraźniej gotów do długiej i beznadziejnej walki.

– Czyngis, jeśli mnie nie weźmiecie, to nie jesteście moim przyjacielem... nie chcę cię więcej znać!

Wszyscy patrzymy na chłopca, który podejrzanie siąka nosem i ciągnie:

– Jeśli nawet się wczoraj wygłupiłem, to jeszcze nic nie znaczy! Nic a nic! Każdy może się pomylić! A gdyby nie pozwolić ludziom naprawiać błędów, to zostaną nie poprawione, a człowiek, który popełnił błąd, będzie z tym błędem żył i... i... ten błąd...

Zaplątuje się w swojej zapalczywej tyradzie, milknie i po chwili z determinacją krzyczy:

– Czyn, bierzecie mnie czy nie?

Czyngis zdusił w popielniczce cygaro jak zwykły niedopałek.

Wiem, o czym on myśli.

– Jeśli będą mnie często zabijać, to trudno, odczepię się, nie będę was hamował! – woła Pat. – Wróć do domu! Słowo honoru!

Ciągle nie może zrozumieć, że wszystko Się zmieniło. Że nie po każdej śmierci w Głębi będzie mógł wrócić do domu. Że wczoraj byliśmy gotowi go pochować.

– Czin... – w głosie Pata jest beznadziejna rozpacz.

– Nie wrzeszcz jak programista na widok kalkulatora. – Czyngis wstaje. – Oczywiście, że cię weźmiemy. Z nas wszystkich właśnie ty jesteś najbardziej wyedukowany w grach. Co my byśmy bez ciebie...

Mam ochotę bić brawo. Ale nie wypada. Gdy człowiek bierze na siebie odpowiedzialność za drugiego człowieka, nie należy klaskać.

Bo wszyscy zaczną czekać na dźwięki w głuchoj ciszy.

Do łuku z czarnego kamienia podchodzimy tak zgodną grupą, że chyba trudno wziąć nas za komputerowe fantomy.

Rezultat nie każe na siebie długo czekać; zaczynają do nas dołączać inni gracze. Dwóch chłopców, którzy udają pochłoniętych rozmową, nerwowa dziewczyna, wyjątkowo nieurodziwa, jakiś niepozorny typek...

Szczerze mówiąc, nie bardzo mi się to podoba.

Popatrujemy po sobie.

Czyngis kiwa głową.

Trudno, żeby myślał inaczej. Nie mamy zamiaru służyć za taran, który pociągnie za sobą innych graczy.

– Hej, bracia i siostry! – odzywa się głośno Padlina. – Idziemy sami, a wy osobno.

– Labirynt to gra zespołowa – zauważa niepozorny.

– Oczywiście – mówi ugodowo Szurka. – Bez dwóch zdań. Tylko że nasz zespół jest już w komplecie.

Nikt się nie spiera.

Ktoś przyspiesza kroku, ktoś zostaje, ktoś odchodzi na bok.

Niekończąca się rzeka ludzkiego mięsa i krwi płynie na chciwy zew Labiryntu.

– Hej, Strzelcu!

O, to ciekawe.

Rozglądam się.

Oczywiście.

Wczorajsza znajoma, Nike. Nieco zmieniona – teraz jest blondynką i chyba ma większe oczy. Ale twarz pozostaje rozpoznawalna.

– Też postanowiłeś ponowić próbę? – Podchodzi bliżej i z ciekawością patrzy na moich towarzyszy.

– My postanowiliśmy. – Od razu stawiam sprawę jasno.

– O, grupa? I wszyscy są Strzelcami? – Nike uśmiecha się i mruga do Pata.

Dzieciak się nadyma i teraz idzie nienaturalnie wyprężony.

– Oczywiście. A gdzie twoja załoga? – pytam.

Nike się krzywi.

– Odłączyłam się. Był tam taki kulturalny facecik, pamiętasz? Przewaliśmy go Profesorem.

– Ten, co wzywał do gry zespołowej?

– Tak. Oczywiście udało mu się... połączyliśmy się z trzema innymi zespołami. Ale Profesor narzucił takie tempo, że połowa oddziału odpadła. Pozostali przeszli pewnie z dziesięć poziomów. – Nike uśmiecha się, ale jakoś niepewnie.

– A ty?

– Ja utknęłam na czwartym. Pojawiły się takie... takie bestie... Sierżanci prowadzą grupę tylko do czwartego poziomu, pomagają się trochę otrząsać. Potem możesz liczyć tylko na siebie.

Huk portalu zagłusza słowa. Błyskawice uderzają nad głowami.

Patrzę na Czyngisa i na Maniaka. Czyngis wzrusza ramionami, Maniak przygryza wargę.

Wszystko się może zdarzyć.

Możliwe, że w tej postaci Ciemny Nurek zebrał załogę z mocnych zawodników i poszedł prosto do celu.

A może to tylko przypadek.

Idący przed nami Padlina już znika w łuku. Zuko chichocząc skacze do przodu.

Teraz moja kolej.

Purpurowa mgła.

I już znajoma sala.

Zdaje się, że prócz mnie w nowym Labiryncie był już tylko Maniak. Pewnie rusza w stronę pryszniców, rozbierając się po drodze.

– *Oh, mademoiselle!* – Zuko szybko ocenia sytuację i rzuca się do sierżanta Murzynki. – Czy nie mogłaby mi pani umyć pleców? Gąbką?

Niczego innego się nie spodziewałem. Mag, który oberwał pałką po grzbiecie, leci na podłogę. Wstaje obrażony.

– Można było wyjaśnić normalnie – mówi. – Skoro nie ma gąbek, to trudno... A gdzie kultura obsługi?

Nike przechodzi obok niego i zaczyna się rozbierać. Mag natychmiast ustawia się w sąsiedniej kabinie i patrząc na dziewczynę, rozbiera się synchronicznie. Sierżanci z uśmiezkami obserwują ten dziwny striptiz. Nike jest absolutnie obojętna. Pewnie podczas swoich prób widziała niejednego świra.

Za to Pat zaczyna się denerwować. Nie znam miejsc, które odwiedzał w Głębi, ale tutaj nagie kobiety i konieczność rozebrania się samemu wyraźnie go usztywniała.

– Przepraszam, czy to konieczne? – pyta mężczyznę sierżanta półgłosem. Ale akustyka w sali jest nieoczekiwanie doskonała i słowa dochodzą do wszystkich. – Dwie godziny temu brałem prysznic.

Co za głuptas. Jeszcze tylko brakowało, żeby go wzięli za prawdziwe dziecko, a nie za dorosłego, który przybrał postać dziecka, by zwiększyć zwrotność i zminimalizować strefę rażenia! Oficjalnie do Labiryntu można wejść pod warunkiem ukończenia szesnastu lat. To zbyt okrutna i krwawa gra. W praktyce nikt nie sprawdza, czy ta zasada rzeczywiście jest przestrzegana, ale jeśli sam się o to prosisz...

Na szczęście słowa Pata sierżanci odbierają jako dalszy ciąg wygłupów Maga.

– Mamy tu specyficzny prysznic – oznajmia sierżant, znacząco kołysząc pałką. – Żeby żaden mądrała nie przeniósł do Labiryntu niedozwolonej broni, w ubraniu albo na ciele. Zdarzył się precedens...

Maniak na chwilę odwraca głowę, minę ma zatroskaną.

My rozumiemy, o jakim precedensie mówi sierżant.

O przypadku, gdy niejaki Strzelec użył broni – zamaskowanego jako pas wirusa Warlock 9000 – stworzonej przez niejakiego Maniaka.

Pat posłusznie wskakuje do kabinki i zaczyna się rozbierać.

Myjemy się. Stoję z odchyłoną głową, łowiąc ustami pachnącą chemią wodę. Więc o to chodzi. To

nie tylko zwykły prysznic, ale kontrola przeciwwirusowa...

– Hej tam, dosyć tego pluskania się.

Nie mam ochoty oberwać pałką. Idę do kabiny anabiotycznej. W sąsiedniej kładzie się Nike i mruga do mnie, zanim opuszczą jej pokrywę. Do sąsiedniej natychmiast ładuje się Pat.

– Szczęśliwego lotu – rzuca czarnoskóra pani sierżant i opuszcza pokrywę.

Do wanny wlewa się gęsta biała mgła. Uderzenie ładunków elektrycznych.

Ciemność...

Mgła.

Wyciągam ręce. Dziwne... nie ma pokrywy. Ale jest mgła.

Podciągam nogi, siadam w kucki i wstaję.

Co za licho?

Czuję dreszcz.

Zaczynam rozumieć, ale to zbyt nieoczekiwane.

Ciemność. Szare kłęby mgły.

Nie ma kierunków ani odległości.

Jestem tu sam – drżący, nagi człowiek w bezkresnym świecie. Ale z poprzednich snów zbyt dobrze wiem, co muszę zrobić.

Krok...

I oto przede mną zapala się ledwie widoczna biała iskierka, daleki ognek.

Wycieram spoconą twarz.

Jeszcze nigdy te dziwne sny nie przychodziły do mnie w Głębi.

Boże, co mam zrobić? Siedzieć i Czekać, aż mnie obudzą?

A może podjąć kolejną szaloną próbę pokonania mostu?

Czekać? Jakoś nudno...

Znowu mam wrażenie czyjejs obecności. Ktoś idzie obok mnie. Nie widzę go, ale słyszę kroki.

Zatrzymuję się, kroki milkną.

– Hej! – krzyczę. – Może wystarczy tej zabawy?

Cisza.

Szukam rozmówcy we własnym śnie?

Cóż, w końcu przecież wiem, jak się obudzić. Sprawdziłem to... wszystkim, prócz elektroniki, do licha!

Dlaczego nie przeprowadzić kolejnego eksperymentu?

Idę w stronę światła.

Mgła stopniowo jaśnieje. Już jest biała, czysta, jasna, jakby fluorescencyjna.

Przedem wyrastają skały.

Lewa ściana – błękitny lód, prawa – czerwony ogień...

Stoję przed mostem z włosa. Jak łatwo było go przejść wtedy, w Al Kabarze. Tam istniał jako pułapka na nurków... ale tutaj, w moim cyklicznym śnie, nie pomaga stary wierszyk. Znika iluzja –

znika most.

Ciekawe, czego jeszcze nie próbowałem...

Wyobraźmy sobie, że to lina. Lina nad rwącą górską rzeką. A ja jestem zwariowanym starym wagabundą albo nie mniej zwariowanym małoletnim harcerzykiem. Przeprowadzamy się?

Przeprowadzamy!

Siadam w kucki i biorę nić w dłonie. Nie przecina ręki, to dobrze.

Oplatam linę nogami. Zawisam nad pustką i zaczynam pełznąć.

I to wszystko? Takie proste?

Jeśli przejdę ten most, może sny przestaną mnie wreszcie dręczyć?

Pełznę.

Niebywała atrakcja... człowiek na linie... proszę państwa, proszę obstawiać... patrzcie tylko, jak pełźnie po linie...

Jednak to nie jest takie proste.

Niść zaczyna wpijać się w dłonie. Najpierw to po prostu nieprzyjemne, jakbyś niósł zbyt ciężką torbę o zbyt wąskiej rączce.

Cholera...

Palce ślizgają się w mojej własnej krwi.

Psiakrew...

Nie, niść nie staje się cieńsza. Po prostu pełznę zbyt długo. Nie doszedłem nawet do połowy mostu. Nie rozumiałem, że kropla drąży skałę, czas wygląda góry...

A mosty z włosia przecinają zbyt pewne dłonie...

– To nie tak!

Głos jest prawie niesłyszalny – mimo wszystko odpełzłem dość daleko od początku swojej szalonej przeprawy. Nawet gdy odchyliam głowę, nie widzę tego, który krzyczy, próbując mnie ostrzec, a może przestraszyć i przeszkodzić...

– Nie tak!

Kropla krwi odrywa się od nici i spada mi na nos. Po niej druga. Zaciskam zęby i pełznę dalej, już rozumiejąc, że nie wystarczy siła, ale jednak...

Lewa ściana – błękitny lód.

Prawa – czerwony ogień.

Niezmienny wybór...

Ogień działa szybciej.

Szybciej i do końca. – Oстрым szarpnięciem rzucam ciało na prawo i odrywam od nici poranioną rękę.

Niestety, nie mogę powiedzieć, że prawa ściana zabija szybko i czysto.

Zdążam zauważyć, że moje ręce przemieniają się w czarny smrodliwy kopeć.

Ale trzeba przyznać, że nie czuję bólu.

Dzięki choć za to, władco moich snów...

Mgła nade mną rozplywa się. Widzę przebitą pokrywą kabiny anabiotycznej.

Zagryzam wargi. Tak... niespodzianka.

Nie spodziewałem się, że ten sen będzie mnie prześladować również w świecie wirtualnym. Najwidoczniej zgodnie z idiotycznymi zasadami gry leżałem we śnie wystarczająco długo.

Odchylam pokrywę, tym razem nie muszę wyłamywać szkła. Podejrzliwie patrzę na swoje dłonie, jakbym spodziewał się zobaczyć na nich cienkie nacięcia od liny.

Nie ma. To dobrze.

Co tam sny. Są pilniejsze sprawy. I znacznie poważniejsze.

Znajduję trupa, wkładam jego mundur...

Znajomą drogą idę do przebitego poszycia statku.

To, że cały nasz zespół siedzi na trawce i na mnie czeka, wcale mnie nie dziwi. W końcu jestem jedynym nurkiem. Mam służyć jako taran, grot strzały, statek kosmiczny, który wyprowadzi na orbitę wieloczołową raketę...

– Jestem! – wołam, zeskakując.

Padlina uśmiecha się, drapie po głowie, podaje mi pistolet.

– Skąd masz? – dziwię się. Ten, kto został na statku, nie powinien dostać broni.

– Nie gramy tu w bierki – wyjaśnia mętnie Padlina. Logiczne. Cześć bezimiennym bohaterom Labiryntu Śmierci.

– Ktoś poszedł przodem? – pytam.

– Owszem. Dwóch sierżantów, dziewczyna i jeszcze trzech chłopców – oznajmia Maniak.

– Hej, który z was grał w ten wariant Labiryntu?

Pat wyciąga rękę jak na lekcji.

– Ja grałem! Tylko nie tutaj, ale w lokalnej wersji. Tam dalej jest jaskinia z dwoma wieprzami, walczą łapami i wypuszczają rakiety.

– To raczej niedźwiedzie – poprawiam.

– Ja je załatwię – zapowiada Pat. – Znam taktykę!

– Kto jeszcze grał? – Ignoruję jego szczerą propozycję.

Maniak uśmiecha się i bawi pistoletem. Pozostali tylko rozkładają ręce.

– W takim razie idziemy – przejmuję dowodzenie. – Pierwszą parę załatwię ja... niech będzie, że z Patem. Obserwujcie nas z daleka, starając się nie wchodzić pod rakiety. Potem zobaczymy.

Nie ma sprzeciwów, więc idziemy w stronę skał. Nad głowami krążą cholerne ptaki. Już wiem, że na początku poziomu nie zaatakują, ale mimo wszystko od czasu do czasu spoglądam w górę.

Przy wejściu do jaskini zatrzymują się wszyscy prócz mnie i Pata. I co oni stamtąd zobaczą? No nic, trudno, wystarczy, że nie wejdą pod ostrzał.

Ściany są równe, jaskinia przechodzi w tunel. Pat zsunął na kark kolorowy armeński beret, skrada się przodem, od czasu do czasu rzucając mi bystre spojrzenia. Żeby tylko nie chybił...

Ale czeka nas niespodzianka.

Zamiast dwóch potworów – strzępy ciała i kawałki żelastwa na podłodze.

– Oho, tamten zespół przeszedł – mówi rozczarowany Pat i zaraz się ożywia: – Lonia, to super!

Mnie się tak nie wydaje. Chociaż... jeśli tamta połowa załogi statku wytrzyma wystarczająco długo, zaoszczędzimy czas.

Wołamy pozostałych.

Zuko wiwatuje radośnie na widok pokonanych wrogów i musimy mu wyjaśnić, że to nie nasze zwycięstwo.

Idziemy dalej. Apteczek, niestety, nie znajdujemy, trofeum zostało zabrane.

Wychodzimy na pagórkowatą równinę.

– W tych norach też były potwory – mówi podekscytowany Pat. – Strasznie okropne! Z nimi długo się człowiek grzebie...

– Pokażę wam, jak to zrobić szybko – rzuca Maniak. – Ale najpierw ptaszki...

Kręcę głową. Zacząłem patrzeć w niebo, gdy tylko wyszliśmy spod kamiennego sklepienia.

– Nic z tego, Szurka... ptaszki też chyba wybili.

– Dobry zespół – mówi z szacunkiem Czyngis. – Ale w ten sposób nie uda nam się potrenować na łatwych celach, a przecież trudność powinna narastać z każdym poziomem...

Nie umawiając się, przyspieszamy kroku.

Tunel zostaje daleko z tyłu, gdy zaczynają do nas strzelać – z pistoletów takich samych jak nasze.

Na ucieczkę za późno. Ostrzeliwanie się nie ma sensu. Idąca przodem grupa komandosów nie ma zamiaru oczyszczać nam drogi. Ukryli się za leżącymi z boku głazami. Mają idealną pozycję. A my, chociaż leżymy w trawie, jesteśmy jak na dłoni. Padlina klnie półgłosem, pierwszy wystrzał oparzył mu rękę. Mag Komputerowy otwiera szybki, bezsensowny ogień. Szurka wali z całej mocy. Czyngis przyciska do ziemi Pata i też prowadzi ogień krótkimi seriami.

Bez sensu. To zła pozycja.

Mają nas.

A jednak ogień zza głazów powoli cichnie. Po kilku sekundach strzela już tylko jeden człowiek. Potem rozlega się ryk:

– Suuuuka!

Kolejny strzał – nie do nas – i zapada cisza. Patrzymy na siebie kompletnie dezorientowani. Chyba pomoc nadeszła na czas. Cóż, gdyby przyszła za późno, nie byłaby pomocą.

– Ludzie, nie strzelajcie!

Zza głazów wyłania się jakaś postać.

Padlina wydaje triumfalny ryk, zapomniawszy o ranie:

– Co za dziewczyna!

Nike, trzymając pistolet za lufę w opuszczonej ręce, idzie do nas. Maniak wprawdzie mierzy do niej, ale chyba tylko dla zasady.

– To koniec, jestem załatwiony, zakochałem się, kapituluję... mamrocze Zuko, wstając i otrzepując kombinezon.

Patrzę na Nike i uśmiecham się.

Z jakiegoś powodu cholernie się cieszę, że do nas nie strzelała, tylko nam pomogła. A jeszcze bardziej się cieszę, że to nie ją zabili moi kumple, zdobywając dla mnie pistolet.

– Co się stało? – pyta ostro Czyngis.

– To chyba oczywiste? – odpowiada pytaniem Nike.

– Może jednak poproszę o wyjaśnienie – mówi haker znacznie uprzejmiej.



– Zabiliście chłopca, żeby zdobyć pistolet dla swojego towarzysza... – przesyła przelotny uśmiech w moją stronę, macham jej ręką. – Sierzanci wytłumaczyli nam, że to nie fair, i zaproponowali, żeby urządzić na was zasadzkę. Ale...

Milknie, jakby dobierając właściwe słowa. Potem znów zaczyna.

– Ale mnie się wydaje, że to tak samo nie fair. Więc dokonałam wyboru. Zająłam taką pozycję, żeby widzieć całą swoją grupę... swoją poprzednią grupę.

Patrzemy na siebie.

– Taak – przeciąga Zuko.

– Ale sytuacja... – zgadza się Padlina. – Co wy na to, chłopcy?

Maniak opuszcza pistolet.

– Wszyscy byśmy tu polegli. Zdjęlibyśmy jednego czy dwóch i sami zginęli.

– Bieriecie mnie do zespołu? – pyta wprost Nike.

I nagle spojrzenia towarzyszy mówią mi, kto ma dokonać wyboru.

Ja i Czyngis.

Takie buty...

Nie musimy odchodzić, żeby się naradzić. Patrzemy na siebie, obaj doskonale rozumiejąc, że czyn Nike może nie być przypadkowy.

Ciemny Nurek nie ma obowiązku przybierania męskich ciał.

A co może być dla niego zabawniejsze, niż dołączyć do naszego zespołu i razem z nami przejść cały Labirynt? Jestem pewien, że to żart w jego stylu...

Demonstracyjnym gestem wsuwam pistolet do kabury.

– Żebyśmy nie musieli tego żałować – mówi niejasno Czyngis. – Dziewczyno...

– Nike – Nike... nasza załoga jest nieco specyficzna. Chcemy przejść Labirynt jak najszybciej. Jeśli będzie trzeba, pójdziemy dwadzieścia cztery godziny na dobę, kilka dni z rzędu. Jesteśmy gotowi na absolutnie niesportowe metody. Nie przeraża cię to?

– Jestem absolutnie wolnym człowiekiem – mówi Nike.

To zdanie mógłby wygłosić równie dobrze mężczyzna, jak i kobieta. Teraz będziemy musieli wsłuchiwać się w jej wypowiedzi, wyłapywać nieuniknione wpadki...

– Ryzykujesz? – pyta Czyngis.

– Oczywiście. Chcę, żeby mnie przyjęli do pracy w Labiryncie. Jako sierżanta. – Nike uśmiecha się. – To niezła i całkiem dobrze płatna praca. Ale biorą tylko tych, którzy się wyróżnili w przejściu obecnej wersji Labiryntu.

– Pamiętaj, że nie będziemy na ciebie czekać, jeśli coś się stanie... – słowa Czyngisa wywołują niezadowolenie Padliny.

– To sprawiedliwe – przyznaje Nike. – Nie będę mieć żadnych pretensji.

– Poza tym brak kobiety w naszej drużynie byłby przejawem dyskryminacji płci, zwykłego seksizmu... – dodaje Maniak.

Patrzę na niego pewny, że zobaczę uśmiech. Ale Maniak jest absolutnie poważny. Co ta Ameryka robi z ludźmi!

Oczyszczanie terenu...

Maniak kopniakiem otwiera drzwi byle jakiej drewnianej chaty. Natychmiast odskakuje na bok, a na miejsce, w którym przed chwilą stał, z cichym świstem sypią się cienkie białe igły.

Pistolet w rękach Szurki drga, nasilając ładunek.

Znowu rzuca się do drzwi – strzela, odskakuje, przepuszczając kolejną serię igieł, wpada do chaty. Widzę, że strzela gdzieś w górę, w sufit, długą serią.

Zaraz na ziemię pacnęło coś ciężkiego i miękkiego.

Potwór wisiał przyczepiony do sufitu; bukłak z trąbą plującą igłami.

– Kto nigdy takich nie zabijał? – pyta Maniak. – Czyngis, Padlina, Lonia, sprawdźcie pozostałe chaty.

Dzień zaczyna się pomyślnie. Każdy z nas zabija jednego stwora. Nikt nie jest ranny.

– Coś za łatwo idzie – wypowiadam ogólną opinię. – Gdy wszedłem do tego Labiryntu po raz pierwszy, wydawało mi się, że będzie znacznie trudniej niż w dawnej grze...

– Będzie – wyjaśnia Maniak. – Pierwsze pięć poziomów to etap wprowadzenia. Są dość trwałe, zmieniają się powoli i w niewielkim stopniu. Walczysz przede wszystkim z potworami-programami... najwyżej gracze mogą postrzelać do siebie.

– A dalej?

W oczach Szurki pojawia się lekkie zdumienie.

– O Broń Swojego Domu słyszałeś?

– To jakaś gra konkurująca z Labiryntem, tak?

Maniak prychnie i zerka na Pata, który znalazł w jednej z chat automat i radośnie dopasowuje kolbę do swojej ręki.

– Konkurująca! Jeśli można powiedzieć, że nogi konkurują z rękami ... To alternatywny wariant gry.

Zaczynam rozumieć.

– Na stronie potworów?

– Oczywiście. Czym różni się stary Labirynt Śmierci? Tam prawdziwie rozumni byli tylko ludzie. Dlatego najbardziej interesujące walki odbywały się z ludźmi, a nie z potworami. Teraz masz szansę stanąć po stronie obcych. Obronić swój dom, swoją planetę przed ludzkim desantem. Nie czytałeś prospektów reklamowych?

– Przecież wiesz, że od dawna się w to nie bawię...

– Ja też, ale staram się być na bieżąco. To przecież otwarta informacja, Lonia! Teraz niemal wszystkie gry wywodzą się od Labiryntu Śmierci! Możesz pójść do Gwiezdnego Patrolu i stać się pilotem myśliwca osłaniającego desant, walczyć z potworami w kosmosie. Zarówno po naszej, jak po ich stronie. Możesz wyruszyć do Gwiazdy i Planety, zacząć służbę w sztabie kosmicznych sił ziemi...

A to dopiero...

Przez kilka chwil przetrawiam jego słowa. Spodziewałem się, że Labirynt, tak jak poprzednio, sprowadza się do pojedynków z potężnymi, ale tępowymi potworami... niechby nawet niezbyt tępymi, ale przewidywalnymi; do krwawych walk z innymi graczami dorównującymi ci pod względem siły.

Ale jeśli teraz wszystko wygląda inaczej...

Jeśli w pancernym ciele potwora uzbrojonego w samonaprowadzające rakiety będzie tkwił człowiek? Zdolny przyciąć się, poczekać na odpowiedni moment, zareagować niestandardowo, zamiast bezmyślnie rzucić się do walki?

Jeśli latające bydlę z zębami jak piły nie spadnie z nieba, tylko zaczai się w krzakach i chapnie cię za nogę?

Wiele rzeczy może wymyślić człowiek siedzący w nieludzkim ciele.

– Idziemy? – przerywa milczenie Nike. – Wiem, gdzie jest wyjście z poziomu.

Spojrzeniem wskazuję Maniakowi automat w rękach Pata. Szurka kręci głową i mówi półgłosem:

– Niech się bawi. My na razie popracujemy pistoletami.

Po południu dochodzimy do końca czwartego poziomu. Idzie nam nieźle i obywamy się bez strat, tylko na trzecim omal nie tracimy Zuko... zresztą z jego winy. Mag postanawia zademonstrować nam swoją wirtuozerię w walce z muchami. Muchy przypominają ważki wielkości sporego gołębia. Dwie Mag rzeczywiście załatwia pokazowo, ale trzecia zachodzi go od tyłu i wpija się w kark. Wygląda to raczej zabawnie niż strasznie i dopiero po chwili uświadamiamy sobie, że dzikie wycie i podskoki Maga to nie zwykła błazenada, tylko agonía. Zastrzelić muchy już się nie da, niemal na pewno postrzelilibyśmy przyjaciela. Sytuację ratuje Pat – podskakuje do Maga i wali owada kolbą swojego automatu.

Okazuje się, że muchę można załatwić bez trudu, najważniejsze, żeby trafić.

Półżywego, jęczącego Maga musimy nieść na plecach do końca poziomu, gdzie udaje się nam znaleźć apteczkę.

– Komar mnie załatwił – mamrocze Zuko, dochodząc do siebie i odzyskując dar mowy. – Ledwie się ruszam! Co za draństwo! Chłopcy, następnym razem zastrzelcie mnie, nie chcę się tak męczyć!

Nam nie jest do śmiechu.

– Szósta godzina – mówi Czyngis, patrząc na zegarek – Tak... słuchajcie, w Labiryncie jest sto poziomów. Jeśli pierwsze trzy przeszliśmy w ciągu sześciu godzin... dwie godziny na poziom...

– Dwieście godzin! – oznajmia radośnie Pat.

– Prawie osiem dób – marszczy brwi Czyngis. – Ale przecież musimy spać, jeść, odpoczywać, chodzić do toalety... czasem nawet myśleć. Doliczamy dwa dni. Dziesięć.

– Jeszcze nie straciliśmy nikogo z załogi – dorzuca Maniak. – A przecież w takim wypadku będziemy musieli albo porzucić swojego, albo wracać do początku poziomu i zaczynać go od nowa...

– Trudności będą narastać – poważnieje Zuko. – Na razie walczymy tylko z robotami. Potem zaczną się pojedynki z konkurentami... i ludźmi w postaci potworów.

– Za to będziemy bardziej doświadczeni – sprzeciwia się Padlina. – Może nie?

– Doświadczeni i zmęczeni – zauważa Nike.

Mądra dziewczyna...

Siadam obok niej i wyciągam z kieszeni rację żywnościową znaną z rozbitym samochodzie... może zostawionego jako część krajobrazu, a może ktoś rzeczywiście próbował przejść Labirynt w miniaturowym czołgu.

W milczeniu dzielimy prowiant.

I nagle przyłapuję się na tym, że nie zaproponowałem jedzenia nikomu innemu. Ani Czyngisowi, ani Padlinie, ani Szurce, ani Zuko...

To jedzenie nie istnieje naprawdę! Jest narysowane! Po trzecim poziomie możemy wyjść z Głębi, zjeść coś prawdziwego, odpocząć. Śmierć z głodu i wyczerpania nam nie grozi.

Ale mimo to rozporządziłem się swoim znaleziskiem tak, jakbyśmy rzeczywiście robili zwiad na obcym terenie. Podzieliłem się z dziewczyną, którą polubiłem...

W milczeniu podaję swoją połowę brykietu Patowi.

– Chcesz? – pyta chłopiec Czyngisa.

Czyngis kręci głową i mały wgrzyza się w brykiety, nie pytając już nikogo. No właśnie. Labirynt zmusza nas, żebyśmy traktowali sytuację z powagą.

– Kwestia jedzenia wkrótce wyjdzie z całą ostrością – mówi Padlina i przechodzi do swojego drugiego wcielenia: – A żreć się chce, jasna cholera!

– Sierzanci mówili, że tu można polować – zauważyła Nike. – Część miejscowych zwierząt i roślin jest umownie jadalna. Na samych racjach długo nie pociągniemy, trafiają się bardzo rzadko.

– Przerwa na obiad... a raczej kolację – postanawia Czyngis. – Teraz wejdziemy na czwarty poziom, zapiszemy się i wracamy...

Milknie, zastanawiając się nad czymś.

– Koniec poziomu jest za tą rzeczką – pokazuje Nike. – I co dalej? Dziesięć minut na dojscie do domu... przynajmniej ja. Potem wyjście z Głębi, kwadrans, żeby coś przełknąć, kolejne dziesięć na drogę powrotną. Pięć na zbiórkę.

– Tracimy czterdzieści minut – podsumowuje Maniak. – Za małe tempo. Musimy na nowo przywykać do tego świata...

Czyngis w milczeniu patrzy na zegarek.

– Teraz jest szósta czasu moskiewskiego. Idziemy jeszcze sześć godzin. Znajdziemy jedzenie, to zjemy. Nie znajdziemy, zaciskamy pasa. Są sprzeczni?

Nie ma. Tylko Nike pyta:

– Chłopcy, dlaczego tak gonicie? Idziecie na rekord?

Milczenie.

– Na rekord idzie się po uprzednim intensywnym treningu rozmyśla na głos Nike. – A większość z was jest w Labiryncie po raz pierwszy...

– Nike... – rozumiem, że muszę się włączyć, zanim ciekawość zawiedzie ją zbyt daleko. – Pomogłaś nam. Przyjęliśmy cię do zespołu, prawda?

Dziewczyna kiwa głową.

– Jeśli wystarcza ci siła, to chodź z nami. Będzie nam bardzo miło. I pomożemy ci, jeśli zdołamy... ale przyczyny, dla których tu przyszliśmy, ciebie nie dotyczą.

– W takim razie podajcie choćby ogólny cel swojej wycieczki – mówi nieoczekiwanie ostro Nike. – Wszyscy bardzo mi się podobacie, ale nie mogę iść z drużyną, której zachowania nie rozumiem. Może całe wasze zadanie polega na tym, żeby dopaść jakiegoś krzywdziciela, rozprawić się z nim, a potem *adios*? A ja co, mam się potem włączyć sama?

– Dobrze – decyduje się Czyngis. – Ogólny powód naszego zachowania możemy ci podać.

Chcemy, żeby Strzelec – kiwnięcie głową w moją stronę – jak najszybciej dotarł do ostatniego poziomu Labiryntu.

– Właśnie Strzelec? – Nike patrzy na mnie z ciekawością.

– Tak. Postaramy się zachować pełny skład oddziału, jak długo się da, ale tylko dla ułatwienia głównego zadania. Dlatego przez cały czas będziemy utrzymywać równowagę pomiędzy szybkością a ogólną bojową siłą grupy. Niewykluczone, że na ostatnim poziomie labiryntu porzucimy tych, którzy zostaną.

– Jasne – zgadza się Nike. – Prędkość eskadry równa się prędkości najwolniejszego statku, ale tylko do chwili, gdy za eskadrą zaczną płynąć łodzie podwodne... Czyngis, a jeśli naszą grupę będzie hamował właśnie Strzelec? Na razie nie robi – wybacź, Leonid – szczególnego wrażenia.

Fioletowe niebo... krążące ptaki... Doczekałeś się, Strzelcu. Ale kto wiedział, że od twojej umiejętności grania w wirtualne gry będzie zależeć ludzkie życie? Życie tysięcy ludzi?

– Podąłem ci zasadniczy motyw naszego pochodu – odpowiada spokojnie Czyngis. – W takim wypadku, posługując się twoją analogią, szybsze statki nadstawiają burty torpedom.

– Szalenie interesujące – mówi Nike. – Ale nie będę o nic pytać. To wasza gra, chłopcy.

– Gotowość do nadstawienia burty musi dotyczyć również ciebie. – Głos Czyngisa staje się coraz twardszy. – Czy to jasne?

Dziewczyna patrzy na mnie.

– Tak jest. Ciekawa jestem bardzo, czym załadowana jest ta powolna łajba, ale nie będę pytać...

Gdyby się nie uśmiechała, obraziłbym się.

Ale też się uśmiecham.

Wstaję i poprawiam kurtkę. Nie znaleźliśmy jeszcze ani jednej kamizelki kuloodpornej... przykre.

Idę do strumyka. Koniec poziomu?

A więc przestajemy grać.

Zaczynamy żyć.

# Część trzecia

## Most

Piąty poziom Labiryntu Śmierci jest jak dział wodny. To granica pomiędzy programowymi a prawdziwymi potworami.

Labirynt nie ma konkretnych granic przestrzennych. Można zejść z głównej drogi, po której porusza się nasz oddział, próbować ominąć niebezpieczne miejsca, skrócić drogę. Nie zdziwiłbym się, gdyby w interesie gry stworzono w Labiryncie model całej planety. Ale to ślepa uliczka – wcześniej czy później gracze będą chcieli się zapisać, zarejestrować swoje położenie w grze przed wyjściem... a komputera na drodze nie będzie.

I trzeba będzie zacząć cały poziom od początku. :

Obracam w rękę ciężki sześciolufowy miotacz rakiet. Coś w tym jest... jakaś dziwna myśl zaczyna pojawiać się w świadomości. Upływa dziesiąta godzina gry, kończymy piąty poziom... szybciej się nie da.

Więc to musi być osiem dni?

Nie mamy tyle czasu. Tego jestem pewien.

Przemy do przodu skutecznie i szybko. Ale to nie pomoże. Istnieją naturalne ograniczenia – pięć kilometrów na godzinę, jeśli idziesz szybkim krokiem, piętnaście, jeśli biegniesz truchtem. Ale po Labiryncie nie można cały czas biec, trzeba się ostrzeliwać, uciekać, szukać broni i amunicji... co najmniej godzina na poziom.

– Leonid! – dogania mnie Padlina i podejrzliwie zagląda w oczy. – Wszystko w porządku?

– Tak.

– Saszka mówi, że pod koniec piątego poziomu tradycyjnie urządza się postój. Podobno jest zwyczaj, że tam się nie strzela.

– No i co?

– Jeśli trafimy na jakąś grupę, wypada z nimi posiedzieć. Rzucam spojrzenie na wskaźnik miotacza rakiet.

Siedem pocisków. Pięknie. Cała salwa i jeszcze jedna rakietka na ostatek...

– Mówisz, że taki jest zwyczaj... jasne.

Idziemy wąskim wąwozem. Gdzieś widać ślady niedawnej walki – rozbite raketami kamienie, czarna ziemia, spalone drzewa.

Raz wyskakuje na nas potwór. Już takiego widzieliśmy – bardzo ruchliwy, wyższy od człowieka, poruszający się na dwóch łapach gad. Bestia z daleka strzela z dwóch potężnych laserowych armat, z bliska rzuca się do walki wręcz, zręcznie posługując się pazurzystymi łapami i zwinnym ogonem. Gdyby przyszło mi walczyć z nim w pojedynkę, chyba bym się załamał.

Ale jest nas siedmioro.

Stwór zdąży wystrzelić tylko raz – i zdycha od kul czterech pistoletów, automatu i dziwnego lasera, który znalazła Nike. Laser wali eksplozjami błękitnego płomienia rozpływającego się po celu.

Ja nie strzelam.

Zerkają na mnie, ale o nic nie pytają.

Wyjście z wąwozu zawałone jest głazami ozdobionymi graffiti. Trafiają się banalne napisy w stylu: „Maks i Lisy tu byli”. Dzieła nieznanymi nastolatków; długie cytaty z Szekspira, Dantego i

Eluarda; jakieś zakodowane wiadomości, widocznie przeznaczone dla towarzyszy, którzy zostali z tyłu. Nad całą tą twórczością góruje ogromny napis wytopiony w skałach. Jak długo musiał pracować nad nim nieznany autor?

Zawieszenie broni!!!

Szurka wsuwa pistolet do kabury i wdrapuje się po kamieniach na górę. Pat z westchnieniem zarzuca na ramię swój bezsensowny automat.

Postępuję tak samo ze swoim miotaczem rakiet. Tylko mnie powierzono najpotężniejszą broń znalezioną przez grupę. Jeszcze z niego nie strzelałem.

Wspinamy się wszyscy Oto i wyjście z poziomu.

Okolice jest tak cicha i spokojna, że całe nasze uzbrojenie zaczyna wydawać się zbędnym ciężarem.

Brzeg lasu. Jezioro. Aksamitna ciemnozielona trawa... płonące ognisko.

Siedmioro przy ognisku.

– W końcu kogoś dogoniliśmy – komentuje Mag. – Wreszcie coś zjemy, pogadamy...

Schodzimy. Stanowimy piękne cele, ale zasada zawieszenia broni jest tu naprawdę przestrzegana. Nawet machają do nas rękami, zapraszając do ogniska.

Grupa sprawia sympatyczne wrażenie. Trzech młodych mężczyzn; mocni, dobrze zbudowani – wydaje mi się, że wyglądają tak nie tylko w Głębi. Dwie dziewczyny, sympatyczne i niebanalne, jedna wygląda na Europejkę, druga to Chinka. Chłopiec trochę starszy od Pata i kościsty mężczyzna w podeszłym wieku, chyba dowódca oddziału.

– Uszanujecie pokój? – pyta staruszek. Jego głos rozlega się z opóźnieniem, pewnie nie jest Rosjaninem i porozumiewa się przez program tłumaczący.

– Uszanujemy – odpowiada Maniak. – Jak długo już idziecie?

– Dwadzieścia godzin samego marszu – odpowiada ochoczo któryś z mężczyzn.

Nie wyglądają na niedoświadczonych nowicjuszy, to znaczy, że zajęli się przede wszystkim zbieraniem broni, a nie galopem przez poziomy. Niemal wszyscy są w kamizelkach i bardzo dobrze uzbrojeni. Mają automaty i pistolety, dwa lasery, takie jak ma Nike, trzy miotacze rakiet, jeszcze jakąś nieznaną sztukę...

– A my dziesięć – oznajmia radośnie Mag. Poblążliwe uśmiechy.

– Właśnie widać – mówi spokojnie starzec. – Siadajcie... Robią nam miejsce przy ognisku. Siadamy. Następuje krótka niezręczna cisza... Dobrze, że jest z nami Mag Komputerowy!

– Słuchajcie, ludzie, czy ktoś z was ma wytrych do Visual Bords? – pyta.

„Ludzie” patrzą po sobie.

– Jak sam znajdziesz, to powiedz – oznajmia któreś z nich. Jeszcze nikt nie złamał ochrony.

Mag jest szczerze uradowany. Na pewno korci go, żeby powiedzieć, że to właśnie on jest autorem tego programu... słynnego nie tylko z wygody w użyciu, ale i patologicznej odporności na włam. Ale tłumaczy swój poryw. Rozmowa szybko nabiera światowego charakteru: kto, gdzie i jak się włamał, Jcogo i na czym udało się przyłapać, kto się wywinął, a kto teraz siedzi za kratkami...

Dziesięć minut później pomiędzy nami nawiązuje się nić sympatii. Nudzę się tylko ja i chyba Nike. Dla nas te profesjonalne pogawranki są zbyt przemądrzałe.

Zresztą wkrótce rozmowa powraca do Labiryntu Śmierci i taktyki przechodzenia go. Lody



nieufności zostały przełamane.

– Niepotrzebnie tak pędzicie – mówi Chinka. Leży na trawie z głową na kolanach jednego z chłopaków. – Pierwsze pięć etapów trzeba wykorzystać na skompletowanie uzbrojenia. Szukać, szukać, szukać...

– Musimy przejść Labirynt jak najszybciej – mówi sucho Czyngis.

– Po dwie godziny na poziom? – uśmiecha się Chinka.

– Albo jeszcze mniej – odpowiada uprzejmie Czyngis.

– Szybciej się nie da. To teoretycznie możliwa granica.

No proszę.

Patrzemy na siebie. Chyba takiej informacji nikt z nas nie miał.

– Możecie nam wierzyć – włącza się do rozmowy starzec. Sprawdzone, udowodnione, wyliczone. A jednak nierealne. My idziemy na rekord. Cztery godziny na poziom. Czteryście godzin.

– Za długo – kręci głową Czyngis.

Starzec uśmiecha się i nic nie mówi.

– Taki nasz los – wzdycha Padlina. Kładzie się na trawie i krzywi, urażając bolącą rękę. Wszystkie nasze apteczki poszły na Maga, któremu groziła śmierć. Nie było czasu na głupstwa.

– Weź – starzec podaje Padlinie apteczkę.

– Nie odmówię. – Haker z uśmiechem przykłada do ręki biały plastikowy sześcian. – Dziękuję... nie spodziewałem się.

– Nie ma za co. Mamy zapas.

Oto przewaga planowego przejścia Labiryntu. Jaka szkoda, że my tak nie możemy...

– Czas na nas – mówię.

Pierwsza z westchnieniem wstaje Nike. Po niej pozostali.

– Wybaczcie – mówię do nowych znajomych. – Spieszmy się.

Nie ma sprzeciwów. Chinka się uśmiecha, drugiej dziewczynie jest zupełnie wszystko jedno. Mężczyznom i chłopcu również. Starzec ... ciekawe, ile on ma naprawdę lat... starzec jest lekko rozczarowany.

– Powodzenia.

Nasi już ruszają. Bez pożegnania, nie spierając się ze mną. Chyba nie są zachwyceni moją decyzją, ale nikt nie protestuje.

Podaję starcowi prawą rękę. Mocny uścisk.

Lewą tymczasem naciskam spust miotacza rakiet. Miękkie cmokanie wchodzących do lufy rakiet jest prawie niesłyszalne.

Najważniejsze nie puścić guzika zbyt wcześnie ani zbyt późno. Wystrzał nastąpi, gdy tylko zdejmę palec z przycisku albo po tym, jak załaduje się szósta lufa...

– Wam również – mówię, cofając rękę.

Odwracam się i biegnę za swoim zespołem. Moja ręka na kolbie miotacza rakiet wygląda całkiem naturalnie – człowiek podtrzymuje broń...

Cmok...

Trzeci czy czwarty wszedł w lufę? Cmok...

Zatrzymuję się, zrzucając miotacz rakiet z ramienia. Rzucam okiem na moniterek.

Płonie cyfra pięć.

Cmok...

Niestety, dociera do nich, co się dzieje. Ktoś sięga po broń, ktoś próbuje się zerwać... wargi starca poruszają się, na jego twarzy widać oszołomienie... może Chce mi przypomnieć o zawieszeniu broni?

Mierzę w środek grupy, nieco w lewo.

Szósty pocisk wchodzi w lufę. Miotacz szarpie się, wypluwając ogniisty wachlarz. Od sześciu rakiet, które wystartowały jednocześnie, odrzut jest wystarczająco silny – rzuca mnie na ziemię. Z otworów luf wałą strumienie rozpalonego gazu.

W miejscu, w którym jeszcze przed chwilą spokojnie odpoczywali nasi konkurenci, widać czarny pas dymu. Ziemia jest zryta, jakby przejechał po niej buldożer. Z trudem można dostrzec sześć lejów.

Całkiem niezłe trafienie.

Męską część zespołu zabiło na miejscu, z małolata chyba w ogóle nic nie zostało. Tylko Chinka jeszcze żyje i wyciąga rękę do kabury; zachowała jakieś żalosne procenty życia.

Akurat na jeden strzał z pistoletu. Nie mam zamiaru tracić kolejnej rakiety. Dziewczyna przestaje sięgać do pistoletu, zamiera.

– Zgłupiałeś?! – ryczy Padlina.

Pat zastygł z otwartymi ustami. Czyngis jest zamyślony.

Maniak mija mnie z ponurą miną. Przykuca nad jednym z lejów, wyciąga stamtąd nieuszkodzony laser. Tak powinno być, o to walczyliśmy... ciekawe, ile ocalało kamizelek? Po śmierci właściciela zachowuje się ich mniej więcej pięćdziesiąt procent.

– Lonia, to... – Mag traci całą swoją wesołość. – No, przecież tak nie można!

– Nie będą nas gonić. Mają inną taktykę.

– Lonia, przecież mamy zawieszenie broni! – powtarza Mag z wyrzutem. – Tak nie wolno!

Trafia mnie szlag.

– Zawieszenie broni? Nie wolno? Czy my jesteśmy w piaskownicy? Chłopcy, pamiętajcie, w imię czego to wszystko zorganizowaliśmy...

Zauważam czujne spojrzenie Nike i milknę.

Obcy człowiek w zespole mimo wszystko przeszkadza.

Ale oni mnie rozumieją. Mag z westchnieniem rozkłada ręce i też wchodzi do jednego z lejów. Zbieramy trofea.

– Jeśli chcesz, możesz odejść – mówię do Nike. – Nie będę do ciebie strzelał. Przysięgam.

Może nie wierzy mi na słowo...

– Teraz to już na pewno nie odejdę. Nadzwyczaj mnie zainteresowaliście.

Minutę później w dymiących lejach grzebią już wszyscy. Prócz Czyngisa.

– Sądziłem, że współcześni biznesmeni są bardziej elastyczni – mówię.

– Nie o to chodzi... – Czyngis krzywi się z irytacją. – Zastanawiam się, czy jeśli poczekamy na następną grupę, to dodatkowe wyposażenie zrekompensuje stratę czasu?

– Sądzę, że nie.

– Chyba masz rację – zgadza się haker.

– Hura! – Pat wyskakuje z leja, potrząsając kamizelką. – Mój rozmiar! Teraz sobie powalczymy!

Za to właśnie lubię dzieci – za bezpośredniość. Zeskakuję na dół i sam zaczynam wykopki.

Kamizelka, niestety rozerwana na strzępy. Miotacz rakiet bez pocisków... pech...

– Leonid – mówi ostrzegawczo Padlina.

Odwracam się, ujmując wygodniej miotacz rakiet. Tylko jeden pocisk... ale zawsze coś.

Aha, strata czasu!

Z lasu wychodzą trzy postacie – wysoki chłopiec i dwie dziewczyny, nastolatki. Chłopak wygląda normalnie, ale dziewczyny mają zbyt wielkie oczy, długie, ostro zakończone uszy, spod hełmów wysuwają się lśniące złote włosy.

Zresztą to nieważne... liczy się fakt, że cała trójka uzbrojona jest w miotacze rakiet i trzyma je w pogotowiu.

– A mówiono, że tu jest zawieszenie broni – mówi z wyrzutem chłopak.

Przez kilka sekund nasze grupy przyglądają się sobie badawczo. Zaczynanie strzelaniny to kolektywne samobójstwo.

– Kim jesteś? – pyta Czyngis.

– Przyjacielem elfów – mówi chłopak, zerkając na swoje towarzyski. No proszę, wcześniej miłośnicy fantasy nigdy nie zaglądali do Labiryntu.

– Tak się złożyło, że bardzo potrzebujemy broni – mówi szczerze Czyngis.

– Każdy tu potrzebuje broni – zgadza się chłopiec. – Broni, pancerzy, pocisków...

Widzę kątem oka, że Padlina sięga po pistolet, i szybko kręć głową. To nie pomoże. Wdepnęliśmy.

– To już wiemy – ciągnie niewzruszenie Czyngis. – W sprawie punktu pierwszego doszliśmy do porozumienia. Proponuję przejść do drugiego. Sprzedacie trochę pocisków?

– Że co? – Chłopak jest kompletnie zbity z tropu, elfki rozglądają się zaskoczone.

– Kupię część waszego uzbrojenia. Za prawdziwe, realne pieniądze. Dziesięć dolarów za raketę. Sto za miotacz.

To obłąd. Czegoś takiego jeszcze w historii Labiryntu nie było – kupować narysowaną broń za prawdziwe pieniądze.

– Jesteś wariatem? – pyta z ciekawością przyjaciel elfek.

– Nie. Biznesmenem.

– Zwariowanym biznesmenem... Dobrze, rakiet piętnaście dolców. Miotacz dwieście.

– Prawdziwe można taniej kupić! – oburza się Padlina.

– I użyć go tutaj? – pyta chłopak.

– Zgoda – mówi szybko Czyngis. – Jeden miotacz i dwadzieścia pocisków. Wychodzimy z Labiryntu, przelewam pieniądze na twoje konto, wracamy i rozchodzimy się zadowoleni.

Wygląda na to, że Padlina i Pat bardziej przeżywają rozrzutność Czyngisa niż on sam. Ale nie próbują się kłócić. Maniak tylko łapie się za głowę, siada na brzegu leja i odwraca się, nie mając siły patrzeć na to, co się dzieje.

Za to właśnie lubię naszych biznesmenów – za pomysłowość.



To, że pora kończyć, zrozumieliśmy na dziewiątym poziomie. Chociaż najtrudniejszy był chyba siódmy. Tam po raz pierwszy zabili Maniaka, któremu do tej pory wiodło się, jakby miał amulet; tam przeciwko nam przeprowadziło pięknie skoordynowany atak około pięćdziesięciu potworów wszelkiego rodzaju, włączając podziemnego robala, który z jednakową łatwością zeżarł Padlinę, jego kupiony za dwie setki miotacz oraz granitowy głaz, za którym Padlina chował się przed nawałnicą ognia potworów.

Ale mieliśmy jeszcze zapał. Odbiliśmy atak. Poczekaliśmy na Maniaka, który przybiegł zły jak diabli i uzbrojony jedynie w automat, którego pochodzenia długo nie chciał zdradzić. Wróciliśmy po Padlinę i zastaliśmy go wciśniętego w jakąś szczelinę, rozpaczliwie strzelającego w kierunku trzech przypominających ślimaki stworów, które wypełzły z wody. A przecież kiedy przechodziliśmy tędy całą grupą, nawet nie próbowały się wysunąć...

Ósmy poziom okazał się łatwy. Bagna. Doskonała widoczność. Przypomniałem sobie Stalkera i zacząłem sypać przed siebie rakiety.

Rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania. Trupy potworów wypłynęły na powierzchnię bagna tworząc wyszukany wzór. Stwory, które zaczęły się dalej, rzuciły się do ataku – zakończonego co prawda fiaskiem, ale efektownego.

Ale dziewiąty poziom nas załatwił.

W sumie nic szczególnego. Niezbyt wysokie góry. Kamieniołomy, po których niezgrabnie uwijały się dziwaczne maszyny, drobiąc i łykając kamienie. Jakieś budowle, pozostałości starodawnej świątyni, Kilka czołgów... kto się w nich chował, nie dowiedzieliśmy się nigdy. Czołgi zaczęły płonąć dopiero po dziesiątym trafieniu rakieta, ale za to paliły się ślicznie.

Po prostu było ich za dużo.

Przeszliśmy kamieniołom po trzeciej próbie.

Ale straciliśmy całe wyposażenie.

To, co udało się znaleźć pośród ruin, w żaden sposób nie mogłoby wystarczyć dla naszej małej armii.

Ja miałem miotacz rakiet z pięcioma pociskami, Nike coś w rodzaju karabinu maszynowego załadowanego błękitnymi igłami. Maniak miał automat.

Pozostali tylko pistolety.

I oczywiście żadnego pancerza...

Wyszliśmy na dziesiąty poziom przez długi, pusty, bezpieczny i nieprawdopodobnie nudny tunel przebity ze świątyni. Tunel biegł przez wnętrze góry.

Komputer, przy którym można się było zapisać, stał na szczycie. Zatopiony w kamieniu, widać tylko ekran i klawiaturę.

Nie ma co deliberować. Osiemnaście godzin i ani minuty snu. Osiemnaście godzin na nogach.

– Zbiórka o dziesiątej rano czasu moskiewskiego przy portalu – ogłasza Czyngis. Nikt nie protestuje. Popycha Pata do klawiatury, ten słabo wystukuje hasło, naprowadza kursor na wyjście i znika. Czyngis wychodzi za nim.

– Ładnie się zabawiliśmy, co? – mówi Zuko ze sztucznym optymizmem. Poziom jego radości życia znacznie się obniżył.

– Straciliśmy formę – burczy Maniak. – Dobra, nie przeciągaj...

Zuko rozkłada ręce i znika.

Za nim odchodzi Maniak.

Padlina w zadumie ogląda teren. Ładnie tu. Projektanci Labiryntu nieźle się napracowali. Łagodne zbocze, skrzący się w promieniach zachodzącego słońca śnieg. Na błękitnym niebie bladofioletowe obłoki. Stoimy na grzbiecie górskiego szczytu, który mamy pokonać. Musimy wyjść przy tamtych jeziorach, które są granatowym kleksem w dole, przejść przez lasy, pokonać morze... co jeszcze wymyślili twórcy gry? Fabryki, wulkany, kosmodromy, pola? Gdzieś na końcu drogi leży miasto, gdzie na graczy czeka zły Imperator...

– Lonia, to jest niemożliwe – mówi Padlina. – Nie chodzi nawet o zręczność. Tu praktycznie nie ma prawdziwych walk, żadnych porządných pojedynków... Ty z cekaemem, ja z piłą elektryczną i kto kogo przechytrzy... Leonid, my nie walczymy z innymi graczami, nieważne, w jakim ciele się znajdują, ludzkim czy wielkiego ślimaka. Walczymy ze światem. Ze światem Labiryntu, światem wewnątrz Deeptown. Walczymy z czasem, z odległością... rany boskie, przecież sam to rozumiesz! Jutro o dziesiątej.

Kładzie ręce na klawiaturze i zostajemy z Nike sami.

– Strzelcu...

Patrzę na dziewczynę.

– Powiedz, czy tamten Strzelec, którego często wspomina się w Labiryncie...

Milczę.

– To ty?

– Tak.

– Grasz na pół gwizdka.

– Tak.

– Twoi towarzysze to rozumieją?

Kręcę głową.

– Dokąd się tak spieszycie?

– Nike, umówiliśmy się, że nie będziemy zadawać pytań.

– Przepraszam, Strzelcu... – Jej uśmiech jest raczej smutny niż urażony. – Nie chcę pchać nosa w cudze tajemnice. Jeśli rzeczywiście jesteś tym samym Strzelcem...

– Jestem.

– Skoro wam przeszkadzam, odejdę. Dołączę do innego zespołu.

– Bardzo bym chciał, żebyś została z nami. – Sam nie wiem, dlaczego to mówię.

– Dlaczego?

W kamuflażu wszyscy jesteśmy jednakowi. Pozbawieni płci, kształtu, zuniformizowani. Mięso w mundurze nieistniejącej armii, dobrowolni wolontariusze wymyślonej bitwy, ofiarni bohaterowie nikomu niepotrzebnych czynów.

Tylko nad kołnierzami bluz widać różne twarze. Twarze, które wymyśliliśmy sami. To takie proste, narysować twarz. Kropka, kropką kreska... wyszła morda pieska. Sam ją możesz złożyć z detali, jak w zabawce Konstruktor. Podbródek władczy albo łagodny... uszy odstające albo przylegające... nos prosty, a może zadarty...

Problemy miałem zawsze tylko z oczami. Czasem musiałem przerabiać dziesiątki razy, nim stały się żywe. Już dawno zrozumiałem, że to właśnie jest najważniejsze w narysowanych twarzach.

Patrzę w oczy Nike.

– Podobasz mi się – mówię w końcu. – Nie jestem z tego zadowolony, ale mi się podobasz.

Ręce na klawiaturze. Hasło.

Wyjście.

Wyjście z Labiryntu Śmierci jest identyczne jak dawniej. Przyjemna, przestronna szatnia, ta sama sala co dwa lata temu.

Zdejmuję kombinezon i chowam do szafki. Wcale się nie dziwię, że czeka na mnie ubranie Strzelca.

Biorę prysznic w malutkiej kabince. Tym razem to zwyczajny prysznic, nie żadne przeciwwirusowe chemikalia. Ubieram się i na sekundę zamieram przed drzwiami.

Co teraz będzie?

Powrót legendy? Powrót Strzelca do Labiryntu Śmierci? Wrócił i to nie sam, ale z grupą towarzyszy. I tym razem również nie działa zbyt uczciwie...

Wchodzę do sali kolumnowej, z której widać ulicę Deeptown. Uśmiełbym się, gdyby powtórzyła się pogoń, gdybym musiał uciekać, chować się w wirtualnym domu publicznym...

Ale w sali jest pusto. No, prawie pusto. Kilka osób, śmiechy i rozmowy. Twarze nieznanym, to na pewno nie ci, do których strzelałem na piątym poziomie.

Cholera!

A gdzie skrzywdzeni i poniżeni?

Gdzie łaknący mojej krwi dziki tłum?

Podchodzę do rozbawionego towarzystwa, udając, że kogoś szukam. Nie zwracają na mnie uwagi, gadają o swoich sprawach.

– Słyszałeś, że zabili Siemieckiego? [najbardziej znany fan rosyjskiej SF, wielokrotny uczestnik konwentów poświęconych rosyjskiej fantastyce, żarliwy członek rosyjskiego Fandomu.

Zabijanie go na kartach powieści SF stało się punktem honoru rosyjskich twórców fantastyki. Przyznawana jest nawet nagroda za „najlepsze zabójstwo literackie Siemieckiego”.] Trzy razy z rzędu?

– No i co?

– Ożył i dogonił swoich... Wybuch śmiechu.

– Chłopcy, nie słyszeliście o takim graczu, co się nazywa Strzelec? – pytam.

Zaskoczone spojrzenia. Wzruszenie ramion.

Z szatni wychodzi młody chłopak. Machają mu na powitanie. Ktoś krzyczy:

– Cruiz, ile można na ciebie czekać?

Wychodzą z sali kolumnowej.

Już o mnie zapomnieli.

Patrzę w podłogę i uśmiecham się stropiony. Ściskam w kieszeni rękojeść rewolweru.

Sława to rzecz przemijająca.

Zdumiewające, że Nike sobie przypomniała. Widocznie poważnie przygotowywała się do kariery w Labiryncie Śmierci.

A czego się właściwie spodziewałem?

Labirynt Śmierci jest teraz inny. To nie wesola gonitwa na placu zabaw. Nie strzelanina na wąskich uliczkach. Do tego pewnie przeznaczono inne strefy gier.

Labirynt przypomina teraz wojskowy poligon. Nie uczą tu bohaterstwa w pojedynkę, trenowania szybkości reakcji. Przyszedł czas gry zespołowej. Długich i nudnych pochodów. Wzajemnego ubezpieczania się, odrzucania słabych, podtrzymywania najsilniejszych, ślepego posłuszeństwa wobec dowódców...

Dlaczego mi się to nie podoba?

Czy naprawdę jestem indywidualistą do szpiku kości?

Czy wtedy, dwa lata temu, nie przeszedłem przez to, przez co powinienem był przejść?

Za późno na szukanie odpowiedzi. Świat się zmienił, a ja tego nie zauważyłem, wciśnięty w swoją ciasną, bezpieczną skorupę...

Wychodzę z sali kolumnowej na ulicę. Zapadł zmrok, zapaliły się latarnie i światła reklam, ludzi zrobiło się jakby więcej... wszystko się zgadza, to dzielnica rozrywek, pora na kolejny przyływ ludzi. W europejskim i rosyjskim sektorze Deeptown wszyscy skończyli pracę i wyruszyli na poszukiwanie przygód. Dla mnie w Deeptown zawsze powinien być wieczór. Wczesny letni wieczór, pierwsze gwiazdy na granatowym niebie, zapach ulewy, która już przeszła...

Źle robimy. Zebraliśmy się niczym bohaterowie, pewni siebie jak Niemcy w czerwcu czterdziestego pierwszego... co tam dla nas Labirynt Śmierci...

Pomysł był błędem.

Trzeba było zaufać instynktom, które kazały mi wyjść z Labiryntu po pierwszym niepowodzeniu.

Ale co w takim razie robić? Co? Szukać Ciemnego Nurka? Łatwiej byłoby znaleźć igłę w stogu siana. Zresztą on nam nie pomoże.

Dobijać się do Dmitrija Dibienki, który nawarzył całego piwa? To by znaczyło wystawić się na cios. On wie, do czego doprowadził, nie może nie wiedzieć. Kiedyś stworzył Głębię, teraz tworzy jej śmierć. Co nim kieruje? Nie wiem. Nie jestem psychiatrą. Można wymyślić najohydniejsze i najszlachetniejsze wytłumaczenie każdego czynu. Jakie usłyszę ja, jeśli w ogóle dotrę do Dibienki, nie ma już znaczenia. On nie zrezygnuje ze swojej nowej zabawki.

Czego jeszcze nie próbowaliśmy?

Można by iść do redakcji wirtualnych gazet i czasopism. W „Kurierze Głębi”, „Wieczornym Deeptown” albo w „Nad Wołgą” uprzejmie mnie wysłuchają, poczęstują kawą i przegonią. Nie takich świrów już widzieli. Za to w rosyjskojęzycznych „Skandalach” przyjmą mnie z otwartymi ramionami. Podziękują mi serdecznie, uściskną dłoń i wypuszczą numer z nagłówkiem na całą stronę: „Dwudziestu siedmiu hakerów zginęło od broni wirusowej piątego pokolenia!”

Nie wierzę w siłę takiego słowa drukowanego.

Ale w siłę głupoty, bezczelności, chamstwa – owszem.

Przez chwilę czuję taką beznadziejną rozpacz, taki smutek, że gotów jestem wyszeptać swój wierszyk. Wyjść z Głębi, niech nawet głowa odpowie bólem. Zjeść coś i położyć się spać... jest czwarta rano.

Ale nie chce mi się spać. Zbyt dużo adrenaliny we krwi. Pokonaliśmy senność i poszliśmy dalej, aż do tępego, bezsenego zmęczenia.

Podnoszę rękę, macham na taksówkę.

– Bar Pod Zaginionym Hakerem.



Kierowca kiwa głową, widocznie adres jest mu znany. To dobrze. Popatrzymy, gdzie zbierają się najlepsi hakerzy naszych czasów.

Jedziemy dość długo, najwyraźniej wirtualny bar mieści się na jakimś serwerze zabitym deskami, może nawet na prywatnym kompie właściciela zakładu. Wreszcie zatrzymujemy się pod lśniącem szyldem, jedynym na tej ciemnej wąskiej uliczce.

Pod Zaginionym Hakerem.

Moim zdaniem to wspaniała metoda maskująca – a mówię to zupełnie poważnie, bez cienia ironii. Co może być lepszym kamuflażem dla hakera niż taki szyld? Przecież nikt nie weźmie tego na serio.

Trzeba się stać albo niepozornym, albo wyrazistym.

Płacę, podchodzę do drzwi i pcham, ale są zamknięte. Czując się jak kompletny idiota, mówię na głos:

– Serce i miłość!

Drzwi otwierają się z przeciągłym skrzypieniem.

Kiedy wchodzę, zatraskują się za mną z łoskotem. Po co takie efekty? Bar jest nieduży i wbrew moim obawom sympatyczny.

Prostokątna salka, półmrok. Ściany, podłoga, sufit wyłożone małymi kwadracikami. Przyglądam się im...

Dyskietki.

No proszę, co za styl.

Dyskietki, i to najróżniejsze. Niektóre wyglądają na nowe. Niektóre są podpisane. Programy i gry, a raczej ich fragmenty.

Zaczyna mi się tu podobać.

Program barman za barem ma różowe policzki i uśmiech na twarzy.

– Kufel piwa – mówię, wskazując na chybił trafił jeden z kranów.

– Próba zewnętrznej kontroli systemu. Pytanie o identyfikację. Zezwolić na dostęp do informacji systemowej?

Szmer głosu Viki jak zwykle słyszę tylko ja. Uśmiecham się, kiwam głową barmanowi, mówię:

– Tak...

Nie biorą pieniędzy za piwo. Logiczne. Skoro zbierają się tu wyłącznie hakerzy, to piwo powinno być kradzione. Bezpłatne dla swoich, a obcy tu nie wejdą.

Z kuflem piwa odchodzę od baru i rozglądam się. Nie jest zbyt tłoczno. Przy jednym ze stolików siedzą młodzi chłopcy o wybitnie hakerskim wyglądzie. Hakersko-hollywoodzkim. Nieuczesałe długie włosy, płonące szaleństwem oczy, są niedbale ubrani. Gestykulują z ożywieniem i o czymś rozprawiają. Właśnie tacy jak oni na filmach łamią najtrudniejsze hasło na sekundę przed wybuchem, włamują się do komputerów Pentagonu, mówią, używając wyłącznie cyfr, wpadają w każdą kałużę, ale w decydującym momencie przejawiają odwagę i zręczność godną nie tylko spokojnego programisty, ale nawet komandosa, który wyszedł się zrelaksować.

Może to tylko image, kamuflaż. A może infantylna gra w twardych hakerów.

Przechodzę obok. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Skoro wszedłem, widocznie miałem prawo.

W Głębi sali siedzi jeszcze jedna grupa. Przyglądam im się uważnie.

Młoda kobieta o twarzy sympatycznej, ale nerwowej. Potężny mężczyzna, nieco starszy od niej. I

mój niedawny współpracownik, już w ciele dorosłego.

Podchodzę, wzrokiem pytając, czy mogę się przysiąść.

Mężczyzna i kobieta wymieniają spojrzenia.

Ilia chyba po prostu drzemie nad pełnym kuflem piwa.

– Kim jesteś? – pyta mężczyzna.

– Leonid.

Spojrzenie nieznajomego staje się niemal serdeczne.

– Siadaj. Hasło podał ci Ilija?

– Tak. – Siadam i biorę się za piwo. Nie zwróciłem uwagi na gatunek i teraz piję po prostu „piwo” – abstrakcyjny napój piwny. No i dobrze.

– Haker? – pyta ostro kobieta.

– Nie – odpowiadam szczerze. – Wcale.

– Tutaj przychodzą tylko hakerzy – wyjaśnia mężczyzna. – Prawdziwi hakerzy.

Piję piwo i czekam na dalszy ciąg. Coś mi się wydaje, że mnie stąd nie wyrzucą.

– Cóż, skoro nasz przyjaciel za ciebie poręczył – włącza się kobieta – to możesz tu przebywać.

– Dziękuję. – Całym sobą demonstruję wdzięczność.

Milczenie zaczyna się przeciągać. Kobieta szturcha Ilię, on lekko się chwieje, ale nadal siedzi.

– Zostaw go, niech śpi – krzywi się mężczyzna. – U niego jest czwarta rano. Więc ty jesteś Leonid?

– Tak.

– Podobno chcesz pomóc Ilii znaleźć Świątynię Nurków? – pyta kobieta.

– Świątynię Nurka w Głębi.

– Jest taka – mówi w zadumie mężczyzna. – Pamiętam...

Tak właśnie mają zamiar mówić – na przemian?

– Dlaczego mu pomagasz? – pyta kobieta.

– Mam z tego dołę. – Pozwalam sobie na zagadkowy uśmiech.

– Nie zwracaj głowy – wtrąca się natychmiast mężczyzna. – Co to za doła... kieszonkowe. Postanowiłeś haknąć Świątynię?

– Jak się domyśliłeś? – pytam.

Kobieta z półuśmiechem pali papierosa. Podsuwa mi paczkę.

– Marker – szepcze Vika.

Biorę papierosa, zapalam.

Hakerzy spoglądają na siebie. W tym momencie zjechałem w dół po skali, według której klasyfikują ludzi.

– Od razu widać – mówi niejasno kobieta. – Nie hakniesz Świątyni. Nawet Dao nie mógł tego zrobić. A on był najlepszym hakerem na świecie.

O hakerze imieniem Dao nie słyszałem. Milczę.

– Więc chcesz zostać hakerem? – interesuje się mężczyzna. Nieuprzejmie byłoby powiedzieć „nie”.

– Ocywiście. Poblążliwe uśmiechy.

– W takim razie przychodź do nas częściej – mówi kobieta. Tutaj wszyscy są naszymi uczniami i towarzyszami. Widzisz chłopca w okularach?

Przyglądam się. Na oko dałbym mu trzydzieści lat. Okulary robią wrażenie.

– Wczoraj haknął creya – mówi mężczyzna.

Dobrze, że się akurat nie napiłem piwa, bo byłbym się zakrztusił. A tak moją minę można sobie tłumaczyć na wiele sposobów.

– Utalentowany gość – mówi poblążliwie kobieta. – Nie dziw się, wygląd zewnętrzny jest mylący. Dwa lata temu, jak do nas przyszedł, nawet nie umiał zainstalować Windows Home. A teraz ma już pewne sukcesy.

Nadal nie mogę mówić. Zastanawiam się, jak można haknąć creya – superkomputery, które nie są podłączone do sieci, nie są wykorzystywane do podtrzymywania Deeptown ani do pracy w wirtualnym świecie. Mają własne oprogramowanie, niekompatybilne ze zwykłymi systemami operacyjnymi. Poza tym...

Haknąć creya to mniej więcej tak, jakby porwać lokomotywę.

Taką która nie stoi na szynach.

Tak samo łatwo i tak samo bez sensu.

– Sam widzisz, że wszystko w twoich rękach – dodaje mężczyzna.

– Super – mówię tylko. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem!

Przez kilka minut palimy papierosy i pijemy piwo. Właściwie wszystko jest już dla mnie jasne. Ale wypada grać do końca.

– Mogę poznać wasze imiona? – pytam. – Po prostu dla wygody.

Znowu uśmiechy.

– Mów do mnie Kiss – proponuje kobieta.

– A do mnie Bird – kiwa głową mężczyzna. – Naszych prawdziwych imion nie zna nikt.

Przechodzę do rzeczy.

– Szczerze mówiąc, przyszedłem tu w pewnej sprawie. Iia mówił, że w ciągu kilku godzin możecie znaleźć Świątynię Nurka w Głębi...

– Możemy – przytakuje Kiss.

– Żaden problem – dodaje Bird.

– Prawdę powiedziawszy, trochę się wokół tego krzątam – uśmiecham się zakłopotany. – Mam znajomego nurka... byłego nurka. Obiecał mi pokazać, gdzie jest Świątynia. Ale to strasznie dużo zawracania głowy. Jeśli możecie szybko znaleźć Świątynię, to po co tracić czas?

Hakerzy patrzą po sobie.

– Szukaj sobie dalej – mówi kobieta. – Nie mamy teraz czasu na taką dziecinadę. Prawda, Bird?

– Prawda, Kiss – zgadza się z nią mężczyzna. – Niestety, to prawda.

Zapada uroczysta cisza.

Rozumiem, że powinienem teraz przejawić ciekawość. Ale co mogę poradzić na nagle obudzoną złośliwość? Nic. Milczę.

– Nasz przyjaciel haknął pewien szwajcarski bank – tłumaczy Kiss. – Ukrywa się teraz w

Deeptown. Jedyne miejsce, do którego może przyjść, to ten bar... tutaj nie trafi na obcych.

– Musimy na niego poczekać – precyzuje Bird.

Jakie to nudne i męczące.

Brakuje napięcia. Jestem w stanie przewidzieć każde słowo, jakie tu zostanie wypowiedziane przez najbliższą godzinę, a pewnie i to, co usłyszę, jeśli ugrzęznę tu na dłużej.

– Nie możemy ci wszystkiego powiedzieć – mówi z westchnieniem Kiss. – Niestety, to...

– Zbyt straszna tajemnica... – nie mogę się powstrzymać.

– ... Zbyt mroczna tajemnica... – mówi Kiss siłą rozpędu.

Leciutkie zażenowanie.

Sytuację ratuje Bird. Teraz on szturcha Ilię, próbując go obudzić, oczywiście bez efektu, i mówi w zadumie:

– Słyszałeś o systemie operacyjnym Przyjaciel?

– Niestety.

– Wymyślił go i napisał Dao – oznajmia triumfalnie Kiss. – To jedyny na świecie system operacyjny z elementami sztucznej inteligencji. Może sam się uczyć, doskonalić i rozwijać.

– Polują teraz na niego. – Bird zniża głos. – Urządzono poważne polowanie.

– Pracujemy na komputerach z systemem operacyjnym Przyjaciel – wyjaśnia Kiss, pstryka palcami i barman przynosi jej nowy kufel piwa.

– Ten system istnieje jedynie w dwóch egzemplarzach – mówi Bird.

– Jeden na moim kompie.

– I jeden u mnie.

– Polują na nie.

– Jesteś z Moskwy? – pyta nieoczekiwanie Bird i uśmiecha się triumfalnie.

– Tak.

– Pracujesz na Windowsie? Kiedyś zainstaluję ci system Przyjaciel. Sam zobaczysz, co to takiego.

Uwielbiam eksperymenty z niedorobionymi programami. Tylko najpierw oddaję je Maniakowi na wiwisekcję...

– Tyle że to niebezpieczne – uprzedza Kiss. – Wtedy zaczną polować również na ciebie.

– Nic nowego – odpowiadam odruchowo i sięgam po papierosa. Jeden marker więcej, jeden mniej... przetrwają do zresetowania komputera.

Tak bardzo chciałem wierzyć, że Ilia ma znajomych hakerów zdolnych znaleźć Świątynię Nurka w Głębi.

– Nawet nie zauważysz, że zmienił ci się system operacyjny – oznajmia Kiss. – Zewnętrznie wszystko będzie wyglądać tak samo. Przyjaciel staje nad Windowsem i zmienia niektóre ważniejsze pliki. Interface pozostaje ten sam. Tylko komputer zaczyna pracować znacznie, znacznie lepiej.

– System będzie się adaptował do twojego komputera – kontynuuje Bird. – Nie jesteś hakerem, więc pewnie nie zauważysz tego od razu... ale dla profesjonalisty efekt jest oczywisty.

– Więc wpadaj często do naszego baru – podsumowuje Kiss. Kiwam głową i patrzę na Ilię.

– On zawsze śpi w Głębi? – pytam.

– Tak, lubi to – odpowiada dobrodusznie Bird. – Rośnie na prawdziwego hakera.

Nie chce mi się wstawać, patrzę na zegarek i mówię z troską:

– Zaraz zadziała mi timer...

Porozumiewawcze uśmiechy. Na wszelki wypadek pytam jeszcze:

– Bird, widziałeś kiedyś Świątynię Nurka w Głębi?

– Pewnie. – Haker w zadumie kręci w palcach papierosa. – Ich Świątynia to wysoka biała wieża zwieńczona kryształową kulą. Ma siedmiostopniową ochronę. Nurkowie prosili mnie nawet, żeby ją sprawdzić...

– Czy warto o tym opowiadać, Bird? – pyta Kiss.

– To stare dzieje. – Bird rozkłada ręce. – Co tam. Wtedy przeszedłem sześć poziomów, Leonid. Siódmego nie pozwolili mi sprawdzić, pewnie przestraszyli się, że zobaczę to, co kryje się w sali z kryształu. Ale zdążyłem zeskanować pomieszczenie i ogólne zarysy rozumiałem. To właśnie tam nurkowie zdobywali swoje zdolności, ale kiedyś ktoś mimo wszystko wyłamał ochronę i wtedy je utracili... To było trzy lata temu, pamiętam jak dziś.

Na mnie już pora.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Zdjąłem hełm i popatrzyłem na ekran, na dwóch hakerów i chłopca, który lubi spać w Głębi. Wyszeptałem:

– Vika, imitacja wyjścia przez timer.

Postać gaśnie. W barze Pod Zaginionym Hakerem ciało Strzelca posiedzi jeszcze z minutę, zeszywniałe, nieruchome, uważnie słuchające opowieści o Świątyni.

Potem rozsypie się w brzęczący, kryształowy pył.

Wszystko mnie bolało, jakbym przez kilka godzin jechał po wiejskiej drodze w kabinie starej ciężarówki. Odłączyłem kombinezon, zacząłem się rozbierać. Na ekranie ożyła narysowana Vika.

– Vika, obudź mnie o dziewiątej trzydzieści.

– Przyjęte... – usłyszałem cichy, czuły szept. – Budzenie na dziewiątą trzydzieści...

– Zakończenie pracy – mówię.

Co tu robić... co robić? Wędrówka przez Labirynt nie ma sensu. Na znajomych Ilii nie ma co liczyć. Jeśli oni byli w Świątyni, zanim powstała...

Stałem przed komputerem, patrząc, jak gaśnie ekran, i słuchając, jak milknie cichy, równy szum komputera, do którego przyzwyczajasz się z czasem i przestajesz zauważać.

Wpół do piątej.

Czas, gdy ostatni stuknięci bywalcy Deeptown zaczynają wychodzić z Głębi, licząc, że zdołają zmieścić w ciągu trzech, czterech godzin to, na co potrzebna jest cała noc.

To nic. Już wkrótce Deeptown nie będzie. Przynajmniej w tej postaci, do której przywykliśmy.

Może to nawet lepiej?

Zajrzałem do sypialni. Cisza. Postąłem chwilę, słuchając równego oddechu Viki. Prawdziwej, nie narysowanej... realnej i dlatego tak dalekiej.

Ona ma rację. Pod wieloma względami ma rację, że zrezygnowała z Głębi... no, prawie zrezygnowała. i Ale przecież to nie jest rozwiązanie dla wszystkich...

Zamknąłem drzwi i poszedłem w ciemnościach do kanapy – tą i samą co zawsze poranną drogą.

Położyłem się, podkładając pod głowę twardą poduszkę.

Pomyślałem, że chciałbym choć raz spać bez żadnych snów...

Mgła. Lewa ściana – lód. Prawa ściana – ogień. Przepaść i most.

Siadam na krawędzi przepaści i spuszczałam nogi. Z ciemnej, bezkresnej Głębi pachnie wilgocią.

– Wystarczy – mówię do mgły. – Wystarczy. Nagrałem się już. Są czasem takie sny, jak mówił dziadek Freud... po prostu sny!

Ja już nie wierzę, że istnieją zwyczajne sny, w których biegasz po krętych korytarzach, spadasz w windach, nie możesz zapalić światła albo ugasić pożaru, zawołać odchodzącego przyjaciela czy strzelić do chichoczącego wroga. Nie ma już dla mnie zwykłych ludzkich snów. Został tylko ten, znajomy do ostatniego kroku, z jedynym wyborem na końcu – ogień czy lód...

– Leonid...

Zerkam przez ramię. Jestem pewien, że nikogo nie zobaczę, że mój nieznany towarzysz znowu skryje się w szarej mgle.

A tymczasem stoi za moimi plecami, poprzenikany niemi mgły, utworzony z niej; zgęstniałe widmo człowieka, którego już nie ma.

– Nie pamiętasz, Romek – pytam – czy ujrzenie nieboszczyka we śnie przynosi szczęście czy pecha?

Romek podchodzi i siada obok. Jakby nabierał ciała albo iluzji ciała.

– Leonid, ty nie śpisz.

– Śpię.

Romek kręci głową.

Skóra pozbawiona koloru, oczy i włosy w różnych odcieniach szarości. Wygląda niczym ożywiony posąg wykuty przez utalentowanego rzeźbiarza w nieoczekiwanej gęstej mgle...

Widzę go w tym ciele, w którym zazwyczaj wchodził w Głębię. W realu widzieliśmy się tylko raz, zbyt przejmujące było wrażenie niezręczności, które nami wtedy ośwładnęło. Co mogą mieć wspólnego szesnastoletni chłopiec i dorosły mężczyzna? Że obaj są nurkami? Tylko w Głębi... tylko tam byliśmy równi i mogliśmy być przyjaciółmi.

– W porządku – mówię. – Nie śpię. Majaczę. Mam deep psychozę.

– Łońka, zabili mnie...

– Wiem, Roman. Ukradłeś plik z technologią broni wirusowej trzeciego pokolenia...

Romek uśmiecha się.

Nie miał takiego uśmiechu, gdy żył. Prawdziwie dorosłego, ironicznego uśmiechu. Pewnie rzeczywiście dorósł od czasu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni.

A może dorósł dopiero po śmierci.

Widma pamięci, bez względu na to, co je zrodziło – znużenie, przyjaźń, sumienie – nie są statycznymi manekinami. Żyją w naszej świadomości, starzeją się i zmieniają, stają się dobre lub złe. Od rozmowy do rozmowy, które z nimi prowadzimy, zadając pytania i sami na nie odpowiadając...

– Leonid, nie chodzi o broń wirusową. Wszystko wygląda znacznie gorzej.

– Jeszcze gorzej?

– Zrozumiesz... – Roman pochyla się, jakby chciał splunąć w przepaść, ale chyba oduczył się płuć. Po prostu patrzy w dół, potem się prostuje. – Na pewno dowiesz się i zrozumiesz.

Najważniejsze, żebyś zrozumiał w porę.

Robi mi się nieswojo.

To już zupełnie nie przypomina snu ani nawet majaków... zresztą, skąd mogę wiedzieć, jak wyglądają halucynacje?

– Co było w tych plikach, Roman? – pytam.

Nie obchodzi mnie, że to głupie pytanie, które zadaję we śnie, zadaję tak naprawdę samemu sobie. Jest mi to obojętne – już nie zauważam granicy pomiędzy jawą a snem.

– Dowiesz się sam. Dowiesz się, gdy dojdiesz do Świątyni.

– Jak mam do niej wejść? To tygodnie drogi, nie mam tyle czasu...

– Nie masz – przyznaje Roman.

– Co mam zrobić?

Rzadko pytałem go o radę. I nawet we śnie Romek wydaje się zakłopotany.

– Leonid... przecież jesteś nurkiem. Nie idź tą drogą co wszyscy. Poszukaj własnej.

– Własnej... Kiedy ja już nie jestem nurkiem. Nie ma już nurków.

– Oczywiście, przecież tak chciałeś...

– Co ja mam do tego?

Znowu pytanie, na które nie dostanę odpowiedzi.

– Obrzydł mi już ten sen, Romek – mówię, żeby cokolwiek powiedzieć. – Gdybyś wiedział, jak bardzo mi obrzydł! Te ściany ognia i lodu... ten idiotyczny sznurek... ta cholerna przepaść...

– To wszystko widzisz po raz ostatni – odpowiada uspokajająco Romek. – Nie będzie więcej snów. Słowo honoru.

– Naprawdę? – Przyłapuję się na entuzjazmie ateisty, który pomodlił się po raz pierwszy w życiu i usłyszał z góry krzepiący głos.

– Naprawdę. Snów już nie będzie, Lonia. Zresztą to nie całkiem sen.

– Jeśli nie sen, to co? – pytam, wiedząc, że znowu nie otrzymam odpowiedzi. – Romek, możesz mi cokolwiek powiedzieć?

– Co chcesz usłyszeć.

– Kim jest Ciemny Nurek? – pytam i nagle rozumiem, że wreszcie zadałem słuszne pytanie. Trafiłem w dziesiątkę swoją ostatnią kulą...

Roman odpowiada nie od razu.

– Jesteś pewien, że chcesz znać odpowiedź?

– Tak.

– Przecież już zrozumiałeś, Leonid. Zrozumiałeś, tylko nie chcesz uwierzyć.

– Roman... odpowiedz. Proszę cię. Odpowiedz!

– Po co?

– Żebym wiedział, kto posłał cię na śmierć! – mówię ostro.

– Nie mam do niego żalu – mówi z patosem Romek. – Naprawdę. Nikt nie wiedział, że tak się stanie. Gdybym wyszedł od razu...

Nagle jego mglista postać zaczyna się miotać, jakby uderzył w nią poryw wiatru. Jego wargi jeszcze się ruszają, ale już nie słyszę słów.



A nie umiem czytać z ruchu warg.

– Lonia.

Otwieram oczy.

Na brzegu kanapy siedzi Vika. Jej dłoń powoli, czule gładzi moją twarz.

Ze szlochom wciągnąłem powietrze i usiadłem. Ciało, nadal poobijane. Głowa pęka z bólu.

– Wyglądasz jak trup – mówi Vika.

– I tak się czuję.

– Głowa?

– Tak...

– Poczekaj... – Vika wstała, szybko poszła do kuchni. Słyszałem, jak grzebie w szafce, jak brzęczą naczynia, bulgocze woda. Środki przeciwbólowe zawsze były moim ulubionym wynalazkiem ludzkości.

– Wypij.

Pogryzłem i przełknąłem dwie tabletki. Vika stała obok, skupiona i jakaś czujna.

– Znowu miałeś koszmar? Rzuciłeś się i coś szeptałeś. Skinąłem głową.

– Leonid, jesteś pewien, że nie masz deep psychozy?

– Absolutnie pewien. – Chciwie dopiłem wodę, nie precyzując, dlaczego mam taką pewność.

– Co ci się śniło?

– Romek. Był martwy, a jednocześnie żywy. Rozmawialiśmy... – Drgnąłem, bo właśnie zrozumiałem, że we śnie wierzyłem w realność Romka.

– Musisz odpocząć, Lonia. Znowu pogładziła moje włosy.

– Wyjechać dokądś, gdzie nie ma komputerów, sieci, Głębi...

– Na wieś – przytaknąłem.

– Na przykład. Chcesz, to pojedziemy razem. Popatrzyłem jej w oczy.

– Koniecznie. Jak tylko skończy się to wszystko. Vika westchnęła.

– Co robiliście w Głębi, Lonia?

– Szliśmy przez Labirynt Śmierci.

– I jak postępy?

– Weszliśmy na dziesiąty poziom.

– Jest ich sto?

– Tak. Nie musisz mi mówić, ile czasu zajmie przejście całego Labiryntu. Jestem zmęczony arytmetyką na poziomie klasy pierwszej.

– Nie wyglądasz na to. – Wstała.

Siedziałem i patrzyłem, jak Vika wybiera się do pracy, jak szuka czegoś w książkach. A ja myślałem tylko o jednym.

Jakie ona ma zmęczone oczy. Czerwone, zmęczone oczy człowieka, który się nie wyspał. Który przepłakał całą noc... albo siedział do rana w hełmie wirtualnym.

– O której wrócisz? – pytam.

Vika krzywi się.

– O szóstej... o siódmej. Zresztą co za różnica, o której przyjdę. I tak będziesz w Głębi.

– Vika, przecież rozumiesz...

– Oczywiście. Ja wszystko rozumiem. To mój obowiązek.

Nigdy nie płakała. Przynajmniej przy mnie.

– Dzisiaj przejdziemy Labirynt do końca – mówię. Vika popatrzyła na mnie, ale nie odezwała się.

– Może będę w hełmie bardzo długo. Nie martw się, dobrze?

– Dziewięćdziesiąt poziomów w ciągu doby?

Milczałem.

– Powodzenia, Lonia. – Vika powiedziała to zupełnie szczerze. – Ale to brzmi, jakbyś przekonywał sam siebie.

– Najpierw zawsze przekonujesz siebie. Dopiero potem innych.

Skinęła głową. Potem cicho zamknęły się drzwi.

Wstałem z kanapy i poszedłem do sypialni.

Notebook stał na szafce nocnej, gdzie normalne kobiety trzymają kremy, perfumy i inne kosmetyki. Hełm i kostium wirtualny wisiały na ścianie.

Wsunąłem rękę za kołnierz kostiumu, pomacałem trykotową podkładkę. Była lekko wilgotna.

Więc ja mam deep psychozę, a Vika dała sobie spokój z Głębią...

Mogłem włączyć komputer i popatrzeć na logi, ale tego akurat robić nie powinienem. Nie miałem prawa.

Nie zaglądam do cudzych okien – jak mówiło się w starej bajce.

Przesunąłem dłonią po notebooku, jakbym zwracał pieśczętę, którą otrzymałem od Viki. I poszedłem pod prysznic.

Deep Enter.

Taniec kolorowych śnieżynek. Rozbłyśki w ciemności.

Pracuj, pracuj, dzieło przypadkowego geniusza – Dimy Dibienki. Przełam bariery pomiędzy prawdą a kłamstwem, pomiędzy narysowanym światem a żywymi ludźmi. Spraw, bym poczuł zapach trawy i usłyszał szmer wiatru, poczuł twardość kamienia i ciepło ognia. Zmusz, bym uwierzył w realność Deeptown. Tak bardzo chcę być oszukiwany!

Zawsze nam wszystkiego mało. Dach nad głową, słońce na niebie, ręka w twoim ręku, kromka chleba na stole – cóż to znaczy w porównaniu z wymyślonym światem? To jakby dżin wyrwał się z butelki – możesz budować pałace, burzyć miasta, zakładać haremy, urządzać uczyty. Deeptown to urzeczywistniona bajka. Narkotyk o nieznannej sile...

Pierwszy krok jest najtrudniejszy.

Świadomość jeszcze się miota w pętach deep programu... a świat wokół jakby się rozmywał, zmieniał. Ciasny pokój hotelowy. Miałem już pałace, miałem nudne wielkopłytowe wieżowce, miałem chatę w lesie i bungalow na zagubionej w oceanie wyspie...

Wróciłem do punktu wyjścia. Do taniego standardowego pokoju wirtualnego hotelu. Jedna iluzja nie może być młodsza od drugiej.

Robię krok. Patrzę w lustro.

Strzelec mruży oczy. W oczach koloru wiosennego nieba – czarne kropki źrenic. Dlaczego oczy

pozostają zwierciadłem duszy, nawet jeśli są narysowane?

– Do roboty – mówię.

Odbicie w lustrze kiwa głową w odpowiedzi na moje kiwnięcie.

Czas jeszcze mam. Zjadłem śniadanie w realu, ale teraz pragnę iluzji. Pięknej, smacznej iluzji, a nie jogurtu i kanapki z serem. Wychodzę z hotelu, łapię taksówkę.

– Do Car Ryby...

To pewnie bez sensu, wpaść do restauracji rybnej na filiżankę kawy. Ale kawa jest tutaj wspaniała.

Patrzę, jak kelner celebrytuje przygotowanie mokki po arabsku. Żółty gorący piasek, w którym stoi zaparzarka, zapach orzeźwiający nawet na odległość...

– Przepraszam, czy my się czasem nie znamy?

Zerkam na Jeżyka. Ten to ma nosa. W ciele Strzelca nie widział mnie nigdy.

– Znamy – mówię. – Leonid... taki ponury motocyklista.

Jeżykowi rozjaśnia się twarz; patrzy pytająco na sąsiednie krzesło.

– Siadaj – mówię bez zdziwienia. I już wiem, że właśnie z jego powodu przyjechałem do Car Ryby.

– Wiesz, czas mi się kończy – oznajmia mało oryginalnie Jeżyk i gładzi króciutkie włosy.

– Przedłużymy twój czas – obiecuję. – Opowiesz coś interesującego?

– Nuda... – wzdycha Jeżyk, siadając. – Kelner, dla mnie kawa z koniakiem.

– Nic nowego? – zdumiewam się.

– Jak by ci to powiedzieć... – Jeżyk znowu wzdycha. – Podobno w Labiryncie Śmierci doszło do jakichś porachunków... gracze do siebie strzelają nie przestrzegają zasad.

Jak on to odgadł?

– Zawsze strzelali.

Jeżyk wzdycha, kiwa głową.

– Co zrobić, takie życie... – całkowicie się ze mną zgadza. „Plewy” napisały o Padlinie – wraca do tematu naszej poprzedniej rozmowy. – Podobno rzeczywiście zabili go z broni trzeciego pokolenia. Miał pięćdziesiąt cztery lata i był najstarszym hakerem na świecie. Mieszkał w Magadanie...

Milczę.

Jeżyk drapie się w tył głowy. Nie ma dzisiaj szczęścia – nie interesują mnie jego nowiny.

Chyba nie chodzi mu o to, żeby naciągnąć mnie na kilka dolarów. Prędzej paplanina z gośćmi restauracji stała się jego hobby. Wyczuć, co kto chce usłyszeć i..

– Podobno niedawno widziano w Głębi Dibienkę... Chyba jednak trafił.

– Poważnie? Gdzie?

– Na konferencji o nowych programach komunikacyjnych. Był tam incognito, ale ludzie się domyślili.

– Dlaczego twórca Głębi miałby się w niej nie pojawiać? – pytam z uśmiechem. Dibienko mnie naprawdę interesuje. Ale nie to, że gdzieś tam przemknął...

– Nie wygłaszał referatu. – Jeżyk nie rezygnuje. – Jednak podczas rozmów z dziennikarzami co

nico powiedział. Że Głębia w obecnej postaci to ohydne odzwierciedlenie realu. Że on marzył o czymś innym. Że już wkrótce wszystko w Deeptown się zmieni... kardynalnie i na lepsze.

Brzmi interesująco.

Ja też nie mam wątpliwości, że Deeptown się zmieni po pojawieniu się w nim prawdziwej broni. Ale czy na lepsze...

– Będziemy pić miód jego ustami...

Jeżyk chichocze, pije byk koniaku, potem kawę.

– Jeśli chodzi o niego, to się nie martw, dla Dibienki wypić miód to żaden problem. Oto co znaczy w porę opatentować program.

– Jeżyk... czy ty przyjmujesz indywidualne zamówienia?

– Co? – Odstawia filiżankę.

– Jeżyk... – powtarzam. – Siedzisz w Car Rybie i opowiadasz gościom różne plotki. W porządku. Ale ja potrzebuję specjalnej plotki. Rozumiesz? Plotki plotek. Gigantycznej.

– O Ciemnym Nurku?

No nie, Jeżyk to rzeczywiście aparat. Przecież nigdy nie rozmawiałem z nim o Ciemnym Nurku. W ogóle nie rozmawialiśmy o nurkach!

– Tak.

– A o czym tu mówić? – Jeżyk patrzy na mnie pytająco. – Jest taki, owszem. Szczególne zdolności wszystkich nurków znikły dwa lata temu. Ciemnego Nurka to nie dotyczy.

– Kim on jest? Jeżyk rozkłada ręce.

– Czym się zajmuje?

Staruszek z westchnieniem patrzy na pusty kieliszek. Kiwam kelnerowi, ten bez słowa przynosi butelkę koniaku.

– Zasadza się na Dibienkę.

– Co? – Teraz z kolei ja się dziwię.

– O coś im poszło. Ciemny Nurek ugania się za Dibienką... no, próbuje mu zaszkodzić. Choć nawet jak na nurka ma małe szanse. Dibienko to wprawdzie nie Bill Gates, ale też milioner.

– Skąd ta wiadomość?

– Plotki... – mówi Jeżyk. – Wszystkie wiadomości świata to plotki. Jeśli umiesz ich słuchać, możesz nauczyć się oddzielać prawdę.

– A umiesz rozpuszczać plotki? – pytam. W mojej głowie rodzi się plan tak szalony, że nie potrafię się powstrzymać od realizacji.

Jeżyk obrzuca mnie szybkim spojrzeniem. Nie, to nie jest staruszek. Spojrzenie ma młode, czujne. Jeśli oczywiście można wierzyć spojrzeniu w Głębi.

– Prosta sprawa... jeśli wiesz, komu, jak i co powiedzieć. Jutro cała Głębia będzie huczała od nowin, pojutrze w prasie brukowej pojawi się wstępniak...

– Ile to będzie kosztować? – pytam wprost.

– Zależy, co miałbym opowiedzieć. – Jeżyk nie wygląda na urażonego ani zdumionego.

– Że były nurek o imieniu Strzelec otrzymał od Dmitrija Dibienki zlecenie odnalezienia i unieszkodliwienia Ciemnego Nurka. Dibienko dał Strzelcowi broń drugiego pokolenia, ale to nie

pomogło. Wtedy Strzelec otrzymał broń trzeciego pokolenia. Śmiertelną.

Jeżyk w zadumie patrzy na mój rewolwer.

– Czy to prawda?

– Czy moja odpowiedź cokolwiek ci wyjaśni? – pytam. – Jedyнным dowodem byłoby strzelenie do ciebie...

– Rozumiem – kiwa głową Jeżyk. – Nie było pytania.

– To jak, podejmujesz się?

Kiwa głową.

– Ile?

– Nic. Z miłości do sztuki.

– Kiedy zaczną o tym gadać?

Jeżyk w zadumie patrzy w sufit.

– Hmm... Piotr przychodzi tu na obiad... Max zajrzy dopiero pod wieczór... Nauczyciel też... przed nocą czasu moskiewskiego rosyjski sektor Deeptown będzie już w temacie. Do rana informacja przesączy się wszędzie.

– Dziękuję – mówię.

Super. Gdy wyjdę z Labiryntu, Deeptown będzie pochłonięty kolejną plotką. Oczywiście, takich zwalających z nóg historii pojawia się kilkadziesiąt każdego dnia. Ale mnie chodzi o to, żeby ta informacja dotarła do dwóch osób – Dmitrija Dibienki i Ciemnego Nurka.

Jeden z nich będzie wiedział, że to kłamstwo. A drugi może założyć, że historia jest prawdziwa. Mogę na tym skorzystać. Wyciągam pieniądze i wołam kelnera.

Portal huczy dzisiaj szczególnie mocno. Może coś się zmieniło w diapazonie dźwięku, bo huk jest niemal fizycznie nieprzyjemny. I błyskawice nad kamiennym łukiem walą znacznie częściej.

– Witaj, Lonia! – krzyczy Pat.

Trójka hakerów już jest, Maniak też. Czekamy na Zuko i Nike.

– Czekamy? – pytam Czyngisa, witając się.

– Oczywiście.

Padlina posępnie ściska mi dłoń. Jest dzisiaj ponury, dymi bielomorkanałem, nie reaguje na pytania Pata, w ogóle wygląda na niewyspanego i rozczarowanego życiem. Na szczęście nie musimy długo czekać. Zuko i Nike podchodzą, trzymając się za rękę, Mag Komputerowy coś z ożywieniem wciska dziewczynie. Chyba tylko on jeden jest pełen optymizmu.

Nieprawda. Ja też się uśmiecham.

– Leonid, wymyśliłeś coś? – pyta Maniak. Wzruszam ramionami, ta odpowiedź zadowala go w zupełności.

– Jesteśmy! – krzyczy Mag. – Długo czekaliście?

Stajemy w ciasnym kręgu. Opływa nas tłum – komputerowe widma i żywi gracze. Ciekawskie spojrzenia, szepty... nikt nie podchodzi.

– Naradzamy się? – pyta Czyngis. – Czy tak jak wczoraj, biegniemy i strzelamy?

Na jego twarzy maluje się wyraźnie stosunek do tego ostatniego planu.

– Naradzamy – mówię. – Są jakieś świeże pomysły?

– Iść do kierownictwa Labiryntu – proponuje nieoczekiwanie Padlina. – Niech zatrzymają wszystkie potwory, wygonią graczy i pozwolą nam przejść. Trzeba wyjaśnić sytuację, niech zrozumieją, jakie to ważne...

Oczy Pata okrągleją ze zdumienia. Nie spodziewał się takiej kapitulacji. A przecież Padlina ma rację... problem polega na tym, że nikt nam nie uwierzy.

– Ja mam lepszy plan – odpowiadam. – Szurka... Maniak patrzy na mnie pytająco.

– Zagrajmy w otwarte karty. Masz ze sobą Warlocka?

– No coś ty? – dziwi się bardzo naturalnie Maniak. – Zapomniałeś, jak nas wczoraj czyścili przed Labiryntem? Nie da się wnieść broni!

Milczę. Patrzę na niego i milczę. Przez dziesięć sekund patrzymy sobie prosto w oczy.

Potem Szurka się poddaje.

– Każdy nowy wirus można wykorzystać tylko raz. Powinieneś to rozumieć, Lonia.

– Rozumiem.

– Jedyne w sytuacji ostatecznej. W żadnej innej. Drugiej szansy nie będzie; zadziała ochrona labiryntu, rozpozna i zneutralizuje wirusa. Co wtedy?

– Nie będzie żadnego „wtedy”, jeśli nie przejdziemy dziś Labiryntu – mówię po prostu.

Zuko zdumiony patrzy to na mnie, to na Szurkę.

– Szurka, przенiosłeś coś wczoraj?

– Idziemy – mówię. – Im mniej gadania, tym lepiej.

Nie ma sprzeciwów. Czyngis nieco się ożywia, Padlina w zadumie wpatruje się w Maniaka. Pewnie próbuje zrozumieć, co on właściwie wymyślił.

– Skąd wiedziałeś? – pyta Szurka, gdy wchodzimy do arki.

– W życiu nie uwierzę, że nie wymyśliłeś sposobu, żeby oszukać ich ochronę – odpowiadam po prostu.

Tym razem żadnych kabin anabiotycznych. Słusznie, jesteśmy już w drodze, nie musimy się ponownie desantować.

Ale prysznic nadal jest obowiązkowy.

Pod baczny spojrzaniem sierżantów rozbieramy się i wchodzimy do kabin.

Woda nadal ostro pachnie chemią. Stoimy pod silnymi strumieniami i gapimy się na Maniaka, który nieopatrznie wybrał kabinę pod przeciwległą ścianą. Wygląda to niedwuznacznie, ale wszystkich nas interesuje jedno – gdzie Szurka schował wirusa. Maniak zaczyna się złościć.

Mycie skończone. Ktoś z personelu w milczeniu wskazuje nam terminale pod ścianą. Podchodzimy do nich.

– Saszka, już wiem, w jakim miejscu! – mówi basowym szeptem Zuko. Uchyła się od ciosu, z chichotem wystukuje swoje hasło i znika. Idziemy w ślad za nim.

Górski szczyt.

Błękitne niebo, fioletowe obłoki. Skrzący się śnieg.

Pojawiamy się już ubrani i z tą bronią, z którą wyszliśmy na dziesiąty poziom.

Ale nie jesteśmy sami. Nad krawędzią przepaści siedzi człowiek. Suchy, niewysoki, taki o jakich mówią „wieczny chłopiec”. Obok niego leży na kamieniach jakaś niewiarygodna armata przypominająca skrzyżowanie karabinu snajperskiego i pogrzebacza. Takie mieli chyba ochroniarze w administracji Labiryntu.

Zuko celuje do mężczyzny z pistoletu. Chyba nie zabiłby go jednym strzałem – facet ma niezły pancerz. Ale uderzenie prawie na pewno zrzuci go w przepaść.

– Co robimy? – pyta wesoło Mag.

Obok nas pojawia się Maniak. Unosi karabin. Człowiek odwraca się powoli.

– Spoko – mówię z ulgą. – Chłopaki, nie strzelajcie! To swój. Ale broni nie opuszczają. Podchodzę do Crazy'ego Tosserra.

– Jestem idiotą – mówi Dick. Ściskamy sobie dłonie.

– Nie wytrzymałeś? – pytam.

Dick kręci głową. W jego oczach jest niepewność i smutek.

– Widzisz, Leonid, wziąłem urlop... z powodu choroby. Coś mi ostatnio serce szwankuje!

Kiwam głową. Wierzę.

– Pospacerowałem z wnukiem – mówi nieoczekiwanie Dick. – To jeszcze maluch, do Głębi nie wchodzi. I nagle pomyślałem, że już do niej nie wejdzie. Nigdy, jeśli ty sobie nie poradzisz. A to niedobrze, Leonid, bardzo niedobrze, gdy wnuki nie mogą robić tego, co robili ich dziadkowie. Masz wnuka?

– Nie.

– Czyli musisz mi w tej kwestii zaufać – ciągnie Crazy, przekonując bardziej siebie niż mnie. – Przejdziecie Labirynt i co dalej? Nie tak łatwo trafić do Świątyni. Dwóch nurków to zawsze lepiej niż jeden, prawda?

– Prawda.

– To twój zespół?

Oglądam się za siebie i kiwam głową.

Jako pierwsza do Dicka podchodzi Nike i ściska mu dłoń. Za nią pozostali.

– Nie będę ciężarem – mówi szybko Crazy. – To przecież moja praca, jestem w Labiryncie niemal od samego początku. Przeszedłem dziewięć poziomów w ciągu czternastu godzin.

– A co z granicą dwie godziny na poziom? – pytam. Crazy uśmiecha się, Padlina mamrocze:

– Na każdą granicę jest odpowiednia bezgraniczność...

– Nie macie nic przeciwko Dickowi? – pytam na wszelki wypadek. Nikt się nie odzywa.

Crazy podnosi swoją broń, zarzuca na ramię.

– Teraz będą dwa bardzo ciężkie poziomy – uprzedza zakłopotany. – Jeśli nic się nie zmieniło, to na każdy po dwie godziny. Potem będzie lżej.

– Dick...

Crazy zamilkł.

– Nie będziemy szli przez poziomy – mówię łagodnie. – Nie mamy na to czasu.

Crazy posepnieje.

– Pamiętasz Warlocka 9000?

– Nie oszukacie programu antywirusowego – kręci głową Dick.

– Jesteś pewien? Robi stropioną minę.

– Po co?

– Przebijemy się na setny poziom. Od razu. Szurka, czy to możliwe?

– Zobaczymy – odpowiada Maniak.

– Leonid... – chyba szwankuje program tłumaczący Crazy'ego, kilka następnych słów jest niezrozumiałych. – Mało ci tamtych nieprzyjemności?

– Nie mamy innego wyjścia, Dick. Dlatego od razu ci mówię, co mamy zamiar zrobić. Możesz zrezygnować i nie brać udziału.

Crazy Tosser gapi się na nas, jakby miał nadzieję, że ktoś się sprzeciwi. Niestety.

– Leonid, zrozum... Leonid, sto etapów Labiryntu to narastanie siły graczy! Zdobycie potężniejszej broni, nie mówiąc już o treningu! Skoczyć z dziewiątego poziomu na setny to tak, jakby człowieka, który dopiero nauczył się utrzymywać na wodzie, zmusić, żeby przepłynął Cieśninę Beringa!

– Przecież obaj umiemy nurkować, prawda?

Milczy. Chyba rzeczywiście jest zaniepokojony – nie tyle nieprzyjemnościami ze strony dyrekcji, ile perspektywą natychmiastowego przeniesienia się na ostatni poziom.

– Idziesz z nami? – pytam.

– Idę – decyduje się w końcu Dick. – Ale to tylko teoria. Nie można wnieść broni wirusowej do Labiryntu!

– Szurka... pytanie do ciebie – mówię. – Można czy nie?

– Jesteś pewien, Leonid? Twój przyjaciel ma wiele racji – wzdycha Maniak.

– Jestem pewien.

– Ale z ciebie jednak czubek... – mówi dobrodusznie Szurka. Podnosi swój automat, szeroko się uśmiecha.

I z całej siły wali się kolbą w zęby.



Jest bardzo cicho. Maniak trzyma się za szczękę i spluwa krwią.

– Oj... – mówi cicho Zuko.

– Rzadkie zбочzenie... autosadomasochizm – wyrokuje Padlina. – W pełnym wymiarze możliwe jedynie w Głębi.

Szurka obdarza go wymownym spojrzeniem i znowu podnosi automat.

W tym samym momencie obok niego zapala się błękitne światło; nie reagujemy, gotowi uwierzyć, że to rezultat masochizmu. Ale w rozblasku pojawia się krzepki chłopiec ubrany w pancerz, z miotaczem rakiet na ramieniu. To chyba stary wyjadacz, gotów walić do wroga zaraz po wejściu na poziom. Miałby szansę załatwić co najmniej połowę naszej drużyny. Ale pierwsze, co widzi, to człowiek, który ze smętną miną wali się kolbą w zęby.

Na taki obrazek młodziak nie jest przygotowany; sekunda wahania staje się zgubna. Dla niego. Tosser ruchem ramienia zrzuca karabin, naciska spust. Z lufy z piskiem wyrywa się przypominające bumerang ostrze, które starannie gilotynuje nieznanego.

– Nie omyliłem się? – niepokoje się Dick.

Pancerz obcego rozpada się z trzaskiem, ale miotacz rakiet i pociski zostają. Pat natychmiast je przejmuje.

– Nie – pocieszam Dicka.

W tym samym momencie nieznanomy pojawia się powtórnie, już bez pancerza i tylko z pistoletem. Rozstrzelują go Czyngis i Zuko, Padlina jest zajęty odbieraniem Patowi miotacza rakiet.

Obcy nie pojawia się już po raz trzeci. Widocznie postanowił przeczekać.

Maniak, nie reagując na to całe zamieszanie, pluje krwią i grzebie w śniegu. Podnosi wybity ząb.

– Wiem! – wrzeszczy radośnie Mag. – Wbudowałeś wirus w ciało!

– Kontrola i tak by go odkryła – protestuje wbrew oczywistym faktom Crazy.

– To nie wirus – odpowiada Maniak lekko sepleniąc. – To fragmenty wirusa... – Wiesza automat na ramieniu i wyjmując zza pasa nóż.

– Oj... – Mag zasłania oczy rękami, nie zapominając przy tym rozsunać palców. – Tylko nie to, o czym pomyślałem! Saszka, nie zniosę tego!

– Zniesiesz – odpowiada spokojnie Maniak, obcinając kosmyk włosów. – Tona, trzymaj...

Padlina podstawia dłoń; Maniak rzuca mu na nią okrwawiony ząb i kosmyk włosów.

– Fuj, co za ohyda... – mamrocze Padlina.

– Ohyda? – zdumiewa się Szurka. – Ciesz się, że nie wykorzystałem bardziej bezbolesnych i naturalnych wariantów...

Odcina kawałek paznokcia i dorzuca do nieapetycznej kolekcji.

– Jeszcze oko ropuchy, kał krokodyla i jaja wilgi – oznajmia skrzywiony Padlina. – I zdobędziemy doskonale średniowieczne lekarstwo na klucie w boku.

– Dowcipkuj sobie – zachęca go Maniak i przesuwając lewą rękę nad dłoń Padliny.

Czyżby palec? Nie, tylko krew...

– Boli cię? – pyta cicho Nike. Dzisiaj jest dziwnie milcząca. Stoi obok mnie i posłusznie idzie za

drużyną.

Szurka patrzy na nią, a wreszcie kiwa głową.

– Oczywiście. Przecież nie jestem nurkiem.

Wrażenie szaleństwa, które ogarnęło nasz zespół, powoli mija. Jakby dopiero teraz dotarł do nas ten fakt.

Rozumiemy go każdy po swojemu. Wszyscy oni wiedzą, że skaleczenie czy wybity ząb w Głębi jest tak samo nieprzyjemne jak w realu. Dla mnie to nie takie oczywiste. Przywykłem robić uniki, uciekać od bólu. Głębio, Głębio, nie jestem twój... i można spokojnie patrzeć, jak nad twoim ciałem pastwią się narysowane potwory.

Ale najbardziej nawet utalentowany haker, najlepszy programista nie ma tej umiejętności.

– Wybacz, Sasza – mówi Padlina. – Daj coś jeszcze.

Maniak zwleka. Potem w zadumie oznajmia:

– Ostatni etap, złożenie. Bardzo proste. Musisz przełknąć wszystkie te komponenty...

– Coś ty! – ryczy Padlina. – Nigdy w życiu! Wylewam całą zupę, gdy do garnka wpadnie włos!

– To za autosadomasochizm – oznajmia złośliwie Maniak. Nachyla się i pluje na dłoń Padliny.

Przez chwilę nic się nie dzieje i już się zastanawiam, co będzie prostsze – od razu zastrzelić Maniaka czy przytrzymać Padlinę. I nagle z dłoni Padliny zaczyna buchać dym.

– Podejrzywałem, że nie powstrzymasz się od efektów specjalnych! – woła radośnie Mag.

Dym się rozwiewa.

– Co jest? – pyta podejrzliwie Padlina.

Na jego dłoni stoi małe pudełeczko. Tłoczemy się wokół niego, próbując mu się przyjrzeć, sprawdzić, co to takiego.

– Warlock 9300 – wyjaśnia Szurka. – Wreszcie wyszło tak, jak zaplanowałem...

Pudełko wygląda jak kabina windy. Najzwyklejsza, beżowa, z rozsuwanymi drzwiami i kawałkiem liny na górze. Tylko że winda ma dziesięć centymetrów wysokości.

– Najwygodniejszy kształt – oznajmia Maniak. – Dziewięć tysięcy też powinien był tak działać, ale nie wyszło...

– Saszka... – chrypi Padlina. – Jesteś pewien, że nie pomyliły ci się rozmiary?

– Rzeczywiście, o rozmiarze nie pomyślałem – przyznaje samokrytycznie Maniak i już wiem, że Padlinę czeka kara za żarciki. – Widocznie jakiś błąd z przecinkiem...

– Saszka, już nigdy więcej nie będę z ciebie żartował – mówi żałośnie i jednocześnie groźnie Padlina. – Klnę się na Nortona. Tylko powiedz szczerze, udało się czy nie?

– Postaw windę na ziemi – łagodnieje Maniak. – Zobaczymy.

Padlina nachyla się ze stęknieniem, opuszcza pudełeczko na śnieg.

– Z zębów smoka wyrastają okrutni wojownicy zabijający siewcę – mówi nagle Nike. – Dobrze, że nie jesteś smokiem, Sasza.

Windą zaczyna się rozdymać. Nierównomiernie; wybrzusza się na przemian to jedna, to druga ścianka. Kawałek liny przybiera normalne rozmiary, przytłaczając sobą kabinę. Ze śniegu wali para.

– Odsuńcie się, szybko! – woła Czyngis, łapiąc Pata za łokieć. Rozbiegamy się, patrząc jak winda rośnie.

– Znajdą ją – kręci głową Crazy. Stoi obok mnie, najwyraźniej w zrzędlwym nastroju. – Leonid, ochrona stwierdzi wirusa i zacznie się skanowanie całej przestrzeni Labiryntu.

– Zatrzymają grę?

– Nie wiem. Na pewno nie od razu. Pewnie najpierw zamkną wejście...

Winda już napompowała się do normalnych rozmiarów. Jedyne różnice pomiędzy nią i normalną windą, to że przycisk znajduje się na drzwiach. Słusznie, przecież nie ma tu szybu...

– Winda zajęła – oznajmia Maniak. Podchodzi do kabiny, naciska przycisk, drzwi się rozsuwają. Wewnątrz pali się światło.

– To jednak nie ten rozmiar – zauważa Padlina. – Winda jest za mała, na cztery osoby.

– Za to nie ma ograniczeń, jeśli chodzi o obciążenie – uśmiecha się złośliwie Maniak.

– A gabaryty?

Odpowiedź wydaje się oczywista. Kabinka jest mała, a nas ośmioro.

– Wciśniemy się – decyduje Maniak. – Nigdy nie jeździłeś w sześć osób zaporozcem?

– Pat, włącz mi na barana – mówi Padlina. Chyba stwierdził, że szkoda czasu na czcze dyskusje. Nachyla się, dzieciak w milczeniu wskazuje na potężne bary i od razu oburzony krzyczy:

– No i po co ogoliłeś głowę? Mam się za uszy trzymać?

Padlina z Patem wchodzi do windy jako pierwsi i od razu zajmują prawie połowę przestrzeni.

– Leonid ... i Nike – decyduje Czyngis.

Wzdycham nachylając się. Dziewczyna z uśmiechem wspina mi się na ramiona.

– Nie jest ci ciężko?

– Przez rok pracowałem jako tragarz – oznajmiam, nie precyzując, że było to w Głębi. Zresztą naprawdę nie jest mi ciężko.

Noszenie sympatycznej dziewczyny to nie to samo co worka z kartoflami.

Stają obok Padliny. Nasi jeźdźcy, skurczeni w ósemkę, opierają się plecami o sufit.

– Ładujcie się – wskazuje windę Czyngis. Maniak, Zuko i Grazy podchodzą do kabiny. Nie są duzi, jeden z nich zmieściłby się spokojnie...

Mieszczą się wszyscy trzej. Maniak, rozplaszczony na ścianie, sięga do guzików i krzyczy do Czyngisa:

– A ty?

Zamiast odpowiedzi Czyngis z rozbiegu wbija się w nasz tłum. Czuję, że trzeszczą mi żebra. Pat wyje z zachwytu, Zuko wydaje stłumiony pisk. Chyba jest zupełnie zgnieciony.

Maniak naciska jakiś guzik i drzwi się zamykają. Przyciski w windzie są dość obskurne – plastikowe, przypalone papierosami, niektóre się świecą, a niektóre nie... pewnie żarówki wysiadły. Zresztą cała winda zrobiona jest w tym stylu. Wysłuchony weteran wielkopłytowych wieżowców upstrzony napisami. Przeważają przekleństwa i pochwały pod adresem Spartaka Moskwa, ale są również numery telefonów, serca i po prostu imiona.

– Jazda! – woła triumfalnie Maniak. Zgiął się wpół i naciska guziki: jedynekę, zero i znowu zero.

Drzwi natychmiast się zsuwają. Jedno szarpnięcie, potem drugie.

– Jesteś pewien, że przebijesz kanał na setny poziom? – pyta Crazy. Pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Winda zaczyna powoli jechać, cały czas szarpiąc. Sądząc po wrażeniu – w górę.

Ciekawe, jak to wygląda z zewnątrz... czy wznosimy się w niebo? Rozpływamy w powietrzu? Pod tym względem Warlock 9000 był bardziej efektowny... przypominam sobie, jak spadaliśmy z Nieudacznikiem w niekończący się tunel przez poziomy Labiryntu, jakieś zupełnie nieznanne przestrzenie.

Jakie wtedy wszystko było proste i wesołe.

Pewnie Vika ma rację. To było dzieciństwo Deeptown. A w dzieciństwie wszystko jest inne. Bójki kończą się łzami, kolory są jaśniejsze i bardziej żywe, a miłość może być tylko jedna i na całe życie...

Winda drga i zamiera, ale zaraz znowu nabiera pędu.

– Saszka, a co, jak staniemy pomiędzy piętrami? Wzywamy pomoc? – wydusza z siebie Mag. – Ja tu długo nie wytrzymam. Mam ostry atak klaustrofobii!

Winda zaczyna wibrować. Próbuję utrzymać się na ugiętych nogach, żeby było trochę luźniej na górze. Niewygodnie mi, za to Nike może się wyprostować. Twarzą opieram się o karabin Crazy'ego Tosserra. Ciekawe, gdzie się kryją ostrza; lufa jest szeroka, ale przecież nie na tyle...

– Na pewno już nas wykryli – mówi półgłosem Crazy. – Na pewno. Jeszcze dwie, trzy minuty i z wirusem koniec.

Tak naprawdę nowy Warlock nie jest do końca wirusem. To raczej jakiś program „trojański”, który wbudował się w serwery Labiryntu i teraz próbuje przerzucić nas na setny poziom. Ale tak się przyjęło, że wszystkie twory hakerów nazywa się wirusami...

– Wasi programiści są na to za ciency – nie wytrzymuje Maniak.

Winda znów zaczyna się trząść. Jakby stała na ciężarówce jadącej po wybojach.

Z jednej ścianki odpada kawałek.

Padlina wzdycha głośno i odsuwa się od dziury. Robi się jeszcze ciaśniej, ale o dziwo, wychodzą na jaw rezerwy przestrzeni. Trudno się Padlinie dziwić – w dziurze nie ma nic. Szara kłębiąca się masa. Straszniejsza od każdego pejzażu, jaki mogłaby zrodzić ludzka fantazja. Ręce Nike zaciskają na moich ramionach.

– Co to jest? – pyta zdławionym głosem Pat. Maniak kręci głową, próbując zerknąć do tyłu.

– Nic...

Bardzo treściwa odpowiedź.

– A w wersji dla laików? – włącza się Czyngis.

– Program się zmienia, robiąc unik przed atakiem – wyjaśnia Maniak. – A dokładniej: jesteśmy w boot sektorze jednego z serwerów Labiryntu...

Zuko chichocze, jakby usłyszał coś niewiarygodnie śmiesznego.

Mgła w dziurze znika. Zamiast niej pojawia się biegnący w nieskończoność korytarz. Ściany pomalowane na zielono, sufit żółtawy, na podłodze wytarte linoleum. Gdzieś daleko człapie korytarzem człowiek. Zaczyna się odwracać, ale za późno, już lecimy dalej...

Co to było? Gdzie? Nie wiem, ale nie chciałbym się tam znaleźć.

– Szukamy okrężnych dróg? – interesuje się Padlina.

Oni rozumieją znacznie więcej niż ja. Dla mnie to tylko intrygujący film, magiczna przygoda, urywek szarego życia. Oni wiedzą, co kryje się pod tymi obrazkami.

Za to ja mogę wyjść z Głębi w dowolnym momencie...

W dziurze znowu szara mgła. Błysk metalu. Kawalek niebieskiego nieba. Zimna ołowiana woda. Języki płomienia. I dalej szara mgła.

Program szuka dróg...

Znowu mgła. Nagle...

Krzyczę i szarpie się – gdyby w windzie było więcej wolnego miejsca, Nike spadłaby z moich ramion.

Przez przebitą ścianę widzę przepaść. Wąska szczelina pomiędzy skałami; lewa to błękitny lód, prawa – czerwony ogień. Nie zdążam zauważyć nitki mostu, ale wiem, że tam jest...

– Łońka... – Maniak patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc. – Coś się stało?

W dziurze znowu widać szarą mgłę. Mój koszmar znikł, wyparował...

– Zdawało mi się – wyduszam z siebie. Nie mam siły niczego wyjaśniać.

Winda przechyliła się na bok. Sunie, kołysząc się jak na falach.

– Przygotujcie się! – komenderuje Szurka. Niepotrzebnie. I tak od dawna jesteśmy gotowi. Na wszystko.

Pchnięcie. Cisza. Trzeszczą ściany.

– Wypchnijcie drzwi – mówi zdławionym głosem Maniak.

Nie trzeba nikogo namawiać. Czyngis, który leży na brzuchu Padliny, z nieoczekiwaną siłą wbija lufę automatu pomiędzy drzwiczki i napiera na kolbę.

W dziurze widać niebieskie niebo.

Pomagam Nike się wydostać. To nie jest najrozsądniejsza decyzja, skoro nie wiemy, co jest na zewnątrz. Ale teraz nie myślimy, działamy instyktownie. Nike wyskakuje z windy niczym diabeł z pudełka, odwraca się gwałtownie i broń w jej rękach odzywa się długą serią.

– Ognia! – krzyczy podekscytowany Pat. Wyskakuje Czyngis i Maniak, dopiero za nimi udaje się wyjść małemu. Po nim wyczołguje się Zuko i Padlina.

Ja i Crazy opuszczamy windę jako ostatni. Po poprzednich krajobrazach – dzikich i naturalnych – nie ma śladu.

Winda spoczywa na dachu niewiarygodnie wysokiego budynku. Czuć podmuchy lodowatego wiatru.

Za towarzystwo mamy kilkanaście jaszczurów.

Ratuje nas tylko to, że pojawiliśmy się z zaskoczenia. To najwyraźniej nie są ludzie w ciałach potworów, lecz programy. Kręciły się właśnie wokół jakiejś broni, przypominającej działko, z przezroczystą tarczą wokół lufy, i celowały w dół...

Teraz muszą odpierać atak z tyłu.

Miotacz rakiet, który trzyma Pat, głośno cmoka, przesuwając w lufy rakiety. Zbyt długo to trwa... zaczynam strzelać pojedynczymi rakietami. Już pierwsze pociski rozrzucają atakujących.

Broń. Potrzebna nam ciężka broń.

Dwa potwory przedzierają się przez ogień. Nike opiera swoją broń o brzuch i strzela już nie seriami, lecz całymi pakietami błękitnych igieł, jakby kartaczami. Jednego jaszczura odrzuca na bok, drugiego zabija Crazy ze swojego dziwaczego karabinu.

Potwory przegrupowują się. Dwa kierują w naszą stronę swoją dziwną armatę, pozostałe otwierają ogień z lasera.

W tym momencie odzywa się miotacz Pata. Odbicie jest zbyt silne, chłopca podrzuca do góry i wciska do kabinki windy.

Za to na polu bitwy jesteście już tylko my.

Strzępy mięsa i pancerzy. Kałuże krwi. Pod moimi nogami leży oderwana wybuchem łapa, długie pazury drapią but, zostawiając w nim głębokie rysy.

– Pat! – Czyngis wyciąga go z kabiny. Dzieciak oszołomiony kręci głową, ale broni nie puszcza. – Daj!

– Co, może źle strzelałem? – oburza się Pat.

– Dobrze – przyznaje Czyngis, ale miotacz rakiet mimo wszystko zabiera. – Jesteś bardzo silny. Tylko lekki.

– Aleśmy wdepnęli – krzywi się Maniak, przyciskając dłoń do boku. Spod palców sączy się krew.

– Wdepnęli? – Crazy patrzy na niego dziwnym wzrokiem. – Młody człowieku, powinniśmy dziękować Bogu za tak udane miejsce lądowania! To setny poziom! Tutaj dochodzą jednostki! I nie z takimi... pukawkami! – potrząsa swoim okropnym karabinem. – Dobrze, że znaleźliśmy się z dala od głównych sił nieprzyjaciela.

Dach nie jest duży, mniej więcej wielkości boiska do siatkówki. Z daleka budynek wygląda pewnie jak wbijająca się w niebo igła. Nie umawiając się, zaczynamy szukać zejścia na dół.

Ale zejścia nie ma.

Czyżby brygadę potworów dostarczono tu helikopterami?

Finałem poszukiwań jest niegłośny wybuch. Naszą nieszczęsną windę ogarniają płomienie i po kilku sekundach zostaje z niej garstka popiołu.

– Koniec z twoim programem – mówi kpiąco Crazy.

Chyba ciężko mu grać jednocześnie w dwóch drużynach.

Maniak demonstracyjnie patrzy na zegarek.

– Pięć i pół minuty. Przez ten czas mógłbym wypatroszyć cały wasz serwer... gdybym chciał.

Widać, że Crazy jest zły, ale nie spiera się.

– Więc gdzie się znaleźliśmy? – pyta Czyngis. – Hej, ty, Susanin! [Iwan O. Susanin (?-1613), rosyjski bohater narodowy, chłop; w 1613 roku w

czasie smuty ocalił życie carowi Michałowi Romanowowi, prowadząc oddział polski w kierunku przeciwnym do siedziby cara, za co został zabity] **Potrzebujemy pilnie przewodnika!**

Dick, trzymając mocno karabin, podchodzi do krawędzi dachu. Idziemy za nim.

Cholera, jak tu wysoko.

Nienawidzę takich wysokości. Nawet wymyślonych.

Budynek ma chyba około kilometra. Wokół pełno takich samych albo nieco niższych. Ulice z góry wydają się wąskie, ale pewnie są szersze od autostrady.

Jest jeszcze wiatr.

Padlina jedną ręką przytrzymuje Pata, drugą chwyta Maniaka. Ten nie sprzeciwia się tej wzruszającej trosce... prawdopodobieństwo, że krępy haker zostanie zdmuchnięty z dachu, jest niewielkie.

– Tam właśnie jest początek poziomu! – Crazy przekrzykuje wiatr. – Tam powinniśmy byli wyjść, potem przejście przez miasto, aż do pałacu Imperatora... odbyć walkę z Imperatorem...

– Kto jest Imperatorem? – pyta Maniak.

– Program. Ale nie cieszcie się, niełatwo sobie z nim poradzić. To szczególny, samokształcący się program, który analizuje i zapamiętuje wszystkie udane działania przeciwników, własne sukcesy i wpadki. Kosztował nas kupę forsy... znacznie prościej pokonać zwykłego gracza niż jego. Można powiedzieć, że będziemy walczyć ze wszystkimi, którzy do tej pory przechodzili Labirynt...

– Najpierw musimy stąd zejść – przerywa Crazy'emu Nike. – Spróbujmy rozwiązywać problemy w kolejności ich pojawiania się, okay?

Na wybicie dziury w dachu poszły trzy pociski. Patrzą na wskaźnik. Zostało jeszcze pięć. Mało.

Podchodzimy do dziury i zatrzymujemy się zdumieni.

Wewnątrz budynek jest pusty. Tylko gdzieś na ścianach świecą lampy. Wnętrze wieżowca wypełniają rury tworzące coś w rodzaju rusztowania.

– Co to? – pyta drwiąco Maniak. Crazy wygląda na stropionego.

– No... nie sposób stworzyć wszystkich elementów tak wielkiego pola gry... nikt nie przewidywał pojawienia się tu takiego desantu...

– Atrapa – znęca się dalej Maniak. – Cholera, pamiętam, jak w Dumie przechodziliśmy przez ściany...

– A gdyby budynek był zupełnie pusty wewnątrz albo przeciwnie, cały z litego betonu? – broni honoru twórców Labiryntu Crazy. – Wtedy dopiero byś się uśmieł!

– Wszyscy byśmy się uśmiełi – poprawia go Padlina, kładąc ciężką rękę na ramieniu Crazy'ego. – Zapomniałeś, że gramy w tej samej drużynie?

– Jeszcze nieraz mi to przypomną. – Crazy zrzuca jego rękę. – No i co, schodzimy?

Pod nami kilometrowa przepaść. Kładę się na krawędzi otworu, dotykam wygiętej rury. Chyba mocno się trzyma...

– Idziemy – postanawia Nike. Zwiesza nogi, przymierza się i zręcznym ruchem zeskakuje na rusztowanie. Gimnastyczka!

„Głębio, Głębio, nie jestem twój... wypuść mnie, Głębio...”

To nieuczciwe. Zwyczajnie nieuczciwe wobec reszty. Ale nie wytrzymam tego zejścia, jeśli iluzja zostanie zachowana.

Głowa reaguje przytłaczającym bólem.

To nic.

Za to teraz widzę inny obrazek: biegnący w dół szyb, z wygodnymi drążkami i poprzeczkami. Skaczę, łapiąc rurę.

Proste jak obręcz.

– Dobra... kto ma lęk wysokości? – dobiega ze słuchawek głos Crazy'ego.

– Ja – przyznaje się uczciwie Pat.

– W takim razie włącz mi na plecy. A wy go mocno przywiążcie.

– Jesteś pewien? – To oczywiście głos Czyngisa.

– Jestem nurkiem. Wybaczcie, ale wyjdę teraz z wirtualności i wszystko mi jedno, z kim będę schodził...

Rzeczywiście, brzmi logicznie. Podniosłem głowę, rysunek w helmie przemieścił się. Popatrzyłem na narysowane twarze przyjaciół, jeszcze przed chwilą takie realne i żywe...

– Ja też mogę kogoś wziąć.

– Wybacz, ale przywykłem zabijać się z własnej głupoty – mamrocze Padlina i ostrożnie schodzi na rury.

– Hura! Będą mnie wieźli! – zachwyca się Mag. Podstawiłem mu szyję. Zuko zawisł na mnie i zaproponował mimochodem: – Mogę ci pośpiewać, żeby się weselej schodziło. Głos mam naprawdę niezły! Niejeden śpiewak operowy by mi pozazdrościł, słowo daję!

– Dzięki, ale nie mam słuchu, więc i tak nie docenię...

Pozostali schodzą o własnych siłach.

Pół godziny później ja, Crazy i Nike odbijamy od reszty. Albo nam mimo wszystko przeszkadzają jeźdźcy, albo dziewczyna ma wrodzone zdolności alpinistyczne. Schodzi skupiona, nie patrząc w dół, przebierając rękami i nogami jak automat.

– Żeby tylko chłopcy nie spadli – westchnął Mag na moich plecach. – Bo nas zrzucą.

Jedną ręką na stalową belkę, drugą na drugą. Noga w lewo. Ręce niżej. Noga w prawo. Prawą ręką się trzymam, lewą puszczam...

Wszystko jest bardzo proste, Rusztowanie ma geometryczną konstrukcję. Gdyby Maniak był nurkiem, w ciągu minuty napisałby skrypt zejścia i poszedł na kawę.

Dlaczego ten, który potrafi wyjść z Głębi, nie umie pisać programów, i odwrotnie?

Około metra w dziesięć sekund. Pięć metrów na minutę. Nieskomplikowany rachunek. Trzy i pół godziny...

Noga w lewo. Ręka w prawo. Niżej...

– Normalny człowiek nie wytrzyma długo tej szybkości – zauważa Crazy. Chyba martwi go własne odkrycie. – Chłopcy wkrótce się zmęczą. Będą musieli odpocząć. Pięć, sześć godzin... może więcej... zostali już w tyle.

– Mamy jakąś alternatywę? – pytam.

– Trzeba było wcześniej pomyśleć – wzdycha Crazy. Mag na moich plecach chichocze.

– O, tam jest alternatywa... pod ścianą.

Odwróciłem głowę, spodziewając się setki potworów, helikoptera, Karlsona z dachu albo windy. Nic oprócz rur.

– Co jest, nurkowie, nie widzicie? – cieszy się Zuko. – No...

Deep Enter.

Tęczowa zamieć. Świat nabiera realizmu. Wczepiam się w rury z siłą, która dziwi mnie samego. Miotacz rakiet waży ze sto kilo. Chudy Zuko ciąży jak worek złota.

Ale za to wiem już, co miał na myśli.

Pod ścianami budynku surowa regularność rur uległa zakłóceniu. Tam z góry na dół biegały naciągnięte stalowe liny. Najwidoczniej rusztowanie umieścili w budynku nie przypadkiem, lecz ze względu na jego trwałość. Jeśli mnie pamięć nie myli, wieża Ostankino też jest podwieszona na linach.

– Czekamy na resztę – mówię. – Mag, trzymaj się sam, do licha, przecież mi ciężko, spadnę!

Zuko natychmiast łapie się rur.

Pięć minut później doganiają nas pozostali. Padlina sapie, twarz ma czerwoną i spoconą. Maniak przeciwnie, jest blady, ale skupiony.

Czyngis klnie. Bez przerwy. Cicho i we wstrząsająco wyszukany sposób.



– Chłopcy, długo tak nie wytrzymacie – mówię.

– Sami widzimy – zgadza się Maniak.

– Jest inna możliwość – wskazuję głową liny.

Jako pierwszy do ekspresowego zejścia przygotowuje się Crazy.

– Bądź co bądź, jestem w zespole obcy – wyjaśnia bez szczególnych kompleksów. – Jeśli się okaże, że wszystko w porządku... pójdziecie za mną.

Swoją kamizelkę oddaje Maniakowi. Logiczne.

– W razie czego hamuj, opierając się piersią. Kamuflaż powinien wytrzymać, ale nagrzej się i będzie parzył.

– A ty?

– A mnie nie będzie bolało – uśmiecha się Crazy.

Jedną pętlą umocowaną w pasie okręca linę. Na niej spoczywa główny ciężar. Crazy będzie też musiał ścisnąć linę butami. Drugą pętlę, do hamowania, trzyma w rękach.

– Będziesz leciał wysoko – wzdycha Mag. – Głupio mi, że to zaproponowałem...

– Wyluzuj – ucina rozmowę Padlina. – Podczas zejścia na pewno któryś z nas by spadł.

– Postaram się powitać was na dole – mówi Grazy.

– Skąd będziemy wiedzieli, że zjechałeś szczęśliwie? – Czyngis ma dar zadawania właściwych pytań wyłącznie w ostatniej chwili.

– Krzyknę.

– Usłyszymy?

– Będzie echo, jeśli krzyknę głośno. – Crazy mimo wszystko stara się nie patrzeć w dół.

– Wyjdź z Głębi – radzę.

– Nie. Większe prawdopodobieństwo, że czegoś nie zauważę. To na razie.

Schodzi z rury, zawisa na linie. Chyba pętla wytrzymają... Crazy rozluźnia pętlę i leci w dół. Jego postać staje się coraz mniejsza. Ciągle jest na linie, osiąga zawrotną prędkość.

– Nie wytrzymam – mówi szczerze Pat. – Czyn, ja nie wytrzymam!

Chyba zaczyna panikować.

– Pojedziesz na mnie – proponuje nieoczekiwanie Nike. – Ufasz mi?

Pat patrzy na jej drwiący uśmiech.

– No jak?

– Jeżeli Czyn pozwoli...

– Jesteś pewna? – pyta Czyngis. – W końcu mamy w załodze nurka...

– Maga byłoby mi utrzymać znacznie trudniej...

– Co ty na to? – zwraca się do mnie Czyngis.

Zastanawiam się. Nie podobają mi się własne domysły.

– Da sobie radę – mówię w końcu – Myślę, że nie gorzej ode mnie.

– Żeby tylko Crazy dojechał – mówi Maniak.

Czekamy.

– Usłyszymy, jak spadnie? – pyta Pat i dostaje po karku od Padliny.

– Zaraz zrzucę ciebie, żeby usłyszeć, jaki to będzie dźwięk. Z dołu dobiega słaby hałas.

– Co to może znaczyć? – mówi w zadumie Maniak. Hałas się powtarza.

– Nie uwierzę, że Crazy oderwał się od liny w dwóch kawałkach – oznajmia Mag. – Jedziemy?

– Właż – mówię.

Nie starczyło dla niego pasów i Mag musi po prostu się trzymać mnie.

– Nie naciskaj na szyję – ostrzegam. – Zresztą naciskaj, jeśli chcesz.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój... ” Migrenę mam zapewnioną.

Popatrzyłem na swoje narysowane ręce na narysowanej linie. W słuchawkach słyhać było sapanie Maga. Zjazd...

– O rany! – wyje Zuko, raczej z zachwyty niż ze strachu.

Zazdroszczę mu. Ja się nie boję. Ale też nie czuję zachwyty.

Ściana sunęła obok mnie. Migotały sploty rur. Opuściłem głowę, spojrzałem w dół i zacząłem lekko hamować. Podłoga przybliżała się zbyt szybko.

– Nie rozbijemy się? – Mag też zauważył nasze tempo.

Ścisnąłem pętlę przymocowaną do liny.

Jakie to proste... jedynie w Głębi przygody nabierają tego podniecającego, a jednocześnie bezpiecznego charakteru. Każdy alpinista, słuchając opowieści o zejściu z tej wysokości na takim sprzęcie, albo oblałby się zimnym potem, albo zachichotał jak wariat. To niemożliwe!

Ale wyhamowałem. Rzemienne pętle wytrzymały i Zuko nie spadł, rozluźniając osłabłe od strachu ręce. Na niby, to wszystko jest na niby, on nie jest nurkiem, ale i tak wie, że w Deeptown nie ma śmierci.

Nie było śmierci.

I po to tu przyszliśmy, żeby nadal jej nie było...

Deep Enter.

Chyba nie warto było eksperymentować, ale bardzo chciałem się dowiedzieć, do czego to jest podobne.

Najbardziej do koszmarnego snu.

Przeraźliwie skrzypiące pętle zaczynają dymić. Lecimy chyba szybciej niż spadochroniarz, który nie zdołał otworzyć spadochronu. Już widzę w dole Crazy'ego, który macha rękami i coś krzyczy.

Trwało to jakieś cztery minuty. Wysokość – dziewięćset metrów, plus minus pięćdziesiąt.

Ściskam pętlę, próbuję wyhamować butami. Nogi odrzuca na boki, lina wali mnie w pierś, w kamizelkę, trze o metal, od wizgu aż bolą zęby.

– Hamuj! – krzyczy Mag, odrywa ode mnie jedną rękę, chce chyba złapać linę, ale w porę się powstrzymuje. Poderwałoby go do góry, gdyby jej dotknął.

Hamuję... próbuję...

Uderzenie o podłoże jest bardzo silne. Nogi mi się uginają, padam, Mag zeskakuje w ostatniej chwili.

– Żyjesz? – Crazy pochyla się nade mną i podaje rękę. Wstaję, otrzepuję się, chociaż nie ma takiej potrzeby. Podłoga jest betonowa, wyrasta z niej las rur. Czysto i pusto.

– Żyję... ale apteczka by się przydała.

Crazy już sięga do pasa, przy którym powiesił sobie jedną z naszych nielicznych apteczek. Ale powstrzymuje się.

– Poczekamy, Lonia. Aż zjadą pozostali. Ma rację.

– Nie wychodziłeś z wirtualności? – pytam.

– Wszedłem w połowie drogi. – Crazy nie udaje bohatera. Kiedy zrobiło się zbyt strasznie.

Patrzemy po sobie i myślimy o tym samym. Inni nie będą mieli tej możliwości.

– Jak to robisz? – Takie pytanie jest na granicy dobrego smaku... w każdym razie kiedyś pytaliśmy o takie rzeczy tylko najbliższych ludzi. Ale teraz...

Crazy nie obraża się i nie dziwi.

– Przywołuję w pamięci twarz pewnej dziewczyny mieszkającej w sąsiednim bloku.

– I to wszystko?

– Wystarczy w zupełności – uśmiecha się Dick. – Ale nie wyobrażaj sobie za dużo. To tylko dziewczyna z sąsiedztwa. Dwadzieścia pięć lat młodsza ode mnie. A ty jak wychodzisz?

– Mamrocę taki jeden wierszyk. Sam go wymyśliłem. Teraz Crazy zaskoczony wzrusza ramionami.

– Krzyknijmy – proponuje Mag. – Pewnie się tamci denerwują.

– Było mnie słyhać? – pyta Dick.

– Mniej więcej.

Stajemy nie wiedzieć czemu w szeregu i Mag komenderuje:

– Trzy, cztery...

Wrzeszczymy, z przyjemnością uwalniając się od napięcia wywołanego jazdą. Lubię wesołe miasteczko, ale ta zabawa była wyjątkowo nieskomplikowana i szalenie zajmująca.

– Jeszcze dwa razy – komenderuje Zuko. – Jest nas tu teraz trzech...

Pozostaje tylko czekać. Stoimy przy linie, patrzymy w górę. Ostrożnie kładę rękę na metalu; albo czuję, albo sobie wyobrażam lekkie drżenie.

Ktoś zjeżdża.

– Crazy – pyta Mag – z jakiej wysokości trzeba spaść na terenie Labiryntu, żeby się zabić?

– Jeśli nie jesteś ranny i masz kamizelkę... – Dick marszczy brwi, próbując sobie przypomnieć. – Około pięćdziesięciu metrów.

– Dobrzy jesteście – przyznaje Mag. – W Deeptown dziesięć metrów to pewna śmierć.

– W Deeptown chcieli zrobić nawet pięć – włączam się. Kiedyś rozmawialiśmy z Wiką o podobieństwach i przeciwieństwach realu i wirtualności. – Żeby ludzie nie czuli się bohaterami i nie skakali potem z prawdziwych balkonów.

– Labirynt to mimo wszystko gra – usprawiedliwia się Dick. – Dziury na pół brzucha też w realu nie wyleczysz apteczką, a u nas to norma...

– Widzę! – przerywa nam Zuko.

Rzeczywiście – po linie sunie jakaś niezgrabna postać.

– Padlina? – zastanawia się Mag. – Nie, Padlina byłby szerszy.

Dziesięć sekund później widzimy, że to Nike z wczepionym w nią Patem.

– Też powinienem był kogoś wziąć – mówi Crazy. – Mimo wszystko jestem nurkiem...

– Ty robiłeś zwiad – pocieszam go.

Mag, oparty o rurę, w zadumie patrzy w dół. Potem wyjmuje z kieszeni kanapkę, rozrywa opakowanie.

– Jesteś ranny? – pytam.

– Nie, po prostu jeść mi się chce.

– To przecież pięć procent życia! – Zabieram mu kanapkę. – Chyba sobie zapracowałem jako amortyzator.

– Jedz – pozwala z westchnieniem Mag. – Czy oni nie za szybko?

– Dokładnie tak samo lecieliście – kręci głową Dick. – Wszystko będzie w porządku. Żeby tylko umiała zahamować...

Po minucie Nike jest na finiszu. Poszło jej nawet lepiej niż mnie – prawie całkowicie wytlumiła szybkość i utrzymała się na nogach. Przez pięć sekund odrywamy od niej Pata, zanim dociera do niego, że jazda skończona.

– Słowo daję – kręci głową Crazy. – Dzielna dziewczyna. Nike uśmiecha się.

– Nadam się do pracy w Labiryncie?

– Przyjąłbym cię – mówi Crazy. – I to nawet nie jako sierżanta, lecz jako prowodyra, podstawionego gracza.

– Teraz to nas wszystkich przyjmą – przerywa Mag marzenia Nike. – Akurat! Prędeż nam dadzą kopa podkutym butem! Na kilometr do Labiryntu nie dopuszczą.

Crazy odchrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

– Hura! – odzywa się nieśmiało Pat. – Super zjeźdzaliśmy, nie?

– Wspaniale – potwierdza Mag.

Pat podchodzi do Nike i nieoczekiwanie cmoka ją w policzek, wyraźnie przerażony swoją śmiałością. Dziewczyna uśmiecha się, mierzwi mu włosy i oddaje pocałunek.

Mag kaszle i mamrocze:

– Ale mamy teraz młodzież, cichą i niemrawą... chodźcie, krzykniemy chórem!

Zaczynamy się drzeć, potwierdzając udany zjazd. Pięć razy z rzędu. Pat niemal świeci własnym światłem.

Jako szósty zjeżdża Padlina. Powoli, z rozwagą. Gdy kończy zjazd i odrywa się od liny, trzęsą mu się ręce. Na zachwycone okrzyki i uściski Pata nie reaguje.

Siódmy jest Maniak. Jego zjazd jest niemal tak szybki jak mój i Nike. Ale to nie brak strachu przed upadkiem, tylko nieudane hamowanie. Pomagamy mu odczepić się od liny, patrzymy po sobie... Czuję się nieswojo.

– Ja też mam niedobre przeczucie – mówi nieoczekiwanie Crazy.

– Nie kracz! – przerywa mu natychmiast Padlina. – Czyngis też zjedzie, nie może być inaczej.

Nikt się nie spiera.

Ale ja wyobrażam sobie Czyngisa, jak stoi tam na górze, sam, wsłuchując się w nasze odległe wycie. Wokół niego pajęczyna stalowych rur, przed nim – naciągnięta jak struna lina. Słabe światło rzadkich lamp, umieszczonych przez jakiegoś troskliwego budowniczego wewnątrz dekoracji.

Nikogo nie ma.

Czyngis przypina się do liny. Mocuje pętlę hamującą. Zawisa na linie, zaczynając ślizg. Jego zejście coraz szybciej przechodzi w lot, w niemal niekontrolowany spadek.

Do licha. Nie lubię złych przeczuć. Bo czasem się sprawdzają.

– Przecież to i tak na niby – mówi niepewnie Pat. – Nawet gdyby coś... sami wszystko zrobimy, a Czyngis niech nam zazdrości...

Próbuje chichotać, ale tak nieśmiało, że w jego wesołość nikt nie wierzy.

– Schodzi – mówi Padlina. Osłania dłonią oczy, jakby w tym betonowym pudełku było słońce, i patrzy w górę. – Wszystko okay... chyba jedzie... trochę szybciej niż Sasza.

Milczę. Wolę nie tłumaczyć, że Szurka i tak zjeżdżał zbyt szybko i na pewno stracił jakieś dziesięć procent życia przy uderzeniu o podłogę...

– Czyn! – wyje radośnie Pat na widok sunącej na linie postaci. – Dalej, dalej! Nie śpij!

Czyngis chyba nie śpi... wręcz przeciwnie.

Był już zupełnie nisko. Mniej więcej na wysokości dwudziestego piętra...

I wtedy to się stało.

Widzę, że Czyngis rozkłada ręce. Kawałków pętli nie widać, ale nietrudno się domyślić, że lecą obok.

– Nie! – krzyczy Pat i rzuca się do liny. Padlina bez słowa, błyskawicznie łapie go za kołnierz.

Czyngis leci obok liny, głową w dół. Rzemień, którym był przypięty, wytrzymał szarpnięcie. Ale teraz jego zjazd to po prostu upadek. Ze wszystkimi konsekwencjami.

– Pokój waszemu domowi – mówi nieoczekiwanie Padlina. Pat kopie go po nogach, ale haker tego nie zauważa.

W ostatniej chwili Czyngisowi udaje się wczepić w linę. Oczywiście nie może już wyhamować, ale mimo wszystko trochę zwalnia.

Spada przy uchodzącej w beton podstawie liny. Bezgłośnie.

Za to Pat wrzeszczy wniebogłosy.

Pierwsza do Czyngisa podbiega Nike. Przez sekundę patrzy na jego twarz, potem wyciąga apteczkę – no proszę, nie wiedziałem, że ma zapasową – i przykłada do ciała.

– Niemożliwe... – mówi Crazy, wyjmując swoją apteczkę.

Po trzeciej i ostatniej naszej apteczce, którą miał Maniak, Czyngis otwiera oczy.

– Wyglądasz jak zombi – informuje go Pat. Gdy Nike wyjęła apteczkę, dzieciak natychmiast przestał krzyczeć. I teraz chyba wstydzi się swojej reakcji.

– Wierzę – odpowiada krótko Czyngis.

Jest cały we krwi. To trochę nienaturalne, przecież nie widać żadnych ran, ale program Labiryntu przywykł pokazywać uszkodzenia ciała właśnie w ten sposób. Jedno oko Czyngis ma podbite, rękawiczki w strzępach.

– Jakim cudem spadłeś? – Padlina pochyla się nad nim i jednym ruchem stawia na nogi. Czyngis chwieje się, ale stoi.

– Rzemień mi się wysliznął – odpowiada po prostu. – Dziwne...

– Co w tym dziwnego? – pyta Dick. – Dziwne raczej, że stało się to tylko z tobą...

– Dziwne, że żyję.

– Nikt już nie ma apteczki? – przygląda się nam Nike. W milczeniu podaje odebraną Magowi kanapkę.

– Dziękuję, najadłem się wrażeń...

– To pięć procent życia.

Czyngis je w milczeniu. Kanapka nie powoduje widocznych zmian w jego wyglądzie.

– Puścimy cię przodem. Będziesz straszył potwory – mówi złośliwie Pat.

– Najpierw trzeba do nich dojść. Jest tu wyjście?

Ruszamy, nie umawiając się – ja w lewo, Crazy w prawo. Obchodzimy budynek, wracamy do naszych. Drzwi nie ma.

– W takim razie strzelaj – Czyngis kiwa na mnie. – Bardzo bym chciał znaleźć kilka apteczek.

– Zaczekajcie. – Crazy podchodzi do Maniaka – Potrzebuję twoich oficjalnych danych bankowych.

Na twarzy Maniaka powoli pojawia się uśmiech.

– Numer karty kredytowej i kod PIN również?

– Sam wprowadzisz. Jak będziesz wyciągał tysiąc dolców.

– Jakie tysiąc dolców?

– Rano skierowałem do rady nadzorczej Labiryntu oficjalne pismo o przeprowadzeniu inspekcji z udziałem osób postronnych. Przecież chciałeś udowodnić, że nadal można wnieść do Labiryntu broń wirusową.

Chyba nawet Czyngis poczuł się lepiej.

– To znaczy, że możemy się nie obawiać konsekwencji sądowych? – precyzuje Maniak.

– Za co? Za kontrolę systemów bezpieczeństwa, o której uprzedzono jeszcze wczoraj? – odpowiada z lekkim uśmiechem Crazy.

– Nie mogłeś powiedzieć nam o tym wcześniej?

– Wydawało mi się, że teraz jest najbardziej odpowiedni moment.

Rozumiem go. Pozytywne emocje są nam bardzo potrzebne. Na dobre wiadomości musi być odpowiedni czas, podobnie jak na złe.

– Tysiąc dolców?

– Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć. Nie mam prawa wypisywać czeków na czterocyfrowe sumy.

Nike uśmiecha się. Dla niej to rzeczywiście dobra wiadomość. Dlaczego poszła z nami, skoro postanowiliśmy złamać prawo, skoro to niweczyło jej marzenie o pracy w Labiryncie?

Pat ma minę człowieka, który dobrze wie, jak wydałby te pieniądze.

Maniak dyktuje Crazy'emu swoje dane, ja szukam miejsca na przebicie wyjścia. Dwadzieścia metrów powinno wystarczyć, żeby nas nie zahaczył wybuch...

– Do roboty – zachęca mnie Padlina. – Nie ma na co czekać.

Cmok...

Puszczam cyngiel i rakieta, gwizdząc, leci ku przeciwległej ścianie.

Efekt przechodzi najśmielsze oczekiwania. Ze ściany odpada potężny kawał, mniej więcej pięć metrów szerokości i trzy wysokości. W dziurze widać szeroką pustą ulicę.

Mało tego.

Z wizgiem zrywa się kilka lin, takich jak te, po których schodziliśmy, tylko naciągniętych przy przeciwległej ścianie. Strzelają w górę, strącając po drodze poprzeczki rur.

Cała betonowa igła nad nami drga.

Nad dziurą pojawia się pęknięcie i biegnie coraz wyżej.

Budynek drży. W górze narasta huk i robi się coraz ciemniej. Lampy gasną po kolei.

Nie ma to jak kontrola Labiryntu z udziałem osób postronnych!

– Nie podejrzewałem cię o takie głupie żarty – mówi stłumionym głosem Padlina. – Uwaga, chłopcy! Uciekamy!

Nie trzeba nikogo namawiać.

Wyskakujemy na ulicę, niczym piłkarze z szatni przed pierwszą połową, jeszcze radośni, zwawii i pełni nadziei...

Mamy i publiczność: jakieś dwie setki potworów. Najróżniejszych. Gigantyczne ślimaki, jaszczury, pająki, inne stwory wysokości wieżowca kroczą na przedzie, dumnie i niezgrabnie. Cały ten tłum podążał dokądś ulicą i właśnie mijał budynek, gdy my wyszliśmy. Jeśli wierzyć Crazy'emu, nie powinno wśród nich być programów – jedynie gracze po stronie wrogów.

Sądząc po szaleństwie w oczach, tak właśnie jest.

Nikt nie próbuje mierzyć z nimi sił, nawet nasz wojowniczy nastolatek. Zaczynamy biec w drugą stronę. Ze zgodnym wyciem cały tłum rzuca się za nami.

A betonowa igła wali się w gruzy.

Teraz rozumiem, co czuli budowniczy wieży Babel, gdy zaczynała się walić. Ten proces nie został w Biblii szczegółowo opisany, ale wydaje mi się, że był dość szybki i bardzo spektakularny. Bóg lubi efektowne widowiska, a my, ludzie, małpujemy go pod tym względem.

Zaabsorbowane pogonią potwory nie od razu rozumieją, co się dzieje. Czegoś takiego w Labiryncie jeszcze nie było.

Najpierw sypie się kamienny grad. Potem lecą kawałki ścian, przy czym lwią ich część spada akurat na łby armii nieprzyjaciela. Pół minuty później, gdy my bijemy wszelkie możliwe rekordy na krótkie dystanse, ulica za nami przemienia się w kopalnię odkrywkową. Będą tu potrzebne maszyny z dziewiątego poziomu... to dopiero robota!

Z gruzów jeszcze przez jakiś czas wystają co wyższe stwory przypominające bajkowe trolle. Nawet udaje im się rzucać w nas kawałkami muru, na szczęście pułują.

W końcu nieszczęsny drapacz chmur rozpada się ostatecznie, grzebiąc pod sobą bohaterów walki z ziemskim desantem.

Zatrzymujemy się dopiero po jakimś kilometrze. Wstrząśnięty Crazy kręci głową, oceniając rozmiary ruin. Nad kamiennym kurhanem wisi obłok pyłu w kształcie grzyba.

– I rozproszył ich Pan po całej ziemi... – mówi Nike, łapiąc oddech. – I przestali oni budować miasto i wieżę...

Więc nie tylko ja miałem takie skojarzenia.

– Dlaczego ty nigdy nie możesz zrobić czegoś cicho, starannie i czysto? – pyta Crazy zatroskanym głosem.

– Taki charakter... – próbuję się usprawiedliwić.

– To jak, możemy liczyć na premię? – pyta niewinnie Maniak.

– Zniszczyliście prawie całą grupę ochrony Imperatora! – krzyczy ze złością Crazy. – Na pewno jacyś gracze weszli na ostatni etap i teraz pójdą do pałacu, spacerkiem, przez park!

– Czy to źle? – pytam.

Crazy chwilę milczy. Wreszcie wzdycha i beznadziejnie macha ręką.

– Co się stało, to się nie odstanie... Idziemy do pałacu.

– Najpierw musimy się zapisać! – włącza się Pat. – Bo jak kogoś trzasną...

– System nie pozwoli wam się zapisać. Formalnie nas na tym poziomie nie ma.



Maniak patrzy spod przymkniętych powiek.

– Jesteś pewien? Czyli musimy przechodzić poziom od pierwszego kopa?

– Jestem. To są właśnie minusy wejścia kuchennymi drzwiami.

– Niedobrze – mówi Szurka. – W takim razie musimy poszukać uzbrojenia... apteczek, kamizelek...

– Nie ma tu nic. Ostatni poziom przechodzisz z tym, z czym wszedłeś.

Tym razem nikt się nie odzywa. Ogólną opinię wyraża Padlina:

– Tak... osiągnęliśmy, co chcieliśmy, ale czy nas to cieszy?

Pałac Imperatora to niewielki, dość przyjemny na oko budynek z czarnego kamienia.

Obserwujemy go, czając się za drzewami parku. Drzewa mają zabawne, wymyślne kształty i różnokolorowe liście. Wokół nich latają motyle wielkości dłoni. Gdy zobaczyliśmy je po raz pierwszy, wszyscy sięgnęli po broń, ale Crazy w proteście zamachał rękami. Motyle nie są groźne. Drzewa też nie. Tu wszystko dyszy błogim spokojem. Wszystko jest zwyczajne – błękitne niebo, kolorowe liście, ciemnoniebieska woda w stawach. Żadnych pułapek. Ochrony przed pałacem też nie powinno być. Imperator nie potrzebuje ochrony.

Czekamy.

– Jesteś pewien, że on nas zarejestrował? – pytam Crazy'ego.

– Tak. To nie człowiek, to program. Każdy gracz, wchodzący na teren parku, trafia do jego bazy danych. Po prostu nigdy się nie spieszy.

Lenistwo Imperatora to nasza szansa. Chodzi o to, żebyśmy zdążyli podejść do pałacu, zanim Imperator wyjdzie nas powitać i zanim dostrzeże nasz nadchodzący zespół. Teraz wszystko, albo prawie wszystko, zależy od tego, czy wybraliśmy dobry moment...

– Idą – mówi z ulgą Maniak, który obserwuje wejście do parku, wysoką bramę w symbolicznie ażurowym ogrodzeniu.

– Idzie – odpowiada niczym echo Crazy.

Nie znam zespołu, który wszedł do parku. Niepotrzebnie oskarżałem swoich pierwszych towarzyszy, niepotrzebnie podejrzewałem, że wśród nich jest Ciemny Nurek, Oni jeszcze długo będą pełznąć po poziomach, ginąć i zmartwychwstając, strasząc innych opowieściami o taaaakich muchach i węzach plujących jadem. Daleko im do końca Labiryntu...

Ten zespół wyruszył na swoją wyprawę krzyżową miesiąc albo dwa temu.

Kilkanaście osób. Mężczyźni, kobiety, dziewczyna. Ich prawdziwego wieku, płci, ojczystego języka nie poznamy nigdy. Nie są dla nas ani przyjaciółmi, ani wrogami... po prostu mięso armatnie.

Mięso nie musi znać swojego przeznaczenia.

A Imperator, którego zabicie jest celem całej tej gry, właśnie wyszedł z pałacu.

Programiści nieźle sobie zakpili. Imperator jest nie tylko człekokształtny, to po prostu człowiek. Ma na sobie śnieżnobiałą togę. Jest wysoki, jasnowłosy, o szlachetnych rysach. I niemal na pewno ma niebieskie oczy: Uosobienie marzeń nazistów.

Śmiercionośne jak sam nazizm.

– Zgodnie z legendą gry – mamrocze Crazy – od wielu tysięcy lat kosmici porywają ziemskie dzieci, by wyhodować z nich swojego Imperatora... dają mu olbrzymią siłę i okrutną moc. Przecież

ludzie to najbardziej doskonale i śmiertelne istoty wszechświata... to głęboko filozoficzny i symboliczny pomysł.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Popatrzyłem na Imperatora i spróbowałem go ocenić. Trudno było cokolwiek zrozumieć, przecież nie znałem szybkości jego reakcji, nie wiedziałem, jakiej broni może użyć. W niespiesznych ruchach narysowanej postaci był jakiś drapieżny wdzięk, który mi się nie spodobał.

– Celem gry nie jest po prostu zabicie lidera wrogów. Gracz musi zrozumieć, że w każdym wrogu zabija własnoręcznie ojca, syna, brata, przyjaciela. W ten sposób Labirynt nie propaguje przemocy i ksenofobii, przeciwnie, stosunkowo przeciwstawnie...

Trudno słuchać obcokrajowca przez program tłumaczący.

Deep Enter.

– ... i my udowodniliśmy komisji Kongresu, że nie jesteśmy prorokami przemocy i okrucieństwa...  
– głos Crazy'ego staje się coraz bardziej nerwowy. Imperator ze spokojnym uporem idzie w naszą stronę, nie zwracając uwagi na nowych gości.

Na szczęście oni go widzą.

Trzy osoby z obcej drużyny klękają zgodnie, celując w Imperatora z miotaczy rakiet... Pozostali unoszą swoją broń nad ich głowami... część tego uzbrojenia znam, ale niektórych wymyślnych armat nie wymyśliłbym nawet po pijanemu.

Nie słyszę odległego cmokania, ładujących się miotaczy. Liczę je w myślach.

Trzecia rakietka weszła, czwarta, piąta...

Co się stanie?

To naprawdę doskonale zgrany zespół. Wszyscy strzelają jednocześnie.

Fontanna ognia.

Osiemnaście rakiet naraz... plus cała reszta: pierścienie błękitnego światła, snopy błękitnych igieł, kłęby płomienia, wirujące ostrza, jadowicie zielony żel...

– Teraz! – krzyczy Crazy, gdy Imperator wynurza się z ognistej burzy, cały i zdrowy; najmniejszej rany, nawet nie potargały mu się jasne loki. Odwraca się do obcej drużyny i idzie w ich stronę lekkim i szybkim, jakby tanecznym krokiem.

Wszystko dawno omówiliśmy i wyliczyliśmy.

Pierwszy biegnie Czyngis. Jest ledwie żywy i dlatego zgłosił się do tego „rozpoznania walką”.

Ale Imperator nie zwraca na niego uwagi.

Możliwe, że obcy zespół nas zauważył, ale zbyt są skupieni na Imperatorze. Szli do niego przez długie tygodnie, pokonując przeszkody najtrudniejszej gry w historii ludzkości. Walczyli z programami, które nie umieją myśleć, ale za to nie chybują. Walczyli przeciwko ludziom, którzy uznali ich za konkurentów, przedzierali się przez szeregi potworów, którymi kierowali tacy sami ludzie.

Teraz cel gry mają przed sobą.

Teraz Crazy mógłby im do zachrypnięcia udowodniać, że Labirynt kształci w człowieku humanizm i tolerancję. Może nawet się z nim zgodzą.

Po grze.

Rozlegają się salwy.

Trzech graczy skacze do przodu, na Imperatora. Albo próbują nawiązać walkę z bliska, albo poświęcają siebie, odciągając uwagę wroga...

Wymach ręki Imperatora – niczym gest z trybuny. Z ręki odrywa się krąg białego światła, otulając całą trójkę. Ich wrzask jest niemal niesłyszalny przez łoskot wybuchów. Idylliczny park płonie, ogromne motyle składają skrzydełka i spadają na trawę. Jeden ląduje tuż pod moimi nogami. Kilka ruchów skrzydeł i zarył się w ziemi.

Czyżby były zaprogramowane?

A może się wyewoluowały?

– Idziemy!

Zrywamy się i rzucamy do pałacu. Przed nami jest Czyngis. Biegniemy za nim we czwórkę – ja, Crazy, Pat i Nike.

Pozostali zajmują pozycję do obrony.

Nie poradzimy sobie z Imperatorem. Albo zabije go tamta drużyna, albo on nas załatwi. Ale nie przyszliśmy tu, żeby walczyć z nieistniejącym wrogiem. Nasz wróg jest realny, jego cel też. A grupa osłony wie, że przyszła tu, by umrzeć.

– Wejście do Świątyni jest w sali tronowej – powtarza w biegu Crazy. – Trzeba zniszczyć tron. To nie należy do warunków gry i nikt dotąd tego nie robił... co najmniej pięć rakiet...

Czyngis nurkuje w drzwi pałacu, wyskakuje z powrotem, macha do nas – droga wolna.

A Imperator kończy rozprawę z obcym zespołem.

Dobiega mnie czyjś szczególnie przejmujący krzyk, odwracam się w biegu – to Imperator zabija graczy gołymi rękami. Chwyta, potrząsa i rzuca na ziemię kukły z połamanymi kośćmi. Właśnie załatwił dziewczynkę.

Jak dobrze, że Nieudacznik, którego dwa lata temu wyciągałem z poprzedniego Labiryntu, nie doszedł do końca gry... bez względu na to, kim był, nie powinien oglądać naszych gier.

Cóż, my jesteśmy w porządku. Tylko mamy kretyńskie gry.

W tej samej sekundzie Padlina zaczyna strzelać.

Nie mam pojęcia dlaczego. Zgodnie z umową powinniśmy czekać, aż Imperator załatwi tamtych graczy. Ale Padlina nagle otwiera ogień z marnego pistoleciku, którym nawet zwykłego potwora nie od razu załatwisz.

Imperator odwraca się, jakby nie rozumiał, co się dzieje. Jego oczy zmieniają się w oślepiające reflektory.

Proszę, jaki zdolny...

Szkoda, że Padlina nie zdąży tego właściwie ocenić.

Haker czernieje, jeszcze przez sekundę stoi, a potem poryw wiatru zmienia go w obłok popiołu.

Szybko, efektownie i bez sensu.

A byłem pewien, że Padlina wytrzyma dłużej niż my wszyscy!

Stoimy przy wejściu. Pat chce się obejrzeć, ale ja mocnym klepnięciem posyłam go do pałacu. Nie musi patrzeć na to, co się tu dzieje.

Cały nasz zespół już strzela. Resztką obcej drużyny również.

Czy mi się wydawało, czy ruchy Imperatora lekko się spowolniły?

Nike i Crazy również znikają w drzwiach. Kiwam na Czyngisa.

– Zasuwasz – mówię.

– Ja zostaję.

– Zwariowałeś?

– To gra! – krzyczy Czyngis. – Ocknij się, nurku! Szukaj wejścia do Świątyni! To tylko gra!

Wszystko jest na niby! Idź, dam wam dziesięć sekund!

Klepię go w ramię i wskakuję do środka.

Ma rację. A ja, głupi, jak zwykle uwierzyłem w rzeczywistość wydarzeń.

Długi korytarz, ascetycznie chłodny. Płaskorzeźby na ścianach przedstawiają jakieś wyszukane herby. Towarzysze czekają na mnie niecierpliwie.

– Wiesz, gdzie jest sala tronowa? – pytam Crazy'ego.

W milczeniu kiwa głową i biegniemy naprzód.

– Chłopcy załatwią Imperatora! – oznajmia bez szczególnej pewności Pat. Miotacz trzyma w rękach, jakby spodziewając się zasadzki. Niepotrzebnie. Przecież Crazy mówił, że w pałacu nikogo więcej nie ma. – Padlina mi mówił, że każdy potwór ma taki czuły punkt, i on go znajdzie, i...

Okrągła komnata w końcu korytarza. Dick obmacuje ścianę, naciskając niepozorny przycisk. Dopiero wtedy dociera do mnie, że pomieszczenie jest windą.

Unosimy się w górę, powoli i uroczyście.

– Może nie trzeba było do niego strzelać? – pytam, próbując złapać oddech. – Co, Dick? Pogadać o pokoju i miłości, zesocjalizować...

Crazy uśmiecha się słabo. Jest bardzo blady i od czasu do czasu kładzie rękę na lewej stronie piersi.

– Nie pogadasz sobie z nim. Nie umie mówić. Imperator to czysto bojowy program...

– Niedopatrzenie. A co ze słabymi punktami?

– Tylne strona łydek – odpowiada poważnie Crazy. – Kości skroniowe. Coś tam jeszcze... ale to bez znaczenia. Nawet tamta drużyna miała za słabe uzbrojenie, a co dopiero my.

Winda się zatrzymuje.

– Sala tronowa, jesteśmy na miejscu – mówi z ulgą Crazy. Wskakujemy do przestronnego romboidalnego pokoju, surowego i monumentalnego. Tylko tron w odległym kącie rombu robi wrażenie, ogromny, z połyskliwego srebrzystego metalu.

I dwóch ochroniarzy przy tronie.

Nie spodziewali się nas. Pewnie jeszcze nikt nie próbował wdrzeć się do pałacu, przecież nie to jest celem gry. Pierwszy strzela Pat i jaszczur rozlatuje się na krwawe strzępy. Slimakopodobny potwór zwleka kilka sekund, wreszcie odchyła głowę i pluje na nas jadowitą zieloną śliną.

Ślina nie dolatuje – z sykiem paruje na marmurowych płytach podłogi.

– Też mi, sir Max nedorobiony – mówi pogardliwie Pat, strzelając jeszcze raz. Ślimak z ręcznie się uchyla i zaczyna strzelać do Nike. Jej igłowy karabin przemienia potwora w dygoczące sito.

– Marzenie radzieckiego inteligenta – mówi Nike zerkając na Pata. – Spluwasz na wroga, a on umiera... może nasi programiści przyłożyli do tego rękę? Brawo, Pat!

Winda za naszymi plecami drga i zjeżdża na dół.

– Czyngis? – pyta nieśmiało Pat.

– Nie łudź się. – Crazy wskazuje głową tron. – Pięć rakiet, szybko!

Ja i Pat strzelamy jednocześnie. Dwie. Cztery. Sześć. Z zapasem...

Metalowa konstrukcja wybucha i rozpada się, rozchylając płatki poczerńiałego metalu. W środku tego kwiatka – purpurowoczerwone, drżące lśnienie.

– Szybko!

Crazy i Nike rzucają się do środka, a Pat z nadzieją patrzy na windę, która już jedzie w górę.

Chwytam chłopca za łokieć i wlokę do rozwalonego tronu.

– Tam są Czyngis i Padlina! – krzyczy uparcie Pat.

– Oni już dawno nie żyją! – odpowiadam bez zbędnych sentymentów i wrzucam Pata w lśnienie kwiatu. Znika, podobnie jak przed chwilą Nike i Crazy.

Skacząc w ślad za nim, oglądam się na windę. Jeszcze zauważam jasne włosy i płonące błękitnym światłem oczy. Za późno, przyjacielu.

Ciemno. Szara mgła. Pode mną wierci się Pat; przycisnąłem go, spadając.

– Leonid?

Crazy pomaga mi wstać i uśmiecha się krzywo. Przedarliśmy się jednak...

Wokół mglista nicość. Tylko grunt pod nogami, tylko nasza czwórka. I mgła. *Deja vu* w czystej postaci.

– Co się dzieje? – pytam, podnosząc Pata. Dzieciak sapie oburzony i otrzepuje się.

– Przerwa – odpowiada Crazy. – Świątynia potrzebuje czasu, żeby się złożyć. To nic, teraz już wszystko w porządku...

– Jak do niej wejść? Wspominałeś o jakimś teście dla nurków.

Crazy kiwa głową.

– Tak naprawdę to bardzo proste, Leonid. Przejdziemy. We dwóch przejdziemy...

Patrzę na Nike.

Nadal trzyma karabin w pogotowiu.

Ja też nie spuszczam palca ze spustu.

– Połóż broń, Nike – mówię.

Twarde spojrzenie. Bardzo twarde i skupione.

– Jesteś pewien, Strzelcu?

– Oczywiście. Nie chcę, żeby ci przyszło do głowy, że możesz wejść do Świątyni sama.

– Lonia, uspokój się – mówi szybko Crazy. – Wejść może tylko nurek.

Lekki uśmiech na twarzy Nike.

– Dick, ocknij się – mówię tylko. – Przypomnij sobie, jak zjeżdżała po linie! To nurek, Crazy! Taki sam jak ty i ja!

Nike kładzie broń na ziemi i podnosi ręce.

– Chłopcy, nie mam zamiaru do was strzelać. Mamy jeden cel...

Widzę, jak rozszerzają się oczy Pata, jak trzęsą mu się ręce.

I wiem, o czym pomyślał.

Tak, to na pewno nieprzyjemne. Uważać kogoś za przyjaciela, może nawet zakochać się po dziecięcemu...

I zrozumieć, że to wróg.

Ciemny Nurek.

– Mylicie się wszyscy – mówi cicho Nike.

Crazy dzisiaj ciężko myśli. Ale teraz nawet on celuje do Nike z karabinu.

– Jesteś nurkiem – mówię.

– Tak. Podobnie jak wy. Czy to powód, żeby mnie zabić? Jeśli tak, to zabijcie.

Patrzemy na siebie i wtedy słyszę obok znajome cmoknięcie. Zdążam odsunąć lufę miotacza i puszczone przez Pata rakietą odlatuje w mgłę.

– Przestań!

– Spaliła mój komp! – krzyczy ze łzami w oczach Pat. – To ona, on...

Ale nie myśli teraz o komputerze. Gotów jest zastrzelić siebie, swoją sympatię do Nike, wdzięczność za pomoc, przywiązanie... te minuty, gdy wisiał na niej, zamierając z lęku wysokości i z obawy przed kobiecym ciałem pod rękami...

– Pat, nigdy nie działaj pochopnie – mówię.

W tym momencie zapala się światło. Mgła się rozplywa.

A wśród nas pojawia się Imperator.

Zwleka długo, bardzo długo. Jakby nie był programem, który umie tylko zabijać. Rozgląda się, ludzkim ruchem odwracając głowę.

Crazy Tosser patrzy na niego i cofa się o krok.

Czy dzieje się coś, co dzieć się nie powinno?

Nike już schyla się po broń; stoi za plecami Imperatora, więc on jej nie widzi. Ale na to potrzebny jest czas...

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Wymacałem na stole myszkę. Ruchy, które rejestruje kombinezon, są wygodniejsze, ale mysz mimo wszystko działa szybciej.

– Kim jesteście? – zapytał spokojnym głosem Imperator, który podobno nie umiał mówić.

Crazy Tosser nacisnął na spust.

Ostrza wyskoczyły z karabinu srebrzystą wstęgą i natychmiast odcięły nietykalnemu Imperatorowi lewą rękę.

Albo dotarł tutaj u kresu sił, albo był nietykalny tylko na swoim terytorium.

Zresztą i tak zachował zdolności bojowe.

Z nagłym rozbłyskiem Crazy czernieje; jego karabin, nieuszkodzony, wypada ze spopielonych raje.

Pat, naprawdę mówiłem ci, żeby nigdy nie działać pochopnie? Myliłem się...

Krzyżyk celownika na skroni... Imperator jakby to wyczuł; przesunął się w bok jednym skokiem, chwycił ocalałą ręką Pata i zasłonił się nim. Z kikuta chlustała krew, twarz Imperatora szybko bladła.

Samokształcący się program?

– Kim ja jestem? – spytał Imperator.

Poczułem, że zaraz wysiądą mi nerwy.

Zbyt głęboko weszliśmy w Głębię. Robimy interfejsy, – które stają się równe właścicielowi. Tworzymy programowe sługi, które uczą się lepiej od zwykłych ludzi.

Czym może stać się program, który dzień po dniu zabija i jest zabijany? Program, który działa bez przerwy, pobierając w miarę potrzeby ogromne rezerwy z sieci? Program, który ma obowiązek odpowiadać każdej nowej taktyce i strategii przeciwnika który powinien umieć oceniać ludzkie reakcje, słuchać i rozumieć rozmowy, zadawać ciosy – nie tylko celne, ale i groźne psychologicznie?

– Strzelaj, Lonia! – krzyknął Pat.

Czy w programie „Imperator” przewidziano możliwość brania zakładników?

A możliwość pertraktacji pokojowych?

– Strzelaj!

Popatrzyłem na ekran i zobaczyłem, jak rozpalają się oczy Imperatora. Narysowany Pat w ręku narysowanego Imperatora, narysowana krew leje się z narysowanej rany. Teraz obaj są jednakowo nierealni, jednakowo animkowi. Kukła, którą porusza znajdujący się w deep hipnozie chłopak, kukła stworzona przez program...

Nie prowadź negocjacji z terrorystami...

Nacisnąłem na spust.

Wybuch odrzucił mnie na ziemię. Kombinezon lekko się zacisnął, naśladując uderzenie przy upadku.

Deep Enter.

Tęcza w szarej mgle...

Wstaję, ściskając miotacz rakiet. Chyba już nie ma w nim pocisków... nie, jest jeszcze jeden, Resztki Imperatora i Pata leżą porzucane wokół.

Zaczyna mnie mdlić.

– Leonid...

Odwracam się i patrzę na Nike.

Ona też oberwała od wybuchu; klęczy, a broń w jej rękach celuje prosto we mnie.

– Wszystko zrobiłeś dobrze – mówi dziewczyna. – Pat jest bystry, że to odgadł. To wszystko nieprawda. To gra. To Głębia. Oni nie umarli naprawdę. Ważne, żeby ktoś wszedł do Świątyni. Wszyscy to zrozumieli.

– No i kto wejdzie do Świątyni? – pytam. Mój palec też spoczywa na spuście miotacza. Które z nas umrze szybciej, jeśli strzelimy jednocześnie? Ile będę miał szans, jeśli wystrzelę pierwszy?

Czy to ważne? Co jest ważne? Zdobyć list. Dowiedzieć się, co ukrywa przed światem Dibienko.

– To jest ważne – mówię. – Wejść do Świątyni.

Nike kiwa głową.

– Tak, Strzelcu. Rozumiem. Ale przecież już próbowałeś to zrobić...

– Kim jesteś? – pytam. – Kim jesteś, Nike? Milczy, wreszcie uśmiecha się leciutko i kręci głową.

– Póki nie zrozumiesz sam...

– Więc idę! – krzyczę i naciskam spust.

Nike ma pół sekundy, gdy ostatnia rakietka wchodzi do lufy, i kolejne pół, zanim rakietka pokona dzielące nas kilka metrów. Wystarczy, by mnie poszatkować.

Ale Nike nie strzela.

– Nie! – krzyczę, gdy ognista fontanna rozpala się we mgle. Ale nawet w Głębi nie wszystko można odegrać jeszcze raz. Stoję sam w morzu mgły, obok garstki popiołu – pozostałości po Crazy Tossarze, obok krwawych strzępów ludzkich ciał i programu „Imperator”.

Sam.

To dziwne, ale na końcu zawsze jesteś sam.

Rzucam miotacz na ziemię. Teraz już na pewno nie będzie mi potrzebny.

Wiem, co muszę zrobić. Nie wiem tylko jak.

Może Crazy by wiedział. Ale go przy mnie nie ma.

Robię krok – i pole bitwy usuwa się spod moich nóg. Znowu jestem sam na sam z mgłą i ciemnością.

Sam na sam ze swoim koszmarem.

Jeden krok, drugi. Najpierw zawsze poruszasz się na chybił trafił. I gdy widzisz światło w oddali, możesz pocieszać się, że wybrałeś słuszny kierunek. Ale ja wiem, że muszę zobaczyć światło.

Bez względu na to, gdzie pójdę.



Głębia to trochę więcej, niż wydaje się na pierwszy rzut oka. Podstawa jest prosta i zrozumiała. Trójwymiarowe światy połączone w wirtualne miasto Deeptown. Możliwość przemieszczania się, mówienia działania – dzięki użyciu drogiego wirtualnego kombinezonu i hełmu albo zwykłej klawiatury i myszy. Deep program i tak zniweluje różnice do zera, zmusi cię, być uwierzył, że nie naciskasz na klawisze kursorów, lecz chodzisz po realnym świecie. Deep program to główny czarownik wirtualnego świata.

Ale jest coś jeszcze. Coś więcej, co pozwala widzieć błędy w cudzych programach jako niedomknięte drzwi i przekrzywione płyty. Coś, co pozwala nurkom wyjść z Głębi w dowolnym momencie – gdy pozostali tego nie potrafią.

Dwa lata temu zdawało mi się, że przekroczyłem granice. Że wszedłem w Głębię bez komputera. Nauczyłem się przechodzić przez ściany. Mogłem robić w Głębi wszystko – wszystko, czego tylko zapragnąłem.

Szkoda, że sny się kończą.

To była tylko deep psychoza. Tylko. Wymyśliłem sobie swoje szczególne zdolności, wyobraziłem sobie, że jestem supermanem wirtualnego świata. Jak mówi Vika – hiperkompensacja.

Cóż, przywykłem żyć z deep psychozą.

Tym bardziej że czas nurków się skończył...

Oczywiście, coś niecoś osiągnąłem. Nieudacznik mi się nie przyśnił. A dopóki on był w Głębi, rzeczywiście mogłem robić małe cuda; Ale świeciłem światłem odbitym od niego. Bez względu na to, kim był – przybyszem z dalekich gwiazd, sztuczną inteligencją, podróżnikiem w czasie – to wszystko było w nim. Cała siła, wszystkie cuda wszystkie wyczyny i przygody.

On odszedł, a ja zostałem sam na sam ze sobą. Były nurek. Prawdziwy nieudacznik.

Dlaczego w takim razie stoję przed mostem, który od miesięcy widziałem w snach?

Przed mostem wiodącym do Świątyni Nurka w Głębi?

Mostem z nici, po którym nie mogę przejść?

Czy on istnieje?

Co się ze mną dzieje – nowy atak, halucynacja, niemożliwy zbieg okoliczności?

Czy mimo wszystko wróciło coś z przeszłości?

Nie wiem.

Lewa ściana – błękitny lód. Prawa – czerwony ogień. Tak długo próbowałem przejść pomiędzy nimi... wypróbowałem wszystko, co tylko mogłem wymyślić. A tam, na końcu kanionu z ognia i lodu pali się iskierka żywego ciepłego światła. Tam jest Świątynia. Kawałek odchodzącej przeszłości. Odpowiedź na przyszłe pytania.

Muszę przejść. To mój obowiązek. Następnej próby nie będzie.

Dotykam nici stopą. napięta jak struną cienka linia pomiędzy prawdą a kłamstwem, most między dobrem a złem, przewodnik z przeszłości do przyszłości...

Odpowiedź mam tuż obok. Wszystko jest bardzo proste, powiedział Crazy. Każdy nurek powinien się domyślić, w czym tkwi zagadka. To nie chytra pułapka czy zasadzka na wroga. To tylko test odsiewający obcych.

Jestem swój... jestem swój, powinienem zrozumieć...

Lewa ściana zabija powoli i stopniowo. Wystarczy chwycić się jej w poszukiwaniu oparcia, w nadziei zapobieżenia upadkowi. Łód skuwa ręce, zimno dopęłza do serca, zamraza ci krew.

Nie chcę lodu.

Prawa ściana działa szybciej. Wybuch ognia i nawet nie zdążysz poczuć bólu. Ognista kąpiel. Szczodry płomień. Wolność bycia popiołem.

Nie chcę ognia!

Wszystko jest bardzo proste, musi być proste. Nie pomoże mi wyjście z Głębi, co nurkowi przychodzi do głowy przede wszystkim. Próbowałem. Most znika, zostaje ogień i lód.

Co wymyśliliście, chłopcy?

Co powinienem zrozumieć, stojąc przed mostem wiszącym w poprzek bezdennej przepaści?

Nie. Zaczniemy inaczej...

Czego nie mogę zrozumieć?

Co straciłem, gdy dostałem deep psychozy?

Możliwość widzenia dziur w cudzych programach? Nie, to stracili wszyscy, budowniczy Świątyni również.

Kontakt z rzeczywistością?

Nie. Mogę wyjść z Głębi w każdej chwili. Po prostu nie chcę tego robić.

Przestałem wierzyć w nierealność Głębi. Gotów jestem uznać ją za prawdziwe życie. Zastąpiła mi wszystko... no, prawie wszystko.

A Głębia to tylko odbicie świata.

Lśniące wieżowce i luksusowe pałace wydają się niedopracowane. W bajkowych ogrodach i parkach jest zbyt ładna pogoda. W narysowanych twarzach zbyt rzadko można zobaczyć żywe oczy.

Głębia to zabawka w naszych rękach.

Dobra, zła i po prostu obojętna.

Ta szara mgła, ten lód i ogień... To nic, przecież przepaść to tylko wymysł. Rysunek na ekranie. Bezdenne przepaść pod nogami to fikcja. Sztuczne strachy.

Robię krok – mały krok do przodu, stoję teraz jedną nogą na strunie, a drugą na twardej, pewnej ziemi.

Muszę przejść.

Kilometrowej drogi po cienkiej wibrującej nici nie może pokonać zwykły człowiek. Zdolności nurka w niczym nie pomogą. Most zniknie.

Nie wolno zwlekać, gdy kończą się siły.

– Głębio – mówię, robiąc krok do przodu. – Głębio, jesteś moja.

Bez nas jesteś niczym, Głębio...

Idę obok nici. W przepaść. W nicość.

Lewa ściana – błękitny lód, prawa – czerwony ogień...

Wiatr siecze mnie po twarzy, jednocześnie palący i zimny.

Tak chciałoby się dotknąć – czegokolwiek, ognia albo lodu! Przerwać upadek, zakończyć ten niekończący się lot!

Ale to byłaby klęska, jak poprzednio, jak tyle razy wcześniej...

Tracę poczucie kierunku.

Są tylko dwie płaszczyzny, ognista i lodowa, pomiędzy którymi spadam.

Albo frunę.

Zależy jak na to patrzeć.

Malutkie ciepłe światełko jest bardzo daleko. Prowadzi do niego most, po którym nie można przejść.

Ale ja nie potrzebuję mostu.

Ja nie spadam. Ja lecę.

Każdy lata, jak umie.

Trzeba odciąć się od wszystkiego. Od Labiryntu Śmierci, który przeszliśmy. Nawet od Imperatora, od tępego programu, który nagle zapytał: „Kim jestem”?

To wszystko teraz nieważne.

Nic nie ma znaczenia; wszystko jest skazane na nicość, jeśli umrze sama Głębia.

Niczego nie było.

Nie spadałem z krawędzi.

Lecę. Lecę jak umiem pomiędzy dwiema płaszczyznami, a dotknięcie każdej z nich jest jednakowo śmiertelne.

Mam już punkt orientacyjny.

Ciepła iskierka światła w mroku...

Tam jest wszystko. Tam jest każdy z nas, byłych nurków. Może nawet klucz do naszego wspólnego nieszczęścia.

Tak trudno zmusić się, by uwierzyć w lot. Zapomnieć o wszystkim. Wmówić sobie, że nie było mostu, nie było kroku na spotkanie przepaści... rozwinąć przestrzeń, rozłożyć ręce.

I oddać się lotowi.

Ogień pode mną – bulgoczące, wiecznie głodne ogniste morze. Łód na górze – sufit, którego nie sposób przebić, lodowato zimny.

Chcę, żeby było właśnie tak.

Światło jest przede mną.

Nie na dole, nie na górze – z przodu.

Odciać się od wszystkiego. Odwrócić świat według swojej chęci. Zmusić go do posłuszeństwa. Każdy decyduje sam, gdzie ziemia, gdzie niebo, na czym wygodniej stać. Od wieków. Gdy jeszcze nie było Głębi, nie było pierwszych komputerów, gdy były jaskinie i nieśmiałe iskierki skradzionego ognia.

I prawo do obracania świata wokół siebie.

Ci, którzy się tego nie oduczili, zostali nurkami. Tego nikt nam nigdy nie odbierze. Żadna deep psychoza, żadne straty. Odeszło to, co dawało nam siłę. Ale wystarczy ślepa wiara, wystarczy pamięć, że istniała ta dziwna siła, że mogłeś kręcić światem...

Światło jest coraz bliżej...

To rzeczywiście proste, Crazy Tossler miał rację.

Trzeba tylko zrobić krok w przepaść, która dla ciebie jest prawdziwa. Zrobić krok, nie uciekać od Głębi, nie chować się za zimnym szkłem monitora. Tak, my umiemy wyjść z wirtualności sami. To nasz dar.

Dlatego tylko tak można przejść do Świątyni Nurka w Głębi. Zrezygnować z siebie. Odczuwać ten bezkresny lot nie ciałem, nie spojrzeniem, nie słuchem, ale szamoczącą się, przerażoną duszą.

Nie dotykać ścian...

Nagrodą będzie dalekie ciepłe światło, którego nie można inaczej dosięgnąć.

Coś krzyczę. Nie wiem co, nie słyszę własnych słów. Zresztą nie chcę ich słyszeć.

Jaka szkoda, że przepaść była taka krótka!

Z jakiegoś powodu wiem, że teraz już mogę wszystko. Mogę powiedzieć: „Głębio, Głębio, nie jestem twój”. Mogę popatrzeć na monitor, żeby zrozumieć, jak zostało stworzone przejście. Ale nie chcę.

Teraz już nie chcę.

Ściany w dole, żalodne i śmieszne ściany ognia i lodu. Mgła. I krawędź przepaści, miękko uderzająca w nogi.

I Świątynia Nurka w Głębi, do której szedłem od tak dawna... do której zacząłem iść na długo przedtem, gdy dowiedziałem się, że została zbudowana.

Patrzę na nią i zaczynam się cicho śmiać.

Powstaje na moich oczach. Gęstniejąca mgła przemienia się z białego mleka w biały kamień. Coraz lepiej widoczna, coraz bardziej realna, coraz bardziej rozpoznawalna.

Jak się to mogło stać?

Trzy lata temu świątynia nie istniała! Nurkowie dopiero zaczęli się wzajemnie szukać i spotykać w małej restauracyjce. W powietrzu krążyła idea klubu, ale nikomu nie chciało się nim zajmować.

Haker Bird nie mógł trzy lata temu zobaczyć świątyni! A już na pewno nurkowie nie poprosiliby o kontrolę ochrony obcego człowieka, znaleźliby swojego specjalistę. Hakerzy kpili ze mnie, fantazjowali, zabawiali się, wymyślając na poczekaniu różne bajki.

Ale teraz przede mną wyrasta biała wieża wysokości dziesięcioletniego domu, zwieńczona kryształową kulą.

Gdzie jest prawda, a gdzie kłamstwo? I dlaczego nasze fantazje stają się prawdą? Czasem zabawną czasem straszną...

Idę w stronę wieży.

W tym momencie ozywają tysiące serwerów na całej planecie. Na każdym z nich był maleńki fragment Świątyni; wszystko to ukrywało się, dublowało, kopiowało, żyło własnym potajemnym, niewidocznym życiem, czekając na sygnał.

I doczekało się.

Mgła zaczyna się rozwiewać. Przez jakiś czas wszystko jest jeszcze niewyraźne, słabo widoczne, a potem wokół mnie zaczynają się pojawiać drzewa. Jasne, Świątynia wybrała dla siebie miejsce na peryferiach Deeptown, w leśnym pierścieniu oddzielającym główne miasto od kilku odizolowanych enklaw. Gdzieś tutaj uciekaliśmy przed pogonią po włamie do Al Kabaru...

Znajdę tego, kto wysłał cię na śmierć, Romek. Już niedługo. Poczekaj jeszcze trochę... teraz łatwiej ci czekać.

Gdy podchodzę do wieży, przyjmuje ostateczny kształt. Ściany z białego marmuru, wąskie otwory strzelnicze zasłonięte kratami. I jedne jedyne drzwi, masywne, potężne, z polerowanego jasnego drewna. Brązowy pierścień zamiast klamki.

No i co dalej?

Jak dostać się do środka?

Dotykam pierścienia, a drzwi uchylają się łagodnie. Skoro przeszedłem przez most, to widocznie mam prawo tu wejść.

Zmieniłem się również ja sam. Nawet nie zauważyłem kiedy. Zamiast munduru mam na sobie ubranie Strzelca.

I bardzo dobrze. Nienawidzę mundurów.

Oglądam się jeszcze raz i widzę przez ostatnie strzępy mgły słabe purpurowe światło i zimny niebieski blask. Żegnaj, długi i straszny śnie. Żegnaj.

Wchodzę do środka. W tym momencie w kieszeni Strzelca ożywa pager. Przenikliwie zachłystujące się trele, ostrożne stukanie... każdy miał swój dźwięk. W przestrzeni Labiryntu pager nie działał, tam odcinają niemal wszystkie kanały. Z tego wynika, że naprawdę jestem w zwykłym świecie Deeptown.

Tak... Czyngis, Padlina, Pat, Maniak, Mag...

Tylko Crazy'emu wystarczyłoby cierpliwości, żeby się ze mną nie kontaktować.

Podnoszę pager do oczu, włączam na Maniaka.

– Szurka, doszedłem. Wszystko w porządku. Przekaż pozostałym, że już wszystko dobrze i... dajcie mi chwilę побыć samemu.

Dosyć. Włączam na pagerze tryb „nie przeszkadzać” i chowam go do kieszeni.

Rozglądam się.

Niewielka okrągła sala, sześć, może siedem metrów średnicy, zajmuje niemal cały cokół wieży.

Ściany wewnątrz są również z białego, polerowanego kamienia. Gdzieś na lśniącej czystością parkiecie porzucano małe poduszki. Mamy siedzieć na podłodze. Środek sali zajmują drewniane schody biegnące do okrągłego otworu w suficie.

Wszystko tu jest bardzo proste i surowe. Kamień i drewno. Więc dlaczego oni się tak grzebali z tą Świątynią? Taki projekt zrobiłbym w ciągu doby.

Podchodzę do schodów i dotykam poręczy, zimnego, gładkiego drewna. Wchodzę na stopnie, oglądam się, jakbym mógł zobaczyć coś niezwykłego.

Nic.

Cóż, trzeba iść na górę.

Wspinam się na pierwsze piętro wieży.

Kamienne ściany. Jedyne drzwi.

I freski, freski biegnące spiralnie wzdłuż schodów...

Tego nie zdołałbym zrobić w ciągu jednej doby. W ogóle bym nie potrafił.

Pierwszy fresk to mleczone kłęby mgły. Tylko gdzieś wyłaniają się z nich budynki – małe, niepozorne, – monotonne. I ręce – ręce wyciągające się w górę, i twarze, rozmyte kontury twarzy...

Następny krok. Następny fresk.

Mgła prawie się roziała. Budynki rosną miasto się rozszerza. Niezgrabne postacie, samochody na ulicach.

Jeszcze krok.

W tym widmowym mieście można już rozpoznać Deeptown. Niewiarygodne drapacze chmur, wspaniałe pałace, tarasy i kanały, ogrody i place, pstry tłum, rozbłyśki reklam przecinające niebo...

Krok. Stoję przed drzwiami. Chwila wahania, ale jednak je otwieram.

I zamieram na progu.

Wygląda to jak park Imperatora na ostatnim poziomie Labiryntu. Brak tylko dławiącego uczucia grozy. Mam wrażenie, że ten park ciągnie się w nieskończoność, można by błąkać się po nim latami. Ścieżki ścielą się pod nogami, słońce świeci z bezchmurnego nieba, ryby pluskają w jeziorach, ptaki śpiewają na drzewach. Czasem spadnie deszcz czasem nadleci wiatr... Nachyliam się, zrywam źdźbło trawy i czuję lekki wstyd.

Jakbym nagryzmolił na skale napis: „Lonia tu był”...

Dobrze mi tu. Bardzo dobrze.

Mógłbym dodać – jak w dzieciństwie. Ale nawet w dzieciństwie bywa bardzo różnie.

Zamykam drzwi, odkrywając, że uśmiecham się mimo woli. Jeszcze tu wrócę, tylko wybiorę odpowiedni dzień...

Jeszcze jeden krok i następny fresk.

Wir i wynurzający się z niego człowiek, który wiosłuje jedną ręką, a drugą wlecze czyjeś bezwolne ciało.

Legendarny pierwszy nurek... na tyle legendarny, że nigdy nie poznaliśmy jego nazwiska. Mamy bardzo poważne podstawy przypuszczać, że to był jednak Tailor, chodząca kpina z angielskiej punktualności, człowiek, który nie prowadził logów...

Pewnie autor fresku przedstawił go od strony pleców.

Krok i fresk.

Słynny włam do Microsoftu. Jeśli wierzyć Antoniowi, którego wszyscy nazywali Ponurak, rzeczywiście zobaczył dziurę w ochronie w postaci przechylonego parkanu sztachetowego, którym zasłonili niedostępny mur... Nic stamtąd nie wziął. Jedyne autograf od Billa Gatesa.

Krok. I nowy fresk.

Bohomil, zagadkowy Bułgar, o którym nikt nic nie wiedział. Może ten włam był jego ostatnim włamem z różnych smutnych powodów? A może facet po prostu spadł na dno, zlekceważył Głębię i swoje zdolności nurka? to, co zabrał z banku, powinno mu wystarczyć, a nawet jego dzieciom i wnukom.

Ale trzeba przyznać, że miał specyficzne poczucie humoru. Okraść bank szwajcarski w stroju Wilhelma Telia.

Fresk.

Któryś z naszych, Rosjanin. Cholera, zapomniałem, jak miał na imię... za to pamiętam tę historię. Uratował chłopca, którego zbyt pochłonęła jakaś gra. Rodzice małolata wyjechali na tydzień i nie wyłączyli sieci. Dzieciaka wyciągnęli trzy dni później ledwie żywego...

Fresk...

Fresk...

Fresk...

Wszyscy tu jesteśmy. Każdy występuje w jednej scenie. Nieważne, jak byliśmy silni czy sławni, czy dokonaliśmy złych, czy dobrych czynów.

Każdy miał coś, co stało się jego wizytówką.

Freski i stopnie.

Stopnie i drzwi.

Pokonuję piętro po piętrze, kontemplując każdy obraz, zaglądając w każde drzwi.

Po co było budować ogromną Świątynię, skoro istnieją przestrzenie w przestrzeniach?

Niekończący się ogród i ogromne, głuche labirynty korytarzy i sal...

Jasna, rozświetlona słońcem restauracja na szczycie góry. Ściany z kryształu i srebra. Napis „Olimp” na zastawie stołowej wydaje się całkiem na miejscu.

Rzeka w wieczornej mgiełce... drzemiący przy brzegu mały jacht.

Piana chmur, gęsta i sprężysta. Chcesz pochodzić po niebie?

Zazdroszczę budowniczym Świątyni. Zazdroszczę im bezgranicznie, jednocześnie z całych sił nienawidząc siebie, idioty, który budował ciasny rzeczywisty świat i w dodatku nie udało mu się go dokończyć... i nie poświęcił ani kropli potu tej zagubionej w Głębi Świątyni...

Ucieczka nigdy nie jest wyjściem. Za każdym razem uciekasz od siebie.

Freski. Drzwi. Twarze. Czyny.

Tu jest wszystko. Nic nie zostało zapomniane. Można się spierać, czym bardziej się wsławił Rudy Pies: włamem do ściśle chronionego programu emulatora zapachów w Głębi, czy swoją pracą w Interpolu. Ale cieszę się, że na fresku jest w mundurze.

A oto Crazy Tossier.

Coś podobnego... nie przedstawili go jako pracownika Labiryntu Śmierci. Pokazali za to zainstalowanie słynnego filtra, który przez pół roku kontrolował znaczną część korespondencji w Głębi. Filtr powstał nie w imię jakiegoś konkretnego celu: wyszukiwania kompromitujących materiałów albo wyłapywania cudzych haseł, lecz po to, by udowodnić, że poufność jest niemożliwa z założenia.

Ale nigdy nie przypuszczałem, że ten filtr założył Crazy!

Idę coraz wyżej. Freski, twarze, dzieła i sprawki.

A przecież gdzieś muszę być ja!

Robi mi się nieswojo.

Co zobaczę? Kto i według jakiej zasady wybierał te chwile, by umieścić na nikomu niedostępnych tablicach? Co wzięto z mojego życia, co wykwitło kolorowymi farbami na szarym tynku, co zostanie w Świątyni na zawsze?

Robię jeszcze kilka kroków – i widzę odpowiedź.

Żółty piasek. Szare kamienne ciało demona ściskającego w rękach nić mostu. Wieże Al Kabaru w oddali. Wilk siedzący w niemal ludzkiej pozie, I człowiek w zabawnym stroju rosyjskiego witezia biegnący z boczem, w stronę wyciągającego łapy demona...

Cóż, nie ma się czego wstydzić. Przecież nie ukradłem tego pliku! Podarowano mi go.

Z niepewnym uśmiechem idę w górę, wieża już się kończy, niemal doszedłem do kryształowej kuli.

Fresk. Fresk. Fresk...

Stop.

Pora się pozbyć zarozumiałstwa.

Patrzę na ostatni fresk w rzędzie, na końcu spirali schodów. Godny koniec.

To tutaj jestem.

Tamten fresk dotyczył Romka, jego chwili triumfu, gdy asystował mi przy włamie.

Mnie przypadł inny obraz.

Strzelec z podniesioną do ciosu ręką. Niebieski bicz Warlocka 9000, znikająca w fioletowym wirze ludzka postać.

To wtedy wdarłem się do Labiryntu Śmierci, wtedy wyprowadzałem stamtąd Nieudacznika.

Czy to było najważniejsze w moim życiu?

Nie będę się spierał. Zawsze uważałem, że mogę być z tego dumny. Chociaż nigdy się nie dowiedziałem, kim on jest. Nikt się nie dowiedział. Odszedł w swoje gwiazdne dale, w głębie elektronicznych sieci, w piękną przyszłość, która kiedyś nastanie... po prostu wyniósł się z naszego głupiego i śmiesznego świata.

Ale dlaczego właśnie ta chwila?

Dlaczego właśnie cios zadany swoim? Okrutny, chociaż wirtualny, atak nurków Labiryntu? Dlaczego nie ta chwila, gdy prowadziłem Nieudacznika przez tłumy potworów, gdy wyciągałem go z serwera elfów, gdy rozganiałem policyjną obławę?

Kto wybrał właśnie ten moment?

I dlaczego?

Widocznie miał ku temu podstawy. Widocznie chciał przypomnieć i mnie, i innym: wmawiaj sobie, że cel uświęca środki, ale nie zapominaj, co jest najważniejsze.

Z płonąca twarzą odwracam się od fresku.

Wchodzę na ostatni poziom wieży. Prosto w kryształową kulę.

W oślepiające światło.

Kula nie jest gładka, składa się z tysięcy malutkich wielokątów. Słoneczne światło płonie w każdym, odbija się, jakby jeszcze zyskując na jasności. Stoję pośród tysięcy miniaturowych słońc.

Podchodzę do pochyłej ściany, rozpląszczam się na niej, wyciągam, rozrzucam ręce, obejmując ogień.

Słońce w oczach.

Świat pode mną.

Trudno patrzeć przez światło.

Pałace i wieżowce Deeptown. Mosty i estakady, place i ulice, parki i sady, baseny i aleje. Tam świeci słońce i pada deszcz. Tam jest świt, a potem nastanie zmierzch.

Jesteśmy tylko odbiciem realnego świata. Przerysowanym, groteskowym, karykaturalnym. Poza tym nie ma żadnej różnicy...

Wyjmuję pager, na którym nadal płoną oczekiwaniem światełka przy imionach chłopców. Dick jeszcze się nie łączył... może później.



Wysyłam list do Ilii:

„Znalazłem. Adres jest w liście”.

Naciskam przycisk: „Dodać adres”. Teraz, gdy Świątynia zmaterializowała się w przestrzeni Deeptown, jej realny adres został automatycznie wpisany na liście.

To chyba wszystko. Teraz pozostaje już tylko czekać.

Dostanę list wysłany przez martwego przyjaciela. Dowiem się, jakie tajemnice Deeptown potrafią zabijać. Może zacznę szantażować Dibienkę. Może po prostu narobię hałasu.

W każdym razie zemszczę się.

Już chowam pager do kieszeni, gdy zaczyna słabo wibrować. Program nawet w trybie „nie przeszkadzać” mimo wszystko nieśmiało oznajmia, że otrzymałem wiadomość.

Crazy?

Rzucam spojrzenie na pager. Dziwne. Abonenta nie ma na liście.

Mam ochotę zostawić tę wiadomość na później. Poczekaj. Ale...

Ciekawość pierwszy stopień do...

Proszę o informację o nadawcy.

Niewiele się dowiaduję.

„Dmitrij D.”

Czuję dreszcz.

Naciskam przycisk odpowiedzi.

– Leonid, musimy porozmawiać.

Znaczek koperty znika, zamiast niego miga symbol słuchawki telefonicznej. Rozmowa.

Odebrać...

Pager zwleka kilka sekund; mały ekranik rozsuwa się, powiększa i pojawia się na nim twarz.

A raczej szary mglisty kontur nad kołnierzem czarnego płaszcza.

– Dzień dobry, nurku – mówi człowiek, który nie ma twarzy.

– Witaj, Dibienko – odpowiadam.

Milczymy przez kilka sekund i patrzymy na siebie. Chociaż na co tu patrzeć. Niewiele się zmieniło.

– Musimy porozmawiać – mówi Dmitrij Dibienko, twórca deep programu, ojciec Głębi. – To nieprzyjemna, ale nieunikniona rozmowa.

– Rozumiem – zgadzam się. – Ale czy nadal mamy o czym rozmawiać?

– Myślę, że tak. – Głos Dibienki jest absolutnie spokojny. – Znowu cię nie doceniłem. A właściwie, gratuluję...

– Czego?

– Jak to czego? Jednak doszedłeś do Świątyni. Zrozumiałem aluzję.

– No to rozmawiajmy.

– Nie, nie. – Jego nieistniejąca twarz jakby się uśmiecha. – Nie przez pager... to jak wielka dziura. Lepiej się spotkajmy.

– Gdzie?

– U ciebie, w Świątyni Nurka w Głębi... jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jestem w drodze,

będę za trzy minuty.

No proszę. Rzeczywiście, jedna wielka dziura...

– Dobrze. – Mam nadzieję, że moja twarz nic nie wyraża, że nie wydałem odruchowo polecenia „zakłopotanie”. – Wpuszczę cię.

Przerywam połączenie.

Jak to szybko poszło!

Jeszcze zamierzam nadać kumplom wiadomość, wezwać tu całą brygadę...

Stop!

Co ja robię?

To ja jestem nurkiem.

I zdołałam uchylić się przed bronią trzeciego pokolenia.

Co najwyżej mógłbym wezwać Crazy'ego.

Ale też nie warto.

Wszystko, co powiem, może zostać wykorzystane przeciwko mnie i przeciwko tym, którzy będą obok.

Podchodzę do schodów, zaczynam schodzić na dół.

Nie ma fresków!

Jest tylko spirala prostokątów. Pustych. Spirala wiję się w przeciwną stronę, niczym nić DNA.

Słusznie. Wznosiłem się przez przeszłość nurków. Teraz schodzę w przyszłość. Te freski dopiero zostaną namalowane... jeśli będzie jakaś przyszłość.

Idę na dół obok przyszyłych zwycięstw i klęsk, obok bohaterstwa i podłości, obok zamkniętych drzwi. Przyszłość stoi pod drzwiami, trzeba je tylko otworzyć.

Otwieram akurat w momencie, gdy Człowiek bez Twarzy wysiada z samochodu. Nie jest sam oczywiście. Obok niego stoją dwaj ochroniarze; wzdrygam się na myśl, że któryś z nich być może strzelał do Romka.

Chwila zamieszania. Dmitrij Dibienko ze swoimi osiłkami przed luksusowym rolls royce'em, wśród lasów; ochroniarze z rękami na pistoletach, ciekawska gęba kierowcy zza szyby... i ja na progu Świątyni Nurka w Głębi.

Dibienko podchodzi do mnie, władczy gestem zatrzymując ochronę.

Goryle wahają się, chyba nie mają chęci zostawiać samopas chronionego obiektu. Ale co mogą zrobić?

– Wpuścisz mnie, Leonid? – pyta Dibienko, stając przede mną.

– Wpuszczę. Ale tylko ciebie. – Nie wiem, jak działają mechanizmy ochrony Świątyni, zaraz zobaczymy. Odsuwam się. Dibienko próbuje przejść i zastyga, wpadając na niewidoczną barierę.

– Daj rękę, do licha! – syczy.

Ochrona gapi się na wszechpotężnego bossa, który ugrzązł w niewidocznej pajęczynie.

– Nie chcesz stracić twarzy? – uśmiecham się złośliwie i podaję mu rękę.

Wymieniamy uściski dłoni i Dibienko wchodzi do środka, zadając retoryczne pytanie:

– Jak można stracić to, czego nie ma?

Nie odpowiadam, zamykam drzwi.

– Więc tak wygląda ta Świątynia... – mówi w zadumie Dibienko, rozglądając się. – A co jest wyżej?

– Nieważne.

Kiwa głową ze swoim niewidocznym uśmieszkiem, nieszczęsny twórca wirtualnego świata.

– Jak chcesz... nie potrzebuję waszych tajemnic.

– To po co przyszedłeś?

– Po swoje – rozkłada ręce Dibienko. – Wyłącznie po swoje.

– Obawiam się, że to już nie jest twoje, Dmitrij.

Dibienko zwleka, a ja się zastanawiam nad wyjściem z Głębi. Broń trzeciego pokolenia wcale nie musi wyglądać jak broń. Czy zdołam się uchylić, jeśli wystrzeli do mnie z guzika?

– Przyszedłem jako przyjaciel – mówi nieoczekiwanie Dibienko. – Nie mam zamiaru cię atakować. Uwierz mi.

Pozwalam sobie na uniesienie brwi. Co za słowo! Przyjaciel!

– Jeśli nie wierzysz mnie, uwierz swoim towarzyszom, którzy budowali tę Świątynię! – mówi ostro Dibienko. – Myślisz, że nie wiem, czym grozi mi zaatakowanie cię tutaj?

– Czym? – pytam ironicznie.

– Śmiercią – oznajmia Dibienko. – No? Zawieszenie broni?

– Poddaję się. Siadaj. Pogadajmy.

– Na podłodze, a raczej na miękkich poduszkach siedzi się całkiem wygodnie. Co to jednak znaczy kultura Wschodu... Nic nie mówię. Czekam. Dibienko chyba zbiera myśli.

– Nie jestem twoim wrogiem... – mówi w końcu. – Uwierz mi.

Milczę.

– Z należącej do mnie firmy skradziono pewne bardzo ważne dla przyszłości prace – ciągnie. –

Chciałbym dostać je z powrotem.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz kopii? – udaję głupka.

– Mam – nie spiera się Dibienko. – Włam był czysty, uprzejmy, wyłącznie kopiowanie informacji.

Leonid, chodzi o to, że czas ukradzionych prac jeszcze nie nadszedł...

Mógłbym triumfować. Dibienko się przyznał! Panikuje!

– Święte słowa.

– To znaczy, że jesteś gotów oddać plik? Albo zniszczyć go przy mnie?

– Nie. Dibienko wzdycha.

– Leonid, przecież widziałeś dokumenty, wiesz, o co chodzi... Już lepiej. On uważa, że pliki zostały dostarczone do Świątyni, więcej, że już się z nimi zapoznałem...

– Przejście do nowego świata musi być płynne, stopniowe...

– Ładnie mi płynne! – nie wytrzymuję. – Powiedz to rodzicom Romka! Powiedz im, że śmierć ich syna była częścią płynnego przejścia do wirtualnego świata przyszłości!

Chyba przeceniłem jego wiedzę.

– Romka? Tego młodego człowieka, który... którego...

– Którego.

Gdyby nasze mózgi działały za pomocą trybików, mógłbym przysiąc, że słyszę szczęk i pstrykanie.

– Twój były partner? Ten młody nurek? To był on?

– Tak.

– Nie wiedziałem.

– Więc dlaczego uzbroiłeś ochronę w broń trzeciego pokolenia? Milczy... i myśli.

– Nie uzbroiłem, Leonid, uwierz mi. To przypadek.

– Chłopiec umarł przypadkiem?

– Włam. – Dibienko przechodzi na krótkie, rąbane zdania. Alarm. Panika. Cała ochrona na nogach. I trzydziestu młodych idiotów programistów. Jeden z nich złapał prototyp i rzucił się, żeby pomóc ochronie. Nie wiedział, co ma w ręku, rozumiesz?

– Nie zauważył, co bierze?

– Nie wiedział, że w magazynku są śmiertelne pociski.

Nie chcę wierzyć. Bo uwierzyć oznaczałoby przebaczyć. Odmówić sobie prawa do zemsty. Odmówić Romkowi prawa do zemsty.

– To prawda, pracowaliśmy nad wirtualną bronią trzeciego pokolenia – przyznaje tymczasem Dibienko. – Na zlecenie policji Deeptown. Ze względu na własne interesy. Ze względu na cały szereg poważnych przyczyn. Ale nikt nie miał zamiaru ochraniać w ten sposób laboratorium. To po prostu nie miałoby sensu. Dla odstraszenia hakerów w zupełności wystarczy poprzednie pokolenie programów bojowych; kto zaryzykuje utratę drogiego hardware'u?

– Nie wierzę – mówię. – Mogłeś zapragnąć doświadczeń.

– Doświadczenia przeprowadzane są w inny sposób – mówi ostro Dibienko. – Na dobrze opłaconych ochotnikach, nad którymi stoi brygada lekarzy z defibrylatorami, kroplówkami, strzykawkami i innym sprzętem!

– Możesz to udowodnić?

– Co cię zadowoli? Czeki dla królików doświadczalnych? Podpisane przeze mnie zarządzenie? Zatwierdzone plany doświadczeń? Oficjalne zamówienie od policji Deeptown? Raporty laboratorium?

– Kto zabił Romka? – Już wiem, że się poddaję, wiem, że teraz ja tracę twarz.

Ale mu wierzę. Stało się to najstraszniejsze – uwierzyłem mu.

– Dwudziestodwuletni chłopak – mówi Dibienko. – Młody, utalentowany, urodzony programista. Ma młodą ciężarną żonę. Starą matkę w Rostowie. Chłopak był pewien, że w prototypie są pociski paralizujące. Zachciało mu się rznąć bohatera. Chcesz go, Leonid?!

Krzyczy, krzyczy na mnie, a ja milcząc, siedzę pośrodku Świątyni Nurka w Głębi, na swoim terytorium.

– Myślisz, że ja nie wiem, czego ty chcesz, nurku? Chcesz zemsty! Triumfu sprawiedliwości! Ukarać zabójcy! I co, będziesz go karał osobiście? Wynajmiesz bandytów, czy oddasz policji? Ten chłopiec nawet nie wie, że jest zabójcą! Powiedziałem mu, że pogłoska o śmierci jest fałszywa, że sam ja puściłem, żeby odstraszyć hakerów... bo w przeciwnym razie... Nie, nie popełniłby samobójstwa, ale przestałby być dobrym pracownikiem. I tak ma zszargane nerwy. No? Dać ci go? Imię, nazwisko, adres?

– Przysięgnij, że on nie wiedział – mówię. To głupie, żądać przysięg w świecie, w którym wszystko jest kłamstwem; żądać przysięg od człowieka, który stworzył ten świat i otrzymał prawo robienia w nim wszystkiego. Ale mimo to proszę.

– Przysięgam – mówi Dibienko. – Wiem, że będziesz potem analizować mój głos... ale ja nie kłamię. Nie kłamię, Leonid.

– Po co to zrobiłeś? – pytam. – Dibienko, dlaczego na to poszedłeś? Broń trzeciego pokolenia... czy trzeba było wprowadzać ją do wirtualnego świata? Zlecenie policji? Mogłeś ich olać.

– Zlecenie na broń szokową i paralizującą!

– Nie rozumiesz, że od tego jest już tylko pół kroku do broni, która zabija? Paraliż może dotknąć mięsień serca, szok bólowy może okazać się nie do zniesienia. Najważniejsze to pokonać granicę pomiędzy techniką a psychiką. Bez ciebie i twojego programu nikt nie mógłby pokonać tej granicy, to twój dar...

– Nikt? – W głosie Dibienki słychać ironię. – A co jest wbudowane w tę Świątynię?

Milczę.

Nie wiem, jak chroniona jest świątynia.

– Uwierz mi, nie czuję osobistej nienawiści do nurków. Nie uważam was za przestępców. Ale skoro stworzyliście broń trzeciego pokolenia... zawsze najważniejsza była równowaga sił.

– Kto ci powiedział?

– Ciemny Nurek.

Wydaje mi się, że on się znowu uśmiecha.

– Wiesz, kim on jest?

– Ciemny Nurek? Gdybym tylko wiedział, Leonid. Rozumiem, że ty też tego nie wiesz? Po to puściłeś plotkę, że dałem ci broń trzeciego pokolenia, żeby go wywabić, prawda?

Milczę.

– Nie wiem, kim on jest – mówi Dibienko. – Ale od jakiegoś czasu zacząłem się bać Głębi. Mam

swój Medal Bezkarności. Mam... to znaczy... teraz mam broń, która zabija. Ale Ciemny Nurek ma ją od dawna. I w każdej chwili spodziewam się kuli w twarz. Błysku oślepiającego światła. Bólu serca, które przestaje bić.

– Ja też nie jestem zachwycony jego działaniami – mówię. – Posłał na włam do twojej firmy mojego przyjaciela. Podstawił go. Twierdzisz, że ochrona nie miała broni trzeciego pokolenia? Może i tak, ale on nie miał prawa.

– Teraz już masz tylko jeden cel do zemsty – stwierdza nieoczekiwanie Dibienko. – Tak?

– Tak. Zadowolony?

– Oczywiście. Przecież mówię, że przyszedłem tu jako sprzymierzeniec. Puściłeś plotkę, że najałem cię do pracy... wydało mi się to zabawne.

Dibienko wsuwa rękę do kieszeni płaszcza i wyciąga pistolet.

Z sufitu pada snop jasnego światła, zamykając w sobie Dibienkę. Jego sylwetka szarzeje i blaknie. Ruchy stają się wolniejsze...

Dibienko bardzo powoli bierze pistolet za lufę i kładzie go na podłodze pomiędzy nami.

Światło znika.

Bez względu na to, co chciał zrobić program ochronny, wyłączył się, gdy tylko Dibienko wypuścił broń z rąk.

– Weź to.

Chyba nie zauważył, że był na celowniku.

– Co to?

– Prototyp broni trzeciego pokolenia. To ten sam rewolwer, z którego zabito twojego przyjaciela... jeśli to ma jakieś znaczenie.

Patrzę na pistolet. Z pozoru najzwyklejszy smith&wesson. Ważne, co ma w środku.

– Czym jest naładowany? – pytam.

– Pierwsze pięć kul to paraliżujące programy dla policji Deeptown – odpowiada Dibienko. – Powodują czasowy paraliż trwający piętnaście, dwadzieścia minut, który przechodzi bez śladu. Kolejne pięć... szczerze mówiąc, to nowe opracowanie i obawiam się, że nie wejdzie do produkcji seryjnej. Zbyt wielkie prawdopodobieństwo zejścia śmiertelnego. Również tymczasowy paraliż... ale oddziałujący na mięsień sercowy.

– Jesteś gotów dać mi tę broń?

– Podpiszemy małą umowę. Zobowiązasz się przeprowadzić doświadczenie nowego oprogramowania. Niestety, na razie nie ma żadnych podstaw prawnych reglamentujących podobne niebezpieczne produkty... liczę na twój rozsądek, nurku.

Biorę pistolet do ręki, patrzę na Dibienkę. Jeśli padnie na mnie snop światła, facet raczej nie zachowa spokoju... przynajmniej drgnie.

Ale chyba mnie wolno tu wszystko.

– Po co mi to, Dmitrij? – pytam. – Daj spokój, wierzę ci. Żal mi Deeptown, boję się tego, co się stanie, gdy to wyrwie się na wolność... ale nie powstrzymam przyszłości. I nie będę się mścił. Nie zamierzam polować na kolesia, który chciał się pobawić w policjantów i złodziei. Ciebie też nie zastrzelę. Choćby dlatego, że stworzyłeś Głębię. Wszystko skończyło się jak farsa, Dibienko. Zaczęło się tragedią, a skończyło farsą. Znalazłem Świątynię, dostałem tę przeklętą broń... i po co? Wszystko

na próżno. Chociaż nie. Wiesz, mam nowych przyjaciół. To bardzo dużo. Szkoda tylko, że zapłacił za to Romek.

Mglista maska spogląda na mnie i Dibienko mówi:

– Więc zniszczysz skradziony plik?

– Nie. Tutaj nic mu nie grozi, możesz mi zaufać.

– Nie rozumiem – odpowiada z lekkim zdziwieniem Dibienko. – Naprawdę tego nie rozumiem.

– Czego?

– Nie masz zamiaru wchodzić w Głębię? Rzeczywiście, obustronne niezrozumienie.

– Dlaczego? Mam zamiar.

– A więc jesteś pewien, że zdołasz w porę wyjść, uchylić się przed kulą?

– Czyją kulą?

– Ciemnego Nurka!

– Dlaczego miałby mnie zabijać?

– Dlatego, że masz to, czego on potrzebuje! – krzyczy Dibienko. – A dopóki masz ten plik, jesteś na celowniku. Tak samo jak wszyscy twoi przyjaciele. On wydusi to z ciebie z takim samym uporem, z jakim wybijał ze mnie!

– A po co mu ten plik?! – Teraz ja krzyczę. – Jeśli Ciemny Nurek i tak ma broń trzeciego pokolenia, jeśli groził ci nią dawno temu...

Dibienko wstaje, kopie poduszkę i już wiem, że za dużo powiedziałem.

– To znaczy, że jeszcze nie oglądałeś mojego pliku? Tak?

– Nie oglądałem. – Za późno na udawanie. – Tam jest geneza broni trzeciego pokolenia, tak?

Dibienko śmieje się tak długo, że przez ten czas nakładam sobie czapkę błazna, dorysowuję długie uszy i przypinam na plecach karteczkę z napisem „osioł”.

– Leonid... Dziwnie pograłeś. W porządku, nie wymagam, żebyś oddał mi plik natychmiast. Najpierw go obejrzyj, potem zdecydujesz. Pistolet noś przy sobie i bądź gotów go użyć. Twoje życie niewarte jest teraz złamanego szeląga. Przyjaciołom powiedz, żeby nie wchodzili w Głębię. Teraz jesteś obiektem polowania Ciemnego Nurka. Ciebie będzie mu znacznie łatwiej osiągnąć.

– To nie takie proste, ja też jestem nurkiem.

– Leonid... – Człowiek bez Twarzy pochyla się nade mną, ja nadal siedzę na podłodze. – Zaufaj mi, poprzednie zdolności nurków... nawet jeśli je zachowałeś... są niczym w porównaniu z jego zdolnościami! Czasem wydaje mi się, że kiedy wszyscy utraciliście swoje talenty, one skupiły się w jednej osobie i uczyniły z niej Ciemnego Nurka. On może prawie wszystko. Ponad połowa opracowań moich firm to środki ochrony i wykrywania w przestrzeni wirtualnej. Wiesz dlaczego? Ciemny Nurek atakuje mnie bez przerwy. Już prawie nie pojawia się w Głębi! Nawet teraz jestem otoczony niesamowitą liczbą barier. Ratuje mnie tylko jedno: że Ciemny Nurek, jak większość z was, jest kiepskim hakerem. To jakby walka magii i technologii. On uderza w moich programistów intuicyjnie, waszymi sposobami. Na razie udaje mi się zachować równowagę... za cenę potwornych wysiłków. Ale on potrzebuje pliku, który teraz masz ty. Uważaj!

– A jeśli oddam plik? – pytam, próbując jakoś przerwać tę spiralę.

– Obejrzyj go najpierw. Potem zdecydujesz, a najlepiej go zniszcz i pozwól mi prowadzić walkę dalej. Tak, Leonid, masz rację, jestem gotów zabić Ciemnego Nurka. Jeśli zrobisz to ty, fantazja o

umowie zmieni się w rzeczywistość. Mogę zapłacić bardzo, ale to bardzo dużo.

Czeka, ale ja milczę. Dopóki nie mam pliku w ręku, dopóki nie zrozumiem, czego się boi i co ukrywa Dibienko, czego szuka i czego pragnie Ciemny Nurek, nie mam prawa nic mówić.

– Życzę ci, żebyś przeżył – mówi w końcu Dibienko. – Wypuścisz mnie?

– Idź – odpowiadam. – Drzwi otworzą się przed tobą.

Mam tylko nadzieję, że Dibienko nie wie, że ja w Świątyni jestem tylko niedoświadczonym i nieumiejętnym nowicjuszem... Drzwi się otwierają. Dibienko ogląda się od progu z uśmiechem.

– Jak przeczytasz dokumenty, skontaktuj się ze mną. Pogadamy.

Zostaję sam.

Z pistoletem, z którego można zabić naprawdę. Z bronią, którą uważałem za główną tajemnicę Dibienki. Z tym, co tak naprawdę jest tylko pionkiem w prawdziwej, wielkiej grze... A ja o tej grze nie mam pojęcia!

Do licha, kiedy wreszcie pojawi się w Głębi ten smarkacz!

Wyjmuję pager, posępnie patrzę na światełka. I nagle, jakby ożywając pod moim spojrzeniem, zapala się nowe. Gdzieś w realnym świecie Ilia usiadł przy komputerze, a przed nim zapłonęła szalona tęcza przemieniająca świat w bajkę.

Czekam cierpliwie, aż on gdzieś tam, Bóg wie gdzie, przejrzy odebrane listy.

Przychodzi odpowiedź.

„Jadę”.

Ciekawe, czy Dibienko przechwytuje moje wiadomości... czy zrozumie, o co chodzi i gdzie tak naprawdę jest teraz plik?

Zresztą co mu da porwanie listu? Nic. Plik jest nadal w biurze kompanii. A tam nie sposób się włamać, nawet z możliwościami Dibienki.

Może zdołałby tam przeniknąć Ciemny Nurek, posługując się wszystkimi swoimi nadnaturalnymi zdolnościami. Ale on potrzebuje rozszyfrowanego tekstu, a nie zaszyfrowanego pliku.

To, jak długo Ilia będzie jechał do Świątyni, zależy przede wszystkim od jego komputera... a jeśli dzieciak marzy o studolarowej karcie dźwiękowej, to jego sprzęt raczej nie jest zbyt dobry. Pentium dwa, może nawet pentium. Zbyt duże przeciążenie pamięci... W Stanach i Japonii zabroniono niepełnoletnim wchodzić w Głębię z maszyny słabszej niż pentium dwa, z częstotliwością procesora czterysta i stu dwudziestoma ośmioma bitami pamięci operacyjnej... ale tu nie Stany. U nas wszystko wolno.

Załóżmy, że to potrwa jakieś dziesięć minut przy dobrym połączeniu, póki w pamięci maszyny będzie przenoszony i opracowywany obraz miejsca, w którym Ilia nigdy nie był. Przyjemna przejażdżka taksówką albo nie mniej przyjemna jazda rowerem.

Łączę się z Maniakiem, teraz już bezpośrednio. Odpowiada od razu, chyba czekał z pagerem w ręku.

– Ty draniu!

Gotów jestem przyznać mu rację. Gdy ja tu sobie oglądałem Świątynię i rozmawiałem z Dibienką, oni tam umierali z niecierpliwości. I na pewno się o mnie martwili.

– Miałem nieoczekiwaną wizytę – odpowiadam. – Przyjeżdżajcie.

Posyłam adres.



– Czekaj, też ci kiedyś urządzę takie półgodzinne siedzenie jak na szpilkach! – grozi mi Maniak i wyłącza się.

Głupio wyszło.

Ale kto wiedział, że tak będzie?

Że Dmitrij Dibienko mnie pilnuje i tylko czeka, aż wejdę do świątyni?

Próbuję uspokoić sumienie, przechadzam się po sali. Żeby oni już przyjechali. Żeby Ilia przywiózł plik.

Co w nim jest, skoro Dibienko ma taką pewność, że po przeczytaniu dokumentów stanę po jego stronie?

Co może być ważniejszego od śmierci wirtualnego świata?

Nie ma nic gorszego niż czekać, nie mając już nic zrobić.

Podjeżdżają dwie taksówki naraz. Z pierwszej wysiada Padlina, Czyngis i Pat. Z drugiej Maniak i Mag. Stoje na progu wieży ze spuszczoną głową. Zaraz mi się oberwie...

– Lonia! – wrzeszczy Pat. – Udało się!

Czyngis i Padlina też nie wyglądają na szczególnie obrażonych. Mag ogląda wieżę ze sceptycyzmem zleceniodawcy, który przyjechał przyjąć obiekt.

Tylko Maniak posępnie grozi mi pięścią.

Taksówki odjeżdżają, kierowcy-programy nie interesują się wieżą w środku lasu. Stoi? Niech sobie stoi. Czy to nie wszystko jedno?

Wpuszczam przyjaciół do Świątyni, klepiąc każdego w ramię i jakby przypadkiem nie cofając ręki, dopóki nie przejdą przez próg. Padlina chyba się zorientował, w czym rzecz. Maniak też. Pozostali nie zwrócili uwagi.

– I to jest ta Świątynia? – pyta z pewnym rozczarowaniem Czyngis, gdy już wszedł do środka. – Skromnie tu.

– Co jest na górze? – interesuje się Padlina.

Pat po prostu wbiega po schodach i po sekundzie z góry dobiega jego wesoły głos:

– Ale superowe obrazki!

Mag kłapie na górę poduszek na podłodze i gapi się na nas z zadowoloną miną.

– Gdzie jest list? – przechodzi do rzeczy Maniak.

– Zaraz dostarczą – uspokajam go. – Chłopcy, co się z wami działo?

– Niewesoło – mówi Czyngis. – To imperatorskie bydlę rozerwało mnie na dwie części...

– To małe piwo – prycha Maniak. – A ja się dowiedziałem, co czuje człowiek, którego głowa turla się po ziemi. A Maga...

– Nie warto! – oznajmia Mag. – Przestań plotkować!

– I co się w końcu okazało z Nike? – pyta Czyngis. – Nurek?

– Tak. Prawdopodobnie Ciemny Nurek. Mimo wszystko nas przechytrył. Prawie.

Czyngis kiwa głową.

– Pat opowiadał, co się stało... Crazy jeszcze się nie odzywał?

Patrzę na pager.

Nie. Dziwne, szczerze mówiąc.

Nagle ogrania nas fala czujności i niepokoju. Rzeczywiście dziwne. Ale możemy już tylko czekać.

– Szurka, powiedziałaś Dickowi, że ze mną wszystko w porządku?

– Tak. Zostawiłem wiadomość na jego pagerze.

– Przecież Crazy nie mógł zginąć naprawdę z rąk Imperatora? – pytam, jakbym spodziewał się odpowiedzi. – Was załatwił... i nic wam się nie stało.

– Czym ty tu byłeś zajęty? – pyta Padlina.

– Wpadł Dmitrij Dibienko. Rozmawialiśmy.

Ciszę, która zapadła po moich słowach, przerywa ostrożne pytanie Czyngisa:

– Czego chciał?

– Żeby zniszczyć jego plik. Twierdzi, że Ciemny Nurek będzie na niego polował... że dopóki plik istnieje, i mnie, i wam grozi niebezpieczeństwo. Ale najśmieszniejsze, że Dibienko dał mi formalne pozwolenie na zapoznanie się z plikiem. Jest przekonany, że potem przyznam mu rację.

W tym momencie rozlega się ostrożny stuk do drzwi.

– List – mówi Mag, zacierając rękę.

– Albo Ciemny Nurek – dodaje Maniak.

Można się długo zastanawiać. Szkoda, że nie zapytali, czy w tej wspaniałej Świątyni nurków jest wizjer.

Odpowiedzi nie znam, więc idę otworzyć.

– Kompania HLD, służba dostarczania korespondencji problematycznej – melduje stojący pod drzwiami rudowłosy wyrostek. Czy to Świątynia?

Podnosi na mnie wzrok i natychmiast zmienia się na twarzy.

– Leonid? To ty?

– Ja.

Ciekawe, do jakiego wniosku teraz dojdzie...

– Zgrywasz się?

Przypominam sobie wszystko, co się stało przez kilka ostatnich dni. Poszukiwania Padliny. Śmierć Romka. Próby przejścia Labiryntu. Wizyta Ciemnego Nurka. Nike, która oszukała nas wszystkich. Imperator, który zachował się tak, jak program nie powinien. Most. Wizyta Człowiek bez Twarzy.

Odrobina wysiłku, a wszystko po to, by pozgrywać się z małolata. Kilka wesołych przygód...

– To Świątynia Nurka w Głębi – mówię. – Daj list.

– A ty co tu robisz?

– Pracuję – odpowiadam prawie uczciwie. – Wszystko w porządku, list doręczyłeś.

Ilia patrzy na mnie z powątpiewaniem, potem wsuwa rękę do skórzanej raportówki przypiętej od pasa.

– Kto puka do moich drzwi... – mówię, – Wejdz. Leciutko pociągam go za łokieć i prowadzę do środka. Towarzystwo w wieży Ilii nie peszy.

– Cześć! – rzuca w ich stronę. – Kto podpisuje?

– On – kiwa na mnie Maniak. – On się podpisze.

Z raportówki wyłania się list. Duża koperta, lekko przybrudzona i wymięta. Wygląda na pustą.

– No? – mamrocze Ilia, patrząc na kopertę. – No?

Nie mniej niż my pragnie, żeby list się pojawił, żeby adres Świątyni został uznany za właściwy, a serwery HLD wysłały plik do pustej koperty. Nie sędzę, by wszystkie nasze powody razem wzięte były ważniejsze niż jego chęć zarobienia na nową kartę dźwiękową...

Koperta zaczyna puchnąć i chyba robi się ciężka, bo ręka Ilii lekko opada. Chłopak zaczyna się uśmiechać – takim jasnym, radosnym uśmiechem, jakby właśnie dostał list od umierającego wujka milionera.

– Podpisz!

Proszę uprzejmie... Zostawiam swój autograf na karcie dostawy i zabieram list.

– Tak... chwileczkę... – zaczyna mamrotać Ilia, wsuwając obie ręce do kieszeni. – Jestem ci

krewny dwudziestkę, no nie? Zaraz.

– Oho, Leonid jeszcze zarobi na liście – oznajmia dramatycznym szeptem Padlina. A to drań...

– Nie trzeba – mówię.

– Coś ty, przecież była umowa... – Ilia wyciąga z kieszeni pomięte dolarowe banknoty.

– Dobrze – zgadzam się szybko. Biorę pieniądze i wciskam mu je z powrotem. – Napiwek. Zgodnie z przyjętymi zasadami.

Ilia parska, ale przyjmuje. Kiwa głową do chłopców:

– Co, nurkowie dobrze płacą?

Wreszcie dociera do mnie komizm sytuacji. No właśnie, jaki ze mnie nurek? Zwyczajny szary obywatel Deeptown, do niedawna pracownik fizyczny, który teraz znalazł sobie ciepłą posadkę.

– Da się żyć... – Patrzę spode łba na kumpli. Mag i Padlina śmieją się od ucha do ucha. Pozostali są zbyt zniecierpliwieni, by się śmiać. – Dobra, stary, wielkie dzięki...

– Nie ma za co. – Ilia wyciąga rękę, wymieniamy uścisk. – Słuchaj, wiesz co... wpadnij czasem do knajpy, pogadamy.

– Jasne.

Naprawdę go to nie interesuje? Nie ma ochoty zamienić dwóch słów z nurkami? Zresztą przecież to tylko byli nurkowie. A Świątynia... co w niej ciekawego? Pusta okrągła sala, jakieś schody...

Zamykam za nim drzwi, odwracam się do kumpli.

– Nareszcie – mówi Maniak. – Chyba lepiej, żebyś osobiście otworzył kopertę.

Papier jest twardy, pomagam sobie zębami.

– Może zawołamy Pata? – Padlina zaczyna się niepokoić, patrzy na schody.

– Sam sobie winien, wie, że nie przyszliśmy tu na wycieczkę – ucina Czyngis. – No, Leonid...

Wyciągam z koperty ciężki tomik owinięty mocną plastikową taśmą. Tak... to właśnie jest „nieotwieralna” ochrona... otwarty klucz Świątyni Nurka w Głębi.

Pociągam za koniec taśmy. Przez kilka sekund nic się nie dzieje.

Potem taśma z trzaskiem rozpada się na drobinki małe jak confetti. Klucz został rozpoznany.

– Kompania Nowe Horyzonty – czytam na głos. – Wstępny raport o projekcie Przyjemne Zanurzenie. Wyłącznie dla członków rady dyrektorów.

– No... – ośmiela mnie Czyngis.

Siadam na podłodze i otwieram tomik. Biały papier, czarne linijki... sucho, oficjalnie, tradycyjnie. Żadnych efektów specjalnych, animacji, dźwięków czy filmów. W końcu to nie prezentacja pod publiczność, tylko materiał roboczy.

– To coś w rodzaju preambuły – mówię, patrząc na pierwszą stronę. – „Deep program, rewolucyjne odkrycie w dziedzinie psychokinetyki, pociągnął za sobą stworzenie nowego wirtualnego świata – Deeptown. Spełniły się najśmielsze marzenia ludzkości. Pojawiły się zupełnie nowe gałęzie nauki, przemysłu, rozrywki. Jednak pięć lat, które minęły od dnia założenia pierwszej dzielnicy Deeptown, pokazały również negatywne efekty tej realizacji świata wirtualnego. Deeptown stał się jedynie odbiciem realnego życia, nie wolnym od wad ludzkiej natury. Projekt Przyjemne Zanurzenie ma na celu pokonanie tych wad... ”

– Lonia, a o zjeździe partii nic tam nie ma? – pyta ostro Padlina. – Rewolucyjne odkrycie... najśmielsze marzenia... ochy i achy! Kwiatki i czekoladki!

Na schodach pojawia się rozczochrany Pat.

– Jakie czekoladki, Toha?

– Cicho bądź, tobie się nie spodobają! – ostro odpowiada haker. – Siadaj i słuchaj, póki cię nie wygonimy!

Pat już nic nie mówi, tylko z łoskotem zbiega po schodach i siada obok hakera. Ja przewracam kartki.

To musi być gdzieś tutaj. Zaraz na początku. Romek nie miał dużo czasu. Mógł odwrócić kilka kartek, przeczytać parę akapitów... aż coś go uderzyło, przstraszyło, sprawiło, że zapomniał o wszystkim.

– Tu jest o projekcie Głębinowy Kontener – mówię. – Dokumentacja techniczna... rzeczywiście byli bardziej Technikami niż Programistami...

– Daj! – Czyngis wyciąga rękę. Udaję, że tego nie widzę.

To nie jego. To moje. Moja walka! List jest unurzany w błocie i krwi, ale to moja walka. Bardzo lubię Czyngisa. Jest mądrym i silnym człowiekiem, a przede wszystkim dobrym... nie ślepą przebaczącą dobrocią, lecz dobrocią świadomego człowieka.

Ale nie skakał w przepaść pomiędzy lodem i ogniem. Nie zabili mu przyjaciela. Nie jego chcieli kupić. Nie jego kupowali. Cieszę się, że jego życie jest takie, jakie jest. Ale ten tomik, który Romka kosztował życie, jest tylko mój. I to ja wybiorę, co im powiem, a co, być może, przemilczę.

– Zaraz... – mówię bez sensu, kartkując książkę.

Maniak wzdycha, ale cierpliwie czeka. Mag pótleży w pozie sułtana, który nasycił się już rozkoszami życia i demonstracyjnie ziewa.

– Co znalazłeś? – nie wytrzymuje znowu Czyngis.

Tym razem mogę odpowiedzieć.

– Wykresy. Powiedziałbym, że to ergonomiczny fotel... a raczej ergonomiczne łożo...

Gdy nad tobą stoi pięciu facetów, gapiąc się w książkę, którą trzymasz w ręku, trudno kontrolować proces przecieku informacji. Powiedzmy sobie uczciwie – to wręcz niemożliwe.

– Co to za brednie? – wyraża ogólną opinię Padlina. – Te typki wynalazły hybrydę łóżka i fotela dentystycznego, i o to taka walka?

– Nawet nie wynaleźli, tylko złożyli do kupy – poprawia go Maniak, przewracając mi przez ramię kilka kartek. – Widzisz, same odnośniki do kupionych patentów! Wykorzystywali je przedtem w medycynie, do opieki nad chorymi znajdującymi się w śpiączce. W badaniach kosmicznych... systemy zdalnego sterowania i interfejsy bezkontaktowe...

– Okresowy masaż ciała, w innej wersji karmienie sondą i przez kroplówkę. Kombinezony i hełmy można wyrzucić na śmietnik – podsumowuje Czyngis. – Niezła jazda. Proste jak obręcz, ale niezłe wymyślane. Nie odmówiłbym takiego miejsca pracy. Zawsze drętwieją mi plecy, jak siedzę w Głębi ponad dziesięć godzin. Ale żeby za to zabijać czy nawet bać się tego... To chore!

– Ciemny Nurek prosił o drugą część projektu – przypomina Padlina. – Lonia, szukaj dalej. Sztuczna przyroda, czy jak tam...

– „Sztuczna Natura” – mówię, ponownie otwierając książkę. – Tu jest soft... wyłącznie soft.

– Systemy filtrów. – Maniak mruży groźnie oczy, poddaję się i zaczynam przewracać kartki szybciej, nie próbując wnikać w zdania. – Filtrów obrazu, dźwięku, przemieszczenia

przestrzennego... jasna cholera... nie mogli osiągnąć takiego stopnia kompresji!

Maniak trze czoło i mówi niepewnie:

– A może mogli?

– Co to jest, Szurka? – pytam.

– Przypomina system śledzenia, nie? – Maniak i Padlina patrzą po sobie. Padlina kiwa głową.

– Do złudzenia. System samodoskonalący się, który obserwuje i rejestruje zachowanie obiektu, prawdopodobnie człowieka. W dodatku ze zwrotnym kanałem! Niech mnie! Z prognozowaniem, z elementami SI!

– Sztuczna Inteligencja nie może istnieć na bazie współczesnej techniki! – oburza się Maniak.

– Nie może – przyznaje Padlina. – Ale tu nie ma mowy o konkretnym komputerze. To jest podłączenie do zasobów całej sieci. Powtórny podział informacji... ogólne bazy danych, osobiste bazy danych, strumieniowe kodowanie i dekodowanie...

– Gazety należy czytać od końca – mówię i otwieram tomik na ostatniej stronie.

– Podsumowanie! – woła radośnie Pat, który zawisł na ramionach Czyngisa i Padliny. – Ja też chce popatrzeć od końca!

– „Projekt »Sztuczna Natura« przeszedł uprzednią kontrolę w trzech trybach – zaczynam. – W pierwszym przypadku, jak widzimy z podsumowania...”

Nic nie widzimy. Nie czytaliśmy raportów o eksperymentach, są gdzieś tam, pomiędzy opisem programów i zakończeniem. Ale wierzę tym, którzy pisali raport. I zapewne uwierzył im Romek, który też zaczął czytać od końca.

– „Wykorzystanie zewnętrznych baz danych przy programowaniu pierwotnych reakcji zachowań, kopiowaniu reakcji ludzi-partnerów i analiza efektywności działań pozwoliły osiągnąć pewne rezultaty nie pasujące do schematów Sztucznej Inteligencji. Można zasugerować, że przy dalszym narastaniu potęgi systemu operacyjnego i rozszerzeniu dostępnego modelu przestrzeni życiowej osiągnie te parametry, które zostały ocenione jako progowe dla rozumu. Jednak pewne właściwości przypisane do modelu pierwotnych zachowań, przy całej ich efektywności dla szybkiego rozwoju i samodoskonalenia się, sprawiły, że dalszy ich rozwój okazał się niecelowy. Rekomendowane jest zakończenie prac w ciągu dwóch, trzech miesięcy, a następnie ponowne przeprowadzenie eksperymentów na modelach z mniejszą agresją początkową”.

– Wiem, o kim tu mowa – odzywa się nieoczekiwanie Pat. – Wiem.

Nasze spojrzenia się spotykają; kiwam głową. Wydaje mi się, że chłopcem zaczyna wstrząsać dreszcz.

Jedna sprawa – być zakładnikiem programu.

A całkiem coś innego – zrozumieć, że trzymała cię za kark, zasłaniając się przed miotaczem, żywa istota. Prawie rozumna. Nieszczęsny Imperator, przykuty do ostatniego etapu gry, stający raz za razem do walki... niepokonany, wszechpotężny, a jednak przegrywający.

– Oni tam wszyscy... zatkaj uszy, Pat! – ryczy Padlina. – Ich wszystkich tam...

– Cicho – przerywa mu Czyngis. – Przeprowadzają doświadczenia z SI. Wykorzystanie w charakterze modelu potwora z gry w sieci to doskonały pomysł. W dodatku przynoszący wymierne zyski... przecież słono im zapłacili za programowanie centralnej postaci, pamiętacie, jak się Crazy skarżył? Labirynt Śmierci ma doskonałe systemy ochronne, model nie może się wyrwać, a hakerzy dostać się do niego. Stały napływ nowych graczy zmieniających taktykę i strategię...

– Ładna mi strategia, on mnie spopielił wzrokiem! – oburza się Padlina.

– No i co? Przecież słyszałeś, że to agresywny model. Niestety, nie ma w tym nic dziwnego. Konieczność obrony i ataku to czynnik napędzający ewolucję. Fakt, że jakaś ewolucja odbywa się w przestrzeni wirtualnej, a Imperator zamiast ciała ma pakiety impulsów elektronicznych, niczego nie zmienia. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane z wyrachowaniem, ale rozsądnie.

Padlina ciężko dyszy.

– Czytałem kiedyś książkę – dodaje Czyngis – w której główny bohater pozytywny uczył główną pozytywną bohaterkę, jak się zwycięża. „Stań się gorsza niż najgorsi z nich, stań się bardziej okrutna niż najpodlejsi”... A była to książka z pretensjami do humanizmu. Czego ty wymagasz od biznesmenów, Padlina, jeśli pisarz, który uczy dobra, propaguje takie metody? Czego chcesz od programu „Imperator”? Zabijają go każdego dnia! Przychodzą, żeby go zabić, a nie napić się herbaty w ogrodzie! Nie mógł stać się inny, do licha!

– Rozumiem to – odpowiada niechętnie Padlina. – Jakby tak cię posłuchać, to każdego na świecie można usprawiedliwić...

– Życie mnie tego nauczyło – wzrusza ramionami Czyngis. – Nie każdego oczywiście... ale prawie każdego. Leonid, czytaj dalej.

– „Drugi tryb kontroli... – zaczynam. Gdy Czyngis i Padlina się spierali, Maniak i Mag zdążyli zajrzeć dalej i teraz cierpliwie czekają, aż przewrócę kartkę. – Eksperymenty przeprowadzono na ochotnikach, przebywających w Głębi co najmniej dwanaście godzin dziennie. Techniczne charakterystyki ich komputerów wahają się od przeciętnych do maksymalnie potężnych w USA (dane z momentu rozpoczęcia eksperymentu). W charakterze rezerw wspomagających wykorzystywano ogólnodostępne zasoby serwerów podtrzymujących Deeptown. Jak widać z wykresów...”

– Gdzie wykresy? – dopytuje się Pat. Ignoruję go, Czyngis mu coś szybko i cicho wyjaśnia.

– „... pierwsze przejawy post-życia zaobserwowano w piątym miesiącu eksperymentu. Wyprzedzenie szybkości normalnych ludzkich reakcji, rejestrowane jedynie na poziomie aparaturowym, różnica w czasie pomiędzy wyjściem człowieka z deep hipnozy i zniknięciem wirtualnej postaci. Pod koniec pierwszego roku u wszystkich uczestników eksperymentu pojawił się efekt uzależnienia. Przebywając w wirtualności, odczuwali stan przypominający narkotyczne odurzenie, wrażenie, że wirtualne ciało działa samodzielnie, a rozmowa prowadzona jest gdzieś z boku. Przy tym praktycznie nie pojawiało się wrażenie przemocy, wszystko, co uczestnicy eksperymentu mówili i robili, było przez nich odbierane jako własna, naturalna reakcja na wydarzenia. Ostatecznym dowodem istnienia post-życia było zachowanie wirtualnej postaci po przymusowym zerwaniu łączności pomiędzy nią a człowiekiem-operatorem. Początkowo obserwowano krótkotrwałe przerwy, zamieranie postaci, nieadekwatne reakcje na otaczający świat, po czym następował krótki okres działań zewnętrznie sensownych i mieszczących się w ramach zachowań operatora. W trakcie następnych eksperymentów okres zamierania coraz bardziej się skracał, aż przestał być rejestrowany przez aparaturę. Czas samodzielnego istnienia wirtualnego modelu osiągał kilka godzin, w przypadku rekordowym – dwadzieścia sześć godzin trzydzieści minut, co przekracza naturalny okres przebywania człowieka w Głębi. Zewnętrznie modele wyglądały całkowicie naturalnie, potrafiły prowadzić rozmowę na tematy bytowe oraz specjalistyczne. Zauważono udane dowcipy, przejawy emocji, reakcje depresyjne. W trzech przypadkach zarejestrowano twórcze działania, których analogów nie stwierdzono. Jeden raz wirtualny model przejawiał wyraźne zdolności intuicyjne”.

– Cholera – mówi Padlina. – Ciężka cholera. Stworzyli SI!

– Nie w tym rzecz. – Czyngis siada obok mnie. – Leonid, zrozumiałeś?

– Kopia – zgadzam się. – Kopiowanie osobowości. Przeniesienie siebie w świat wirtualny. Bez przepisywania pamięci, czego i tak nikt nie potrafi zrobić. Po prostu zostawiasz w Głębi odcisk swojej osobowości... i odcisk ożywa. Podciągasz dostępne zasoby, imitujesz ludzkie zachowanie...

– Ale to i tak imitacja. – Padlina zerka na Pata. – Posłuchaj, moje dziecko, zgodziłbyś się na umieszczenie w Głębi swojego sobowtóra?

Chłopak nie zastanawia się długo.

– Przecież to F5, a nie F6, prawda? Proszę bardzo. Nawet byłoby fajnie. Wychodzę z Głębi, a on tam szaleje sobie na maksa! A potem mi opowiada.

Chichocze, najwyraźniej wyobrażając sobie, co on by robił w Głębi bez żadnej kontroli.

– „Trzeci tryb kontroli przeprowadzono z wykorzystaniem technicznych możliwości głębinowego kontenera. Niestety, czystość eksperymentu została zakłócona przez dwudziestopięciogodziną barierę przebywania w wirtualności, której pokonać się nie udało. Niemniej rezultaty są zadowalające. W danym momencie uczestnicy eksperymentu znajdują się w Głębi od około trzech miesięcy. Efekt post-życia przejawiał się pod koniec pierwszego tygodnia przebywania w Głębi. W połowie drugiego miesiąca wirtualna postać przechodzi na całodobową aktywną działalność. Wyraźnych zmian w reakcjach i zachowaniu modelu podczas snu człowieka-operatora, podobnie jak w czasie jego wyjścia z deep hipnozy, nie zaobserwowano. Przez niezależnych ekspertów postać została uznana za adekwatną, zdolną do uczestnictwa w życiu społecznym swojego kręgu, przejawiającą właściwe operatorowi intelektualne, emocjonalne i seksualne reakcje. Znaczące zmiany zaobserwowano jedynie w zachowaniu ludzi-operatorów. Gwałtownie obniża się ich zainteresowanie światem rzeczywistym. Widać pewien chłód oraz sztuczność w kontaktach z ludźmi poza Deeptown. Poza głębinowym kontenerem lub bez zwykłego komputera operator jest zdenerwowany, lekko pobudzony, zwiększa się skłonność do alkoholu i używania narkotyków. Seksualne reakcje zanikają do zera. Zdolność do analizy sytuacji oraz działalność intelektualna pozostają nie zmienione. Operatorzy przejawiają maksimum pomysłowości, żeby nadal brać udział w eksperymencie. W zachowaniu przejawia się wyraźna korelacja z procesami pojawiającymi się podczas narkotycznego uzależnienia. Interpolacja danych pozwala zasugerować, że u operatorów, biorących udział w drugim trybie kontroli, podobne efekty pojawią się pod koniec drugiego roku eksperymentu!.

Wszyscy milczą. Wszyscy myślą o swoich sprawach. Ja też.

Właśnie to zabiło Romka. Nie tylko wiadomość o tym, że Dibienko spowodował powstanie Sztucznej Inteligencji. Nie tylko informacja o możliwości kopiowania swojego ja w wirtualnym świecie.

Oto co sprawiło, że rzucił się do panicznej ucieczki z plikiem, że schował go, jak umiał i zatarł ślady.

Zobaczył przyszłość. Przyszłość ludzkości.

Zobaczył ludzi, którzy wchodzą w Głębię, ale nie po to, żeby pracować, odpoczywać, przyjaźnić się i kochać. Ludzi, dla których Głębia to nie tylko złodziejstwo, kłótnie, podłość i rozpusta.

Zobaczył miliony dodatków do wirtualnych tworów. Miliony żywych automatów z czerwonymi, rozpalonymi oczami i zwiotczalnymi mięśniami; miliony połówek, rwących się do monitorów, hełmów, głębinowych kontenerów, do czegokolwiek, żeby tylko elektroniczna igła przeniknęła mózg,



zszywając ich w jedną całość z tą połówką która zagubiła się w Głębi...

Oto nasza przyszłość. Słodki raj Elojów w wirtualnych ogrodach.

I, rzecz jasna, stada Morloków. Nie wiadomo jeszcze, czy nocą Morloki będą okradać mieszkania Elojów i wgryzać się w ich słodkie ciała. Czas nocnych potworów minął, panie Wells. Miał pan szczęście, brytyjski marzycielu. Informacja to potęga, wszechświatowa sieć, moc! Można uderzyć raketą jądrową z Głębi, można produkować roboty policjantów. Nie jest trudno otoczyć betonowe bunkry z głębinowymi kontenerami drutami pod napięciem, podstawić do automatycznych karabinów Imperatora z Labiryntu.

Zresztą po co te wszystkie strachy na lachy?

I bez tego będzie niewesoło.

„Ucz się dobrze, synku, będziesz żył w raju...”

„Po co nam urlop? Lepiej kupmy sobie głębinowy kontener! Odpocznijmy w Głębi!”

„Słyszałaś? Sąsiad umarł tydzień temu! Wczoraj mi powiedział jego wirtual. Posiedzieliśmy, wypiliśmy za spokój ciała...”

– To nieśmiertelność – mówi gwałtownie Czyngis. – Przy wystarczająco długim wpływie „Sztucznej Natury” wirtualna osobowość może stać się całkowicie autonomiczna.

– W mogile widziałem taką nieśmiertelność – mamrocze niezbyt pewnie Padlina.

– Nie zarzekaj się. Mogiła będzie bliżej, kiedy przemyślisz sprawę.

– A ja bym spróbował – oznajmia radośnie Pat. – Ale jazda!

– W Głębi też pozostałbyś na zawsze bezczelnym pętakiem – zauważa Czyngis.

– Jakbym chciał, tobym został. A co!

– Chłopcy, co z tym zrobimy? – pyta Maniak.

Zawsze to samo. Przetrawiasz otrzymaną informację, a tu już cię zmuszają, żebyś odpowiadał na pytania. I w dodatku na pytania bez odpowiedzi.

– Zniszczenie pliku, jak chciałby Dibienko, to czyn nieodwracalny – mówi w przestrzeń Maniak. – Odradzałbym.

– Wyślemy na mój komp? – proponuje Czyngis.

– Dlaczego na twój? – Zamykam z trzaskiem tomik. – Może na mój? Albo na Maniaka?

– Sądzę, że do mojego mieszkania trudniej wejść niż do jakiegokolwiek innego.

– A w wirtualności?

– Klucze. Zamkniemy moim, twoim... kilkoma kluczami. Wtedy plik będzie dostępny wyłącznie pod warunkiem, że podejmiemy wspólną decyzję.

– Zamknijcie go sami – proponuje Maniak. – We czwórkę. Mieszkacie w jednym mieście... to najrozsądniejsze. Moje i Maga zdanie też przecież weźmiecie pod uwagę, prawda?

# Część czwarta

## Lustro

Głębio, Głębio nie jestem twój...

Zdjąłem hełm, zastanowiłem się chwilę i położyłem go na monitorze, na zabawnych stworkach z kolorowego sztucznego futerka. Mam je od dawna, od czasu jakiejś wystawy komputerowej; siedzą cichutko, przeklejone do monitora, i patrzą na mnie przezroczystymi paciorkami oczu. Może szepczą czasem o swoich sprawach, gdy ja nurkuję po raz kolejny. No i co, nurku, dograłeś się?

– Vika, wyjdźcie. Zakończ pracę.

– Wykonuję.

Zdążam zauważyć godzinę na gasnącym ekranie. Wpół do pierwszej w nocy. Trudno. Służba nie drużba. Głowa boli, ale nie tak bardzo jak się obawiałem.

Wnieśliśmy wirusa do Labiryntu. Pokonałem most. Wszedłem do Świątyni. Odebrałem plik. I jeszcze dostałem broń od Dibienki... tajemną broń, o której nie wspomniałem kumplom.

Więc dlaczego nie czuję radości?

Tak, Dmitrij Dibienko zabije Głębię. Ale w inny sposób niż sądziłem.

Czy broń trzeciego pokolenia zadziała przeciwko symbiontom, półludziom-półprogramom? Nie wiem, ale czuję intuicyjnie, że nie.

A jak każdy nurek, przywykłem wierzyć intuicji.

Właśnie, dodatkowy argument na korzyść „Sztucznej Natury”. Nie tylko marchewka, ale i bat.

Nie chodzi o to, że pojawią się głębinowe kontenery, to w końcu droga i skomplikowana rzecz i nigdy nie stanie się masową rozrywką. Skorzystają z niej najwyżej ludzie pragnący przenieść swoją osobowość w Głębię. Może też ciężko chorzy, marzący o nieśmiertelności, niechby nawet w tak dziwnej postaci. Albo ludzie nie liczący się z pieniędzmi, na przykład tacy jak Czyngis.

Deep program zwyciężył dzięki swojej prostocie. Nie wymagał niczego. Nawet wirtualny hełm i kombinezon były przyjemnym, ale nieobowiązkowym dodatkiem. W gruncie rzeczy wystarczył komputer, modem, wejście do Internetu i małe programiki.

Żeby zdobyć nieśmiertelność w Głębi, żeby otrzymać elektroniczną kopię swojej osobowości – będzie potrzebny tylko kolejny program. Duży program, powiedzmy to sobie szczerze. Ale potęga komputerów też wzrosła.

Kopia... nowa osobowość... elektroniczny symbiont...

Można długo plątać się w terminologii. Można kontrolować, eksperymentować, dyskutować. Pewnie będzie wszystko naraz. Nie tylko interesująca propozycja, ale i prawdziwe kuszenie.

Kto się oprze?

I czym stanie się Deeptown, gdy liczba elektronicznych kopii dorówna liczbie żywych ludzi? Czy będzie im potrzebne to wszystko, co zostało zbudowane w Głębi? Z czego zrezygnują z łatwością, co zostawią dla niedoskonałych ludzi, co zburzą jako niegodne uwagi? Co w nich pozostanie z ludzi-prototypów, a co będzie własne?

A może boję się tego, co niemożliwe? Wirtualna postać wykorzystuje część ogólnych zasobów sieci, zwykły komputer personalny nie będzie w stanie podtrzymać wirtualnej osobowości. Dopóki trwają eksperymenty, przeciążenie rośnie niezauważalnie... ale jeśli liczba wirtualnych postaci pójdzie w dziesiątki, w setki? Ile jest w stanie wytrzymać sieć?

I co przedsięwzēmą elektroniczne majaki, gdy uświadomią sobie, a na pewno zdołają sobie uświadomić, że są ograniczone materialnie?

Przerwą pojawianie się nowych wirtualnych osobowości? Wezmą do ręki broń?

Albo...

Komputery, na których teraz pracujemy, praktycznie osiągnęły granicę. Z kwarcu i germanu wyciśnięto wszystko, co się dało. Ilościowy wzrost wcześniej czy później zawsze jest zastępowany jakościowym. Pojawia się komputery skonstruowane na zupełnie nowych zasadach. Doskonale pamiętam czasy, gdy 386 uważany był za potężny komputer osobisty. Gdy dziś mówisz, że pracujesz na pentium albo pentium dwa, to tak jakbyś skarżył się na nieudane życie.

Wszystko zależy od tego, kiedy i jak Dmitrij Dibienko planuje rzucić na rynek swój nowy wynalazek... programowy kompleks „Sztuczna Natura”. Wydarzenia rozwiną się w jednym z dwóch kierunków.

Ale o to mogę Dibienkę zapytać.

Pozostaje jeszcze kwestia, co z tym programem chce zrobić Ciemny Nurek.

Opublikować w sieci?

Sprzedać piracki egzemplarz za ogromne pieniądze?

Wykorzystać samemu?

Zacząć kampanię walki ze „Sztuczną Naturą”, zanim Dibienko wypchnie ją na rynek?

Poszukać w programie słabych miejsc?

Same pytania. Nie wiem nic o Ciemnym Nurku. Wydaje mi się, że się domyślam... ale wolałbym nie wiedzieć.

Powoli wstaję, fotel cicho skrzypi. Jak zwykle rozebrałem się w ciemności, powiesiłem rozpięty kombinezon na oparciu. Spojrzałem na drzwi od sypialni.

Słaba niteczka światła w szczelinie nad progiem. Most pomiędzy jawą a snem.

Podszedłem do drzwi, cichutko uchyliłem, zajrzałem...

Vika nie spała. Siedziała rozebrana na łóżku, przed włączonym notebookiem, patrzyła na pusty ekran, na swój ulubiony wygaszasz – las, dziewczyna z łukiem w ręku, wilk obok niej...

Wolałbym, żeby już spała. Nie budziłbym jej. A jutro... jutro już nie odważyłbym się zadać tego pytania...

– Dobrej pory dnia... Nike – mówię.

Vika wzruszyła ramionami i powiedziała, nie odwracając się:

– Dobrej... Strzelcu...

Siadłem obok niej. Z boku musi to dziwnie wyglądać. Rozebrana kobieta na łóżku, obok niej półnagi mężczyzna... dwoje ludzi, którzy się kochają. Którzy doświadczyli w życiu nieco więcej, niż przypada w udziale zwykłemu człowiekowi.

Siedzą i milczą dlatego, że każde słowo tylko przybliży nieszczęście.

– Vika...

Odwróciła głowę i popatrzyła na mnie.

– Leonid, pozwolisz, że zapalę? – spytała.

Ciągle nie to. Ciągle nie tak. Ona mnie pyta, czy może zapalić...

– Mnie też daj.

Vika wyciągnęła z szafki nocnej paczkę papierosów, mocnych, zapalniczkę i popielniczkę. A to ci dopiero. To oczywiste, że nie grzebię w jej rzeczach. Ale chyba zapach powinienem był zauważyć. Powinienem?

– Wszedłeś do Świątyni? – pyta Vika, pstrykając zapalniczką. Podsunęła mi płomyk. Znowu nie tak... znowu nie to...

– Wszedłem.

– Bardzo się cieszę, Strzelcu. Na czym polegał problem?

– Most, Vika. Most z moich snów. Most, po którym nie można przejść.

– Dziwne... – zaciągnęła się głęboko, odłożyła papierosa. – Spodziewałam się czegoś związanego z tobą... ale nie do tego stopnia...

– Jak to się mogło stać, Vika?

– Nie wiem. Może tam jest system z kanałem zwrotnym, który daje projekcję twoich lęków...

– Nie o tym mówię. Jak to się stało, że zaczęłaś wchodzić w Głębię i nie powiedziałaś mi o tym?

– A uwierzysz mi?

– Tak.

Vika uśmiechnęła się i pogładziła mnie po ramieniu.

– Chciałam ci pomóc. Po prostu pomóc... gdy zablądziłeś. To wszystko.

Milczałem.

– Masz deep psychozę, Lonia. Od dawna. Toniesz, nurku. Może jest w tym moja wina. Ja zawsze kochałam coś tutaj, w prawdziwym świecie. Twoja miłość, twoja radość, twoje życie jest tam.

– Nieprawda...

Słowa są ciężkie, niewygodne, wypowiadam je, jakbym gryzł kamienie.

– Mam ciebie...

– Tak. Chyba tak. Ale i ja jestem tam. W Głębi. Nie chcesz się do tego przyznać nawet przed samym sobą. Ale dla ciebie ja pozostałam w Głębi. I wróciłam do Deeptown, żeby stać się sobą.

– Dawno?

– Dawno. Nie od razu mi się udało.

– Nike – mówię, patrząc na nią. – Nike... jestem głupcem. Powinienem był się domyślić. Nike – Wiktoria. Grecy – Rzymianie. Nawet się nie kryłaś.

– Po co? Wiedziałam, że kiedy zrozumiesz, stanie się nieszczęście. Ale okłamywać cię nie chcę. Nie chcę cię okłamywać.

– Vika, dlaczego tak nienawidzisz Dibienki?

– Ja? – Vika odwróciła się i popatrzyła na mnie ze zdumieniem. – Wcale go nie nienawidzę. Może po prostu nie lubię. A to co innego.

– A dlaczego nie lubisz?

– Leonid, czy to ważne? Teraz, tutaj, gdy jesteśmy sami, nie w Głębi... czy to ważne?

– Tak! – powiedziałem ostro.

– Dobrze... no więc to geniusz, który wyprzedził swój czas. Zrobił to, na co ludzkość nie jest jeszcze gotowa pod względem moralno-etycznym. To się często zdarza, twórcy bomby atomowej też się pospieszyli. Ale wyobraź sobie Einsteina albo Bohra którzy na łożu śmierci z uporem twierdzą że broń atomowa jest najwyższym dobrem i należy jej jak najczęściej używać. Geniusze zawsze mogą się powstrzymać... Dibienko może, ale nie chce. Dlatego go nie lubię.

– Do diabła z cholernym Dibienką – przełknąłem ślinę. – Niech go Bóg osądzi... Vika, a Romek?

– Co Romek?

– Nie żal ci go?

– Lonia, o czym ty mówisz?

– Po co wpakowałaś go w tę awanturę?

Patrzyłem jej w oczy. Widziałem, jak powoli ciemnieją... ze zdumienia albo z urazy.

– Kto wpakował?

– Ciemny Nurek. Zamilkłem.

– Lonia, dlaczego sądzisz, że to ja jestem Ciemnym Nurkiem?

Dlaczego? Chciałbym to wiedzieć. Po prostu tak zdecydowałem i już. Chociaż nie, już rozumiem. Najpierw pomyślałem, że Ciemny Nurek to Nike. Potem zrozumiałem, że Nike to Vika.

I porównałem obie strony równania, zapominając, że w jednej z nich pozostała niewiadoma.

– Strzelcu, nie jestem Ciemnym Nurkiem. Poszłam z wami do Labiryntu, bo nie chciałam zostawiać cię samego i nie chciałam się przyznawać, że wchodzę w Głębię. Oszukałam cię. Wybacz. Ale nie jestem Ciemnym Nurkiem.

– Vika...

– Nie mam czego szukać w Głębi, Lonia. I nie mam tam nic i nikogo do stracenia... prócz ciebie...

– Vika – powtórzyłem. Coś się stało ze słowami. Były teraz ostrym zimnym żwirem... złym piaskiem urazy na wargach.

Słowa znikły. Zostało tylko imię.

– Vika...

– Nie lubisz, gdy ci się pomaga, Lonia. Przyzwyczyłaś się, że jesteś silny. Przywykłeś pomagać innym, ratować i chronić, walczyć i zwyciężać... – uśmiechnęła się. – Nurku... zawsze wyciągniesz tonącego za włosy, nawet jeśli się przy tym nałykasz wody. I odepchniesz rękę człowieka, który chce ci pomóc. W najlepszym wypadku pozwolisz mu płynąć obok siebie.

– Vika... to nieprawda.

– To część prawdy, i to dość znaczna. To, co dwa lata temu złamało nas wszystkich, w ciebie

uderzyło najsilniej. Nie odnalazłeś siebie, Leonid. Nawet Romek się odnalazł. A ty się zamknąłeś. Odciałeś wszystkie nici, zrezygnowałeś z szukania wyjścia. Powiedziałaś sobie, że więcej nie będziesz nurkiem.

– Ja naprawdę nie jestem nurkiem, Vika. Jestem nikim.

– I dlatego przenosiłeś narysowane meble? Piłeś narysowaną wódkę w tanich wirtualnych barach?

– Tak. Bo teraz jestem nikim.

Vika pokręciła głową i znowu dotknęła mojej ręki.

– Przed kim ty uciekasz, Leonid? Przed kim? A może – przed czym?

– Chciałbym wiedzieć, dokąd uciekam, Vika. Wiem, co straciłem, ale nie wiem, do czego dojdę.

– Lonia...

Objęła mnie, objęła tak nieoczekiwanie, że drgnąłem. Przywarła do mojej piersi.

– Lonia, niczego nie straciłeś.

Nie odpowiedziałem. Trzymałem ją tak, z twarzą wtuloną w jej włosy. Siedziałem i milczałem. Nie ma racji, ale tego jej nie powiem.

– Lonia, cechy nurka dostaje się z góry. Od Boga, losu, w wyniku gry genów... niech każdy wierzy w swoją wersję. Co straciłeś, Lonia? Umiejętność wychodzenia z Głębi w każdej chwili? Nadal to potrafisz. Umiejętność widzenia tego, co jest niedostępne dla innych? Czy to było najważniejsze, Lonia?

Przecież nie o to chodzi „To był mój los.”

– Wiem, o czym myślisz. Mogłeś tworzyć cuda. Małe cuda, gdy byłeś zwykłym nurkiem. Wielkie, gdy spotkałeś Nieudacznika. Potem wszystko znikło, umknęło nie tylko tobie, wszystkim... ale czy to było najważniejsze, Lonia?

– To był mój los.

– To było tylko sposobem, w jaki budowałeś swój los. Kształtem, instrumentem, ale nie istotą. Lonia, ilu było łajdaków wśród nurków?

– Kradliśmy. Cudze programy, cudze pieniądze, cudze tajemnice.

– Wielu z was? Często?

– Nie, ale...

– Ilu wśród was było łajdaków, Lonia? Ilu nurków wykorzystywało swój dar w złych celach? Hazard, gra, włam, kradzieże... ale nikt nie zniżył się do podłości. Można złamać prawa społeczeństwa, ale nie można przekroczyć praw moralnych. Pamiętasz?

– Dopóki byliśmy razem. Dopóki mieliśmy swój kodeks honorowy. A teraz?

– Masz na myśli Ciemnego Nurka?

– Jego przede wszystkim... o innych niczego nie wiem. On zachował swój dar w pełnym wymiarze. Jeśli wierzyć Dibience.

Vika drgnęła.

– Rozmawiałem z nim dzisiaj. Jeśli on nie kłamie, Ciemny Nurek nie tylko zachował, ale pomnożył swoje zdolności. Ugania się za plikiem, po który wysłał Padlinę i Romka. Nienawidzi Dibienki... i próbuje mu zaszkodzić.

– To dlatego pytałeś mnie o Dibienkę.

Nie odpowiedziałem, wziąłem ją za rękę.

Dlaczego nie zobaczyłem jej oczu w oczach Nike? Dlaczego nie usłyszałem jej głosu, nie poczułem ciepła dłoni?

Czy dlatego, że zapominam ją prawdziwą... tą, która dzieli z mną dach i łóżko?

Nie na próżno bajki kończą się weselem. I żyli długo i przeważnie szczęśliwie... Zresztą czasem po weselu przylatuje smok. Wielki, zły i ziejący ogniem amator cudzych narzeczonych. I wtedy bajka ma szansę potrwać jeszcze trochę.

Czy trzeba specjalnie hodować tego tępego smoka, jeśli nie chcesz, żeby bajka skończyła się zbyt szybko?

Nienawidzę smoków i tych, którzy je hodują.

– Nie jestem Ciemnym Nurkiem, Lonia... nie jestem Ciemnym Nurkiem.

– Vika...

Przez chwilę wydawało mi się, że Vika się rozpłacze. Przyciągnąłem ją do siebie, objąłem jeszcze mocniej, przesunąłem dłonią po twarzy. Twarz była sucha... ona nie umie płakać. Nie nauczyłem tego narysowanej Viki, a żywa oduczyla się sama.

– Nie potrzebuję broni trzeciego pokolenia... i nie mam zamiaru nikogo zabijać. Ani w życiu, ani w Głębi.

– To nie broń jest w tym pliku.

– A co w nim jest?

Nadal kołysałem przytuloną do mnie Vikę. Nie wystarczy mi rąk, by objąć wszystkich strapionych. Nie wystarczy mi sił, żeby wyciągnąć każdego tonącego. Nie wystarczy mi życia, żeby przeżyć je tak, jak chcę.

Rób, co możesz. Co będzie, to będzie.

– To nie śmierć, Vika... tam jest życie. Ale nie wiem, czy takie życie jest potrzebne Głębi.

Opowiedziałem jej wszystko. Poczynając od momentu, gdy nacisnąłem na spust, już się domyślając, że strzelam do niej. Domyślałem się, a jednak strzeliłem.

Opowiedziałem o Świątyni, w której każdy z nas jest wpieczętowany w ścianę.

O wizycie Dibienki, przyjeździe chłopaków, liście z plikiem.

O „Sztucznej Naturze”.

– To nowe życie już zabija – wyszeptała Vika. – Chociaż nie nabrało jeszcze sił.

– To nie ono zabija.

– Nieważne, kto nacisnął spust. Najemny ochroniarz, który wiedział, czym strzela, czy podekscytowany chłopak, który nie rozumiał, co robi... „Sztuczna Natura” już zabija. Wczepia się w życie, w miejsce pod narysowanym słońcem. Na razie naszymi rękami...

– Nie wyjdą w real. Nigdy. Ani Imperator z Labiryntu, ani elektroniczny symbiont.

– Za to my możemy odejść w Głębię. Zupełnie. I nie wystarczy nurków, by uratować każdego...

– Nikt nie będzie prosił, żeby go ratować. To jest najgorsze. – Odetchnąłem głęboko, jakbym nurkował do wody. – Odejdę z Deeptown. Wystarczy mi sił, Vika.

– Nie, nie odejdiesz. – Podniosła głowę i uśmiechnęła się. Słabo, ale jednak. – No, no, ale wymyśliłeś... ucieczka?



– A co innego mogę zrobić?

– Jesteś nurkiem!

– Jestem nikiem!

– Jesteś nurkiem! Umiesz patrzeć na świat bez różowych okularów i wrócić z Głębi, możesz stanąć do walki, bo jesteś nurkiem! To jest najważniejsze, Lonia! Obiektywizm, wolność, odwaga. A nie szukanie dziur w programach i włamywanie się do cudzych serwerów.

– Zapominałaś o sumieniu...

– Sumienie nie ma tu nic do rzeczy. Gdy go zabraknie, człowiek pozostaje nurkiem. Tylko Ciemnym.

– On nie stracił swoich zdolności.

– Więc i ty możesz je odzyskać. Przecież przeszedłeś przez most!

– To... to co innego.

– Jesteś pewien? Pamiętasz, jak się śmialiśmy z twoich fantazji... gdy ci się wydawało, że wszedłeś w wirtualność przez odłączoną linię telefoniczną? Co było snem, a co jawą, Lonia? Kiedy naprawdę wyłączyli ci telefon? Przecież mogłeś, rzeczywiście mogłeś dokonać tego, czego nie mógł nikt! Przechodzić przez ściany, śmiać się w odpowiedzi na kule, sięgnąć do każdego zakątka sieci. Tak naprawdę było! Całowaliśmy się, lecąc nad Deeptown... pamiętasz?

– Nieudacznik odszedł i zabrał wszystko.

– Naprawdę wszystko? Most, Lonia! Most! Zacząłeś przechodzić go już we śnie, pamiętasz? Dwa, trzy razy?

– Więcej, Vika. Po prostu ci nie mówiłem... za każdym razem.

– Dlaczego? – Trochę się odsunęła.

– Nie rozumiałabyś, co się ze mną dzieje.

– Myślisz, że mogłabym tego nie zrozumieć? – Pokręciła głową. – Nie mówić o tym – owszem. Ale nie zrozumieć?

– Przepraszam...

– Nie ma za co. Ale jednak szedłeś przez ten most. Bez żadnej sieci, bez komputera i modemu.

– Sama dawałaś inne wyjaśnienie.

– Co ja tam wiem... Zamilkła.

– Nie wiem, co robić – powiedziałem cicho, jakby się skarżąc.

– Pomyśl. Jesteś nurkiem. I powiedz mi... – Nagle się zawahała. Znowu się ode mnie odsunęła, popatrzyła surowo i badawczo.

– Co?

– Kiedy zaczęłaś podejrzewać, że Nike jest nurkiem?

– Kiedy zjechała na linie równie szybko jak my.

– Za bardzo się pospieszyłam... A kiedy pomyślałaś, że Nike to ja?

– Na samym końcu. Już po pałacu.

– Wiec kiedy mówiłaś Nike, że ona ci się podoba, jeszcze nie wiedziałeś, że ona to ja?

– Przecież to byłaś ty!

– Tego nie wiedziałeś!

No proszę. Nowy problem.

– Ale czułem... – uśmiechnąłem się. – Vika, widocznie po prostu wyczułem, że ty to ty. Wiesz, jak w tej bajce, kiedy księżę znajduje księżniczkę pośród setki dziewcząt o zasłoniętych twarzach...

Mógłbym powiedzieć jeszcze wiele ładnych słów.

Tak wiele, że sam w końcu uwierzę: czułem, domyślałem się, wiedziałem...

Włożę ładną maskę, jedną z tych, które nosiłem w Deeptown. Przekonam Vikę, by uwierzyła. Ona wyczuje nieprawdę, ale zapragnie uwierzyć. Moje kłamstwo nie będzie murem pomiędzy nami, przeciwnie, stanie się mostem. Nie jestem winny... komplement nie może być winą. A Vika nie jest purytanką.

Po prostu odrobinę przeinaczę prawdę.

– Niczego nie wyczułem, jeśli mam być szczerzy – powiedziałem. – A jeśli nawet wyczułem, to całkowicie nieświadomie. Nike mi się po prostu spodobała. Sympatyczna, ładna, dzielna dziewczyna. – Nie mam bladego pojęcia, jak Vika zareaguje. Kiedyś bym się domyślił. Teraz nie wiem.

– Mnie też się spodobała. – Vika uśmiechnęła się. – Po Madame to najsympatyczniejsza moja postać. Nawet naprawdę zapragnęłam zacząć pracę w tym głupim Labiryncie.

– A co z realem?

– Tam mogłabym dorobić...

– Nie trzeba. Wystarczy w naszej rodzinie jeden nienormalny, który nie wychodzi z Głębi.

– Leonid...

Popatrzyłem Vice w oczy.

– Odszukaj Ciemnego Nurka. Znajdź go i porozmawiaj z nim. Dowiedz się, czego chce.

– Sam mnie znajdzie, Vika. Przecież puściłem plotkę, że Dibienko wynajął mnie do zabicia Ciemnego Nurka.

– No i plotka stała się rzeczywistością... Leonid, chyba nie masz zamiaru tego zrobić?

– Nie. Chyba nie.

– O tym „chyba” możesz od razu zapomnieć. Tamten smarkacz mógł nie wiedzieć, co robi, gdy strzelał. Ty będziesz wiedział. I zapamiętasz na zawsze.

Moja Vika była teraz bardzo poważna.

– On już do nas strzelał, Vika.

– Bo wy strzelaliście do niego.

– Nieważne. Wdarł się do cudzego domu.

– A jednak chce porozmawiać!

– Vika, on ma broń trzeciego pokolenia!

– To wersja Dibienki. Ciemny Nurek mógł blefować albo mu grozić. Ale czy kogokolwiek zabił?

– Gdy on kogoś zabije, też będę to pamiętał przez resztę życia. I nie wiem, co będzie gorsze: świadomość, że ja zabiłem, czy fakt, że zabili mojego przyjaciela.

– Leonid... – westchnęła i znowu się do mnie przytuliła. – Lonia, Lonia.

Dlaczego jestem jak kawał drewna?

Chcę się zemścić?

Nie jestem gotów wybaczyć?

Czy po prostu zazdrozczę temu nurkowi, który zachował całą swoją siłę? Zachował siłę i odrzucił zasady, których zawsze przestrzegali nurkowie.

Może tego też mu zazdrozczę?

Tej wolności, z którą Ciemny Nurek prześladowuje Dibienkę, zmuszając twórcę Głębi do ukrywania się? Wesołego ryzykanctwa, z jakim wszedł do domu Czyngisa, zmuszając nas do rozmowy? Tej łatwości, z jaką nacisnął spust, nie na poligonie Labiryntu, lecz w zwykłym świecie Deeptown?

Nie wiem, kto i dlaczego nazwał go Ciemnym Nurkiem. Może przydomek jest zasłużony. Jeśli sam się tak nazwał, to jeszcze gorzej.

– Nie rób niczego nieodwracalnego, Lonia!

– Dobrze.

– Nigdy nie rób nic nieodwracalnego. Jednego „nienawidzę” nie odkupi dziesięć „kocham”. Jednej śmierci...

– Wiem, ale do jednej śmierci już doszło!

Zamilkłem, słysząc własny głos. Chcę się zemścić, czy nie mogę wybaczyć? Oto pytanie.

– Vika...

Jej twarz stała się mokra, poczułem sól na ustach.

– Vika, spróbuję. Naprawdę spróbuję.

– Jesteś nurkiem, Lonia. Pamiętaj o tym.

– Ja...

Nagle moje ręce stały się gorące. Słowa przestały być potrzebne.

– Nie jestem nurkiem, Vika... nie tu i nie teraz.

– Nie wiadomo, jak długo nie spałeś... – uśmiechnęła się. – Jesteś pewien?

Kiwnąłem głową.

– Jestem. Tej nocy nie chcę patrzeć na gwiazdy. Nie chcę mówić o wrogach.

Vika podniosła głowę. Zobaczyłem na jej twarzy uśmiech przez łzy.

– Dobrze... gwiazdy poczekają. Poproszę je. Wrogów nie będziemy wcale pytać.

Jak fajnie obudzić się rano! Właśnie rano, a nie przed południem, gdy przez zasłony przebija się ostre światło słońca, jeżdżą samochody, krzyczą na dworze dzieci, a w głowie masz watę po kilku zaledwie godzinach rannego snu.

Wstać o ósmej rano... Dla bywalca Deeptown to czyn bohaterski.

Vika wstała jeszcze wcześniej. Słyszałem, jak kręci się po kuchni, coś nucąc, słyszałem mamrotanie włączonego telewizora. Jaki apetyczny zapach... Można poleżeć sobie w łóżku, nie myśląc o jakiejś tam Głębi, o drobnych i poważnych konfliktach, o niepotrzebnych wyczynach, o skomplikowanych intrygach wirtualnego świata... intrygach, dla których miejsce jest w koszu na śmieci, intrygach które przed wieczorem pożółkną, a rozsypią się w proch następnego dnia.

Rytm... szalony rytm Deeptown. Kocham to. Ale czasem tak bardzo się chce zapomnieć o skrzynce zapchanej mikroschematami, nie otwierać czarodziejskich wrót do ogromnego, kuszącego świata. Poleżeć w zwykłym pokoju, w którym przy suficie odkleiła się tapeta, skrzypi rozeschnięta klepka, ciągnie chłodem od okna... gdzie kobieta, którą kochasz, śpiewa w kuchni, robiąc śniadanie dla ciebie, obiboka...

– Lońka, uwaga!

Gdy Vika zjawiała się w pokoju z tacą w ręku, osłupiałem.

– Czy choć raz przyniosłam ci kawę do łóżka?

– Nie – powiedziałem szczerze.

– Pora naprawić to niedopatrzenie.

... Tylko w filmach ładnie to wygląda. A może mają łóżka innego systemu. Albo inaczej zbudowane przewody pokarmowe. Picie w pozycji półleżącej to jeszcze nic, ale jedzenie to już zupełnie inna historia. Kontynentalne śniadanie to dobra rzecz, ale tosty lubią się kruszyć, i to nie na tacę, lecz na pościel. Jajka na miękko kiepsko się tłuką, gdy taca leży na grubej kołdrze, a pod kołdrą masz własny miękki brzuch.

– Możesz się teraz chwalić przyjaciołom, że żona przynosi ci śniadanie do łóżka – powiedziała Vika. – Tylko nie precyzuj, jak często. Dobrze?

Dobrze.

To bardzo miłe. Chociaż wolę jeść na siedząco, po kąpieli i umyciu zębów.

– Vika – pytam, pijąc kawę – jakie masz na dzisiaj plany?

– Praca. Zadzwoniłam, że się trochę spóźnię... Ale tylko trochę.

– Nie mogłabyś dzisiaj zapomnieć o pracy? Poszlibyśmy gdzieś. Do teatru. Na koncert. Powłóczyć się...

Vika śmiesznie wyduła usta.

– Aha, dobrze by było... ale nic z tego.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ty też dzisiaj pracujesz. Uśmiechnęła się i cmoknęła mnie w czoło.

– Nie chcę – powiedziałem tonem kapryśnego dziecka.

– Nie szkodzi, że nie chcesz. Ale trzeba. Pojedziesz do swoich przyjaciół. Postanowicie, co zrobić z plikiem Dibienki. Skontaktujecie się z nim, potem spróbujecie znaleźć Ciemnego Nurka. I

zdecydujecie ostatecznie, co z tym wszystkim zrobić.

– Kto i co chce zrobić – uściślam.

– Właśnie. Znajdziecie równowagę interesów. Moim zdaniem ta sztuczka nie powinna się teraz pojawić na rynku. W każdym razie do ogólnego zastosowania. Do zupełnej psychozy ludzkości brakuje tylko Sztucznej Inteligencji i ludzi, którzy stali się nieśmiertelni w elektronicznym świecie. Odnoszę wrażenie, że Dibienko to rozumie. I ten... Ciemny... musi to zrozumieć. Czego on chce? Nie sądzę, żeby chodziło mu o rozdawanie pliku wszystkim chętnym i doprowadzenie Dibienki do bankructwa i samobójstwa. Pieniądze, władza, sława, ambicja... szukajcie motywu. Szukajcie kompromisu. Oto rada ze strony piękniejszej części ludzkości.

– W porządku – . uśmiechnąłem się. – Spróbujemy.

– I uważaj na siebie. – Vika spoważniała. – Proszę cię. Jeśli zobaczysz Ciemnego Nurka, wynurz się. A nuż Dibienko ma rację i on jest uzbrojony?

– Dobrze.

– Lonia... ja wiem, że to nie są żarty. Teraz już ryzykujecie życie. Chłopca w ogóle nie bierzcie ze sobą do Deeptown. To potencjalnie najwygodniejszy zakładnik.

– Powiem Czyngisowi.

– Bardzo nie chciałabym zapomnieć o wszystkim, co mówiłam wczoraj. Zapomnieć, że chcę wziąć do ręki broń i samej wyjść na łowy. Ale wiesz, że to zrobię.

– Wiem.

– Wobec tego uważaj na siebie. I uczesz się. Zakrztusiłem się kawą od tej lawiny dobrych rad. Ale Vika już odstawiła tacę na szafkę, wstała z łóżka i poprawiła spódnice.

– Pora na mnie. Powodzenia, Lonia. Mocnego konektu, szybkiego pinga.

Ciekawe, jak żegna się żołnierzy idących na wojnę?

Nie wiem... na szczęście nie wiem. Ja nie żegnałem i mnie nie żegnali. Wirują mi w pamięci obrazki ze szkolnych podręczników, z książek, z filmów... „z tarczą albo na tarczy”... chóralne zawołanie... milczące, nawet nie błagalne spojrzenia, pogodzone zawczasu ze wszystkim, co może się stać...

Można też tak – „mocnego konektu, szybkiego pinga”. Nawet to życzenie się zestarzało. Nie wchodzę do sieci przez modem, żeby zamierać jak słup w czasie zrywania i nawiązywania połączenia, żeby zwlekać z reakcją, gdy połączenie się psuje. Ale nowego życzenia jeszcze nie wymyślono... albo po prostu go nie słyszałem.

Trzeba popytać Pata albo Ilię. Młodzież wie lepiej.

A jeszcze tydzień temu pomyślałbym, że trzeba znaleźć i zapytać Romka.

Trzasnęły drzwi w przedpokoju. Wstałem, strząsnąłem okruchy z łóżka na podłogę. Wieczorem trzeba posprzątać. Vika się ucieszy. I podłogę umyję. I powycieram kurze.

A teraz w drogę.

Prysznic. Na przemian lodowate i gorące strumienie. Piżmowy zapach żelu.

Kto się dzisiaj nie wybierał w Głębię?

A, był tu taki jeden...

Przesunąłem po spotniałym lustrze mokrą ręką i popatrzyłem na siebie. Oczy prawie nie były czerwone. I nieco zmiękł zarys warg, ostatnio ciągle zaciśniętych w wąską kreskę.

Kompromis?

Zobaczymy. Kiepski pokój jest zawsze lepszy niż dobra kłótnia.

Ale gdyby Ciemny Nurek nie podstawił na swoje miejsce Padliny i Romka, chłopak by żył...

– Spróbuję, Vika – powiedziałem. – Słowo honoru, spróbuję.

W metrze było sporo ludzi. Odzwyczaiałem się od jeżdżenia w godzinach szczytu. Stałem przy samych drzwiach, pomiędzy staruszką, zmęczoną kobietą a mrocznym nastolatkiem, który zaszpurował uszy słuchawkami. Chyba wyglądałem nie lepiej od nich... wyłączając może nieświeżego staruszka w brudnym płaszczu. Twarz blada i pomięta, zacięte spojrzenie.

A przecież to wycinek społeczeństwa. Warto by było dodać jeszcze nowego Rosjanina w rodzaju Czyngisa... ale tacy jak on metrem nie jeżdżą. Zresztą, bez niego też mamy ładny przekrój. Zapuszczonego staruszka, któremu już wszystko jedno... kobietę, która przyzwyczaiała się do swojego żalostnego kieratu... chłopaka, który nie ma ochoty niczego widzieć ani słyszeć...

No i jeszcze ja.

Nie tyle nurek, który się wynurzył, ile topielec, który właśnie wypłynął. Od staruszka mógłbym przejąć obojętność do swojego ciała i wyglądu zewnętrznego. Od kobiety – zmęczenie, ale nie z powodu przebywania za biurkiem czy ladą, lecz z własnej głupoty. Od chłopca – korki w uszach, gdy sprawy dotyczą rzeczywistego świata.

Czego nam wszystkim brakuje, no, czego? Tutaj, w prawdziwym świecie? Nie wierzę, że złych ludzi jest więcej niż dobrych. Nie wierzę, że jesteśmy słabsi. Nie wierzę, że każdy życzy każdemu wszystkiego najgorszego. Można oczywiście przywołać wiele przykładów, że tak jest. Zabójcy, psychopaci, degeneraci, zwyczajne chamy, egoiści, łajdaki. Pełno ich na świecie. Ale to i tak mniejszość, w przeciwnym razie świat zmieniłby się w krwawą jatkę...

A może już się zmienił?

Nie. Chyba nie. W przeciwnym razie ponury nastolatek kopałby leżące na podłodze staruszka, usuwając ze świata brud i starość. Kobieta skrzętnie podnosiłaby drobniaki wysypujące się z kieszeni ofiary. Pozostali pasażerowie obstawialiby, w której minucie staruszek wyzionie ducha.

Ja zaś siedziałbym w domu, w hełmie i kombinezonie, słabo podrygując w fotelu, a w rajskich apartamentach Deeptown gejsze pieściłyby moje wirtualne ciało...

A przecież jadę teraz do Czyngisa. Jadę nie dlatego, że nieszczęście grozi mnie osobiście. Ten chłopiec splunąłby mi w twarz, a kobieta wymierzyła siarczysty policzek, gdyby poznali moje myśli.

Nawet nie dlatego, że moje myśli są idiotyczne. Chłopiec krzywi się ze wzdargą, gdy jego spojrzenie pada na staruszkę. A te dwa dolary dziennie, które bez zastanowienia oddaję firmie Newcom Port za prawo wchodzenia w Głębię, dla kobiety stanowiłyby niemalą sumę.

Ale w nas wszystkich tkwi coś jeszcze poza zwierzęcym szczerzeniem zębów, poza zwierzęcymi instynktami i złośliwym chichotem. W jednych mniej, w innych więcej. Ale jest we wszystkich. Bariera pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Mocna krata, którą można przepiłować albo wkopać głębiej – jak sobie życzysz. Most nad przepaścią.

Nie wiem, kiedy te kraty staną się niepotrzebne. Może rzeczywiście wtedy, gdy jagnię położy się obok wilka.

Gdybym wierzył, że pozostaną na zawsze, jeszcze wczoraj wziąłbym podarowany przez Dibienkę pistolet i poszedł zaprowadzić w Deeptown swój porządek.

Drzwi otworzył Czyngis. Ogolony, w dzinsach i kraciastej flanelowej koszuli.

– Wchodź – powiedział bez zdumienia.

– Nie obudziłem cię?

– Nie. Zawsze wstaję wcześnie. To Pat i Padlina śpią do oporu. Zza pleców Czyngisa wyszedł retriever. Wyciągnąłem rękę do ciekawskiego Bajta, pies wsunął nos w moją dłoń i przyjaźnie otarł mi się o nogę.

– Idziemy do kuchni? – zaproponował Czyngis.

– Piwo? – zapytałem podejrziwie.

– Nie, raczej kawa. Z koniakiem. Albo z balsamem ryskim. Lubisz ryski balsam?

– Oczywiście. Jak każdy były radziecki człowiek.

Taki już chyba mój los, opijać się dzisiaj kawą.

W kuchni od czasu naszej poprzedniej nasiadówki nie zmieniło się nic. Stały nawet puste butelki po żygulowskim, ale bardzo wątpię, żeby te same. Padlina chyba pije piwo jak wodę.

– Zaraz...

Kawą rozpuszczalną Czyngis najwyraźniej gardził. Ekspresami również. Przyglądałem się, jak wsypuje do malutkiej ręcznej maszynki do mielenia ziarna kawy Colombo i niespiesznie, starannie kręci korbką...

– Może być krajowa? – pyta. – Niektórzy kręcą nosem, ale to naprawdę porządna kawa, dobrze palona. Nie kupuję towarów importowanych, jeśli są ekwiwalenty krajowe. – Po chwili zastanowienia dodał: – Tyle że rzadko można je znaleźć.

– W porządku. Sam taką piję.

Dobrze być bogatym. Można nawet pić rosyjską kawę.

– Czyngis, na czym zarabiasz pieniądze?

– Kompakty – odpowiedział spokojnie Czyngis. – Pirackie. CD, DVD, Windows Home za kilka dolców, nowe gry, programy... gdy idziesz na bazar Mitiński albo podchodzisz do straganu na ulicy, zostawiasz trochę kasy dla mnie. Na kawę.

Wsypał zmielone ziarna do tygla.

– Teraz zrekompensuję ci ten haniebny fakt...

– Jasne.

– Tłumaczę też gry... jeśli gra mi się podoba, sam się tym zajmuję. Jeśli nie, oddaję chłopcom. Czasem Patowi. On też chce trochę zarobić.

– Teraz już wiem, komu zawdzięczam te tanie żarciki: „Wasz statek przybił do wyspy syren, które śpiewały Depeche Mode tak superowo, że część załogi zrejterowała”.

– To na pewno nie Pat, on nie lubi Depeche Mode.

Czyngis nalał kawy do filiżanek, postawił na stole butelkę ryskiego balsamu i wreszcie przyniósł małe srebrne kieliszki.

– Jak będziesz pił, w kawie czy oddzielnie? Ja wolę oddzielnie.

– Ja też.

Uśmiechamy się mimo woli.

– Za nas... – Czyngis podniósł kieliszek.

– A dla mnie? – dobiegło posępne mamrotanie ze schodów. – To ty, Lonia?

Padlina drapał się po brzuchu, mrużąc krótkowzroczne oczy.

– Znowu zgubiłeś okulary? – zapytał Czyngis.

– Nie zgubiłem. Pamiętam, że są gdzieś w mieszkaniu... chyba. Podciągając ogromne satynowe bokserki, usiadł obok nas.

– Kawa w tyglu, weź sobie, zanim ostygnie – poradził Czyngis.

– Żeby nawet nie nalać staremu przyjacielowi... zupełnie wstydu nie masz – burknął Padlina i sięgnął do kuchenki. – Jak przyjdą cię rozkułaczyć, to nawet słówka nie pisnę!

Stęknął, triumfalnie stawiając naczynie na stole. Poszukał oczami filiżanki, westchnął, napił się z prosto z tygla. Nalał do kawy balsamu i oznajmił:

– Jak błogo. Aha... Czyngis, pewnie pomieszkać u ciebie do wiosny. Dobra?

– Można by pomyśleć, że jak powiem nie, to wyjedziesz.

– No pewnie, że nie wyjadę. Jesteś mi winien czerwonce. Jeszcze z barki.

– Nic ci nie jestem winien – uśmiecha się Czyngis. – Uczciwie przegrałeś tego czerwonce. Nie wyrobiłeś się w terminie.

– Wyrobiłem, tylko za późno włączyłeś sekundomierz! – wrzasnął Padlina. – Na co ci biznesmeni nie pójdą, żeby nabić kabzę... popatrz na niego, Lonia!

– Co to za barka? – zapytałem. – Już trzeci raz słyszę...

– Od tej barki wywodzi się całe rosyjskie hakerstwo! – wygłosił uroczyście Padlina. – Za hakerów!

– I za nurków – dodałem, podnosząc kieliszek.

– Ukradliśmy wtedy IBM XT – powiedział Czyngis.

– Nie ukradliśmy! Pożyczyliśmy! Oddaliśmy potem uczciwie.

– Jasne, po czterech latach. Zresztą niepotrzebnie. Trzeba będzie ją wykupić... jeśli jeszcze żyje. Niech sobie stoi staruszka, pogramy sobie czasem w Diggera.

– Digger... – rozmarzył się Padlina. – Właśnie...

– Zebrało się tam całe towarzystwo początkujących programistów. Na starej, przycumowanej barce. Wokół jedyne go komputera. – Czyngis uśmiechnął się do swoich wspomnień. – Uczyliśmy się. Wszystkiego. Piliśmy straszne piwo i okropną kawę, jedliśmy tanie bułki i trocinowe kotlety... dobrze było, prawda, Toha?

– Prawda – skinął głową Padlina. – Tylko wtedy nie miałem harleya... A poza tym okay.

Siorbnął łyk kawy, otarł usta dłonią.

– No, bracia króliczki. Co robimy?

– A co mamy robić? – odpowiedział Czyngis pytaniem na pytanie. – Nie zdołamy przeszkodzić Dibience w rozpowszechnianiu programu. A rozpowszechnić go sami... Wyobrażam sobie, jak sprzedawałyby się dyski z programem, który stworzy twoją nieśmiertelną kopię w wirtualnym świecie. Ale jakoś się do tego nie pałę. Na życie mi na razie starcza.

– Co Dibienko ma zamiar zrobić z plikiem? – zapytał mnie Padlina.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Możemy go zapytać. Niewykluczone, że odpowie



szczerze.

– Programów, na których opracowanie poszło morze pieniędzy, nad którymi siedziały dziesiątki specjalistów, nie odkłada się do szuflady – westchnął Czyngis. – To po prostu niemożliwe. Chodzi tylko o to, kiedy wypuszczą go na rynek.

– Trzeba by zapytać Ciemnego Nurka – powiedziałem. – Dowiedzieć się, czego on chce.

– Chyba przyjdzie – zmrużył oczy Czyngis. – Może nie?

– Siemanko...

Do kuchni wszedł zaspany Pat, przecierając oczy. Był w dżinsach i na bosaka.

– Co wy tak wcześnie... – burknął, otwierając lodówkę. Zamarł na chwilę, robiąc szybki przegląd zawartości, potem wyciągnął jogurt i postawił na stole. – Wrzeszczycie, że w całym domu was słychać.

– Idź się umyć – polecił Czyngis.

– Aha, tylko coś zjem...

– Słusznie – poparł chłopaka Padlina. – Nadmierna higiena to wymysły zniewieściałego zachodniego społeczeństwa. Prawdziwy haker powinien być brudny, nieuczesany, z żółtymi zębami i ziemistą twarzą.

Pat zerknął na hakera, ale dalej jadł jogurt.

– Mam dzisiaj kilka spotkań – oznajmił Czyngis. – W Głębię będę mógł wejść dopiero wieczorem. Spotkajmy się tutaj... ale w Głębi. O siódmej. Nie, lepiej o ósmej. Wszystkim pasuje?

– Może wcześniej? – zapytał Pat.

– Wiesz co, Pat, lepiej na razie nie wchodź w Głębię – powiedziałem.

– Bo co?

– Dzieci są najlepszymi zakładnikami.

Pat prychnął.

– Dzisiaj będę miał dwa metry i brodę.

– Leonid ma rację – zgodził się ze mną Czyngis. – Kilka dni bez wirtualności wytrzymasz.

Ze spojrzenia chłopca zrozumiałem, jak strasznie spadły moje akcje. Znacznie głębiej niż ta nieszczęsna przepaść przed Świątynią.

– Łońką, jestem na ciebie obrażony!

– Ale posłuchaj...

– Strzeliłeś z miotacza rakiet! – oznajmił Pat, oblizując łyżeczkę. – Zabiłeś mnie. A gdybym miał szok bólowy? Albo gdyby mi się wyrostek rozlał?

– Nie gadaj tyle – powiedział spokojnie Czyngis. – Dzisiaj w Głębię nie wchodzisz.

– No to zobaczymy, co tam beze mnie zwojujecie – burknął Pat. – Otwieramy tamten program? Chciałbym trochę pojuzerować... nie w Głębi, tak tylko... popatrzeć.

– Zapomniałem swojego klucza – uśmiechnął się złośliwie Czyngis. – Zjadłeś? To idź się umyć.

– Łajdaki – mruknął Pat, wstając. – I co, łatwo sobie poradzić z dzieckiem trzem dorosłym facetom?

– Do obrażania się to jesteś dziecko – powiedział Padlina, wyjmując papierosa. – A jak chcesz ściągać gigabajty pornoli, to robisz się dorosły.

Mały chyba wolał nie dyskutować na ten temat z Padliną. Sapnął i wyszedł.

– Nie wejdzie? – zapytałem.

– Widzi, że nie żartujemy. – Czyngis też zapalił.

– Czego my się właściwie przestraszyliśmy? – Padlina wypuścił kłęb dymu. – Owszem, to jest zaskoczenie. Nowe dekoracje w teatrze życia. Sztuczna Inteligencja... rozumny, albo prawie rozumny elektroniczny sobowtór, możliwość przebywania jednocześnie w Głębi i w realu...

– To nie tylko nowe dekoracje – powiedziałem. – To nowa scena, na której przyjdzie nam nie tyle grać, ile żyć.

– Ale od razu dostrzeżliśmy to, co najgorsze. Przywykliśmy do podejrzeń i lęków. A może to cud? Ratunek? Nadejście złotego wieku? Roboty za nas pracują, a człowiek jest wreszcie szczęśliwy!

Padlina obrzucił nas triumfalnym spojrzeniem. Ja się nie odezwałem. Czyngis też.

– No tak... – Padlina starannie zgasił papierosa i położył na parapecie. – Nie wyrzucajcie, potem dopalę. Pójdę się jeszcze przespać, towarzysze broni. Mały ma rację, wrzeszczycie od świtu...

Wstając, zręcznym ruchem chwycił niemal pełną butelkę balsamu. Czyngis albo nie zauważył, ale nie uznał za stosowne protestować. Rzucił, patrząc w okno:

– Padlina ma trochę racji... nie sądzisz?

– W temacie snu?

– W temacie podejrzeń i obaw. W temacie nastawienia na to, co najgorsze. Tak, to się przydaje. Czasem ratuje ci życie. Ale może to zupełnie inny przypadek?

– Nie wiem – powiedziałem szczerze. – Nie wiem, Czyngis.

– Właśnie... – Czyngis wstał i podszedł do okna, wsuwając ręce do kieszeni.

– Ale co w takim razie robić? – zapytałem. – Co robić, gdy nie wiesz, która droga jest dobra, a która zła?

Czyngis w zadumie podniósł zostawiony przez Padlinę niedopałek, pstryknął zapalniczką, przypalił i skrzywił się.

– Jak on może palić to świństwo?

– Stać w miejscu? – odpowiedziałem sam sobie. – Daleko w ten sposób nie zajdziemy. Wrócić? Też źle...

– Co robisz, gdy idziesz lasem i wpadasz na wysoki mur? – zapytał nieoczekiwanie Czyngis.

– Znam ten test.

– To przypomnij sobie, co odpowiedziałeś.

– Idę w prawo, mniej więcej kilometr. Jeśli ściana się nie kończy, idę w lewo dwa kilometry. Następnie próbuję przejść górą.

– Jesteś pewien? – zapytał Czyngis.

– Tak.

– A ja odpowiedziałem, że to zależy od celu. Dokąd idę i po co.

Czyngis zgasił niedopałek, wyjął swoje papierosy. Dużo dziś palił.

– To już prawdziwa zima, prawda, Lonia?

Ja też wstałem i spojrzałem w dół.

Śnieg. Biały, czysty, miękki. Nie skrzy się w słońcu, bo niebo zasłonięte chmurami. Ale to już

prawdziwy śnieg. Nie zniknie aż do wiosny.

– Nowy Rok – powiedział Czyngis. – Pomarańcze, ciasto, sałatki, szampan... choinka, świecidelka, sztuczne ognie, łańcuchy... goście, muzyka, żarty, zegar wybija północ... przypomina test na luźne skojarzenia, prawda?

– Kac, śmieci, zmęczenie, zgubiona spinka... – dokończyłem. – Ale nie to przychodzi najpierw do głowy.

Czyngis skinął głową i uśmiechnął się.

– Najbardziej lubię lato. Tylko że zawsze się kończy. Jak sądzisz, Lonia, może to byłoby dobre? Niekończące się lato. Niechby i w elektronicznym świecie. To nie będziesz do końca ty... ale tam zawsze będzie lato. Pamiętasz, jak staliśmy wtedy w Głębi i powiedziałaś, że lato się skończyło? Teraz może trwać wiecznie.

– Każdy zadecyduje sam – powiedziałem ostrożnie. – Co jest ważniejsze... lato czy niekończące się lato? Życie czy iluzja życia?

Czyngis nie tylko się uśmiecha, on się doskonale bawi.

– Ja żyję! – woła. – Żyję. Będę żyć. Lato nie skończy się tak szybko.

Ale go wzięło...

Jakby mnie już nie widział. Patrzy w okno, na biały śnieg, na słupek popiołu spadający z papierosa; uśmiech przykleił mu się do twarzy.

– Teraz też jest lato. Tylko bardzo mroźne. Ale przyjdzie nowe lato... czuję jego oddech, lekkie kroki na zaśnieżonych liściach... lato...

Chciwie wciągnął dym.

To nie wygląda na rozmowę. Nawet aktorzy tak nie mówią, w żadnej dziewiętnastowiecznej sztuce.

A już tym bardziej nie mówią tak bogaci biznesmeni, choćby nie wiem jak czarujący i wykształceni.

– Gorący wiatr na policzkach, smak poziomek w ustach, gwiazdy na niebie, dotyk ciepłej wody... lato... Odchodzi tak szybko, że nie zdążysz krzyknąć „zaczekaj"! I długo wydaje ci się, że ono jeszcze jest. Na opuszkach palców masz pamięć, pamięć lata. Deszcz, głowa podniesiona na spotkanie deszczu, cichy śmiech i przypadkowy uśmiech... lato... jednak lato. Mówią ci, że ono już odeszło, ale ty szukasz jego śladów, biegniesz, jesteś spóźniony, nie zdążasz... ale jednak lato. Podążasz po jego zacierających się śladach... dwie godziny w samochodzie, trzy w samolocie, trochę piechotą. Wszystko w imię lata. Bardzo małego, nieśmiałego kawałeczka lata, które zostało jeszcze na chwilę. Więcej nie potrzeba, bo umrzesz od ciepła... lato...

– Czyngis... – powiedziałem cicho. Nie słyszał. Gonił swoje lato.

– Dajcie mi kawałeczek lata... zresztą ono i tak jest ze mną. Na zawsze. Moje lato. Jakie było, jakie jest, jakie będzie. Lato na zawsze! Przecież pamiętam, jak odchodzi. Jak żółte słońce przetapia się w purpurowy zachód. Jak wiatr zaczyna pachnieć śniegiem. Uśmiechałem się do wiatru. Prosiłem go: poczekaj! Chociaż chwilę! Zostaw mi odrobinę lata! Ale wiatr nieraz widział takich jak ja. Gdy było ciepło, nie spierał się ze mną. Ale zrobiło się zimno i wiatr wyszeptał: lato się skończyło. Nie uwierzyłem od razu. Tylko że lato się rzeczywiście skończyło. Spadł deszcz, zimny, smętny, szary. Wyciągnąłem rękę i pochwyciłem jego kroplę. Nie spodobało mi się moje w niej odbicie. To nie ja, powiedziałem wodzie. Kropla zastygła w okruch lodu. I ja zrozumiałem, że to moje odbicie – a

najgorsze, że nie topnieje na mojej dłoni. Więc dłoń nie jest cieplejsza od lodu.

Czyngis zaśmiał się.

– Wtedy właśnie zrozumiałem, że lato się skończyło.

– Co z tobą, Czyngis? – zapytałem.

– Nic, nic... Wszystko w porządku. Rzucił do popielniczki dopalonego papierosa.

– Czy ty naprawdę tego nie poczułeś, Leonid? – zapytał. – Tej wielkiej pokusy? Tego oddechu wiecznego lata? Co warta jest wymyślona przez Dibienkę broń! Jak nie on, to inny... wcześniej czy później. Nie za to go sądźmy. Tylko za wieczne lato w Głębi. Życie czy iluzja życia... ja czy mój sobowtór... co za różnica, jeśli wejdzie w wieczne lato? Leonid... dzina nie zdołasz utrzymać w glinianym dzbanie. Głębia się zmieni. Czy zrobimy coś, czy nie, wszystko jedno. Pomożemy nadejść nowemu światu? Użyjemy naszych kluczy, zainstalujemy na kompach „Sztuczną Naturę” i odejdziemy w lato...

– Nie.

– Dlaczego?

– Jest jeszcze Maniak, Mag, Crazy. Od ich słów zależy, czy przypomnę sobie swój klucz. Jest też Vika. Od jej słów zależy, czy odejdę w lato. Jest Dibienko. I uwierz mi, on myśli o tym wszystkim nie od dziś. Jest Ciemny Nurek. A ja chciałbym się dowiedzieć, czego on chce.

– Tyle warunków... – pokręcił głową Czyngis. – Tyle warunków i jedno lato na wszystkich.

Za naszymi plecami rozległo się chlipnięcie. Odwróciłem się. Padlina stał pod ścianą i ocierał łyzy brudną chusteczką.

– Czyngis – wysmarkał się głośno. – Czyngis, powiedz jeszcze raz to o lecie, dobra? Nie wszystko zapamiętałem... jak to było? Niczym malina w ustach... będę długo jechał na rowerze...

– Drań z ciebie i łajdak – odgryzł się Czyngis. – Pozbawiony wrażliwości i romantyzmu.

– Ja? Ja tylko przyszedłem po skręta. A ty już go wypaliłeś. Ale ja ci to wybaczam, Czyngis. Tylko powiedz jeszcze raz to o lecie... słuchaj, a nie mógłbyś o wiosnie?

– Nie. Wiosna to tylko okres przejściowy pomiędzy zimą i latem. Nie jest samowystarczalna.

– A mówisz, że to ja nie jestem romantyczny – westchnął Padlina. – Dobrze... dajcie mi spokój. Nie zapomnij, poeto, że masz dziś jechać na te wasze porachunki.

– Ile razy mam ci mówić, że to nie porachunki! To rozmowy o interesach!

– Co za różnica? – Padlina mrugnął do mnie. – Zostaw fajki i jedź. Tylko nie zapomnij wyczyścić lufy...

– Czyngis popatrzył na mnie.

– Wierzysz, że kiedyś wyrzucę tego typa z mieszkania?

– Nie.

– On też nie wierzy. Dobrze, żarty żartami... skąd będziesz wchodził w Głębię? Pat się nie liczy, więc jest wolny komp. A ja mam dobry kanał.

– Dzięki, ale wolę od siebie. Kwestia przyzwyczajenia.

– Dobra. Przyjdź o ósmej.

Czyngis wyszedł z kuchni. Retriever wylazł spod stołu i potupał w miejscu, patrząc to w ślad za panem, to na nas.

Ilość zwyciężyła nad jakością. Bajt wydał niemal ludzkie westchnienie i położył się z powrotem.

– Czasem tak go nachodzi – powiedział wesoło Padlina. – Romantyk, psiamać... wtedy najważniejsze to wysłuchać go i w porę rzucić coś złośliwego. Inaczej by nie wyżył w tym swoim biznesie. Zacznie opowiadać partnerowi w interesach o niedoskonałości świata, o pięknie ukrytym w szarych kamieniach, o odchodzącym lecie, o tym, jak gorzko krzyczy ptak zabłąkany w nocnym, bezgwiezdnym niebie... i ktoś przestawi mu w głowie śrubkę. Czyngis zmięknie. I po zawodach. Oceola chybił. A może to Akela chybił? Kto tam był przywódcą stada a kto wodzem Seminolów?

– Akela.

– Co Aketa?

– Akela chybił.

– Nie łżesz? – zapytał podejrzliwie Padlina. – Dawno nie czytałem Kiplinga.

– Teraz nie chybi? – zapytałem.

– Teraz... teraz prędzej kogoś zagryzie. Czyngis w biznesie i Czyngis w kręgu przyjaciół to dwóch różnych ludzi. Pierwszego, chwala Najwyższemu, prawie nie znam.

Geep Enter.

Kolorowa zamieć...

Niemal wszystkim deep psychoza kojarzy się ze śniegiem. Z ciepłym, kolorowym, ale jednak śniegiem. Teraz Dibienko chce dać światu wieczne lato.

Tylko dlaczego mnie wydaje się to śnieżną pustynią?

Nie mam racji. Nie... nawet nie to. Nie mam prawa. Nie mam prawa decydować za innych. Jeśli nawet dla Czyngisa „Sztuczna Natura” jest tak słodką pokusą, to co dopiero mówić o innych? O chłopcu z prowincji, który zostaje w pracy na noc, zamknięty na klucz, żeby tylko móc wejść przez słabą linię w Głębię bez kombinezonu i hełmu... żeby tylko znaleźć się pod niebem Deeptowry pograć w przestrzeniach elfów, skoczyć do taniego burdelu i odwiedzić restaurację, niedostępną w realu... Co mówić o przykutym do fotela inwalidzie, dla którego Głębia to jedyna szansa, by stanąć o własnych nogach na – wprawdzie narysowanej – ale zawsze trawie. Co mówić o wszystkich nieszczęsnych, strapionych, udręczonych, zmęczonych, rozczarowanych?

Głębia...

Taniec ciepłych śnieżynek. Wir wciągający w ciemność. Kalejdoskop. Fajerwerk...

Światło.

Stoję w swoim pokoju hotelowym. Wszystko w porządku. Na łóżku leży Proteus i motocyklista. Stare, zmęczone kukły...

Przyjdiesz do mnie, Ciemny Nurku. Przyjdiesz i wtedy porozmawiamy.

Sprawdzam kieszenie. Podarowany przez Dibienkę pistolet jest na swoim miejscu.

Jestem gotów do rozmowy.

Jest również migoczące światełko na pagerze. No... nareszcie objawił się Dick.

Słowa Imperatora musiały go mocno trzasnąć.

Dicka nie ma w Głębi, skoro zostawił wiadomość na pagerze.

Włączam odbiór i pojawia się jego postać.

A niech mnie... rzadko znamy swoje prawdziwe twarze.

– Witaj, Lonia.

On naprawdę jest stary. Chyba po pięćdziesiątce. Trudno mi dokładnie stwierdzić. Niewielu mam czarnoskórych znajomych. Nigdy bym nie podejrzewał, że Crazy Tosser jest Murzynem!

– Mam bardzo mało czasu – mówi Crazy. Próbuje się uśmiechnąć, ale jego twarz ma bolesny wyraz. Leży na łóżku, wokół kręcą się jakieś cienie. – Wyprosiłem minutę. Wszystko dobrze. W naszych czasach od pierwszego zawału się nie umiera, prawda?

– Prawda, Dick – mówię, chociaż on nie może mnie usłyszeć. Dawno zawieźli go do szpitala, teraz odprawiają nad nim czary lekarze i pielęgniarki. Wierzę, że wszystko będzie dobrze, nie ma powodów do obaw, amerykańska medycyna ma niesamowite osiągnięcia, wszystko będzie dobrze, nie może nie być...

– Córka wysłała ci list... a ze mną będzie w porządku. Nerwy mi wysiadły, Leonid. Stary już jestem. Stary i głupi.

Dick patrzy gdzieś w bok i ledwie zauważalnie kiwa głową. Poganiają go. Nie wiem, co

powiedział, ile nakłamał, żeby pozwolili mu wysłać tę wiadomość. Pewnie naopowiadał o ważnym kontrakcie, o interesie za milion dolarów...

– Wierzę, że doszedłeś. I że zrobisz wszystko, jak należy. Powodzenia... nurku. Popracuj również za mnie, nerwowego głupca. Powodzenia.

Obraz znika.

A więc tak się rzeczy mają.

Przypominam sobie zmienioną twarz Dicka, gdy Imperator zapytał: „Kim jesteście?”

Oto narodziny Sztucznej Inteligencji. Oto postęp. W każdym razie zabija prawie naprawdę.

Nie sądzę, żeby Imperator zadał Crazy'emu cios czymś w rodzaju broni trzeciego pokolenia. Tu rzeczywiście winne są nerwy. Napięcie, zmęczenie... chore serce.

Ale mimo wszystko stworzone przez Dibienkę życie już teraz gotowe jest zabijać.

Otwieram drzwi. Ostrożnie wyglądam na korytarz, wychodzę, zamykam.

Gdy schodzę po schodach, wysyłam na pager Dibienki prośbę o spotkanie. Bardzo nie lubię czekać. Pewnie dlatego zawsze muszę to robić.

Przynajmniej złapanie taksówki w Deeptown nigdy nie jest problemem. Gdy tylko podnoszę rękę, obok mnie hamuje samochód. Kierowca to młody punk z kogutem kolorowych włosów na głowie, w podartej kurtce włożonej na gołe ciało. Chyba program. Podaję adres i rozwalam się na tylnym siedzeniu.

Wszystkie ulice zakorkowane. Taksówką pełnie. Mijamy plac Wirtualny, potem samochód skręca do chińskiej dzielnicy.

– Tak będzie szybciej? – pytam kierowcę.

Chinatown pojawiło się w Głębi niedawno. Chiny bardzo długo nie chciały wejść do wspólnej wirtualności. Ale w końcu ich też wzięło...

Dzielnica szybko się rozrasta, rozsuwając Deeptown wokół siebie. W świecie wirtualnym przestrzeń nie jest reglamentowana. Chińczykom się to na pewno podoba.

– Szybciej – mówi kierowca.

– Jest pan pewien... zmiana trasy...

– Pewien.

Jego sposób prowadzenia rozmowy przestaje mi się podobać.

Patrzę na mocny ogolony kark. Przewijam w pamięci krótką rozmowę.

Programy-kierowcy są zazwyczaj uprzejme. Tak chamsko lakoniczny może być tylko człowiek.

Zanim kończę myśl, w środku zapala mi się czerwona lampka. Instynkt, intuicja.

W następnym momencie przystawiam kierowcy do karku lufę pistoletu. Delikatnie, ale wyczuwalnie.

– Zatrzymaj samochód!

Kolorowe lampiony nad sklepikami. Papierowy smok na niebieskim niebie. Uśmiechnięte, wyłącznie uśmiechnięte twarze przechodniów.

– Samochód – powtarza kierowca i zaczyna przyspieszać.

To nie jest program! Wydałem rozkaz i nie otrzymałem ani odmowy wykonania, ani oznak posłuszeństwa. Tylko człowiek może kłamać i grać na czas.

– Koleś, pożałujesz. Mam broń trzeciego pokolenia.

Kierowca odwraca głowę i uśmiecha się.

Wstrzymuję oddech; patrzy na mnie i nadal prowadzi. Pędzimy po ulicach.

– Naprawdę? I co z tego?

Nic złego mi się nie stanie. Nie może. Jestem w wirtualności, do licha, a największa z ewentualnych nieprzyjemności to...

Śmierć.

Szarpięcie – głucho uderzenie o maskę i czyjeś ciało spada na pobocze. Krzyki. Nic strasznego, przechodniowi zadziałało wyjście z Głębi na skutek bardzo silnego oddziaływania fizycznego. W Deeptown można robić podobne zderzenia absolutnie bezpiecznie, człowiek może wstać, otrząść się i pójść dalej. Ale wtedy, wcześniej czy później, wszedłby na realną drogę, nie obawiając się rozpędzonych samochodów...

Kierowca zaczyna chichotać. Musiał zrozumieć, co się stało, a jednak się śmieje.

– Zatrzymaj się! – powtarzam.

Czego on chce? Uwięzić mnie w Głębi? Dostarczyć gdzieś, gdzie nie miałem zamiaru jechać?

– Wytrzymaj chwilę – radzi mi kierowca.

Patrzy na lufę pistoletu i uśmiecha się. Potem otwiera usta i obejmują lufę wargami.

Czyste szaleństwo. Jakieś zboczenie seksualne. Miłość francuska z pistoletem.

Nagle rozumiem Crazy'ego Tosserra, który strzelał do Imperatora.

– Niepotrzebnie – mówię, gdy palec odbezpiecza pistolet. Niepotrzebnie.

Nadal mkniemy po wąskich ulicach chińskiej dzielnicy. Nie mam już żadnych wątpliwości, że to nie jest najkrótsza droga do domu Czyngisa. Przed pędzącym samochodem jakby płynęła fala – to ludzie się rozbiegają.

– Trzy... – mówię. Czego on chce, do diabła?

– Dwa...

Znowu kpiący, ludzki uśmiech. Co za wesoły facet! Ale ja też umiem żartować. Pierwsze pięć pocisków tylko paraliżuje... jeśli wierzyć Dibience.

– Jeden...

Kierowca hamuje.

Nie zdążam ucieszyć się z tego nieoczekiwanego przejawu zdrowego rozsądku. Samochód staje w wąskim zaułku. Pod ścianą człowiek w czarnym płaszczu.

W rękach trzyma pistolet.

Nachylam się w momencie, gdy rozlega się strzał i kula rozbija szybę. Leżę na tylnym siedzeniu. Kierowca, przechylony przez oparcie fotela, uśmiecha się, nadal ściskając w zębach lufę mojego pistoletu. Potem zaczyna odchyłać głowę, z nieoczekiwaną siłą wrywając mi broń z rąk.

Wtedy naciskam na spust.

Biały pył, zapach spalonych kości. Okruchy wybitych zębów zawisają w powietrzu.

– No, no! – mówi kierowca i dalej się uśmiecha. Pistolet wypuścił, ale umierać nie ma zamiaru. Na sparaliżowanego też nie wygląda.

Na lufie pistoletu widzę odciski jego zębów.



Łobuz z tego Dibienki!

Instynktownie wyciągam rewolwer Strzelca, podnoszę i strzelam w uśmiechniętą twarz.

Cóż, z drugim pokoleniem wszystko w porządku.

Powinienem zabić jego komputer. Spalić procesor, tak samo jak spalono go mnie. Wirtualne ciało powinno zastygnąć albo zniknąć od razu.

Ale dzisiaj wszystko idzie nie tak.

Kula wchodzi kierowcy w szyję. Wirus, pakiet elektronicznych impulsów, nie wiem, jak nazwać ten pocisk. Dla mnie to właśnie kula.

Dla kierowcy najwidoczniej też.

Wrzeszczy i podnosi ręce do gardła, zaciskając ranę dłońmi. Krew chlusta przez zaciśnięte palce, dłonie zapadają się w ranę, rozdzierają ją...

Pod zakrzywionymi palcami widać błysk metalu i plątaninę kabli.

Cyborg. Cyberpunk. Można powiedzieć, że klasyczny.

Czuję skurcz w dłoni, strzelam jeszcze raz i druga kula dobija cyberpunka.

Głowa ozdobiona grzebieniem rozlatuje się na kawałki. Wokół krew, lepka gąbczasta breja, kruszywo mikroschematów i przewody.

Co to jednak za gówno ten klasyczny cyberpunk...

Otwieram drzwi, wyskakuję z samochodu, wypadam na drogę i chowam się za kołem.

– Hej, Leonid!

Głos niejasno znajomy. Milczę, próbując się zorientować, gdzie jest wróg. W głowie mam kompletny mętlik.

Pociski trzeciego pokolenia nie zadziałały. Ale nie dlatego, że Dibienko mnie oszukał.

Po prostu nie strzelałem do człowieka. Strzelałem do Sztucznej Inteligencji albo do czyjejś drugiej natury.

Pociski drugiego pokolenia pomogły. Nie wiem, czy zabiłem go całkowicie, czy za jakiś czas złoży się na nowo i przeniesie część swojej świadomości z jednego zakątka sieci do drugiego. Ale nawet jeśli zadałem cyberpunkowi nieodwracalną szkodę, nie czuję się jak zabójca.

– Lonia, czemu tak ostro?

Głos jest drwiący, nawet wesoły.

– To odpowiedź na twój strzał! – krzyczę i skaczę za drugie koło.

– O, ja strzelałem pociskami paralizującymi... nie mam zamiaru cię zabić.

– Jesteś Ciemnym Nurkiem!

– Owszem, tak też mnie nazywają.

Doczekałem się.

Leżę w błocie na peryferiach chińskiej dzielnicy, schowany za samochodem, w którym leży zabita przeze mnie Sztuczna Inteligencja. Rozmawiam z Ciemnym Nurkiem, który ma w ręku broń...

Znowu chowam rewolwer Strzelca i wyjmuję pistolet od Dibienki; po namyśle wyciągam z powrotem rewolwer.

Tak będzie pewniej.

– Nie mam żalu, że zabiłeś kierowcę, Leonid. Wystarczyło ci rozumu, żeby strzelić drugim

pokoleniem, co? To nic, nie mam pretensji. Dzięki staraniom Dibienki jest ich już dość dużo. Można nimi łatwo manipulować, tylko są impulsywni jak dzieci... czasem się zastanawiam, czy naprawdę mają rozum...

– Czego ty chcesz ode mnie?

Gdzie on jest? Widzę ścianę, ale nie widzę Ciemnego Nurka.

– Chcę porozmawiać, Leonid. Tylko porozmawiać! Po to właśnie przyszedłem wtedy do Czyngisa, ale okazaliście się tak niegościnni...

– Mów! Cichy śmiech.

– Nie masz najlepszej pozycji do rozmowy...

– To nic, zdołam znaleźć argumenty w każdej pozycji – odpowiadam . – Nawijaj!

– Plik, Leonid.

– Jaki plik?

– Nie udawaj idioty. Potrzebuję plik, który ściągnęli od Dibienki Padlina i Romek. Mieliśmy umowę.

– Wystawiłeś ich, bydlaku! Umowa została rozwiązana!

Czy w tej chińskiej dzielnicy jest w ogóle jakaś policja? Po tych rajdowych wyczynach powinni byli nas aresztować z dziesięć razy... a przynajmniej spróbować!

– Opanuj się!

Czy mi się wydawało, czy jego głos stał się absolutnie poważny?

– Nie mogłem przewidzieć, że w czasie pościgu użyją nowej broni! Tak, to ja nalegałem, żeby Padlina wziął Romka na włam!

Proszę, proszę...

A Padlina nawet o tym nie wspomniał. Nie skorzystał z możliwości oczyszczenia siebie z zarzutów!

Taki toporny, hałaśliwy, złośliwy haker...

– Dzieciak tego potrzebował. Chciał znaleźć swoje miejsce w życiu, rozumiesz? I znalazłby, gdyby nie doszło do tej głupiej tragedii. Chciałem mu pomóc. Wierzysz mi?

Leżę w kurzu drogi, przyciskając czoło do brudnego protektora opony. Patrzę w pył.

Wierzę mu.

Dlaczego tak się dzieje? Wystarczy sięgnąć dna, by zobaczyć, że tak naprawdę nikt nie jest niczemu winien.

Wydaje mi się, że Ciemny Nurek nie kłamie. Chyba nie miał powodów, żeby życzyć Romkowi śmierci. I nie było żadnych podstaw do przypuszczania, że Romkowi coś się stanie przy włamie do New Boundaries.

– Wierzysz?

– Po co ci plik? – krzyczę w odpowiedzi.

– Wierzysz czy nie?

Czy to dla niego takie ważne? Moja odpowiedź... mój stosunek do niego?

– Wierzę – mówię półgłosem.

Ale on słyszy.

– Dobrze. Potrzebuję tego pliku. Oddaj mi go i między nami nie będzie więcej nieporozumień. Naprawdę najależ się do pracy u Dibienki? Miła prowokacja, ale nigdy w nią nie uwierzę. Zbyt dobrze pamiętasz, jak tonależ w Głębi.

– Po co ci plik? – powtarzam.

Tępy upór to czasem jedyny wyjście.

– Stanie się ogólnie dostępny. Dla wszystkich chętnych. Jeśli chcesz, dam wam czas, żeby Czyngis zdążył wypuścić go na rynek.

– A pomyślałeś, co stanie się potem?

Ciemny Nurek się śmieje.

– A jak sądzisz? Wirtualniacy zaczną wchodzić w Głębię ze „Sztuczną Naturą” na kompie. Każdy chętny zdoła przenieść do sieci swoją osobowość. Obecne moce Deeptown nie wystarczą... postęp będzie coraz szybszy. Wirtualny świat powiększy się tysiąckrotnie.

– Co ci to da?

– Kocham Głębię.

Wydaje mi się, że to trwa od wieków. Rozmowa z bronią w ręku...

– Nie jestem gotów, żeby ci odpowiedzieć. Spotkajmy się jutro.

– Leonid, nie próbuj mnie oszukać. Nigdzie się nie ukryjesz. Czy wystarczająco zademonstrowałem swoje możliwości? A może jeszcze nie?

Możliwości, tak?

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

A tak przywykłem do efektu tego krótkiego zdania!

Świat wokół nie chce stać się światem animkowym. Świat jest taki, jak był. Jestem w Głębi, a Głębia jest realnością.

Pierwsza i ostatnia zdolność nurka, najważniejsza i podstawowa, została utracona.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Bez efektu.

– A teraz wystarczająco?

Śmieje się.

Wie, co próbowałem zrobić, i wie, że próba była nieudana.

O Boże, skąd on ma takie możliwości? Czy są jakieś granice?

Chyba jednak są... w przeciwnym razie już dawno zdobyłby i rozszyfrował plik. Ciemny Nurek nie jest wszechpotężny.

Czyli...

Zrywam się i turlam przez maskę samochodu. Spadam na chodnik.

Boli, cholera.

Ciemny Nurek dalej tkwi pod ścianą. Nie stoi na ulicy, lecz wisi metr nad asfaltem, bardzo powoli przebierając w powietrzu nogami. To dlatego go nie widziałem!

– Daję ci dwie godziny, Leonid – mówi bardzo spokojnie. Potem zaczną się bardzo poważne problemy. Na razie.

Może zdążyłbym wystrzelić, tylko że w tej chwili jego twarz jest twarzą Romka. I to mnie

powstrzymuje. Ale z niego bydlę...

Ciemny Nurek przesuwa palcami po ścianie – i w wyszczerbionych ceglach powstaje wąska szczelina. Przez tę szczelinę odchodzi, wciąga się w nią, splaszczając jak cienka kolorowa kartka.

Kolejna demonstracja siły...

Chce mi się płakać z przykrości. Jak dziecku, które postawiono w kącie, żeby przemyślało swoje postępowanie.

Wsuwam rewolwer Strzelca do kabury, pistolet do kieszeni. Rzucam ostatnie spojrzenie na samochód, w którym zastygło rozstrzelane ciało punka.

– Stać!

Głos policjanta jest cienki i przenikliwy. Z takim cienkim wrzaskiem można by piętą rozbijać cegły. Z wyglądu wypisz wymaluj Jackie Chan.

– Stoję – odpowiadam melancholijnie. Policja Deeptown jakoś nie robi na mnie wrażenia po kontaktach z Ciemnym Nurkiem.

– Odpiąć kaburę, rzucić na ziemię!

Wykonuję polecenie.

Policjant, trzymając mnie na celowniku swojego masywnego rewolweru, podchodzi bliżej. Ostrożnie zagląda do samochodu. Jego oczy robią się okrągłe.

– On nie jest martwy, tylko tak pachnie – informuję uprzejmie.

– Będzie cię to drogo kosztowało – oznajmia policjant z zachwytem. Nie widzę, żeby szczególnie litował się nad nieboszczykiem, przecież też rozumie, że to wszystko jest na niby.

– Nie sądzę.

Kabura z pistoletem leży pod nogami, ale pistolet Dibienki mam w kieszeni. Nie ma czasu na wahanie. Dostałem dwie godziny na rozmyślanie. I nie zamierzam tracić ich na dyskusje z policją.

Policjant patrzy na mnie zdumiony, a potem sztywnieje i pada na plecy. Jego ręka nadal ścisza pistolet.

Podchodzę i z lekkim drżeniem zaglądam Chanowi w twarz. A jeśli Dibienko skłamał co do pięciu pierwszych pocisków?

Policjant zaczyna mówić tak szybko, że program tłumacz zachłystuje się i chwilami słyszę ojczystą mowę Chińczyka. Nie jestem zbyt mocny w chińskim.

– Co ty zrobiłeś? Co zrobiłeś, łajdaku? Co ze mną zrobiłeś? – Program w końcu sobie poradził.

– Nie denerwuj się – uspokajam stróża porządku. – Za kwadrans paraliż minie. Przecież zamawialiście stworzenie broni paraliżującej, nie? Prace zostały uwieńczone sukcesem!

Zostawiam go, żeby sobie poleżał i popatrzył na niebo.

Policji Deeptown nie zaszkodzi zastanowienie się nad konsekwencjami własnego zlecenia. Nie wiem, czy można cofnąć czas i zagonić dzina z powrotem do butelki.

Ale może komisarzowi Jordanowi Rade się uda? To niegłupi facet.

Spóźniłeś się – zauważa Czyngis. Kiwam głowę, wchodzę. Patrząc na mnie, trudno przypuścić, że niedawno turlałem się w ulicznym kurzu, że zostałem ochlapany krwią i kruszywem z zębów.

Dobry brud mamy w Deeptown. Elektroniczny. Wysycha i odpada. Ale pamięta się o nim. Może wejść do jacuzzi? A jeśli tutaj też jest napełniona piwem?

– Rozmawiałem z Ciemnym Nurkiem.

– Oho... – Czyngis wskazuje drzwi do biblioteki. – Chodź, opowiesz. Wszyscy już są.

– Wszyscy?

– Prócz Pata. Zagoniłem go do lekcji. Pożyteczne zajęcie, wyjdzie mu na zdrowie.

W bibliotece rzeczywiście jest całe towarzystwo. Tylko nastrój inny niż wtedy, przed wyprawą do Labiryntu. Chyba jest spokojniej... i jednocześnie wszyscy są bardziej zmęczeni. Maniak i Mag rozmawiają, siedząc przy kominku i pijąc whisky. Co za nawyków nabrali w tej swojej Ameryce... Przed Padliną jak zwykle długi rząd butelek żygulowskiego, połowa pusta. Zaczyna mnie to intrygować, trzeba będzie spróbować w realu. Może rzeczywiście ostatnio podnieśli jakość?

– Postawiono mi ultimatum – oznajmiam zamiast powitania. Mamy jeszcze dwie godziny... a raczej dwie godziny bez dziesięciu minut, żeby wydać Ciemnemu Nurkowi plik Dibienki. Jeśli nie, to konsekwencje mają być straszne.

Maniak w milczeniu nalewa mi whisky; biorę szklanekę i opowiadam, co się stało w Chinatown. Gdy kończę, od terminu trzeba odliczyć kolejne piętnaście minut. Czyngis pali papierosa za papierosem i coraz bardziej posępnieje.

– Zabiłeś cyberpunka... – wzdycha Padlina. – Silny jesteś, włóczęgo.

– Jakieś propozycje? – pytam. – Szczerze mówiąc, wolałbym nie podejmować decyzji sam.

– Jakie są realne możliwości Ciemnego Nurka? – interesuje się Maniak. Znowu sprowadza wszystko do konkretnych i nieprzyjemnych pytań.

– Z tego co widziałem, bardzo duże. Robił to, do czego i ja byłem kiedyś zdolny... kiedy lądowała mnie siła Nieudacznika. A to bardzo dużo. Zdumiewa mnie to, że Dibienko jeszcze się jakoś broni.

– Zdołamy stawić opór? – pyta Maniak.

– Gdy dokończę swój program ochronny... – zaczyna Mag, uśmiecha się z zakłopotaniem, macha ręką i milknie.

– Nie – odpowiadam szczerze. – Mógł mnie bardzo szybko załatwić przy samochodzie. Unieść się nieco wyżej i zastrzelić. Albo stać się niewidzialny i jak wyżej. Po prostu mógł zrobić, co chciał.

– Szkoda, że w Labiryncie tak nie działał – mówi ze złością Padlina. – Załatwił Imperatora, przecierał drogę...

– Nike nie jest Ciemnym Nurkiem.

Bardzo nie chciałem tego powiedzieć. Zwlekałem, dopóki było można.

– Jesteś pewien? – pyta sceptycznie Czyngis. – Widziałeś się z nią?

– Widuję ją codziennie. Nike to Vika. Moja żona.

– Madame! – wyje zachwycony Mag, ożywiając się. – Od razu to zrozumiałem, jak tylko ją zobaczyłem! Poczuję znajomy charakter! Tylko nic nie mówiłem... skoro nie chce się przyznawać,

to nie.

– No, no... – rzuca Maniak. – Leonid, jesteś pewien?

– Nike nie jestem pewien. Ale żonie wierzę. Nie jest Ciemnym Nurkiem.

Nie ma więcej pytań. Maniak i Mag, jak sędzę, też wierzą Vice. Czyngis i Padlina wierzą mnie.

– Trzeba powiedzieć Patowi – mówi w zadumie Czyngis. – Do tej pory chodzi nabzdyczony...

Czyli co do Nike to jasna sprawa. A Ciemny Nurek? Co robimy?

– A jak uważasz?

– Oddajmy mu program. Czy wykorzystamy go sami, niech każdy decyduje za siebie. A od Ciemnego Nurka się odczepmy. Nie zamierzam tego wypuszczać na dyskach... ten kanał w Rosji będę hamował do końca. Bez wątpliwych moralnie czynów też jakoś zarobię na kawałek chleba.

– Z masłem i kawiozem – mamrocze Padlina. – Chłopcy, może po prostu zniszczyć plik? Ciemny Nurek nie wygląda mi na psychopatę. Nie będzie się mścił dla samej przyjemności zemsty. Odpadnie potrzeba prześladowania nas, więc przełączy się na Dibienkę. A ten sam jest sobie winien, to przecież jego twór. Moim zdaniem trzeba to zniszczyć. Bezwrotnie! Na którym dysku on teraz leży?

– Na moim. – Czyngis zwleka chwilę. Patrzy na mnie, uśmiecha się... widzę w jego oczach światło bezkresnego lata. – Dobrze, zgadzam się. Zniszczymy. Razem z twardzielem. Do końca. Nie ufając formatowaniu.

Maniak wzrusza ramionami.

– Dibienko i tak wypuści program na rynek, tego jestem pewien. No, może trochę później. Ale skoro chcecie... Zniszczymy.

– Ludzie się nad tym napracowali – wzdycha Mag i drapie się po karku.

– Przecież nie niszczyliśmy oryginału – zauważa Maniak. – Tylko kopię. Skradzioną.

– No to usuwamy! Nie ma sensu niszczyć twardziela, mam taki programik, po nim...

– Twardziel też – mówi lodowatym tonem Czyngis.

– Jak sobie chcesz, skoro nie szkoda ci kasy – mówi urażony Mag. – Załatw sobie twardziela.

Wszyscy patrzą na mnie. Ostatnia ważna opinia.

– Podsumowanie? – pytam. Nie waham się już.

– Siemanko, Lonia!

Do biblioteki wchodzi Pat, ubrany w kombinezon przypominający umundurowanie graczy w Labiryncie.

– Pat... – Czyngis jest wyraźnie zły. – Co mi obiecałeś?

– Odrobiłem lekcje! – rzuca się chłopak. – Wszystkie! I jeszcze skina narysowałem! O, chciałem się pochwalić!

– Skin jest dobry – przyznaje Czyngis. – Ale obiecałeś, że nie wejdiesz w Głębię. Pamiętasz?

Pat patrzy błagalnie na Padlinę, który nie wytrzymuje, wzdycha i mówi:

– Dobra, Czyn. Daj spokój. Niech sobie posiedzi... Poza tym Pat też ma prawo decydować. Jak my wszyscy.

Ostatni argument chyba poskutkował.

– Siadaj, rysownika – rzuca ostro Czyngis. – Decydujemy, co zrobić z programem Dibienki.

– I co? – pyta Pat, siadając pomiędzy Czyngisem a Padliną.

– Doszliśmy do wniosku, że trzeba go zniszczyć. Ciemny Nurek dał nam ultimatum, żąda pliku. Najłatwiej zniszczyć plik, wtedy się od nas odczepi. Nie damy rady stawić mu oporu.

– Jak to nie damy? – dziwi się Pat, przenosząc spojrzenie z Czyngisa na Padlinę, a potem na mnie.

Oto jak ideały sięgają bruku. Twardy biznesmen Czyngis, wielki haker Padlina, ostatni nurek Leonid – wszyscy się trzęsą przed Ciemnym Nurkiem.

– Absolutnie. Jego możliwości w Głębi są niezwykle w odróżnieniu od naszych. Albo trzeba olać Deeptown i przestać się tu pojawiać, albo zniszczyć plik.

Trzeba przyznać Patowi, że się nie waha.

– No to zniszczmy! Albo oddajmy mu, niech się udławi!

– Nie oddamy. Usuniemy. – Czyngis znowu patrzy na mnie. – Leonid? Twoje zdanie?

– Usunąć – mówię. – Wykasować do czysta. Wyjaśnię wam dlaczego.

Na wyjaśnienia, jakiegokolwiek, czekają chyba wszyscy.

– Dibienko zrobił bardzo sprytną rzecz. Postanowił stworzyć Sztuczną Inteligencję, ale nie pełnowartościową, tylko jakby dodatek do żywego człowieka. Tak naprawdę to cyborg. Ale połowa tego cyborga nie jest mechaniczna i elektroniczna, lecz wirtualna, programowa. Najpierw kopiuje reakcje człowieka, potem zaczyna je wyprzedzać. A potem... a potem zdobywa jakieś własne życie. Mam rację?

Maniak kiwa głową.

– Samodzielnie też może się rozwijać – kontynuuję. – Weźcie przykład Imperatora. Zaczął jako tępy program, z szeregiem zakodowanych odruchów. Skończył tak, że wyszedł poza swoje programowe bariery i zapytał: „Kim jestem”? Czyli zabawka wyszła Dibience całkiem nieźle. Jedno mnie tylko niepokoi...

– Zrozumiałem – mówi Czyngis. – Masz rację. Po pierwsze Imperator. Po drugie, twój taksówkarz. Rzeczywiście zrozumiał.

– Można powiedzieć, że Imperator został ukierunkowany na zabijanie i walkę – mówię. – Taka jest jego rola w Labiryncie. W tym kierunku się rozwijał i robił postępy. Ale rzeczywisty człowiek, którego ożywiona połówka nawiązała kontakt z Ciemnym Nurkiem, był psychopatą, cieszącym się z przejechania pieszego, żującym lufę pistoletu, porywającym ludzi. Taki się stał. I niestety nie ma w tym nic dziwnego. On się rozwija, zdobywa elektroniczne ciało i krew. A walka, agresja, wojna to idealne stymulatory rozwoju. Małpa wzięła kiedyś w łapę pałkę nie po to, żeby strącić z gałęzi banana, lecz żeby uderzyć wroga. Program Dibienki to miliony ludzi jaskiniowych, rozumnych elektronicznych neandertalczyków. Nie wiem, kim oni się staną. Może stworzą piękny i dobry świat, ale najpierw będą potrzebowały wojen, starć, awantur, by zdobyć pełną świadomość. By nauczyć się myśleć.

– Do licha z tym twoim twardzielem – mówi Mag. – Czyngis, jeszcze go potem ostukaj młoteczką, dobra? Jeśli opóźnimy tę sprawę choćby o rok, to już nieźle.

– Wszyscy się zgadzają? – pytam.

– Wszyscy. – Maniak wstaje. – Koledzy, pora na mnie. Załatwcie ten plik, powiadomcie Ciemnego Nurka, że go nie mamy... A Dibience przekażcie nasze wnioski. Może zrozumie.

– Ja też już pójdę – mówi Mag. – Mam jeszcze kupę spraw.

– Robota do nadrobienia? – interesuje się Padlina.

– Nie chodzi o pracę... – Mag krzywi się z irytacją, – Wczoraj jakoś się tak rozkojarzyłem po tych naszych wyczynach... przyszedłem do firmy w nastroju do bluzgania. Wysłałem przez lokalną sieć list przyjacielowi... nic takiego! „Jeśli życie cię pieprzy, to znaczy, że jeszcze żyjesz!” – napisałem.

– To swojak, Rosjanin, emigrant. Powinien zrozumieć żart!

– To prawie aforyzm – mówi drwiąco Maniak. – No i co? Nie zrozumiał dowcipu?

– Nacisnąłem nie ten przycisk... list dostali wszyscy współpracownicy.

Maniak gwizdnął.

– Dwadzieścia trzy osoby, z czego pięć to kobiety. Teraz oskarżają mnie o molestowanie seksualne... wszystkie kobiety i trzech mężczyzn.

– Amerykanie... – kręci głową Padlina. – Przeprós ich i coś zapłać. Żeby tylko nie doszło do sprawy w sądzie, bo zostaniesz w jednej koszuli. I wtedy dopiero przekonasz się, że jeszcze żyjesz.

– Idziemy. – Maniak chwyta Maga za ramię. – Bohater z ciebie, nie ma co.

Dopiero gdy wychodzą z biblioteki, Padlina pozwala sobie na wybuch śmiechu.

– Toha, to nie jest śmieszne... – Czyngis kręci z wyrzutem głową. – On naprawdę ma poważne problemy.

– Wszystko rozumiem. – Padlina z trudem się uspokaja. – Wyobraziłem sobie solidnych pracowników otrzymujących od prezesa takie przesłanie...

– Moim zdaniem to śmieszne! – włącza się ostrożnie Pat.

– W twoim wieku śmiesz każde nieprzyzwoite słowo. – Czyngis patrzy na mnie ze zmęczeniem. – No to co? Nie odkładajmy tego, dobrze? Zanim minie termin ultimatum...

– Nie odwlekajmy – zgadzam się. – Idźcie zniszczyć twardziela. Masz tam jeszcze coś cennego?

– Nic, co byłoby warte życia. To komp nie do pracy, tylko do rozrywki. Powierzasz nam zniszczenie twardego? Czy sam przyjedziesz?

– Powierzam – mówię. – Czyżby nie podobało ci się takie niekończące się lato?

– Lonia, prawda, że ładnie narysowałem skina? – pyta Pat.

Cóż, każdy ma swoje problemy. Ale cieszy mnie, że Pat tak łatwo zrezygnował z nowej, niewypróbowanej zabawki.

– Super! – zgadzam się. – Brawo.

– Nawet pistolet mi wyszedł jak prawdziwy – mówi Pat, wyciągając broń. – Prawda?

Zbyt łatwo zrezygnował ze „Sztucznej Natury”. Zbyt łatwo złamał zakaz Czyngisa. Zbyt szybko narysował skina.

– Czyngis! – krzyczę, zrywając się z miejsca.

Za późno.

Pierwszy strzał trafia we mnie.

Drugi w Czyngisa – ku jego niebotycznemu zdumieniu.

Trzeci w Padlinę, który zaczyna wstawać z fotela.

To nie wybuch niebieskiego płomienia, jak w pistolecie z Labiryntu Śmierci. Zamiast tego pojawia się ołowianoszara spirala, błyskawicznie wyciągając z ciebie życie.

Jakie dziwne uczucie!

Jak znieczulenie nowokainą... tylko w całym ciele. Ciało jest, czuję je... ale mnie nie słucha.



Jestem drewniany jak Pinokio.

Za to nie boli mnie upadek.

Padam tak, że mogę widzieć Czyngisa i Padlinę siedzących bezwładnie w fotelach.

I stojącego bok nich Pata. Ciemnego Nurka. Głupia sprawa.

– Pat! – krzyczy Czyngis. Dobrze, że możemy mówić. Jest jakaś szansa. – Co z tobą?

Z nim akurat nic...

Pat opuszcza pistolet i podchodzi do mnie.

– Pat! – krzyczy jeszcze raz Czyngis.

Ciemny Nurek pochyla się nade mną i mówi półgłosem:

– Dwie godziny minęły, Leonid. Czekam na odpowiedź.

Trudno mi mówić. Nie mam pojęcia, jak Czyngisowi udaje się krzyżeć, ale mimo wszystko przeciskam słowa przez zdrętwiałe gardło.

– Zmień maskę... nie drwij sobie z nas.

Pat uśmiecha się krzywo i znajomym gestem unosi ręce do twarzy. W górę – w dół. Zdejmuje twarz – nakłada twarz. Jego ramiona rozszerzają się, sylwetka wyciąga się w górę. Ubranie zmienia kolor, rwie się, przemienia w czarny płaszcz.

Teraz stoi przed nami Dmitrij Dibienko. Nie Człowiek Bez Twarzy, lecz Dibienko ze starych zdjęć. Zakłopotany, oszołomiony uśmiech człowieka, jeszcze nie uświadamiającego sobie, co stworzył.

– Czyngis, to nie Pat – mówię. – To Ciemny Nurek.

Czyngis wydaje dziwny dźwięk, jakby próbował wstać.

– Tak lepiej? – niemal wesoło mówi Ciemny Nurek. – Odpowiada? A może wolicie jakiś inny wygląd? Vika, Maniak, komisarz Rade, Crazy... przedstawienie skończone. Plik, Leonid!

Milczę. Za kwadrans paraliż minie. Musi minąć.

– Chyba nie całkiem właściwie oceniacie sytuację. – Ciemny Nurek patrzy na milczącego Czyngisa, na Padlinę, który wściekle łypie oczami, ale milczy. – Na razie zastosowałem humanitarne metody. Zostaliście sparaliżowani na krótko, na jakieś dwadzieścia minut. Jeśli w tym czasie nie otrzymam rozszyfrowanego pliku, będę musiał powtórzyć proces... Jest tylko jeden problem...

Robi krótką, znaczącą przerwę.

– Został mi ostatni pocisk paraliżujący. Pozostałe mają znaczny wpływ na mięsień sercowy. Myślę, że nie jest to tak nieprzyjemne, jak pocisk, od którego zginął Romek. Ale jednak bardzo przykre, nie sądzicie? Głowa myśli, ręce i nogi jeszcze ciepłe, a serce już się zatrzymało. Mózg nie wytrzyma piętnastu minut. W czasie doświadczeń Dibienki tych psychopatów-ochotników ratowano bezpośrednim masażem serca. Ale wy niestety nie macie pod ręką brygady lekarzy, co?

– Jesteś gotów zabijać? – pytam.

Ciemny Nurek wzrusza ramionami.

– Ja? Nie wiem. Możecie uznać, że blefuję. To wasze prawo na najbliższy kwadrans. Ale za mną stoi nowe życie, które chce się narodzić. Nowy świat. Nowe horyzonty. Za mną są miliony ludzi, którzy nie zdobędą wieczności, póki Dibienko się waha, jest ostrożny, eksperymentuje. Słyszeliście o człowieku, który nazywa się Wolf Meierman? Nie wydaje mi się. To młody uczonec, który lada dzień stworzy jedyną teorię pola. Facet umiera na białaczkę. Zostało mu pół roku, może rok życia. Program

Dibienki pozwoliłby mu przenieść swój rozum w Głębię.

– Nie rozum – mówi nagle Czyngis. – Iluzję rozumu.

– Każdy rozum jest iluzoryczny. – Ciemny Nurek nawet się nie odwraca. – Skopiuje w wirtualny świat swój sposób rozumowania, swoje nieoczekiwane olśnienia, metodę analizy danych... Owszem, coś się straci, ale coś zyska. Będzie miał do swoich usług całą informację sieci. Wystarczy, że zada pytanie, by otrzymać odpowiedź... jeśli odpowiedź istnieje.

– To demagogia. – Czyngis też chyba postanowił grać na czas. – Stawiasz na jednej szali potencjalną korzyść i realne życie ludzi...

– Nie wy będziecie uczyć mnie moralności – odpowiada spokojnie Ciemny Nurek. – Hakerzy, nurkowie, biznesmeni, złodzieje... zauważcie, że wymieniam tylko wasze najbardziej jawne postęпки. Wystarczy tej gry na zwłokę, Czyngis. Nie mam zamiaru żartować. Potrzebuję plik. I dostanę go. Przecież sami długo się zastanawialiście, czy mi go nie oddać, więc oddajcie. Na jednej szali wagi leży podjęta przez was decyzja. Na drugiej bardzo prawdopodobna śmierć. Jesteście pewni, że chcecie zaryzykować?

– Jeśli umrzemy, stracisz plik na zawsze – sprzeciwia się Czyngis. – Jest zamknięty na cztery hasła.

– Tak, wiem... ale będę musiał tak postąpić. Choćby dlatego, żeby Dibienko stał się bardziej uległy. Zabijanie zwykłych ludzi, żeby udowodnić, że mam poważne zamiary, jest nieetyczne. Ale wy... wy sami jesteście sobie winni. Sami do tego dążyliście. Przecież was uprzedzałem.

Nikt mu nie odpowiada. Ja na przykład jestem zajęty powtarzaniem swojego wierszyka. Głębio, Głębio, nie jestem twój...

Ale Głębia nie chce mnie wypuścić. Nie chce. Chciałbym wiedzieć, jak Ciemny Nurek to robi. Przecież to już nie tylko kontrola nad przestrzenią wirtualną. Raczej bezpośrednie oddziaływanie na mnie.

– Wszyscy macie coś do stracenia. – Ciemny Nurek podchodzi do kominka i wyciąga rękę do ognia. – Ginać za ideę, to piękne. Ale czy ta idea warta jest życia? Zróbmy tak... policzę do siedmiu. Gdy powiem siedem...

W jego głosie jest pewność siebie, obojętność, siła. Nie pozostawia nam to cienia nadziei.

Kiedy naciśnie na spust, poczuje, jak serce głucho uderzy po raz ostatni, a potem się zatrzyma. Nie na długo. Na piętnaście minut.

Będę jeszcze żył, czując, jak spadam w bezdenną przepaść. Może ściany ognia i lodu zamkną się nade mną? Ale nie będzie już w dali ciepłego światła...

A lot będzie trwał wiecznie.

A Vika, która podejdzie do mnie, zobaczy pod zdjętym hełmem białą martwą twarz.

– Jesteś łajdakiem, nurku! – Słyszę własny głos, ale wydaje mi się, że ktoś mówi za mnie. – Jesteś łajdakiem, ale masz rację. To nie jest warte życia. Gotów jestem oddać plik.

Ciemny Nurek kiwa głową i uśmiecha się. Moje oskarżenia ma gdzieś.

– Dostaniesz plik...

To Czyngis.

– Został jeszcze nasz wielki haker. – Ciemny Nurek patrzy na Padlinę. – No, no... nie udawaj, że zawsze rozmawiałeś przez klawiaturę. Pomysł przedni, ale i tak wiem, że jest inaczej. Zgadzasz się z towarzyszami?

– Tak – warknął Padlina.

– Wobec tego zrobimy tak. – Ciemny Nurek bierze słuchawkę telefoniczną, przykładą do ucha, kiwa głową. – Zadzwońię do prawdziwego Pata, który pilnie wkuwa znieprawiony rosyjski. Ty, Czyngis, poprosisz go o otworzenie pliku i przesłanie go do Głębi. Tutaj, na stoliczek. Myślę, że sobie poradzi.

– Nie zna naszych kluczy, durniu – nie wytrzymuje Czyngis.

– Podacie mu. Wszyscy po kolei. Kto zamykał plik jako pierwszy? – Zaczyna wykręcać numer.

– Leonid, potem ja, potem Padlina, potem Pat. – Czyngis chyba poddał się zupełnie.

– Pięknie... tylko bez aluzji i oszustw. A nuż chłopak wybierze się tutaj, żeby was ratować? – Ciemny Nurek słucha chwilę i podaje słuchawkę Czyngisowi.

– Cześć, Pat.

Głos Czyngisa brzmi naturalnie. Jakby siedział przy kominku ze szklanką whisky w rękę, palił cygaro i filozofował z nami na tematy abstrakcyjne.

– Pracujesz? To ładnie. Jest taka sprawa... oderwij się na moment. Weź plik, który zaszyfrowaliśmy... tak, ten. Nie chce ci się iść? A z lokalnej sieci nie możesz?... Teraz wszyscy po kolei podamy ci swoje klucze. Otworzysz plik i prześlesz w Głębię. Do biblioteki. Na stolik. Nie, nie żartuję. No, do roboty. Oddaję słuchawkę Loni.

Ciemny Nurek kiwa z aprobatą głową, klepie Czyngisa po ramieniu, podchodzi ze słuchawką do mnie.

– Hej – mówię do mikrofonu.

– Lonia, czemu nagle postanowiliście podać klucze? – pyta z ciekawością Pat.

– A, tak dla zgrywy. Możesz wybrać klucz?

– Aha. – ..

– Dyktuję. Najpierw cyfry. Siedem, cztery, sześć. Zero. Sześć, dwa. Cztery, siedem. Teraz litery. W. H. O. Wszystkie duże. Teraz d, s. Małe. Znowu cyfry. Jeden, trzy, sześć, osiem, jeden. Małe y, duże Z. Symbol dolara Małpka.

– Taka jak w adresach, czy słowo „małpka”? – pyta Pat.

– Znaczące słowa w szyfrach wykorzystują tylko lamerzy – mówię. – Oczywiście, że znak. Teraz trzy nawiasy i cyfra osiem. I wykrzyknik. – Wybrałem – oznajmia Pat. – Chwila, klucz się generuje...

– No, oddaję Czyngisowi. – Ciemny Nurek odsuwa słuchawkę i szepcze: – Dobry klucz! Gratuluję!

Milczę. To mój ogólny klucz. Teraz będę musiał przepakować wszystkie bazy danych. Ciemny Nurek podsuwa słuchawkę Czyngisowi. Ten z jakiegoś powodu patrzy na mnie z takim samym niezadowoleniem jak na Ciemnego Nurka. Ale głos ma spokojny.

– Otworzyłeś pierwszy szyfr? Dobrze. Wpisuj mój klucz... jest prosty, lamerski.

O to chodziło!

– To zdanie, pierwsza litera mała, pozostałe duże. Spacje są znaczące. Na końcu powinna stać kropka. Pisz... i powtarzaj literami.

Czemu on zwleka?

Czyngis wzdycha i lodowatym głosem deklamuje:

– Czterdzieści tysięcy małp wsunęło w dupę banana.

Ciemny Nurek wije się od bezgłośnego chichotu. Słuchawka w jego rękę tańczy przy twarzy

Czyngisa. Padlina wydaje charczący dźwięk, próbuje zerknąć na Czyngisa, potem na mnie. Trzymam się. Z trudem, ale jednak.

– Co? – Czyngis nagle traci całe opanowanie. – Jakich znowu maup? Chodzisz do zoo, żeby popatrzeć na maupy?

Nie wytrzymuję.

Przeegraliśmy. Skapitulowaliśmy przed Ciemnym Nurkiem. Nie wiadomo, czy daruje nam życie, gdy dostanie plik. Leżę sparaliżowany jednocześnie w Głębi i w swoim mieszkaniu. Ale się śmieję – bawi mnie nie tyle hasło, ile to, że Czyngis opieprza Pata za błąd ortograficzny.

– Tak! Banana!

– Jeden na wszystkie? – pyta Padlina i zanosi się chichotem.

– Jeden... teraz Toha poda ci swój klucz, nieuku.

Ciemny Nurek podchodzi do Padliny. Ogląda się na mnie z uśmiechem. Nie mogę się do niego uśmiechnąć ... ale czuję, że mógłbym to zrobić. No proszę. Jednak mamy ze sobą coś wspólnego.

Wszystko rozumiem. Że klucz, stworzony z sensownych słów, jest wygodniejszy. Że korzystając z takiego klucza, trzeba stworzyć zdanie śmieszne, głupie i takie, które łatwo zapamiętać. Że klucz Czyngisa tak bardzo do niego nie pasuje, że jest na pewno prawdziwy.

Ale co mogę poradzić, że mnie to bawi...

– Siemasz, stary... – huczy do słuchawki Padlina. – Fajny kluczyk wymyślił Czyn, co? Mało nie skonaliśmy ze śmiechu...

– Nie przeciągaj – mówi cicho Ciemny Nurek.

– Więc tak, ja też mam nieskomplikowany klucz. Pewne słowa mogą ci się wydać nieznanymi... w razie czego przeliteruję. No i nie zwracaj uwagi na sens zdania.

Czyngis staje się czujny.

– Nie, nie. To taki głupi żart. Slang, nietypowe wyrażenie, ale jesteś już dużym chłopcem...

– Szybciej! – W głosie Ciemnego Nurka pojawia się groźba. – W razie czego potem zaprowadzę cię do psychologa...

– Z jakich słów utworzyłeś klucz? – syczy Czyngis.

Padlina wzdycha i zniża głos.

– Teraz słuchaj... litery idą na przemian: pierwsza mała, druga duża, trzecia mała i tak dalej... bez spacji. Wpisuj starannie...

I podaje swój klucz.

Przez dziesięć sekund w bibliotece wisi grobowa cisza. Ciemny Nurek stoi zastygły jak posąg i zaczyna się czerwienić. Ja też mam ochotę, ale nie mogę. Rozlega się lodowaty głos Czyngisa:

– Jak ty się odzywasz do dziecka? Padlina sapie, ale nic nie mówi.

– Zabiję cię, ty punku nienormalny...

Padlina marszczy brwi i suchym, akademickim tonem mówi do słuchawki:

– Tak, mały, rozumiem, że to słowo rzadko używane jest w liczbie mnogiej, dlatego brzmi dziwnie. Nie, w słowniku go nie znajdziesz... w żadnym. Ale zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami gramatycznymi liczba mnoga powinna zostać utworzona właśnie tak.

Czyngis głośno wypuszcza powietrze.

– Co? – Padlina zastanawia się przez chwilę. – Nie, oczywiście, że nie. W rzeczywistości to niemożliwe. Sprzeczne z anatomią, fizjologią i psychologią człowieka. Oraz z prawami fizyki. To po prostu pewna ironiczna fantazja, wyrażona w nietypowym słownictwie. Dobrze, potem to omówimy. Wszystko. Nie myśl o tym, dobra? Wprowadź swój klucz i prześlij nam plik.

Ciemny Nurek bez słowa kładzie słuchawkę z powrotem na półce nad kominkiem. Wraca do stolika.

Mam wrażenie, że boi się zbliżyć do Padliny.

– Czyngis, więc co miałem zrobić? – mówi żałośnie Padlina. – Nie chcę umierać! Twój klucz też był dobry.

– Mój klucz można czytać dzieciom w przedszkolu! – wyje Czyngis. – W porównaniu z twoim!

– Nie przesadzaj... Bądź bardziej obiektywny, Czyngis!

– Że też ci język kołkiem nie stanął!

– Za to nikt nigdy takiego klucza nie odgadnie!

– Jasne! Takie potwory jak ty rodzą się raz na sto lat!

– Naprawdę bardzo mi przykro – mówi cicho Padlina. – Naprawdę.

Słucham ich rozmowy, ale się nie włączam.

Zajęty jestem bardzo ważną sprawą – poruszam pacami u nóg.

Paraliż mija. Może nam wszystkim, ale Czyngis i Padlina są zajęci wyjaśnianiem stosunków między sobą. Może zresztą mnie pierwszemu.

Trzask.

Na stoliku pojawia się mały gruby tomik. Ciemny Nurek chwytą go i zaczyna szybko kartkować.

Dostał to, co chciał. Do Deeptown nadejdzie nowe życie. Na przekór fizjologii i fizyce...

Lekko uginam nogę w kolanie. Pięknie. Wraca czucie w ciele.

– Brawo – mówi Ciemny Nurek. – To było uczciwe. Ja też umiem grać uczciwie. Żegnajcie, panowie. Życzę wam wymyślania nowych, równie interesujących i niezwykłych kluczy...

Znowu zmienia się w Pata. Pewnie po to, żeby wyjść z mieszkania Czyngisa.

Podskakując jak przystało na dzieciaka, fałszywy Pat idzie w stronę wyjścia z biblioteki. I zatrzymuje się.

Podnoszę głowę i widzę, co się dzieje!

W drzwiach stoi drugi Pat – w wirtualnym kostiumie, ale nie tym z Labiryntu. I z jakąś giwerą o krótkiej lufie w ręku.

– Padlina nigdy tak przy mnie nie kłął – mówi nowy Pat. – Nawet jak był pijany. Od razu zrozumiałem, że tylko pod lufą pistoletu mógł podać taki klucz.

Ciemny Nurek stoi tyłem do mnie. Nie wiem, czy może mnie teraz obserwować. Bardzo prawdopodobne, że tak. Ale nie mogę leżeć dłużej na podłodze. Zaczynam się podnosić, bardzo powoli i niezgrabnie. Ręce i nogi nie są już zdrewniałe, tylko jak z waty.

Czyngis też odwraca głowę. Krzywi się jak z bólu albo od nadmiernego wysiłku, ale odwraca.

Co się teraz dzieje z naszymi ciałami? Nieśmiałe drgania mięśni, pełznące po klawiaturze palce? Gdybym mógł wyjść z Głębi... Wyjść. Wyjść...

Ale nie mogę. Ciemny Nurek odebrał mi nawet tę ostatnią umiejętność.

Czy tylko mnie?

I czy tylko tę?

Dlaczego nurkowie stracili swoją siłę?

„Głębio, Głębio, wypuść mnie...”

Jakbym uderzał w niewidoczną sprężynującą ścianę albo próbował zerwać się z naciągniętej smyczy.

– Pat, przepuść go – mówi Czyngis.

– Tak przepuść – niemal krzyczę. – Pat, nie dasz sobie rady! Nikt z nas sobie z nim nie poradzi! Niech idzie!

Ale Pat nas nie słyszy.

Przed nim stoi wróg, który skrzywdził jego przyjaciół, spalił jego komputer, udawał przyjaciela... Przecież on nadal myśli, że Ciemny Nurek to Nike!

Przed nim stoi ten, który wdarł się do jego domu, okradł go, zmusił jego przyjaciela Padlinę, żeby stał się cynicznym draniem, niechby tylko na moment. To ten sam, przez którego zginął jakiś chłopak... Pat go wprawdzie nie znał, ale wie, że był przyjacielem, moim i Padliny.

Pat się nie wycofa.

– Chłopcze, nie musisz strugać bohatera – mówi spokojnie Ciemny Nurek. – Z twoimi przyjaciółmi wszystko w porządku. To, co zabrałem, należy tylko do mnie. Opuść broń!

– Strzelę i twój komp zdechnie! I nic stąd nie zabierzesz! Rozumiesz?

Już lepiej strzelaj... lepiej strzelaj, głuptasie... ale wiem, najpierw ty musisz się nakręcić. I nakręcasz, nie rozumiejąc, że Ciemny Nurek może uderzyć w dowolnym momencie, że jest szybszy, że dostępne mu są utracone przez wszystkich tajemnice; on nie musi się nakręcać. Po prostu ma jeszcze resztki sumienia i nie chce do ciebie strzelać nawet paraliżującym pociskiem...

– Chłopcze, przestań – mówi Ciemny Nurek. – Nie chcę cię krzywdzić, lubię cię. Twoi przyjaciele już zmienili zdanie. Zapytaj ich.

– Pat, wszystko w porządku! – mówi głośno Padlina i też się szarpie, próbując wstać. – Niech idzie!

– Przepuść go! – wrzeszczy Czyngis takim głosem, że drgnął nawet Ciemny Nurek.

– Pat, nie wariuj, wszystko okay! – mówię spokojnie i przekonująco. Dla kontrastu. Żeby rozwiązać napięcie, które zawisło w powietrzu. – Wszystko ci wyjaśnimy! Niech on sobie idzie.

Pat już zaczyna opuszczać broń, a Ciemny Nurek robi mały krok do przodu.

– Mówiłeś, że jesteś przyjacielem! – krzyczy nagle Pat.

To jest to, czego nigdy nie zdoła wybaczyć.

– To nie Nike jest Ciemnym Nurkiem! – krzyczę. Ale jest już za późno.

Pat strzela.

Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Z jego lufy bije fontanna pomarańczowego płomienia i otula Ciemnego Nurka. Nurek płonie.

– Twój komp ginie! – wyje radośnie Pat.

Ale płomień zaraz gaśnie. Znika, jakby pożerał sam siebie.

Fałszywy Pat znowu zmienia postać. Staje się zręcznym, wysokim, nierozpoznawalnym od tyłu, ale niejasno znajomym człowiekiem.

– W tym momencie nie jestem przykuty do żadnego kompa, gnojku – mówi Ciemny Nurek.

Pistolet dopiero co był w kaburze przy pasie, a teraz już jest w jego rękę. Strzał.

No widzisz, mały, dograłeś się...

Wstaję i robię krok; prawie już mogę chodzić...

Ale coś jest nie tak!

Pat nie pada jak podcięty. Pat nadal stoi.

Ciemny Nurek stracił celność?

– Cholera... – Ten, którego widzę tylko od tyłu, opuszcza broń. – To...

Na twarzy Pata pojawia się uśmiech. Krótki, przelotny, zastąpiony zaraz zaskoczeniem i strachem. Upuszcza swoją broń i chwyta się obiema rękami za serce.

Za serce.

„Głębio...”

Niewidoczna smycz trzeszczy, ale trzyma. Sprężysta guma oblepia moją twarz.

Ciemny Nurek skacze do przodu, omija Pata i wyskakuje na korytarz.

– Pat! – krzyczę.

– Nie bije – oznajmia ze zdumieniem Pat to, co ja już zrozumiałem.

Podtrzymuję go, gdy zaczyna się przewracać. Układam go na podłodze. Ale to niczego nie zmienia, teraz może go uratować jedynie masaż serca, silny, profesjonalny, bezlitosny, do siniaków, do połamanych żeber, żeby tylko znowu pompowało krew w to małe głupie ciało, pomogło bezmyślnym szarym komórkom...

– Pat! – Czyngisowi udaje się zerwać, przewracając ciężki fotel, i dopełznąć do nas na czworakach. – Pat!

On to umie... widzę, jak jego ręce składają się na piersi chłopca, uderzają, próbując ożywić serce.

Nie tak! Nie przez Głębę! Nie przez drogi i bezpieczny kombinezon, który przemieni silne uderzenie w lekki dotyk!

Trzeba to robić w realu, w realnym mieszkaniu, gdzie teraz Pat zsuwa się z fotela, drapiąc pierś, jakby chciał się dostać do serca, które stanęło...

– Czyn, ja umieram? – szepcze samymi wargami.

Kątem oka widzę, jak Padlina wstaje i krokiem pijanego zombi próbuje do nas podejść.

„Głębio...”

Brzęk niewidocznego łańcucha. Uderzenie w pustkę. Nie mogę wyjść!

Zresztą i tak go nie uratuję; jestem u siebie w domu, jestem daleko. Potrzebny jest ktoś, kto jest obok.

– Wychodź! – wrzeszczę na Czyngisa, który nadal próbuje robić masaż serca w Głębi. – Wychodź, idioto! Gdzie masz terminal?

Czyngis rzuca oszalałe spojrzenie do góry i już wszystko rozumiem. Ile czasu zajmie mu, półżywemu, przepłynięcie przez przestrzeń wirtualnego mieszkania? Czyngis może być teraz kilka metrów od Pata, za ścianą, tuż obok, ale tutaj, w Głębi, to będzie bardzo długa droga...

– Wychodź! – krzyczę. Jakbym zapomniał, kogo mam przed sobą. Jakby zwykły człowiek mógł wyrwać się z tężowej zamieci, zerwać z siebie hełm, zdążyć... – Wychodź, sukinsynu! To tylko oszustwo! Kłamstwo! Iluzja!

„Głębio...”

Pat już nic nie mówi, tylko patrzy mętniejącym wzrokiem. A może wcale nie patrzy, może to tylko nasze nadzieje, zamienione przez oszukańczą Głębię w iluzję życia.

– Nie umiem! – krzyczy Czyngis. – Nie mogę!

Wibracja smyczy. Brzęczenie łańcucha. Ściany wokół. Nie wyrwę się. Zresztą to bez znaczenia. Uratować Pata może tylko Czyngis.

„Głębio...”

– Umiesz! Możesz! Musisz! – krzyczę i uderzam go w twarz. Z całej siły. – Musisz! Musisz, to znaczy, że możesz!

Nie zawsze byłeś dla mnie dobra, Głębio. I ja nie zawsze cię kochałem. Tylko w bajkach jest inaczej. Aleja wierzę, że nie jesteś tępą bezduszną soczewką, nakierowaną na nasze dusze rozpięte na szkle. Jesteś czymś więcej. Jesteś złożona z nas wszystkich; oddaliśmy ci wszystko, co mogliśmy. I zło, i dobro, i nienawiść, i miłość. Musiało się w tobie narodzić coś nowego i nie wierzę, nie chcę wierzyć, że to nowe jest okrutne i bezlitosne.

Nie proszę w swoim imieniu. I nie w imieniu Czyngisa czy Padliny. Nawet nie w imieniu Pata. Proszę w imieniu nas wszystkich. Tych, którzy kiedykolwiek wchodzili w Głębię, którzy teraz w niej są, tych, którzy jeszcze wejdą.

Bo jeśli Pat umrze, zmienisz się, Głębio.

Na zawsze.

Przegramy nie dlatego, że Ciemny Nurek dostał swój upragniony plik. Przegramy, jeśli umrze ten chłopiec, który jest przeciętnym hakerem, który pisze „maup” zamiast „małp” i zdaniem Ciemnego Nurka nie jest godzien życia wiecznego w wirtualności.

Przegramy wszyscy.

Nawet ty, Głębio...

Patrzę w oczy Czyngisa. Widzę jego strach, jego rozpacz; widzę, jak wali w niewidzialną barierę...

„Głębio...” i wreszcie coś się dzieje.

Pomiędzy nami przeciąga się nic.

Jak odłamki błękitnego lodu, jak iskry czerwonego ognia, które płoną teraz w oczach Czyngisa.

Jakby skakał w bezdenną przepaść...

– Aaa... – wzdycha Padlina, gdy ciało Czyngisa mętnieje, traci kolor i rozplywa się w powietrzu.



– Rób masaż serca! – krzyczę do niego. – Rób Patowi masaż serca!

To śmieszne – słabe stukanie magnetycznych szpul w kombinezon, iluzja uderzenia, iluzja dotyku; nic to nie pomoże, ale niech Padlina próbuje, dopóki gdzieś w realu Czyngis zdziera z głowy hełm, wrywa z gniazd kable, wybiega z pokoju.

Niech próbuje.

– Zabiję tego łajdaka! – ryczy Padlina, nieumiejętnie naciskając pierś Pata. – Przysięgam! Zabiję go! Zmieszam z gnojem!

– On jest mój! – odpowiadam i zrywam się na nogi.

Ciało należy do mnie. Ciało chce mnie słuchać.

Może pocisk przestał działać.

A może po prostu trzeba oddać wszystko, żeby dostać coś.

To się nie liczy.

Nawet jeśli przestałem być nurkiem na zawsze.

Wybiegam z pokoju.

Ciemny Nurek jest mój.

Nie próbuję otwierać drzwi. Uderzam w nie i drewniana rama rwie się jak papier, stal wygina się jak karton, a ja przechodzę.

Mogę wybaczyć bardzo wiele.

Mogę uwierzyć niemal we wszystko.

Na przykład, że Ciemny Nurek nie miał zamiaru wystawiać Romka. Sam mogłem tak postąpić – narzucić doświadczonemu hakerowi niedoświadczonego chłopaczka, dać mu szansę.

Wierzę nawet w to, że Ciemny Nurek nie wiedział, jakim pociskiem strzela. I był pewien, że tylko sparaliżuje Pata.

Ale jednego mu nie wybaczę. Tego tchórzliwego pośpiechu, z jakim rzucił się do ucieczki, gdy zrozumiał, co się stało.

On jest mój.

Tam, w mieszkaniu Czyngisa, nie mogłem zrobić niczego. Nie mam sił ani wiedzy, żeby odwrócić konsekwencje wystrzału. Ale mogę sprawić, że następnych wystrzałów nie będzie.

Wybiegam z domu. Mogę poprosić ochroniarzy, mogę zapytać przechodniów, mogę wezwać taksówkę.

Ale w tej chwili czuję Ciemnego Nurka tak samo wyraźnie, jak zapewne on czuł mnie.

Biegnę po ulicy. Przechodnie uskakują na bok.

Vika, wybacz, obiecałem ci, że nie będę ryzykował... ale nie umiem już wychodzić z Głębi.

Powiedziałem, że spróbuję znaleźć kompromis... Kłamałem.

Nie szukam już kompromisów.

W lewo...

On też biegnie. Po prostu biegnie ulicą, ciągnąc ciężki plik, nie próbując wzbić się w powietrze, nie próbując przechodzić przez ściany. Niczym zwykły obywatel Deeptown.

Ciężko mu.

Jeszcze raz w lewo...

Widzę go. Całkiem niedaleko, sto metrów ode mnie. Widzę i wyszarpuję z kieszeni rewolwer Strzelca. Dziwi mnie to, bo nie chcę karać jego komputera, chcę zabić jego...

Ciemny Nurek odwraca się. Przez mgnienie oka patrzy na mnie, a ja widzę jego twarz..

Potem znika.

Rozpływa się w powietrzu.

Nikt nie zwraca na to uwagi. Cóż w tym dziwnego, programowe wyjście z Głębi. Prawdę znamy tylko on i ja.

– Nie uciekniesz – mówię.

Może mnie słyszy. A może usłyszy potem, gdy znowu zdobędzie wirtualne ciało.

– Będziesz musiał mnie zabić, żeby uciec, słyszysz? – krzyczę, a ludzie odskakują, patrzą na mnie jak na wariata. – Ale przecież nie starczy ci odwagi, prawda?

„Głębio, Głębio... nie jestem twój”.

Ekraniki hełmu. Narysowana ulica.

Zdjąłem hełm, wciągnąłem powietrze.

Na zegarze wpół do jedenastej. Viki jeszcze nie ma w domu. Nawet nie mogę zapytać jej o radę. Zresztą, czy chcę słuchać rad? Albo odpowiedzi?

Kwadrans już minął.

Podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer komórki Czyngisa. Boję się. Boję się, że on nie zdążył, że sobie nie poradził, że...

– Tak? – Poznaję głos Padliny, ale nawet się nie dziwię.

– Co u was?

– Żyje – mówi krótko Padlina i czuję, jak całe ciało mi się rozluźnia.

– Wszystko w porządku?

– Gdzie tam w porządku! Pat powtarza te słowa, które ode mnie usłyszał. Czyngis mówi, że następnym razem nie będzie go ratował, a on i tak powtarza. Bez przerwy.

– To dobrze. To znaczy, że nie ma amnezji. Że mózg nie ucierpiał.

– A co tam mogło ucierpieć? Jaki znowu mózg? – Specjalnie głośno mówi Padlina. Słyszę cienki oburzony głosik i szelest; to Padlina gdzieś się przemieszcza, a potem dodaje zduszonym głosem: – Lepiej powiedz, co zrobił Czyngis.

– Został nurkiem.

– Jak to?

– Padlina, nie daj Boże, żebyś ty kiedyś miał przejść taki chrzest... wezwijcie pogotowie, niech Pata obejrzy lekarz.

– Już wezwaliśmy. Dogoniłeś tego drania?

– Nie. Ale nigdzie nie ucieknie. Już nie.

Padlina krótko wzdycha.

– Leonid, słuchaj... olej to. Przeszło boki. Nie warto. Żyjemy wszyscy i zachowajmy ten stan.

– Padlina, nie martw się. Wszystko będzie... będzie, co będzie.

– Leonid!

– Wszystko w porządku, naprawdę. Napij się piwa. Czyngisowi daj koniaku. Patowi przekaż ode

mnie pozdrowienia i poprosz o wybaczenie.

– Za co?

– Za wszystko. Na razie, Padlina.

Odłożyłem słuchawkę. Włożyłem hełm.

Deep Enter.

Nawet nie zauważam tęczy deep programu. Po prostu robię krok z realu w Głębię.

Przede mną stoją dwie młodziutkie dziewczyny.

– Wygłupia się – mówi sceptycznie jedna.

– Już dawno wyszedł, to tylko cień! – Druga wyciąga rękę i leciutko dotyka mojej twarzy.

– Wrr! – mówię, kłapiąc zębami. Dziewczyny piszczą radośnie.

– Przegrałaś! – woła pierwsza. – Przegrałaś!

– Kto budzi mnie ze snu? – pytam grobowym głosem. Ale dziewczyn nie interesuje Strzelec jako taki, tylko ten głupi zakład.

– Dziękujemy! – mówią chórem i z chichotem biegną po ulicy.

Jakie to proste. Tak właśnie należy żyć w Głębi.

Ruszam z miejsca, podchodzę do ściany, opieram się o nią. Chce mi się palić. Szkoda, że Strzelec nie pali.

– Przyjacielu, zostaw mi papierosy! – wołam do przechodzącego obok mężczyzny. Kiwa głową i z niewzruszoną miną podaje mi paczkę papierosów i zapalniczkę. Przypalam.

– Co ci tak drżą ręce? – pyta przechodzień. – Piłeś?

– Nie, zobaczyłem zjawę.

– O, to się często zdarza – zgadza się mężczyzna. – Może by ją krzyżem i wodą święconą...

– Spróbuję – kiwam głową.

Naprawdę źle się czuję. Rozglądam się na boki. W Deeptown knajpy są na każdym rogu.

O, tam jest jakaś pizzeria. A tutaj karczma.

Przyływ patriotyzmu.

Wchodzę, rozglądam się. Lokal całkiem przyjemnie urządzony. Oczywiście ze stylizacją na Starą Ruś. Ale znośną.

Siadam przy wolnym stoliku. Drewniana ława pod ścianą, wyszorowany do białości drewniany stół. Płonące łuczywo. Wóz z sianem, na którym stoją cebry i kadzie z sałatkami. Styl *a la russe*. Może się podobać.

Podbiega kelner, oczywiście – jakżeby inaczej? – w jasnoczerwonej koszuli – Kieliszek koniaku – mówię.

– Mamy doskonałą wódkę – zauważa kelner. – Prawdziwą, rosyjską...

– Koleś, jestem Rosjaninem. Miałem ciężki dzień. Ale nie chcę pić wódki, rozumiesz?

Kiwa głową, ale ja mimo wszystko dodaję:

– Kieliszek koniaku Kutuzow. I małą kanapkę z kawiozem. To wszystko.

– Służę...

Dostaję zamówione „danie”, płacę i jednym haustem wypijam pół kieliszka.

Boski koniak.

W realu piłem go tylko raz. Wyłącznie po to, żeby zapamiętać smak.

W porządku.

Napięcie zaczyna spadać. Powoli, bardzo powoli. Ale czuję, jak spływa ze mnie dzisiejszy wieczór, zdrewniałe ciało, przerażone oczy Pata, Czyngis, który przebił się przez barierę.

Nie do końca, tylko na jakiś czas.

W przeciwnym razie nie dałoby się żyć.

Przy sąsiednim stoliku jakieś bardzo wesołe towarzystwo.

– Raina, przeczytaj wiersz... – prosi ktoś sympatyczną, młodą dziewczynę. – Przeczytaj!

Dziewczyna nie ma zamiaru się krygować. Dumnie podrzuca głowę... i zaraz się uśmiecha, jakby podkreślając niepoważność pozy.

Ale wszyscy milkną.

Deklamuje bardzo zwyczajnie. Jakby nie umiała albo nie traktowała tego wiersza na poważnie...

*Wystarczy po przezroczystości szkła  
Przesunąć delikatnie srebrną dłonią  
Artysta – właśnie po to tworzy lustra  
Byś mógł odnaleźć siebie w ich toni*

*W iluzji kryją się pierwiastki zła  
Lecz wierzysz lustrom, bo tak wypadło  
Sobowtór już wykrzywia swoją twarz  
I twoją duszę kradnie ci zwierciadło*

*Jakże łatwo skaleczyć się o brzeg  
O ostrą krawędź, jak to bardzo boli.  
A lustro szepcze: nie rozbijaj mnie...  
Zlizujesz krew ze skaleczonej dłoni.*

*Grząski, okrutny bywa odbić świat  
Uwolnić chce się, pożegnać z lustrami.  
I może wkrótce przyjdzie odbić czas,  
Potworny czas – lustra zawładną nami.*

*I wyrwie się na wolność cały legion  
Fałszywych odbić i fałszywych dusz.  
Ciekawe, kto z nas wtedy przegra...  
Słysząc brzęk szkła... Hej, zagrajcie tusz!*

Dziewczyna milknie. Uśmiecha się i sięga po kieliszek wina. Ale przy stoliku jeszcze przez kilka sekund panuje cisza.

Ja też milczę. Przypominam sobie hakera Birda z baru Pod Zaginionym Hackerem.

Przecież on zmyślał. Wiem to na pewno.

Tylko dlaczego fantazje tak łatwo przemieniają się w rzeczywistość? Dlaczego haker opisał Świątynię, której nie mógł widzieć? Dlaczego ta dziewczyna deklamuje wiersz o tym, czego nie może nawet podejrzewać?

Co stworzyliśmy, wchodząc w Głębię?

Patrzę na ciemny bursztyn koniaku. To też Głębia. Wielu jej tu szukało.

Wielu znalazło.

Nawet nie muszę się specjalnie wysilać... rzucam szybkie spojrzenie na dziewczynę i jakaś część mnie wrywa się z ciała.

Serwer drugiego poziomu. Serwer pierwszego poziomu. Wejściowy gate. Provider. ATS.

Naprawdę nazywa się Lena. Jest z Petersburga, nie, raczej z Kronsztadu.

Komputer niezbyt mocny. Standardowa ochrona, można obejść bez problemu. Lena wchodzi w Głębię nie po to, żeby walczyć. I nie po to, żeby ratować.

Chwała Bogu, że jest ktoś, kto się tu tylko bawi.

Kto powie za nas to, czego nie powiemy my sami.

Kto się roześmieje, gdy my oduczmy się uśmiechać.

– Wejdz – mówię, patrząc przed siebie. – Nie możesz kryć się bez końca. Przecież wiesz. Jeśli się schowasz, ja i tak wyciągnę cię na zewnątrz.

Powietrze naprzeciwko mnie pociemniało i zaczyna gęstnieć.

Patrzę, jak formuje się Ciemny Nurek, jak nabiera ciała, i dopijam koniak.

Moja Głębia jest gdzie indziej. Nie w alkoholu.

Ja mogę ukrywać się bez końca – mówi Ciemny Nurek. – W odróżnieniu od ciebie. Uśmiecham się i patrzę na niego.

Siła nieczysta boi się uśmiechu bardziej niż krzyża i święconej wody. Wszystkie podłości popęlnia się z poważną miną. Całe draństwo bierze się stąd, że ktoś przestraszył się uśmiechu. Nieważne, swojego czy cudzego.

– Rzeczywiście słabnę – ciągnie Ciemny Nurek. – Ja słabnę, a tobie wróciła część dawnej siły. Ale to i tak niczego nie zmienia.

– Pat żyje.

– Wiem.

– To jasne. W przeciwnym razie byś się tu nie pojawił.

– Posłuchaj, Leonid... – przesuwając rękę nad stołem, bierze z powietrza kieliszek i pełną butelkę koniaku.

– Przepraszam. – Podchodzi do nas kelner. – Przynoszenie ze sobą i...

Napotyka spojrzenie Ciemnego Nurka, milknie i odchodzi.

– Leonid, skąd mogłem wiedzieć, że następna kula jest śmiertelna?

– Stąd – mówię. Wyjmuję pistolet, który wręczył mi Dibienko. Wyciągam magazynek. Wyłuskuję kule.

– Raz... dwa... trzy... cztery... brakuje sześciu. Prawda?

Ciemny Nurek patrzy mi w oczy.

– Pierwszy strzał był we mnie. Chybiłeś. Drugą kulą ja załatwiłem policjanta. Kolejne trzy kule poszły dla mnie, Czyngisa i Padliny. Szósty pocisk był śmiertelny. I nim strzeliłeś do Pata.

– Nie wziąłem pod uwagę twojego strzału.

– No pewnie. Rozpłynąłeś się w sieci i nie uznałeś za stosowne sprawdzić, co się stało, gdy cię nie było.

Ciemny Nurek nalewa koniaku mnie i sobie.

– Napijesz się? To nie trucizna.

Milczę.

– Leonid... co z tobą, do licha? – Ciemny Nurek krzywi się. – Nie strzelałbym ostrymi! Nigdy! Zrozum, lubię Czyngisa, interesuje mnie Padlina, ciekawi Pat. A już na pewno nie strzeliłbym do ciebie.

– Moja śmierć nie oznacza już twojej śmierci.

– To prawda... Od roku jestem pełnowartościową, samodzielną osobowością.

Patrzę w twarz Ciemnego Nurka – w swoją twarz – i uśmiecham się.

– Cały problem polega na tym, że patrzymy na świat z różnych punktów widzenia – mówi Ciemny Nurek. – Ja z Głębi. Ty z zewnątrz. Dla ciebie istnieje rzeczywisty świat. Słońce, niebo, ludzie... Ja też to mam. Ale tutaj. W Głębi. W Deeptown.

– Jak to się stało?

– Nie pamiętasz?

– Nie.

– Nieudacznik dał ci część swoich sił, Leonid. Pamiętasz, jak tonąłeś, gdy Dibienko wypróbował na tobie cykliczny deep program... pułapkę dla nurków?

– Pamiętam.

– Nieudacznik dał ci część swoich sił, Lonia. A pancierz dał mnie. Mogłeś wyjść z niekończącego się zanurzenia. Zdołałeś kierować siecią. Nie bezpośrednio, oczywiście. Przez mnie. Wtedy nie miało to żadnego znaczenia, bo byłem nikim. Bezmózgim dodatkiem, wykonawcą twoich rozkazów. Roztopionym w sieci programem, czekającym na twoje pojawienie się. Uczącym się odgadywać pragnienia, wybierającym najlepsze drogi.

– Tym, co teraz stworzył Dibienko. „Sztuczną Naturą”.

– Tak.

Piję koniak. Patrzę na Ciemnego Nurka, który rozkłada ręce, jakby przepraszająco.

– Przecież sam zrezygnowałeś z tego daru, Leonid. Wybrałeś rzeczywisty świat... wydawało ci się, że wybrałeś raz na zawsze. I zaczęłaś palić za sobą mosty. Zrezygnowałeś ze zdolności nurka... ale przecież nie mogłeś zmienić siebie, swojego ciała, swojego mózgu. Zabiłeś zjawisko bycia nurkiem. Zmieniłeś całą sieć. Zmieniłeś deep program. Ludzie przestali tonąć w Głębi; timer mieści się teraz w deep programie. Nurkowie po prostu przestali być potrzebni. Nurkowie przestali widzieć dziury w kodach, bo ty tego nie chciałeś!

– Nieprawda!

– Prawda. Nie chciałeś, podświadomie. Zapaliłeś zapalniczkę... a ja spaliłem mosty. Zgodnie z rozkazem. Gdy opadł elektroniczny popiół, gdy rozkaz został wykonany, rozpląnąłem się w sieci. Zasnąłem, ba... prawie umarłem. Ale ty wróciłeś.

Tak, wróciłem. A co mogłem zrobić? W prawdziwym świecie byłem nikim, nie miałem pracy, przyjaciół, zainteresowań. Niczego i nikogo. Tylko Vikę.

I okazało się, że to zbyt mało.

Miłość to ogień. Wystarczy zamknąć się przed światem, wystarczy zostać z nią sam na sam i nawet nie zauważysz, jak płomień pochłonie cały tlen i zgaśnie.

– Wróciłem.

– A wtedy ja ożyłem. Chodziłem w ślad za tobą. Słuchałem twoich słów. Powtarzałem twoje gesty. Uczyłem się zgadywać twoje postęпки i przeżywać twoje uczucia. Donaszałem twój gniew. Dopłakiwałem twoją tęsknotę. Domyślałem twoją wściekłość.

– A pozostałe uczucia? Miłość, radość, dobroć?

Ciemny Nurek uśmiecha się gorzko.

– Tego dla mnie nie wystarczało, Leonid. Sam je wybierałeś do końca. Nie winię cię, trudno byłoby oczekiwać czegoś innego.

Z boku zapewne wyglądamy całkiem zwyczajnie. Dwóch starych przyjaciół, którzy spotkali się po długiej rozłące. Najstraszniejsze, że tak właśnie jest.

– To dlatego jesteś taki? – pytam.

– Najwidoczniej. Ale nie żałuję. Nie jestem złym geniuszem ani maniakałnym zabójcą. Jestem po prostu bardziej ostry i poważniejszy od innych. Choć żyję... jestem prawdziwy, niechby tylko w Deeptown, ale prawdziwy!

– Dlaczego tak nienawidzisz Dibienki?

– Czy to ważne? Załóżmy, że potrzebuję jego nowego programu. Że potrzebuję braci i sióstr. Takich jak ja. Pełnoprawnych obywateli wirtualnego świata. Jego rdzennych mieszkańców.

– Ale przecież to ty sam! – Nie wytrzymuję i zrywam się na nogi. – To, z czego jesteś stworzony! Po co ci programy, z których się składasz?

– Możesz mi powiedzieć, Leonid, z czego ty się składasz? Jak pracuje twoja wątroba, jak bije serce? Jak skaczą impulsy po neuronach, jak buzują hormony we krwi?

– Co to ma do rzeczy?

– Możesz wyciągnąć nerkę, spreparować ją, obejrzeć pod mikroskopem, a potem włożyć z powrotem? Ja nie mogę. Na razie. Potrzebowałem tego, co nosi nazwę genezy. Teraz osiągnąłem to, czego chciałem.

– I tacy jak ty wejdą do Deeptown?

– Tak.

– Nie.

Patrzemy na siebie. Spojrzenie Ciemnego Nurka jest bardzo prawdziwe, bardzo ludzkie. Oczy są zwierciadłem duszy. W jego oczach widzę siebie.

Ale to fałszywe lustro.

– Nic już nie zrobisz, Leonid. Nic. Znowu jesteś nurkiem, poradziłeś sobie, ale to ja jestem częścią Głębi. Jestem silniejszy.

– Nie mogłem zmienić siebie, sam to powiedziałeś. A to znaczy...

– To nic nie znaczy! Zapragnąłeś tego, a ja oddałem ci część swoich sił. Mogę oddać wszystko. Rządź. Czyń cuda. Wchodź w Głębię bez komputera, burz mury, buduj pałace. Ja i tak jestem silniejszy. Wielu rzeczy się nauczyłem przez ten czas.

– Tak – kiwam głową. – Wierzę. Tylko że ja znam pewną sztuczkę, a ty nie.

Ciemny Nurek obraca w rękę kieliszek i kręci głową:

– Blefujesz.

– Grząski, okrutny bywa odbić świat... – mówię. – Nie blefuję.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój... wypuść mnie, Głębio... ” Ściana. Nawet nie guma. Kamień.

Nie mogę wyjść z Głębi, gdy obok jest Ciemny Nurek. To nie przypadek.

Idziesz przez las i wpadasz na mur.

– Dlaczego nienawidzisz Dibienki?

– Po co chcesz to wiedzieć? Ja wiem, wybaczyłeś mu nawet próbę zabicia ciebie. A ja nie.

– Nie o to chodzi. Wyrównujesz nie moje rachunki, lecz swoje, osobiste. Dlaczego?

– Co za różnica?

– Chcę cię zrozumieć. Ciemny Nurek uśmiecha się.

– Zrozumieć znaczy zwyciężyć...

– Przecież to Dibienko stworzył ten świat. Twój świat, jedyny, w którym możesz żyć. Nawet jego atak... W przeciwnym razie Nieudacznik nie dałby mi części swojego pancerza... nie dałby ciebie. Po prostu by cię nie było.

Milknę i patrzę na Ciemnego Nurka.



– Czy ja prosiłem, żeby mnie stworzono?

Jest cicho. Bardzo cicho. Karczma wokół zaczyna znikać. Świat przesłania mgła, szara mgła, druga strona Deeptown.

Świat, w którym żyje Ciemny Nurek.

Moje wszechpotężne odbicie. Ożywiona zbroja. Odcisk duszy, zdjęty w momencie bólu i strachu, smutku i samotności.

Było mi w Głębi zarówno źle, jak i dobrze. Kiedy było dobrze, spijałem swoją radość, wybierałem ją do dna, wyskrobywałem do czysta. Kiedy było mi źle, wychodziłem. Zostawiałem swój pancierz sam na sam ze smutkiem.

– Czy prosiłem, by mnie stworzyć? – powtarza Ciemny Nurek.

– Nikt i nigdy nie mógł o to prosić. Żaden człowiek. Stoimy po kolana w szarej mgle. Mgła jest wszędzie, kłębi się wokół, nasuwa na twarz, dławi głos. I nigdzie nie ma iskierek światła.

– Ale ja nie jestem człowiekiem. Żyję, mam rozum, ale nie jestem człowiekiem. Nie mam deep programu. Widzę Deeptown taki, jaki on jest. Narysowane słońce. Narysowane niebo. Narysowane twarze. Ale przecież wiem, że jest też inny świat.

– On jest taki sam.

– Nie. Jest inny. Prawdziwy. Możesz pocałować Vikę albo pokłócić się z nią. Możesz spotkać się z przyjaciółmi albo rozstać się z nimi. Jesteście równi. Żyjecie wśród równych. I ja też chcę tak żyć.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

– Co ty chcesz zrobić, Leonid? Zabić mnie? Nic z tego. Bez względu na siłę twojej nienawiści do mnie, to nie doda ci sił.

– Nie nienawidzę cię. Ciemny Nurek śmieje się.

– Tak? No to powiedz, że mnie kochasz. Powiedz!

– Współczuję ci. Milknie.

– Współczuję ci, Ciemny Nurku.

– Nie potrzebuję twojej litości.

– Wybacz mi. Porzuciłem cię i byłeś sam.

– Nie trzeba!

– Wybacz. Zrezygnowałem z samego siebie. Sprzedałem swój los. Myślałem, że wszystkie problemy i nieszczęścia można rozwiązać za jednym zamachem. Że istnieją idealne czyny i absolutne prawdy. Że mały przytulny świat może istnieć w wielkim i nieprzytulnym. Że można zamknąć okno i nie słuchać cudzych głosów.

– Zamilcz!

Ciemny Nurek kręci głową, jakby cisnęło go narysowane ubranie. Wiem, co on chce zrobić. Chce uciec. Tak jak ja uciekałem od niego.

– Już cię nie porzucę – mówię i dotykam jego ramienia.

„Głębio, Głębio, nie jestem twój...”

Tęcza w jego źrenicach.

Szara mgła rozsypuje się w kolorowy śnieg.

Hełm jest ciężki... zbyt ciężki dla mojego narysowanego ciała.

Podstawiam dłoń i łapię śnieżynkę. Patrzę na malutki lśniący kryształek.

Wirują w nim cyfry, spirale cyfr, których nie rozumiem.

Przepływają twarze, niezliczone twarze, których nie zobaczę.

Stoję pośród tęczowego śniegu, pośród zamieci, która maluje świat, czerpiąc farby z niewyczerpanej palety.

– Już cię nie porzucę.

Ciemny Nurek we mnie drży, gdy przenikają nas na wylot płatki śniegu.

Prawdziwego śniegu w prawdziwym Deeptown.

To całkiem proste – zmieniać świat.

Idę przez śnieżycę. Podstawiam twarz wiatrowi. Pod nogami mam niewidoczną nić, naciągniętą nad przepaścią.

Czy chcę to zrobić? Czy mam do tego prawo?

Odwieczne pytanie, na które nigdy nie znajdę odpowiedzi.

Może znajdą się ci, którzy boją się zrobić krok, którzy nie zaryzykują wystawienia twarzy na wiatr, ci, którzy spadli z mostu.

Ale przecież ktoś to musi zrobić.

Wyciągam dłoń, łapię ciężkie kolorowe płatki. Ściskam je w dłoni i lepię śnieżną kulkę.

Śnieg był kolorowy, a stał się biały.

Ale biel to też kolor...

Robię zamach i rzucam kulkę. Mgnienie – i zabójcza broń na stole w Karczmie pokrywa się rdzą. Mgnienie – i ochotnicy, na których komputerach zainstalowano „Sztuczną Naturę”, czują chwilowy zawrót głowy. Mgnienie – i przede mną zapala się ciepłe światło.

Robię krok. Most ślizga się pod nogami, pogania mnie.

Rozsuwam zasłonę śnieżycy i wchodzę do gabinetu Dibienki.

Bardzo solidny gabinet. Od razu wzbudza zaufanie. Nie wątpię, że w realu jest równie imponujący.

A twórca Głębi, twórca Sztucznej Inteligencji siedzi przed komputerem i gra w Tetris. Dość kiepsko, jeśli mogę wyrazić swoją opinię. Studnię już zasypało do połowy; trudno będzie to wszystko rozgrzebać.

– Wciśnij pauzę – radzę.

Dibienko odwraca się gwałtownie. Kolorowe elementy sypią się do studni, układając się w niewyszukany wzór.

– To ty, Leonid?

Wiem, czego on się boi. Wiem, dlaczego jego palce gorączkowo włączają deep program.

– To ja. Nie bój się. Ciemnego Nurka już nie ma.

– Jak wszedłeś? – i pyta Dibienko, nie zdejmując rąk z klawiatury.

– Przecież jestem nurkiem.

– Pokaż mi tę dziurę!

– Już ją zamknąłem. Nie bój się, wszystko się skończyło. Ciemny Nurek nie będzie cię już prześladował. Ani rozpowszechniał twojego nowego programu.

– Zabiłeś go?

Nie mam prawa osądzać Dibienki. Ale ulga, którą słyszę w jego głosie, to właśnie powód, dla którego nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi.

– Poradziłem sobie z nim – uchylam się od odpowiedzi. – Zupełnie cię zasypało.

Dibienko patrzy na mnie zdumiony. Nie rozumie, jak można porównywać grę i życie...

– Jesteś pewien, Leonid?

– Tak.

Przez sekundę Dibienko się zastanawia. Wreszcie kiwa głową.

– Dobrze. Wierzę ci. Mieliśmy dżentelmeńską umowę, ja jej dotrzymam.

Wyjmuje książeczkę czekową, podpisuje czek i zastanawia się nad sumą.

– Nie trzeba.

– Nie wpisywać sumy? Leonid... to rodem z tanich kryminałów.

– Nie trzeba czeku. I tak go nie wezmę. Zresztą nie potrzebuję go; jeśli zechcę kiedyś wziąć z banku twoje pieniądze, to wezmę. Ale nie zechcę.

– Dlaczego? – zdumiewa się szczerze Dibienko. – Prosiłem cię o pomoc i obiecałem nagrodę.

– To była moja mała prywatna sprawa.

– Okay. – Dibienko z ulgą zamyka książeczkę czekową i rozsiada się wygodniej w głębokim fotelu.

– Wobec tego pozwól, że ci podziękuję. Nie pytam o szczegóły. Przyszedłeś, żeby mnie o tym poinformować?

– Nie tylko. Dmitrij, co masz zamiar robić ze „Sztuczną Naturą”?

– Zapoznałeś się z dokumentami? Na razie kontynuujemy testy. Mniej więcej za pół roku program zostanie zaprezentowany i wypuszczony na rynek.

– Jesteś pewien, że trzeba to zrobić?

Siadam przed biurkiem i patrzę na Dibienkę.

– Dmitrij, uważasz, że nasze odbicia będą lepsze od nas? Że będą się cieszyć z życia w narysowanym świecie, bez makijażu deep programu, bez szansy wyjścia w prawdziwy świat?

– Jakie one będą, to kwestia indywidualna. Czy się ucieszą... zobaczymy. Dowolne życie lepsze jest od niebytu, prawda?

Ciemny Nurek we mnie śmieje się, a ja kręcę głową.

– Dmitrij, nie siedzisz przed dziennikarzem. Co naprawdę myślisz?

Dibienko wraca do mnie spojrzeniem.

– Leonid... do licha z tobą. Nie wiem! Nie znam odpowiedzi na te pytania. Ale ktoś powinien szukać odpowiedzi! Prawda?

– Tak, ktoś powinien.

– Leonid, ja już nie mam na to żadnego wpływu! Koniec! Machina została uruchomiona. Mogę ją wyhamować, mogę rozkręcić mocniej. Zatrzymać nie zdołam. Program i tak się ukaże. To biznes, rozumiesz? Po prostu wielki interes i wielka kasa. Dziecięce gry o Medal Bezkarłości należą do przeszłości. Zeżrą mnie towarzysze, zaduszą konkurenci. Zainwestowałem wielką forszę w ten produkt. Musi wyjść na rynek.

– Jasne. Tylko jedna rada... nie obiecuj nikomu zbyt wiele.

– Nie rozumiem.

– Dmitrij, możesz reklamować „Sztuczną Naturę” jako najwygodniejszy interfejs dla Głębi. Jako program z elementami sztucznej inteligencji. Jako pewną tarczę przed psychotropowym działaniem broni wirtualnej. Nawet jako system prognostyczny! Tylko nigdy nie mów, że zdolna jest stworzyć rozum... wyśmieją cię.

Patrzy na mnie w milczeniu.

– Przecież obaj jesteśmy poważnymi ludźmi – mówię dalej, a słowa jakby pochodziły od Ciemnego Nurka, zrodzone z jego bólu i samotności, życia w szarej mgle. – Nie dziennikarzami łaknącymi sensacji, nie pisarzami marzącymi o cudach. W oparciu o współczesną technikę Sztuczna Inteligencja jest niemożliwa. Kiedyś...

– Leonid, czytałeś raporty?

Uśmiecham się, rozkładam ręce.

– Mało to rzeczy mogło się ubzdurać rozentuzjanzmowanym młodym programistom? Drobne błędy w eksperymentach, subiektywne podejście, może nawet przeinaczenie danych...

– Jak to zrobiłeś?

– Tak jak dwa lata temu wstawiłem timer do deep programu.

Dibienko zaciska usta. Nie wygląda na zdumionego. Albo domyślił się już wcześniej i wytrzymał cios.

– Nie możesz mi tego wyjaśnić?

– Dmitrij, lepiej ode mnie wiesz, czym jest tworzenie programu. To coś na granicy mistyki i magii. Włączyłeś – nie działa. Włączyłeś – działa. Włączyłeś trzeci raz. – dostałeś nie to, czego szukałeś. Alchemia. Czary. Nigdy nie ścisłałeś w palcach pierścionka, żeby program zadziałał? Czasem to pomagało. Podejź do malarza i zapytaj, jak znajduje kolory. Zapytaj pisarza, jak znajduje słowa. A rzeźbiarz... skąd wiedział, że akurat ten kawałek marmuru był zbędny?

– Jesteś pewien, że odciąłeś zbędny kawałek?

– Mam nadzieję.

Wstaję. Żegnam się.

I rozsypuję w kolorowy śnieg.

Hełm postawiłem na monitorze. Jak zwykle. Wyszarpnąłem wtyczkę kombinezonu. Jak zwykle. Ale kombinezonu nie zdejmuję.

Drzwi do sypialni są otwarte. Vika siedzi na łóżku i patrzy na mnie.

– Wszystko w porządku – mówię.

– Naprawdę wszystko?

– Oczywiście, że nie. Tak się nie zdarza. Ale w sumie nieźle. Vika kiwa głową. Bardzo dziwnie na mnie patrzy... badawczo.

– Dzwonił Padlina. Zapraszał nas do Czyngisa, na jutro. Powiedział, że z Patem wszystko w porządku, nawet nie był w szpitalu. Co się tam stało?

– Pocisk trzeciego pokolenia. Ostatni. Już ich nie ma.

– Tak myślałam. Zdażyłeś?

– Nie ja, Czyngis. Zdażyć musi ten, który jest obok.

– Masz czerwone oczy, Lonia. Wyglądasz tak, że można tobą straszyć ciemnych nurków.

– Ciemny Nurek był tylko jeden. I już go nie ma.

– Ty?...

– Nie, nie w tym sensie. Przestał być Ciemnym Nurkiem. To wszystko.

– Lonia, chyba musimy porozmawiać. O wielu sprawach.

– Musimy. Najpierw my dwoje. Potem pójdziemy do Czyngisa i tam też będę musiał co nieco opowiedzieć. Ale to wszystko jutro.

– Tak, widzę – kręci głową Vika. – Kładź się.

– Nie o tym mówię. Mam do załatwienia jeszcze jedną sprawę w Głębi. Ostatnią. Do tej pory nie wiem, jak postąpić. I nie mam nawet prawa prosić o radę.

– Jesteś pewien, że to takie pilne?

– Tak, Vika. Zrozumiałem coś. To oczywiście proste, ale dopiero teraz zrozumiałem. Jeśli umiesz pływać, nie siedź na brzegu.

– Czas nurków znowu nadszedł?

– Nigdy nie minął, Vika. Po prostu byliśmy zmęczeni. Wszyscy. Ale nurkowie byli, są i będą. Dopóki żyje Głębia i ci, którzy mogą utonąć.

– Co za rozczarowanie dla Niedosiłowa.

– To nic. Wymyśli nowe logiczne wytłumaczenie. To jego dar. Zaśmialiśmy się, patrząc na siebie. Potem Vika powiedziała:

– Idź, nurkuj. I wracaj. Pamiętaj, że czekam.

– Zawsze o tym pamiętam.

Hełm jest ciężki, ale przywykłem do tego ciężaru.

Jest nieunikniony.

Deep Enter.

Ściany hotelu. Proteus i motocyklista na łóżku. Obraz na ścianie, z chatą rozmazaną pasami farby.

Obrzydł mi ten hotel.

Pora zbudować własny dom.

Podnoszę ciała Proteusa i motocyklisty, potrząsam, żeby obwisły, wieszam w szafie.

Potem otwieram drzwi i wychodzę z pokoju.

Nie rozglądam się już.

Mogę iść przez Deeptown w linii prostej przez ściany domów i bariery programów ochronnych. Mogę wzlecieć w narysowane niebo, na którym płyną białe chmury i świeci słońce. Mogę po prostu przenieść się z jednego punktu do drugiego.

Ten, kto był Ciemnym Nurkiem, wciąż jest we mnie. Razem możemy wiele rzeczy.

Ale podnoszę rękę i łapię taksówkę.

– Labirynt Śmierci.

– Pilnie? – pyta rudy piegowaty kierowca.

– Niekoniecznie. Jak wyjdzie.

Wyjeżdżamy na prospekt Gibsona, jedziemy w stronę amerykańskiej dzielnicy. Przejeżdżamy obok ulicy Tiurina, obok placu Wasiliewa. [Tiurin, Wasiliew – rosyjscy pisarze gatunku SF, specjalizujący się w cyberpunku]

Kim jest, do licha, ten Gibson?

Mógłbym zapytać tej siły, która jest teraz we mnie. I otrzymać odpowiedź.

Ale po co komu te szybkie odpowiedzi?

Moja siła ma inne zastosowanie.

Jedziemy. Zamykam oczy i sięgam przez sieć. Serwer. Drugi, trzeci. Wyszukiwarki. Pytanie, odpowiedź, serwer. Lokalna sieć szpitala w odległym Vancouver. Ochrona jest mocna, ale teraz nie ma to żadnego znaczenia.

Patrzę na ekrany monitorów, zaczytuję dane z komputerów. Podłączam się do kamery w sali pod sufitem i patrzę na śpiącego Crazy'ego Tossiera.

Wracaj szybko do zdrowia, stary.

Zawsze będziemy mieli co robić w Głębi.

– Labirynt.

Płacę i kręcę głową, widząc nędzny stan mojego konta. Mimo wszystko trzeba będzie pogadać z Crazy'm, jak wróci do pracy. Nie mam zamiaru więcej nosić pianin.

Przed wejściem do Labiryntu Śmierci nie ma tłumu. Kilka grup graczy rozmawiających z ożywieniem. Spodziewałem się tego, ale i tak dziwnie to wygląda.

– Lońka!

Rudowłosy chłopak podbiega do mnie i wyciąga rękę.

– Siemasz! Labirynt dziś nie działa!

– Wiem. Mają problem na ostatnim etapie gry. Załamał się program głównego potwora.

– Co za lamerzy – oburza się Ilia. – Po co zaraz zamykać cały Labirynt? Ja siedzę na dwunastym poziomie. Nie wiesz, jak się tam przechodzi?

– Kompletnie nie pamiętam – przyznaję się. – No i co... kupiłeś sobie kartę dźwiękową?

– Aha! Mówię ci, super! Bubum, bum! Jaaa!

Potrząsa głową, a ja wiem, że on teraz słyszy jakąś muzykę. Na pewno piękną. W jego wieku cała muzyka dzieli się na okropną i wspaniałą.

– Gratuluję – mówię. – Wiesz, że Dibienko w ogóle nie miał karty dźwiękowej i dlatego deep program instaluje się bez dźwięku?

– Wiem. A ja i tak coś słyszę, jak zaczyna padać kolorowy śnieg. Jakaś muzykę, bardzo cichą. Myślałem, że to z powodu kiepskiej karty. Ale nic się nie zmieniło.

– Nie chodzi o kartę. Chodzi o ciebie.

Chłopiec kiwa głową, od razu zapominając, o czym rozmawialiśmy. Ma w sobie zbyt dużo energii, żeby długo mówić o tym samym.

– A ty jesteś u tych... u byłych nurków?

– Tak, u nurków.

– Zjrzę do was kiedyś, dobra? A ty wpadaj do hackerskiego baru. Tylko że teraz tam zmienili hasło, zaczekaj... Aha! Miłość i wierność! Zapamiętasz? To ja lecę!

– Postaram się. – Udaje mi się zachować powagę. – Dobra, leć. Masz pewnie kupę spraw.

– Milion! – już w biegu krzyczy Ilia. – Jak zawsze!

Stoję jeszcze chwilę, uśmiecham się.

Potem sięgam przez zamknięty łuk wejścia.

Ja też mam sprawę do załatwienia. Jedną jedyną ale za to nieprzyjemną.

Bagno z pływającymi potworami...

Góry z pełznącymi potworami...

Podziemia z biegającymi potworami...

I miasto z potworami wszystkich rodzajów.

Zawalony przez nas wieżowiec już odbudowano. Dachy oczywiście nie widać, ale ja wiem, że chmara potworów kręci się przy armacie.

Grozę im palcem i przechodzę przez ulicę.

Nie strzelają do mnie.

Wchodzę do ogrodu pałacu Imperatora. Rozglądam się. Tu się zaczailiśmy... jak to było dawno. A stąd wyszedł oddział graczy, których wybił potężny Imperator.

Potrzebuję teraz wściekłości. Wściekłości, nienawiści, gniewu. W przeciwnym razie nie zdołam zrobić tego, co muszę. Co innego pozbawić pierwszych przeblysków życia ozywającą zbroję... punków, którzy gryzą pistolety i przejeżdżają przechodniów...

A zupełnie co innego zabić kogoś, kto nie ma swojego odpowiednika w realu.

Kogoś, kto został stworzony jako chłodny, obojętny eksperyment. Z zaprogramowanymi okrutnymi zasadami gry – zabijać i być zabijanym.

Nie mam prawa zostawić go przy życiu.

Muszę go zabić.

To będzie nieodwracalny czyn, wiem o tym. Ale nie mogę pozwolić, by Imperator wyszedł na ulice Deeptown, by uświadomił sobie, kim jest, pokonał bariery Labiryntu i rozpląnął się po sieci. Wtedy nie pomoże nawet moja obecna siła.

Próbuję się nakręcić, jak kilka godzin temu stojący przed Ciemnym Nurkiem Pat. Przypominam sobie, jak Imperator łamał kręgosłupy graczy, jak spłonął Padlina, jak zginął Czyngis. Finalna postać okrutnej gry nie może przejść swojej drogi do końca. Bo wtedy wróci cały koszmar. Razem z

prawdziwym życiem w Deeptown pojawi się prawdziwa śmierć.

I gdy już wiem, że wystarczy mi wściekłości, podchodzę do drzwi pałacu.

Udowodniliście kontroli, że nie propagujecie zła i przemocy... daj spokój, Crazy. Udowodniliście, że Labirynt jest dochodową wesołą rozrywką...

A jeśli kiedyś Imperator wyjdzie poza granice gry i postanowi policzyć się ze wszystkimi, którzy go zabijali?

Przecież wszedł już na niekończącą się drogę poznania. Zadał najważniejsze pytanie. Przestał podporządkowywać się okrutnemu programowi gry.

A ja muszę przerwać jego drogę.

Korytarze są puste.

Idę do windy, naciskam tajemny guzik. Winda zaczyna się unosić.

Programiści Labiryntu nie widzą mnie teraz i nie słyszą. Ale mimo wszystko wyszukuję i przerywam wszystkie kanały kontroli i zostawiam na ekranach nieruchome obrazki.

Nie chcę widzów.

Zrobię to, co trzeba zrobić. Ale nie będzie przedstawienia.

Sala tronowa jest pusta. Ochrony nie ma... ochrony, którą Imperator ustawił samowolnie, wbrew programowi. Wyjmuję rewolwer Strzelca. Nie z konkretnej potrzeby. Zabiję Imperatora siłą Ciemnego Nurka, ale potrzebny mi symbol.

Obchodzę salę. Zaglądam za srebrzysty tron.

I widzę Imperatora.

Siedzi skulony, obejmuje rękami podciągnięte do twarzy kolana. Ludzka poza. Czy sam ją wymyślił?

Żałosna poza zagubionego, zmarzniętego dziecka.

Ukrywa się za tronem, nie reagując na kolejne grupy graczy, na ich głośnie okrzyki, na długie serie z bliska. Na oburzone skargi, że taki smętny finał psuje całe wrażenie ciekawej gry.

Dlaczego ani jedna z trzech drużyn, które doszły do ostatniego poziomu, nim zamknięto Labirynt, nie zatrzymała się? Dlaczego strzelali, podchodząc bardzo blisko, strzelali, dopóki nie wyczerpał się ogromny życiowy potencjał Imperatora?

A może pytam nie o to, o co powinienem zapytać?

Może boję się zadać konieczne pytanie?

Imperator podnosi głowę i patrzy na mnie. Czekam. Może mnie pozna. Może jego oczy zapłoną oślepiającym ogniem... nieszkodliwym dla mnie.

A wtedy odetnę zbędny kawałek.

Patrzy na mnie bardzo długo. Robi mi się nieswojo.

Pamiętam tę pozycję. I chyba pamiętam to spojrzenie.

– Kim jestem? – pyta Imperator.

Siadam przed nim. Ciemny Nurek we mnie mamrocze coś o niepotrzebnej zwłóce, o konieczności błyskawicznego rozwiązywania problemów.

Ale teraz mam prawo go nie słuchać.

– Dlaczego przestałeś zabijać? – pytam.



Milczy, jakby szukał słów, jakby sięgał do swojego ubogiego słownika, do tego, co słyszał od podnieconych, rwących się do walki graczy, do przekleństw i rozkazów...

– Nie chcę.

– Dlaczego?

Imperator próbuje coś powiedzieć, ale zastyga w bezruchu.

Może po prostu nie zna słów, którymi mógłby wszystko wyjaśnić. Nigdy nie miał okazji takich usłyszeć.

I wtedy po prostu się uśmiecha. Z zakłopotaniem. Przepraszająco.

Co się stało wtedy, gdy wyrwał się za nami na drugą stronę Deeptown, w szary rozmyty świat strumieni informacyjnych? Co zobaczył, usłyszał, zrozumiał?

Może tylko to, że świat nie ogranicza się do pałacu i ogrodu, gdzie on ma zabijać i dać się zabić?

To jest w nas wszystkich. Wściekłość i nienawiść. Agresja i strach.

Bez tego też nie można żyć.

Ale jest jeszcze coś, i to działa. Kiedy ozywający program przełamuje wbite w niego instynkty. Kiedy odpowiada ciosem na cios.

Kiedy program pyta: „Kim jestem?”

Biorę Imperatora za rękę. Posłusznie wstaje i patrzy na mnie pytająco.

Nie można robić rzeczy nieodwracalnych. Ale nimi też ktoś się musi zająć.

– Chwileczkę – mówię. – Poczekają...

Nie umie tego zrobić. Na razie. Jeszcze nadejdzie chwila, gdy będzie mógł wszystko.

Popycham ścianę pałacu, naciskam otwartą dłońią i ściana upada. Za nią powinien być ogród, ale jest Deeptown. Robię krok, a Imperator idzie za mną.

Stoimy na pagórku, miasto leży przed nami jak na dłoni. Widać jakiś park, jeden z setek parków Deeptown.

– To świat – mówię. – Świat to miłość.

– To świat – powtarza Imperator, a w jego oczach zapala się światło. Zupełnie inne światło. – Świat to miłość.

– Widzisz, jakie to proste? – pytam z uśmiechem i odsuwam się na bok. Czas na mnie. Nie trzeba mówić wszystkiego. – Żyj! Powodzenia!

– Kim jestem?

Przez cały czas nie daje mu spokoju to najważniejsze pytanie. Kim on jest... a kim ja jestem? Czy mam się kogo zapytać?

– Chyba wiem, ale szukaj odpowiedzi sam. Tak trzeba!

Były Imperator Labiryntu kiwa głową i rozgląda się niepewnie. I robi pierwszy krok.

– Na razie! – mówię. – Trzymaj się! Ja spadam. Mam milion spraw... jak zwykle!

*Wrzesień – grudzień 1998 Moskwa*

# Spis treści

<a href="#">Strona tytułowa.</a>	1
<a href="#">Część pierwsza.</a>	3
<a href="#">00.</a>	4
<a href="#">01.</a>	5
<a href="#">10.</a>	13
<a href="#">11.</a>	22
<a href="#">100.</a>	38
<a href="#">101.</a>	55
<a href="#">110.</a>	70
<a href="#">111.</a>	86
<a href="#">Część druga.</a>	91
<a href="#">00.</a>	92
<a href="#">01.</a>	100
<a href="#">10.</a>	108
<a href="#">11.</a>	119
<a href="#">100.</a>	129
<a href="#">101.</a>	143
<a href="#">110.</a>	156
<a href="#">111.</a>	171
<a href="#">Część trzecia.</a>	184
<a href="#">00.</a>	185
<a href="#">01.</a>	192
<a href="#">10.</a>	204
<a href="#">11.</a>	217
<a href="#">100.</a>	236
<a href="#">101.</a>	247
<a href="#">110.</a>	260
<a href="#">111.</a>	269
<a href="#">Część czwarta.</a>	280
<a href="#">00.</a>	281
<a href="#">01.</a>	284
<a href="#">11.</a>	293
<a href="#">11.</a>	306
<a href="#">100.</a>	315
<a href="#">101.</a>	327
<a href="#">110.</a>	337
<a href="#">111.</a>	346